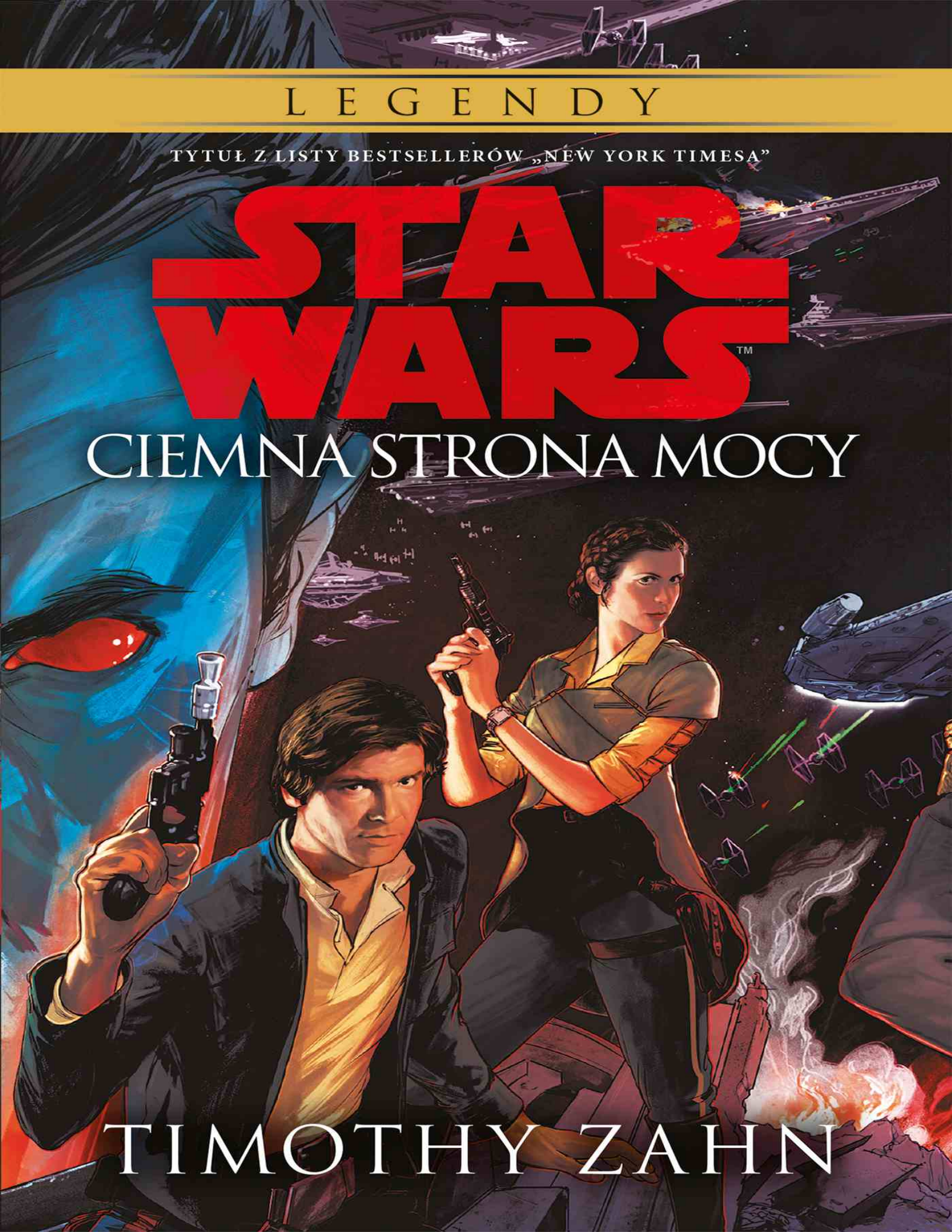
LEGENDY
TYTUŁ Z LISTY BESTSELLERÓW „NEW YORK TIMESA”
STAR WARS™
CIEMNA STRONA MOCY
TIMOTHY ZAHN

Timothy Zahn

STAR WARS. CIEMNA STRONA MOCY

przełożył Tomasz Kupczyk

Tytuł oryginału: *Star Wars: Dark Force Rising*

Trademark and text copyright © 1992 by Lucasfilm Ltd.
All Rights Reserved.
Used Under Authorization.
Cover art. copyright © 1993 by Lucasfilm Ltd. Art. by Tom Jung.

No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording, or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the publisher.

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Wydanie I
Warszawa, MMXIX

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

O autorze

Rozdział 1

Żółtopomarańczowa kula w oddali lśniła silnym blaskiem, nieco tłumionym przez dystans oraz automatyczny system przyciemniania iluminatorów. Czerń przestrzeni kosmicznej roztaczającej się wokół kuli i okrętu znaczyły maleńkie punkciki niezliczonych gwiazd. Dokładnie pod klinowatą sylwetką statku nad zachodnie rejony Wielkiego Północnego Lasu planety Myrkr powoli wypełzał świt.

Ostatni świt, jaki mieli oglądać ci, którzy się tam ukrywali.

Stojący przed jednym z bocznych paneli widokowych na mostku gwiezdnego niszczyciela „Chimaera" kapitan Pellaeon obserwował, jak rozmyta granica między nocą a dniem przesuwa się z wolna ku wyznaczonej strefie ataku. Dziesięć minut temu oddziały lądowe otaczające cel zgłosiły stan gotowości. „Chimaera" zajęła pozycję niemal przed godziną, nakładając na układ blokadę. Teraz pozostawało tylko czekać na rozkaz do ataku.

Powoli, niemal ukradkiem, kapitan Pellaeon odwrócił głowę, aby zerknąć za siebie. Za jego plecami, po prawej stronie, wielki admirał Thrawn zasiadał przy stanowisku dowodzenia – niebieskoskóry, o lśniących, czerwonych oczach skupionych na szeregu ekranów kontrolnych otaczających go półkolem. Na jego twarzy nie drgnął nawet najmniejszy mięsień – nie odezwał się ani nie poruszył od momentu nadejścia ostatniego raportu sił lądowych i Pellaeon dostrzegał już wśród załogi mostka pierwsze oznaki niepokoju.

On sam już dawno porzucił wszelkie próby przejrzenia zamysłów Thrawna. Fakt, że świętej pamięci Imperator postanowił uczynić go jednym ze swoich dwunastu wielkich admirałów, świadczył o tym, że miał do niego pełne zaufanie – tym bardziej że Thrawn nie był człowiekiem, a wszyscy wiedzieli o uprzedzeniach swojego władcy względem obcych. Od chwili objęcia dowodzenia na pokładzie „Chimaery" oraz podjęcia się zadania odbudowy imperialnej floty Thrawn nieraz już zresztą potwierdził, że jest godzien tego zaufania, wykazując się niezwykłą przenikliwością i geniuszem wojennym.

Pellaeon wiedział, że cokolwiek powstrzymywało admirała od rozpoczęcia ataku, musiał mieć on ku temu dobry powód.

Równie powoli jak wcześniej kapitan odwrócił się z powrotem do iluminatora, jednak najwyraźniej nie uszło to uwagi Thrawna.

– Czy chciałby pan o coś spytać, kapitanie? – rozległ się pośród cichych rozmów załogi mostka jego spokojny głos.

– Nie, sir – zapewnił go Pellaeon, odwracając się w jego stronę.

Przez chwilę lśniące, czerwone oczy wpatrywały się w niego taksująco i kapitan podświadomie przygotował się na upomnienie… albo coś gorszego. Jednak Thrawna, choć Pellaeonowi wciąż zdarzało się o tym zapominać, nie cechowała porywczość i bezwzględność Dartha Vadera.

– Zastanawia się pan zapewne, dlaczego jeszcze nie zaatakowaliśmy? – zagadnął go tym samym, uprzejmym tonem przełożony.

– Owszem, sir – potwierdził Pellaeon. – Wszystko wskazuje na to, że nasze oddziały zajęły już pozycje…

– Nasze oddziały wojskowe? Zgadza się – przyznał admirał. – Jednak nie zwiad, który wysłałem do Hyllyard City.

Pellaeon zamrugał zaskoczony.

– Do… Hyllyard City?

– Zgadza się. Uznałem za mało prawdopodobne, by ktoś tak sprytny jak Talon Karrde zakładał bazę w środku lasu, nie zadbawszy o sieć kontaktów z innymi, na zewnątrz. Hyllyard City jest zbyt oddalone od bazy Karrde'a, aby mieszkańcy miasta byli świadkami naszego ataku. Dlatego też jakakolwiek zwiększona aktywność w mieście będzie oznaczała, że taka siatka rzeczywiście istnieje. Dzięki niej będziemy mogli zidentyfikować ludzi Karrde'a i objąć ich długoterminową obserwacją. Prędzej czy później sami nas do niego doprowadzą.

– Tak jest, sir! – potwierdził służbiście Pellaeon, jednak nie wydawał się do końca przekonany. Świadczył o tym fakt, że zmarszczył czoło. – A więc nie spodziewa się pan, że uda nam się wziąć żywcem kogoś z jego zespołu…

Wielki admirał uśmiechnął się pod nosem.

– Jeśli chodzi o ścisłość, przypuszczam, że nasze siły zastaną bazę opustoszałą.

Pellaeon zerknął przez iluminator na widniejącą w dole, oblaną blaskiem półkulę planety.

– W takim razie… – zawahał się kapitan – dlaczego w ogóle przypuszczamy atak, sir?

– Z trzech powodów, kapitanie – odparł Thrawn. – Po pierwsze, nawet ludzie pokroju Talona Karrde'a czasem popełniają błędy. Niewykluczone, że opuszczając w pośpiechu swoją bazę, zostawi tam coś, co posłuży nam jako trop. Po drugie, jak już wspomniałem, atak na bazę może nas doprowadzić do jego kontaktów w Hyllyard City. Po trzecie zaś, dzięki tej akcji nasze siły zdobędą nieco doświadczenia w terenie, którego tak bardzo im brakuje. – Wpatrywał się w Pellaeona przeszywającym wzrokiem. – Proszę nie zapominać, kapitanie, że nie zajmujemy się już błahymi działaniami obliczonymi na nękanie naszych przeciwników, jakie prowadziliśmy przez ostatnie pięć lat. Dzięki Górze Tantiss i cylindrom Spaarti naszego świętej pamięci Imperatora znów możemy przejąć inicjatywę. Już wkrótce rozpoczniemy proces odbijania planet zajętych przez Rebelię… i będziemy do tego potrzebować armii wyszkolonej równie dobrze, co nasza kadra oficerska i obsada floty.

– Tak jest, panie admirale – potwierdził Pellaeon.

– Doskonale. – Thrawn zerknął na wyświetlacze. – Już pora. Proszę dać znać generałowi Covellowi, że może zaczynać.

– Tak jest, sir! – Pellaeon ruszył na swoje stanowisko. Pospiesznie sprawdził odczyty, a potem aktywował komunikator, kątem oka dostrzegając, że Thrawn postąpił tak samo. Czyżby kontaktował się ze swoimi szpiegami w Hyllyard City? – Tu „Chimaera" – oznajmił. – Rozpocząć atak.

– Przyjąłem, „Chimaera" – rzucił generał Covell do mikrofonu w hełmie, starając się nie dopuścić, by w jego głosie zabrzmiał ton pogardy. To było takie typowe i obrzydliwie łatwe do przewidzenia! Robisz, co w twojej mocy, dwoisz się i troisz, stawiasz swoich ludzi i pojazdy w stan najwyższej gotowości… a potem czekasz

w nieskończoność, aż ta banda nadętych bufonów z floty, w ich wykrochmalonych na sztywno mundurkach i lśniących stateczkach, przestanie siorbać herbatkę i wreszcie łaskawie da sygnał do ataku…

„Cóż, usiądźcie więc wygodnie – pomyślał ze złośliwą satysfakcją, łypiąc spode łba na zawieszony w górze gwiezdny niszczyciel – bo niezależnie od tego, czy wielki admirał chce uzyskać wymierne efekty, czy też zależy mu jedynie na widowiskowym pokazie, dostanie to, o co prosił". Sięgnął do pulpitu i ustawił lokalną częstotliwość dowodzenia.

– Tu generał Covell do wszystkich jednostek: mamy zielone światło. Ruszamy.

Wkrótce zaczęły do niego docierać potwierdzenia przyjęcia rozkazu, a już po chwili stalowy pokład pod jego stopami zadrżał, gdy potężna maszyna krocząca AT-AT zaczęła mozolnie przedzierać się przez las ku oddalonemu o kilometr obozowi. Za pancernym panelem widokowym kabiny co jakiś czas migały smuklejsze, drobne sylwetki zwiadowczych maszyn AT-ST, wyprzedzających nieco i eskortujących większe jednostki, rozpoznających teren w poszukiwaniu wroga lub pułapek.

Nikt nie sądził, że Karrde tak naprawdę zdoła coś wskórać. W trakcie swojej wieloletniej służby w siłach Imperium Covell stał na czele setek podobnych kampanii i doskonale znał zabójcze możliwości maszyn bojowych, którymi dowodził.

Holograficzny wyświetlacz taktyczny pod taflą iluminatora osobliwie przypominał ozdobny dysk – mrugające czerwone, białe i zielone światełka wskazywały pozycje maszyn kroczących AT-AT i AT-ST oraz pojazdów zwiadowczych Covella, szybko i sprawnie okrążających bazę Karrde'a.

Sprawnie… jednak nie dość sprawnie. AT-AT na północnej flance wraz z eskortą zauważalnie zwolniły tempo, zostając w tyle za resztą maszyn zacieśniających stopniowo krąg wokół celu.

– Oddział drugi? Zwiększcie tempo! – rzucił do komunikatora Covell.

– Robimy, co w naszej mocy, sir – nadeszła odpowiedź, nieco zniekształcona przez zakłócenia spowodowane bogatą w metale

roślinnością porastającą Myrkr. – Natrafiliśmy jednak na gęste zarośla, które spowalniają nasze jednostki zwiadowcze.

– Czy opóźnia to również marsz AT-AT?

– Nie, sir – zameldował dowódca maszyny kroczącej. – Nie chciałem jednak rozbijać kolumny i…

– Spójność kolumny jest ważna podczas manewrów w akademii, majorze – wszedł mu bezceremonialnie w słowo Covell. – Czymś niedopuszczalnym jest jednak, by w jakikolwiek sposób wpływała na przebieg walki. Jeśli wasze AT-ST nie nadążają, zostawcie je w tyle.

– Tak jest, sir.

Covell przerwał połączenie z pogardliwym prychnięciem. Musiał przyznać, że wielki admirał nie mylił się przynajmniej w jednej kwestii: jego żołnierzom przyda się porządny chrzest bojowy, nim sprostają imperialnym standardom. Mimo to nie można było zaprzeczyć, że mieli pewien potencjał. Na jego oczach północny zespół przeorganizował się zaskakująco sprawnie: maszyny zwiadowcze wysunęły się do przodu, aby zająć pozycje zabezpieczane wcześniej przez AT-ST, podczas gdy te ostatnie objęły tylne stanowiska.

Czujnik energetyczny zapiszczał, sygnalizując, że zbliżają się do obozowiska.

– Proszę o raport z sytuacji – powiedział Covell.

– Systemy uzbrojenia w gotowości – zameldował jego strzelec, nie spuszczając wzroku z ekranów celowniczych.

– Nie rejestrujemy żadnych przejawów oporu – dodał operator maszyny.

– Bądźcie czujni – polecił im generał, przełączając się ponownie na częstotliwość dowodzenia. – Do wszystkich jednostek: wkraczamy do bazy.

Chwilę później, przy akompaniamencie ogłuszającego trzasku towarzyszącego przedzieraniu się przez gęstwinę roślinności, jego AT-AT wdarł się na polanę.

Widok był zaiste imponujący: z pozostałych stron z gąszczu wychynęły w idealnie zgranym szyku kolejne trzy AT-AT. W blasku przedświtu wokół nich już za chwilę zaroiło się od AT-ST i maszyn

zwiadowczych, szybko zajmujących pozycje w pobliżu budynków o zaciemnionych oknach.

Covell obrzucił ekran czujników pobieżnym, ale badawczym spojrzeniem: sensory zarejestrowały dwa nadal funkcjonujące źródła energii – jedno w centralnym budynku, drugie w położonych na uboczu zabudowaniach przypominających koszary. Żadnych śladów działających czujników, broni ani pól energetycznych. Ze skomplikowanych obliczeń analizatora sygnałów organicznych wynikało, że w budynkach w perymetrze nie zarejestrowano form życia.

Jednak w budynku centralnym…

– Odbieramy sygnały świadczące o obecności w głównym module około dwudziestu istot żywych, generale – zameldował dowódca AT-AT numer cztery. – Wszystkie sygnały dochodzą z jego środkowej części.

– Nie sugerują jednak obecności ludzi – mruknął pod nosem operator maszyny Covella.

– Może mają jakieś osłony? – zastanawiał się generał, wyglądając przez panel widokowy. Nadal nic – żadnego ruchu. – Cóż, przekonajmy się o tym sami. Do wszystkich oddziałów szturmowych: do ataku!

Włazy rufowe repulsorowych pojazdów zwiadowczych otworzyły się i z każdego wysypała się grupa licząca ośmiu żołnierzy w pancerzach, uzbrojonych w karabiny laserowe. Połowa każdego z oddziałów zajęła pozycje w pobliżu maszyn: schronieni pod osłoną kadłubów, wycelowali broń w obozowisko, podczas gdy druga połowa puściła się biegiem przed siebie, kierując się na obrzeża skupiska budynków. Gdy dotarli na miejsce, przygotowali się do osłaniania ogniem kolegów, którzy wkrótce do nich dołączyli. To była znana od wieków taktyka wojskowa, a żołnierze Covella realizowali ją z typową dla żółtodziobów drobiazgowością. Rzeczywiście, mimo pewnych niedostatków, zdecydowanie mieli w sobie potencjał.

Żołnierze przez jakiś czas kontynuowali swój mozolny marsz ku głównemu budynkowi, po drodze wysyłając niewielkie grupki zwiadowców w celu sprawdzenia mijanych budowli pomocniczych.

Chwilę po tym, jak pierwsi ludzie Covella dotarli do centralnego modułu, okolicę rozświetliła łuna ognia towarzysząca wysadzeniu drzwi w powietrze. Już wkrótce członkowie oddziału szturmowego zaczęli się tłoczyć przy wejściu, starając się jak najprędzej dostać do środka… gdy nagle zapadła dziwna cisza.

Przez kilka minut przerywały ją jedynie odgłosy krótkich rozkazów rzucanych przez dowódców grup. Covell nasłuchiwał uważnie, obserwując wskazania czujników. W końcu nadszedł raport:

– Generale Covell? Tu porucznik Barse. Zabezpieczyliśmy cel, sir. Nikogo tu nie ma.

Covell kiwnął głową.

– Doskonale, poruczniku. Jak sytuacja wewnątrz budynku?

– Wygląda na to, że wynosili się stąd w pośpiechu – zameldował Barse. – Zostawili sporo rzeczy, jednak wszystko wygląda na złom…

– O tym niech zadecyduje ekipa skanująca – zarządził Covell. – Czy trafiliście na coś niepokojącego? Jakieś ślady pułapek czy innych niemiłych niespodzianek?

– Nic takiego nie znaleźliśmy, sir. Ach, a te formy życia, które zarejestrowały nasze czujniki, to po prostu te długie, futrzaste stworzenia. Zamieszkują drzewo rosnące na dachu budynku.

Covell ponownie pokiwał głową. Isalamiry, tak się chyba nazywały te stwory. Thrawn z jakiegoś powodu bardzo sobie upodobał te głupie futrzaki, ale generał nie miał pojęcia, dlaczego od kilku miesięcy zaprzątają one uwagę admirała. Co więcej, nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, w jaki sposób miałyby niby przysłużyć się im w walce. Podejrzewał jednak, że prędzej czy później dowie się tego od kogoś z floty.

– Zająć pozycje obronne – rozkazał porucznikowi. – I dajcie znak ekipie skanującej, gdy będziecie gotowi. Nie krępujcie się. Wielki admirał chce, byśmy rozebrali to miejsce na części… i właśnie tak zrobimy.

– Doskonale, generale. – Głos dobiegający z komunikatora niemal całkiem zagłuszały szumy i trzaski, nawet mimo maksymalnej

głośności i komputerowych filtrów. – Proszę kontynuować rozbiórkę.

Usadowiona za sterami „Dzikiego Karrde'a" Mara Jade zerknęła przez ramię na stojącego za nią mężczyznę.

– No to… to byłoby tyle – mruknęła.

Przez chwilę wydawało się, że Talon Karrde jej nie dosłyszał. Stał po prostu bez ruchu, wpatrzony przez iluminator w odległą planetę – maleńki, biało-błękitny sierp, wyglądający zza nierównej krawędzi oblanej słonecznym blaskiem asteroidy, za którą przycupnął „Dziki Karrde".

Już miała powtórzyć, gdy nagle przemytnik drgnął.

– Taaak – powiedział pozornie obojętnym głosem, choć bez wątpienia musiały nim targać silne emocje.

Wymieniła spojrzenia z zasiadającym w fotelu drugiego pilota Avesem, a potem obejrzała się znów na Talona.

– Czy w takim razie… nie powinniśmy przypadkiem już ruszać? – spytała.

Karrde wziął głęboki oddech. Patrząc na niego, widziała w wyrazie jego twarzy, ile znaczyła dla niego tak naprawdę placówka na Myrkr. To było coś więcej niż tylko baza – to był jego dom.

Zmusiła się, by odsunąć od siebie tę myśl. A więc Karrde utracił swoją bezpieczną przystań? Cóż, trudno. Ona straciła w życiu znacznie więcej niż tylko dom i jakoś z tym żyła. Nic wielkiego. On również się wyliże.

– Pytałam, czy nie powinniśmy ruszać…

– Słyszałem – potwierdził. Jego twarz nie wyrażała już żadnych emocji, skrytych na powrót za maską dystansu i ironii. – Nie jestem pewien, czy nie powinniśmy byli poświęcić nieco więcej czasu na upewnienie się, że nie zostawiliśmy nic, co mogłoby ich naprowadzić na trop bazy na Rishi.

Mara zerknęła znów na Avesa, który stwierdził z przekonaniem:

– Wydaje mi się, że wszystko dokładnie sprawdziliśmy. Informacje o Rishi były tylko w głównym komputerze, a ten został wysłany z pierwszą grupą.

– Racja – zgodził się Karrde. – Ale czy dasz sobie rękę uciąć, że nic nie wyciekło?

Aves skrzywił się lekko.

– Nie.

– Ja również. I właśnie dlatego jeszcze chwilę zaczekamy.

– A jeśli nas namierzą? – nie dawała za wygraną Mara. – Chowanie się za asteroidą to najstarsza sztuczka w galaktyce.

– Nie zauważą nas. – Karrde był spokojny i pewny siebie. – Właściwie to wątpię, by w ogóle przyszło im to do głowy. Przeciętny człowiek uciekający przed kimś pokroju wielkiego admirała Thrawna raczej nie zatrzymuje się przez długi czas, dopóki nie upewni się, że dzieli go od niego odpowiednia odległość.

„A czy dasz sobie rękę uciąć?" – powtórzyła w myśli jego wcześniejsze słowa Mara, jednak nie powiedziała tego na głos. Cóż, prawdopodobnie i tak miał rację. A poza tym, jeśli „Chimaera" czy którykolwiek z myśliwców TIE zbliży się zbytnio do „Dzikiego Karrde'a", będą mieli wystarczająco dużo czasu, by prysnąć stąd i skoczyć w nadświetlną, nim ktokolwiek ich dopadnie.

Taktyce i logice Karrde'a nie można było nic zarzucić, nie było co do tego wątpliwości. Mimo to Mara nie mogła się wyzbyć dziwnego niepokoju. Miała niejasne wrażenie, że coś tu jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Zacisnęła szczęki, zwiększyła czułość sensorów statku i ponownie sprawdziła, czy wszystko jest przygotowane do przeprowadzenia w razie potrzeby błyskawicznej procedury przedstartowej, a potem uzbroiła się w cierpliwość. Teraz pozostawało już tylko czekać.

Zespół skanujący działał szybko, sprawnie i dokładnie – minęło zaledwie nieco ponad pół godziny, gdy jego członkowie zameldowali, że… nic nie znaleźli.

– Cóż, to chyba byłoby tyle. – Pellaeon skrzywił się, obserwując przewijające się po ekranie raporty informujące o braku znalezisk. To było dobre ćwiczenie dla sił lądowych, ale poza tym stanowiło marnotrawstwo czasu i środków. – O ile oczywiście pańscy

zwiadowcy nie zarejestrowali żadnej aktywności w Hyllyard City… – dodał, zwracając się do Thrawna.

Wielki admirał utkwił spojrzenie czerwonych, pałających oczu w ekranach.

– W rzeczy samej, trafiliśmy na pewien ślad aktywności – potwierdził. – Mało brakowało, by został przeoczony, jednak sądzę, że wnioski nasuwają się same.

„Hm, zawsze to coś" – pomyślał Pellaeon, głośno zaś powiedział:

– Tak jest, sir. Czy mam polecić wywiadowi, aby wysłał tam zespół z misją długoterminową?

– Cierpliwości, kapitanie – ostudził jego zapał Thrawn. – Możliwe, że nie będzie to konieczne. Proszę spojrzeć na wyniki skanu średniego zasięgu i powiedzieć mi, co pan widzi.

Pellaeon obrócił się w swoim fotelu dowodzenia i wywołał na ekran odpowiedni raport. Obrazy przedstawiały Myrkr oraz standardową eskortę myśliwców TIE otaczających „Chimaerę". Poza nimi jedynym obiektem widocznym na ekranie była…

– Ma pan na myśli tę małą asteroidę? – spytał.

– Dokładnie tę – przytaknął Thrawn. – Wydaje się, że nie wyróżnia się niczym szczególnym, prawda? Nie! Proszę nie skupiać na niej czujników! – dodał na sekundę przed tym, nim Pellaeonowi przyszło to do głowy. – Nie chcielibyśmy przedwcześnie wypłoszyć naszej zwierzyny, prawda?

– Zwierzyny? – powtórzył Pellaeon, marszcząc czoło i zerkając znów na ekran czujników. Rutynowy skan asteroidy, który przeprowadzono trzy godziny wcześniej, nic nie wykazał, a od tamtej pory nikt nie zdołałby przekraść się tam niezauważony. – Z całym należnym szacunkiem, sir, ale… nie widzę nic, co sugerowałoby, że coś tam jest.

– Ja również – zgodził się z nim Thrawn. – Ale to jedyna sensowna kryjówka w promieniu niemal dziesięciu milionów kilometrów wokół planety Myrkr. Nie ma, po prostu nie ma innego miejsca, z którego Karrde mógłby obserwować przebieg naszej operacji.

Pellaeon zasznurował wargi.

– Proszę mi wybaczyć, panie admirale, ale wątpię, by Karrde był dość głupi, żeby przyczaić się gdzieś tutaj i czekać na nasze przybycie…

Thrawn zmrużył lśniące, czerwone oczy.

– Zapomina pan, kapitanie – powiedział cicho – że miałem z tym człowiekiem do czynienia. Co więcej, widziałem jego kolekcję dzieł sztuki. – Odwrócił się ponownie do monitorów. – O nie. On tam jest. Jestem tego pewien. Musi pan wiedzieć, że Talon Karrde nie jest zwykłym przemytnikiem. Ba! Niewykluczone, że tak naprawdę jest zupełnie kimś innym, niż nam się wydaje. Tym, na czym naprawdę mu zależy, nie są dobra doczesne ani pieniądze, ale informacja. Bardziej niż czegokolwiek w galaktyce pożąda wiedzy, zaś wiedza o tym, co tu znajdziemy lub czego nie znajdziemy, jest dla niego zbyt cenna, by z niej ot tak zrezygnował.

Pellaeon przyjrzał się ukradkiem profilowi wielkiego admirała. Jego zdaniem była to mocno naciągana teoria, jednak z drugiej strony niejeden już raz był świadkiem, jak równie osobliwe hipotezy dowódcy sprawdzały się bezbłędnie.

– Czy… wezwać eskadrę myśliwców TIE, aby przyjrzały się temu dokładniej?

– Tak jak wspomniałem, kapitanie: cierpliwości – powtórzył Thrawn. – Nawet jeśli wygasił silniki i przyczaił się tam w trybie zakłócania czujników, z pewnością zadbał o to, by móc natychmiast czmychnąć na wypadek wykrycia. – Uśmiechnął się do podwładnego. – Czy może raczej: wykrycia przez zespół wysłany z „Chimaery”.

Nagle Pellaeon przypomniał sobie pewną scenę: zobaczył, jak Thrawn sięga po komunikator w chwili, gdy on dawał siłom lądowym rozkaz do ataku.

– Wysłał pan wiadomość do reszty floty – domyślił się. – W tym samym czasie, w którym wydawałem rozkaz do ataku, aby zamaskować transmisję…

Thrawn uniósł lekko granatowoczarne brwi.

– Doskonale, kapitanie. Doskonale.

Pellaeon poczuł, jak na policzki występuje mu rumieniec. Wielki admirał nie był zbyt szczodry, jeśli chodzi o komplementy pod

adresem podwładnych.

– Dziękuję, sir.

Thrawn kiwnął głową.

– A dokładniej, wysłałem wiadomość do jednego statku, do „Constrainera". Zjawi się za około dziesięć minut. A wówczas… – jego oczy zalśniły – przekonamy się, czy dobrze oceniłem Karrde'a.

Z głośników na mostku „Dzikiego Karrde'a" wciąż dobiegały meldunki, ale teraz były zdecydowanie rzadsze.

– Wygląda na to, że nic nie znaleźli – mruknął Aves.

– Jak sam wspomniałeś, byliśmy bardzo dokładni – przypomniała mu Mara, ledwie słysząc własne słowa. Bliżej nieokreślone złe przeczucie, wciąż niedające jej spokoju, z każdą chwilą przybierało na sile. – Czy możemy się stąd już wynosić? – spytała z nadzieją, odwracając się do Karrde'a.

– Spokojnie, Maro. – Spojrzał na nią, marszcząc czoło. – Nie ma szans, by zorientowali się, że tu jesteśmy. Nie wysłali tutaj sond zwiadowczych, a bez nich nie zdołają w żaden sposób nas wykryć.

– Chyba że czujniki gwiezdnego niszczyciela są bardziej czułe, niż sądzisz – odparła kwaśno.

– Och, o ich czujnikach wiemy wszystko – zapewnił ją Aves. – Wyluzuj, Maro. Talon wie, co robi. „Dziki Karrde" ma prawdopodobnie najlepszy system maskowania po tej stronie ga… – Urwał, bo nagle za ich plecami otworzyły się drzwi prowadzące na mostek.

Mara odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak do środka wpadają dwa oswojone vornskry Karrde'a, dosłownie wlokąc za sobą próbującego utrzymać je na smyczy mężczyznę.

– Co tu robisz, Chin? – zdziwił się Karrde.

– Proszę o wybaczenie, kapitanie – wysapał jego podwładny. Wparł obcasy butów w podłogę i bez powodzenia próbował ściągnąć naprężone smycze. Choć opierał się z całych sił, drapieżne stworzenia nadal ciągnęły go powoli za sobą. – Nie dałem rady ich powstrzymać. Pomyślałem, że może po prostu się za panem… eee… stęskniły?

– O co chodzi, chłopaki? – skarcił łagodnie zwierzęta Karrde, kucając przed nimi. – Nie widzicie, że jesteśmy tu zajęci?

Vornskry nie zaszczyciły go jednak nawet spojrzeniem. Zdawały się w ogóle go nie zauważać – zamiast tego wpatrywały się uparcie w jakiś punkt przed nimi, całkiem jakby ich właściciel przestał dla nich istnieć. Kiedy spojrzał w tę samą stronę, spostrzegł, że… patrzą na Marę.

– Ej! – Poklepał lekko jedno ze zwierząt po pysku. – Sturm? Halo! Mówię do ciebie! Co w ciebie wstąpiło? – Zerknął znów na Marę i przyjrzał się jej uważniej. – Czy robisz coś dziwnego?

Pokręciła głową, czując, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz. Widziała już to spojrzenie – tak samo patrzyły dzikie vornskry, które spotkali podczas tamtej trzydniowej przeprawy przez dżunglę z Lukiem Skywalkerem.

Tyle tylko, że tamte bestie nie gapiły się na nią. Nie spuszczały wzroku ze Skywalkera. I zazwyczaj działo się to na chwilę przed tym, nim atakowały…

– To jest Mara, Sturm! – upominał tymczasem pupila Karrde, jakby mówił do dziecka. – To Mara! Daj spokój, znasz ją przecież.

Powoli, niemal niechętnie, Sturm przestał szarpać się na smyczy i skupił uwagę na swoim panu.

– Mara – powtórzył jeszcze raz Karrde, patrząc mu prosto w oczy. – Przyjaciel. Słyszysz, Drang? – dodał, chwytając drugiego z vornskrów za pysk. – Mara to przyjaciel. Zrozumiano?

Wydawało się, że zwierzę przez chwilę rozważa jego słowa w milczeniu, jednak za moment – równie niechętnie, co Sturm – opuściło łeb i spotulniało.

– O tak. Teraz zdecydowanie lepiej – pochwalił Talon, podrapał vornskry pieszczotliwie za uszami i wstał. – Zabierz je lepiej z powrotem, Chin – poradził swojemu podwładnemu. – Może wyprowadź je na spacer wokół głównego przedziału? Niech się trochę wybiegają.

– Ha! Jeśli tylko uda mi się jakoś przedrzeć przez cały ten bałagan – mruknął Chin, ściągając smycze. – Chodźcie, maleństwa! Idziemy!

Vornskry wahały się przez chwilę, ale wreszcie ruszyły posłusznie w stronę wyjścia z mostka.

Karrde patrzył przez chwilę w ślad za nimi.

– Ciekawe, o co im chodziło? – Przyjrzał się Marze badawczo.

– Nie mam pojęcia – wyznała, krzywiąc się w duchu na ton napięcia, który słyszała we własnym głosie.

Teraz, gdy znów mogła się w pełni skupić, dziwny lęk, który odczuwała wcześniej, powrócił ze zdwojoną siłą. Odwróciła się do swojego pulpitu, na wpół przekonana, że zobaczy na ekranach eskadrę myśliwców TIE szykujących się do ataku na nich…

Nie było tam jednak nic niepokojącego, z wyjątkiem „Chimaery", która wciąż tkwiła jakby nigdy nic na orbicie planety. Nic nie zwiastowało jakiegokolwiek zagrożenia, którego nie byłyby w stanie wykryć instrumenty pokładowe „Dzikiego Karrde'a", a mimo to uczucie lęku narastało z każdą chwilą – dopóki nie stało się tak silne, że Mara nie była w stanie dłużej bezczynnie siedzieć. Sięgnęła do kontrolek i zaczęła gorączkowo wstukiwać sekwencję procedury przedstartowej.

– Maro! – zawołał Aves, podrywając się ze swojego stanowiska. – Co ty…

– Oni zaraz tu będą! – warknęła. Jej głos drżał od z najwyższym trudem powstrzymywanych emocji.

Kości zostały rzucone: gdy uruchomiła procedurę przedstartową, wystawiła „Dzikiego Karrde'a" na cel czujników „Chimaery". Teraz nie mieli innego wyjścia, jak tylko próbować uciec.

Mara obejrzała się na Karrde'a, nagle bojąc się tego, co może wyczytać z jego twarzy…

On jednak tylko stał i przyglądał się jej z tą swoją typową, nieprzeniknioną miną.

– Nie wygląda na to, żebyśmy mogli się ich tu lada chwila spodziewać – zauważył z denerwującym spokojem.

Potrząsnęła głową, patrząc na niego błagalnie.

– *Musisz* mi uwierzyć! – powiedziała z mocą, boleśnie świadoma, że w istocie sama nie do końca sobie ufa. – Oni szykują się do ataku!

– Wierzę ci – zapewnił ją łagodnie. A może po prostu on także zdawał sobie sprawę z tego, że nie mają teraz innego wyjścia? – Aves? Oblicz, proszę, współrzędne skoku. Obierz najprostszy kurs,

prowadzący możliwie najdalej od Rishi. Później przycupniemy gdzieś na chwilę i dokonamy korekty.

– Karrde? – bąknął Aves, zbity z tropu, jednak Talon nie dał mu dokończyć:

– Mara pełni funkcję mojego zastępcy i ma prawo, a wręcz obowiązek, podejmować ważne decyzje.

– Tak, tak, ale… – Tym razem Aves sam urwał, powstrzymując się od protestów. – Tak – powtórzył po chwili cicho, a potem rzucił Marze nienawistne spojrzenie i odwrócił się z powrotem do komputera nawigacyjnego, aby wykonać powierzone mu zadanie.

– Ruszajmy, Maro – podjął tymczasem Karrde. Podszedł do wolnego stanowiska łączności przy konsoli i zajął tam miejsce. – Postaraj się utrzymywać tę asteroidę między nami a „Chimaerą" najdłużej, jak zdołasz.

– Tak jest – potwierdziła. Targający nią tajfun emocji zaczynał wreszcie słabnąć, zmieniając się w mieszankę gniewu i zakłopotania. Znowu to zrobiła! Posłuchała swojego wewnętrznego głosu. Zrobiła dokładnie to, o czym wiedziała, że nie powinna była robić, i ponownie źle na tym wyszła.

Niewykluczone też, że Karrde ostatni raz nazwał ją swoją zastępczynią. Jasne, w sytuacjach takich jak ta istniała konieczność zachowania jednomyślności, jednak dziewczyna była pewna, że gdy będzie już po wszystkim, przemytnik weźmie ją na stronę i powie jej do słuchu. Będzie miała szczęście, jeśli nie wyrzuci jej od razu na zbity pysk. Bębniąc szaleńczo w klawiaturę, obróciła „Dzikiego Karrde'a" rufą do asteroidy i zaczęła kierować go w stronę przestrzeni kosmicznej… Nagle w pobliżu coś rozbłysło w sposób typowy dla pseudoruchu towarzyszącego wyjściu z nadprzestrzeni: jakieś dwadzieścia kilometrów dalej pojawiła się potężna sylwetka imperialnego krążownika przechwytującego.

Aves zaklął pod nosem.

– Mamy towarzystwo! – ogłosił nerwowo.

– Widzę – rzucił cierpko Karrde. Wydawał się spokojny jak zawsze, jednak Mara słyszała w jego głosie nutę zaskoczenia. – Ile zostało do skoku?

– Jeszcze minuta – zameldował roztrzęsiony Aves. – W zewnętrznej części układu jest mnóstwo śmieci i komputer musi wziąć na to poprawkę.

– W takim razie będziemy się ścigać – skwitował Karrde. – Maro? – zwrócił się do dziewczyny.

– Moc siedem trzy – odpowiedziała, próbując wydusić z wciąż jeszcze niemrawo reagujących silników maksymalną moc. Miał rację: czekał ich prawdziwy wyścig, i to nie tylko z czasem. Wyposażone w cztery olbrzymie generatory fal grawitacyjnych, zdolne do symulacji mas wielkości planet, krążowniki przechwytujące stanowiły groźną broń Imperium. Były w stanie bez trudu schwytać dowolny statek w przestrzeni kosmicznej, aby następnie rzucić go na pastwę myśliwców TIE, które szybko mogły się z nim rozprawić. Na szczęście tuż po wyjściu z nadprzestrzeni okręt musiał odczekać minutę, nim jego systemy zdołają zasilić potężne generatory. Co oznaczało, że gdyby zdołała do tego czasu wyprowadzić „Dzikiego Karrde'a" poza ich zasięg…

– Kolejni goście! – zameldował Aves. – „Chimaera" wysłała do nas kilka eskadr myśliwców TIE…

– Moc osiem sześć – zgłosiła Mara. – Możemy skakać natychmiast, gdy tylko komputer nawigacyjny ustawi kurs.

– Co z krążownikiem?

– Rozgrzewają generatory – doniósł Aves.

Na wyświetlaczu taktycznym Mary pojawił się widmowy kształt stożka, wskazujący miejsce, w którym już wkrótce pojawi się pole uniemożliwiające im wejście w nadprzestrzeń. Zmodyfikowała lekko kurs, kierując statek poza skraj tego rejonu, a potem zaryzykowała spojrzenie na wyświetlacz komputera nawigacyjnego. Jeszcze chwila… Mglisty stożek grawitacyjny zaczynał gwałtownie nabierać kształtów…

Sygnalizator komputera zapiszczał. Mara zacisnęła dłoń na potrójnej dźwigni hipernapędu i łagodnie pociągnęła ją do siebie. „Dziki Karrde" zadygotał lekko i przez chwilę wydawało się, że krążownik przechwytujący wygrał ten morderczy wyścig… nagle jednak gwiazdy za iluminatorami zmieniły się w świetlne linie.

Udało im się!

Gdy świetliste smugi zastąpił tunel nadprzestrzeni, Aves odetchnął z ulgą.

– No, to się nazywa ściągnąć w porę mynocka z kadłuba. Jak myślisz, skąd mogli wiedzieć, że się tu przyczailiśmy?

– Nie mam pojęcia – wyznał flegmatycznie Karrde. – A ty, Maro?

– Ja również – odparła, nie odrywając wzroku od ekranu w obawie przed nawiązaniem z którymś z nich kontaktu wzrokowego. – Możliwe, że Thrawn miał po prostu nosa. Czasem mu się to zdarza.

– Całe szczęście, że nie tylko on miewa przeczucia – mruknął Aves dziwnie zduszonym głosem. – Dobra robota, Maro – pochwalił ją. – Wybacz, że na ciebie naskoczyłem.

– O tak – zawtórował mu Karrde. – To było niezłe.

– Dzięki – mruknęła pod nosem Mara, wlepiając wzrok w panel kontrolny i mrugając zawzięcie, by powstrzymać łzy, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu. A więc znowu się zaczęło… Naprawdę miała nadzieję, że namierzenie przez nią X-winga Skywalkera w środku kosmicznej pustki stanowiło odosobniony przypadek, zwykłe zrządzenie losu, a nawet jeśli było inaczej, to więcej w tym było jego zasługi niż jej.

A jednak… Wszystko znów wracało, tak jak tyle razy wcześniej w ciągu ostatnich pięciu lat: dziwne przeczucia i tknięcia intuicji, nagłe poczucie palącej potrzeby i nieodpartego przymusu.

Co z kolei oznaczało, że już wkrótce może się też spodziewać nawrotu snów.

Ze złością przetarła oczy i zmusiła się, by rozluźnić zaciśnięte szczęki. Znała to wszystko aż za dobrze, a jednak… „Tym razem będzie inaczej” – obiecała sobie z całą mocą. Wcześniej nie była w stanie w żaden sposób walczyć z głosami i imperatywami lęgnącymi się samoistnie w jej głowie – mogła tylko próbować przeczekać najgorsze. Przeczekać, aby potem przygotować się do opuszczenia bezpiecznej, tymczasowej kryjówki, w której udało jej się zaszyć na jakiś czas, nim wreszcie nieuchronnie zdradzi się przed tymi, którzy ją otaczali.

Nie była już jednak kelnerką w kantynie na Phorliss, współpracownicą śmigowego gangu na Caprioril ani specem od

naprawy hipernapędów na zapyziałej planetce w Korytarzu Isońskim. Była prawą ręką szefa najpotężniejszej organizacji przemytniczej w galaktyce, zyskała praktycznie nieograniczoną mobilność i dysponowała środkami, do jakich nie miała dostępu od śmierci Imperatora.

Środkami, dzięki którym zdoła znów odnaleźć Luke'a Skywalkera. By go zabić.

Może wówczas głosy ucichną…

Przez długą chwilę Thrawn stał przy iluminatorze na mostku, przyglądając się majaczącej w oddali asteroidzie i trwającemu obok niej w bezruchu, kompletnie bezużytecznemu teraz krążownikowi przechwytującemu.

Widząc to, Pellaeon przypomniał sobie z niepokojem, że wielki admirał przybrał niemal identyczną posturę, gdy Luke Skywalker umknął mu całkiem niedawno z podobnej pułapki. Wstrzymując oddech, wpatrywał się w plecy zwierzchnika, zastanawiając się, czy ktoś z załogi „Chimaery" znów przypłaci tę porażkę życiem.

Thrawn odwrócił się jednak i zagadnął go tylko, jakby nigdy nic:

– To ciekawe. Czy zwrócił pan uwagę na kolejność zdarzeń, kapitanie?

– Tak, sir – potwierdził ostrożnie Pellaeon. – Nasz cel odpalił silniki, nim jeszcze „Constrainer" zjawił się na miejscu.

– Zgadza się. – Thrawn kiwnął głową. – Co sugeruje jedną z trzech: albo Karrde i tak planował się stamtąd wynieść, albo z jakiegoś powodu się wystraszył… – jego czerwone oczy zalśniły – …albo też został przez kogoś ostrzeżony.

Pellaeon zamarł.

– Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że zaalarmował go ktoś z naszych?

– Och, ależ skąd! – Thrawnowi drgnęły usta. – Pomijając kwestię lojalności naszej załogi, nikt na pokładzie „Chimaery" nie wiedział, że wezwałem „Constrainera". Oni zaś nie byliby w stanie wysłać żadnej wiadomości, której byśmy nie wykryli. – Podszedł do stanowiska dowodzenia i usiadł z zamyśloną miną. – To…

intrygujące. Będę musiał się nad tym głębiej zastanowić. Tymczasem jednak powinniśmy się zająć ważniejszymi sprawami. Na przykład pozyskaniem nowych okrętów. Czy ktoś odpowiedział na nasze zaproszenie?

– Nic godnego uwagi, panie admirale – zameldował Pellaeon, wywołując dziennik łączności i szybko przeglądając listę, aby odświeżyć sobie pamięć. – Osiem z piętnastu grup, z którymi się skontaktowałem, wyraziło zainteresowanie naszą propozycją, jednak żadna z nich nie przedstawiła konkretnych ofert. Wciąż czekamy na odpowiedź od reszty.

Thrawn kiwnął głową.

– Dajmy im kilka tygodni. Jeśli po upływie tego czasu nie będziemy mieli nic interesującego… cóż, wówczas ponowimy apel, tym razem bardziej… dobitnie.

– Tak jest, sir. – Pellaeon lekko się zawahał. – Otrzymaliśmy też kolejną wiadomość z Jomarka…

Thrawn wbił w niego spojrzenie czerwonych oczu.

– Byłbym wdzięczny, kapitanie – powiedział, akcentując każdą zgłoskę – gdyby dał pan znać naszemu szacownemu mistrzowi Jedi C'baothowi, że jeśli nadal będzie nas tak często nękał tymi komunikatami, to zniweczy cel swojego pobytu na planecie. Jeśli rebelianci w jakiś sposób powiążą go z nami, może przestać marzyć o zwabieniu tam Skywalkera.

– Próbowałem mu to wyjaśnić, sir – bąknął Pellaeon z niezadowoloną miną. – I to wielokrotnie. Odpowiada zawsze, że Skywalker na pewno się pojawi. I dopytuje, kiedy dostarczy mu pan siostrę Skywalkera.

Przez długą chwilę Thrawn milczał.

– Nie liczyłbym na to, że przestanie nas zamęczać, nim nie dostanie tego, czego chce – stwierdził wreszcie. – Ani na to, że zrobi coś dla nas z własnej woli.

– Zgadza się. Narzekał na obowiązek koordynowania ataków, który mu pan powierzył – przyznał Pellaeon. – Wspominał już kilkakrotnie, że nie jest w stanie przewidzieć dokładnie, kiedy Skywalker zjawi się na Jomarku.

– I zasugerował zapewne, że niebo zwali nam się na głowę, jeśli nie będzie tam obecny, gdy się to wydarzy. Ach, tak, wiem coś o tym. I szczerze powiedziawszy, mam już tego serdecznie dość. – Wielki admirał wziął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze z płuc. – W porządku, kapitanie. Następnym razem, gdy C'baoth się odezwie, może go pan poinformować, że taanabska operacja będzie na jakiś czas ostatnią. Mało prawdopodobne, by Skywalker zjawił się na Jomarku w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Małe zamieszanie, które wywołaliśmy w kręgach dowództwa Rebelii, powinno skutecznie zająć go do tego czasu. Co się zaś tyczy Organy Solo i jej nienarodzonych dzieci, proszę go poinformować, że zajmę się tym osobiście.

Pellaeon obejrzał się szybko przez ramię na osobistego ochroniarza wielkiego admirała, Rukha, stojącego w milczeniu w pobliżu tylnego wejścia na mostek.

– Czy to oznacza, że zwalnia pan z realizacji tego zadania Noghrich? – spytał cicho.

– Ma pan z tym jakiś problem, kapitanie?

– Nie, sir – zapewnił go prędko Pellaeon. – Z całym należnym szacunkiem, ale… chciałbym po prostu zwrócić pańską uwagę na fakt, że Noghri bardzo, ale to bardzo nie lubią przerywać powierzonych im misji…

– Noghri są sługami Imperium – przypomniał mu chłodno Thrawn. – Co więcej, są wobec mnie bezgranicznie lojalni. Zrobią, co im każę. – Zamilkł na krótką chwilę. – Wezmę jednak pod rozwagę pańskie obiekcje. W każdym razie nasze zadanie tutaj, na Myrkr, dobiegło już końca. Proszę polecić generałowi Covellowi, aby odwołał swoje oddziały.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu Pellaeon i dał oficerowi łącznościowemu znak, by przekazał wiadomość.

– Za trzy godziny chciałbym zapoznać się z raportem generała – podjął tymczasem Thrawn. – A przez dwanaście godzin będę czekał na jego sugestie odnośnie do trzech najlepszych żołnierzy piechoty oraz dwóch najlepszych operatorów maszyn kroczących, którzy brali udział w akcji. Zostaną przydzieleni do operacji „Góra Tantiss" i natychmiast przeniesieni na Wayland.

– Tak jest. – Pellaeon kiwnął służbiście głową, wpisując w komputer rozkazy dla Covella. Podobne awanse stanowiły standardową procedurę w szeregach Imperium od kilku tygodni – odkąd operacja „Góra Tantiss" nabrała rozpędu, jednak Thrawn wciąż uznawał za stosowne, by od czasu do czasu przypominać o tym swoim oficerom. Być może chciał w ten niezbyt subtelny sposób dać swojej kadrze do zrozumienia, jak ważne są podobne kroki w jego śmiałym planie zdławienia Rebelii?

Wielki admirał wyjrzał ponownie przez iluminator na majaczącą w dole planetę.

– Zanim jednak generał wróci, chciałbym, aby skontaktował się pan z wywiadem w sprawie tej długoterminowej misji w Hyllyard City. – Uśmiechnął się pod nosem. – Galaktyka jest duża, kapitanie, jednak nawet człowiek pokroju Talona Karrde'a nie zdoła się wymykać nam w nieskończoność. W końcu będzie musiał się zatrzymać, aby odsapnąć.

Wysoki Zamek na planecie Jomark nie zasługiwał raczej na to miano – a przynajmniej nie w opinii Joruusa C'baotha. Niski i zapuszczony, o koślawych kamiennych murach, równie dziwaczny jak zapewne rasa jego dawno wymarłych budowniczych, przycupnął niezdarnie między dwiema większymi od niego formacjami skalnymi, stanowiącymi pozostałość po starożytnym stożku wulkanicznym. Mimo to widok resztek ścian krateru wznoszących się w oddali oraz świetliście błękitnych wód Pierścienia – jeziora, którego tafla lśniła niemal czterysta metrów niżej – świadczył o tym, że miejscowi mieli bezsprzecznie dobry gust, jeśli chodzi o wybór miejsca na budowę zamku. Zamku, świątyni albo czegokolwiek, czym właściwie była dla nich ta budowla. Świetnie nadawała się w każdym razie na siedzibę mistrza Jedi – choćby dlatego, że koloniści zdawali się darzyć ją w równej mierze lękiem, co niemal nabożną czcią. Z kolei mroczna wyspa, leżąca pośrodku jeziora i nadająca mu kształt pierścienia, idealnie sprawdzała się jako dyskretne lądowisko dla niezliczonych statków Thrawna, które przysyłał tu z uporem godnym lepszej sprawy.

To jednak nie piękno okolicy, władza ani nawet nie Imperium zaprzątały w tej chwili myśli C’baotha, stojącego na zamkowym tarasie i wpatrzonego w taflę Pierścienia, tylko dziwne zakłócenie Mocy, które właśnie wyczuł.

I to nie pierwszy raz. A przynajmniej tak mu się zdawało.

Niełatwo było podążać za wątkami przeszłości, tak szybko umykającymi w natłoku codziennych spraw… Nawet własną historię pamiętał jak przez mgłę, jakby oglądał migawki z jakiegoś starożytnego nagrania. Wydawało mu się, że ktoś kiedyś próbował objaśnić mu przyczyny takiego stanu rzeczy, jednak te wyjaśnienia również zagubiły się dawno w zakamarkach jego pamięci.

Tak czy inaczej, teraz nie miało to już w zasadzie większego znaczenia. Wspomnienia nie były istotne, nieważna była sztuka koncentracji ani jego własna przeszłość. Gdy tylko zechciał, mógł wezwać Moc – i teraz tylko to się liczyło. Dopóki był w stanie tego dokonać, nikt nie będzie mógł go skrzywdzić ani zabrać mu tego, co posiadał.

Chociaż… czy przypadkiem wielki admirał Thrawn nie odebrał mu już tego wszystkiego?

C’baoth rozejrzał się po tarasie. O, tak. Zgadza się – to nie był jego prawdziwy dom. Nie wybrał sam tego miasta ani planety, by móc nimi rządzić. To nie był Wayland, który odebrał Mrocznemu Jedi, wysłanemu tam przez Imperatora, aby strzegł skarbca we wnętrzu Góry Tantiss. To był Jomark, na którym czekał na… hm, na kogo właściwie?

Przeczesał palcami długą, białą brodę i z najwyższym trudem się skupił. O tak: czekał na Luke’a Skywalkera, właśnie tak. Luke Skywalker miał tu do niego przyjść, podobnie jak jego siostra, a także jej nienarodzone bliźnięta, on zaś uczyni ich wszystkich swoimi sługami. Wielki admirał Thrawn obiecał mu to w zamian za udzielenie pomocy Imperium.

Na myśl o tym C’baoth skrzywił się, jakby ugryzł coś gorzkiego. Wielki admirał postawił przed nim niełatwe zadanie. Aby spełnić jego prośbę, musiał się maksymalnie skupić, okiełznać swoje myśli i uczucia – i to nie na chwilę, ale przez dłuższy czas. Na Waylandzie

nie musiał zaprzątać sobie głowy podobnymi problemami – przynajmniej odkąd rozprawił się ze strażnikiem Imperatora.

Uśmiechnął się do siebie. Tamto starcie było wspaniałą walką. Kiedy jednak próbował przypomnieć sobie jakieś szczegóły, wspomnienia rozpierzchały się niczym rozwiane podmuchem wiatru. To było tak dawno temu…

Całkiem jak te zakłócenia Mocy.

C'baoth przestał gładzić brodę i przesunął palce na medalion spoczywający na jego nagiej piersi. Ściskając w dłoni ciepły metal, wrócił myślami do przeszłości, próbując ponownie rozproszyć jej mroki. O, tak, zgadza się – miał rację. Takie same zakłócenia Mocy czuł jak dotąd już trzykrotnie. Burzyły na jakiś czas jej taflę, która po wszystkim znów się uspokajała, zupełnie jakby ktoś nagle przypominał sobie na chwilę, jak korzystać z Mocy, ale później znów wszystkiego zapominał.

Nie rozumiał, jak w ogóle coś podobnego jest możliwe, skoro jednak zakłócenia te nie stanowiły dla niego zagrożenia, nie było sensu przywiązywać do nich wagi.

Wyczuwał, że nad jego głową wchodzi właśnie na orbitę imperialny gwiezdny niszczyciel – wysoko ponad warstwą chmur, niewidoczny dla oczu kogokolwiek na planecie poza nim. Wiedział, że gdy zapadnie zmrok, zjawi się po niego prom i gdzieś go zabiorą – na Taanab? – aby pomógł w koordynacji kolejnego z imperialnych ataków.

Nie cieszył się zbytnio na myśl o związanych z tym bólem oraz wysiłkiem, jednak uznał, że możliwość pozyskania Jedi jest warta takiej ceny. Ukształtuje ich na swoje podobieństwo, a wówczas staną się jego sługami i uczniami aż po kres ich dni.

Wtedy zaś nawet wielki admirał Thrawn będzie musiał przyznać, że to on, Joruus C'baoth, odkrył prawdziwe znaczenie potęgi.

Rozdział 2

– Przykro mi, Luke – mówił Wedge Antilles. Jego dobiegający z głośnika komunikatora głos przerywały szumy i trzaski. – Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Pociągnąłem za wszystkie sznurki, do których mogłem dosięgnąć, ale nic to nie dało. Ktoś na górze wydał rozkaz, zgodnie z którym sluisjańskie statki mają bezwzględny priorytet, jeśli chodzi o naprawy, i dopóki nie namierzymy tego kogoś i nie przekonamy go, by zrobił dla nas wyjątek, nie ma szans, by ktokolwiek zajął się twoim X-wingiem.

Luke Skywalker skrzywił się. Po czterech godzinach czekania przepełniająca go frustracja zaczynała niebezpiecznie zbliżać się do poziomu krytycznego. Zmarnował cztery cenne godziny i nic nie wskórał, podczas gdy na Coruscant ważyły się w tej chwili losy całej Nowej Republiki.

– A czy wiesz może przynajmniej, kogo powinniśmy szukać? – spytał wbrew nadziei.

– Nic z tego – rozwiał jego złudzenia Wedge. – Wszystkie tropy urywają się mniej więcej trzy szczeble w hierarchii powyżej mechaników. Zamierzam ich jeszcze trochę pomęczyć, ale wiesz, panuje tu teraz niezły mętlik…

– Wyobrażam sobie – odmruknął Luke. – Po imperialnym ataku na taką skalę… – Rozumiał, dlaczego Sluisjanie traktują swoją flotę priorytetowo, jednak on przecież też nie prosił o naprawy, aby beztrosko powłóczyć się po galaktyce. Od Coruscant dzieliło go co najmniej sześć dniu lotu, a każda godzina, którą spędzał tu na jałowym czekaniu, oznaczała, że przeciwnicy Ackbara mieli więcej czasu na umocnienie swojej pozycji. – Próbuj do skutku, dobrze? Muszę się jakoś stąd wydostać.

– Jasne – zapewnił go Wedge. – Słuchaj… wiem, że martwisz się tym, co się dzieje na Coruscant, ale w pojedynkę nikt nie zdziała tam zbyt wiele. Nawet Jedi.

– Racja – przyznał niechętnie Luke. Poza tym wiedział, że Han z pewnością wkrótce tam dotrze, a na miejscu była też Leia. – Po prostu… okropnie się czuję, uziemiony tu, z dala od tego wszystkiego.

– Ja również. – Wedge zniżył głos do szeptu. – Nie zapominaj jednak, że wciąż masz jeszcze jedną opcję…

– Będę pamiętał – obiecał mu Luke. Nie mógł zaprzeczyć, że propozycja przyjaciela była kusząca, jednak Luke nie należał już oficjalnie do sił wojskowych Nowej Republiki, a w sytuacji, w której jej flota w stoczniach wciąż znajdowała się w stanie gotowości bojowej, Wedge mógł zostać postawiony przed sądem wojskowym za oddanie swojego myśliwca do dyspozycji cywila. Możliwe, że radca Borsk Fey'lya i jego antyackbarowska frakcja nie zawracaliby sobie głowy organizowaniem pokazowej rozprawy z udziałem kogoś tak nisko postawionego jak dowódca eskadry, ale z drugiej strony… może uznaliby, że jednak warto?

Oczywiście Wedge zdawał sobie z tego sprawę nawet lepiej niż Luke – co tylko czyniło jego ofertę jeszcze bardziej wspaniałomyślną.

– Doceniam to – zapewnił go Skywalker. – Jednak dopóki nie będę miał noża na gardle, poczekam chyba na naprawę mojej maszyny.

– Jasne. A co u generała Calrissiana?

– Można powiedzieć, że miewa się równie kiepsko, jak mój myśliwiec – stwierdził Luke. – Cały sztab lekarzy i droidów medycznych jest zajęty opatrywaniem rannych. Obecnie wyciąganie kawałków metalu i okruchów szkła z kogoś, kto właściwie nie krwawi, znajduje się dość nisko na liście priorytetów…

– Idę o zakład, że Calrissian nie posiada się z radości…

– Bywało lepiej – przyznał mu rację Luke. – Chyba spróbuję jeszcze podręczyć medyków. A ty nie dawaj za wygraną z tymi sluisjańskimi gryzipiórkami. Może jeśli obaj będziemy równie nieustępliwi, razem coś wskóramy.

Wedge parsknął śmiechem.

– Może i tak. W takim razie… złapiemy się później. – Rozłączył się przy akompaniamencie nowej serii trzasków.

– I… powodzenia – zakończył cicho Luke, wstając od stanowiska łączności publicznej i kierując się przez centralną halę odpraw ku drzwiom prowadzącym do centrum medycznego. Jeśli reszta sluisjańskiego sprzętu była w tak samo kiepskim stanie jak ich system łączności, mogło upłynąć naprawdę sporo czasu, nim znajdzie się ktoś, kto by zamontował motywatory hipernapędu w cywilnym X-wingu.

Mimo to, klucząc ostrożnie wśród tłumu spieszących do swoich obowiązków istot różnych ras, Luke uznał, że nie jest tak źle, jak mogłoby się zdawać. Dokowało tu kilka statków Nowej Republiki i możliwe, że ich załogi będą bardziej skłonne od Sluisan do nagięcia zasad dla byłego oficera. A jeśli wszystkie scenariusze zawiodą, zawsze może spróbować skontaktować się z Mon Mothmą na Coruscant i zapytać, czy nie zdołałaby mu jakoś pomóc.

Minus tego rozwiązania był taki, że mogłoby to zostać odebrane jako oznaka słabości… co w tej chwili nie było zbyt dobrym pomysłem z uwagi na Fey'lyę.

A przynajmniej tak mu się zdawało. Z drugiej jednak strony demonstracyjne nawiązanie bezpośredniego kontaktu z przywódczynią Nowej Republiki mogłoby zostać zinterpretowane jako przejaw siły i solidarności…

Sfrustrowany potrząsnął głową. Podejrzewał, że zdolność do dostrzegania jasnych i ciemnych stron sytuacji stanowiła zaletę bycia Jedi, jednak w żaden sposób nie sprawiała, że lepiej rozumiał meandry polityki, a wręcz przeciwnie – jeszcze bardziej je gmatwała. Cóż, to tylko kolejny dobry powód, dla którego wolał zostawić politykowanie Lei.

Mógł tylko mieć nadzieję, że jego siostra poradzi sobie równie dobrze, jak dotychczas, także i z tym wyzwaniem…

W skrzydle medycznym było równie tłoczno, co w pozostałych pomieszczeniach kompleksu kosmoportu Sluis Van, jednak tutaj przynajmniej większość zgromadzonych siedziała lub leżała spokojnie na uboczu, zamiast miotać się w kółko jak w amoku. Klucząc między fotelami i zaparkowanymi tu i tam noszami repulsorowymi, dotarł do dużej świetlicy, zmienionej w poczekalnię dla pacjentów z lżejszymi obrażeniami. W kącie sali siedział Lando

Calrissian. Luke wyczuwał emanujące od niego fale zniecierpliwienia i znudzenia, uczucia te wyraźnie malowały się także na jego twarzy. Calrissian przyciskał do piersi opatrunek ze środkiem znieczulającym, a w drugiej ręce trzymał pożyczony datapad, bez reszty zatopiony w treści wyświetlanej na ekranie.

– Złe wieści? – zagadnął go Luke.

– Nie gorsze niż wszystko, co mnie ostatnio spotkało – mruknął Lando, kładąc komputerowy notes na wolnym krześle obok. – Cena hfredium znów poleciała na łeb na szyję. Jeśli w ciągu najbliższego miesiąca czy dwóch z powrotem nie wzrośnie, będę co najmniej kilkaset tysięcy w plecy.

– Ups! – Skywalker westchnął współczująco. – To główny produkt eksportowy twojego kompleksu w Nomad City, zgadza się?

– Tak, jeden z najważniejszych – potwierdził Lando, krzywiąc się z niesmakiem. – Mamy dość zróżnicowany asortyment, więc w normalnych okolicznościach nie odczulibyśmy tego zbyt boleśnie. Problem w tym, że ostatnio zgromadziłem nieco zapasów hfredium, licząc na to, że cena rynkowa wzrośnie. Jak widać, trochę się przeliczyłem.

Luke stłumił cisnący mu się na usta uśmiech. Cały Lando: nawet jeśli stał się szanowanym i odpowiedzialnym biznesmenem, wciąż jeszcze nie mógł sobie odpuścić drobnego kombinowania na boku.

– Cóż, jeśli cię to pocieszy, to mam dla ciebie dobre wiadomości. Ponieważ wszystkie statki, które próbowało ukraść Imperium, należały do Nowej Republiki, nie będziemy się musieli użerać ze sluisjańską biurokracją, aby odzyskać twoje kretowierty. To tylko kwestia złożenia odpowiedniego wniosku u dowódcy sił wojskowych Republiki oraz ich odholowania.

Napięcie widoczne w rysach twarzy Landa nieco zelżało.

– To rzeczywiście dobra wiadomość – przyznał z wyraźną ulgą. – Naprawdę to doceniam. Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem, żeby w ogóle zdobyć te maszyny. Szukanie teraz nowych to byłby prawdziwy koszmar…

Skywalker machnął lekceważąco ręką.

– Drobiazg. Cieszę się, że mogłem zrobić choć tyle. Zajrzę teraz do centrali i sprawdzę, czy nie da się jakoś załatwić, żeby przyjęli cię

szybciej. A właśnie: będziesz jeszcze korzystał z tego datapada?

– Nie, nie. Już skończyłem. Coś się ruszyło w sprawie twojego X-winga?

– Niespecjalnie – odparł Luke, pochylając się, żeby sięgnąć po datapad. – Wciąż twierdzą, że minie jeszcze co najmniej kilka godzin, nim… – Zanim jeszcze poczuł na ramieniu dłoń Landa, wyczuł nagłą zmianę w jego nastawieniu. – O co chodzi? – spytał.

Lando wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Mocno skupiony, węszył zawzięcie, jakby starał się rozpoznać znajomy zapach.

– Skąd wracasz? – spytał.

– Byłem w hali odpraw, przy jednym z publicznych portów łączności – wyjaśnił Luke. Dotarło do niego, że Lando nie tyle węszy w powietrzu, ile obwąchuje jego rękaw. – A co?

Calrissian puścił jego ramię.

– Tytoń carababbański – powiedział z namysłem. – Z dodatkiem armudu. Nie czułem go od… – Podniósł wzrok na Luke'a, który wyczuwał niepokój przyjaciela. – To Niles Ferrier. Bez dwóch zdań.

– Kto taki? – spytał Luke, czując, jak puls przyspiesza mu gwałtownie. Niepokój Landa był zaraźliwy.

– Facet. Taki… wielki i dobrze zbudowany – wyjaśnił Lando. – Ciemnowłosy, może nosić bródkę, chociaż różnie z tym u niego bywa. Prawdopodobnie palił długie, cienkie cygaro. Hm… właściwie to na pewno, bo czuję od ciebie jego dym. Nie rzucił ci się w oczy ktoś taki?

– Chwileczkę… – Skywalker przymknął oczy i przywołał Moc.

Wspomaganie nią pamięci było jedną z rzeczy, jakich nauczył go Yoda. Za moment przed jego oczami zaczęły się przewijać wstecz migawki z ostatnich chwil: wyprawa do placówki medycznej, rozmowa z Wedge'em, poszukiwania publicznego stanowiska łączności…

Zgadza się – Lando miał rację. W pewnym momencie rzeczywiście mijał go człowiek o opisanym właśnie wyglądzie.

– Mam go! – poinformował Landa, zatrzymując obraz w pamięci.

– Dokąd się kierował?

– Eee… – Skywalker ponownie odtworzył scenę w myślach. Mężczyzna przez jakąś minutę pojawiał się i znikał z jego pola widzenia, dopóki wreszcie nie pochłonął go na dobre tłum, gdy Luke znalazł stanowisko łączności, którego szukał. – Wygląda na to, że on z kilkoma innymi gośćmi skierował się do korytarza numer sześć.

Lando wywołał na ekran datapada plan stacji.

– Szósty… Szlag! – Zerwał się z krzesła, odrzucając na bok notes komputerowy i opatrunek. – Szybko! Trzeba to sprawdzić.

– Co takiego? – spytał Luke, przyspieszając kroku, żeby nadążyć za przyjacielem, który przedzierał się już przez tłumek pacjentów w stronę drzwi. – I kim właściwie jest ten cały Ferrier?

– To jeden z najlepszych złodziei statków w galaktyce – rzucił przez ramię Lando. – A korytarz szósty prowadzi na jeden z pomostów dostępu dla ekip serwisowych. Lepiej byłoby, gdyby udało się nam tam dotrzeć, nim Ferrier położy łapy na jakiejś koreliańskiej kanonierce czy czymś innym i zawinie się stąd na jej pokładzie.

Przeszli przez halę odpraw i skierowali się do korytarza opatrzonego tablicą z numerem sześć oraz odpowiednimi opisami – sporządzonymi zarówno delikatnymi sluisjańskimi karioglifami, jak i nieco bardziej kanciastymi literami basica. Ku zaskoczeniu Luke'a, chociaż cała reszta kosmoportu była niemożliwie wręcz zatłoczona, tutaj tłum gości wyraźnie się przerzedzał i ograniczał do pojedynczych przechodniów. Nim uszli sto metrów w głąb korytarza, zostali sami.

– Mówiłeś, że to droga na jedną z platform remontowych, zgadza się? – dopytywał Luke, sięgając jednocześnie przed siebie wiciami Mocy.

Wszystko wokół wydawało się funkcjonować w jak najlepszym porządku: oświetlenie i sprzęt w biurach i halach działały bez zakłóceń, podobnie jak nieliczne droidy wypełniające swoje obowiązki. Poza tym miejsce wydawało się jednak dziwnie wyludnione.

– Zgadza się – potwierdził ponuro Lando. – Z planów wynika, że prowadzą na nią również korytarze piąty i trzeci, ale roboty jest tu

dość, żeby i w tej okolicy panował niezły tłok. Nie masz przypadkiem zbędnego blastera?

Luke pokręcił głową.

– Nie używam już blasterów. Może powinniśmy się skontaktować z ochroną stacji?

– Nie, jeżeli chcemy się dowiedzieć, co knuje Ferrier. Dam sobie rękę uciąć, że w tej chwili dobrał się już do centralnego komputera kosmoportu i systemu łączności. Jeśli skontaktujemy się z ochroną, spłoszymy go i nam zwieje. – Zajrzał do jednego z mijanych biur przez uchylone drzwi. – O tak, to zdecydowanie jego sprawka. Jedną z jego ulubionych zagrywek jest wysyłanie pracownikom danego sektora informacji o konieczności pilnego udania się w inne miejsce, aby w tym czasie mógł spokojnie…

– Zaczekaj – przerwał mu Luke. W umyśle pojawił mu się niejasny obraz. – Chyba ich namierzyłem: sześcioro ludzi i dwóch obcych. Najbliższy jest jakieś dwieście metrów przed nami.

– Obcych? Jakich ras?

– Nie wiem. Nigdy wcześniej nie spotkałem przedstawicieli ani jednego, ani drugiego gatunku.

– Hm, w takim razie lepiej zachować czujność. Ferrier chętnie zatrudnia mięśniaków. Chodźmy.

– Może powinieneś tu zostać? – zasugerował Skywalker, odpinając od pasa miecz świetlny. – Nie jestem pewien, czy będę mógł cię chronić, jeśli będą chcieli walczyć…

– Zaryzykuję – odparł Lando. – Ferrier mnie zna. Może uda mi się wyperswadować mu stawianie oporu. Poza tym mam pewien pomysł, który chciałbym wypróbować…

Od człowieka wystawionego na czatach dzieliło ich nieco mniej niż dwadzieścia metrów, gdy Luke nagle wyczuł w grupie Ferriera jakieś poruszenie.

– Namierzyli nas – wymamrotał do Landa, zaciskając nieco mocniej palce na rękojeści miecza. – Będziesz im próbował przemówić do rozsądku?

– Nie wiem – odmruknął Calrissian, wyciągając szyję, żeby dostrzec coś w pozornie opustoszałym korytarzu przed nimi. – Wolałbym podejść nieco bliżej…

Nagle Luke wyczuł lekkie zakłócenie Mocy i jednocześnie kątem oka złowił błysk w jednym z mijanych przejść.

– Padnij! – krzyknął, zapalając swój miecz świetlny. Zielonobiałe ostrze zajaśniało z sykiem… i całkiem jakby żyło własnym życiem, poruszyło się płynnie, blokując blasterowy strzał wystrzelony z ukrycia w ich stronę. – Schowaj się za mnie! – polecił przyjacielowi, gdy poszybował ku nim drugi promień śmiercionośnej energii. Jego dłoń, prowadzona przez samą Moc, ponownie postawiła ostrze broni Jedi na drodze blasterowej błyskawicy.

Luke odbił trzeci strzał, a potem kolejny. Do pierwszego blastera dołączył drugi: ostrzeliwały ich teraz dwie osoby.

Skywalker zajął pozycję, czując, jak Moc przepływa przez niego, kierując ruchami jego ramion i w pewnym sensie ograniczając pole jego koncentracji do samego ataku, tak jakby wszystko inne zasnuła dziwna mgła. Ledwie wyczuwał Landa, który przykucnął za jego plecami, a reszta ludzi Ferriera przestała w zasadzie istnieć. Zacisnąwszy zęby, pozwolił, by Moc kontrolowała jego ruchy, i równocześnie nieustannie omiatał wzrokiem korytarz w poszukiwaniu ewentualnych nowych zagrożeń.

Przyglądał się właśnie podejrzanie wyglądającemu cieniowi, gdy ten… odkleił się od ściany i rzucił się w jego stronę.

Przez dłuższą chwilę Luke nie wierzył własnym oczom: dziwny przeciwnik nie miał nawet wyraźnie zarysowanych kształtów – w jego stronę mknęła po prostu lekko rozmyta plama, niemal całkiem czarna. Nie miał jednak wątpliwości, że to nie złudzenie.

– Lando! – spróbował przekrzyczeć wizg blasterowej kanonady. – Pięć metrów dalej, czterdzieści stopni na lewo. Masz jakieś pojęcie, co to może być?

Usłyszał, jak kryjący się za jego plecami Calrissian wciąga z sykiem powietrze w płuca.

– Nigdy nie widziałem nic podobnego! Wycofujemy się?

Luke nie bez trudu przestał koncentrować się wyłącznie na obronie i skupił część uwagi na zbliżającym się szybko cieniu. Miał rację: nie zdawało mu się. Co więcej, wyczuwał w dziwnym kształcie inteligentną formę życia – jednego z obcych, których

obecność zasygnalizowała mu wcześniej Moc. Mieli więc do czynienia z jednym z ludzi Ferriera.

– Trzymaj się mnie! – zawołał do Landa. Wiedział, że to będzie ryzykowny krok, jednak ucieczka nie wchodziła w tej chwili w rachubę. Poruszając się powoli i płynnie, a jednocześnie starając się cały czas utrzymać pozycję bojową, zaczął się podkradać do cienia…

Widząc to, obcy zatrzymał się, wyraźnie zaskoczony, że potencjalna ofiara kieruje się wprost w jego sidła, zamiast dokonywać pospiesznego odwrotu. Luke wykorzystał tę chwilę niepewności, aby podkraść się bliżej do korytarza po lewej. Ostrzał z pierwszego blastera ustał, gdy cień znalazł się za blisko okolicy, którą przecinały promienie śmiercionośnej energii – miejsca, w które starał się go odciągnąć Luke. W pewnym momencie cień zafalował lekko, sprawiając wrażenie, jakby wyglądała zza niego jakaś istota.

Skywalker nie przestawał przesuwać się w lewo, tak aby zwabić cień w pobliże linii strzału drugiego z niewidocznych przeciwników, a gdy mu się to udało, nastała cisza: blastery umilkły.

– Dobra robota – pochwalił go Lando. – Pozwól, że ja zajmę się resztą. – Cofnął się o krok, wyglądając zza osłony zapewnianej przez przyjaciela. – Ferrier? – zawołał. – Tu Lando Calrissian. Jeśli chcesz, by twój kumpel wyszedł z tego w jednym kawałku, lepiej go odwołaj. Ten gość tutaj to Luke Skywalker, rycerz Jedi. Ten sam, który zabił Dartha Vadera.

Oczywiście nie była to do końca prawda, ale w tych okolicznościach nie miało to znaczenia. Owszem, Luke pokonał Vadera w pojedynku, jednak lord Sithów nie zginął z jego ręki.

Tak czy inaczej, Ferrier najwyraźniej zdał sobie sprawę z tego, co to oznacza. Luke wyczuł emanujące od jego grupy zwątpienie i konsternację, a gdy podniósł miecz świetlny nieco wyżej, cień zamarł w bezruchu.

– Jak mówiłeś, że się nazywasz? – krzyknął ktoś.

– Lando Calrissian – powtórzył Lando. – Przypomnij sobie tę spartoloną akcję na Phraetissie jakieś dziesięć lat temu…

– Ach, teraz sobie przypominam! – warknął Ferrier. – Czego chcesz?

– Mam dla ciebie propozycję – odparł Lando. – Wyjdź, to pogadamy.

Znów wahanie, a po chwili zza sterty skrzyń stojących pod ścianą wynurzył się potężnie zbudowany mężczyzna – ten sam, którego Luke rozpoznał wcześniej we wspomnieniach z wędrówki po kosmoporcie.

– Reszta też, wyłazić, ale już! – zażądał Lando. – No, dalej, Ferrier, każ im wyjść. Nie sądzisz chyba, że zdołają się ukryć przed Jedi?

Złodziej statków zerknął na Luke'a.

– Moim zdaniem te przypisywane Jedi tajemne moce to gruba przesada – parsknął, ale po chwili dodał coś bezgłośnie, a gdy szedł w ich stronę, z ukrycia po kolei wychynęło pięcioro ludzi oraz wysoki, chudy, pokryty zielonymi łuskami obcy.

– Teraz lepiej – pochwalił Lando, wynurzając się zza pleców Luke'a. – Verpin, co? – dodał, wskazując insektoidalnego obcego. – Trzeba przyznać, Ferrier, że szybki z ciebie gość. Nie minęło trzydzieści godzin od wycofania się wojsk Imperium, a ty już wkroczyłeś do akcji. I to z Verpinem w ekipie. Słyszałeś o tej rasie, Luke?

Skywalker pokiwał głową. Nie rozpoznał istoty po wyglądzie, jednak znał nazwę tego gatunku.

– To geniusze, jeśli chodzi o naprawę i montaż specjalistycznego sprzętu.

– Nie bez kozery mają taką reputację – potwierdził Lando. – Krążą plotki, że to właśnie oni pomogli zaprojektować admirałowi Ackbarowi B-winga. Specjalizujesz się teraz w kradzieży uszkodzonych statków, Ferrier? Czy może zabrałeś ze sobą Verpina na wszelki wypadek?

– Wspominałeś o jakiejś propozycji – odparł wymijająco potężnie zbudowany mężczyzna. – Zamieniam się w słuch.

– Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy maczaliście w jakikolwiek sposób palce w ataku na Sluis Van – odpowiedział mu

równie chłodnym głosem Lando. – Jeśli pracujesz dla Imperium, nici z naszej umowy.

Jeden z członków gangu, trzymający w dłoni blaster, zaczerpnął gwałtownie tchu. Wystarczyło jednak, by Luke pochylił nieco w jego stronę ostrze miecza w geście ostrzeżenia, aby ostudzić w nim wszelkie bohaterskie zapały. Ferrier obejrzał się na niego, a potem spojrzał znów na Landa.

– Imperium rozesłało wici, że potrzebuje statków – wyjaśnił niechętnie. – A dokładniej okrętów. Płacą dwadzieścia procent więcej, niż wynosi cena rynkowa wszystkiego, co waży ponad sto tysięcy ton i jest uzbrojone.

Luke i Lando wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Dziwne zapotrzebowanie – skwitował ten ostatni. – Czyżby stracili którąś ze swoich stoczni?

– Nie kwapili się do wyjaśnień, a ja nie pytałem – odparł Ferrier. – Jestem biznesmenem: dostarczam klientowi tego, czego sobie życzy. A wy? Rzeczywiście macie do mnie jakiś interes czy chcieliście tylko uciąć sobie pogawędkę?

– Chcę dobić z tobą targu – zapewnił go Lando. – Wiesz co, Ferrier? Mam wrażenie, że wpakowałeś się tu w niezłą kabałę. Przyłapaliśmy cię na gorącym uczynku podczas próby kradzieży okrętów Nowej Republiki. Zdajesz sobie też z pewnością sprawę, że Luke bez problemu zdołałby w mgnieniu oka rozprawić się z całą twoją bandą. Wystarczy, że wezwę ochronę, a wszyscy wylądujecie w kolonii karnej, i to na ładnych parę lat.

Cień, który dotąd stał bez ruchu, zbliżył się w ich stronę o krok.

– Jedi może mógłby wyjść z tego cało – stwierdził z groźbą w głosie Ferrier – ale ty nie.

– Może tak, a może nie – odparł lekkim tonem Lando. – Niezależnie od tego chyba żaden biznesmen nie chciałby się znaleźć w podobnej sytuacji. Oto więc nasza propozycja: znikniesz stąd teraz po cichu, a my pozwolimy ci opuścić układ Sluis Van, nim powiadomimy o wszystkim władze portu.

– Och, cóż za wspaniałomyślność! – parsknął z przekąsem Ferrier. – Czego zatem chcecie w zamian? Przerwania tej operacji? Czy tylko kasy?

Lando pokręcił głową.

– Nie chcę od ciebie pieniędzy. Chcemy tylko, żebyście się stąd wynieśli.

– Wiesz, że kiepsko znoszę groźby…

– Uznaj to więc za przyjacielskie ostrzeżenie, przez wzgląd na stare dzieje – powiedział ostro Lando. – Ale lepiej potraktuj je poważnie.

Przez długą, pełną napięcia chwilę ciszę przerywało tylko ciche buczenie maszyn dobiegające gdzieś z dala. Luke wciąż zachowywał najwyższą czujność, utrzymując pozycję bojową i starając się jednocześnie wychwytywać napływające falami od Ferriera emocje.

– Jeśli pójdę na twój układ, stracę kupę forsy – zauważył wreszcie Niles, przesuwając cygaro w drugi kącik ust.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznał Lando. – I wierz mi lub nie, ale jest mi z tego powodu przykro. Jednak obecnie Nowa Republika nie może sobie pozwolić na utratę żadnego statku. Możesz za to spróbować szczęścia w układzie Amorris. Z tego, co słyszałem, piraci Cavrilhu założyli tam ostatnio bazę, a oni zawsze szukają dobrych mechaników. – Spojrzał znacząco na cień. – I siły roboczej.

Ferrier podążył za jego spojrzeniem.

– Och, widzę, że podoba ci się mój upiór?

– Upiór? – Luke ściągnął brwi.

– Oficjalna nazwa tej rasy to Defelowie – wyjaśnił Ferrier. – Ja jednak uważam, że zdecydowanie bardziej pasuje do nich miano upiorów. Ich ciała absorbują całe widzialne światło. Wypracowali coś w rodzaju mechanizmu obronnego. – Spojrzał spode łba na Luke'a. – A ty? Co myślisz o tym układzie, Jedi? Stróżu prawa i porządku? – warknął kpiąco.

Skywalker spodziewał się czegoś w tym stylu.

– Czy coś stąd ukradłeś? – odpowiedział pytaniem. – Albo złamałeś prawo w jakiś inny sposób? Poza włamaniem się do komputera dyspozycyjnego stacji.

Ferrierowi drgnęły wargi.

– Ostrzelaliśmy jedynie dwójkę mądralińskich, którzy wtykali swoje nosy tam, gdzie nie trzeba – parsknął z przekąsem. – Czy to

się liczy?

– Nie, jeśli ich nie trafiliście – odpowiedział spokojnie Luke. – Jeśli o mnie chodzi, to nie będę was zatrzymywał.

– Jakież to uprzejme z twojej strony! – prychnął Ferrier. – Czy to już wszystko?

– Na to wygląda. – Lando kiwnął głową. – Ach, a przy okazji nie pogardziłbym też waszymi kodami dostępu.

Ferrier łypnął na niego gniewnie, jednak dał posłusznie znak stojącemu za nim Verpinowi, który w milczeniu podszedł do Landa i wręczył mu dwie datakarty.

– Dziękuję – powiedział Calrissian. – W porządku. Macie teraz godzinę na dotarcie na swój statek i opuszczenie tego układu, nim podniesiemy alarm. Miłej podróży.

– Taaa, dzięki – burknął Ferrier. – Miło było cię widzieć, Calrissian. Może następnym razem odwdzięczę ci się za przysługę.

– Zainteresuj się tym Amorrisem – powtórzył Lando. – Idę o zakład, że mają przynajmniej kilka zbędnych patrolowców Sienara, od których ciężaru mógłbyś ich uwolnić.

Ferrier nie odpowiedział. Zamiast tego minął wraz ze swoją grupą Landa i Luke'a i milcząc ostentacyjnie, skierował się opustoszałym korytarzem do hali odpraw.

– Jesteś pewien, że informowanie go o Amorrisie było dobrym pomysłem? – mruknął pod nosem Skywalker, gdy patrzyli w ślad za nimi. – Wiesz, że w ten sposób właśnie zapewniliśmy Imperium kilka nadprogramowych statków patrolowych?

– A wolałbyś, żeby zamiast tego dostali kalamariański krążownik? – odciął się Lando. – Jestem pewien, że Ferrier nie miałby problemu z jego porwaniem. Tym bardziej w całym tym zamieszaniu. – Pokręcił z namysłem głową. – Ciekaw jestem, co planują imperialni. Jaki jest sens przepłacać za używane statki, skoro dysponuje się własnymi stoczniami?

– Może mają jakieś problemy – podsunął Luke, wyłączając miecz i przyczepiając go z powrotem do pasa. – A może stracili po prostu któryś ze swoich niszczycieli, ale załoga ocalała i szukają statków, które mogliby nią obsadzić?

– Niewykluczone – przyznał Calrissian, jednak nie wyglądał na przekonanego. – Choć nie wyobrażam sobie, co musiałoby się wydarzyć, aby okręt został unicestwiony, a personel ocalał. Cóż, tak czy siak, teraz możemy zawiadomić o wszystkim Coruscant. Niech się te mądrale z wywiadu pogłowią nad tym, co to może dla nas oznaczać.

– O ile nie są zbyt zajęci zabawą w politykę – skwitował Luke. Bo jeśli grupa radcy Fey'lyi spróbowała przejąć kontrolę również nad wywiadem wojskowym… Z determinacją odsunął od siebie tę myśl. Nic mu nie przyjdzie z bezsensownego zamartwiania się o wszystko naraz. – No to… co teraz? Damy Ferrierowi godzinę, a potem przekażemy ich kody Sluisjanom?

– Och, zaczekamy godzinę, owszem – odparł Calrissian z namysłem, nie spuszczając oczu z oddalającej się grupy. – Ale kody… hm, to inna sprawa. Pomyślałem, że skoro Ferrier użył ich do odwołania ze stanowisk pracowników w tej części stacji, to może my moglibyśmy je wykorzystać, aby pchnąć twojego X-winga nieco w górę na liście priorytetów.

– Ach… – bąknął Luke. Wiedział, że to nie do końca zgodne z kodeksem Jedi, jednak uznał, że zważywszy na okoliczności oraz trudną sytuację na Coruscant, ten jeden raz może sobie pozwolić na pewne odstępstwo od zasad. – Hm, kiedy w takim razie zabierzemy się do roboty? – spytał.

– Teraz – powiedział Lando.

Luke skrzywił się mimowolnie, słysząc w jego głosie ulgę – tę samą, którą wyczuwał od niego poprzez Moc. Najwyraźniej Calrissian obawiał się, że Skywalker zgłosi zastrzeżenia odnośnie do etycznego aspektu tego planu.

– Przy odrobinie szczęścia twój myśliwiec będzie jak nowy, nim będziemy musieli przekazać te kody Sluisjanom. Chodź. Poszukamy jakiegoś terminala – zarządził Calrissian.

Rozdział 3

– „Sokół Millennium”? Macie pozwolenie na lądowanie – rozległ się z głośnika głos kontrolera lotów pałacu imperialnego. – Otrzymaliście przydział do platformy ósmej. Radczyni Organa Solo wyjdzie wam na spotkanie.

– Dzięki! – powiedział Han Solo, sprowadzając statek nad rozciągające się w dole Imperial City i popatrując z niechęcią na ciemne chmury, wiszące niczym zły omen nad tym rejonem planety. Nigdy nie był przesądny, jednak ich widok wcale nie poprawiał mu i tak niezbyt już dobrego humoru. A skoro już o tym mowa… Sięgnął do pulpitu sterowniczego i aktywował interkom. – Threepio? Przygotuj się! – zawołał. – Za chwilę podchodzimy do lądowania.

– Dziękuję, kapitanie Solo – odpowiedział grzecznie i formalnie C-3PO. W zasadzie to brzmiał nieco bardziej oficjalnie niż zazwyczaj. Zapewne wciąż żywił wobec Hana urazę czy co tam mogły żywić droidy.

Solo rozłączył się i skrzywił mimowolnie. Nigdy nie przepadał zbytnio za droidami. Jasne, od czasu do czasu korzystał z ich usług, ale jedynie wtedy, gdy nie miał innego wyjścia. C-3PO nie był oczywiście taki najgorszy… chociaż z drugiej strony Han nie miał jeszcze jak dotąd okazji spędzić z żadnym innym droidem sześciu dni w nadprzestrzeni.

Cóż, nikt nie mógłby mu zarzucić, że się nie starał. Naprawdę robił, co w jego mocy – chociażby z tego względu, że Leia lubiła tego złotego sztywniaka i z pewnością zależało jej, by się dogadywali.

Pierwszego dnia, gdy opuścili Sluis Van, pozwolił mu siedzieć w sterowni. Zagryzł zęby i słuchał jego protekcjonalnych uwag, starając się nawet prowadzić coś w rodzaju uprzejmej konwersacji.

Drugiego dnia pozwolił, by to głównie C-3PO mówił, on zaś spędził większość czasu, pracując w najciaśniejszych zakamarkach „Sokoła”, jakie znalazł – takich, w których nie było dość miejsca dla

dwóch osób. C-3PO nie miał jednak nic przeciwko temu tryskając typowym dla niego entuzjazmem, raczył go monologami wygłaszanymi zza włazów dostępu do trzewi statku.

Trzeciego dnia Solo nie mógł już znieść jego obecności i zaczął go celowo unikać.

Wiedział, że Leia nie będzie zbytnio zachwycona, gdy się o tym dowie, jednak zdawał sobie również sprawę z tego, że byłaby jeszcze mniej zadowolona, gdyby nie zdołał oprzeć się pokusie rozmontowania droida i przerobienia na tłumiki przepływowe. „Sokół" przebił się już przez warstwę chmur i oczom Hana ukazał się paskudny gmach byłego pałacu Imperatora. Gdy odbił lekko w bok, ujrzał ósmą platformę lądowniczą, a kiedy upewnił się, że jest wolna, zszedł do lądowania.

Leia musiała go wyglądać z zadaszonego przejścia prowadzącego na platformę, bo gdy schodził po trapie, czekała już koło statku.

– Han? – zagadnęła drżącym z napięcia głosem. – Dzięki Mocy, że wróciłeś.

– Witaj, skarbie – powiedział, przytulając ją ostrożnie, by nie zgnieść coraz wyraźniej zaokrąglonego brzucha. Czuł wyraźnie, że mięśnie pleców i ramion ma mocno spięte. – Ja również się cieszę, że cię widzę.

Przez chwilę trwali tak w uścisku, dopóki Leia nie oswobodziła się delikatnie z jego objęć.

– Chodź już. Musimy iść.

Chewbacca czekał na nich przy wejściu, z kuszą przewieszoną przez ramię.

– Witaj, Chewie! – Han kiwnął przyjacielowi głową, na co Wookiee odpowiedział przyjaznym warknięciem. – Dzięki, że zaopiekowałeś się Leią.

Wookiee zaryczał w odpowiedzi coś dziwnie wymijającego, więc Han zerknął na niego spod oka, jednak uznał, że to nie jest zbyt dobra pora na wypytywanie go o ich wspólną wizytę na Kashyyyku.

– Co mnie ominęło? – zagadnął zamiast tego żonę.

– Niewiele – stwierdziła, prowadząc go korytarzem w głąb pałacu. – Po początkowej serii śmiałych oskarżeń Fey'lya najwyraźniej uznał, że lepiej będzie, jeśli trochę spasuje. Przekonał Radę, by

powierzyła mu część obowiązków Ackbara z zakresu kontrwywiadu i bezpieczeństwa wewnętrznego, jednak nie podjął żadnych zdecydowanych kroków. Zachowuje się jak ekonom, nie jak administrator. Daje również wszystkim dookoła jasno do zrozumienia, że nie miałby nic przeciwko objęciu dowództwa nad siłami zbrojnymi, na razie jednak nie posunął się dalej.

– Nie chce, by wybuchła panika – domyślił się Han. – Oskarżanie o zdradę kogoś pokroju Ackbara to nie przelewki. Fey'lya zdaje sobie sprawę, że wywoływanie kolejnej afery mogłoby być dla niego zgubne w skutkach.

– Też tak sądzę – potwierdziła Leia. – Cóż, przynajmniej dzięki temu będziemy mieli nieco więcej czasu na rozgryzienie tej afery z bankiem…

– No właśnie, skoro już o tym mowa, to co się właściwie wydarzyło? – spytał Han. – Wspomniałaś tylko, że standardowa kontrola ujawniła obecność dużej kwoty nieznanego pochodzenia na jednym z rachunków Ackbara…

– Okazało się, że to nie była zwykła kontrola – wyjaśniła Leia. – Tamtego dnia rano, kiedy doszło do ataku na Sluis Van, dokonano skomplikowanego włamania do centralnego systemu bankowego na Coruscant. Włamywacze próbowali się dobrać do kilku ważnych kont. Skontrolowano więc wszystkie rachunki obsługiwane przez tę placówkę i wyszło na jaw, że tego samego ranka z centralnego banku na Palanhi na konto Ackbara została przelana pokaźna suma kredytów. Kojarzysz tę planetę?

– Każdy ją kojarzy – odparł Han. – Mały światek leżący na przecięciu ważnych tras, mający zbyt wybujałe wyobrażenie o własnym znaczeniu.

– Oraz przekonany, że ogłoszenie neutralności pozwoli mu układać się z obiema stronami konfliktu – dodała Leia. – Tak czy inaczej, ich bank twierdzi, że pieniądze nie pochodzą od nich, tylko zostały przekazane za ich pośrednictwem. Jak dotąd naszym ludziom nie udało się odkryć nic poza tym.

Solo pokiwał głową.

– Idę o zakład, że Fey'lya miałby coś do powiedzenia na ten temat.

– Nie tylko on. – Leia westchnęła. – Po prostu pierwszy głośno wyraził swoje podejrzenia.

– Aby przy okazji zabłysnąć kosztem Ackbara – warknął Han. – A właśnie, gdzie właściwie umieścili admirała? W dawnym skrzydle więziennym?

Leia pokręciła głową.

– Nie. Nałożyli na niego coś w rodzaju aresztu domowego. Na czas śledztwa nie może opuszczać swoich kwater. To tylko kolejny dowód na to, że Fey'lya nie chce robić więcej szumu niż to konieczne.

– A przynajmniej dopóki nie będzie miał więcej dowodów oczerniających Ackbara. Czy ma na niego jakiegoś haka poza tą fatalną aferą bankową?

Księżniczka uśmiechnęła się blado.

– Tylko tamten nieszczęsny atak na Sluis Van – odparła. – I fakt, że to nie kto inny, a Ackbar wysłał tam te okręty.

– Co racja, to racja – przyznał niechętnie Han, próbując przypomnieć sobie procedury Sojuszu Rebeliantów dotyczące postępowania z więźniami w stopniu oficerskim. Jeśli dobrze pamiętał, oficer podlegający aresztowi domowemu mógł przyjmować gości, chociaż oczywiście wymagało to dopełnienia wcześniej uciążliwych formalności…

Niewykluczone jednak, że się mylił. Musiał się zapoznać z tymi i szeregiem innych regulacji wojskowych, gdy przyznano mu stopień oficerski po bitwie o Yavin, jednak nigdy nie przepadał za tymi biurokratycznymi bzdurami.

– Ile osób z Rady jest po stronie Fey'lyi? – zapytał.

– W zasadzie tylko kilku radców stoi za nim murem – wyjaśniła jego żona. – Ale jeśli liczyć tych, którzy skłaniają się ku udzieleniu mu poparcia… Cóż, za chwilę sam będziesz miał okazję się o tym przekonać.

Han zamrugał i spojrzał na nią podejrzliwie. Zatopiony w myślach i skupiony na analizie sytuacji, nie zapytał nawet żony, dokąd go prowadzi – i teraz, gdy rozejrzał się dookoła, ze zdumieniem spostrzegł, że idą Wielkim Korytarzem łączącym salę obrad ze znacznie większą Aulą Zgromadzeń…

– Zaraz, chwileczkę – jęknął. – Ale… teraz? Już?

– Przykro mi, Han – zapewniła go współczująco Leia. – Ale Mon Mothma nalegała. Jesteś pierwszą osobą, która wróciła ze Sluis Van i była naocznym świadkiem ataku. Chcą ci zadać mnóstwo pytań.

Solo znów rozejrzał się dookoła. Powiódł wzrokiem po wysokim, sklepionym suficie, zdobionych płaskorzeźbami ścianach i witrażowych oknach oraz szpalerze stojących między nimi niskich drzewek o zielono-fioletowych liściach. Plotka głosiła, że to sam Imperator zaprojektował Wielki Korytarz – co wyjaśniałoby, dlaczego Han od zawsze tak nie lubił tego miejsca.

– Wiedziałem, że powinienem był wysłać przodem Threepio… – mruknął pod nosem.

Leia wzięła go za rękę.

– Chodź, mój żołnierzu – powiedziała czule. – Weź głęboki oddech i miejmy to już za sobą. Chewie? Będzie lepiej, jeśli zaczekasz na zewnątrz.

Sala posiedzeń Rady stanowiła w zasadzie powiększoną wersję sali obrad Rady Wewnętrznej – na środku pomieszczenia stał owalny stół, przy którym zasiadali radcy, otoczony rzędami siedzeń dla ich doradców i asystentów. Dziś jednak Han z zaskoczeniem dostrzegł, że salę przemeblowano, najwyraźniej na wzór przestronniejszej Auli Zgromadzeń: krzesła ustawiono w równych szeregach na podobieństwo trybun, a każdego z radców otaczali wianuszkiem jego najbliżsi współpracownicy. Na przedzie sali, na samym dole, przy prostej mównicy zasiadała Mon Mothma. Wyglądała niczym wykładowca w sali lekcyjnej.

– Kto to wymyślił? – spytał szeptem, gdy Leia prowadziła go w stronę stojącego obok pulpitu Mon Mothmy krzesła, przypominającego stanowisko dla świadka.

– Mon Mothma – odmruknęła jego żona. – Idę jednak o zakład, że pomysł podsunął jej Fey’lya.

Solo zmarszczył czoło. Przypuszczałby raczej, że podkreślanie pozycji Mon Mothmy w Radzie to ostatnia rzecz, na jakiej zależałoby Fey’lyi…

– Nie rozumiem… – bąknął, na co Leia wskazała podbródkiem podium Mon.

– Stawianie Mon Mothmy w centrum uwagi pomoże mu rozwiać ewentualne podejrzenia o zakusy na jej stanowisko. Z kolei podzielenie radców i ich asystentów na grupki ma na celu odizolowanie ich od siebie.

– Oczywiście – zgodził się Han. – Mały cwaniak z niego, co?

– O, tak – potwierdziła Leia. – I nie spocznie, dopóki nie wykorzysta ataku na Sluis Van na wszelkie możliwe sposoby. Bądź ostrożny.

Dotarli już na przód sali, gdzie się rozdzielili. Leia ruszyła, by zająć miejsce w pierwszym rzędzie, obok swojej asystentki Winter, zaś Han podszedł prosto do Mon Mothmy i czekającego na niego krzesła dla świadka.

– Czy mam na coś przysięgać? – spytał bez zbędnych wstępów.

Mon Mothma pokręciła jednak głową.

– To nie będzie konieczne, kapitanie Solo – zapewniła go formalnym, nieco napiętym głosem. – Proszę usiąść. Rada chciałaby zadać panu kilka pytań dotyczących ostatnich wydarzeń w stoczniach Sluis Van…

Han zajął miejsce dla świadka, zauważając przy okazji, że Fey'lya i jego bothańscy pobratymcy zasiadają w przednim rzędzie obok Lei i jej najbliższych współpracowników. Nigdzie nie było widać pustych krzeseł, które podkreślałyby nieobecność admirała Ackbara – a przynajmniej nie na przedzie, gdzie powinny były się znajdować. Radcy, usadowieni według rang, najwyraźniej poprzesiadali się tak, aby być bliżej przodu sali. Han uznał, że był to kolejny powód, dla którego to Fey'lya mógł nalegać na taką zmianę – przy standardowym owalnym stole miejsce Ackbara zapewne pozostałoby puste, co podkreślałoby jego nieobecność.

– Kapitanie Solo – zaczęła oficjalnie Mon Mothma – przede wszystkim chcielibyśmy, aby opisał pan swoją rolę w wydarzeniach na Sluis Van: kiedy pan tam dotarł, co się dokładnie wydarzyło… tego typu rzeczy.

– Zjawiliśmy się tam w zasadzie już po rozpoczęciu bitwy – wyjaśnił Han. – Tuż przed gwiezdnymi niszczycielami. Odebraliśmy sygnał od Wedge'a… to znaczy od podpułkownika

Wedge'a Antillesa, dowódcy Eskadry Łotrów. Poinformował nas o obecności myśliwców TIE na terenie stoczni…

– Przepraszam – wszedł mu w słowo niemal natychmiast Fey'lya – ale kogo ma pan na myśli, mówiąc „my"?

Solo odwrócił się w stronę Bothanina o fioletowych oczach, kremowej sierści i obojętnym wyrazie pyska.

– Moją załogę, złożoną z Luke'a Skywalkera i Landa Calrissiana – wyjaśnił. Fey'lya zresztą najprawdopodobniej doskonale o tym wiedział, próbował tylko w żałosny sposób zbić go z tropu. – Ach, i oczywiście z dwóch droidów. Czy mam podać ich numery seryjne?

Wśród zgromadzonych rozległy się rozbawione szmery i Han z zadowoleniem zarejestrował, że Bothanin lekko położył po sobie futro.

– Nie trzeba, dziękuję – odparł kwaśno Fey'lya.

– Eskadra Łotrów toczyła walkę z grupą liczącą około czterdziestu myśliwców TIE, a także pięćdziesięciu skradzionych kretowiertów, które jakimś cudem znalazły się w stoczniach – podjął Han. – Pomogliśmy im odeprzeć atak myśliwców, a gdy zorientowaliśmy się, że Imperium zamierza użyć kretowiertów, aby wykraść okręty oddelegowane do służby w charakterze transportowców, powstrzymaliśmy je. To wszystko.

– Jest pan zbyt skromny, kapitanie Solo – odezwał się znów Fey'lya. – Z raportów, które otrzymaliśmy, wynika, że to pan razem z Calrissianem sami pomieszaliście szyki Imperium.

Han zacisnął zęby. Jakżeby inaczej… Owszem, powstrzymali wraz z Landem Imperium, jednak wymagało to usmażenia systemów centralnych ponad czterdziestu okrętów.

– Przykro mi z powodu uszkodzenia tamtych statków – powiedział, patrząc Fey'lyi w oczy. – Ale czy wolałby pan, by trafiły one w ręce imperialnych?

Sierść Bothanina zafalowała lekko.

– Ależ kapitanie Solo – zagadnął ugodowym tonem – nie chciałbym podważać słuszności metod, których zastosowanie uznał pan za właściwe w celu powstrzymania Imperium, jakkolwiek były one kosztowne. Zrobił pan to, co musiał. A zważywszy na trudne okoliczności, spisaliście się naprawdę świetnie.

Han zmarszczył czoło zbity z tropu. Spodziewał się, że Fey'lya będzie się starał go zdyskredytować i oczernić, jednak wyglądało na to, że tym razem się przeliczył.

– Dziękuję – bąknął, nie bardzo wiedząc, co innego mógłby powiedzieć w tej sytuacji.

– Co nie znaczy, że nie powinniśmy się przejmować tym śmiałym posunięciem Imperium, które o mały włos zakończyłoby się powodzeniem – dodał Fey'lya, popatrując po zgromadzonych. Sierść znów mu zafalowała, tym razem w kierunku odwrotnym do poprzedniego. – Wręcz przeciwnie. W najlepszym razie świadczy ono o dużych uchybieniach, jeśli chodzi o zdolność naszego dowództwa do oceny… w najgorszym zaś o zdradzie w naszych szeregach.

Han mimowolnie wykrzywił usta. A więc o to chodziło! Fey'lya wcale nie zmienił frontu – uznał po prostu, że nie warto marnować takiej okazji na pastwienie się nad kimś pokroju Hana. Zamiast tego obrał sobie na cel kogoś wyżej postawionego…

– Z całym należnym szacunkiem, panie radco – odezwał się szybko – ale za to, co wydarzyło się w stoczniach Sluis Van, z pewnością nie ponosi winy admirał Ackbar. Cała ta operacja…

– Proszę wybaczyć, kapitanie Solo – wszedł mu bezceremonialnie w słowo Fey'lya – ale chciałbym zauważyć, że te okręty, nieobsadzone dostateczną liczbą załogi i narażone na atak, znalazły się tam z rozkazu nie kogo innego, a admirała Ackbara.

– Absolutnie nie może tu być mowy o żadnej zdradzie – stwierdził kategorycznie Han. – Wiemy już, że Imperium ma dostęp do naszego systemu łączności…

– A kogo należy winić za to niedociągnięcie w kwestii bezpieczeństwa? – odciął się Bothanin. – Ponownie wina leży wyłącznie po stronie admirała Ackbara.

– Cóż, w takim razie proszę znaleźć źródło przecieków – warknął Han. Kątem oka widział, jak Leia kręci z dezaprobatą głową, dając mu znaki, żeby sobie darował, jednak w tej chwili był już zbyt rozsierdzony, by przejmować się tym, czy kogoś obrazi. – A skoro już o tym mowa, to chciałbym zobaczyć, jak pan by sobie poradził z wielkim admirałem Imperium.

Nikły szmer rozmów, które od jakiegoś czasu słychać było w tle, ucichł jak nożem uciął.

– Słucham? – spytała w osłupieniu Mon Mothma.

Han zaklął pod nosem. Nie zamierzał ujawniać tej informacji, dopóki nie zdoła potwierdzić jej w pałacowych archiwach. Teraz jednak było już na to za późno.

– Na czele sił Imperium stoi wielki admirał – wymamrotał. – Widziałem go na własne oczy.

Tym razem brzemienna napięciem cisza trwała nieco dłużej. Pierwsza otrząsnęła się z szoku Mon Mothma.

– To… niemożliwe – wykrztusiła bez przekonania. – Wiemy, co się stało z każdym z wielkich admirałów…

– Widziałem go na własne oczy – powtórzył stanowczo Han Solo.

– Czy mógłby pan go opisać? – spytał Fey'lya. – Jak wyglądał?

– Nie należał do rasy ludzkiej – zastrzegł na wstępie Solo. – Ale był humanoidem, o budowie ciała zbliżonej do ludzkiej, jednak miał przy tym niebieską skórę, granatowoczarne włosy i pałające, czerwone oczy. Nie potrafię zidentyfikować gatunku.

– Ale przecież Imperium nie darzyło nieludzi sympatią – przypomniała mu Mon Mothma.

Han obejrzał się na Leię. Patrzyła na niego z wyraźnym napięciem, a w jej oczach malowało się czyste przerażenie. Wiedziała, co to oznacza…

– Miał na sobie biały mundur – dodał znacząco. – Nikt inny w szeregach Imperium nie nosił bieli. A mój kontakt tytułował go właśnie w ten sposób.

– Mamy najpewniej do czynienia z samozwańczym awansem – stwierdził autorytarnie Fey'lya. – To zapewne jakiś zwykły admirał czy przeoczony przez nas moff, który próbuje zgromadzić wokół siebie szczątki Imperium. Tak czy inaczej, nie powinniśmy w tej chwili zawracać sobie tym głowy…

– Nie powinniśmy zawracać sobie głowy? – parsknął Han. – Proszę posłuchać, panie radco, jeśli to rzeczywiście wielki admirał…

– No właśnie: *jeśli* – powtórzyła z naciskiem Mon Mothma. – Nie wiemy tego na pewno. A dopóki tego nie potwierdzimy, czcze dyskusje na ten temat są bezcelowe. Przekażemy tę sprawę do

zbadania wydziałowi informacji, który sprawdzi, czy to możliwe, by któryś z wielkich admirałów rzeczywiście przeżył. Dopóki jednak śledztwo nie zostanie zakończone, skupimy się przede wszystkim na zbadaniu okoliczności, w jakich doszło do ataku na Sluis Van. – Spojrzała na Hana, a potem skinęła Lei głową. – Radczyni Organa Solo? Może pani zacząć przesłuchanie świadka.

Admirał Ackbar przechylił wysoko sklepioną, jasnoróżową głowę na bok, przewracając oczami w kalamariańskim geście, którego Leia nie zaobserwowała u niego nigdy wcześniej. Czy był zaskoczony? A może po prostu się bał?

– Wielki admirał… – mruknął wreszcie pod nosem, a jego głos brzmiał jeszcze bardziej chrapliwie niż zazwyczaj. – Wielki admirał Imperium. O, tak, to by istotnie wiele wyjaśniało.

– W zasadzie nie możemy mieć pewności, że to naprawdę wielki admirał – zastrzegła Leia, zerkając na męża. Jego zacięta mina sugerowała, że on sam nie ma co do tego żadnych wątpliwości. A ona mu wierzyła. – Mon Mothma poleciła zbadać tę sprawę wydziałowi informacji.

– Nic nie znajdą – zapewnił ją ponuro Ackbar, kręcąc głową. Tym razem zdecydował się na bardziej zrozumiały dla ludzi gest, jeden z tych, których starał się używać, gdy miał z nimi do czynienia. Ten widok ucieszył Leię, bo oznaczało to, że Ackbar znów nad sobą panuje. – Gdy zajęliśmy Coruscant i wydarliśmy ze szponów Imperium, bardzo dokładnie przeszukałem archiwa. Nie było w nich nic poza listą zawierającą nazwiska wielkich admirałów oraz garścią danych na temat ich przydziałów.

– Usunęli wszystko, zanim się wycofali – stwierdził Han.

– Niewykluczone, że szczegółowych danych nigdy tam nie było – wtrąciła ostrożnie Leia. – Musicie pamiętać, że to nie byli jedynie najlepsi i najzdolniejsi spośród dowódców wojskowych, jakich zdołał zgromadzić Imperator. Stanowili również część jego planu obliczonego na ściślejsze podporządkowanie sobie całego wojska.

– Podobnie jak projekt Gwiazdy Śmierci – dodał Ackbar. – Sądzę jednak, że ma pani rację: dopóki wielcy admirałowie stanowili

grupę w pełni zintegrowaną pod względem wojskowym i politycznym, dopóty nie było powodów, by zamieszczać w archiwach jakiekolwiek informacje na temat ich tożsamości. Wręcz przeciwnie: Imperium miało wszelkie powody, by ich chronić.

– W takim razie ten trop prowadzi donikąd – skomentował Han z westchnieniem.

– Na to wygląda – przytaknął Ackbar. – Jeśli chcemy się czegoś dowiedzieć, będziemy musieli skorzystać z nowszych źródeł.

Leia spojrzała na męża.

– Wspominałeś, że gdy widziałeś tego wielkiego admirała, byłeś w towarzystwie swojego kontaktu… ale nie zdradziłeś jego personaliów.

– Zgadza się – potwierdził Han. – Nie zrobiłem tego. I nie zamierzam. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Leia ściągnęła brwi i spróbowała wysondować męża za pomocą swoich – niezbyt co prawda imponujących – zdolności Jedi. Niestety, nie dowiedziała się zbyt wiele. „Gdybym tylko miała więcej czasu na ćwiczenia…" – pomyślała z żalem, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że to nierealne. Skoro do tej pory musiała poświęcić cały swój czas polityce, a teraz jeszcze przybędzie jej obowiązków…

– Wiesz, że Mon Mothma nie da ci spokoju – ostrzegła męża. – Prędzej czy później będziesz musiał jej to wyjawić.

– I zrobię to. Prędzej czy później – potwierdził. – Ale póki co to będzie nasza mała tajemnica, dobrze?

– Masz na myśli coś w rodzaju… karty przetargowej?

– Nigdy nic nie wiadomo – stwierdził oględnie, jednak po jego twarzy przemknął jakiś cień. – Zresztą jego nazwisko nic im teraz nie powie. Bardzo prawdopodobne, że zaszył się już gdzieś razem ze swoimi ludźmi. O ile oczywiście nie namierzyło ich wcześniej Imperium…

– Nie wiesz, jak się z nimi skontaktować? – spytała.

– Obiecałem, że pomogę im odzyskać pewien statek. – Wzruszył ramionami. – Można spróbować w ten sposób.

– Proszę zrobić co w pańskiej mocy – poprosił go Ackbar. – Wspomniał pan, zdaje się, że na Sluis Van był z wami brat radczyni Organy Solo?

– Zgadza się – potwierdził Han. – Musiał naprawić hipernapęd w swoim myśliwcu, jednak myślę, że nie powinno mu to zająć więcej niż kilka godzin. Wkrótce powinien się tu zjawić. – Zerknął na żonę. – Ach, będziemy też musieli odesłać Landowi na Sluis Van jego statek.

Ackbar wydał z siebie odgłos brzmiący trochę jak stłumiony gwizd – kalamariańską wersję chrząknięcia.

– Cóż, oni również będą musieli zdać szczegółowe relacje – zauważył. – Podobnie jak podpułkownik Antilles. To bardzo ważne, byśmy dowiedzieli się, w jaki sposób mimo ścisłej kontroli Imperium zdołało przemycić tam tak dużą liczbę statków.

Leia spojrzała na Hana znacząco.

– Ze wstępnego raportu Wedge'a wynika, że znajdowały się na pokładzie frachtowca zarejestrowanego jako nieprzewożący żadnego ładunku…

Ackbar łypnął wyłupiastymi oczami.

– Nieprzewożący ładunku? – powtórzył. – Czy wyniki skanu nie były zatem błędne lub niedokładne z powodu jakiejś usterki albo zakłóceń?

– Wedge twierdził, że sklasyfikowano go jako pusty – potwierdził Han. – A kto jak kto, ale on powinien znać różnicę między odczytem świadczącym o pustej ładowni a takim, który sugeruje błąd pomiaru.

– Pusty. – Wydawało się, że Ackbar oklapł lekko w swoim fotelu. – To może oznaczać tylko jedno: że Imperium dorobiło się wreszcie generatorów pola maskującego.

– Na to wygląda – przyznała smętnie Leia. – Jak przypuszczam, jedyna dobra wiadomość w tym całym ambarasie jest taka, że muszą mieć w systemie jakieś błędy. Inaczej po prostu zakamuflowaliby całą flotę i rozbili wszystko w puch.

– Nie. – Ackbar pokręcił swoją dużą głową. – Akurat o to nie powinniśmy się na razie martwić. Pole maskujące ma to do siebie, że może się okazać bardziej niebezpieczne dla użytkownika niż to

warte zachodu. Chociaż ukrywa statki przed oczami i systemami wroga, to blokuje również czujniki maskowanych jednostek, pozbawiając je zdolności do rozpoznania sytuacji w terenie. To nie wszystko: jeśli chronione nim statki będą miały włączone silniki, przeciwnik zdoła je namierzyć, wykrywając cząsteczki spalin.

– Och – bąknęła Leia. – Rzeczywiście o tym nie pomyślałam.

– Przez lata krążyły plotki, jakoby Imperator prowadził prace nad projektem takiego pola – dodał Ackbar. – A ja wiele razy zastanawiałem się, co by było, gdyby mu się udało. – Odchrząknął. – Mimo to wady tego urządzenia to niezbyt wielkie pocieszenie. Pole maskujące w rękach wielkiego admirała może się okazać straszliwą bronią. Prędzej czy później znajdzie sposób, by ją w nas wymierzyć.

– Już znalazł – skwitował Han.

– Najwyraźniej – przytaknął admirał, zwracając wyłupiaste oczy na Leię. – Musi mnie pani oczyścić z tych niedorzecznych zarzutów. I to najszybciej, jak się da. Bowiem mimo całej swej ambicji i przedsiębiorczości radcy Fey'lyi brakuje zdolności taktycznych, które będą nam potrzebne, by zmierzyć się z zagrożeniem o takiej skali.

– Dopilnujemy, by został pan zwolniony z aresztu – zapewniła go Leia, gorąco starając się uwierzyć, że rzeczywiście tak się stanie. – Pracujemy już nad tym.

Niemal w tej samej chwili rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi, które za moment rozsunęły się za jej plecami.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział metalicznym, dźwięcznym głosem kulisty droid G-2RD. – Ale czas widzenia dobiegł końca.

– Dziękuję – odparła Leia, starając się stłumić poirytowanie i frustrację. Bardzo żałowała, że nie może spędzić z Ackbarem nieco więcej czasu, aby wypytać go o to nowe imperialne zagrożenie oraz omówić z nim kroki prawne, jakie mogliby podjąć w celu jego obrony. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że kłótnia z droidem jest bezowocna, a wręcz mogłaby jej zaszkodzić, gdyby G-2RD postanowił odmówić jej prawa do kolejnych spotkań z admirałem. Droidy strażnicze były uprawnione do podejmowania podobnych decyzji, zaś jednostki typu 2RD były szczególnie znane ze swojej

drażliwości. – Wkrótce wrócę, admirale – obiecała Ackbarowi. – Jeśli nie dziś po południu, to z pewnością jutro.

– Do widzenia, pani radczyni. I kapitanie Solo… – W głosie Kalamarianina słychać było lekkie wahanie. – Dziękuję, że pan przyszedł.

– Do widzenia, admirale – odpowiedział Han.

Ramię w ramię wyszli z Leią z pokoju i ruszyli szerokim korytarzem przed siebie, odprowadzani czujnym spojrzeniem fotoreceptora G-2RD, który zajął z powrotem pozycję pod drzwiami.

– To musiało być dla niego trudne – mruknął Han.

– Co takiego? – zdziwiła się Leia.

– Podziękowanie mi, że się zjawiłem.

Przyjrzała mu się, marszcząc czoło, jednak nic nie wskazywało na to, by jej mąż żartował.

– Och, daj spokój, Han! – Leia westchnęła, gdy zorientowała się, do czego on pije. – Tylko dlatego, że zrzekłeś się stanowiska…

– …uważa mnie za kogoś w rodzaju zdrajcy – dokończył za nią gorzko.

Przyszła jej do głowy co najmniej jedna cięta riposta na temat manii prześladowczej, na którą cierpiał, ale w porę ugryzła się w język.

– Ackbar nigdy nie był zbyt ufny – powiedziała zamiast tego wymijająco, jednak Han pokręcił stanowczo głową.

– Nie przesadzam. Zapytaj Landa, jego traktuje tak samo. Jeśli chodzi o Ackbara, to wystarczy, że wystąpisz z wojska. Wówczas równie dobrze mogłabyś przestać dla niego istnieć.

– Musisz zrozumieć Kalamarian, Han. – Leia westchnęła. – Ich etos jest… odmienny od naszego. Nigdy nie byli wojowniczą rasą… dopóki Imperium nie zniewoliło ich i nie zaczęło plądrować ich świata. Te ich wspaniałe krążowniki służyły pierwotnie jako liniowce pasażerskie, zanim nie pomogliśmy im zmienić ich w jednostki bojowe. Może nie tyle jest zły na ciebie za to, że się wycofałeś, ile gnębi go podświadomie poczucie winy spowodowane tym, że on i jego lud w ogóle przyłączyli się do tej wojny?

– Ale przecież nie zrobili tego z własnej woli – zauważył Solo, na co Leia wzruszyła tylko ramionami.

– Wątpię, by ktokolwiek angażował się w wojnę bez choćby mglistych podejrzeń, że może istnieć jakieś inne wyjście. Nawet jeśli wcześniej spróbował już wszystkich dostępnych rozwiązań i każde zawiodło. Przynajmniej ja czułam się tak na początku, gdy dołączyłam do Rebelii, a możesz mi wierzyć, ludzie tacy jak Mon Mothma i Bail Organa próbowali dosłownie wszystkiego. Dla pokojowo nastawionych ras, takich jak Kalamarianie, taka decyzja musi być jeszcze trudniejsza.

– Cóż, może i tak – przyznał niechętnie. – Nie miałbym jednak nic przeciwko temu, gdyby sami się z tym męczyli i nie mieszali nas do tego.

– Jestem pewna, że tak będzie – zapewniła go Leia. – Musimy po prostu dać im nieco więcej czasu.

Spojrzał na nią uważnie.

– Nie powiedziałaś mi, dlaczego wraz z Chewiem opuściliście Kashyyyk i przylecieliście tutaj…

Zacisnęła nerwowo dłoń. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała powiedzieć Hanowi o umowie z noghryjskim komandosem Khabarakhiem, jednak przechadzka korytarzem pałacu imperialnego nie była ku temu najlepszą okazją.

– Nie było sensu zostawać tam dłużej – wyjaśniła oględnie. – Doszło do kolejnego ataku…

– Słucham?

– Spokojnie, poradziliśmy sobie – zapewniła go prędko. – A poza tym… zawarłam pewien układ, dzięki któremu będę chroniona. Przynajmniej przez najbliższe kilka tygodni. Wyjaśnię ci wszystko później, gdy znajdziemy się w… bezpieczniejszym miejscu.

Czuła na sobie jego pytający wzrok i niemal widziała, jak w jego mózgu obracają się trybiki. Obawiał się, że Leia nie mówi mu wszystkiego, jednak równie dobrze jak ona zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa rozmawiania otwarcie o podobnie drażliwych sprawach w miejscu publicznym.

– W porządku – wymamrotał więc tylko. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz…

Zadrżała, skupiając się na bliźniętach, które nosiła pod sercem – nienarodzonych dzieciach o tak wielkim potencjale Mocy, a przy

tym tak bezradnych.

– Ja również – szepnęła tylko. – Ja również.

Rozdział 4

JORUUS C’BAOTH. CZŁOWIEK. URODZONY W REITHCAS NA PLANECIE BORTRAS 4\3\112 ERY PREIMPERIALNEJ.

Luke skrzywił się, czytając słowa przewijające się na ekranie komputera starej Biblioteki Senackiej. Zastanowił się z niechęcią, dlaczego jednym z pierwszych oficjalnych kroków podejmowanych przez każdą nową władzę było ustanowienie nowego systemu datowania, który następnie z uporem maniaka wprowadzano do zastanych rejestrów historycznych. Dokładnie tak zachowało się Imperium Galaktyczne, podobnie zresztą jak wcześniej Stara Republika. Mógł tylko mieć nadzieję, że Nowa Republika nie pójdzie w ich ślady. I tak już wystarczająco trudno było zorientować się w dotychczasowej historii…

UCZĘSZCZAŁ NA UNIWERSYTET NA MIRNICU OD 6\4\95 DO 4\32\90 P.I. W OKRESIE 2\15\90-8\33\88 P.I. PRZESZEDŁ SZKOLENIE JEDI W CENTRUM NA KAMPARASIE. TRENING INDYWIDUALNY ROZPOCZĄŁ 9/88 P.I. POD OKIEM NIEZNANEGO INSTRUKTORA. TYTUŁ RYCERZA JEDI OTRZYMAŁ 3\6\86 P.I. OFICJALNIE OBRAŁ TYTUŁ MISTRZA JEDI 4\3\74 P.I. KONIEC SKRÓCONEGO OPISU. CZY PODAĆ SZCZEGÓŁY SZKOLENIA I TRENINGU?

– Nie – westchnął Luke, ściągając brwi. C’baoth *obrał* tytuł mistrza Jedi? Zawsze wydawało mu się, że ten tytuł, podobnie jak rangę rycerza Jedi, przyznawała społeczność zakonna. Nie można było samozwańczo mianować się mistrzem. – Wyświetl skróconą wersję jego dokonań jako Jedi – polecił komputerowi.

CZŁONEK DEMILITARYZACYJNEJ GRUPY NADZORCZEJ NA ANDO W OKRESIE 8\82-7\81 P.I. CZŁONEK SENACKIEGO KOMITETU DORADCZEGO DS. MIĘDZYGATUNKOWYCH W OKRESIE 9\81-6\79 P.I. OSOBISTY DORADCA JEDI SENATORA PALPATINE'A W OKRESIE 6\79-5\77…

– Stop! – rzucił Luke, czując, jak po plecach przebiega mu nagły dreszcz. Osobisty doradca senatora Palpatine'a? – Wyświetl szczegóły służby C'baotha u boku Palpatine'a…

Przez chwilę komputer milczał, jakby rozważał jego prośbę.

DANE NIEDOSTĘPNE – nadeszła wreszcie odpowiedź.

– Niedostępne… czy po prostu ściśle tajne? – nie dawał za wygraną Luke.

DANE NIEDOSTĘPNE – powtórzył komputer.

Skywalker znowu się skrzywił, jednak zdawał sobie sprawę, że niewiele w tej chwili może na to zaradzić.

– Kontynuuj, proszę.

CZŁONEK ODDZIAŁU JEDI WYSŁANEGO Z MISJĄ STŁUMIENIA POWSTANIA MROCZNYCH JEDI NA BPFASSH W OKRESIE 7\77-1\74 P.I. 11\7O P.I. POMAGAŁ W ROZWIĄZANIU KONFLIKTU PRETENDENTÓW DO WŁADZY NA ALDERAANIE, A W OKRESIE 1\68-4\66 P.I. ASYSTOWAŁ MISTRZOWI JEDI TRA'SOWI M'INSOWI W MEDIACJACH POKOJOWYCH PODCZAS KONFLIKTU NA LINII DUINUOGWUINOWIE – GOTALOWIE. Z PORUCZENIA SENATU MIANOWANY AMBASADOREM DS. SPECJALNYCH SEKTORA XAPPYH 8\21\62 P.I. ODEGRAŁ KLUCZOWĄ ROLĘ W NAKŁONIENIU SENATU DO ZATWIERDZENIA I SFINANSOWANIA PROJEKTU MISJI „LOT POZAGALAKTYCZNNY". JEDEN Z SZEŚCIU MISTRZÓW JEDI ODDELEGOWANYCH DO WZIĘCIA UDZIAŁU W PROJEKCIE 7\7\65 P.I. NIE ISTNIEJĄ ŻADNE DOSTĘPNE INFORMACJE NA TEMAT JEGO LOSÓW PO ODLOCIE Z YAGI MINOR 4\1\64 P.I. KONIEC SKRÓCONEGO OPISU. CZY PODAĆ DALSZE INFORMACJE?

Luke opadł na oparcie krzesła, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ekran komputera i przygryzając wargę. A więc C'baoth nie tylko był niegdyś osobistym doradcą człowieka, który obwołał się później Imperatorem, ale też brał udział w walce z tymi Mrocznymi Jedi z sektora Sluis, o których opowiadała mu Leia… Tymi samymi, z których jednemu udało się przeżyć, by później stawić czoła mistrzowi Yodzie na Dagobah.

Usłyszał za plecami czyjeś kroki.

– Panie Luke?

– Witaj, Winter – powiedział, nie odwracając się w jej stronę. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Tak. Księżniczka Leia chce się z panem widzieć. To znaczy, gdy pan skończy. – Wskazała podbródkiem wyświetlacz i przeczesała lśniące, białe włosy. – Dalej szuka pan informacji o Jedi?

– Można tak powiedzieć – odparł Luke, wsuwając datakartę do portu terminala. – Zapisz wszystkie dane na temat mistrza Jedi Joruusa C'baotha – polecił komputerowi.

– Joruusa C'baotha… – powtórzyła z namysłem Winter. – Czy on przypadkiem nie był zamieszany w tę awanturę o sukcesję na Alderaanie?

– Tak wynika z zapisów w archiwach – przytaknął Luke. – Wiesz coś o tym?

– Nie więcej niż reszta Alderaańczyków – odpowiedziała Winter. Chociaż wyraźnie starała się kontrolować i była opanowana jak zawsze, Luke słyszał w jej głosie nutę bólu i poczuł ukłucie współczucia. Wiedział, że dla Lei zniszczenie Alderaana i utrata rodziny były bardzo bolesnym, lecz stopniowo blednącym wspomnieniem. Winter jednak, przy jej doskonałej, fotograficznej wręcz pamięci była skazana na odczuwanie tego bólu przez całe życie. – Chodziło o to, czy tytuł wicekróla powinien piastować ojciec Baila Organy, czy przedstawiciel jednego z innych rodów – wyjaśniła. – Po trzecim głosowaniu, gdy nadal trwał impas, członkowie rodziny zwrócili się do Senatu z prośbą o mediacje. Ten przysłał delegację, w której skład wchodził między innymi właśnie C'baoth, jednak minął niemal miesiąc, nim ustalono, że roszczenia Organów do tronu są uzasadnione.

– Czy widziałaś może jakieś przedstawiające go wizerunki? Wiesz, jak wyglądał? – spytał ją Luke.

Winter szperała przez chwilę w zakamarkach pamięci, nim odpowiedziała:

– W archiwach znajdował się hologram całej grupy mediacyjnej. C'baoth był… hm, średniego wzrostu i silnej budowy, powiedziałabym. Dosyć umięśniony… Pamiętam, że wzbudziło to moje zdziwienie. Pomyślałam, że Jedi raczej nie bywają tacy muskularni. – Zerknęła szybko na Luke'a, rumieniąc się lekko. – To znaczy… Przepraszam. Nie chciałam pana urazić…

– Nic się nie stało – zapewnił ją Luke. Zdążył już się do tego przyzwyczaić. Ludzie często uznawali, że wrażliwość na Moc zwalnia Jedi z konieczności dbania o formę fizyczną. Jemu samemu kilka ładnych lat zajęło zrozumienie subtelnych więzi, jakie łączyły kontrolę nad ciałem z panowaniem nad własnym umysłem. – Coś jeszcze? – spytał.

– Miał siwiejące włosy i krótką, schludnie przyciętą bródkę – podjęła Winter. – I był ubrany podobnie jak większość Jedi: w brązową szatę i białą tunikę. Poza tym… cóż, nie wyróżniał się niczym szczególnym.

Luke potarł z namysłem podbródek.

– Ile mógł mieć lat? Tak na oko.

– Hm, powiedziałabym, że coś koło czterdziestki – wyjaśniła Winter. – Plus minus pięć lat. Wiek zawsze trudno trafnie ocenić na podstawie zdjęcia.

– To pasowałoby do danych z archiwów – mruknął Luke, wyjmując kartę z dataportu. Gdyby jednak to się zgadzało… – Mówiłaś, że Leia chce mnie widzieć? – spytał, wstając od komputera.

– Chciała się z panem spotkać, gdy będzie miał pan wolną chwilę – potwierdziła Winter. – Jest w swoim biurze.

– W porządku. Chodźmy zatem.

Opuścili mury biblioteki i ruszyli korytarzem prowadzącym z części mieszczącej archiwa do skrzydła, w którym znajdowały się sale Rady i Zgromadzenia.

– Czy wiesz może coś na temat planety Bortras? – zagadnął ją po drodze Luke. – A dokładniej coś o długości życia jej mieszkańców?

Winter zamyśliła się na chwilę.

– Nigdy nie natknęłam się na żadne informacje na ich temat. Dlaczego pan pyta?

Luke wahał się przez moment, nim udzielił odpowiedzi, jednak ostatecznie uznał, że niezależnie od tego, jakie było źródło przecieku informacji z siedziby władz Nowej Republiki, Winter była poza wszelkimi podejrzeniami.

– Problem w tym – zaczął – że jeśli cały ten Jedi z Jomarka to rzeczywiście Joruus C'baoth, powinien mieć teraz ponad sto lat. Wiem, że istnieją pewne rasy, których przedstawiciele żyją znacznie dłużej, jednak z tego, co mi wiadomo, C'baoth jest człowiekiem.

Winter wzruszyła tylko ramionami.

– Zawsze bywają wyjątki od reguły – zauważyła. – Nawet jeśli chodzi o długość życia danego gatunku. Tym bardziej gdy mamy do czynienia z Jedi. Przypuszczam, że zakon mógł znać pewne techniki wydłużające żywotność…

Luke rozważał przez chwilę w myśli jej słowa. Owszem, to było możliwe. Yoda, żeby daleko nie szukać, żył dobre dziewięćset lat, a przecież rasy, których przedstawiciele byli drobniejszej postury, żyły z zasady krócej, niż te mogące się pochwalić słuszniejszym wzrostem. Jednak „z zasady" nie oznaczało „zawsze", a chociaż on sam spędził wiele godzin na przeszukiwaniu archiwów, nadal nie dowiedział się, do jakiej właściwie rasy należał wiekowy mistrz Jedi. A może powinien raczej szukać wiadomości o tym, jak długo żył Imperator?

– A więc uważa pan, że ten cały Joruus C'baoth żyje? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Luke rozejrzał się dookoła. Dotarli już do Wielkiego Korytarza, w którym – ze względu na usytuowanie – zazwyczaj było tłoczno i gwarno. Dziś jednak był on dziwnie opustoszały. Tu i tam dało się co prawda dostrzec kilkoro ludzi i reprezentantów innych gatunków pogrążonych w dyskusjach, ale każda z grup była zbytnio od nich oddalona, by ktoś mógł podsłuchać rozmowę.

– Gdy przebywałem na Nkllonie, miałem przelotny kontakt umysłowy z innym Jedi – wyznał, zniżając głos do szeptu. – Potem dowiedziałem się od Lei, że na Jomarku widziano podobno C'baotha. Wydaje mi się, że wnioski nasuwają się same.

Winter milczała, więc spytał ją po chwili:

– A ty? Co o tym sądzisz?

Wzruszyła znów ramionami.

– Nie mam zbyt wiele doświadczenia, jeśli chodzi o Jedi i Moc, więc trudno mi się wypowiadać na ten temat – wyjaśniła. – Muszę jednak powiedzieć, że na podstawie tego, co sądzę o nim w związku z tamtymi problemami alderaańskiej monarchii… byłabym ostrożna.

– Co masz na myśli?

– Przede wszystkim muszę zastrzec, że to moja osobista opinia, którą wyrobiłam sobie na podstawie źródeł, z jakimi miałam do czynienia. Gdyby pan o to nie zapytał, nie przyszłoby mi nawet do głowy, by o tym wspominać, jednak C'baoth… zrobił na mnie wrażenie osoby, która uwielbia znajdować się w centrum zainteresowania. Kogoś, kto nawet jeśli nie może panować nad sytuacją, sterować nią czy jakkolwiek pomóc, nadal będzie wysuwał się na pierwszy plan, tylko po to, by być widocznym.

Mijali właśnie jedno z fioletowo-zielonych drzewek ch'hala, których rzędy ustawiono pod ścianami holu – dość blisko, by można było dostrzec delikatne przenikanie barw pod cienką, przejrzystą warstwą zewnętrznej kory.

– To by się zgadzało z tym, co o nim czytałem – przyznał Skywalker, w zamyśleniu muskając opuszkami smukły pień. Delikatny dotyk wywołał eksplozję barw: stonowany fiolet zmienił się we wściekłą czerwień, która falami rozeszła się po korze niczym kręgi w sadzawce, sunąc w górę i w dół, dopóki nie ściemniała do koloru wina, przechodząc następnie ponownie w fiolet. – Wiesz, wygląda na to, że to on sam mianował się mistrzem Jedi – dodał znacząco. – Mam wrażenie, że to świadczy o pewnym… cóż, o nadmiernej wierze we własne zdolności.

– Zgadza się – potwierdziła Winter. – Choć w okresie tamtego konfliktu, gdy zjawił się na Alderaanie, nikt nie kwestionował jego tytułu. Chcę przez to po prostu powiedzieć, że ktoś, kto tak bardzo

lubi skupiać na sobie uwagę, nie trzymałby się raczej na uboczu podczas konfliktu z Imperium.

– Racja – przyznał Luke, kątem oka obserwując, jak kora drzewka ch'hala powraca do swojego naturalnego odcienia. Przypominało to nieco jego kontakt z tajemniczym Jedi na Nkllonie: przez krótki czas Luke coś czuł, a potem wszystko wróciło do normy. A może C'baoth nie był już po prostu w stanie w pełni kontrolować swoich mocy? – W takim razie zmieńmy nieco temat. Co wiesz o projekcie „Lot Pozagalaktyczny"? Tej międzygalaktycznej misji podjętej w czasach Starej Republiki?

– Niewiele. – Winter westchnęła, marszcząc w skupieniu czoło. – Miała ona rzekomo na celu zbadanie form życia poza naszą galaktyką, jednak projekt utajniono tak bardzo, że nikt nie znał właściwie żadnych szczegółów. Nie jestem nawet pewna, czy tak naprawdę lot doszedł do skutku…

– Z informacji, na które trafiłem w archiwach, wynika, że tak – powiedział Luke, przesuwając palcami po następnym drzewku ch'hala i wywołując kolejną eksplozję czerwieni. – Podobno do projektu przydzielono również C'baotha. Czy to mogło oznaczać, że był członkiem załogi lotu?

– Nie wiem – wyznała Winter. – Chodziły słuchy, że w wyprawie ma wziąć udział kilku mistrzów Jedi, jednak to również były tylko plotki. – Spojrzała na niego z ukosa. – Sądzi pan, że to właśnie dlatego nikt o nim nie słyszał, gdy wybuchła Rebelia?

– Niewykluczone – przyznał Luke. – Oczywiście taka możliwość nasuwałaby tylko kolejne pytania. Na przykład: co mu się przytrafiło i jak zdołał wrócić z tej misji?

Winter wzruszyła ramionami.

– Chyba istnieje tylko jeden sposób, by poznać na nie odpowiedzi.

– Taaak. – Luke dotknął ostatniego drzewka w szpalerze. – Polecieć na Jomarka i spytać go o to osobiście. Przypuszczam, że nie mam innego wyjścia.

Biuro Lei znajdowało się w ciągu apartamentów członków Rady Wewnętrznej, obok skrzyżowania z łącznikiem prowadzącym z Wielkiego Korytarza do leżącej nieco na uboczu sali posiedzeń

Rady. Gdy Luke i Winter dotarli do przedsionka, czekała już tam na nich znajoma postać złotego droida protokolarnego.

– Witaj, Threepio – powiedział Skywalker.

– Panie Luke! Jak dobrze znów pana widzieć! – zawołał na jego widok C-3PO. – Jak się pan miewa?

– Doskonale – zapewnił go Luke. – A tak przy okazji, Artoo prosił, żebym pozdrowił cię od niego. Jest teraz w kosmoporcie i pomaga przy naprawach mojego X-winga, ale pod wieczór ma wrócić. Wówczas z pewnością będziecie mogli się spotkać.

– Wspaniale, sir! – C-3PO pochylił lekko głowę, jakby nagle sobie przypomniał, że powinien się zachowywać jak na droida protokolarnego przystało. – Księżniczka Leia i inni już na pana czekają – powiedział, otwierając przyciskiem drzwi do gabinetu. – Zapraszam.

– Dziękuję. – Luke skinął mu z powagą głową. Nieważne, jak niedorzecznie wyglądał czasem C-3PO, zawsze emanował swoistą godnością i Luke zazwyczaj starał się uszanować jego uparte dążenie do tego, aby zachować ją w każdej sytuacji. – Daj nam, proszę, znać, gdyby zjawił się ktoś jeszcze.

– Oczywiście, sir! – zapewnił go C-3PO.

Weszli do gabinetu, w którym Leia i Han rozmawiali o czymś cicho, pochyleni nad wyświetlaczem stojącym na biurku. Na ich widok Chewbacca siedzący w pobliżu drzwi z kuszą na kolanach wyryczał powitanie.

– Och, Luke! Dobrze, że jesteś! – zawołała Leia, odrywając wzrok od ekranu. – Świetnie, że przyszedłeś. – Przeniosła spojrzenie na towarzyszącą jej bratu białowłosą kobietę. – Dziękuję ci, Winter. To będzie na razie wszystko.

– Tak jest, Wasza Wysokość. – Winter kiwnęła głową i wyszła niepostrzeżenie z pokoju, z typowym dla niej wdziękiem.

Luke zerknął na Hana.

– Słyszałem, że zaserwowałeś wczoraj Radzie niezły wstrząs – rzucił.

– Starałem się, jak mogłem. – Han skrzywił się kwaśno. – Ale wygląda na to, że nikt nie potraktował mnie poważnie.

– To jedna z tych sytuacji, w których polityczne grono karmi się pobożnymi życzeniami – parsknęła Leia. – Przyznanie się, że w naszych rachubach jakimś cudem przeoczyliśmy któregoś z wielkich admirałów Imperatora, to ostatnia rzecz, którą chcieliby zrobić.

– W takim razie to nie tyle pobożne życzenie, ile zwykłe wyparcie – skwitował Luke. – A może mają jakąś inną teorię na temat tego, w jaki sposób daliśmy się tak wymanewrować na Sluis Van?

Tym razem to Leia się skrzywiła.

– Niektórzy zwalają winę na Ackbara.

– Ach! – mruknął Skywalker. A więc to taką taktykę obrał Fey'lya? – Nie znam jeszcze szczegółów…

– Póki co Fey'lya próbuje najwyraźniej nie działać zbyt pochopnie – warknął Han. – Twierdzi, że stara się grać uczciwie, ale ja jestem zdania, że nie chce po prostu wywoływać zbyt szybko burzy.

Luke zmarszczył czoło, przyglądając się przyjacielowi uważniej. Wyczuwał w nim coś, jakąś obawę, która kładła się ledwie zauważalnym cieniem na jego twarzy.

– Czy nie sądzicie, że kieruje nim coś jeszcze poza tym? – spytał ostrożnie.

Han i Leia wymienili spojrzenia.

– Niewykluczone – stwierdził z namysłem Solo. – Jeśli wziąć pod uwagę, jak szybko naskoczył na admirała po całym tym zamieszaniu na Sluis Van… Albo umie błyskawicznie wykorzystać okazję…

– Czego nie można mu odmówić – wtrąciła Leia.

– …albo też – podjął ponuro Han – wiedział z wyprzedzeniem, że do tego dojdzie.

Luke spojrzał na Leię. Na jej twarzy malowało się napięcie, które wyczuwał też od niej poprzez Moc.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co w ten sposób insynuujesz? – spytał cicho przyjaciela. – Oskarżasz członka Rady o bycie imperialnym agentem.

Leia niemal się wzdrygnęła, jednak jej mąż nawet nie mrugnął.

– Owszem, zdaję sobie z tego sprawę – oświadczył. – Bo on zarzuca Ackbarowi dokładnie to samo.

– Problem w tym – powiedziała z naciskiem Leia, siląc się na cierpliwość – że to niezbyt dobry moment na wysuwanie takich oskarżeń. Jeśli obwinimy teraz Fey'lyę o zdradę, będzie to wyglądało tak, jakbyśmy próbowali odwrócić uwagę od Ackbara, odbijając piłeczkę w stronę Borska. I nawet gdyby okazało się, że mamy rację, o czym nie jestem, szczerze powiedziawszy, przekonana, to takie posunięcie zostałoby z pewnością odebrane jako tanie i niezbyt mądre zagranie.

– A może właśnie dlatego tak szybko wysunął oskarżenia wobec admirała? – skontrował Han. – Żebyśmy my nie mogli oskarżyć go pierwsi? Nie przyszło ci to do głowy?

– Owszem, przemknęło mi to przez myśl – przyznała Leia. – Niestety to nic nie zmienia. Dopóki nie oczyścimy Ackbara z zarzutów, nie możemy ich postawić Fey'lyi.

– Daj spokój, kochanie – parsknął Solo. – Rozumiem, że w polityce starasz się trzymać pewnych zasad, jednak tutaj ważą się losy całej Nowej Republiki!

– Która może rozpaść się w mgnieniu oka, nim padną pierwsze strzały – stwierdziła gorzko Leia. – Zrozum, Han. To wszystko póki co trzyma się razem tylko dzięki nadziei i dużej ilości prowizorki. Wystarczy jeszcze kilka podobnych zarzutów, a połowa gatunków tworzących dawniej Sojusz Rebeliantów zabierze swoje zabawki i wróci do domu!

Luke odchrząknął.

– Czy mogę coś powiedzieć?

Oboje Solo spojrzeli na niego i napięcie wiszące w powietrzu odrobinę zelżało.

– Jasne, młody. O co chodzi? – zachęcił go Han.

– Jak sądzę, możemy być zgodni co do jednego: niezależnie od tego, jakimi pobudkami kieruje się Fey'lya, a także z czyjego działa poruczenia, z pewnością coś knuje – stwierdził Luke. – Może powinniśmy się skupić na odkryciu, co to za motywy lub kto nim kieruje? Co wiemy o Fey'lyi?

Jego siostra wzruszyła ramionami.

– Przede wszystkim jest Bothaninem, chociaż dorastał na Kothlis, która jest bothańską kolonią, nie na Bothawui. Przystąpił do Sojuszu

tuż po bitwie o Yavin, wraz ze sporą grupą bothańskich popleczników. Jego ziomkowie skupiali się jednak głównie na działalności z zakresu wsparcia i zwiadu, choć od czasu do czasu uczestniczyli też w akcjach polowych. Nim Fey'lya dołączył do Sojuszu, prowadził wiele różnych przedsięwzięć na wielką skalę: zajmował się transportem, handlem, wydobyciem i próbował szczęścia w kilku innych dziedzinach. Podejrzewam, że wciąż poświęca tym interesom nieco czasu, ale nie byłabym w stanie wskazać, którym konkretnie.

– Czy w jego aktach nie ma nic na ten temat? – spytał Luke.

– Przeglądałam je kilkakrotnie. – Pokręciła głową. – Sprawdziłam też wszelkie informacje, do których mogłam dotrzeć innymi kanałami. Nic.

– W takim razie to właśnie od tego powinniśmy zacząć – zadecydował Han. – Interesy na boku to zawsze dobry początek, jeśli chcemy wywlec coś podejrzanego.

Leia spojrzała na niego wymownie.

– Galaktyka jest wielka, kochanie – powiedziała, jakby tłumaczyła coś dziecku. – Nie wiemy nawet, gdzie zacząć.

– Jestem pewien, że coś wymyślimy – zapewnił ją. – Wspomniałaś, że po Yavinie Bothanie brali udział w jakichś walkach. Gdzie dokładnie?

– W kilku miejscach – odparła Leia, marszcząc z namysłem czoło. Obróciła ekran komputera do siebie i wpisała kilka komend. – Sprawdźmy…

– Pomiń wszystkie bitwy, do których ich przydzielono – poradził jej Han. – Oraz te, w których brali udział jako część oddziałów złożonych z przedstawicieli wielu ras. Chciałbym poznać tylko listę miejsc, w których ludzie Fey'lyi walczyli, zgłosiwszy się na ochotnika.

Z miny Lei jasno wynikało, że nie bardzo rozumie, co jej mąż chce w ten sposób uzyskać, a Luke zdecydowanie podzielał jej konsternację. Mimo to spełniła prośbę Hana bez słowa, odpowiednio ustawiając parametry wyszukiwania.

– Hm, wygląda na to, że twoje kryteria spełnia tylko jeden rekord: krótka, ale burzliwa walka o Nową Kowię w sektorze Churba. Cztery

bothańskie statki związały walką gwiezdny niszczyciel typu Victory, który węszył w pobliżu, i skutecznie utrzymywały go z dala, dopóki na pomoc nie przybył krążownik.

– Nowa Kowia? – powtórzył z namysłem Han. – Czy ta nazwa pojawia się gdzieś w aktach Fey'lyi?

– Hm, nie. Ani śladu wzmianki o Nowej Kowii.

– Doskonale. – Han kiwnął głową. – W takim razie właśnie od tego zaczniemy.

Leia zerknęła na brata, szukając u niego wsparcia.

– Chwileczkę, czy coś przeoczyłam?

– Och, daj spokój – jęknął Han. – Sama powiedziałaś, że Bothanie starali się trzymać z dala od prawdziwej walki, kiedy tylko mogli. Jestem pewien, że nie obrali sobie za cel niszczyciela gwiezdnego tylko dlatego, że akurat naszła ich na to ochota. Musieli coś… ochraniać.

Leia ściągnęła brwi.

– Nie wiem, czy to dobry trop…

– Może nie – skontrował Han. – A może tak. A gdybyśmy założyli, że to Fey'lya, a nie Imperium, przelał te pieniądze na konto Ackbara? Przesłanie tak dużej kwoty za pośrednictwem Palanhi z sektora Churba byłoby znacznie łatwiejsze niż przekazywanie ich z któregoś z układów należących do Imperium.

– Ale to z kolei sprawia, że wracamy do punktu wyjścia i znów obwiniamy Fey'lyę o to, że jest imperialnym agentem – przypomniał mu Luke.

– Niekoniecznie – zaprotestował Solo. – To może być zwykły zbieg okoliczności, że kredyty przelano akurat teraz. A może po prostu któryś z Bothan zorientował się w zamiarach Imperium, a Fey'lya stwierdził, że wykorzysta to, aby pogrążyć Ackbara…

Leia pokręciła głową.

– To nadal nie jest dowód, który moglibyśmy przedstawić Radzie – westchnęła.

– Wcale nie chcę iść z tym do Rady – parsknął Han. – Zamierzam zabrać Luke'a na Nową Kowię i sprawdzić to osobiście. Po cichu.

Leia spojrzała pytająco na brata.

– Jeśli tu zostanę, i tak zbytnio ci się nie przydam – powiedział przepraszająco. – A poza tym sądzę, że warto zbadać ten trop.

– No dobrze – ustąpiła. – Ale postarajcie się nie narobić przy tym za wiele hałasu.

Han uśmiechnął się do niej z przymusem.

– Masz to jak w banku. – Obejrzał się na Luke'a, podnosząc brew. – Gotów?

Skywalker wybałuszył na niego oczy.

– Ale że już? Teraz?

– A dlaczego by nie? Leia zadba o to, by na politycznym poletku wszystko było pod kontrolą.

Nim jeszcze Luke podniósł wzrok na siostrę, poczuł poprzez Moc jej niepokój, któremu dała upust w lekkim grymasie. Kiedy ich oczy się spotkały, odczytał w nich cichą prośbę, by nie pytał jej o to. A przynajmniej nie teraz, nie tutaj… „O co chodzi?" – zagadnął ją mimo to łagodnie poprzez Moc. Niestety, nie dane mu było się dowiedzieć, czy zamierzała odpowiedzieć na jego pytanie, bo nagle siedzący pod drzwiami Chewbacca w kilku rykach streścił dosadnie ostatnie wydarzenia, stanowiące najwyraźniej źródło jej obaw.

Han odwrócił się do żony, wpatrując się w nią z rozdziawionymi ustami.

– Obiecałaś… co takiego? – wykrztusił.

Leia przełknęła z wyraźnym wysiłkiem ślinę.

– Nie miałam wyboru…

– Nie miałaś wyboru? Słucham? Pozwól, że w takim razie ja zadecyduję za ciebie: nigdzie nie polecisz!

– Han…

– Wiecie co? – bąknął Luke, wstając. – Pójdę chyba sprawdzić, co z moim X-wingiem. Zobaczymy się później.

– Jasne, młody – warknął Han, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem.

Luke ruszył w stronę drzwi. Gdy mijał Chewbaccę, skinął głową w stronę przedsionka, a Wookiee najwyraźniej zrozumiał jego aluzję, bo również wstał i wyszedł z gabinetu w ślad za nim.

Gdy Luke i Chewie wyszli, Han i Leia patrzyli na siebie przez długą chwilę w milczeniu. W końcu pełną napięcia ciszę przerwała Leia:

– Muszę tam lecieć, Han – powiedziała łagodnie. – Obiecałam Khabarakhowi, że się z nim spotkam. Nie rozumiesz, że…

– Nie, nie rozumiem – wszedł jej w słowo, z trudem powstrzymując narastającą wściekłość. Skręcający trzewia lęk o bezpieczeństwo żony i bliźniąt, który zawładnął nim po ataku na Bpfassh, powrócił. Strach o utratę jej samej oraz syna i córki. – Ci… ci… jak im tam… – zaczął się plątać, wzburzony.

– Noghri – podsunęła Leia.

– …ci cali Noghri biorą cię na cel przy każdej nadarzającej się okazji od kilku ładnych miesięcy. Zapomniałaś już, co się wydarzyło na Bpfassh? Pamiętasz, jak chcieli nas zwabić na pokład tego fałszywego „Sokoła”? A co z atakiem na Bimmisaari? Mało brakowało, a zgarnęliby nas z samego targowiska! Gdyby nie Luke i Chewie, na pewno by im się to udało! Ci goście nie żartują, Leio. A ty właśnie informujesz mnie, że chcesz samotnie lecieć na ich planetę? Równie dobrze mogłabyś od razu oddać się w ręce Imperium! Przynajmniej zaoszczędziłabyś im zachodu…

– Wiesz, że nie zgodziłabym się tam lecieć, gdybym uważała, że to niebezpieczne – nie dawała za wygraną. – Khabarakh wie, że jestem córką Dartha Vadera, a to dla nich bardzo ważne. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Może zdołam wykorzystać to, aby przekonać ich, by porzucili Imperium i dołączyli do nas… Muszę przynajmniej spróbować.

– Czyli to znów te wasze szalone wymysły Jedi – parsknął Han. – Luke też zawsze postępuje tak szlachetnie i za każdym razem pakuje się przez to w najgorsze kłopoty.

Wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Han, wiem, że to duże ryzyko – powiedziała łagodnie. – Ale możliwe również, że to nasza jedyna szansa na zakończenie tego raz na zawsze. Noghri potrzebują pomocy, wiem to od Khabarakha. A gdybym zdołała im jakoś pomóc… gdyby udało mi się przekonać ich, by przeszli na naszą stronę, to oznaczałoby jednego przeciwnika mniej. – Wahała się przez chwilę, nim dodała: – Nie mogę wiecznie uciekać i się ukrywać.

– A co z naszymi dziećmi?

Widok bolesnego grymasu na jej twarzy, który pojawił się w reakcji na te słowa, dał mu przelotną satysfakcję, zabarwioną jednak poczuciem winy.

– Wiem – szepnęła i położyła odruchowo dłoń na swoim zaokrąglonym brzuchu, czując nagły dreszcz. – Ale… jakie mamy wyjście? Zamknąć je w którejś z pałacowych wież, otoczone zastępem Wookieech? Dopóki Noghri będą starali się nam je odebrać, nie będą miały szansy na normalne życie.

Han zacisnął zęby. A więc wiedziała… Do tej pory nie był tego pewien, ale teraz zyskał potwierdzenie. Leia była świadoma, że Imperium od początku chodziło o ich nienarodzone dzieci.

A mimo to… mimo że zdawała sobie z tego sprawę, nadal chciała spotkać się ze sługami Imperium.

Przez długą chwilę patrzył tylko na nią w milczeniu, wodząc wzrokiem po obliczu kobiety, którą w ciągu ostatnich lat tak mocno pokochał. Przed oczami przewijały mu się obrazy ich wspólnych chwil. Wyraz determinacji na jej młodej twarzy, gdy w samym środku strzelaniny na poziomie więziennym zabrała Luke'owi blaster i za jego pomocą utorowała im drogę do zsypu Gwiazdy Śmierci. Słyszał łagodny dźwięk jej głosu, kiedy mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, grożącego im w pałacu Jabby, pomagała mu oswoić się ze skutkami ubocznymi choroby pohibernacyjnej. Widział mądrzejszą, dojrzalszą, ale jednak nadal żarliwą zawziętość, lśniącą w jej oczach, gdy postrzelona pod endorskim bunkrem, znalazła w sobie dość opanowania i trzeźwości umysłu, by celnymi strzałami powalić dwóch szturmowców trzymających Hana na muszce.

I przypomniał sobie również bolesną prawdę, którą uświadomił sobie wówczas: że nieważne, jak bardzo będzie się starał, nigdy nie będzie w stanie ochronić jej przed wszystkimi niebezpieczeństwami i okrucieństwem wszechświata. Ponieważ nie miało znaczenia, jak mocno będzie ją kochał… i jak wiele będzie z siebie dawał – to po prostu nigdy jej nie wystarczy. Nie mogła, nie umiała skupiać się tylko na nim, podobnie jak nie byłaby w stanie dbać tylko o siebie. Zależało jej na dobru wszystkich istot zamieszkujących galaktykę.

A próba wyperswadowania jej tego – siłą czy po dobroci – oznaczałaby zarazem próbę odebrania jej kawałka duszy, pozbawienia fragmentu jej samej, a tym samym zabicia cząstki osoby, którą pokochał całym sercem.

– Czy… czy mogę przynajmniej lecieć z tobą? – spytał cicho.

Sięgnęła dłonią do jego policzka i pogładziła go czule, uśmiechając się do niego nagle dziwnie zamglonymi oczami.

– Obiecałam, że przylecę sama – szepnęła łamiącym się głosem. – Nie martw się. Nic mi nie będzie.

– Jasne. – Zerwał się na równe nogi. – Cóż, skoro już musisz lecieć, zrób to. Chodźmy. Pomogę ci przygotować „Sokoła”…

– „Sokoła”? – bąknęła. – Ale przecież miałeś lecieć na Nową Kowię…

– Wezmę statek Landa – rzucił przez ramię, idąc w stronę do drzwi. – I tak miałem mu go oddać.

– Ale…

– Żadnych ale – nie dał jej dokończyć. – Jeśli ci twoi Noghri coś knują, „Sokół” przysłuży ci się lepiej niż „Ślicznotka”. – Otworzył drzwi… i zatrzymał się w pół kroku. Na drodze stał mu – niczym potężna, porośnięta sierścią gradowa chmura – Chewbacca, łypiąc na niego gniewnie spode łba. – Co znowu? – warknął Han.

Wookiee odpowiedział krótko, zwięźle i bardzo dosadnie.

– Cóż, możesz mi wierzyć, że mi też się to wcale nie podoba – odburknął Solo. – Ale jak sądzisz, co mam zrobić: nałożyć na nią areszt domowy?

Usłyszał za plecami kroki Lei.

– Spokojnie, Chewie – powiedziała łagodnie. – Nic mi nie będzie, naprawdę.

Chewbacca warknął ponownie, dając jej jasno do zrozumienia, co sądzi o jej zapewnieniach.

– Jeśli masz jakiś lepszy pomysł, chętnie go wysłucham – stwierdził z przekąsem Han.

Jak można było się spodziewać, Wookiee miał własną propozycję i nie omieszkał im jej przedstawić.

– Przykro mi, Chewie – westchnęła Leia – ale obiecałam Khabarakhowi, że zjawię się sama.

Chewbacca potrząsnął gwałtownie głową, a potem obnażywszy kły, wyryczał swoją opinię na temat jej obietnicy.

– Nie podoba mu się to – przetłumaczył dyplomatycznie Han.

– Tyle zrozumiałam, dzięki – parsknęła Leia. – Posłuchajcie mnie: ostatni raz…

Chewbacca przerwał jej rykiem, na dźwięk którego aż odskoczyła w tył.

– Wiesz, kochanie – stwierdził znacząco Han – naprawdę sądzę, że powinnaś mu pozwolić ze sobą lecieć. A przynajmniej do punktu zbornego – dodał szybko, gdy spiorunowała go wzrokiem. – Daj spokój! Wiesz przecież, jak poważnie Wookiee traktują dług życia. Poza tym i tak będziesz potrzebowała pilota.

Przez chwilę patrzyli znów na siebie w milczeniu i Han widział w jej oczach chęć protestu, zapewnienia go, że przecież sama doskonale poradzi sobie z pilotowaniem statku, jednak po chwili ustąpiła.

– W porządku – skapitulowała. – Mam nadzieję, że Khabarakh nie będzie miał nic przeciwko temu… Gdy jednak dotrzemy do punktu zbornego, Chewie, będziesz robił to, co powiem, i to niezależnie od tego, czy będzie ci się to podobało, czy nie. Czy to jasne?

Wookiee rozważał przez chwilę jej słowa, aż wreszcie zaryczał potwierdzająco.

– No dobrze – powiedziała z ulgą. – W takim razie lepiej ruszajmy. Threepio?

– Tak, Wasza Wysokość? – odparł z wahaniem złocisty droid protokolarny.

Przynajmniej ten jeden raz miał w głowie dość oleju, by siedzieć cicho za biurkiem i nie wtrącać się do rozmowy. Han uznał, że to zdecydowany postęp, jeśli chodzi o jego standardowe zachowanie. Może powinien pozwolić Chewbacce częściej wściekać się w obecności droida?

– Chciałabym, żebyś ty również mi towarzyszył – powiedziała Leia. – Khabarakh dość dobrze zna basic, jednak niewykluczone, że jego pobratymcy nie władają nim biegle, a ja wolałabym nie musieć polegać na ich tłumaczach.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – zapewnił ją C-3PO, lekko przechylając złotą głowę na bok.

– Doskonale. – Leia odwróciła się do męża i oblizała nerwowo wargi. – W takim razie chyba będziemy już lecieć…

Do głowy przychodziło mu milion rzeczy, które mógłby jej w tym momencie powiedzieć… które chciałby jej powiedzieć…

– Tak – bąknął jednak tylko. – Chyba tak.

Rozdział 5

– Wybacz – zagadnęła Mara pozornie od niechcenia, skończywszy podpinać ostatni z kabli do pulpitu łączności – ale moim zdaniem to miejsce niezbyt nadaje się na kryjówkę.

Karrde wzruszył ramionami, wyjmując z pudła moduł systemu czujników i kładąc go na stole wśród sterty innego sprzętu.

– Co racja, to racja: to nie Myrkr – westchnął. – Jednak nie można odmówić temu miejscu zalet. Kto wpadłby na pomysł, żeby szukać bazy przemytników w samym środku bagna?

– Nie mam na myśli miejsca, w którym wylądowaliśmy – rzuciła Mara, wsuwając dłoń w luźny rękaw tuniki, żeby poprawić niewielki podręczny blaster przymocowany na lewym przedramieniu. – Tylko tę budę.

– Ach, tę… budę. – Karrde wyjrzał przez okno. – No, nie wiem. Trochę tu tłoczno, ale to też ma swoje plusy…

– „Trochę tłoczno”? – powtórzyła zjadliwie Mara, wyglądając przez okno na szereg kremowych budynków oddalonych o zaledwie pięć metrów oraz kłębiący się wokół tłum ludzi i obcych w krzykliwych, jaskrawych strojach. – Nazywasz to miejsce trochę tłocznym?

– Spokojnie, Maro – starał się ją ułagodzić Karrde. – Jeśli na całej planecie do zamieszkania nadaje się tylko kilka głębokich wąwozów, to nic dziwnego, że bywa w nich nieco ruchliwie. Miejscowi do tego przywykli i nauczyli się, jak zapewniać innym odpowiednią dozę prywatności. Tak czy inaczej, nawet gdyby komuś przyszło do głowy tu węszyć, nie znajdzie zbyt wiele.

– Lustrzane szyby nie powstrzymają dobrych czujników – ostrzegła go. – A tłum to idealna osłona dla imperialnych szpiegów.

– Imperium nie ma pojęcia, że tu jesteśmy. – Karrde urwał i spojrzał na nią z ukosa. – Chyba że o czymś nie wiem?

Odwróciła wzrok. A więc tak to miało tym razem wyglądać? Jej poprzedni pracodawcy reagowali na jej dziwne przeczucia różnie:

strachem, gniewem lub otwartą nienawiścią. Najwyraźniej Karrde zamierzał ograniczać się tylko do ich uprzejmego wykorzystywania.

– To nie działa jak system sensorów – warknęła przez ramię. – A przynajmniej… już nie.

– Och, jasne, rozumiem – bąknął Karrde, jednak ton jego głosu sugerował co innego. – To ciekawe. Czy to… czy to pamiątka po jakimś szkoleniu Jedi?

Odwróciła się, żeby na niego patrzeć.

– Opowiedz mi o tych statkach.

Talon spojrzał na nią, marszcząc czoło.

– Słucham?

– O statkach – powtórzyła. – O okrętach, o których tak bardzo starałeś się nie wygadać wielkiemu admirałowi Thrawnowi, kiedy odwiedził nas na Myrkr. Obiecałeś, że mnie później wtajemniczysz. To chyba dobry moment.

Przyglądał się jej przez chwilę z lekkim uśmiechem błąkającym się na ustach.

– No dobrze – ustąpił wreszcie. – Czy słyszałaś kiedyś o Flocie Katańskiej?

Szperała przez chwilę w pamięci.

– Zwanej również Ciemną Flotyllą? Jakieś dwieście drednotów, zaginionych około dziesięciu lat przed wybuchem wojen klonów. Wszystkie statki wyposażono w supernowoczesny system podporządkowania, a kiedy coś się posypało, cała grupa po prostu skoczyła w nadprzestrzeń i słuch po niej zaginął.

– No, mniej więcej – przyznał Karrde. – Drednoty z tamtej ery były jednostkami wymagającymi bardzo dużej załogi, liczącej ponad szesnaście tysięcy ludzi. System całkowitego podporządkowania, zastosowany we Flocie Katańskiej, ograniczył tę liczbę do dwóch tysięcy.

Mara przywołała w pamięci specyfikację kilku krążowników, z którymi miała do czynienia.

– To musiała być kosztowna operacja – zauważyła.

– Istotnie – przytaknął. – Tym bardziej że przeprowadzono zarówno ze względów wojskowych, jak i w celu poprawy wizerunku. Przeprojektowano również wnętrza drednotów, od

wymiany całego sprzętu, przez wystrój, aż po przemalowanie ich na ciemnoszaro. Stąd też były znane jako Ciemna Flotylla, chociaż niektórzy utrzymywali, że nazwa wzięła się od niedostatecznego oświetlenia jak na jednostki obsadzone dwutysięczną załogą. Tak czy inaczej, miała to być wielka demonstracja siły Starej Republiki, która chciała w ten sposób udowodnić, jak skutecznie może działać system sprzężenia podporządkowanej floty.

– Nieźle im to wyszło – parsknęła Mara.

– Nie da się zaprzeczyć – zgodził się Karrde. – Problemem nie okazał się jednak sam układ podporządkowania. Nie ma zbyt wiele danych w rejestrach z tego okresu (najwyraźniej osoby odpowiedzialne za archiwizację uznały za stosowne pominąć te informacje), jednak wygląda na to, że członkowie załogi, jedna lub więcej osób, zostali zarażeni jakimś rodzajem zjadliwego wirusa w jednym z portów podczas dziewiczego rejsu. Cholerstwo rozprzestrzeniło się w fazie uśpienia wśród załóg wszystkich dwustu okrętów, a gdy wirus się uaktywnił, zebrał prawdziwie krwawe żniwo.

Marę przeszedł zimny dreszcz. Słyszała o tego typu wirusach, które pozbawiały życia populacje całych planet przed wojnami klonów, nim jeszcze lekarze Starej Republiki i później Imperium znaleźli sposoby na radzenie sobie z podobnymi plagami.

– A więc personel zginął, nim ktokolwiek zdołał udzielić mu pomocy…

– Wszystko wskazuje na to, że wirus powodował śmierć w ciągu zaledwie kilku godzin, aczkolwiek to tylko domysły – zaznaczył Karrde. – Jednak tym, co zmieniło nieszczęśliwe zrządzenie losu w prawdziwą katastrofę, była okoliczność, że ten akurat szczep wirusa miał tę uroczą właściwość, że przed śmiercią doprowadzał swoje ofiary do szaleństwa. Umierający członkowie załóg zdążyli jeszcze uruchomić sekwencję sprzężenia okrętów, co oznaczało, że gdy dowództwo „Katany” również popadło w obłęd, dokonało skoku w nadprzestrzeń, zabierając ze sobą całą flotę.

– Ach, teraz sobie przypominam. – Mara pokiwała powoli głową. – Od czasu tego wypadku stopniowo zaczęto odchodzić od centralizacji zautomatyzowanych funkcji statków. Zrezygnowano

z wielkich, kierujących wszystkimi układami komputerów na rzecz setek droidów.

– Ta tendencja zaczęła się już wcześniej – doprecyzował Karrde – a tragiczny los Floty Katańskiej sprawił tylko, że się nasiliła. Tak czy inaczej, flotylla zniknęła gdzieś w zakamarkach przestrzeni kosmicznej i słuch po niej zaginął. Przez chwilę było o tym głośno, a kilku pseudodowcipnych dziennikarzy pozwalało sobie nawet na niewybredne żarty z nazwy Ciemna Flotylla. W ciągu kilku kolejnych lat liczne zespoły poszukiwawcze, których członkowie mieli więcej entuzjazmu niż rozumu, stawiały sobie za cel jej odnalezienie. Gdy jednak wreszcie do wszystkich dotarło, jak wiele w galaktyce jest miejsc, w których mogłaby przycupnąć flota złożona z kilkuset statków, zainteresowanie osłabło. Nie mówiąc już o tym, że wkrótce Starej Republice przyszło się borykać z poważniejszymi problemami. Sprawa przycichła i dziś nikt już raczej do niej nie wraca. No, może poza przypadkowymi oszustami, którzy co jakiś czas próbują wyłudzić forsę od naiwniaków, proponując im sprzedaż mapy mającej ich doprowadzić do floty.

– No tak. – Mara domyślała się już, do czego zmierza Karrde. – A więc… jak wpadłeś na jej trop?

– Czysty przypadek – zapewnił ją. – W zasadzie to minęło kilka ładnych dni, nim dotarło do mnie, na co właściwie trafiliśmy. Podejrzewam, że nikt inny z załogi nie zorientował się, z czym mieliśmy do czynienia. – Spojrzał w przestrzeń zamglonym wzrokiem, wracając pamięcią do dawnych chwil. – To było… ponad piętnaście lat temu – uściślił w zamyśleniu, powoli pocierając o siebie kciukami splecionych dłoni. – Pracowałem jako nawigator i operator czujników w niewielkiej grupie zajmującej się przemytem. Spartoliliśmy pewien kurs i musieliśmy salwować się ucieczką przed kilkoma krążownikami typu Carrack. Udało nam się, ale nie miałem dość czasu, by dokonać dokładnych obliczeń, więc przelecieliśmy tylko jakieś pół roku świetlnego, a potem przerwaliśmy skok, żeby jeszcze raz wszystko przekalkulować. – Skrzywił się lekko. – Wyobraź sobie tylko nasze zaskoczenie na widok dwu drednotów czekających na nas, gdy wyskoczyliśmy z nadprzestrzeni.

– Dryfujących samotnie w samym środku kosmicznej pustki.

Pokręcił głową.

– Nie do końca. I to właśnie sprawiło, że dopiero po kilku dniach doznałem olśnienia. Wszystko wskazywało na to, że te statki są w pełni funkcjonalne. Widzieliśmy rozświetlone iluminatory, reflektory… Działały nawet czujniki! Oczywiście uznaliśmy, że to część tamtej grupy, przed którą uciekaliśmy, więc kapitan zarządził natychmiastowy skok awaryjny, byle dalej od nich.

– Niezbyt dobry pomysł – skwitowała Mara.

– Musieliśmy szybko podjąć jakąś decyzję. Ta wydawała się słuszna – stwierdził ponuro Karrde. – Mieliśmy jednak pecha: nasz statek zahaczył podczas tamtej ucieczki o cień masy dużej komety. Rozwaliliśmy główny hipernapęd. Mało brakowało, a wszystko poszłoby w drzazgi. Podczas zderzenia zginęło pięciu członków naszej załogi, a kolejnych trzech zmarło wskutek ran, nim zdołaliśmy się dowlec do jakiegoś cywilizowanego zakątka galaktyki na awaryjnym hipernapędzie.

Milczał przez długą chwilę, aż wreszcie Mara przerwała ciszę pytaniem:

– Ilu… ilu z was wyszło z tego cało?

Karrde skupił na niej wzrok, a na jego usta znów wypełzł ten jego firmowy, ironiczny uśmieszek.

– Pytasz, kto jeszcze może wiedzieć o flocie?

– Skoro tak to ująłeś…

– Przeżyło nas sześciu. Jednak, tak jak mówiłem, wątpię, by ktokolwiek z nich domyślił się, na co trafiliśmy. Mnie samemu zaczęło coś świtać dopiero wtedy, gdy tknięty przeczuciem zajrzałem do zapisów czujników i odkryłem, że w okolicy było znacznie więcej statków niż tylko tamte dwa krążowniki.

– A co z rejestrem?

– Usunąłem dane – wyjaśnił Talon. – To znaczy, oczywiście, wcześniej zapamiętałem współrzędne.

Mara pokiwała głową.

– Wspominałeś, że to było… piętnaście lat temu, zgadza się?

– Tak. Kilkakrotnie zastanawiałem się nad powrotem w to miejsce i wykorzystaniem w jakiś sposób tych statków, ale… cóż, nigdy nie

znalazłem na to dość czasu. Opchnięcie dwóch setek krążowników na wolnym rynku wymaga nieco przygotowań. I to nawet jeśli znalazłoby się na wszystkie kupców, co samo w sobie stanowi duże wyzwanie.

– Aż do teraz.

Spojrzał na nią, podnosząc brew.

– Sugerujesz, żebym sprzedał je Imperium?

– Szukają okrętów – przypomniała mu. – I oferują za nie sto dwadzieścia procent ceny rynkowej.

Ponownie uniesienie brwi.

– Wydawało mi się, że nie przepadasz za Imperium.

– Bo tak jest – warknęła. – Ale jaki masz inny wybór? Oddać je Nowej Republice?

Wytrzymał jej spojrzenie.

– To mogłoby się okazać na dłuższą metę opłacalne.

Zwinęła lewą dłoń w pięść, targana sprzecznymi emocjami. Na samą myśl o tym, że krążowniki mogłyby wpaść w ręce Nowej Republiki, dziecka Sojuszu Rebeliantów, który zniszczył jej życie, robiło jej się niedobrze. Z drugiej strony zdawała sobie jednak sprawę, że obecne Imperium, pozbawione władzy Imperatora, stanowiło jedynie cień dawnej potęgi. W istocie nie zasługiwało już nawet na swoją nazwę. Oddawanie do jego dyspozycji Ciemnej Flotylli byłoby jak rzucanie pereł przed wieprze.

Ale… czy aby na pewno? Może teraz, gdy na czele floty stał znów wielki admirał, Imperium miało szansę odzyskać nieco z dawnej świetności? A jeśli była taka szansa, to…

– Co więc zamierzasz? – spytała.

– Na razie… nic – stwierdził flegmatycznie Karrde. – To podobna sytuacja jak ze Skywalkerem: jeśli zwrócimy się przeciwko Imperium, możemy być pewni, że nie puści nam tego płazem, jednak wszystko wskazuje na to, że w ostatecznym rozrachunku to Nowa Republika ma większe szanse na zwycięstwo. Przekazanie Thrawnowi Floty Katańskiej tylko odwlecze nieuchronne. Najsensowniejszym rozwiązaniem wydaje się w tej chwili zachowanie neutralności.

– Tyle tylko, że oddając Thrawnowi do dyspozycji drednoty, moglibyśmy się go wreszcie pozbyć – zauważyła nie bez kozery Mara. – Nie sądzisz, że to dobry powód, by je mu przekazać?

Karrde uśmiechnął się do niej bez przekonania.

– Daj spokój, Maro. Wielki admirał może i jest geniuszem taktycznym, jednak nie posądzałbym go o wszechwiedzę. Nie ma pojęcia, gdzie nas szukać. Poza tym jestem pewien, że ma w tej chwili ważniejsze rzeczy na głowie niż ściganie naszej grupy.

– Pewnie tak – zgodziła się niechętnie, jednak nie mogła opędzić się od natrętnej myśli, że nawet u szczytu potęgi, mając liczne obowiązki na głowie, Imperator poświęcał swój cenny czas, aby zemścić się na kimś, kto nadepnął mu na odcisk.

Brzęczyk na stanowisku łączności zasygnalizował nadchodzące połączenie i Mara wcisnęła przycisk, aby odebrać.

– Tak?

– Tu Lachton – dobiegł z głośnika znajomy głos. – Masz może gdzieś pod ręką Karrde'a?

– Tak, jestem tu – zawołał Talon, podchodząc do Mary. – Jak idzie maskowanie?

– Już niemal skończyliśmy – zameldował Lachton. – Skończyła nam się jednak siatka kamuflująca. Czy mamy jej więcej?

– Tak, powinno trochę jej być w którymś z magazynów – odparł Karrde. – Wyślę po nią Marę. Dacie radę ją odebrać?

– Jasne. Dankin po nią przyjdzie. I tak nie ma w tej chwili nic lepszego do roboty.

– W porządku. Będzie tu na niego czekała. – Dał Marze gestem znać, by zakończyła połączenie. – Wiesz, gdzie jest magazyn trzeci? – spytał.

Pokiwała głową.

– Ulica Wozwashi numer czterysta dwanaście. Trzy przecznice na zachód, dwie na północ.

– Dokładnie. – Wyjrzał przez okno. – Niestety, jest jeszcze zbyt wcześnie, by użyć śmigacza, więc musisz się przejść.

– Nie ma sprawy – zapewniła go. I tak miała ochotę na mały spacer. – Czy dwie skrzynki wystarczą?

– Jeśli zdołasz tyle unieść… – powiedział, mierząc ją wzrokiem, jakby chciał się upewnić, że jej ubiór nie wzbudzi sensacji na ulicach Rishi. Nie musiał jednak się o to martwić. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczył ją Imperator na samym początku jej służby, była umiejętność wtapiania się w otoczenie. – Jeśli nie, Lachtonowi i tak pewnie wystarczy jedna.

– Dobrze. Do zobaczenia później.

Na swoją siedzibę wybrali szeregowiec, niewyróżniający się niczym szczególnym spośród wielu podobnych budowli graniczących z jednym z setek niewielkich targowisk, których pełno było w tłocznej dolinie. Mara przez chwilę stała na ganku, rozglądając się czujnie w tłumie przechodniów. Przez przerwy między sąsiadującymi budynkami widziała bardziej oddalone rejony miasta, o typowej dla tych okolic zabudowie z kremowego kamienia. Gdzieniegdzie dało się też dostrzec skraj doliny oraz kilka samotnych domków, które przycupnęły ostrożnie na wznoszących się stromo ku niebu zboczach. Wiedziała, że daleko w majaczących na horyzoncie górach żyją tubylczy Rishi, którzy bez wątpienia z konsternacją przyglądali się tym dziwnym istotom zamieszkującym w tak koszmarnych warunkach: w najbardziej gorącym i wilgotnym miejscu na ich planecie.

Oderwała wzrok od górskich szczytów i szybko rozejrzała się jeszcze raz dookoła. Po drugiej stronie ulicy stały kolejne domy, a między nią a tymi budynkami płynął nieustanny strumień odzianych w jaskrawe szaty pieszych, zmierzających na położone na wschodzie targowisko i powracających z niego. Odruchowo powiodła wzrokiem po zabudowaniach, jednak lustrzane okna nie pozwalały dostrzec zbyt wielu szczegółów. Po chwili, również z przyzwyczajenia, zlustrowała każdą z wąskich alejek dzielących budynki.

Na tyłach jednego z domów dostrzegła stojącego w bezruchu mężczyznę w niebieskim szalu i zielonej tunice we wzory, ledwie zauważalnego w cieniu… i patrzącego wprost na nią.

Powiodła wzrokiem dalej, jakby nigdy nic, jednak serce podeszło jej do gardła i zaczęło bić jak szalone. Opuściwszy wnękę, zwróciła

się na wschód, ku targowisku, i dołączyła do strumienia przechodniów.

Nie trzymała się go jednak długo. Gdy tylko zniknęła z pola widzenia tajemniczego obserwatora, zaczęła przedzierać się w poprzek tłumu, kierując się ku szeregowi domów po drugiej stronie. Gdy do niego dotarła, od miejsca, w którym widziała ostatnio mężczyznę w niebieskim szalu, dzieliły ją trzy domy. Zanurkowała w alejkę i ruszyła na tyły budynków. Jeśli gość rzeczywiście obserwował ich kwaterę, istniała spora szansa, że zdoła zajść go od tyłu.

Kiedy jednak skręciła za róg szeregowca, po mężczyźnie nie było ani śladu.

Przez chwilę stała tam, rozglądając się w poszukiwaniu wskazówek co do miejsca pobytu nieznajomego. Nie czuła nic, co choćby odlegle przypominało tamto naglące mrowienie, dzięki któremu w ostatniej chwili udało im się uciec z Myrkr, jednak – tak jak powiedziała Karrde'owi – nie była w stanie kontrolować swojego talentu ani używać go na zawołanie.

Spojrzała na ziemię, szukając śladów stóp mężczyzny, i znalazła je – kilka słabych odcisków butów, odbitych w cienkiej warstwie pyłu nagromadzonego za rogiem domu. Ich układ sugerował, że obserwator stał w tym miejscu dość długo, by kilkakrotnie przestąpić z nogi na nogę. Kawałek dalej, w samym środku kolejnej łachy pyłu, widać było następny ślad, tym razem wyraźniejszy, skierowany na zachód, za szereg domów.

Spojrzała w tę stronę i wydęła z pogardą usta. To był żałośnie oczywisty trop – nikt nie odciskał w piachu śladów butów tak czysto i dokładnie… chyba że bardzo zależało mu na tym, by ktoś inny je zauważył. Nie myliła się: dostrzegła go jakieś sto metrów dalej w linii prostej, idącego jakby nigdy nic wzdłuż tylnej ściany budynków. Kierował się ku ulicy prowadzącej z północy na południe. Zgadza się – facet w niebieskim szalu i we wzorzystej tunice. Cóż, niezbyt subtelna zachęta…

„W porządku, przyjacielu – pomyślała, ruszając za nim. – Chcesz się pobawić w kotka i myszkę? To się pobawimy".

Kiedy dotarł do potoku pieszych poruszających się wzdłuż osi północ–południe, wmieszał się w tłum i skierował swoje kroki na północ. Zmniejszyła wówczas odległość do mężczyzny do jakichś dziewięćdziesięciu metrów i odczytała jego posunięcie jako kolejne otwarte zaproszenie, by poszła za nim i jeszcze bardziej skróciła dzielący ich dystans.

Tym razem jednak nie zamierzała grać według jego zasad. Zapamiętała topografię miasta w dolinie już pierwszego dnia, gdy tu dotarli, i zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że próbował ją zwabić do mniej zaludnionej dzielnicy leżącej na północy, gdzie najprawdopodobniej spróbuje się z nią policzyć bez świadków. Gdyby zdołała dotrzeć tam pierwsza, może udałoby jej się obrócić tę sytuację na swoją korzyść… Sprawdziła jeszcze raz, czy blaster ukryty w rękawie jest na swoim miejscu, i skręciła w przecznicę między budynkami po prawej, kierując się na północ.

Dolina leżała mniej więcej na osi wschód–zachód, ciągnąc się przez jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów, jednak w tym miejscu była szeroka zaledwie na kilka tysięcy metrów. Mara przyspieszyła kroku, co jakiś czas klucząc, aby ominąć tłum i przeszkody. Domy i sklepy przerzedzały się stopniowo, ustępując miejsca drobnym warsztatom, aż wreszcie dziewczyna uznała, że znalazła się wystarczająco daleko. Jeśli jej ofiara przez cały ten czas utrzymywała tempo osoby, która nie chce zgubić kogoś, kto ją śledzi, ona sama powinna mieć dość czasu, by odpowiednio się przygotować na spotkanie z nieznajomym w niebieskim szalu…

Oczywiście zawsze istniała szansa, że po drodze skręcił w którąś z innych przecznic, zawrócił na wschód lub zachód czy nawet cofnął się do ich bazy… Gdy jednak wyjrzała ostrożnie zza rogu budynku na główną ulicę, odkryła, że jego wyobraźnia była równie ograniczona jak techniki tropienia: jakieś pół kwartału dalej kucał nieruchomo za stertą beczek, odwrócony plecami do niej, z szalem przerzuconym przez ramię, ściskając coś kurczowo w dłoni – najprawdopodobniej broń. Bez dwóch zdań czekał, aż Mara wpadnie w jego pułapkę… „Co za amatorszczyzna” – parsknęła w myśli, krzywiąc się z pogardą.

Nie spuszczając go z oka i nie zawracając sobie nawet głowy dobywaniem blastera, wyszła zza budynku i zaczęła się do niego skradać…

– Wystarczy – warknął ktoś za jej plecami.

Zamarła. Postać skulona obok beczek ani drgnęła i dopiero wówczas dotarło do niej, że była stanowczo zbyt nieruchoma jak na kogoś, kto zaczaił się w zasadzce. Jeśli chodzi o ścisłość, zbyt nieruchoma, by w ogóle żyć…

Powoli, z rękami rozłożonymi szeroko na boki, odwróciła się w stronę źródła głosu: dość postawnego mężczyzny średniego wzrostu, o ciemnych, pochmurnych oczach. Spod rozchylonej bluzy nieznajomego wyzierał lekki pancerz, a w jego dłoni widniał – jakżeby inaczej – blaster.

– No, no… – rzucił szyderczo. – Kogo my tu mamy? To była najwyższa pora, by nasza ptaszyna się pokazała, bo już zaczynałem się bać, że się zgubiła czy coś…

– Kim jesteś? – spytała Mara.

– O nie, nie, ruda! – Mężczyzna zacmokał z dezaprobatą. – To ja zadaję tu pytania. Nie żebym musiał się przy tym specjalnie wysilać… Ten twój czerwony łeb jest jak pochodnia: nie dość, że doskonale widać go z daleka, to jeszcze wystarczy za twoją wizytówkę. – Wskazał blasterem na jej ognistorude włosy. – Powinnaś się zgolić na łyso albo przefarbować. Zdradzają cię od razu. Zabójcza fryzurka, że się tak wyrażę. Jeśli wiesz, co mam na myśli, he, he.

Mara wzięła ostrożnie głęboki oddech, zmuszając się do rozluźnienia napiętych mięśni.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała spokojnie.

– Tego samego co każdy facet. – Uśmiechnął się do niej chytrze. – Grubej forsy, maleńka!

Potrząsnęła głową.

– Jeśli o to ci chodzi, to źle trafiłeś. Mam przy sobie tylko pięć dych.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Taaa, jasne, ale marnujesz tylko czas, ruda. Wiem, kim jesteś, o tak. Dzięki tobie i twoim ziomkom nieźle się obłowię. No, dosyć

już tego dobrego. Idziemy.

Mara ani drgnęła.

– Może… moglibyśmy się jakoś dogadać? – zaproponowała, czując, jak między łopatkami spływa jej strumyk zimnego potu. Wiedziała, że nie powinna dać się zwieść jego pozornej swobodzie i prostemu językowi – kimkolwiek był, doskonale wiedział, co robi.

Plus był taki, że ona wciąż miała ukryty w rękawie blaster. Szła o zakład, że przeciwnik nie spodziewał się, że jego ofiara może mieć przy sobie broń o tak dużej mocy. Fakt, że jak na razie nie zadał sobie nawet trudu, by ją przeszukać, tylko to potwierdzał.

Jednak cokolwiek zamierzała zrobić, musiała podjąć decyzję teraz, szybko, gdy wciąż jeszcze miała szansę. Niestety, pozycja z rozłożonymi rękami nie sprzyjała realizacji jej planu: nie zdoła dość szybko dobyć broni, nie ściągając przy tym jego uwagi. Musiała więc jakoś go rozproszyć…

– Dogadać, hę? – spytał chytrze. – Co dokładnie masz na myśli?

– A na czym by ci zależało? – odpowiedziała pytaniem. Gdyby w pobliżu nóg miała jakąś skrzynkę, mogłaby spróbować poderwać ją z ziemi stopą i w niego rzucić… Jednak chociaż w okolicy walało się mnóstwo najróżniejszych śmieci, to w zasięgu wzroku nie widziała nic, co mogłaby wykorzystać. Buty miała solidnie pozapinane, więc nie było szans, by zdołała zrzucić któryś z nogi bez użycia rąk. Lekko spanikowana przebiegła w myśli listę przedmiotów oraz części garderoby, które miała na sobie… Nic, z czego mogłaby zrobić dobry użytek.

Pod okiem Imperatora, który osobiście nadzorował jej wszechstronne szkolenie, zdobyła umiejętności bezpośredniej manipulacji Mocą, a także porozumiewania się na odległość. Gdy mu służyła, stosowała je na porządku dziennym, ale w momencie jego śmierci te zdolności zniknęły. Od tamtej pory tylko raz na jakiś czas zdarzało się, że dawały o sobie znać, lecz losowo i chaotycznie.

Jednak… skoro wróciły przeczucia i dziwne podszepty intuicji, to może odzyskała też inne moce?

– Podwoimy każdą cenę, jaką podasz – rzuciła śmiało. – A może i dorzucimy coś ekstra.

– To naprawdę hojna oferta, ruda! No, no… – Oczy zalśniły mu ze złośliwej uciechy. – Niejeden by się pewnie dał na to skusić, bez dwóch zdań. Ja jednak… – podniósł nieco wyżej lufę blastera – wolę ptaszynę w garści niż coś większego na dachu.

– Nawet jeśli tracisz w ten sposób drugie tyle? – spytała, zezując ostrożnie w stronę niewielkiej sterty metalowych części spiętrzonych bezładnie pod pobliską ścianą. Szczególnie obiecująco wyglądał krótki kawałek rury, niezbyt pewnie oparty o skraj pokiereszowanej obudowy ogniwa zasilającego…

Zacisnąwszy zęby, oczyściła umysł najlepiej, jak zdołała, i sięgnęła myślą ku kawałkowi rury.

– Wolę mieć na koncie połowę niż dwa razy więcej w sferze obietnic – warknął nieznajomy. – Tak czy inaczej, wątpię, byście zdołali przelicytować Imperium.

Przełknęła głośno ślinę. Od początku podejrzewała, że w grę może wchodzić nagroda wyznaczona przez Imperium, jednak usłyszenie tego na własne uszy sprawiło, że przeszedł ją zimny dreszcz.

– Mógłbyś się zdziwić – rzuciła jednak pozornie lekkim tonem.

Kawałek rury zadrżał ledwie zauważalnie… i odtoczył się kilka milimetrów na bok.

– Wątpię – parsknął lekceważąco mężczyzna. – No, już. Idziemy.

Mara wycelowała palec w trupa w zielonej szacie, skulonego przy skrzyni za jej plecami.

– Czy mógłbyś mi najpierw wyjaśnić, co tu zaszło?

Nieznajomy wzruszył ramionami.

– A o czym tu opowiadać? Potrzebowałem wabika, a on zjawił się w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwym czasie. Koniec historii. – Jego uśmiech znikł nagle bez śladu. – Dosyć gadania. Odwróć się i zacznij iść przed siebie… chyba że wolisz, bym zadowolił się nagrodą za trupa.

– Nie – mruknęła pod nosem Mara. Wzięła głęboki oddech i napięła mięśnie, wiedząc, że drugiej szansy nie dostanie…

Za plecami napastnika rura zaczęła spadać na ziemię.

Musiała to przyznać: był dobry. Nim jeszcze rura dotknęła ziemi, klęczał już na jednym kolanie, w błyskawicznym obrocie ostrzeliwując się z prawa na lewo i lustrując jednocześnie okolicę

czujnym spojrzeniem. Zorientowanie się, że został wmanewrowany, zajęło mu niecałą sekundę: niemal natychmiast zaczął odwracać się z powrotem w stronę Mary, nie zaprzestając ostrzału…

Ona jednak nie potrzebowała więcej czasu. Wciąż jeszcze odwracał się w jej kierunku, gdy promień energii wystrzelony z jej blastera przeszył mu czaszkę.

Przez długą chwilę stała tak, dysząc, w bezruchu i dygocząc lekko z wysiłku. W końcu otrząsnęła się i rozejrzała ukradkiem, by sprawdzić, czy przypadkiem nikt nie biegnie w jej stronę zaalarmowany zamieszaniem. Wokół nie było widać na szczęście żywej duszy, więc schowała broń do ukrytej kabury i przyklękła przy trupie.

Tak jak się spodziewała, nie znalazła zbyt wiele: identyfikator (prawdopodobnie fałszywkę) na nazwisko Dengar Roth, kilka zapasowych ogniw do blastera, wibroostrze, datakartę i datapad, a także nieco drobnych – zarówno w walucie lokalnej, jak i w imperialnych kredytach. Wsunęła dokument tożsamości i kartę do kieszeni, zostawiając resztę drobiazgów oraz broń przy ciele, i wstała.

– No to masz teraz swoje dwa razy więcej – mruknęła, mierząc wzrokiem trupa. – Nie musisz dziękować.

Zerknęła na kawałek rury, który ocalił jej życie. Miała rację. Kontakt z Mocą – jakkolwiek ledwie wyczuwalny – wrócił, podobnie jak przeczucia. Co oznaczało, że wkrótce zaczną się również sny…

Zaklęła pod nosem. Cóż, jeśli one także przyjdą, nic na to nie poradzi – będzie mogła tylko próbować przeczekać. W tej chwili miała inne, zdecydowanie ważniejsze rzeczy na głowie. Rozejrzała się ostatni raz dookoła i ruszyła w stronę kryjówki.

Karrde i Dankin czekali już na nią. Na jej widok ten ostatni przestał nerwowo spacerować w tę i we w tę.

– Jesteś wreszcie! – warknął, gdy zamknęła za sobą tylne drzwi. – Gdzie się, u li…

– Mamy kłopoty – weszła mu w słowo, podając Karrde’owi plakietkę identyfikacyjną Dengara Rotha, po czym skierowała się do

wciąż jeszcze nie do końca zmontowanej centralki łączności. Odsunęła na bok wiązkę kabli, namierzyła datapad i wsunęła do czytnika kartę.

– Jakie mianowicie? – spytał Karrde, zatrzymując się obok niej.

– Mianowicie łowcy nagród – mruknęła, podając mu datapad. Na samym środku ekranu, w schludnej ramce, pod wypisaną dużymi cyframi kwotą dwudziestu tysięcy widniała twarz Talona. – Najprawdopodobniej dotyczy to nas wszystkich – poinformowała go. – A przynajmniej tych z nas, o których wie wielki admirał Thrawn.

– A więc teraz jestem wart dwadzieścia patyków – mruknął pod nosem Karrde, szybko przeglądając resztę zawartości karty. – No, no, jestem pod wrażeniem.

– Tylko tyle masz na ten temat do powiedzenia? – spytała ostro Mara.

Podniósł na nią wzrok.

– A co mam ci powiedzieć? – odpowiedział spokojnie. – Że miałaś rację, a ja myliłem się co do tego, że Imperium się nami interesuje?

– Nie szukam winnego – odburknęła. – Chciałabym tylko wiedzieć, co z tym zrobimy.

Zerknął znów na ekran datapada. Mięśnie szczęki stężały mu wyraźnie, gdy zacisnął zęby.

– Zrobimy jedyną rzecz, którą możemy zrobić w tej sytuacji – orzekł. – To znaczy znikniemy stąd. Dankin? Nawiąż bezpieczne połączenie z Lachtonem i każ mu wszystko z powrotem zwijać. Daj też znać Chinowi i jego ekipie: niech przepakują cały sprzęt z magazynów. Możesz zostać tu i pomóc mi i Marze. W miarę możliwości chciałbym opuścić Rishi przed północą.

– Jasne – potwierdził przyjęcie rozkazu Dankin, wpisując w pulpit łączności odpowiedni kod.

Karrde oddał tymczasem datapad Marze.

– Cóż, lepiej zabierajmy się do roboty.

Zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– A co będzie, gdy skończą nam się awaryjne bazy? – spytała cicho.

Popatrzył jej w oczy.

– Nie oddamy im tych drednotów pod przymusem – odparł, zniżając głos do szeptu. – Ani Thrawnowi, ani nikomu innemu.

– Możliwe, że nie będziemy mieli innego wyjścia. Mogą nas do tego zmusić…

Spojrzał na nią twardo.

– To my podejmiemy decyzję – poprawił ją. – Póki co nic nie musimy. Czy to jasne?

– Tak – bąknęła, krzywiąc się w duchu.

– Świetnie. – Karrde obejrzał się przez ramię na Dankina, który tłumaczył coś z przejęciem przez komunikator. – Czeka nas mnóstwo pracy. Lepiej bierzmy się do roboty.

Mara mogłaby przysiąc, że całego sprzętu nie da się zdemontować w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin, jednak ku jej zaskoczeniu zdołali zapakować wszystko i przygotować się do odlotu, nim wybiła pierwsza w nocy lokalnego czasu. Godzinę później, hojnie uprzednio wynagrodziwszy władze kosmoportu, opuścili Rishi i skoczyli w nadprzestrzeń.

A nieco później tej samej nocy, gdy „Dziki Karrde” przedzierał się przez tunel nadprzestrzeni, wróciły sny.

Rozdział 6

Z daleka jednostka przypominała zwykły krążownik transportowy: stary, powolny, o szczątkowym uzbrojeniu i niewyróżniający się niczym szczególnym – no, może poza rozmiarami. Jednak jak to często bywa na wojnie, także w tym przypadku pozory okazały się mylące – i Pellaeon musiał przyznać, że gdyby nie obecny na mostku wielki admirał Thrawn, być może dałby się zaskoczyć.

Jednak Thrawn był w pobliżu – i natychmiast domyślił się, że stratedzy Rebelii nie powierzyliby eskorty tak ważnego konwoju pierwszemu lepszemu statkowi. Dlatego też gdy z hangarów krążownika wyroiły się nagle trzy pełne eskadry A-wingów, TIE interceptory „Chimaery" czekały już na nie, gotowe wyjść im na powitanie.

– Ciekawa taktyka – ocenił wielki admirał, gdy przestrzeń między „Chimaerą" a rebelianckim konwojem przecięły pierwsze laserowe strzały – choć niespecjalnie odkrywcza. Pomysł przerabiania krążowników transportowych na lotniskowce wykorzystano już dwadzieścia lat temu.

– Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wcześniej się z tym spotkał – przyznał Pellaeon, z pewnym niepokojem śledząc rozwój sytuacji na ekranach taktycznych. A-wingi były jeszcze szybsze od tych przeklętych X-wingów. Do tego stopnia, że zaczynał się zastanawiać, czy imoerialne TIE interceptory sobie z nimi poradzą…

– Wspaniałe maszyny, te A-wingi – westchnął Thrawn, całkiem jakby czytał mu w myślach. – Mają jednak swoje ograniczenia. Przede wszystkim tego typu superszybkie maszyny zdecydowanie lepiej sprawdzają się w błyskawicznych atakach niż jako eskorta. Konieczność trzymania się w pobliżu konwoju nie pozwala im w pełni wykorzystać przewagi prędkości. – Spojrzał na Pellaeona, podnosząc granatowoczarną brew. – Być może jesteśmy właśnie świadkami skutków odsunięcia admirała Ackbara od władzy jako głównego dowódcy sił zbrojnych Nowej Republiki…

– Możliwe – bąknął Pellaeon.

Wydawało się jednak, że TIE interceptory całkiem nieźle radziły sobie jednak z A-wingami, zaś „Chimaera" bez dwóch zdań nie miała najmniejszego problemu z rozprawieniem się z ich lotniskowcem. W oddali reszta konwoju starała się zbić w grupę – całkiem jakby mogło im się to na coś przydać…

– A jednak ludzie Ackbara wciąż są u władzy – zauważył Thrawn.

– Na to wygląda.

– Już to przerabialiśmy, kapitanie – oznajmił admirał nieco chłodniejszym tonem. – Dostarczenie oczywistych dowodów przeciwko Ackbarowi zbyt szybko zakończyłoby jego karierę polityczną. Subtelniejszy atak również go unieszkodliwi, a w dodatku wprowadzi element niepewności oraz zamieszania do całego systemu politycznego Rebelii. A przynajmniej zdezorientuje ich i osłabi w chwili, gdy rozpoczniemy kampanię „Góra Tantiss". Przy odrobinie szczęścia jednak… może uda nam się rozbić cały Sojusz. – Uśmiechnął się lekko. – Ackbar nie jest niezastąpiony. Jednak delikatna równowaga polityczna, którą z takim trudem osiągnęła Rebelia… cóż… ją znacznie trudniej będzie odbudować.

– Oczywiście wiem o tym, admirale – warknął Pellaeon. – Martwi mnie jedynie pańskie przekonanie, że ten Bothanin w Radzie zdoła wywrzeć nacisk, który zaowocuje przewidywanym przez pana kryzysem.

– Och, ależ zrobi to, może mi pan wierzyć – zapewnił go Thrawn, z ironicznym uśmiechem spoglądając przez iluminator na bitwę toczącą się wokół konwoju wroga. – Spędziłem wiele godzin na studiowaniu bothańskiej sztuki, kapitanie, i dobrze poznałem tok myślenia oraz zachowanie tej rasy. Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że radca Fey'lya świetnie odegra swoją rolę. Zrobi to równie doskonale, jakbyśmy to my sami bezpośrednio pociągali za sznurki. – Wcisnął klawisz na pulpicie. – Baterie prawoburtowe: jedna z fregat w konwoju zajmuje pozycję do ataku. Przyjmijcie, że to uzbrojone wsparcie… i potraktujcie adekwatnie. Eskadry A-dwa i A-trzy, ochraniać tę flankę, dopóki fregata nie zostanie wyeliminowana.

Obsługa baterii i dowódca skrzydła myśliwców TIE potwierdzili przyjęcie rozkazów i już wkrótce ku fregacie poszybowały strzały z turbolaserów.

– A co będzie, jeśli Fey'lya wygra? – dociekał Pellaeon. – To znaczy zbyt szybko? Zanim rozpęta się polityczny chaos. Z pańskiej analizy gatunku wynika, że każdy Bothanin, który wspiął się po szczeblach kariery tak wysoko jak Fey'lya, musi być bardzo inteligentny…

– Owszem, jednak niekoniecznie w sposób, który czyniłby go niebezpiecznym dla nas, kapitanie – zastrzegł Thrawn. – To prawda, że umie dążyć do wyznaczonego celu, jednak tego typu zdolności werbalne niekoniecznie muszą przekładać się na umiejętności militarne. – Wzruszył ramionami. – W rzeczywistości zwycięstwo Fey'lyi przeciągnie tylko w czasie niekorzystną sytuację w obozie wroga. Jeśli wziąć pod uwagę poparcie, jakie Bothanin zyskuje w szeregach wojskowych Rebelii, politycy musieliby się liczyć z wywołaniem kolejnej burzy, gdyby uświadomili sobie swoją pomyłkę i spróbowali zastąpić go teraz kimś innym.

– Tak jest, sir – bąknął Pellaeon, tłumiąc westchnienie. Nigdy nie był zbyt mocny w politycznych gierkach. Teraz mógł tylko mieć nadzieję, że wielki admirał ma rację co do potencjalnych korzyści wynikających z tej sytuacji. Byłoby szkoda, gdyby cała ta wspaniała praca speców od wywiadu, którzy sfingowali aferę z bankiem, poszła na marne i nie przyniosła żadnych efektów.

– Proszę mi zaufać, kapitanie – powiedział Thrawn, jakby czytał mu w myślach. – Jeśli chodzi o ścisłość, to rzekłbym, że zasiane przez nas ziarno politycznych niepokojów już nieśmiało kiełkuje. Najbardziej zatwardziali sojusznicy Ackbara nie opuściliby w tym momencie Coruscant, gdyby nie szukali desperacko dowodów, które by go oczyściły z zarzutów.

Pellaeon spojrzał na niego z niepewną miną.

– Chce pan powiedzieć, że Solo i Organa Solo lecą do układu Palanhi?

– Sądzę, że zmierza tam jedynie Solo – poprawił go z namysłem Thrawn. – Jego żona i Wookiee z dużym prawdopodobieństwem będą szukać miejsca, w którym mogliby się ukryć przed Noghrimi.

Ale Solo… o tak, on już leci na Palanhi, ponieważ na podstawie dowodów pozostawionych przez naszych hakerów zyskał pewność, że ślad prowadzi właśnie do tego układu. Właśnie dlatego wysłałem tam „Grot Śmierci”.

– Rozumiem – mruknął pod nosem Pellaeon. Zauważył wcześniej ten rozkaz w dzienniku i zachodził w głowę, w jakim celu i dokąd Thrawn oddelegowuje jeden ze swoich najlepszych niszczycieli. – Mam nadzieję, że poradzą sobie z powierzonym im zadaniem. Solo i Skywalker w przeszłości wielokrotnie się nam wymykali…

– Wątpię, by Solo zabrał ze sobą Skywalkera – zauważył wielki admirał z dziwnie kwaśną miną. – Wszystko wskazuje na to, że nasz szacowny mistrz Jedi rzeczywiście trafnie przewidział rozwój wydarzeń: Skywalker postanowił złożyć mu wizytę na Jomarku.

– Czy… jest pan tego pewien, admirale? – Pellaeon wytrzeszczył na niego oczy. – Wywiad nie dostarczył żadnych materiałów, które by o tym świadczyły…

– Ta informacja nie pochodzi od wywiadu – sprostował Thrawn. – Tylko ze Źródła Delta.

– Och… – bąknął Pellaeon, czując, że rzednie mu mina.

Dział wywiadu „Chimaery” od wielu miesięcy wiercił mu dziurę w brzuchu, by dowiedział się, kim lub czym było to całe Źródło Delta, dostarczające admirałowi tak dokładnych i wyczerpujących informacji z samego serca pałacu imperialnego. Jak dotąd Thrawn wyjawił jedynie, że Delta ma świetną pozycję w pałacu oraz że informacje, które im przekazuje, są w stu procentach wiarygodne.

Póki co wywiadowi nie udało się nawet zdefiniować, czy Źródło Delta było osobą, droidem, czy też może jakimś ultranowoczesnym systemem podsłuchowym, który jakimś cudem nie został wykryty w trakcie przeprowadzanych nieustannie kontroli w pałacu imperialnym. Irytowało ich to nieskończenie, zaś Pellaeon musiał przyznać, że jemu również nie podobało się to błądzenie po omacku. Jednak to Thrawn stał za wprowadzeniem Źródła Delta w szeregi wroga, zaś wieloletni niepisany kodeks imperialny dawał mu pełne prawo do zachowywania takich poufnych informacji dla siebie, jeśli nie miał ochoty ich ujawniać.

– Jestem pewien, że C’baotha ucieszy ta wiadomość – powiedział więc kapitan dyplomatycznie. – Zakładam, że będzie pan chciał przekazać mu ją osobiście? – Jak sądził, dość dobrze udawało mu się ukrywać rozdrażnienie, jakie wywoływał u niego mistrz Jedi. Okazało się jednak, że i tym razem się mylił.

– Wciąż ma pan mu za złe Taanab – bardziej stwierdził, niż spytał wielki admirał, odrywając wzrok od rozgrywającej się za iluminatorem bitwy.

– Ja… zgadza się, sir – przyznał niechętnie Pellaeon. – Przeglądałem znów rejestry i istnieje tylko jedno logiczne wytłumaczenie: C’baoth celowo wyszedł poza plan bitwy przygotowany przez kapitana Abana… i sprzeciwił się wyraźnym rozkazom. Nie obchodzi mnie, kim jest ani czy był przekonany, że to jedyne słuszne rozwiązanie. Tego, czego się dopuścił, nie można nazwać inaczej niż tylko otwartym buntem.

– Owszem, zgadza się – potwierdził Thrawn jakby nigdy nic. – Jak pan zatem sądzi? Mam go za to zdymisjonować ze służby w szeregach Imperium czy tylko zdegradować?

Pellaeon łypnął na niego gniewnie.

– Mówię poważnie, panie admirale.

– Ja również, kapitanie – odparł Thrawn lodowatym tonem. – Doskonale pan wie, jak wysoka jest stawka w tej grze. Jeśli chcemy pokonać Rebelię, musimy wykorzystać każdą broń, jaką mamy do dyspozycji. Zdolność C’baotha do usprawniania koordynacji i wspomagania skuteczności bojowej naszych sił to właśnie jedna z takich broni, a jeśli nawet nie jest on w stanie dostosować się do wojskowej dyscypliny i naszego protokołu, to nagniemy dla niego zasady.

– A co będzie, jeśli nagniemy je tak mocno, że odbije nam się to czkawką? – spytał gorzko Pellaeon. – Na Taanab zignorował bezpośredni rozkaz… Nie możemy mieć pewności, że następnym razem nie będą to dwa rozkazy, potem trzy, a później cztery, dopóki w końcu nie zacznie robić, co mu się żywnie podoba, mniejsza o Imperium! Kto go wówczas powstrzyma?

– Na początek wykorzystamy isalamiry – powiedział Thrawn, wskazując na dziwne stelaże z rurek, których pełno było na mostku.

Na każdym z nich siedziało porośnięte sierścią stworzenie o wydłużonym ciele. Istoty wytwarzały coś w rodzaju odpornych na Moc baniek, wewnątrz których sztuczki Jedi C'baotha nie działały. – Właśnie po to je tu sprowadziliśmy.

– Cóż, znakomicie – skwitował Pellaeon – jednak na dłuższą metę…

– Na dłuższą metę sam go powstrzymam – nie dał mu dokończyć Thrawn, sięgając do swojego pulpitu. – Eskadra C-trzy, uwaga na lewą przednią flankę. Wieżyczka tej fregaty może być pułapką.

Dowódca potwierdził przyjęcie ostrzeżenia i TIE interceptory zawinęły posłusznie, jednak już po chwili, dosłownie ułamek sekundy później, wieżyczka eksplodowała bez ostrzeżenia, posyłając we wszystkie strony grad pocisków udarowych. Ostatnie z interceptorów pochłonęła chmura ognia, która zmieniła je w kulę rozprzestrzeniających się szybko szczątków, gdy nastąpiła wtórna eksplozja. Na szczęście pozostałym myśliwcom udało się w porę oddalić poza zasięg pułapki.

Thrawn zwrócił gorejące oczy na Pellaeona.

– Rozumiem pańskie obawy, kapitanie – powiedział cicho. – Jednak mam wrażenie, że nie dociera do pana… od początku do pana nie docierało, że człowiek tak rozchwiany emocjonalnie i umysłowo jak C'baoth *nie może* stanowić dla nas zagrożenia. Zgadza się: jest potężny i w każdej chwili bez dwóch zdań byłby w stanie uszkodzić nasz sprzęt oraz zaszkodzić naszym ludziom, jednak jego niestabilny stan nie pozwala mu wykorzystywać tych mocy przez dłuższy czas. Skupienie, koncentracja na danym celu, myślenie długofalowe to cechy, które odróżniają prawdziwego wojownika od zwykłego mięsa armatniego. A C'baoth nigdy ich nie posiądzie.

Pellaeon pokiwał ze znużeniem głową. Nadal nie był przekonany, jednak zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma sensu ciągnąć tej dyskusji. A przynajmniej nie w tej chwili.

– Tak jest, sir. – Wahał się przez chwilę, nim dodał: – C'baoth będzie również chciał wiedzieć, co z Organą Solo…

Oczy Thrawna zalśniły chmurnie, jednak Pellaeon wiedział, że to nie on jest powodem gniewu admirała.

– Powie pan mistrzowi C’baothowi, że postanowiłem dać Noghrim ostatnią szansę, by ją schwytali. Gdy bitwa dobiegnie końca, osobiście ich o tym poinformuję.

Pellaeon obejrzał się na drzwi prowadzące na mostek, przy których jak zwykle pełnił wartę milczący noghryjski ochroniarz Rukh.

– Czy zamierza zwołać pan wszystkich komandosów? – spytał, tłumiąc nagły dreszcz. Uczestniczył raz w podobnym spotkaniu. Miał wówczas okazję przebywać w pomieszczeniu pełnym tych cichych, szaroskórych zabójców i nie miał ochoty powtarzać tego doświadczenia.

– Sądzę, że sprawy zaszły zbyt daleko, by po prostu zwoływać zgromadzenie – oznajmił chłodno Thrawn. – Proszę przekazać nawigatorom, aby z punktu zbornego wytyczyli kurs na układ Honoghr. Mam wrażenie, że powinniśmy przypomnieć Noghrim, komu właściwie służą. – Przeniósł wzrok na iluminator i wpisał komendę w panel kontrolny. – Dowództwo TIE-ów? Odwołać wszystkie myśliwce – polecił. – Nawigacja, rozpocznijcie obliczenia w celu powrotu do punktu zbornego.

Pellaeon zmarszczył czoło i również wyjrzał przez panel widokowy. Zmodyfikowany krążownik transportowy i fregata wsparcia dryfowały bezwładnie w kosmosie, jednak konwój wydawał się w dużej mierze nieuszkodzony.

– Pozwolimy im odlecieć?

– Nie ma potrzeby ich unicestwiać – wyjaśnił Thrawn. – W tej chwili pozbawienie ich obrony to wystarczająca lekcja. – Wcisnął klawisz i między dwoma stanowiskami pojawił się hologram tej części galaktyki. Niebieskie linie wyznaczały główne szlaki handlowe Sojuszu. Te, które zaznaczono dodatkowo na czerwono, wskazywały na cele imperialnych ataków z ostatniego miesiąca. – Nasze ostatnie działania to coś więcej niż tylko nękanie wroga, kapitanie – powiedział Thrawn. – Gdy wieści o tym incydencie się rozejdą, kolejne konwoje z Sarki będą wymagały wzmocnionej ochrony. Jeżeli przypuścimy wystarczającą liczbę podobnych ataków, Rebelia będzie musiała albo oddelegować większość swojej floty do eskortowania, albo zaprzestać transportu towarów

z sektorów pogranicza. Niezależnie od tego, co wybiorą, znajdą się w bardzo niekorzystnej sytuacji, gdy rozpoczniemy kampanię „Góra Tantiss". – Admirał uśmiechnął się drapieżnie. – Ekonomia i psychologia, kapitanie. W tej chwili im więcej osób, które „cudownie" uniknęły śmierci z ręki Imperium, będzie rozpowszechniało wieści o jego potędze, tym lepiej. Czas na sianie zniszczenia przyjdzie później. – Powiódł wzrokiem po pulpicie, a potem wyjrzał ponownie przez iluminator. – A skoro już mowa o imperialnej potędze… Są jakieś wieści, jeśli chodzi o nowe statki?

– W ciągu ostatnich dziesięciu godzin skierowaliśmy pięć kolejnych okrętów do różnych imperialnych baz – zdał raport Pellaeon. – Największy jest co prawda stary gwiezdny galeon, ale można uznać, że to całkiem nieźle jak na początek.

– Będziemy potrzebowali znacznie więcej, kapitanie – powiedział z naciskiem Thrawn, wyciągając lekko szyję, aby zerknąć na powracające do hangarów interceptory. – Jakieś postępy w sprawie Talona Karrde'a?

– Od czasu tego komunikatu z Rishi cisza – poinformował go Pellaeon, wywołując na ekranie aktualizację odpowiedniego raportu. – Łowca nagród, który się z nami skontaktował, wkrótce potem został zabity.

– Nie zaprzestawać poszukiwań – polecił Thrawn. – Talon Karrde to jeden z tych ludzi, którzy doskonale wiedzą, co się dzieje w zakątkach galaktyki. Jeśli gdzieś kurzą się jakieś zbędne okręty, będzie wiedział, gdzie ich szukać.

Jeśli chodzi o Pellaeona, to uważał on za mało prawdopodobne, by przemytnik – nawet mogący się poszczycić równie imponującymi znajomościami co Karrde – dysponował lepszym źródłem informacji od sieci imperialnego wywiadu. Kapitan nie mógł jednak zaprzeczyć, iż wcześniej odrzucił możliwość, by Karrde ukrywał w swojej bazie na planecie Myrkr Luke'a Skywalkera… Cóż, wyglądało na to, że gość potrafił ich jednak zaskakiwać.

– Wysłaliśmy za nim masę ludzi – powiedział. – Prędzej czy później ktoś trafi na jego ślad.

– Doskonale. – Thrawn rozejrzał się po mostku. – A tymczasem… niech wszystkie jednostki kontynuują nękanie Rebelii. – Spojrzał

Pellaeonowi prosto w oczy. – I niech nasi ludzie mają oczy i uszy otwarte, na wypadek gdyby gdzieś pojawiły się „Sokół Millennium” lub „Ślicznotka”. Gdy już odpowiednio przygotuję Noghrich do powierzonego im zadania, nie chcę, by ofiary długo na nich czekały…

C’baoth rozbudził się gwałtownie, gdy dotarło do niego, że ktoś się zbliża. Niejasne, mroczne sny powoli się rozwiewały, ustępując miejsca rzeczywistości.

Przez chwilę leżał w ciemności, czując na nagiej piersi szorstki dotyk długiej, białej brody. Oddychał miarowo, sięgając jednocześnie zmysłami poprzez Moc, aby wybadać drogę prowadzącą z Wysokiego Zamku do skupiska wiosek u podnóża pasma górskiego. Miał trudności ze skupieniem się – i to poważne – jednak z posępną determinacją zignorował zmęczenie i spowodowany nim ból, przywołując wszystkie siły, by się skoncentrować. O tak… Jest! Nie, nie – nie w tym miejscu. Tutaj! Samotny mężczyzna dosiadający cracjańskiego kolosa, wspinający się mozolnie jednym z bardziej stromych fragmentów ścieżki. Najprawdopodobniej posłaniec przynoszący nowe wieści z wiosek. Z pewnością jakieś błahostki, które mimo to jego poddani uznali za dość ważne, by poinformować o nich swojego nowego mistrza.

Mistrz… Słowo odbiło się echem w umyśle C’baotha, wzbijając tuman okruchów myśli i uczuć. Słudzy Imperium, którzy przybywali tu, błagając go o pomoc w toczeniu swoich bitew, również nazywali go mistrzem. Podobnie jak mieszkańcy Waylandu, nad którymi panowanie w pełni mu wystarczało… dopóki nie zjawił się wielki admirał Thrawn i nie przekupił go obietnicą dostarczenia mu nowych uczniów Jedi.

Lud Waylanda naprawdę darzył go szacunkiem i uważał za swojego mistrza. Jednak mieszkańcy Jomarka jeszcze nie całkiem się do niego przekonali. A Imperium… Imperium tytułowało go mistrzem jedynie dla formalności.

C’baoth poczuł, jak usta wykrzywia mu mimowolny grymas rozgoryczenia. O nie – żołnierze Imperium zdecydowanie nie

uważali go za mistrza. Chcieli, by toczył dla nich ich bitwy. Ich brak wiary w niego popychał go do robienia rzeczy, których nie próbował od wielu lat, a jednak gdy udawało mu się osiągać niemożliwe, nadal w głębi duszy pogardzali nim, kryjąc się za tymi swoimi isalamirami oraz dziwną pustką, którą tworzyły one w Mocy.

Jednak on wiedział. O, tak. Widział te porozumiewawcze spojrzenia oficerów i słyszał wymieniane szeptem komentarze. Czuł podenerwowanie załóg statków, które z rozkazu dowództwa godziły się, by wpływał na ich zdolności bojowe, choć zdecydowanie im się to nie podobało. I obserwował, jak kapitan Aban, zasiadający w swoim fotelu dowodzenia na pokładzie „Bellicose", pomstował na niego i mu ubliżał – wciąż tytułując go mistrzem, a jednocześnie emanując gniewem i bezsilną wściekłością – podczas gdy on, C'baoth, spokojnie wymierzał karę rebelianckiemu statkowi, który ośmielił się zaatakować jego jednostkę.

Posłaniec zbliżał się już do bram Wysokiego Zamku. Sięgając po Moc, aby przywołać swoją szatę, C'baoth wstał. Lekko zakręciło mu się przy tym w głowie. Zadanie przejęcia na kilka sekund władzy nad umysłami obsługi turbolaserów „Bellicose", tak aby mogła ona zniszczyć tamten rebeliancki statek, nie było łatwe – wymagało większego skupienia i silniejszej kontroli niż wszystko, co robił wcześniej, zaś ból, który teraz odczuwał, był ceną za tę możliwość.

Przepasał szatę, wracając myślą do tamtych chwil. Zgadza się: było ciężko. A jednak zadanie to było jednocześnie dziwnie pokrzepiające i satysfakcjonujące. Na Waylandzie osobiście zarządzał miastem o populacji znacznie większej niż skupisko wiosek u podnóża Wysokiego Zamku. Tam jednak już od dawna nie musiał narzucać swojej woli siłą – ludzie i Psadanie podporządkowali mu się bardzo prędko. Nawet Myneyrshi, którzy przez długi czas sprzeciwiali się jego władzy, nauczyli się wypełniać rozkazy bez szemrania.

Imperialni, podobnie jak lud Jomarka, będą musieli prędzej czy później przyswoić tę samą lekcję.

Gdy Thrawn przekonał go do wsparcia swojej sprawy, zasugerował, że C'baoth zbyt długo nie miał okazji stawać przed prawdziwie godnym go wyzwaniem. Być może wielki admirał

w duchu uważał, że zadanie toczenia imperialnej wojny to zbyt wiele dla jednego Jedi…

C’baoth uśmiechnął się drapieżnie w mroku. Cóż, jeśli rzeczywiście ten obcy o pałających czerwienią oczach tak sądził, to już wkrótce bardzo, ale to bardzo się zdziwi. Bo kiedy wreszcie zjawi się tu Luke Skywalker, C’baothowi przyjdzie najprawdopodobniej stawić czoła największemu i najbardziej skomplikowanemu wyzwaniu w życiu: będzie musiał najsubtelniej, jak zdoła, nagiąć wolę Skywalkera, tak by działał on wedle jego życzenia, nie zdając sobie z tego jednocześnie sprawy.

A gdy już tego dokona, będzie ich dwóch… a kto wie, do czego będą wówczas zdolni?

Posłaniec zsiadł już ze swojego wierzchowca i stał teraz przed bramą. Emanował cierpliwością kogoś, kto jest przygotowany na czekanie, aż jego mistrz raczy poświęcić mu chwilę uwagi – niezależnie od tego, jak długo miałoby to potrwać. Doskonale: idealne nastawienie. Poprawiwszy węzeł na pasie szaty, C’baoth ruszył przez labirynt pogrążonych w mroku komnat w stronę drzwi, aby wysłuchać, co takiego mają mu do powiedzenia nowi poddani.

Rozdział 7

Chewbacca wprowadził „Sokoła” na orbitę porośniętego bujną zielenią księżyca Endora z precyzją, która zawsze zadziwiała w przypadku istoty o jego gabarytach. Mrucząc coś pod nosem, odciął zasilanie systemów i wygasił silniki, przełączając je w tryb uśpienia.

Usadowiona w fotelu drugiego pilota Leia wzięła głęboki oddech i skrzywiła się, gdy jedno z bliźniąt zareagowało żywiołowym kopniakiem.

– Wygląda na to, że Khabarakh jeszcze nie przyleciał – stwierdziła, po czym zganiła się w duchu, gdy dotarło do niej, że wcale nie musiała tego mówić: to było oczywiste. Obserwowała odczyty czujników od chwili, gdy wyskoczyli z nadprzestrzeni, a ponieważ w układzie nie było śladu innego statku, istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że przeoczyli jego obecność. Gdy jednak znajomy ryk silników przeszedł w cichy szum, zamiast wytchnienia cisza przyniosła jej dziwny niepokój.

Chewbacca zawarczał pytająco.

Leia wzruszyła ramionami.

– Chyba po prostu zaczekamy. Jeśli chodzi o ścisłość, jesteśmy niemal dzień wcześniej. Dolecieliśmy szybciej, niż się spodziewałam.

Chewbacca skupił się na własnym pulpicie, warknięciem wygłaszając komentarz na temat swoich podejrzeń odnośnie do przyczyny nieobecności Noghriego.

– Och, daj spokój, Chewie! – zganiła go z łagodną dezaprobatą. – Nie sądzisz, że gdyby chciał nas wciągnąć w pułapkę, czekałoby tu już na nas kilka gwiezdnych niszczycieli i krążownik przechwytujący?

– Wasza Wysokość? – dobiegł z głębi korytarza głos C-3PO. – Nie chciałbym przeszkadzać, ale wydaje mi się, że znalazłem usterkę w systemie nadajnika Carbanti. Czy mogłaby pani poprosić Chewbaccę, by tu do mnie na chwilę zajrzał?

Leia podniosła brwi w niemym zaskoczeniu i spojrzała na Chewiego. Jak zwykle w przypadku „Sokoła” tuż po starcie z Coruscant kilka układów zaczęło szwankować. Zajęty ważniejszymi naprawami Wookiee powierzył zadanie zajęcia się stosunkowo mniej istotnym nadajnikiem towarzyszącemu im droidowi protokolarnemu. Leia nie miała nic przeciwko, aczkolwiek zważywszy na mizerne skutki ostatnich prac C-3PO na pokładzie frachtowca, nie spodziewała się, by tym razem coś z tego wyszło.

– Jeszcze będzie z niego droid serwisowy – zapewniła Chewbaccę półżartem. – I będzie to z pewnością twoja zasługa.

Wookiee parsknął tylko i wstał, kierując się w głąb statku, aby sprawdzić, co takiego znalazł robot. Gdy drzwi kokpitu zamknęły się za nim, zapanowała całkowita cisza.

– Widzicie tę planetę, maleństwa? – spytała szeptem Leia, głaszcząc delikatnie swój brzuch. – To Endor. To właśnie tu Sojusz Rebeliantów zatriumfował ostatecznie nad Imperium. To tu narodziła się Nowa Republika. – „A przynajmniej – poprawiła się w duchu – taką wersję będą kiedyś głosili historycy. Że Imperium upadło na Endorze, a potem już tylko dogorywało”.

Jednak proces ten póki co ciągnął się już pięć długich lat. Obecnie wszystko zaś wskazywało, że może to potrwać jeszcze dwadzieścia kolejnych lat.

Przesunęła wzrokiem po połaciach żywej, usianej ciemniejszymi plamkami zieleni, sunących z wolna w dole, zastanawiając się kolejny raz, dlaczego właściwie wybrała właśnie to miejsce na spotkanie z Khabarakhiem. Jasne, ten układ znali chyba wszyscy w galaktyce – zarówno mieszkańcy planet pod rządami Republiki, jak i tych podporządkowanych Imperium – i wiedzieli, jak tu trafić. A ponieważ walki w tym sektorze już dawno ustały, było to dobre miejsce na spotkanie.

Jednak było ono jednocześnie pełne wspomnień, i to bolesnych, do których Leia niezbyt chętnie wracała – bo nim odnieśli triumf, mało brakowało, a straciliby niemal wszystko, o co z takim trudem walczyli.

Z zamyślenia wyrwało ją pytanie Chewbakki, który zaryczał gdzieś z głębi korytarza.

– Poczekaj sekundę, już to sprawdzam! – odkrzyknęła, a potem pochyliła się nad kontrolkami i pstryknęła przełącznikiem. – Mam tu odczyt „W uśpieniu/obliczam” – zameldowała. – Zaraz… teraz zmieniło się na „System w gotowości”. Czy mam…?

Nagle, bez ostrzeżenia, wszystko przesłoniła nieprzenikniona czerń.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, gdzieś na jej obrzeżach zaczął rozbrzmiewać metaliczny głos:

– Wasza Wysokość? – powtarzał raz za razem. – Wasza Wysokość! Czy mnie pani słyszy? Wasza Wysokość, czy słyszy mnie pani?

Otworzyła oczy, lekko zaskoczona, że w ogóle były zamknięte. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była kudłata głowa Chewbakki, pochylającego się nad nią z pakietem medycznym w wielkiej łapie, drugą zaś podenerwowany C-3PO, drepczący wokół niego niczym kwoka.

– Nic mi nie jest – wymamrotała. – Co się stało?

– Wzywała pani pomocy – wyjaśnił C-3PO, nim jeszcze Chewbacca zdążył coś powiedzieć. – A przynajmniej tak nam się zdawało – uściślił. – Nie brzmiało to, szczerze powiedziawszy, zbyt spójnie…

– Nie wątpię – mruknęła. Teraz zaczęła sobie przypominać. Wspomnienia wyłaniały się z otchłani jej pamięci powoli niczym księżyc wychodzący zza chmur: poczucie zagrożenia, wściekłość, nienawiść, rozpacz… – Nie czułeś tego, prawda? – spytała Chewbaccę, raczej niepotrzebnie.

Oczywiście zaprzeczył, przyglądając jej się uważnie.

– Ja również nic nie poczułem – wtrącił usłużnie C-3PO.

Pokręciła głową.

– Nie wiem, co to było. W jednej chwili siedziałam tu i sprawdzałam coś na pulpicie, a za moment… – Urwała, tknięta nagłym przeczuciem. – Chewie, jak dokładnie przebiega nasza orbita? Czy nie przechodzi przypadkiem w pobliżu miejsca, w którym wybuchła Gwiazda Śmierci?

Chewbacca przypatrywał się jej przez chwilę, powarkując coś gardłowo, a potem przełożył pakiet medyczny do drugiej łapy

i wcisnął kilka klawiszy na pulpicie sterowniczym, uzyskując niemal natychmiast odpowiedź na jej pytanie.

– Pięć minut temu… – powtórzyła, czując nagły chłód. – To by się zgadzało, prawda?

Chewie zawarczał potwierdzająco, a potem wyryczał pytanie.

– Nie mam pojęcia – wyznała. – Ale wydaje mi się, że to było coś podobnego do tego, czego doświadczył Luke podczas szkolenia Jedi – dodała, przypominając sobie poniewczasie, że jej brat chciał zachować swoje doświadczenie z Dagobah w tajemnicy. – On… miał pewną wizję, a ja… nie wiem, co to było – powtórzyła. – Czułam gniew i gorycz, a jednocześnie coś na kształt… smutku? Nie, nie do końca smutku. – Pokręciła bezsilnie głową, czując, że w oczach wzbierają jej łzy. – Po prostu… nie wiem. Mniejsza o to. Naprawdę czuję się już dobrze. Możecie wracać do pracy.

Chewbacca wymruczał coś bez przekonania, jednak nie protestował. Zamknął walizeczkę z pakietem medycznym i wyminął droida, wychodząc z kokpitu. Z typową dla Wookieech bezceremonialnością nie zamknął za sobą drzwi, znikając w głębi statku, zaś Leia spojrzała znacząco na C-3PO.

– Ty też – dodała. – No, już. Nie skończyliście napraw. Nic mi nie jest. Serio.

– Cóż, bardzo mnie to cieszy, Wasza Wysokość – stwierdził droid, jednak on również nie wyglądał tak, jakby wierzył jej zapewnieniom. – Skoro pani tak mówi…

– Mówię – ucięła dalszą dyskusję. – No, już cię tu nie ma!

C-3PO marudził jeszcze przez chwilę, jednak w końcu dał za wygraną i zostawił ją samą.

W ciszy. Tym razem wydawała się ona jednak bardziej ponura niż poprzednio – dziwnie mroczna i przygnębiająca.

Leia zacisnęła mocno zęby.

– Nie dam się zastraszyć – powiedziała głośno, z całą mocą. – Ani tu… ani gdziekolwiek indziej.

Żadnej reakcji. Po upływie minuty sięgnęła do pulpitu i zmieniła nieco kurs, tak aby ich statek nie znalazł się ponownie w miejscu, gdzie zginął Imperator. Choć zadecydowała, że nie da się zastraszyć,

wcale to nie oznaczało, że będzie się celowo narażała na nieprzyjemności.

Poza tym nie pozostało jej w tej chwili nic innego oprócz oczekiwania. I zastanawiania się, czy Khabarakh rzeczywiście się zjawi…

Najwyższa część otoczonego murami miasta Ilic wznosiła się nad otaczającą je szczelnie dżunglą. Przyglądając się jej, Han stwierdził, że całość sprawia wrażenie, jakby srebrzysty droid o kopułkowatym czerepie wynurzał się z bezkresnego morza zielonych ruchomych piasków.

– Masz jakiś pomysł, jak się tu ląduje? – spytał Landa.

– Może przez te wloty szybów na dachu – mruknął Calrissian, wskazując na główny wyświetlacz „Ślicznotki". – Są tak duże, że przecisnęłaby się przez nie chyba nawet barka typu W.

Han kiwnął głową, skubiąc niespokojnie miękkie podłokietniki w fotelu drugiego pilota. Rzadko się denerwował, jednak nie znosił siedzieć bezczynnie, podczas gdy ktoś w jego obecności starał się podejść do trudnego lądowania.

– To jeszcze bardziej szalone miejsce niż to twoje Nomad City – mruknął.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – odparł Lando, wyrównując nieco pułap lotu (Han nie omieszkał zauważyć, że o kilka sekund później, niż zrobiłby to on sam). – Na Nkllonie nie musimy się przynajmniej bać, że zeżrą nas jakieś egzotyczne rośliny. Ale mieszkańcom tej planety to się chyba po prostu opłaca. Ostatnim razem, gdy byłem w tej części Nowej Kowii, było tu osiem miast, a wciąż powstawały kolejne.

Han zrobił kwaśną minę. Wszystkiemu winne były właśnie te głupie rośliny. Czy może raczej, jeśli chodzi o ścisłość, egzotyczne biocząsteczki, które dzięki nim pozyskiwano. Kowianie najwyraźniej uznawali, że zysk wart był zachodu, jakim było zamieszkiwanie w odosobnieniu opancerzonych miast. Roślin nikt o zdanie nie pytał.

– Tak czy inaczej, to czyste szaleństwo – mruknął. – Ostrożnie. Możliwe, że te szyby dostępu mogą być uszczelniane

magnetycznie…

Lando spojrzał na niego znacząco.

– Hej, stary, spokojnie! Wiesz? Tak się składa, że kiedyś już latałem.

– Taaa, jasne – mruknął pod nosem Han. Zacisnął zęby i przygotował się na niewygody związane z lądowaniem.

Nie było jednak aż tak źle, jak się spodziewał. Lando otrzymał od kontroli lotów pozwolenie na lądowanie i dość umiejętnie wprowadził „Ślicznotkę" wprost w ziejącą paszczę jednego z szybów dostępu, podążając w dół krętą rurą aż na jasno oświetlone lądowisko, które rozpościerało się pod transparistalową kopułą wieńczącą mury miasta. Odprawa celna okazała się czystą formalnością, jednak oczywiście zdawali sobie sprawę z tego, że ponieważ głównym źródłem zysku planety był eksport, kontrola przed odlotem będzie zdecydowanie bardziej skrupulatna. Później nastąpiło oficjalne powitanie przez delegata miasta, witającego gości z profesjonalnym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Otrzymali od niego datakartę z mapą miasta i okolicy, a także pozwolenie na swobodne poruszanie się po terenie.

– Widzisz? Nie było tak strasznie – stwierdził Lando, gdy schodzili przestronną spiralną rampą prowadzącą przez sam środek miasta. Po drodze mijali liczne poziomy, z których kładki prowadziły do handlowych, administracyjnych i mieszkalnych części metropolii. – Gdzie dokładnie mamy się spotkać z Lukiem?

– Jeszcze trzy poziomy w dół, w jednej z dzielnic rozrywki – wyjaśnił Han. – W imperialnych archiwach nie ma zbyt wielu informacji o tym miejscu, jednak znalazłem wzmiankę o pewnej kafejce. Nazywa się Mishra i przylega do budynku stanowiącego miniaturową kopię teatru Grandis Mon z Coruscant. Odniosłem wrażenie, że to ulubiony lokal tutejszych ważniaków.

– Brzmi nieźle – skwitował Lando i spojrzał na Hana z ukosa. – No to… wyjaśnisz mi wreszcie, co kombinujesz?

Solo zmarszczył czoło.

– Słucham?

– Daj spokój, stary piracie – parsknął Calrissian. – Zgarniasz mnie ze Sluis Van, prosisz o podwózkę na Nową Kowię, wysyłasz

Luke'a jako szpicę na jakieś tajne spotkanie i myślisz, że dam się teraz po prostu ot tak spławić i wrócę sobie na Nkllona?

Solo spojrzał na niego z urazą.

– Daj spokój, Lando, ja…

– Otwarte karty, Han – nie dał mu skończyć przyjaciel. – Grajmy w otwarte karty.

Solo westchnął teatralnie.

– To… naprawdę nic spektakularnego, Lando – zapewnił go. – Możesz odlecieć na Nkllona, kiedy ci się żywnie podoba. Jasne – dodał pozornie lekkim tonem – jeśli zostaniesz jeszcze przez chwilę, żeby nam pomóc, może uda ci się nawiązać jakieś kontakty i opylić tu nieco nadwyżek, jakąś hałdę hfredium czy co tam ci akurat zalega… – Patrzył przed siebie jakby nigdy nic, cały czas czując na sobie podejrzliwe spojrzenie przyjaciela.

– Luke ci powiedział, co? – spytał go Calrissian.

Han wzruszył ramionami.

– Możliwe, że coś wspominał… – bąknął, na co Lando wycedził przez zęby:

– Uduszę go! Jedi czy nie, zamierzam go udusić.

– Hej, spokojnie! – mruknął Solo. – Pokręcisz się tu i tam przez kilka dni, posłuchasz, co ludzie gadają… Może wpadnie ci w ucho coś, co mogłoby sugerować, czym zajmuje się tu Fey'lya… To wszystko. A potem wrócisz do siebie, do swoich operacji wydobywczych, a my damy ci święty spokój.

– Taaa, już to kiedyś słyszałem! – parsknął Lando, jednak w jego głosie pobrzmiewała kapitulacja. – Ale dlaczego sądzicie, że Fey'lya miałby tu coś do roboty?

– Bo wszystko wskazuje na to, że w czasie wojny było to jedyne miejsce, do którego obrony poczuwali się Bothanie. To znaczy, z własnej woli i… – Urwał, chwytając Landa za ramię i ciągnąc go w stronę centralnej kolumny spiralnej rampy.

– Co ty… – zdołał wykrztusić Calrissian, nim Han uciszył go przytłumionym syknięciem.

Solo próbował zasłonić twarz, ale tak, by móc obserwować przy tym postać, którą wypatrzył poziom niżej. Opuszczała akurat szyb, kierując się na jedną z kładek.

– Ten Bothanin po lewej… widzisz go?

Lando odwrócił się minimalnie, zerkając kątem oka we wskazaną stronę.

– Tak. Co z nim?

– To Tav Breil'lya – wyjaśnił Han. – Jeden z głównych asystentów Fey'lyi.

– Chyba sobie żartujesz! – parsknął Lando, popatrując z ukosa na obcego. – Ale… jesteś tego pewien? Skąd wiesz?

– Widzisz ten medalion na jego szyi? To jakiś herb rodowy czy coś w tym stylu. W każdym razie widziałem go mnóstwo razy na posiedzeniach Rady. – Han przygryzł z namysłem wargę. Jeśli naprawdę mieli do czynienia z Breil'lyą, śledząc go i dowiadując się, co tu porabia, oszczędziliby sobie mnóstwo czasu. Z drugiej jednak strony Luke najprawdopodobniej czekał już na nich w kafejce na dole… – Pójdę za nim – postanowił, wpychając Landowi w ręce datapad i mapkę miasta. – Ty idź do Mishry i znajdź Luke'a. Potem spróbujcie mnie namierzyć.

– Ale…

– Jeśli nie spotkamy się w ciągu godziny, postaram się złapać cię przez komunikator – nie dał mu dokończyć Han, kierując się w stronę wyjścia ze spiralnej rampy. Byli już niemal na poziomie Bothanina. – Tylko nie dzwońcie: sygnał mógłby mnie zdradzić. – Z tymi słowy wyszedł na kładkę.

– Powodzenia! – zawołał cicho w ślad za nim Lando.

Pośród ludzi przemierzających alejki Ilic było sporo obcych, jednak kremowa sierść Breil'lyi zdecydowanie wyróżniała się w tłumie, co bardzo ułatwiało jego śledzenie. Dobrze się składało, bo skoro Han zdołał go rozpoznać, to z dużą dozą prawdopodobieństwa Bothanin mógłby poznać i jego, więc zbytnie zbliżanie się byłoby ryzykowne.

Na szczęście wszystko wskazywało na to, że obcemu nawet do głowy nie przyszło, że ktoś może go tropić. Szedł równym krokiem, nie oglądając się za siebie, mijając skrzyżowania, szeregi sklepów i dziedzińce – kierował się najwyraźniej ku opasującemu miasto murowi. Han trzymał się w pewnej odległości, zaczynając żałować,

że tak lekkomyślnie oddał Landowi mapę. Dobrze byłoby mieć choć nikłe pojęcie, gdzie się znajduje…

Przeszli przez ostatni z otwartych dziedzińców i dotarli do ciągu budynków. Wyglądające na magazyny, roznosiły się w pobliżu ogromnego fresku umieszczonego na jakiejś ścianie – najprawdopodobniej na murze otaczającym metropolię. Breil'lya wszedł do jednego z budynków od frontu, zaś Han zanurkował do sieni domku stojącego w alejce oddalonej o jakieś trzydzieści metrów od magazynu. Ze swojej kryjówki widział wyblakły napis nad drzwiami, za którymi zniknął Breil'lya: „Amethyst: transport i usługi magazynowe".

– Mam nadzieję, że to miejsce jest na mapce – mruknął pod nosem, odpinając od pasa komunikator.

– Zgadza się, jest na niej – odpowiedział mu dobiegający zza pleców łagodny kobiecy głos.

Han zamarł w pół ruchu.

– Eee, dzień dobry…? – rzucił ostrożnie.

– Dzień dobry – odpowiedziała nieznajoma. – Odwróć się. Oczywiście żadnych gwałtownych ruchów.

Solo posłuchał, nie wypuszczając z dłoni komunikatora.

– Jeśli to napad…

– Nie bądź głupi – odparła kobieta. Była niska i szczupła, na oko jakieś dziesięć lat starsza od niego, o krótko przyciętych, siwiejących włosach i pociągłej twarzy, którą w innych okolicznościach uznałby za dość sympatyczną. Jeśli chodzi o blaster, z którego do niego celowała, był to jakiś nieznany mu model BlasTecha DL-18, o mocy mniejszej od jego DL-44, jednak w tej sytuacji nie miało to większego znaczenia. – Połóż komunikator na ziemi – poradziła mu nieznajoma. – Blaster też, przy okazji.

Han w milczeniu przykucnął i z przesadną pieczołowitością zaczął wyciągać broń z kabury. Licząc na to, że w ten sposób skutecznie skupił uwagę napastniczki na swoim blasterze, aktywował ukradkiem komunikator, a następnie położył go wraz z bronią na ziemi. Potem wstał i cofnął się o krok, aby zademonstrować, że zna odpowiednie procedury.

– Co teraz?

– Wygląda na to, że interesuje cię tamto miejsce – bardziej stwierdziła, niż spytała nieznajoma, podchodząc, aby zabrać blaster i komunikator. – Co powiesz na wycieczkę z przewodnikiem?

– Brzmi wspaniale – parsknął, podnosząc ręce w górę i w duchu modląc się, by nie przyszło jej do głowy spojrzeć na komunikator, nim go schowa do którejś z kieszeni skafandra.

Na szczęście nie zrobiła tego. Wyłączyła go po prostu, bez patrzenia na urządzenie.

– Powinnam się czuć urażona – oświadczyła z lekkim rozbawieniem. – To chyba najstarsza sztuczka w galaktyce.

Han wzruszył ramionami, starając się zachować resztki godności.

– Nie miałem czasu wymyślić nowej.

– Przeprosiny przyjęte. Chodźmy. I opuść, proszę, ręce. Chyba nie chcemy, żeby przechodnie się na nas gapili, co?

– Hm, jasne – bąknął Han, opuszczając ręce wzdłuż ciała.

Byli w połowie drogi do Amethystu, gdy w oddali rozwyły się syreny.

Luke rozejrzał się po wnętrzu Mishry z niejasnym wrażeniem *déjà vu*: zupełnie jakby ponownie znalazł się w kantynie Mos Eisley.

Jasne, lokal był zdecydowanie bardziej elegancki od tamtej zapuszczonej speluny, także jego bywalcy sprawiali wrażenie lepiej ubranych i sytuowanych od klienteli tatooińskiej knajpy. Jednak przy barze i stolikach tłoczyła się taka sama barwna zbieranina ludzi i obcych, a jego węch i słuch bombardowała podobna mieszanka najróżniejszych zapachów i dźwięków. Na dodatek brzdąkający w kącie zespół grał niemal identyczny rodzaj muzyki – odpowiadającej jednocześnie gustom różnych ras.

Istniała jedna zasadnicza różnica: chociaż było tu tłoczno, klientela rozstępowała się na jego widok z szacunkiem, dzięki czemu miał dla siebie całkiem przyzwoitą ilość miejsca przy barze.

Upił łyk napoju (miejscowej odmiany gorącej czekolady, którą polecił mu Lando, tym razem w wersji z nutą mięty) i zerknął w stronę wejścia. Solo i Calrissian powinni byli się tu zjawić zaledwie kilka godzin po nim, co oznaczało, że może się ich

spodziewać lada chwila. A przynajmniej taką miał nadzieję. Rozumiał powody, którymi kierował się Han, nalegając, by przylecieli do Ilic dwoma statkami, jednak ze względu na wszystkie niebezpieczeństwa zagrażające obecnie Nowej Republice nie mogli sobie pozwolić na marnotrawienie czasu. Upił jeszcze jeden łyk…

I usłyszał za plecami nieludzki wrzask.

Odwrócił się błyskawicznie, odruchowo sięgając po przypięty do pasa miecz świetlny, gdy rykowi zawtórował odgłos przewracanego krzesła. Jakieś pięć metrów od niego, otoczeni wianuszkiem zmartwiałych ze zgrozy gości, stali Barabel i Rodianin, mierząc się nienawistnym wzrokiem, z blasterami w dłoniach.

– Żadnych blasterów! Żadnych blasterów! – zawołał droid kelner SE4, wymachując ramionami dla podkreślenia wagi swoich słów i drepcąc w stronę zwaśnionych klientów.

Barabel w mgnieniu oka odwrócił się w jego stronę i strzelił, skutecznie przerabiając go na stertę złomu, a potem – równie szybko – zwrócił się w stronę Rodianina, nim jeszcze ten zdążył zareagować.

– Ej! – zawołał barman. – To będzie cię kosztować…

– Zamknij się! – warknął Barabel. – Ten tu Rodianin pokryje koszty. Po tym, jak spłaci mnie!

Rodianin wyprostował się, wyprężył pierś (niestety, przeciwnik wciąż przewyższał go o dobre pół metra) i wybełkotał coś w języku, którego Luke nie rozumiał.

– Łżesz! – wycedził Barabel. – I jesteś oszustem! Wiem o tym!

Rodianin dodał coś w swoim narzeczu.

– Nie podoba ci się to? – zaskrzeczał wyniośle Barabel. – Mam to w nosie! Niech Jedi wyda wyrok!

Jeszcze przed chwilą oczy zgromadzonych pilnie śledziły uczestników konfrontacji. Teraz jak na komendę wszyscy utkwili spojrzenia w Luke’u.

– Eee… słucham? – bąknął ostrożnie Skywalker.

– On chce, żebyś rozsądził ich spór – wyjaśnił barman z wyraźną ulgą w głosie.

Luke jednak czuł coś zdecydowanie dalekiego od ulgi.

– Ja…?

Barman spojrzał na niego koso.

– Jesteś rycerz Jedi Luke Skywalker, czyż nie? – spytał, wskazując na miecz świetlny w dłoni Luke'a.

– Owszem – przyznał Luke.

– Cóż, w takim razie… – powiedział barman, wskazując bliżej nieokreślonym gestem skłóconą dwójkę.

Tyle tylko, że Luke – Jedi czy nie – nie miał w tym miejscu formalnie żadnej władzy, a więc i prawa ferowania wyroków. Otworzył usta, żeby poinformować o tym barmana, gdy jednak spojrzał mu w oczy, słowa uwięzły mu w gardle.

Powoli rozejrzał się po zgromadzonych, widząc w oczach każdego z nich to samo: oczekiwanie i… zaufanie.

Ufność w słuszność osądu Jedi.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu i zmuszając swoje walące jak młot serce, by się uspokoiło, zaczął iść przez tłum w stronę uczestników sprzeczki. Ben Kenobi otworzył go na Moc, a Yoda pokazał mu, jak jej używać do samokontroli i samoobrony. Żaden z nich nie nauczył go jednak, jak rozstrzygać spory.

– No dobrze – bąknął, zatrzymując się przy stoliku, przy którym wybuchła kłótnia. – Na początek… obaj odłóżcie, proszę, broń.

– Kto pierwszy? – burknął Barabel. – Rodianie są chytrzy. Jeśli odłożę blaster, strzeli do mnie!

„Cudowny początek, nie ma co" – pomyślał z przekąsem Luke. Tłumiąc westchnienie, zapalił miecz świetlny i pochylił lekko rękojeść, tak że bladozielone ostrze znalazło się dokładnie między blasterami przeciwników.

– Nikt tu nikogo nie zastrzeli – powiedział nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Odłóżcie broń.

Barabel posłuchał bez szemrania. Rodianin wahał się chwilę dłużej, jednak za moment i jego blaster znalazł się na stole.

– A teraz powiedzcie mi, o co poszło – poprosił Luke, wyłączając miecz, jednak nie odwieszając go na pas.

– Wynajął mnie jako tropiciela! – oznajmił Barabel, dźgając oskarżycielsko powietrze tuż przed piersią Rodianina. – Zrobiłem, o co prosił, ale nie dał mi kasy.

Rodianin zagulgotał coś ze wzburzeniem.

– Za chwileczkę cię wysłucham – obiecał mu Luke, zastanawiając się, jak właściwie się do tego wszystkiego zabrać. – Jakie to było zlecenie?

– Chciał, żebym wytropił dla niego gniazdo takich… zwierząt – wyjaśnił Barabel. – Takich, co to jedzą małe statki. Nadgryzają je, znaczy. Zrobiłem, co mi kazał. Spalił gniazdo i zainkasował forsę. Ale potem zapłacił mi bezwartościowymi pieniędzmi! – Wskazał rozsypane na stole złote, metalowe płytki.

Luke podniósł jedną z nich, żeby przyjrzeć jej się bliżej: niewielki trójkątny szton był zdobiony pośrodku zawiłym wzorem splecionych linii, a w każdym rogu umieszczono niewielką liczbę „100”.

– Czy ktoś zna tę walutę? – zapytał, podnosząc monetę do góry.

– To nowe pieniądze Imperium! – zawołał z ledwie skrywaną pogardą któryś z klientów, odziany w sprawiający wrażenie kosztownego płaszcz. – Są coś warte jedynie na światach i stacjach pod rządami Imperium.

Skywalker się skrzywił. Nawet w takim miejscu ktoś musiał mu przypomnieć, że wojna o władzę w galaktyce wciąż trwa – i nie zanosi się na to, by miała dobiec końca.

– Czy uprzedziłeś go, że zapłacisz mu w tej walucie? – spytał Rodianina.

Obcy zaszczebiotał coś po swojemu. Luke rozejrzał się dookoła, zastanawiając się jednocześnie, czy prosząc o tłumacza, nie straci w oczach zgromadzonych.

– Twierdzi, że jemu samemu wypłacono wynagrodzenie w pieniądzach Imperium – oznajmił jakiś znajomy głos, a gdy Luke odwrócił się w stronę jego źródła, zobaczył przeciskającego się przez tłum Landa Calrissiana. – Mówi, że próbował protestować, jednak nie miał wyboru.

– Właśnie tak załatwia ostatnimi czasy swoje interesy Imperium – rzucił gorzko ktoś z tłumu. – A przynajmniej tutaj.

Barabel odwrócił się w jego stronę.

– Nie pytam cię o zdanie! – warknął. – Tylko Jedi może sądzić.

– Dobrze już, dobrze, proszę o spokój! – zawołał Luke, zaciskając mocniej palce na kawałku metalu i zastanawiając się, jak powinien postąpić w tej sytuacji. Jeśli Rodianinowi naprawdę zapłacono w ten

sposób… – Czy można gdzieś wymienić te pieniądze? – spytał Rodianina, który zaświergotał coś w odpowiedzi.

– Mówi, że nie – przetłumaczył Lando. – Można nimi zapłacić za towary i usługi na światach imperialnych, ale jako że nie przyjmuje ich nikt w Nowej Republice, nie istnieje oficjalny kurs wymiany.

– Rozumiem – westchnął Luke. Nie miał co prawda doświadczenia Landa, który zęby zjadł na prowadzeniu nie do końca legalnych operacji, jednak i Luke nie urodził się wczoraj. – No to… jaki jest nieoficjalny kurs wymiany?

– W tej chwili? Nie mam pojęcia – mruknął Lando, wodząc wzrokiem po zgromadzonych. – Podejrzewam jednak, że ktoś dobijający targu i z jednymi, i z drugimi powinien się całkiem nieźle orientować. Czy ktoś z was prowadzi interesy z Imperium? – spytał nieco głośniej.

Cóż, jeśli rzeczywiście ktoś spośród gości pracował dla wroga Nowej Republiki, to najwyraźniej uznał, że nie warto się do tego przyznawać.

– Patrzcie no, jacy nieśmiali! – zażartował Luke.

– Wiesz, ja też nabrałbym wody w usta, gdybym miał w obecności Jedi zeznać, że układam się z Imperium – parsknął Calrissian.

Skywalker pokiwał głową, czując w żołądku nieprzyjemny ciężar. Spojrzał na Rodianina: na jego krótką trąbkę i beznamiętne, fasetowe oczy. Wcześniej liczył na to, że zdoła w jakiś sposób załagodzić problem i uniknąć konieczności wydawania werdyktu, jednak teraz wszystko wskazywało na to, że nie ma wyboru. Musi ocenić, czy Rodianin mówi prawdę, czy może rzeczywiście próbował oszukać swojego partnera.

Przymknął oczy, wyciszył umysł i sięgnął ku Rodianinowi wiciami Mocy… Zdawał sobie sprawę z tego, że to nie będzie łatwe, jednak wiedział też, że u większości gatunków w sytuacji zagrożenia zachodzą pewne subtelne zmiany fizjologiczne. Jeśli Rodianin kłamał… i jeżeli był przy tym przekonany, że Luke jako Jedi zdoła go na tym przyłapać, mógł zareagować wystarczająco nieostrożnie, by się z tym zdradzić.

Nim jednak Skywalker zdążył wyostrzyć zmysły, używając do tego technik Jedi, jego uwagę przyciągnęło coś innego: zapach.

A dokładniej: słaba woń carababbańskiego tytoniu i armudu. Ta sama mieszanka, która przykuła uwagę Landa w kosmoporcie Sluis Van.

Otworzył oczy i powiódł wzrokiem po tłumie.

– Niles Ferrier – powiedział wolno. – Czy mógłbym cię prosić nieco bliżej?

Zapanowała cisza, w której dało się słyszeć jedynie ostre syknięcie, kiedy Lando nabrał gwałtownie powietrza, a potem ciche szuranie dobiegające gdzieś z boku wianuszka gapiów. Wkrótce na jego czoło wystąpiła znajoma, dobrze zbudowana postać.

– Czego chcesz? – warknął złodziej statków z dłonią na rękojeści tkwiącego w kaburze blastera.

– Chciałbym wiedzieć, jak w tej chwili wygląda nieoficjalny kurs wymiany między walutami Imperium i Nowej Republiki – oświadczył Luke. – Pomyślałem, że może ty będziesz się orientował…

Ferrier przyjrzał się mu ze słabo skrywaną pogardą.

– To twój problem, Jedi, nie mój. Mnie do tego nie mieszaj.

Tłum zaszemrał z dezaprobatą. Luke nie odpowiedział: wytrzymał spojrzenie Ferriera i patrzył mu przez chwilę twardo w oczy, aż wreszcie ten spasował. Warga drgnęła mu dostrzegalnie, gdy oznajmił:

– Ostatnim razem, kiedy robiłem z nimi interesy, umówiliśmy się na przelicznik pięć do czterech.

– Dziękuję – powiedział Luke. – To chyba przesądza sprawę – podjął, zwracając się w stronę Rodianina. – Zapłać swojemu partnerowi w walucie Nowej Republiki po kursie pięć do czterech i zachowaj imperialne pieniądze do czasu, aż będziesz znów dla nich pracował.

Rodianin wyrzucił z siebie potok brzmiących niezbyt pochlebnie słów.

– To kłamstwo! – zapiał Barabel.

– Twierdzi, że nie ma dość pieniędzy Nowej Republiki, by się wypłacić – przetłumaczył Lando. – Znając Rodian, skłaniałbym się tym razem ku wersji Barabela…

– Może i tak – bąknął Luke i spojrzał ostro na Rodianina. – A może i nie. Niewykluczone jednak, że istnieje inne rozwiązanie… – Obejrzał się na Ferriera, podnosząc znacząco brwi.

Złodziej statków zorientował się natychmiast w jego zamiarach, bo warknął ostro:

– Nawet o tym nie myśl, Jedi!

– Ale dlaczego nie? – spytał spokojnie Luke. – Pracujesz dla obu stron konfliktu. Zdecydowanie łatwiej będzie ci upłynnić imperialną walutę niż Barabelowi.

– A co, jeśli nie mam na to ochoty? – odburknął Ferrier. – Co, jeśli nie wybieram się w najbliższym czasie na terytorium Imperium? Albo jeśli boję się nosić przy sobie taką ilość imperialnej gotówki? Załatw to sam, Jedi. Nie jestem ci winien żadnej przysługi.

Barabel odwinął się w jego stronę.

– Trochę szacunku! – warknął. – To Jedi! Masz się do niego zwracać z szacunkiem!

Wśród tłumu przebiegły potwierdzające pomruki.

– Lepiej go posłuchaj – poradził mu Lando. – Wątpię, byś miał ochotę wdawać się tu w bójkę, szczególnie z Barabelem. Oni zawsze mieli słabość do Jedi…

– Tak, jasne, chyba na pokaz – odciął się Ferrier, jednak co chwila zezował niespokojnie w stronę tłumu, a Luke wyczuł delikatną zmianę w jego nastawieniu, gdy do złodzieja statków dotarło, że popiera go zdecydowanie mniej osób niż Luke’a.

A może po prostu zorientował się, że wdając się w bójkę w takim miejscu, ściągnie na siebie więcej uwagi, niżby sobie tego życzył? Tak czy inaczej, Skywalker czekał cierpliwie, obserwując, jak niepewność Ferriera wzrasta. Wiedział, że mężczyzna prędzej czy później zmieni zdanie.

Jak się okazało, nie musiał czekać długo.

– W porządku – burknął w końcu Ferrier – ale tylko po kursie pięć do trzech. Blefowałem, podając kurs pięć do czterech. Wątpię, czy bym tyle potem dostał.

– Oszukuje! – wysyczał Barabel. – Ten Rodianin powinien mi dać więcej!

– Zgadza się – potwierdził Luke. – Obawiam się jednak, że w tej chwili to wszystko, na co możesz liczyć. – Spojrzał na Rodianina. – Tak czy inaczej – dodał pod adresem Barabela – pamiętaj, że możesz też ostrzec swoich ziomków przed robieniem interesów z tym Rodianinem. Niemożność wynajęcia biegłych w swoim fachu barabelskich tropicieli będzie dla niego gorzką nauczką.

Barabel wydał z siebie skrzekliwy odgłos – najprawdopodobniej odpowiednik śmiechu.

– Jedi ma rację – stwierdził. – Kara jest dobra.

Luke skrzywił się w duchu i przygotował na najgorsze. Ta część poszła gładko, jednak to, co zamierzał za chwilę powiedzieć, spodoba się zapewne tropicielowi zdecydowanie mniej.

– Będziesz musiał jednak zapłacić za naprawdę droida, do którego strzeliłeś. Niezależnie od tego, co zrobił czy powiedział Rodianin, to nie on ponosi winę za zniszczenia.

Barabel gapił się na Luke'a, szczerząc kły i kłapiąc lekko szczęką.

Skywalker wytrzymał jego spojrzenie, wyostrzając Mocą zmysły, gotów w każdej chwili odeprzeć ewentualny atak…

– Jedi znów powiedział prawdę – orzekł wreszcie jaszczur, niechętnie, a jednak stanowczo. – Przyjmuję jego wyrok.

Luke pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi.

– W takim razie sprawę uważam za zamkniętą – ogłosił. Spojrzał na Ferriera, a potem zasalutował obcym rękojeścią miecza i odwrócił się do nich plecami.

– Nieźle rozegrane – szepnął mu do ucha Lando, gdy zgromadzeni powoli zaczęli wracać na swoje miejsca.

– Dzięki – sapnął Luke.

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo zaschło mu w ustach. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, jednak zdawał sobie sprawę, że stało się tak raczej dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności niż jego zdolnościom mediacyjnym. Gdyby nie zjawił się tu Ferrier… albo gdyby złodziej statków mu się postawił… Leia ze swoimi umiejętnościami dyplomatycznymi poradziłaby sobie w tej sytuacji zdecydowanie lepiej niż on. Nawet Han, dzięki dużemu doświadczeniu w targowaniu się, na pewno szybko znalazłby jakieś wyjście.

Musiał przyznać, że nigdy wcześniej nie brał pod uwagę, że Jedi musi umieć rozstrzygać spory. Jednak wszystko wskazywało na to, że powinien zacząć się szkolić w tej dziedzinie – i to szybko.

– Han śledzi jednego z bothańskich kumpli Fey'lyi na poziomie czwartym – poinformował go Lando, gdy szli w stronę wyjścia. – Namierzył go, kiedy byliśmy na zachodniej centralnej rampie, i wysłał mnie, żebym… – Urwał w pół zdania, gdy z ulicy, przy której znajdowała się Mishra, dobiegło wycie syren. – Ciekawe, o co chodzi – mruknął, lekko zaniepokojony.

– To alarm – wyjaśnił jeden z bywalców kafejki, nasłuchując ze zmarszczonym czołem zawodzenia syren. Ich ton się zmienił, a po chwili znowu. – Nastąpił… atak!

– Atak? – wykrztusił Luke. Nie słyszał o aktywności piratów w tym sektorze. – Ale kto miałby was atakować?

– Imperium – wyznał gorzko mężczyzna. – Któż by inny?

Skywalker zerknął na Landa.

– Ups! – syknął cicho.

– Właśnie. Chodźmy! Prędko!

Wyszli z Mishry i skierowali kroki ku jednej z głównych alej. O dziwo, nigdzie nie widać było śladu paniki, której można by się spodziewać w tej sytuacji. Wręcz przeciwnie: obywatele Ilic wydawali się spokojnie zajmować swoimi sprawami, jakby nigdy nic.

– Może nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje – mruknął z powątpiewaniem Luke, gdy szli w stronę jednej ze spiralnych ramp.

– Albo zawarli jakąś umowę z Imperium – podsunął Lando. – Może ich przywódcy uznali, że opłaca im się sprzymierzyć z Nową Republiką, jednak nie chcą jednocześnie podpadać Imperium… A ponieważ nie mogą płacić im legalnie haraczu, zamiast tego zgodzili się, by imperialni zjawiali się, kiedy im się żywnie podoba, i ograbiali ich z cennych zapasów oczyszczonych biocząsteczek…? Widziałem już takie rzeczy.

Luke rozejrzał się, wodząc wzrokiem po twarzach nieporuszonych przechodniów.

– Tyle tylko, że tym razem mogą za to słono zapłacić.

– Chodzi ci o to, co będzie, jeśli Imperium namierzy w rejestrach lotów „Ślicznotkę” albo twojego X-winga?

– Nie inaczej. Mówiłeś, że gdzie rozdzieliliście się z Hanem?

– Ostatnim razem, gdy go widziałem, był na poziomie czwartym i kierował się na zachód – powiedział Lando, sięgając po komunikator. – Powiedział, żebym się z nim nie kontaktował, jednak mam wrażenie, że to sytuacja awaryjna.

– Zaczekaj chwilę – powstrzymał go Luke. – Co, jeśli jest gdzieś w pobliżu tego gościa od Fey’lyi, a ten ostatni ma jakieś konszachty z Imperium?

– Racja. – Lando zaklął pod nosem i schował komunikator. – W takim razie… co robimy?

Dotarli już do rampy i weszli na kładkę prowadzącą w górę.

– Poszukam go – zaoferował się Luke. – Ty idź na lądowisko. Poczekamy na rozwój sytuacji. Jeśli Imperium jeszcze nie wylądowało, możliwe, że zdołasz się jakoś dostać do komputera kontroli lotów i usunąć wszelkie ślady naszej bytności z rejestru. Gdyby udało ci się wydostać Artoo z mojego X-winga i niepostrzeżenie podpiąć go do terminala, pomoże ci.

– Spróbuję.

– W porządku. – Luke wpadł na pewien pomysł. – Lando, czy „Ślicznotka” nie jest przypadkiem wyposażona w jeden z tych systemów podporządkowania, o których wspominałeś na Nkllonie?

Calrissian pokręcił głową.

– Jest zmodyfikowana, jednak ma podpięty tylko prosty układ naprowadzający. Nie będzie zdolna do niczego bardziej skomplikowanego od lotu w linii prostej i kilku podstawowych manewrów. Nie byłbym w stanie poprowadzić jej zdalnie przez środek miasta, jeśli to masz na myśli.

Luke musiał przyznać, że nawet gdyby tak było, raczej nic by im z tego nie przyszło. Jedynym sposobem na opuszczenie Ilicy było skorzystanie z szybów dostępu nad lądowiskiem – jeśli oczywiście nie zamierzali przebić się przez otaczający miasto mur.

– Tak tylko chciałem się upewnić – westchnął.

– O, właśnie tam ostatni raz widziałem Hana – wyjaśnił Lando, wskazując podbródkiem na jedną z kładek. – Poszedł w tamtą

stronę.

– Rozumiem. – Luke zszedł z rampy. – Do zobaczenia niebawem. Uważaj na siebie.

– Ty również.

Rozdział 8

Siwiejąca kobieta zaprowadziła Hana do niewielkiego, przypominającego biuro pokoju w budynku, w którym mieścił się Amethyst, i przekazała go pod opiekę kilku mężczyzn sprawiających wrażenie strażników, a potem zniknęła, zabierając ze sobą jego blaster, komunikator i identyfikator. Raz czy dwa Solo próbował nawiązać rozmowę z wartownikami, ale ponieważ żaden z nich nie był zbyt rozmowny, w końcu dał za wygraną i ograniczył się do siedzenia w ciszy, nasłuchując jednocześnie wyjących na zewnątrz syren. Wreszcie kobieta wróciła.

Towarzyszyła jej inna, wyższa i roztaczająca wokół siebie charakterystyczną aurę autorytetu. Najwyraźniej to ona tu dowodziła.

– Dzień dobry – powiedziała, kiwając Hanowi głową na powitanie. – Kapitan Han Solo, jak sądzę?

Trzymała w dłoni dokument potwierdzający jego tożsamość, więc nie było sensu zaprzeczać.

– Zgadza się – potwierdził.

– Czujemy się zaszczyceni pańską wizytą – powiedziała, jednak zabarwiony lekką ironią ton głosu zaprzeczał uprzejmym słowom. – Aczkolwiek muszę przyznać, że i nieco nią zaskoczeni.

– Serio? – parsknął Solo. – Przecież sami mnie tu sprowadziliście. Zawsze tak bezceremonialnie zgarniacie ludzi z ulicy?

– Tylko tych wyjątkowych. – Wysoka kobieta podniosła nieco brwi. – Powiesz mi, kim jesteś i kto cię przysłał?

Han spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Jak to: kim jestem? Przecież masz mój identyfikator.

– Owszem – przyznała kobieta, obracając w dłoni plakietkę. – Jednak… są pewne różnice zdań w naszej grupie, jeśli chodzi o jego autentyczność. – Spojrzała na drzwi i wezwała kogoś gestem.

Po chwili do pokoju wszedł nie kto inny, a Tav Breil'lya we własnej osobie.

– Miałem rację – burknął Bothanin. Jego sierść zafalowała przy tym w sposób, którego Han nie umiał rozszyfrować. – Tak jak stwierdziłem od razu, gdy zobaczyłem jego kartę identyfikacyjną: to oszust. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazał się szpiegiem Imperium.

– Co takiego?! – Han nie wierzył własnym uszom. Zerknął na medalion na szyi Bothanina… Zgadza się, miał do czynienia z Tavem Breil'lyą, nie mogło być co do tego wątpliwości. – Jak mnie nazwałeś?

– Jesteś imperialnym szpiegiem – powtórzył spokojnie Breil'lya, a jego futro znów się zjeżyło. – I zjawiłeś się tu bez dwóch zdań, aby zasiać pośród nas niezgodę, a może i nas zabić. Niestety, możesz być pewien, że nie wrócisz do swoich przełożonych, by zdać im raport. – Zwrócił się do wysokiej kobiety. – Należy się go pozbyć, Seno. Tu i teraz – oznajmił naglącym tonem. – Zanim skorzysta z okazji, by wezwać tu swoich ziomków… a twoich wrogów.

– Nie działajmy pochopnie, doradco Breil'lya – poprosiła ugodowo kobieta nazwana Seną. – Ludzie Irenez stoją na czatach. – Spojrzała na Hana. – Czy zechciałbyś odpowiedzieć na zarzuty doradcy Brey'lyi?

– Nie interesują nas brednie imperialnego szpiega – parsknął Bothanin, nim Han zdążył otworzyć usta, by coś powiedzieć.

– Wręcz przeciwnie – zaprotestowała cierpko Sena. – Interesuje nas tutaj bardzo wiele rzeczy. – Z tymi słowy odwróciła się do Hana i pokazała mu jego identyfikator. – Czy masz jakiś inny dowód potwierdzający swoją tożsamość?

– To bez znaczenia, kim on jest! – wciął się znów Breil'lya odrobinę piskliwie. – Widział cię i z pewnością wie o naszej umowie! Niezależnie od tego, czy jest agentem Imperium, czy Nowej Republiki, to wasz wróg i może wykorzystać informacje, które zdobył, przeciwko wam!

Sena znów podniosła wysoko brwi.

– A więc teraz jego tożsamość nie ma znaczenia? – spytała chłodno. – Czyżbyś już nie był przekonany, że mamy do czynienia z oszustem?

Futro Breil'lyi znowu zafalowało. Najwyraźniej Bothanin zaczynał tracić rezon.

– Owszem, podobieństwo jest uderzające – wymamrotał pod nosem. – Choć jestem zdania, że umiejętnie przeprowadzona sekcja zwłok rozwiałaby nasze wątpliwości…

Sena uśmiechnęła się skąpo, jednak był to nie tyle wyraz rozbawienia, ile reakcja kogoś, czyje podejrzenia właśnie się potwierdziły. Na widok tego uśmiechu Han zdał sobie nagle sprawę z tego, że ta konfrontacja miała na celu nie potwierdzenie jego tożsamości, ile sprawdzenie Breil'lyi. A jeśli sądzić po wyrazie twarzy Seny, Bothanin właśnie oblał test.

– Dziękuję, będę to miała na uwadze – powiedziała Sena cierpko.

Gdzieś z boku dobiegło ciche piknięcie i siwowłosa kobieta wyjęła z kieszeni komunikator, aby odebrać. Rzuciła do mikrofonu kilka słów, których Han nie dosłyszał, wysłuchała odpowiedzi, dodała coś od siebie, a potem podniosła wzrok na Senę.

– Czujki informują, że ktoś się zbliża – zameldowała. – Mężczyzna, średniego wzrostu, ciemny blondyn, odziany na czarno. – Zerknęła na Breil'lyę. – Uzbrojony w coś wyglądającego na miecz świetlny.

Sena również spojrzała na Bothanina.

– To chyba rozwiewa wszelkie wątpliwości? – spytała znacząco. – Irenez, wyślij, proszę, po niego kogoś z naszych i poproś, by do nas dołączył. Podkreśl, że to prośba, nie żądanie. Prosiłabym cię też, żebyś oddała kapitanowi Solo jego broń i resztę jego dobytku. – Zwróciła się w stronę Hana i kiwnęła z powagą głową, oddając mu jego identyfikator. – Proszę wybaczyć, kapitanie Solo. Z pewnością rozumie pan, że musimy zachować ostrożność. Szczególnie w sytuacji, w której doszło do tak niefortunnego zbiegu okoliczności… – Machnęła ręką w stronę okalającego miasto muru.

Han ściągnął brwi, zastanawiając się, co właściwie ma na myśli… jednak nagle go olśniło: syreny! Wciąż wyły na zewnątrz.

– To żaden problem – zapewnił ją. – A tak właściwie… to co oznacza ten alarm?

– Atak Imperium – wyjaśniła Irenez, podając mu jego blaster i komunikator.

Zamarł w pół ruchu.

– Atak?

– Ach, to nic wielkiego – zapewniła go Sena. – Zjawiają się tu raz na parę miesięcy i przejmują część ładunku oczyszczonych biocząsteczek przeznaczonych na eksport. To coś w rodzaju nieoficjalnej formy opodatkowania, na którą przystał rząd. Spokojna głowa: nigdy nie zapuszczają się poza poziom lądowiska.

– Cóż, jasne, ale nikt nie powiedział, że tym razem nie zmodyfikują nieco standardowego postępowania – mruknął Solo, aktywując komunikator. Podświadomie spodziewał się, że ktoś spróbuje go powstrzymać, jednak nikt nie ruszył się z miejsca. – Luke? – rzucił do mikrofonu.

– Tak, Han? Słyszę cię! – odpowiedział męski głos. – Ludzie, który mnie eskortują, twierdzą, że prowadzą mnie do ciebie… Czy wszystko gra?

– Cóż, zaszło po prostu małe nieporozumienie – wyjaśnił oględnie Solo. – Mam nadzieję, że dotrzesz tu szybko. Mamy towarzystwo…

– Rozumiem.

Han się rozłączył. Kątem oka dostrzegł, że w tym czasie Sena i Irenez zakończyły krótką wymianę zdań.

– Jeśli naprawdę macie porachunki z Imperium, jak twierdzi Breil'lya, to chyba powinniście się stąd szybko zwijać… – zasugerował.

– Mamy już zabezpieczoną drogę ucieczki – zapewniła go Sena, gdy Irenez opuściła pokój. – Pytanie brzmi: co powinniśmy zrobić z panem i z pańskim przyjacielem…

– Nie możecie ich ot tak puścić wolno! – upierał się Breil'lya. – Na pewno doskonale zdajecie sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli Nowa Republika dowie się o was i…

– Nasz dowódca za chwilę zostanie o wszystkim poinformowany – przerwała jego jałowy wywód Sena. – A wówczas to on podejmie decyzję.

– Ale…

– Dziękuję, panie doradco – zmitygowała go ponownie. Tym razem w jej głosie zabrzmiały ostre tony. – Proszę dołączyć do pozostałych przy szybie windy. Będzie mi pan towarzyszył na pokładzie mojego statku.

Breil'lya rzucił Hanowi ostatnie nieprzeniknione spojrzenie i w milczeniu wyszedł z pokoju.

– Kim jest… ten wasz dowódca? – spytał Han.

– Nie mogę tego wyjawić. – Sena przyglądała mu się przez chwilę z namysłem. – Ale nie musicie się martwić. Wbrew temu, co mówi Breil'lya, nie jesteśmy wrogami Nowej Republiki. A przynajmniej nie w tej chwili.

– Och – bąknął Han. – Cudownie.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków i po chwili do środka wszedł Luke prowadzony przez dwóch młodych mężczyzn uzbrojonych w blastery, które spoczywały jednak w kaburach na ich biodrach.

– Han! – zawołał na jego widok, obrzucając szybkim spojrzeniem Senę.

– Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest – zapewnił go Solo. – Tak jak wspomniałem, doszło do małego nieporozumienia. Pani… hm, Sena… – zawiesił wyczekująco głos.

– Póki co po prostu Sena, dobrze? – zaproponowała kobieta.

– Och – bąknął Han. Liczył na to, że nieznajoma wyjawi mu swoje nazwisko, jednak najwyraźniej nie zamierzała tego zrobić. A przynajmniej na razie. – W każdym razie Sena, eee… wzięła mnie za imperialnego szpiega. A skoro już mowa o Imperium…

– Wiem – wszedł mu w słowo Luke. – Lando poszedł sprawdzić, czy zdoła usunąć nasze statki z rejestrów lądowiska.

– Nie da rady. – Solo potrząsnął głową. – Za mało czasu. A Imperium z pewnością sprawdzi listę.

Skywalker pokiwał głową.

– Cóż, w takim razie lepiej się stąd zbierajmy…

– Chyba że chcecie lecieć z nami – zaproponowała Sena. – Mamy na pokładzie mnóstwo miejsca, a statek jest ukryty. Nie znajdą go.

– Dzięki, ale nie skorzystamy – odpowiedział Han. Nie zamierzał ufać tym ludziom, dopóki nie dowie się o nich czegoś więcej. Na początek na przykład, po czyjej są stronie. – Lando z pewnością wolałby nie zostawiać tu „Ślicznotki".

– A ja muszę odzyskać mojego droida – dodał Luke.

Do pokoju wróciła Irenez.

– Wszyscy kierują się już na dół, a statek będzie gotowy do startu lada chwila – poinformowała Senę. – Skontaktowałam się też z szefem. – Podała wyższej kobiecie datapad.

Sena zerknęła na ekran i przeniosła spojrzenie na Hana.

– W pobliżu jest szyb serwisowy prowadzący na zachodni kraniec lądowiska – powiedziała. – Wątpię, by Imperium o nim wiedziało. Nie ma go na standardowych mapach miasta. Irenez zaprowadzi was tam i pomoże, jeśli będzie trzeba.

– Nie, to nie będzie konieczne – zapewnił ją Han, jednak Sena wskazała na ekran datapada. – Nasz dowódca polecił mi udzielić wam wszelkiej niezbędnej pomocy – powiedziała stanowczo. – Byłabym wdzięczna, gdybyście pozwolili mi wykonywać moje obowiązki…

Han zerknął na Luke'a, podnosząc wysoko brwi. W odpowiedzi Skywalker wzruszył tylko ramionami. Jeśli to była pułapka, to jej nie wyczuwał.

– W porządku, niech zatem będzie i tak. Chodźmy.

– Powodzenia – rzuciła na pożegnanie Sena i wyszła.

Irenez dała im gestem znak, by ruszyli za nią.

– Tędy, panowie.

Szyb serwisowy okazał się połączeniem schodów i windy osadzonych w murze otaczającym miasto. Wejście do niego było niemal niewidoczne, zamaskowane częścią muralu zdobiącego ścianę. Wagonika windy nie było nigdzie widać – Han domyślał się, że grupa Seny podróżuje nim obecnie na pokład ich statku, gdziekolwiek go ukryli. Irenez zaczęła się wspinać na schody, więc ruszyli za nią.

Po drodze wyjaśniła im, że lądowisko znajduje się zaledwie trzy poziomy wyżej… jednak trzy poziomy w przypadku miasta o tak wysokich przestrzeniach jak Ilic przekładały się na mnóstwo schodów. Na pierwsze z pięter prowadziły pięćdziesiąt trzy stopnie, a potem Solo darował sobie liczenie. Gdy wślizgnęli się przez kolejne zamaskowane drzwi na teren lądowiska i ukryli za potężnym analizatorem diagnostycznym, Hanowi drżały z wysiłku nogi. Irenez nawet nie była zdyszana.

– Co teraz? – spytał Luke, wyglądając ostrożnie zza analizatora. On również oddychał spokojnie.

– Znajdźmy Landa – zaproponował Han, wyciągając z kieszeni komunikator i nawiązując połączenie. – Lando?

– Han! – rozległ się z głośnika głos Calrissiana. – Gdzie jesteście?

– Na zachodnim krańcu lądowiska, jakieś dwadzieścia metrów od X-winga Luke'a. A ty?

– Mniej więcej dziewięćdziesiąt stopni od was na południe – odparł Lando. – Za stertą skrzyń. Jakieś pięć metrów ode mnie stoi na straży szturmowiec, więc chyba tu na razie utknąłem.

– Jak duże mamy kłopoty?

– Wygląda na to, że spore – odpowiedział ponuro Lando. – Przysłali tu masę wojska. Widziałem, jak lądują trzy statki, ale wydaje mi się, że gdy tu dotarłem, na lądowisku stał już jeden albo dwa. Jeśli na pokładzie każdego znajdował się pełen regiment, oznacza to od stu sześćdziesięciu do dwustu ludzi. Większość z nich to zwykli żołnierze, jednak widziałem też kilku szturmowców. Nie ma ich w pobliżu zbyt wielu – większość odesłali kilka minut temu rampami w dół.

– Pewnie po to, żeby przeszukali miasto i nas znaleźli – domyślił się Luke.

– Taaa. – Han wychylił głowę zza analizatora. Znad dziobu barki typu W-23 wystawał kokpit X-winga Skywalkera. – Wygląda na to, że Artoo wciąż jest w swoim gnieździe?

– Tak, ale widziałem, jak coś przy nim majdrowali – ostrzegł ich Lando. – Niewykluczone, że założyli mu ogranicznik.

– Damy radę. – Solo wyciągnął szyję, żeby się rozejrzeć najlepiej, jak zdołał, nie opuszczając przy tym kryjówki. – Sądzę, że uda nam się dotrzeć do niego niepostrzeżenie. Gdy tu lecieliśmy, wspominałeś, że wyposażyłeś „Ślicznotkę" w system przywoływania, tak?

– Zgadza się, ale tutaj nie na wiele nam się to zda – westchnął Calrissian. – Przez te wszystkie skrzynie nie dam rady posadzić jej tak, żeby nie narażać się przy tym na ostrzał.

– To nie powinno stanowić problemu – zapewnił go Solo z krzywym uśmieszkiem. Luke miał swoją Moc, a Irenez może

i mogła pochwalić się doskonałą formą, pozwalającą jej wspinać się bez końca po schodach bez zadyszki, ale szedł o zakład, że żadne z nich nie dorównuje mu sprytem i pomysłowością. – Po prostu przywołaj ją na mój znak. – Rozłączył się. – Idziemy do X-winga – polecił Luke'owi i Irenez, zaciskając mocniej palce na rękojeści blastera. – Gotowi?

Gdy oboje potwierdzili kiwnięciem głów, rozejrzał się ostatni raz dookoła, wykradł zza osłony analizatora i najszybciej, jak zdołał, zaczął iść w stronę myśliwca. Bez przeszkód dotarł do barki, przy której zatrzymał się, by zaczekać na resztę…

– Tss! – syknął ostrzegawczo Luke i Han zamarł, rozpłaszczając się na przerdzewiałym kadłubie.

Pełniący wartę niecałe cztery metry od nich szturmowiec zaczął się właśnie odwracać w ich stronę.

Solo zacisnął zęby i podniósł blaster do strzału. Nim jednak zdążył wycelować, kątem oka dostrzegł, że Luke wykonuje jakiś gest… Szturmowiec nieoczekiwanie odwrócił się w przeciwną stronę i jak użądlony poderwał blaster.

– Jest przekonany, że usłyszał jakiś hałas – wyjaśnił szeptem Luke. – Chodźmy.

Han kiwnął głową i zaczął się przekradać na drugą burtę barki. Kilka sekund później kucali już obok płóz lądowniczych X-winga.

– Artoo? – szepnął Solo, zadzierając głowę. – No, dalej, kurduplu! Obudź się!

Odpowiedziało mu pełne oburzenia ćwierknięcie dobiegające z grzbietu maszyny. Co oznaczało, że ogranicznik nie zablokował wszystkich funkcji małego astromecha, a jedynie uniemożliwił mu kontrolowanie systemów X-winga. Uff.

– No dobrze – zawołał cicho Han. – Rozgrzej czujniki łączności i przygotuj się do rejestrowania.

Kolejne piśnięcie.

– Co teraz? – spytała Irenez.

– Teraz będziemy sprytni – wyjaśnił Solo, sięgając znów po komunikator. – Lando? Jesteś gotów?

– Bardziej nie będę – nadeszła odpowiedź.

– Doskonale. Gdy dam ci znak, włącz przywoływanie i podnieś „Ślicznotkę”. Następnie na mój znak je wyłącz. Czy to jasne?

– Pewnie. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Zaufaj mi. – Han obejrzał się na Luke’a. – Wiesz, co masz robić?

Skywalker pokiwał głową, zaciskając mocniej palce na rękojeści miecza.

– Jestem gotów.

– W porządku. Lando? Teraz!

Przez długą chwilę nic się nie działo, jednak nagle przez ciche buczenie i szum systemów lądowiska przebił się trudny do pomylenia z czymkolwiek innym wizg aktywowanych repulsorów. Han wyprostował się odrobinę, a gdy wyjrzał zza X-winga, zobaczył, jak „Ślicznotka” płynnie wynurza się spośród innych dokujących na platformie statków.

Rozległ się okrzyk, po którym dało się słyszeć skwierczenie blasterowych strzałów. Niemal natychmiast do pierwszego blastera dołączyły trzy kolejne, rażąc ogniem „Ślicznotkę”, która nieco ociężale obróciła się w miejscu i zaczęła płynąć na południe, w kierunku kryjówki Landa.

– Wiesz, że ten statek nie zdąży tam dolecieć? – mruknęła Hanowi do ucha Irenez. – Gdy tylko zorientują się, dokąd się kieruje, Lando będzie w opałach.

– I właśnie dlatego nie zamierzam pozwolić, by tam dotarł – odparł Solo, nie odrywając wzroku od „Ślicznotki”. Jeszcze kilka sekund i będzie mógł mieć względną pewność, że oczy wszystkich szturmowców i imperialnych żołnierzy w okolicy również są utkwione w statku, który nagle postanowił zdezerterować. – Luke? Uwaga… Teraz!

Nagle Skywalker zniknął im z oczu, akrobatycznym susem docierając w ułamku sekundy na szczyt X-winga. Han usłyszał syk zapalanego ostrza i zobaczył zieloną poświatę odbijającą się w poszyciach sąsiadujących statków oraz wyposażeniu lądowiska, gdy Jedi aktywował swoją broń. Zielony blask zafalował lekko, kiedy Luke wykonał szybkie cięcie i…

– Ogranicznik usunięty! – dobiegł z góry jego głos. – Już?

– Jeszcze nie – powstrzymał go Han. „Ślicznotka” przebyła już mniej więcej jedną czwartą drogi do muru. Od jej opancerzonego podwozia wciąż odbijały się strzały z blasterów. – Powiem mu kiedy, a ty przygotuj się do dywersji.

– Jasne. – X-wing zachybotał się lekko, kiedy Skywalker ruszył w stronę dziobu i wskoczył do kokpitu. Po chwili wyciu silników „Ślicznotki” zawtórowało buczenie repulsorów myśliwca, gdy Artoo aktywował systemy.

Mieli nadzieję, że w całym tym zamieszaniu nikt nie zwróci na to specjalnej uwagi. „Ślicznotka” była już w połowie drogi do ściany.

– W porządku, Lando. Wyłącz już! – polecił przyjacielowi Solo. – Artoo, teraz twoja kolej. Przywołaj ją tutaj!

Mając na powrót dostęp do transmiterów X-winga, mały astromech bez trudu skopiował sygnał przywołujący statku Landa. „Ślicznotka” wyhamowała z drżeniem, obróciła się w stronę źródła nowego sygnału i zaczęła ślizgać się nad statkami w stronę myśliwca.

Imperialni żołnierze nie spodziewali się tego. Blasterowy ostrzał na chwilę ucichł, gdy żołnierze biegnący za jachtem się zatrzymali. Kiedy podjęli pościg i znów wzięli statek na cel, „Ślicznotka” była już w pobliżu myśliwca Luke’a.

– Już? – zawołał Skywalker.

– Już! – odkrzyknął Han. – Opuść ją na ziemię i oczyść nam drogę!

Artoo zaćwierkał, a „Ślicznotka” zawisła w powietrzu i powoli, z wdziękiem zaczęła opadać na ziemię. Imperialni żołnierze zaczęli triumfalnie pokrzykiwać, jednak nie cieszyli się zbyt długo swoim domniemanym sukcesem. „Ślicznotka” dotknęła lądowiska w tej samej chwili, w której w powietrze wzbił się X-wing. Zataczając wokół jachtu ciasną pętlę, Luke zawinął w dół, siejąc za pomocą działek laserowych swojej maszyny spustoszenie wśród przerażonych żołnierzy Imperium.

Gdyby mieli czas, z pewnością by się przegrupowali, jednak Han nie zamierzał darować im cennych sekund.

– Szybko! – zawołał do Irenez, skacząc na równe nogi i puszczając się biegiem w stronę „Ślicznotki”. Dotarł do trapu, nim jeszcze siły

Imperium zdążyły go zauważyć – wspiął się po nim i wpadł na pokład tak szybko, że zaskoczeni żołnierze nie zdołali oddać w jego stronę nawet jednego strzału. – Zostań tu i pilnuj włazu! – krzyknął do Irenez, która wbiegła na statek tuż za nim. – Ja zgarnę Landa!

Luke wciąż rozprawiał się z pościgiem, a tymczasem Han ruszył do kokpitu jachtu, wskoczył za stery i obrzucił szybkim spojrzeniem pulpit kontrolny. Wyglądało na to, że systemy statku są gotowe do startu, a jeśli któryś nie był jeszcze w pełni rozgrzany, to trudno. Będzie miał na to czas po drodze.

– Przytrzymaj się czegoś! – poradził Irenez, po czym poderwał jacht.

Zawinął „Ślicznotką" nad stertami skrzyń, rozglądając się w poszukiwaniu szturmowca, o którym wspominał Lando, jednak nigdzie nie widział po nim śladu. Luke tymczasem trzymał się w pobliżu, robiąc dobry użytek z działek swojego X-winga i skutecznie wiążąc ogniem imperialnych żołnierzy. Solo opuścił jacht jakieś pół metra nad ziemię i skierował go trapem w stronę skrzynek. Kątem oka złowił jakiś ruch za bocznym iluminatorem…

– Mam go! – zameldowała Irenez od włazu. – Zabierajmy się stąd!

Han obrócił statek, nastawił silniki repulsorowe na pełną moc i skierował się do jednego z ujść potężnych szybów nad ich głowami. Poczuli lekkie szarpnięcie podczas opuszczania śluzy magnetycznej i już po chwili byli nad kopułą miasta, wzbijając się w niebo i kierując ku przestrzeni kosmicznej.

Tuż nad miastem krążyły cztery myśliwce TIE, patrolując teren na wypadek kłopotów – jednak najwyraźniej ich piloci nie spodziewali się, że pojawią się one tak szybko. Luke bez trudu zestrzelił trzy z nich, Han zaś zajął się czwartym.

– Nie ma to jak ucieczka w ostatniej chwili – wydyszał Lando, gdy klapnął na fotel drugiego pilota i skupił się na instrumentach. – Co my tu mamy?

– Wygląda na to, że nadlatuje jeszcze kilka barek desantowych – poinformował go Han, maszcząc czoło. – Co robisz?

– Przeprowadzam multisensoryczną analizę przepływu powietrza – objaśnił Lando. – Wykryje wszelkie większe nieprawidłowości na

kadłubie. To na wypadek, gdyby ktoś podrzucił nam boję namierzającą.

Han wrócił myślami do tamtej ucieczki z pierwszej Gwiazdy Śmierci i ich lotu na Yavin. Mało brakowało, a wszystko zakończyłoby się katastrofą – właśnie z powodu takiego urządzenia, które podrzucono im wtedy na pokład.

– Chciałbym mieć coś takiego na „Sokole” – westchnął tęsknie.

– Zapomnij – parsknął Lando. – Nie sprawdziłoby się. Kadłub „Sokoła” ma tak pokręcony kształt, że każdy system oszalałby, próbując go zmapować. – Wyłączył wyświetlacz. – W porządku. Czysto.

– Świetnie. – Solo zerknął w lewo. – Desantowce też zostawiliśmy już w tyle. O schwytaniu nas mogą teraz tylko pomarzyć.

– Zgadza się, ale ci nie. – Irenez wskazała na wyświetlacz czujników średniego zasięgu.

Widniał na nim gwiezdny niszczyciel, majaczący za ich rufą. Opuszczał właśnie orbitę i najwyraźniej szykował się do ruszenia za nimi w pościg.

– Cudownie! – jęknął Han, aktywując główny napęd. Włączanie go tak blisko planety z pewnością nie przysłuży się roślinności Nowej Kowii, jednak to była ostatnia rzecz, którą by się w tej chwili przejmował. – Luke?

– Widzę go! – nadeszła odpowiedź z pokładu towarzyszącego im myśliwca. – Macie może jakieś pomysły? To znaczy poza ucieczką?

– Ucieczka brzmi bardzo przyzwoicie – zapewnił go prędko Han. – Lando?

– Obliczam współrzędne – zgłosił Calrissian, przebierając palcami po klawiaturze komputera nawigacyjnego. – Powinniśmy dać radę skoczyć, gdy tylko znajdziemy się dość daleko od planety.

– Uwaga, z dołu nadlatuje drugi statek – ostrzegł Luke. – Wystartował z dżungli i…

– To nasi – weszła mu w słowo Irenez, zerkając nad ramieniem Hana. – Zrównacie się z nimi, jeśli zmienicie kurs na sto dwadzieścia sześć koma trzydzieści.

Gwiezdny niszczyciel wyraźnie przyspieszał. Na ekranie pojawił się teraz lecący przed nim klin myśliwców TIE.

– Lepiej się rozdzielmy – zadecydował Han.

– Nie, trzymajcie się naszych – zaprotestowała Irenez. – Sena powiedziała, że pomoc już leci.

Solo spojrzał ponownie na oddalający się od planety statek: mały, dość szybki transportowiec, jednak niezbyt imponująco uzbrojony. Przeniósł wzrok na zbliżające się szybko myśliwce TIE…

– Znajdziemy się w ich zasięgu, nim zdołamy skoczyć – mruknął Lando, jakby czytał mu w myślach.

– To prawda. Luke, co o tym sądzisz?

– Wydaje mi się, że Lando ma rację – nadeszła odpowiedź.

– Wiem – westchnął Solo. – Dałbyś radę powtórzyć tę sztuczkę z Nkllona? No, wiesz – namieszać trochę tym pilotom w głowach…

Luke wahał się przez chwilę, nim odpowiedział:

– Wątpię. Ja… nie powinienem robić takich rzeczy. Wiesz, co mam na myśli?

Szczerze powiedziawszy, Han nie miał pojęcia, jednak prawdopodobnie i tak nie miało to znaczenia. Na chwilę zapomniał, że nie znajduje się na pokładzie „Sokoła”, gdzie miałby do dyspozycji poczwórne działka laserowe, osłony i mocny pancerz. „Ślicznotka”, niezależnie od wszystkich modyfikacji, które wprowadził Lando, nie nadawała się zbytnio do walki – nawet z myśliwcami TIE pilotowanymi przez skołowanych pilotów.

– No dobra, nie było tematu – mruknął. – Oby Sena nie myliła się z tą pomocą.

Nim jeszcze skończył mówić, nad kokpitem „Ślicznotki” przeleciał jaskrawozielony promień energii.

– Myśliwce z lewej! – warknął Lando.

– Próbują nas rozdzielić! – zawołał Luke. – Zajmę się nimi! – Nie czekając na odpowiedź, obniżył lot, nurkując pod „Ślicznotkę”, i z rykiem silników zawinął na lewo, wychodząc na spotkanie wrogów.

– Uważaj na siebie – mruknął Solo, lustrując jednocześnie wskazania na ekranie rufowym. Siedzące im na ogonie myśliwce szybko się zbliżały. – Czy wasz statek jest uzbrojony? – spytał Irenez.

– Nie, ale ma solidny pancerz i porządne osłony – odparła. – Może powinniście go wyprzedzić, żeby skupił na sobie większość ataku?

– Się pomyśli – odmruknął Han, krzywiąc się kwaśno. Najwyraźniej kobieta nie miała pojęcia o walce w kosmosie. Pilotów TIE-ów nie obchodziło, który statek nawinie im się podczas ataku jako pierwszy, a konieczność trzymania się innej jednostki, aby ukryć się pod jej osłonami, wiązała się z utratą manewrowości.

Nadlatujące z lewej flanki myśliwce rozproszyły się, gdy Luke przeleciał między nimi, ostrzeliwując się zawzięcie z działek. Kiedy ostro zakręcił, obracając swoją maszynę o sto osiemdziesiąt stopni i siadając na ogonach pierwszej grupy myśliwców, druga przyspieszyła, lecąc z odsieczą. Han wstrzymał oddech, jednak Skywalker jakimś cudem zdołał wyjść z opresji cało i znów zawinąć, oddalając się od „Ślicznotki" i odciągając od niej jednocześnie cały zespół imperialnych myśliwców.

– No to przynajmniej ich mamy z głowy – stwierdziła Irenez.

– Miejmy nadzieję, że Luke jakoś sobie poradzi – rzucił Lando, nawiązując połączenie z X-wingiem. – Luke, czy wszystko w porządku?

– Trochę mnie drasnęli, ale wszystkie systemy są sprawne – zameldował Skywalker. – Wątpię jednak, czy zdołam do was wrócić.

– Nawet nie próbuj – ostrzegł go Han. – Gdy tylko je zgubisz, skacz w nadświetlną i zabieraj się stąd.

– A co z wa…? – chciał spytać Luke, ale przerwało mu naglące poćwierkiwanie dobiegające z głośników „Ślicznotki".

– To nasz sygnał! – zidentyfikowała dźwięk Irenez. – Nadlatują!

Han ściągnął brwi, lustrując niebo za przednim panelem widokowym. Nie widział śladu żadnego statku – jedynie odległe gwiazdy… wśród których nagle zmaterializowały się trzy duże jednostki, opuszczające nadprzestrzeń w idealnie zgranym w czasie trójkątnym szyku.

Lando zaczerpnął głośno tchu.

– To stare drednoty!

– To właśnie nasza pomoc – wyjaśniła Irenez. – Kieruj się w środek trójkąta. Będą nas osłaniać.

– Jasne. – Han zacisnął zęby, zmieniając tor lotu „Ślicznotki” o kilka stopni i próbując wycisnąć z silników jeszcze odrobinę mocy.

Nowa Republika dysponowała sporą flotą drednotów. Te mierzące sześćset metrów długości okręty były naprawdę imponujące, jednak nawet trzy takie jednostki mogły mieć problem z pokonaniem w walce gwiezdnego niszczyciela.

Najwyraźniej osoba dowodząca flotyllą była tego samego zdania co on, bo gdy lecący za „Ślicznotką” imperialny moloch otworzył ogień z potężnych turbolaserów, krążowniki zaczęły zasypywać go z furią gradem ognia z dział jonowych, próbując na tyle uszkodzić systemy niszczyciela, aby zdołali bezpiecznie umknąć.

– To chyba wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie – oznajmił Luke’owi Han.

– Chyba tak – potwierdził Skywalker. – W porządku. Znikam stąd. Gdzie się spotkamy?

– Nie spotkamy się – odpowiedział Solo, krzywiąc się w duchu. Podejrzewał, że Luke’owi jego odpowiedź spodobała się jeszcze mniej niż jemu samemu, jednak nic nie był w stanie na to poradzić. Informowanie go o punkcie zbornym, nawet na kanale, który teoretycznie powinien być bezpieczny, w bezpośredniej bliskości tuzina myśliwców TIE byłoby jak zapraszanie Imperium, aby wysłało tam swój komitet powitalny. – Lando i ja dokończymy tę misję – dodał. – Jeśli wpadniemy w tarapaty, skontaktujemy się z tobą za pośrednictwem Coruscant.

– W porządku – potwierdził Luke. Tak jak Han się spodziewał, nie wydawał się zbyt zadowolony, ale miał dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że nie mają innego wyjścia. – Uważajcie na siebie.

– Do zobaczenia – pożegnał się Solo i zakończył połączenie.

– A więc to teraz także moja misja, co? – zagadnął z fotela drugiego pilota Lando. W jego głosie słychać było mieszaninę poirytowania i rezygnacji. – Wiedziałem, po prostu wiedziałem, że tak się to wszystko skończy.

Transportowiec Seny znalazł się już w bezpiecznym schronieniu między drednotami, jednak nie zwalniał. Han starał się trzymać tuż za nim, najbliżej, jak się dało.

– Czy mam cię podrzucić w jakieś konkretne miejsce? – spytał Irenez.

Kobieta wyglądała przez iluminator, przypatrując się podwoziu drednota, którego akurat mijali.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to nasz dowódca liczył na to, że zechcecie zajrzeć do naszej bazy – wyznała.

Han i Lando wymienili spojrzenia. W jej głosie było coś, co sugerowało, że ta propozycja to coś więcej niż tylko zaproszenie.

– A jak bardzo liczy na to twój dowódca? – spytał ostrożnie Calrissian.

– Bardzo, bardzo. – Irenez oderwała wzrok od krążownika. – Nie zrozumcie mnie źle, to nie jest rozkaz. Jednak gdy rozmawiałam z szefem, wydawał się bardzo zainteresowany ponownym spotkaniem kapitana Solo.

Han przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Ponownym…?

– Dokładnie tak się wyraził.

Solo zerknął na przyjaciela, jednak Lando miał równie skonsternowaną minę co on sam.

– Jakiś stary przyjaciel, o którym nigdy nie wspominałeś? – zagadnął.

– Nie przypominam sobie, bym miał przyjaciół bujających się drednotami – burknął Solo. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że bardzo elegancko wplątałeś mnie w jakąś grubą kabałę – poskarżył się Calrissian. – Tak czy inaczej, kimkolwiek jest ten cały ich dowódca, wszystko wskazuje na to, że trzyma z twoimi bothańskimi kolesiami. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co knuje Fey'lya, może najlepiej będzie go o to spytać osobiście?

Han zastanowił się nad słowami przyjaciela. Oczywiście Lando miał rację. Z drugiej jednak strony to wszystko mogło stanowić sprytną pułapkę, a gadka o starych przyjaciołach miała go tylko w nią zwabić…

Mimo to trudno byłoby odmówić w sytuacji, gdy Irenez siedziała tuż za nimi z blasterem w kaburze na biodrze. Tym bardziej gdyby Irenez z Seną zdecydowały się naciskać. Równie dobrze mogli zachować się uprzejmie i przyjąć zaproszenie.

– No dobra – westchnął. – Jaki mamy ustawić kurs?

– Żaden – odparła Irenez, wskazując podbródkiem na iluminator.

Gdy Solo podążył za jej wzrokiem, dostrzegł, że jeden z trzech krążowników, które minęli, zawrócił teraz i leciał równolegle do nich. Przed nimi statek Seny kierował się ku jednemu z dwóch jasno oświetlonych śluz hangarowych drednota.

– Niech zgadnę… – zaczął, jednak kobieta nie dała mu dokończyć.

– Po prostu odpręż się i pozwól, że zajmiemy się resztą – rzuciła z lekkim rozbawieniem. Dotarło do niego, że to u niej pierwszy przejaw poczucia humoru, odkąd się spotkali.

– Jasne – mruknął i naprowadził „Ślicznotkę" na burtę krążownika. Za ich rufą wciąż trwała wymiana ognia. Przypomniał sobie nagle, że sondując Senę i jej ludzi, Luke nie wyczuł u nich złych zamiarów.

Z drugiej jednak strony Skywalker nie przewidział zasadzki na Bimmisaari ani zdrady Bimmów tuż przed atakiem Noghrich.

Cóż, teraz Solo mógł tylko mieć nadzieję, że tym razem jego przyjaciel się nie pomylił…

Sylwetka pierwszego z drednotów zamigotała lekko i już po chwili okręt zniknął w nadprzestrzeni, unosząc ze sobą transportowiec i „Ślicznotkę". Kilka sekund później dwa pozostałe krążowniki przestały ostrzeliwać gwiezdny niszczyciel z dział jonowych i – ścigane ogniem z nadal funkcjonujących imperialnych baterii turbolaserów – również przyspieszyły do prędkości nadświetlnej.

Luke został sam. Nie licząc, oczywiście, eskadry wciąż nękających go TIE-ów.

Zza jego pleców dobiegł nieco zniecierpliwiony i bardzo zmartwiony świergot.

– Spokojnie, Artoo – spróbował ułagodzić małego robocika. – Już lecimy. – Sięgnął do dźwigni hipernapędu, pociągnął ją mocno ku sobie i gwiazdy rozmyły się w świetliste smugi, które zastąpił wkrótce cętkowany tunel nadprzestrzeni.

Byli bezpieczni.

Skywalker zaczerpnął głęboko tchu i westchnął. Co teraz?

Han i Lando zniknęli – dokądkolwiek zabrali ich Sena i jej tajemniczy dowódca – a on nie miał szans ich wytropić. Dopóki nie wrócą i się z nim nie skontaktują, był wykluczony z ich misji.

Ale… może i dobrze się składało?

Artoo znów zaświergotał, tym razem pytająco.

– Nie, nie wracamy na Coruscant, Artoo – zaprzeczył, gnębiony znów dziwnym wrażeniem *déjà vu*. – Lecimy na planetę o nazwie Jomark. Spotkać się z mistrzem Jedi.

Rozdział 9

Z nadprzestrzeni wyskoczył mały, szybki statek patrolowy. Nim czujniki „Sokoła” zarejestrowały jego obecność, zdołał się do nich zbliżyć na odległość stu kilometrów. Gdy Leia wchodziła do kokpitu, pilot statku już się z nimi kontaktował.

– Khabarakh, czy to ty? – zawołała, wślizgując się na fotel drugiego pilota obok Chewbakki.

– Tak, lady Vader – potwierdził Noghri chrapliwym miauknięciem. – Przybyłem sam, tak jak obiecałem. Czy ty również jesteś sama?

– Towarzyszy mi mój przyjaciel Chewbacca, którego zabrałam w charakterze pilota – wyjaśniła. – Oraz mój droid protokolarny. Chciałabym wziąć go ze sobą jako tłumacza, jeśli to nie problem. Chewbacca, jak już z nim uzgodniłam, zostanie tutaj.

Wookiee zwrócił się w jej stronę i zaryczał.

– Nie – powiedziała stanowczo, w porę przypominając sobie, by wyłączyć fonię. – Przykro mi, ale obiecałam to Khabarakhowi. Zostaniesz tu, na pokładzie „Sokoła”. I tak, to rozkaz.

Chewie ryknął ponownie, tym razem bardziej natarczywie, i Leia poczuła na karku dziwne mrowienie, gdy zdała sobie sprawę z tego, o czym nie myślała od wielu lat: że Wookiee miał tendencję do ostentacyjnego ignorowania rozkazów, jeśli akurat naszła go na to ochota.

– Muszę iść sama, Chewie – powiedziała cicho. Wiedziała, że Mocą niewiele tu zdziała. Postanowiła przemówić mu do rozsądku. – Nie rozumiesz? Taka była umowa.

Chewbacca zaburczał.

– Nie. – Pokręciła znowu głową. – Samą siłą mięśni nie zagwarantujesz mi bezpieczeństwa. Jedyna nadzieja w przekonaniu Noghrich, że można mi ufać. Że gdy składam obietnicę, to jej dotrzymuję.

– Droid nie będzie stanowił problemu – oświadczył tymczasem Khabarakh. – Podprowadzę swój statek i zadokuję do twojego, tak byś mogła przejść na pokład.

Leia aktywowała znów nadajnik.

– W porządku – powiedziała. – Chciałabym również zabrać ze sobą walizkę z ubraniami i rzeczami osobistymi, a także skaner z zestawem czujników i analizatorów, aby zbadać ziemię i powietrze pod kątem zawartości substancji, które mogłyby okazać się dla mnie szkodliwe.

– Powietrze i gleba w miejscu, w którym będziemy przebywać, są bezpieczne.

– Wierzę ci – powiedziała. – Jednak poza własnym muszę chronić też inne życie. Noszę pod sercem dwie nowe istoty i muszę dbać o ich bezpieczeństwo.

Z głośnika dobiegł przeciągły syk.

– Czy to dziedzice rodu lorda Vadera?

Leia zawahała się, jednak uznała, ze nawet jeśli nie jest to prawda z filozoficznego punktu widzenia, to w ujęciu genetycznym tak właśnie było.

– Owszem.

Kolejne syknięcie.

– Możesz zabrać ze sobą, co zechcesz – zapewnił ją Khabarakh. – Jednak będę musiał przeskanować twój dobytek. Czy będziesz miała ze sobą broń?

– Mam mój miecz świetlny – wyznała Leia. – Czy na twoim świecie są jakieś zwierzęta, które mogłyby okazać się dla mnie na tyle niebezpieczne, bym potrzebowała blastera?

– Już nie – odparł ponuro Khabarakh. – Miecz świetlny również możesz ze sobą zabrać.

Chewbacca zawarczał cicho coś niepochlebnego, mimowolnie wysuwając i chowając długie pazury, i Leia z niepokojem zdała sobie nagle sprawę, że Wookiee kontroluje się już tylko z najwyższym trudem i lada chwila może mu przyjść do głowy, by wziąć sprawy w te swoje wielkie…

– Jakiś problem? – spytał Khabarakh.

Leia poczuła w żołądku nieprzyjemny skurcz. „Masz być szczera” – upomniała się jednak w myśli.

– Mojemu pilotowi nie podoba się pomysł puszczania mnie z tobą samej – wyznała. – Ma wobec mnie… cóż, i tak byś nie zrozumiał.

– Czy ma wobec ciebie dług życia?

Zamrugała ze zdziwieniem i spojrzała na głośnik. Nie spodziewała się po Khabarakhu, by słyszał o długu życia Wookieech, a co dopiero, by wiedział coś na jego temat.

– Tak – przyznała z wahaniem. – Zaciągnął go pierwotnie wobec mojego męża, Hana Solo, jednak podczas wojny objął nim również mojego brata i mnie.

– A teraz także dzieci, które w sobie nosisz?

Obejrzała się na Chewbaccę.

– Tak.

Przez długą chwilę Khabarakh milczał.

Statek patrolowy nie schodził z kursu i Leia złapała się na tym, że nerwowo wpijała palce w podłokietniki, zastanawiając się, co takiego pomyślał sobie Noghri. Jeśli uznał sprzeciw Chewbakki za złamanie ich umowy…

– Kodeks honorowy Wookieech jest podobny do naszego – odezwał się wreszcie Noghri. – Może lecieć z tobą.

Chewbacca zamruczał gardłowo, ale jego zdziwienie szybko zmieniło się w podejrzliwość.

– Wolałbyś, żeby kazał mi zostawić cię na pokładzie? – odparła ostro Leia. U niej dla odmiany zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca uldze, że tak prędko udało się rozwiązać ten problem. – Daj spokój! – westchnęła. – Idziesz czy nie?

Wookiee znów zaburczał, ale z tonu jego głosu jasno wynikało, że wolałby dać się złapać w pułapkę razem z nią, niż pozwolić jej samotnie narażać się na niebezpieczeństwo.

– Dziękuję, Khabarakhu – powiedziała. – Przyjmujemy twoje zaproszenie. Będziemy cię oczekiwali. A tak przy okazji, jak długo zajmie podróż na twój świat?

– Około czterech dni – wyjaśnił Khabarakh. – To będzie dla mnie zaszczyt, móc cię gościć na pokładzie mojego statku. – Z tymi słowy rozłączył się.

„Cztery dni – pomyślała Leia, czując, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz. – Cztery dni, aby dowiedzieć się jak najwięcej o Khabarakhu i jego ludzie, Noghrich”.

A także by przygotować się do być może najważniejszej misji dyplomatycznej w życiu…

Jak się okazało, podczas podróży nie dowiedziała się zbyt wiele o kulturze Noghrich. Khabarakh raczej stronił od towarzystwa – większość czasu spędzał samotnie, zamknięty w kokpicie lub swojej kajucie. Od czasu do czasu zaglądał do Lei, żeby z nią przez chwilę porozmawiać, jednak rozmowy te były zawsze krótkie i niezmiennie wzbudzały w niej wrażenie, że Noghri ma nadal mieszane uczucia odnośnie do decyzji zaproszenia jej na swoją planetę. Gdy na Kashyyyku, będącym ojczyzną Wookieech, ustalali szczegóły, zaproponowała mu, by przedyskutował tę sprawę z przyjaciółmi lub powiernikami, jednak zauważyła, że im bliżej byli celu podróży, tym bardziej nerwowo zachowywał się ich gospodarz, co sugerowało, że nie poszedł za jej radą. Podjął tę decyzję sam i z nikim jej nie skonsultował.

Musiała przyznać, że nie wróżyło to zbyt dobrze. Oznaczało to, że albo nie ufa swoim przyjaciołom, albo chce im oszczędzić nieprzyjemności, na wypadek gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Ani jedna, ani druga możliwość nie napawała optymizmem.

A ponieważ Noghri nie uznawał za stosowne dotrzymywać im towarzystwa, byli wraz z Chewbaccą zmuszeni dostarczać sobie rozrywki sami. W przypadku Wookieego, mającego smykałkę do mechaniki, przekładało się to głównie na włóczenie się po pokładzie i wściubianie nosa do każdej kajuty, każdego magazynku i szybu, który zdołał znaleźć, studiując plany statku. Jak jej ponuro oznajmił: „To gdyby doszło do sytuacji, w której byliby zmuszeni pilotować go sami”. Leia z kolei spędziła większą część podróży zamknięta w swojej kajucie z C-3PO, próbując wytropić pochodzenie słowa „Mal’ary’ush” – jedynego w języku Noghrich, jakie znała – licząc na to, że da jej to choćby blade pojęcie o tym, dokąd leci. Niestety,

władający sześcioma milionami form komunikacji i dysponujący rozbudowaną bazą lingwistyczną droid protokolarny był w stanie dostarczyć dowolną liczbę podstaw etymologicznych tego słowa, od brzmiących sensownie, przez niezbyt logiczne, aż po kompletnie absurdalne. Było to całkiem ciekawe ćwiczenie z zakresu lingwistyki stosowanej, jednak koniec końców okazało się raczej frustrujące niż przydatne.

W połowie czwartego dnia dotarli na świat Noghrich. Było gorzej, niż Leia się spodziewała.

– To… nie do wiary! – wydyszała, czując w gardle dławiącą gulę, gdy ramię w ramię z Chewbaccą stali przed jedynym iluminatorem w kabinach pasażerskich, aby przyjrzeć się planecie, na której już za chwilę mieli wylądować. Obleczona cienką warstwą chmur powierzchnia globu miała, jak się zdawało, jednolicie brązową barwę, z rzadka tylko nakrapianą plamami ciemnobłękitnych jezior i niewielkich mórz: ani śladu zieleni czy choćby żółci, bladego fioletu albo błękitu – kolorów typowych dla planet, na których występowała roślinność. Patrzyła na krajobraz sugerujący, że to miejsce jest… martwe.

Chewbacca zawarczał cicho.

– Tak, Khabarakh wspominał, że ich planeta ucierpiała wskutek wojny – potwierdziła ponuro Leia. – Ale nie przyszło mi do głowy, że może to oznaczać całkowite zniszczenie! – Potrząsnęła głową z sercem ściśniętym z bólu, zastanawiając się, kto ponosił większą odpowiedzialność za tę katastrofę.

„Większą odpowiedzialność…”.

Przełknęła głośno ślinę, gdy dotarło do niej, że odruchowo stara się usprawiedliwić działania Rebelii. W tej wojnie nie było bardziej ani mniej odpowiedzialnych. Świat Khabarakha został zniszczony wskutek bitwy toczonej w kosmosie przez dwie strony konfliktu. Cokolwiek zmieniło go w pustynię, Sojusz Rebeliantów nie powinien się uchylać od winy.

– Nic dziwnego, że Imperatorowi i Vaderowi udało się nastawić ich przeciwko nam – mruknęła pod nosem. – Musimy znaleźć jakiś sposób, by im pomóc.

Chewbacca zawarczał ponownie, wskazując widok za iluminatorem. Na horyzoncie pojawiła się rozmyta linia oddzielająca strefę dnia od nocy, spod której wyzierał niewyraźny, nieregularny placek bladej zieleni.

– Widzę – potwierdziła Leia. – Sądzisz, że to wszystko, co zostało?

Wookiee wzruszył ramionami i zamruczał cicho.

– Tak, to chyba najprostszy sposób, by się o tym przekonać – przyznała. – Nie wiem tylko… naprawdę nie wiem, czy chcę go o to pytać. Zaczekajmy, dopóki nie znajdziemy się bliżej i nie zobaczymy dokładniej… – Urwała, gdy poczuła, jak stojący obok niej Chewbacca tężeje, i usłyszała jego rozdzierający ryk. – Co się…

Wówczas zobaczyła, co tak bardzo wzburzyło Chewiego. Jej również ten widok zmroził krew w żyłach: tuż nad łagodną krzywizną planety wisiał imperialny gwiezdny niszczyciel.

A więc zostali zdradzeni…

– Nie – wykrztusiła, przypatrując się potężnemu klinowi. Nie mogło być mowy o pomyłce: to był okręt Imperium, bez dwóch zdań. – Nie – powtórzyła stanowczo. – Nie wierzę, że Khabarakh byłby do tego zdolny.

Gdy uświadomiła sobie, że jej ostatnie słowa trafiły w pustkę, zorientowała się z przerażeniem, że Chewbakki nie ma już u jej boku. Odwróciła się na pięcie w samą porę, by dostrzec błysk brązowego futra Wookieego, z furią znikającego w korytarzu prowadzącym do kokpitu.

– Nie! – zawołała w ślad za nim. Odepchnęła się od grodzi i puściła za nim biegiem co sił w nogach. – Chewie, nie!

Wiedziała jednak, że strzępi sobie język na próżno. Wookieego ogarnęła żądza mordu, a w tym stanie nic nie mogło go powstrzymać przed dotarciem do Khabarakha. Gdyby musiał, rozdarłby w tym celu kokpit samymi łapami.

Pierwszy huk usłyszała, gdy była w połowie korytarza, drugi rozległ się, kiedy skręciła za róg i w jej polu widzenia ukazał się właz do kabiny. Chewbacca zamachiwał się właśnie potężną łapą, by załomotać w drzwi po raz trzeci, gdy – ku zaskoczeniu Lei – te się rozsunęły.

Wookiee także wydawał się zdziwiony, jednak nie zastanawiał się długo: wpadł do środka jak burza, nim jeszcze drzwi otworzyły się na całą szerokość, wydając przy tym z siebie przerażający okrzyk bojowy.

– Chewie! – krzyknęła, puszczając się za nim pędem, rychło w czas, by zobaczyć, jak usadowiony przy stanowisku pilota Khabarakh wyrzuca prawe ramię w powietrze, jakimś cudem zwalając szarżującego ze wściekłym rykiem Wookieego z nóg i posyłając go wprost na pulpit kontrolny.

Zatrzymała się ślizgiem tuż przed kabiną, nie wierząc własnym oczom.

– Khabarakh…

– To nie ja ich wezwałem – wyjaśnił Noghri, nieco odwracając się w jej stronę. – Nie łamię danego słowa.

Chewbacca wyryczał jakiś niepochlebny komentarz, gramoląc się na nogi w ciasnej przestrzeni.

– Musisz go powstrzymać! – zawołał Khabarakh, próbując przekrzyczeć rozwścieczonego Wookieego. – I uciszyć. Jeśli nie prześlę sygnału rozpoznawczego, już po nas…

Leia spojrzała nad jego ramieniem na majaczący złowrogo w oddali gwiezdny niszczyciel i zacisnęła szczęki. Zdradzeni… Jednak gdyby Khabarakh postanowił ich zdradzić, dlaczego pozwolił jej zabrać ze sobą Chewbaccę? Niezależnie od tego, jakiej sztuczki użył, by podciąć Chewiemu nogi, wiedziała, że drugi raz to nie zadziała.

Skupiła znów wzrok na twarzy Noghriego, spojrzała w jego ciemne oczy, powiodła wzrokiem po wystającej szczęce i ostrych kłach. Przyglądał się jej czujnie, ignorując śmiertelne zagrożenie w postaci górującego nad nim Wookieego, z dłonią zawieszoną nad przełącznikiem komunikatora. Z pulpitu dobiegło natarczywe piśnięcie i ręka Khabarakha drgnęła, aby ponownie znieruchomieć nad panelem.

Kolejny pisk.

– Nie zdradziłem cię, lady Vader – powtórzył Noghri z naciskiem. – Musisz mi uwierzyć.

Leia ponownie zacisnęła zęby.

– Chewie, uspokój się – wycedziła. – Chewie? Chewie, proszę…

Wookiee zignorował ją jednak. Z jego gardła wydarł się ponownie mrożący krew w żyłach okrzyk i Wookiee rzucił się Khabarakhowi do gardła…

Tym razem Noghri nie uchylił się przed atakiem. Zamiast tego chwycił potężne nadgarstki Chewbakki szczupłymi palcami i zacisnął je na nich z całych sił.

Okazało się, że to za mało, by powstrzymać ogarniętego dzikim szałem Wookieego, który naparł na szaroskórą istotę, powoli, ale systematycznie wyginając jej ramiona w tył.

– Chewie, powiedziałam: dosyć! – spróbowała ponownie Leia. – Zastanów się, czy gdyby chciał nas wciągnąć w pułapkę, nie odczekałby, aż pójdziemy spać albo będziemy czymś zajęci.

Chewbacca zawarczał gardłowo, nie zaprzestając jednak ataku.

– Ale jeśli się nie zgłosi, zorientują się, że coś jest nie tak! – próbowała mu przemówić do rozsądku Leia. – W ten sposób tylko ułatwimy im sprawę.

– Lady Vader mówi prawdę – wydyszał Khabarakh, z najwyższym trudem opierając się sile Chewiego. – Nie zdradziłem was, jednak sami do tego doprowadzicie, jeśli nie wyślę sygnału rozpoznawczego.

– On ma rację – tłumaczyła cierpliwie księżniczka. – Jeżeli zjawią się tu, żeby sprawdzić, co się dzieje, już po nas! Daj spokój, Chewie, to nasza jedyna szansa…

Wookiee znów warknął, gwałtownie potrząsając głową.

– W takim razie nie pozostawiasz mi wyboru – orzekł Khabarakh i nagle, bez ostrzeżenia, kokpit rozbłysnął błękitnym światłem, a Chewbacca runął na ziemię jak długi.

– Co mu zro…? – jęknęła Leia, padając na kolana obok rozciągniętego bez ruchu na podłodze Wookieego. – Khabarakh!

– Ogłuszyłem go tylko – wyjaśnił Noghri, sapiąc z wysiłkiem i odwracając się w stronę pulpitu sterowniczego. – To wbudowany system obrony.

Leia zwróciła się w jego stronę, łypiąc na niego gniewnie, rozwścieczona do granic… jednak zmusiła się, by ochłonąć. Starała się przeanalizować sytuację na spokojnie. Gdyby Khabarakh nie

zareagował, Chewbacca bez dwóch zdań by go udusił, a ona wiedziała z doświadczenia, jak trudno jest uspokoić ogarniętego furią Wookieego – nawet gdy było się jego przyjacielem.

Nie mówiąc już o tym, że Noghri próbował przemówić mu do rozsądku, nim uciekł się do ostateczności.

– Co teraz? – spytała, kładąc dłoń na porośniętej gęstą sierścią piersi Chewbakki, aby sprawdzić bicie serca.

Dudniło pod jej palcami spokojnym, stałym rytmem, co oznaczało, że broń ogłuszająca nie wyrządziła układowi nerwowemu Wookieego żadnej krzywdy. Czasem, wprawdzie rzadko, tak się zdarzało.

– Teraz musisz być cicho – odpowiedział Noghri, pstrykając przełącznikiem systemu łączności i rzucając do mikrofonu coś w swoim języku.

Odpowiedziało mu przeciągłe miauknięcie i przez kilka minut rozmówcy wymieniali uwagi.

Leia klęczała tymczasem u boku nieprzytomnego Chewbakki, żałując, że nie ma przy sobie C-3PO, który tłumaczyłby jej rozmowę. Miło byłoby wiedzieć, o czym rozprawiają Noghri.

W końcu wymiana zdań dobiegła końca i Khabarakh się rozłączył.

– Jesteśmy teraz bezpieczni – oznajmił jej, opadając na oparcie fotela. – Przekonałem ich, że nastąpiła awaria sprzętu.

– Miejmy nadzieję – mruknęła Leia.

Khabarakh spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie zdradziłem cię, lady Vader – powtórzył cicho, z mocą, a jednak dziwnie błagalnie. – Musisz mi uwierzyć. Obiecałem cię bronić i tak się stanie. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zginę w twojej obronie.

Leia gapiła się na niego z wpółotwartymi ustami… dopóki nagle – czy to dzięki wrażliwości na Moc, czy też bogatemu doświadczeniu dyplomatycznemu – dotarło do niej, w jak trudnym położeniu znalazł się Khabarakh. I to na własne życzenie. Nawet jeśli podczas tej podróży Noghrim targały jeszcze jakieś wątpliwości, to niespodziewane pojawienie się gwiezdnego niszczyciela położyło im kres. Ta sytuacja sprawiła, że podano w wątpliwość jego słowo, i teraz musiał za wszelką cenę udowodnić, że go nie złamie.

Zamierzał zrobić wszystko, by tak się nie stało, niezależnie od tego, czego będzie to od niego wymagało. Nawet gdyby miało to oznaczać dla niego śmierć.

Wcześniej zastanawiała się, jak to możliwe, że Khabarakh rozumie pojęcie tak skomplikowane jak dług życia Wookieech. Być może jednak kultury Noghrich i Wookieech były sobie bliższe, niż mogłaby przypuszczać…

– Wierzę ci – powiedziała stanowczo, wstając i wślizgując się na fotel drugiego pilota. Nie miała innego wyjścia, jak tylko zostawić Chewbaccę w tym miejscu, na podłodze kokpitu, dopóki Wookiee nie ocknie się na tyle, by zdołała pomóc mu wstać. – Co dalej?

Khabarakh odwrócił się z powrotem do swojego pulpitu.

– Teraz musimy podjąć decyzję – oświadczył. – Miałem zamiar zabrać cię do naszego miasta Nystao i zaczekać tam do zmroku, aby przedstawić cię wodzowi mojego klanu. Teraz to jednak niemożliwe. Zjawił się nasz imperialny władca i zwołał zgromadzenie starszyzny…

Leia poczuła znów nieprzyjemne mrowienie na karku.

– Czy… czy wasz imperialny władca to wielki admirał? – spytała ostrożnie.

– Zgadza się – potwierdził Khabarakh. – To jego okręt, „Chimaera”. Pamiętam dzień, w którym lord Darth Vader pierwszy raz go nam przedstawił – dodał w zamyśleniu. – Powiedział nam, że od teraz będzie musiał się bez reszty skupić na walce z wrogami Imperatora. I że to wielki admirał będzie odtąd nam przewodził. – Z gardła wydarł mu się dziwny, chrapliwy pomruk. – Wielu z nas ogarnął tego dnia głęboki smutek. Lord Vader był jedyną oprócz Imperatora istotą, którą obchodził los Noghrich. Dał naszemu ludowi nadzieję… i cel.

Leia skrzywiła się gorzko. Tym celem… była służba w charakterze komandosów i poświęcanie życia wedle kaprysów Imperatora. Nie mogła jednak powiedzieć tego Khabarakhowi. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Tak – bąknęła więc tylko.

Rozciągnięty u jej stóp Chewbacca drgnął.

– Wkrótce się ocknie – poinformował ją Khabarakh. – Nie chciałbym być zmuszony ponownie go ogłuszyć. Czy zdołasz nad nim zapanować.

– Tak sądzę – powiedziała z powątpiewaniem Leia. Schodzili teraz ku wyższym warstwom atmosfery kursem, który wiódł w pobliżu orbitującego nad planetą gwiezdnego niszczyciela. – Mam nadzieję, że nie przyjdzie im do głowy sprawdzić nas czujnikami – mruknęła. – Jeśli wykryją na pokładzie trzy formy życia… cóż, będziesz się musiał gęsto tłumaczyć.

– Powinien temu zapobiec system rozpraszania sensorów – zapewnił ją Khabarakh. – Nastawiłem go na pełną moc.

Leia zmarszczyła czoło.

– Czy nie będą nic podejrzewać?

– Nie – zaprzeczył Noghri. – Wyjaśniłem im, że mogę mieć z tym problemy w związku z awarią, która uszkodziła nam nadajnik.

Z piersi Chewbakki wydarł się cichy ryk, a gdy Leia obejrzała się na Wookieego, zobaczyła, że ten wbija w nią bezradne spojrzenie. Ocknął się już, jednak nie był w stanie się ruszyć.

– Przeszliśmy już wstępną kontrolę – wyjaśniła mu. – Lecimy teraz do… Dokąd właściwie nas zabierasz?

Noghri wziął głęboki oddech i wydał z siebie dziwnie brzmiący świst.

– Udamy się do mojego domu, do małej wioski w pobliżu Czystego Lądu. Ukryję was tam, dopóki nie odleci stąd nasz pan, wielki admirał.

Leia milczała przez chwilę, rozważając w myśli jego słowa. W niewielkiej wiosce, położonej z dala od głównych skupisk mieszkalnych, powinni być dość bezpieczni, by nie zainteresowało się nimi Imperium. Z drugiej jednak strony, jeśli była to osada, z jakimi Leia miała do tej pory do czynienia, jej obecność szybko zostanie zauważona i wieść o ich wizycie wkrótce się rozniesie.

– A czy… jesteś pewien, że mieszkańcy wioski nas nie wydadzą?

– Nie martw się o to – poprosił ją Khabarakh. – Zapewnię wam bezpieczeństwo.

Nie mogła jednak zauważyć, że zawahał się lekko, nim to powiedział, gdy zaś weszli w górne warstwy atmosfery, dotarło do

niej, że właściwie nie odpowiedział na jej pytanie.

Przywódca klanu skłonił się raz jeszcze i wrócił do szeregu Noghrich, czekających, aby złożyć hołd ich władcy. Thrawn, usadowiony na lśniącym tronie w Izbie Zgromadzeń Honoghra, skinął mu z powagą głową. Chwilę później dał gestem znak następnej osobie w kolejce, która postąpiła ku niemu, poruszając się z namaszczeniem w sposób, który miał wyrażać szacunek wobec ich imperialnego pana, a potem złożyła głęboki ukłon, bijąc czołem przed wielkim admirałem.

Stojący jakieś dwa metry po prawej i nieco z tyłu za Thrawnem Pellaeon przestąpił z nogi na nogę, stłumił ziewnięcie i zastanowił się, kiedy wreszcie ten niedorzeczny rytuał dobiegnie końca. Wcześniej sądził, że zjawili się na Honoghrze, aby podnieść morale wśród komandosów, jednak jak dotąd jedynymi Noghrimi, jakich miał okazję spotkać, okazali się honorowi strażnicy oraz ten niewielki, jednak wyjątkowo nużący pochód wodzów klanów. Zdawał sobie sprawę z tego, że Thrawn z pewnością ma swoje powody, by chcieć przebrnąć przez tę nudną ceremonię, jednak modlił się w duchu, by jak najszybciej dobiegła ona końca. W galaktyce wciąż toczyła się wojna, a w tej sytuacji tkwienie tu i wysłuchiwanie, jak te szaroskóre istoty ględzą o swojej lojalności wobec Imperium, wydawało się niedopuszczalną stratą czasu.

Nagle Pellaeon poczuł na karku lekki podmuch powietrza…

– Kapitanie? – mruknął mu ktoś cicho do ucha. Był to głos porucznika Tschela. – Proszę mi wybaczyć, ale wielki admirał Thrawn życzył sobie, by poinformować go niezwłocznie, jeśli wydarzy się coś niepokojącego.

Pellaeon kiwnął lekko głową, wdzięczny w duchu za to, że coś przerwało tę monotonię.

– O co chodzi?

– W zasadzie to nic poważnego – bąknął Tschel – ale lecący na planetę statek noghryjskiego komandosa nie nadał w porę sygnału rozpoznawczego.

– Może miał jakiś problem ze sprzętem? – podsunął Pellaeon.

– Tak właśnie twierdził pilot – zapewnił go Tschel. – Co może jednak dziwić, to fakt, że odmówił lądowania w Nystao. Można by sądzić, że w razie awarii pilot chciałby, by ktoś natychmiast się tym zajął…

– Awaria transmitera to nie powód do wszczynania alarmu – stwierdził Pellaeon, ale musiał przyznać, że Tschel miał rację: Nystao było jedynym miejscem na Honoghrze, w którym można było dokonać specjalistycznego przeglądu statku. – Czy się wylegitymował?

– Tak jest, sir. To Khabarakh z klanu Kihm'bar. Zgromadziłem informacje na jego temat – dodał, podając Pellaeonowi datapad.

Kapitan odebrał go od niego ukradkiem, zastanawiając się, co też powinien zrobić w tej sytuacji. Thrawn co prawda polecił mu, by powiadamiać go o wszelkich podejrzanych sytuacjach, które mogłyby zaistnieć na terenie układu, jednak przerywanie ceremonii z tak błahego powodu nie wydawało się dobrym pomysłem.

Okazało się jednak, że Thrawn jak zwykle wyprzedzał go o krok. Podnosząc dłoń, przerwał jednemu z przywódców klanów jego wyrafinowaną demonstrację i zwrócił pałające czerwienią oczy na Pellaeona.

– Czy chciałby mi pan coś powiedzieć, kapitanie?

– Cóż, zaszły pewne… okoliczności, sir – przyznał Pellaeon, zbierając się w sobie i podchodząc do wielkiego admirała. – Choć wydaje się, że to nic poważnego. Statek pewnego komandosa powracający na planetę zbyt późno przesłał sygnał rozpoznania, a potem odmówił lądowania w Nystao. Najprawdopodobniej to tylko problem ze sprzętem.

– Najprawdopodobniej – zgodził się Thrawn. – Czy został przeskanowany na okoliczność usterek?

– Ach. – Pellaeon zerknął na ekran datapada. – Wyniki nie są jednoznaczne – zameldował. – Pole zakłócające uniemożliwiło…

– Był wyposażony w systemy zakłócania? – wszedł mu w słowo Thrawn, posyłając mu ostre spojrzenie.

– Tak jest, sir.

Wielki admirał bez słowa wyciągnął dłoń po datapad. Pellaeon podał mu go i patrzył w milczeniu, jak jego przełożony studiuje

w skupieniu szczegółu raportu.

– Khabarakh z klanu Kihm'bar – mruknął pod nosem. – Ciekawe… – Podniósł wzrok na Pellaeona. – Dokąd poleciał statek?

Pellaeon obejrzał się na Tschela.

– Z ostatniego meldunku wynika, że kierował się na południe – odpowiedział porucznik. – Możliwe, że wciąż jest w zasięgu naszych promieni ściągających, sir.

Pellaeon spojrzał na Thrawna.

– Czy mamy go zatrzymać, admirale?

Jego przełożony spojrzał znów na datapad w najwyższym skupieniu.

– Nie – powiedział wreszcie. – Niech wyląduje, ale chciałbym, żeby nasi ludzie go śledzili. Przekaż też załodze „Chimaery", że chcę się z nią spotkać w punkcie, w którym statek się zatrzyma. – Powiódł wzrokiem po szeregu noghryjskich wodzów i zatrzymał spojrzenie na jednym z nich. – Przywódco Ir'khaimie z klanu Kihm'bar, wystąp, proszę.

Noghri posłuchał.

– Czego sobie życzysz, mój panie? – zamiauczał.

– Przybył właśnie jeden z twoich ludzi – odparł Thrawn. – Chcemy wyruszyć do jego wioski, aby go powitać.

– Twoje życzenie jest dla nas rozkazem. – Ir'khaim skłonił z szacunkiem głowę.

Thrawn wstał.

– Proszę rozkazać, by nasi ludzie przygotowali prom, kapitanie – polecił Pellaeonowi. – Lecimy natychmiast.

– Tak jest, sir – potwierdził przyjęcie rozkazu Pellaeon, dając znać skinieniem głowy porucznikowi, by ten podjął odpowiednie kroki. – Ale… czy nie byłoby prościej sprowadzić tu statek i pilota?

– Owszem – zgodził się Thrawn – jednak chciałbym zaspokoić moją ciekawość. Wątpię, by rozpoznał pan imię pilota, ale Khabarakh z klanu Kihm'bar należał niegdyś do dwudziestego drugiego oddziału komandosów. Czy to coś panu mówi?

Pellaeon poczuł, jak w żołądku rośnie mu lodowata gula.

– To właśnie oni zostali wysłani po Leię Organę Solo na Kashyyyk…

– …a on jako jedyny uszedł z życiem – dokończył wielki admirał. – Sądzę, że to będzie bardzo pouczające, jeśli wyjawi nam szczegóły tej nieudanej misji. Chciałbym także uzyskać od niego wyjaśnienie, dlaczego powrót do domu zajął mu tak dużo czasu. – Jego oczy zalśniły. – Jak również dowiedzieć się – dodał nieco ciszej – dlaczego za wszelką cenę nas unika…

Rozdział 10

Zapadł już zmrok, gdy Khabarakh sprowadził patrolowiec nad swoją wioskę – małe skupisko chat o jasno oświetlonych oknach.

– Czy często lądują tu statki? – spytała go Leia, gdy Noghri skierował pojazd w stronę skrytej w cieniu budowli, stojącej samotnie w pobliżu centrum osady.

Reflektory statku rozświetliły mrok, ujawniając szczegóły budynku, który okazał się dużym, cylindrycznym obiektem o spadzistym dachu i ścianach wzniesionych z potężnych bali oraz drewna o lśniącej powierzchni i jaśniejszej barwie. Tuż pod okapem dostrzegła błysk metalowej opaski okalającej całą konstrukcję.

– Dość rzadko – odpowiedział na jej pytanie Khabarakh, wyłączając silniki i przełączając układy statku w stan spoczynku. – Ale zdarza się to od czasu do czasu.

Innymi słowy, z dużą dozą prawdopodobieństwa ściągną na siebie uwagę. Chewbacca, który doszedł już do siebie na tyle, by z pomocą Lei usiąść w jednym z foteli w kokpicie, bez dwóch zdań wyciągnął taki sam wniosek.

– Wszyscy mieszkańcy wioski to członkowie klanu Kihm'bar, należący do jednej rodziny – wyjaśnił Khabarakh w odpowiedzi na nieco bełkotliwe pytanie Wookieego. – Potraktują moją obietnicę chronienia cię, jakby złożyli ją sami. Chodźmy.

Leia rozpięła uprząż i wstała, krzywiąc się lekko. Tak czy inaczej, dotarli na miejsce i teraz mogła już tylko żywić nadzieję, że zaufanie, jakim Khabarakh darzył swoich współplemieńców, nie było bezpodstawne i nie wynikało jedynie z jego młodzieńczej naiwności.

Pomogła Chewbacce wypiąć się z fotela i wspólnie ruszyli za Noghrim do głównego włazu, zabierając ze sobą po drodze C-3PO.

– Pójdę przodem – poinformował ich Khabarakh, gdy dotarli do wyjścia. – Zwyczaj wymaga, abym po przybyciu udał się do dukhy

klanu Kihm’bar. Sam. Zgodnie z naszym prawem powinienem przedstawić gości spoza naszej społeczności głowie rodu.

– Rozumiem – odparła Leia, tłumiąc kolejną falę niepokoju. Wcale jej się nie podobało, że Khabarakh będzie rozmawiał ze swoimi ziomkami bez niej, jednak nie była w stanie nic na to poradzić. – Zaczekamy tu, aż po nas wrócisz.

– To nie potrwa długo – zapewnił ją, dwukrotnie naciskając przycisk otwierający właz i wychodząc w mrok, gdy drzwi się odsunęły.

Kiedy zamknęły się za nim i zostali we trójkę, Chewbacca zaryczał coś niewyraźnie pod nosem.

– Wkrótce wróci – próbowała go pocieszyć Leia, bardziej domyślając się, niż mając pewność, co go trapi.

– Jestem pewien, że pan Khabarakh mówił prawdę – dodał pokrzepiająco C-3PO. – Takie zwyczaje i rytuały to nic niezwykłego pośród prymitywnych kultur, które jeszcze nie osiągnęły etapu lotów w kosmos.

– Tyle tylko, że ich rasa lata w kosmos – zauważyła Leia. Złapała się na tym, że nerwowo skubie rękojeść miecza świetlnego, wpatrując się w napięciu we właz. Nie mogła opędzić się od myśli, że Noghri mógł przynajmniej zostawić otwarte drzwi, tak aby wiedzieli, kiedy będzie wracał.Chyba że wcale nie chciał, by widzieli, jak wraca…

– Ma się rozumieć, Wasza Wysokość – zgodził się z nią C-3PO, uderzając w protekcjonalny ton. – Jestem jednak pewien, że uległo to zmianie dopiero niedawno. Cóż… – Urwał, gdy Chewbacca przepchnął się nagle bezceremonialnie obok niego i zanurkował w głąb statku.

– Dokąd idziesz? – zawołała za Wookieem Leia, jednak w odpowiedzi usłyszała tylko coś na temat Imperium. Nie była pewna, co takiego. – Chewie, wracaj tu natychmiast! – zażądała nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Khabarakh przyjdzie lada chwila…

Tym razem Wookiee nie pofatygował się nawet z odpowiedzią.

– Cudownie – westchnęła, zastanawiając się, co robić. Jeśli Khabarakh wróci i zobaczy, że Chewbacca zniknął… Ale jeśli z kolei

po powrocie nie zastanie ich obojga…

– Tak jak wspomniałem – podjął tymczasem C-3PO, uznając najwyraźniej, że niegrzeczne zachowanie Wookieego lepiej zignorować – wszelkie informacje, jakie udało mi się zgromadzić na temat ich kultury, wskazują na to, że do niedawna nie byli w stanie odbywać podróży międzygwiezdnych. Uwaga Khabarakha na temat dukhy, najwyraźniej jakiegoś ośrodka zgromadzeń klanu, a także struktura tego społeczeństwa oraz waga, jaką przywiązują do pani pochodzenia z królewskiego rodu…

– Na Alderaanie również przywiązywaliśmy dużą wagę do hierarchii – przypomniała mu cierpko Leia, wciąż z niepokojem oglądając się na pusty korytarz. „Nie – uznała. – Lepiej będzie, jeśli wraz z Threepio zostaniemy tu i zaczekamy na Khabarakha". – A jednak nie przypominam sobie, by mieszkańcy innych planet uznawali nas za prymitywów.

– Och, ależ oczywiście, że nie! – przyznał prędko C-3PO z lekkim zakłopotaniem. – Nie chciałem sugerować nic podobnego…

– Wiem – zapewniła go, zawstydzona, że tak na niego naskoczyła. Doskonale wiedziała, co miał na myśli. – Mniejsza o to. Gdzież on się podziewa?

Pytanie było oczywiście retoryczne, nim jednak skończyła mówić, właz nagle się otworzył.

– Chodźcie – powiedział Khabarakh, omiatając spojrzeniem ciemnych oczu Leię i C-3PO. – Gdzie Wookiee?

– Wrócił na pokład – wyjaśniła Leia. – Nie mam pojęcia po co. Czy mam po niego iść?

Khabarakh wydał z siebie odgłos brzmiący jak połączenie syku i pomruku.

– Nie ma na to czasu – stwierdził. – Maitrakh czeka. Chodźcie. – Odwrócił się na pięcie i zaczął schodzić po trapie.

– Ile czasu w przybliżeniu zajmie ci przyswojenie ich języka? – zapytała C-3PO Leia, gdy ruszyli w ślad za nim.

– Trudno powiedzieć, Wasza Wysokość – odparł droid, podczas gdy Noghri prowadził ich przez zapuszczony dziedziniec obok dużego, drewnianego budynku, który widzieli podczas lądowania.

„To dukha” – przypomniała sobie Leia. Wyglądało na to, że zabiera ich do jednej z mniejszych chat, położonych nieco dalej.

– Nauczenie się zupełnie nowego języka może się okazać dużym wyzwaniem – perorował tymczasem C-3PO. – Jeśli jednak jest on podobny do którejś z sześciu milionów form komunikacji, którymi władam…

– Rozumiem – weszła mu w słowo.

Dotarli już niemal do jasno oświetlonego budynku będącego celem ich marszu. Gdy się do niego zbliżyli, dwoje stojących w cieniu Noghrich otworzyło przed nimi dwuskrzydłowe wrota. Leia wzięła głęboki oddech i weszła za Khabarakhiem do środka.

Patrząc na rzęsiste światło padające z okien budyneczku, spodziewała się, że wewnątrz będzie jasno jak w dzień. Ku jej zaskoczeniu pomieszczenie, w którym się znaleźli, było pogrążone w półmroku. Wystarczył jednak jeden rzut oka na ściany, by zorientowała się dlaczego. Jasno oświetlone „okna” były w rzeczywistości autozasilanymi panelami jarzeniowymi, skierowanymi na zewnątrz, a wnętrze – oprócz odrobiny światła przepuszczanego przez nie do środka – oświetlały jedynie dwie prymitywne lampy oliwne. Przypomniała sobie wzmiankę C-3PO na temat archaicznych zwyczajów podobnych kultur i uznała, że droid miał w pewnym sensie rację.

Na środku sali stało zwróconych w jej stronę pięciu Noghrich. Przełknęła głośno ślinę, przeczuwając, że powinna przemówić pierwsza. Khabarakh podszedł do szeregu pobratymców i padł na kolana, skłaniając głowę nisko aż do podłogi i rozkładając ręce na boki. Pamiętała ten gest: tak samo zachował się, gdy spotkali się pierwszy raz w jego celi więziennej na Kashyyyku.

– *Ilyr’ush mir lakh svoril’lae* – odezwał się. – *Mir’lae karah siv Mal’ary’ush vir’ae Vader’ush.*

– Rozumiesz, co mówi? – mruknęła do C-3PO.

– Mniej więcej – pospieszył z odpowiedzią droid. – Brzmi jak dialekt starożytnego języka handlowego…

– *Sha’vah!* – wyrzucił z siebie Noghri stojący w środku szeregu.

C-3PO aż się wzdrygnął.

– Powiedział „zamilcz” – przetłumaczył, zupełnie niepotrzebnie.

– Domyśliłam się – odparła Leia, prostując się i przybierając dumną pozę dziedziczki alderaańskiego rodu królewskiego, aby wywrzeć jak najlepsze wrażenie na obcych, którym przyszło jej stawić czoła. Zdawała sobie sprawę z tego, jak ważny jest szacunek wobec lokalnych władz i zwyczajów, jednak była również córką wielbionego przez nich lorda Vadera i jako taka nie zamierzała pozwolić im na nieuprzejmość wobec siebie. – Czy tak ośmielasz się wyrażać w obecności Mal'ary'ush? – spytała władczym tonem.

Sześciu Noghrich jak na komendę zwróciło się w jej stronę. Sondując ich poprzez Moc, próbowała wyczytać coś z ich spojrzeń, jednak – jak zawsze – umysły istot tej rasy wydawały się przed nią szczelnie zamknięte. Cóż, będzie musiała improwizować…

– Zadałam pytanie – wycedziła w ciszy.

Stojący w środku Noghri postąpił ku niej o krok… i wówczas Leia dostrzegła pod luźną tuniką istoty dwa wypukłe punkty. Czyżby miała do czynienia z przedstawicielką płci pięknej?

– Maitrakh? – mruknęła pod adresem C-3PO, przypominając sobie słowo, którego użył wcześniej Khabarakh.

– To określenie kobiety stojącej na czele miejscowego rodu lub podklanu – wyjaśnił droid nerwowo i tak cicho, że ledwie zdołała zrozumieć słowa. C-3PO nienawidził, gdy ktoś na niego krzyczał.

– Dzięki – szepnęła, mierząc Noghryjkę wzrokiem. – Czy ty jesteś maitrakh tego rodu? – dodała głośno.

– Jestem – odparła kobieta w basicu z silnym akcentem. – Jaki masz dowód na to, że rzeczywiście jesteś Mal'ary'ush?

Leia w milczeniu wyciągnęła do niej dłoń.

Maitrakh wahała się przez chwilę, jednak wreszcie podeszła i ostrożnie powąchała jej rękę.

– Czyż nie jest tak, jak mówiłem? – zamiauczał Khabarakh.

– Zamilknij, trzeci synu – warknęła maitrakh, podnosząc głowę, by spojrzeć Lei w oczy. – Witaj, lady Vader. Musisz jednak wiedzieć, że nie jesteś wśród nas mile widziana.

Leia wytrzymała spokojnie jej spojrzenie. Nie wyczuwała, jak są wobec niej nastawieni Noghri, gdy jednak sięgnęła wiciami Mocy na zewnątrz, zorientowała się, że Chewbacca opuścił statek i zbliżał się do budynku – dość szybko, wyraźnie wzburzony. Mogła tylko

modlić się w duchu, by nie wpadł tu jak burza i nie zerwał tej wątłej nici porozumienia, nad nawiązaniem którego tak ciężko tu pracowała.

– A czy mogłabym zapytać dlaczego?

– Służyłaś Imperatorowi? – odpowiedziała pytaniem Noghryjka. – I czy służysz teraz naszemu panu, wielkiemu admirałowi?

– Nie służyłam i nie służę żadnemu z nich – odparła.

– W takim razie wprowadzasz między nas niezgodę i zamęt – odpowiedziała ponuro maitrakh. – Rozdźwięk między tym, co było, a tym, co jest. – Pokręciła głową. – Nie potrzebujemy więcej niesnasek na Honoghrze, lady Vader… – Nim skończyła mówić, drzwi za plecami Lei otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Chewbacca.

Maitrakh drgnęła na jego widok, a któryś z jej Noghrich wybełkotał coś z przerażeniem, jednak wszyscy zamarli, gdy Chewie zaryczał ostrzegawczo.

– Jesteś pewien, że to imperialni? – spytała Leia, czując w piersi nagły chłód. „Nie, tylko nie to! – jęknęła jednocześnie w duchu. – Nie teraz. Nie tutaj!”.

Jednak kolejny ryk Wookieego potwierdził jej najgorsze obawy: z tego, co mówił Chewie, wynikało, że dwa promy typu Lambda zbliżały się do osady od strony Nystao. Mało prawdopodobne, by mógł się mylić co do tego, co to oznaczało…

Khabarakh w dwu susach przypadł do maitrakh i zaczął jej coś szeptać nagląco na ucho.

– Wyjaśnia, że poprzysiągł cię chronić – przetłumaczył C-3PO. – I prosi, by uszanowali jego obietnicę.

Przez długą chwilę Leia była przekonana, że maitrakh odmówi, jednak nagle Noghryjka skłoniła z westchnieniem głowę.

– Chodź – powiedział do Lei Khabarakh, mijając ją i Chewiego i kierując się w stronę drzwi. – Maitrakh zgodziła się ukryć cię przed naszym panem, wielkim admirałem. Przynajmniej chwilowo…

– Dokąd nas prowadzisz? – spytała Leia, wychodząc za nim w mrok.

– Ukryjemy twojego droida i sprzęt analityczny wśród robotów dekontaminacyjnych, które chowamy na noc w magazynie –

wyjaśnił Noghri, wskazując pozbawiony okien budynek jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. – Ty i twój Wookiee… cóż, z tym może być problem. Jeśli wysłannicy Imperium będą mieli ze sobą czujniki, zidentyfikują wasze sygnatury jako odmienne od naszych.

– Wiem – westchnęła Leia, spoglądając w niebo w poszukiwaniu szperaczy, które zwiastowałyby obecność promów, i próbując jednocześnie przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała na temat algorytmów identyfikacji form życia. Pamiętała, że jednym z parametrów było tętno, a także skład chemiczny, produkty uboczne procesu oddychania oraz efekty polaryzacji elektromagnetycznej łańcuchów cząsteczek. Głównym parametrem w przypadku skanu dalekiego zasięgu było jednak… – Potrzebujemy źródła ciepła – poinformowała Khabarakha. – Możliwie jak najsilniejszego.

– Piekarnia! – podsunął Noghri, wskazując pozbawiony okien budynek, oddalony o trzy chaty od miejsca, w którym się znajdowali. Na jego tyłach wznosił się komin, z którego wzbijały się w niebo smużki dymu, widoczne w blasku padającym z okien sąsiednich budowli.

– To chyba najlepsze wyjście w tej sytuacji – zgodziła się z nim Leia. – Khabarakh? Zajmij się ukryciem Threepio. Chewie, za mną!

Noghri czekali już na nich, gdy wysiedli ze statku: trzy kobiety strzegące wraz z dwójką dzieci drzwi dukhy w charakterze gwardii honorowej. Thrawn obrzucił całą piątkę czujnym spojrzeniem czerwonych oczu, rozejrzał się dookoła, a następnie zwrócił w stronę Pellaeona.

– Proszę zaczekać tu do czasu przybycia naszych techników – powiedział cicho. – Od razu po wylądowaniu mają się zająć sprawdzeniem systemów łączności i zakłócania na pokładzie tego statku. Dołączysz do mnie, gdy skończą.

– Tak jest, sir.

Teraz Thrawn zwrócił się w stronę Ir’khaima.

– Wodzu – powitał go i wskazał czekających Noghrich.

Przywódca skłonił się i ruszył w ich stronę. Thrawn zerknął na Rukha, który zajął opuszczone przez Ir'khaima miejsce w szeregu i cały pochód ruszył przed siebie. Po krótkiej ceremonii powitalnej noghryjskie kobiety poprowadziły ich do dukhy.

Kilka minut później zjawił się prom wysłany z pokładu „Chimaery". Pellaeon wydał odpowiednie instrukcje technikom, a następnie dołączył do reszty.

Spodziewał się, że z uwagi na późną porę wizyty ich pana maitrakh zdoła zgromadzić jedynie garstkę podwładnych, jednak z zaskoczeniem spostrzegł, że na powitanie wyszło im niemal pół wioski. Pod ścianami – od wielkiej tablicy przedstawiającej rozległą genealogię klanu aż do podwójnych drzwi i dalej, do kabiny medytacyjnej znajdującej się naprzeciwko tablicy – ustawił się podwójny szereg mieszkańców, wraz z dziećmi.

Thrawn zasiadał na tronie stojącym w dwóch trzecich długości sali, między drzwiami a tylną ścianą dukhy, z Ir'khaimem u boku. Trzy kobiety, które wyszły na spotkanie statku, stanęły obok siebie, zwrócone twarzą w jego stronę, o krok przed szeregiem starszyzny. Miejsce obok kobiet zajął młody Noghri, jego stalowoszara skóra mocno kontrastowała z ich ciemniejszą karnacją.

Wszystko wskazywało na to, że Pellaeon stracił niewiele więcej ponad bezsensowny rytuał powitalny, w którym tak bardzo zdawali się lubować tubylcy. Gdy minął stojące w milczeniu szeregi obcych, aby zająć miejsce u boku Thrawna, młody Noghri postąpił naprzód i przyklęknął przed tronem.

– Witam cię, nasz panie – miauknął z powagą, rozkładając ręce na boki. – To dla mojego rodu i klanu Kihm'bar prawdziwy zaszczyt, móc cię tu gościć.

– Powstań – odparł Thrawn. – Czy to ty jesteś Khabarakh z klanu Kihm'bar?

– Tak jest, mój panie.

– Byłeś członkiem imperialnego zespołu noghryjskich komandosów, oddziału dwudziestego drugiego – powiedział Thrawn. – Tego samego, który został rozgromiony na planecie Kashyyyk. Opowiedz mi, co się tam wydarzyło.

Wydawało się, że Khabarakh się wzdrygnął, jednak Pellaeon nie był tego w stu procentach pewien.

– Złożyłem odpowiedni raport, mój panie. Natychmiast po opuszczeniu tamtego świata.

– Owszem, czytałem twój raport – poinformował go chłodno Thrawn – i to bardzo uważnie. Zauważyłem, że nie poruszyłeś w nim pewnych ważnych kwestii, na przykład dlaczego i w jaki sposób wyszedłeś cało z ataku, wskutek którego zginął cały twój oddział. A także jakim cudem udało ci się uciec, podczas gdy cała planeta została zaalarmowana o twojej obecności, jak również dlaczego po tej niewybaczalnej porażce nie wróciłeś od razu na Honoghr lub do jednej z naszych baz.

Tym razem Pellaeon miał pewność, że Khabarakh drgnął. Być może w reakcji na słowo „porażka”?

– Podczas pierwszego ataku straciłem przytomność i Wookiee zostawili mnie na polu walki – wyjaśnił Khabarakh. – Gdy się ocknąłem, byłem sam, więc wróciłem na pokład statku. Tam dowiedziałem się z oficjalnych źródeł, co się przydarzyło reszcie mojego zespołu. Przypuszczam, że udało mi się uciec, bo Wookieech zaskoczyła prędkość i zwrotność mojego patrolowca. Jeśli zaś chodzi o to, dokąd udałem się później… – Zawahał się. – Przesłałem raport, a potem udałem się w odosobnione miejsce. Chciałem przez jakiś czas być sam.

– Dlaczego?

– Aby rozmyślać, mój panie. I medytować.

– A jakie miejsce mogłoby być bardziej odpowiednie w tym celu niż Honoghr? – spytał go Thrawn, wskazując szerokim gestem dukhę.

– Miałem… sporo do przemyślenia. Mój panie.

Thrawn przez chwilę mierzył rozmówcę nieprzeniknionym wzrokiem.

– Gdy zostałeś poproszony o podanie sygnału rozpoznawczego, zrobiłeś to z opóźnieniem – powiedział wreszcie. – A następnie odmówiłeś lądowania w porcie Nystao.

– Nie odmówiłem, panie. Nie otrzymałem takiego polecenia.

– Rozumiem – stwierdził cierpko Thrawn. – W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego postanowiłeś wylądować w swojej wiosce.

– Chciałem porozmawiać z moją maitrakh – odpowiedział Noghri. – Omówić z nią to, czego doświadczyłem podczas medytacji, oraz prosić o wybaczenie za to, że… zawiodłem.

– Czy tak się stało? – spytał Thrawn, zwracając się do maitrakh.

– Rozpoczęliśmy rozmowę – odparła Noghryjka w łamanym basicu. – Ale nie skończyliśmy jeszcze…

W tym momencie drzwi na tyłach dukhy otworzyły się i do środka wszedł członek zespołu techników.

– Czy ma pan dla mnie raport, chorąży? – spytał go Thrawn.

– Tak jest, panie admirale – zameldował mężczyzna, przechodząc przez pomieszczenie i ostrożnie wymijając grupę noghryjskiej starszyzny. – Zgodnie z rozkazami przeprowadziliśmy wstępne testy systemu łączności i zakłócania, sir – zameldował.

Thrawn utkwił wzrok w Khabarakhu.

– I…?

– Wygląda na to, że znaleźliśmy przyczynę usterki, sir. Najwyraźniej główna cewka transmitera uległa przeciążeniu i uszkodziła kondensator rezerwowy, co poskutkowało zwarciem w kilku sąsiednich obwodach. Komputer kompensatora dokonał odpowiednich obejść, jednak znalazły się one zbyt blisko jednej z linii sterowania tłumieniem zakłóceń, aby przekierowanie zadziałało skutecznie.

– Ciekawy zbieg okoliczności – stwierdził z namysłem Thrawn, nie spuszczając spojrzenia gorejących oczu z Khabarakha. – Jak pan sądzi, czy to prawdziwa usterka, czy też może wywołano ją sztucznie?

Maitrakh poruszyła się niespokojnie, jakby miała zamiar coś powiedzieć, wystarczyło jednak jedno spojrzenie Thrawna, by zmieniła zdanie.

– To… trudno powiedzieć, sir – odpowiedział technik, ostrożnie dobierając słowa. Najwyraźniej jego uwagi nie uszedł fakt, znajdował się w samym środku grupy Noghrich, którzy mogliby się poczuć urażeni jego insynuacjami. – Niewykluczone, że ktoś znający się na rzeczy mógłby doprowadzić celowo do takiego uszkodzenia.

Muszę jednak przyznać, sir, że komputery kompensacyjne nie cieszą się zbyt dobrą opinią wśród mechaników. Sprawdzają się co prawda w przypadku poważnych awarii, które mogłyby wpędzić niezbyt wprawnych pilotów w poważne tarapaty, jednak drobne przekierowania, w rodzaju tych, z którym mamy tu do czynienia, przeważnie skutkują uszkodzeniami wtórnymi.

– Dziękuję. – Nawet jeśli Thrawn był wściekły, że nie udało mu się przyłapać Khabarakha na kłamstwie, to w żaden sposób tego nie okazał. – Proszę zabrać statek do Nystao i dokonać odpowiednich napraw – polecił.

– Tak jest, sir. – Technik zasalutował i odmaszerował.

Thrawn tymczasem spojrzał znów na Khabarakha.

– Twój oddział przestał istnieć, więc oczywiście dostaniesz nowy przydział – powiedział. – Gdy tylko twój statek zostanie naprawiony, polecisz do bazy na Valrar w sektorze Glythe i zgłosisz się tam do służby.

– Tak jest, mój panie – potwierdził przyjęcie rozkazu Noghri.

Wielki admirał wstał.

– Macie wiele powodów do dumy – ogłosił, kiwając lekko głową w kierunku maitrakh. – Zasługi waszego rodu dla klanu Kihm'bar oraz Imperium zostaną na długo zapamiętane przez mieszkańców Honoghra.

– Podobnie jak pańskie przywództwo oraz ochrona, którą zapewnia pan ludowi Noghrich – odpowiedziała maitrakh.

Eskortowany przez Rukha i Ir'khaima Thrawn ruszył w stronę podwójnych drzwi. Pochód zamykał Pellaeon i chwilę później wszyscy znaleźli się na zewnątrz, w chłodzie nocy. Prom czekał już w pogotowiu i wielki admirał bez zbędnych komentarzy czy ceremonialnych pożegnań skierował kroki na jego pokład. Gdy startowali, Pellaeon dojrzał jeszcze kątem oka przez iluminator, jak Noghri wysypują się z dukhy, aby patrzeć w ślad za statkiem, na którego pokładzie odlatywali ich przywódcy.

– Cóż za miłe spotkanie – mruknął pod nosem.

Thrawn zmierzył go wzrokiem.

– Sądzi pan, że to była strata czasu, kapitanie? – zagadnął konwersacyjnym tonem.

Pellaeon obejrzał się na Ir’khaima, usadowionego nieco dalej, w dziobowej sekcji promu. Przypuszczał, że Noghri nie słyszy ich rozmowy, jednak ostrożności nigdy za wiele…

– W ujęciu dyplomatycznym, sir, z pewnością warto było zademonstrować, że obchodzi pana los Honoghra łącznie z pomniejszymi wioskami – powiedział oględnie. – Zważywszy jednak na fakt, że statek tamtego komandosa naprawdę uległ awarii… hm, wątpię, byśmy osiągnęli coś więcej.

Thrawn odwrócił się i wyjrzał przez boczny iluminator.

– Nie byłbym tego taki pewien, kapitanie – powiedział. – Odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak. Rukh, co możesz nam powiedzieć o młodym komandosie Khabarakhu?

– Był niespokojny – odparł cicho ochroniarz. – Tyle zdołałem wyczytać z jego twarzy i gestów.

Ir’khaim obrócił się w ich stronę w swoim fotelu.

– To nic niezwykłego. Taka reakcja jest naturalnym odruchem w obecności pana i władcy Noghrich – powiedział.

– Szczególnie jeśli ktoś splamił się porażką – dopowiedział Rukh.

Ir’khaim wstał i przez chwilę dwójka Noghrich mierzyła się wzrokiem w pełnej napięcia ciszy. Pellaeon poczuł, że mimowolnie wciska plecy w oparcie fotela, a przed oczami stanęły mu jak żywe sceny z długiej – i krwawej – historii rywalizacji między klanami z Honoghra.

– W tej misji ponieśliśmy wyjątkowo dużo porażek – złagodził napięcie Thrawn. – I klan Kihm’bar nie jest jedynym, który ponosi za to winę.

Ir’khaim powoli zajął z powrotem swoje miejsce.

– Khabarakh jest jeszcze młody – zauważył.

– Nie da się zaprzeczyć – zgodził się z nim Thrawn. – I przypuszczam, że jest to właśnie jeden z powodów, dla których kiepski z niego kłamca. Rukh? Sądzę, że wódz Ir’khaim chętnie przyjrzy się fascynującym widokom rozciągającym się z iluminatorów w dziobowej części statku. Proszę, odprowadź go tam.

– Tak jest, mój panie. – Rukh wstał. – Wodzu Ir’khaimie? – zagadnął, wskazując przednią gródź.

Przez chwilę zdawało się, że noghryjski dostojnik nie raczy się ruszyć z miejsca, jednak wreszcie, z dostrzegalną niechęcią, wstał.

– Mój panie – mruknął i ruszył przejściem do dziobowej części statku.

Thrawn odczekał, aż drzwi zamkną się za Noghrimi, a potem zwrócił się do Pellaeona:

– Khabarakh coś ukrywa, kapitanie – powiedział, miotając z oczu zimne błyskawice. – Jestem tego pewien.

– Tak jest, sir – bąknął Pellaeon, zastanawiając się, jak też wielki admirał doszedł do takiego wniosku. Wszak rutynowa kontrola, którą przeprowadzili z jego polecenia, nic nie wykazała. – Czy mam rozkazać, by dokładniej przeszukano wioskę?

– Nie to miałem na myśli. – Thrawn pokręcił głową. – Nie ośmieliłby się zabrać ze sobą na Honoghr nic, co mogłoby mu przysporzyć kłopotów. Nie da się ukrywać dłużej czegoś w tak małej wiosce. O nie, tai przed nami coś, co wydarzyło się w ciągu tego miesiąca, kiedy zniknął nam z oczu. Gdy, jak twierdzi, medytował w samotności.

– Może dowiemy się czegoś, dokładnie badając jego statek? – podsunął Pellaeon.

– W rzeczy samej – zgodził się z nim Thrawn. – Rozkaż zespołowi skanującemu przeszukać go, nim na pokład wejdą technicy. Chcę, żeby sprawdzili każdy milimetr kwadratowy tego patrolowca, i to zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Każcie też komuś z wywiadu pilnować Khabarakha…

– Oczywiście, sir – potwierdził przyjęcie polecenia kapitan. – Mamy do niego przydzielić kogoś z naszych ludzi czy Noghriego?

Thrawn spojrzał na niego, podnosząc brew.

– Innymi słowy: kogoś niedorzecznie rzucającego się w oczy czy politycznie niepewnego? – westchnął. – Spróbujmy trzeciego wyjścia: czy na pokładzie „Chimaery” znajdują się jakieś droidy szpiegowskie?

– Wątpię, sir – mruknął Pellaeon, wklepując zapytanie w komputer pokładowy promu. – Nie – potwierdził po chwili swoje przypuszczenia. – Mamy kilka sond zwiadowczych typu Arakyd Viper, ale nic mniejszego, typowo szpiegowskiego.

– W takim razie będziemy musieli improwizować – orzekł Thrawn. – Niech technicy zamontują motywator Vipera w droidzie dekontaminacyjnym i wyposażą go w pełen zestaw czujników oraz urządzenie rejestrujące. Umieścimy go w grupie pracującej w pobliżu wioski Khabarakha.

– Tak jest, sir. – Pellaeon wklepał rozkaz w komputer. – Czy mamy też zainstalować nadajnik?

Wielki admirał pokręcił głową.

– Nie, urządzenie rejestrujące wystarczy. Moglibyśmy mieć problemy z ukryciem anteny. A ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to wścibscy Noghri, zastanawiający się, dlaczego jeden robot różni się od innych.

Kapitan pokiwał ze zrozumieniem głową. Ciekawskim obcym mogłoby wówczas przyjść do głowy, aby rozmontowywać droidy dekontaminacyjne w celu przekonania się, co kryje się w ich wnętrzach…

– Tak jest, sir. Wysłałem już odpowiednie rozkazy.

Thrawn zwrócił spojrzenie lśniących, czerwonych oczu na iluminator.

– Nie ma pośpiechu – powiedział w zamyśleniu. – To nic pilnego. Na razie. To tylko cisza przed burzą, kapitanie – dodał po chwili. – A dopóki nie rozpęta się burza, możemy równie dobrze przeznaczyć czas i energię na upewnienie się, że nasz jaśnie oświecony mistrz Jedi będzie chętny do współpracy, gdy będziemy potrzebowali jego pomocy.

– Co oznacza konieczność dostarczenia mu Lei Organy Solo – domyślił się Pellaeon.

– Właśnie. – Thrawn obejrzał się na przednią gródź pancerną. – A jeśli moja obecność będzie niezbędna, by zdopingować do tego Noghrich, to z chęcią ich zaszczycę.

– Na… jak długo? – spytał Pellaeon.

Thrawn uśmiechnął się nieznacznie.

– Tak długo, jak to będzie konieczne.

Rozdział 11

– Han? – z głośnika interkomu umieszczonego obok koi dobiegł głos Landa. – Pobudka!

– Już nie śpię – odmruknął Han, przecierając jedną ręką oczy, a drugą obracając do siebie monitor przekaźnika. Jeśli nauczył się czegoś pożytecznego podczas tych licznych lat spędzonych na łamaniu prawa, to z pewnością osiągania stanu pełnej czujności w przestrzeni kosmicznej w mgnieniu oka po wybudzeniu z najgłębszego nawet snu. – O co chodzi?

– Dotarliśmy do celu – poinformował go Lando. – Cokolwiek miałoby to oznaczać.

– Będę za chwilę.

Gdy ubrał się i zjawił w kokpicie „Ślicznotki", za iluminatorami widniała szybko rosnąca w oczach planeta.

– A gdzie Irenez? – zapytał, przyglądając się zielono-błękitnemu sierpowi. Nie różnił się on niczym od tysięcy innych światów, które oglądał w swoim życiu.

– Poszła do rufowego stanowiska kontroli – wyjaśnił Calrissian. – Mam wrażenie, że chciała po prostu wysłać jakieś kody rozpoznawcze, nie ryzykując, że będziemy jej patrzyli na palce.

– Masz jakieś pojęcie, gdzie właściwie jesteśmy?

– Nie bardzo – westchnął Lando. – Czas lotu wynosił czterdzieści siedem godzin, jednak niewiele z tego wynika.

Han pokiwał głową, szperając w zakątkach pamięci w poszukiwaniu informacji.

– Ile może wyciągnąć drednot? Jak myślisz? Czwórkę?

– Coś koło tego – przyznał Lando. – Gdy naprawdę mu się spieszy.

– Co oznacza, że nie jesteśmy dalej niż sto pięćdziesiąt lat świetlnych od Nowej Kowii.

– Obstawiałbym, że jesteśmy bliżej – stwierdził Calrissian. – Gdyby byli tak daleko, nie wybraliby Nowej Kowii na punkt kontaktowy.

– Chyba że to był pomysł Breil'lyi – zauważył Solo.

– Niewykluczone. Nadal jednak sądzę, że znajdujemy się bliżej niż sto pięćdziesiąt lat świetlnych. Równie dobrze mogli specjalnie lecieć dłużej, żeby nas zmylić.

Han zerknął na krążownik, który holował ich przez nadprzestrzeń przez dwa ostatnie dni.

– Albo żeby zorganizować komitet powitalny…

– O właśnie – zgodził się Lando. – A przy okazji: nie wiem, czy ci o tym wspominałem, ale po tym, jak przeprosili za to, że przekosili złącze magnetyczne na naszym włazie, poszedłem to sprawdzić.

– Nie wspominałeś, ale zrobiłem to samo – powiedział Han. – Wygląda tak, jakby ktoś zrobił to celowo, nie sądzisz?

– Pomyślałem dokładnie to samo – parsknął Lando. – Na przykład po to, żeby zatrzymać nas na pokładzie jachtu i uniemożliwić nam szwendanie się po ich statku.

– Równie dobrze mogli mieć całkiem niewinne zamiary – zwrócił mu uwagę Han.

– A także mnóstwo podejrzanych – dopowiedział Calrissian. – Jesteś pewien, że nie wiesz, kim może być ten ich dowódca?

– Nie mam zielonego pojęcia. Być może jednak wkrótce się tego dowiemy.

– „Ślicznotka"? – Głośnik interkomu rozbrzmiał nagle znajomym głosem, przerywanym sporadycznymi trzaskami. – Tu Sena. Jesteśmy na miejscu.

– Zauważyliśmy – odparł Lando. – Jak się domyślam, chcecie, żebyśmy lądowali razem z wami?

– Zgadza się – potwierdziła. – „Tułacz" zwolni klamrę magnetyczną, kiedy będziecie gotowi do lotu.

Han gapił się na głośnik, ledwie rejestrując odpowiedź przyjaciela. „Tułacz?".

– Ej, stary! Wszystko gra?

Solo otrząsnął się z zamyślenia i skupił wzrok na Landzie, spostrzegając, że ten skończył już rozmowę z Seną.

– Taaa – mruknął. – Tylko… Ta nazwa: „Tułacz". Wróciły wspomnienia.

– Znasz ten statek?

– Statek? Niee… – Solo pokręcił głową. – Po prostu… gdy byłem mały, wszystkie dzieciaki na Korelii znały legendę o tułaczu, jakimś tajemniczym nieszczęśniku, który z powodu klątwy był skazany na tułanie się przez wieczność po świecie i nigdy nie miał wrócić do domu. Ciarki mnie przechodziły, gdy jej słuchałem.

Gdzieś z góry dobiegł metaliczny szczęk i nagle „Ślicznotka" została uwolniona z objęć drednota. Lando odsunął ją nieco od wielkiego okrętu, przyglądając mu się, gdy płynął z wolna nad ich głowami.

– Cóż, legenda to tylko legenda – powiedział do Hana, który zerkał na krążownik.

– Jasne – odparł Han dziwnie szybko. – Wiem o tym.

Podążyli za frachtowcem Seny ku planecie i już wkrótce sunęli nad rozległą, porośniętą morzem traw równiną, tu i tam urozmaiconą skupiskami niskich drzew iglastych. W oddali majaczyła ściana stromych klifów. Wyostrzony przez wiele lat przemytniczy instynkt Hana podpowiadał mu, że to idealne miejsce na ukrycie bazy serwisowej i wsparcia małej floty. Kilka minut później jego przeczucia się sprawdziły: minąwszy skraj urwiska, znaleźli się w obozowisku… Stanowczo zbyt dużym, by mogło służyć jako zwykła baza serwisowa. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się tu szeregi zamaskowanych budynków mieszczących wszystko: od niewielkich kwater mieszkalnych przez większe obiekty administracyjne i magazyny aż po duże warsztaty i ogromny, pokryty siatką maskującą hangar. Perymetru strzegły niskie, zwieńczone wieżyczkami cylindry baterii przeciwpiechotnych Golan Arms, a także kilka przeciwpancernych dział. Tu i ówdzie dało się też dostrzec kilka szturmowych pojazdów typu KAAC Freerunner, czekających w gotowości.

Lando zagwizdał cicho pod nosem.

– Spójrz no tylko! – mruknął z podziwem. – Co to ma być? Jakaś prywatna armia?

– Tak to wygląda – zgodził się z nim Han, czując mrowienie na karku. Miewał już wcześniej do czynienia z podobnymi

przedsięwzięciami i nigdy nie kończyło się to dobrze.

– Chyba przestaje mi się to wszystko podobać – stwierdził Lando, sprowadzając „Ślicznotkę” ostrożnie na ziemię i lądując tuż za zewnętrzną linią obrony. Przed nimi frachtowiec Seny zbliżał się do lądowiska, ledwie widocznego wśród reszty terenu. – Jesteś pewien, że chcesz się w to pakować?

– Hm, otoczony trzema drednotami? – parsknął Solo. – A jak sądzisz, mamy jakiś wybór? W każdym razie na pewno nie w tej balii.

– Chyba masz rację – przytaknął Lando, najwyraźniej zbyt zajęty, żeby wziąć sobie do serca obelgę wobec własnego statku. – No to… co robimy?

Frachtowiec Seny wysunął już płozy lądownicze i opadał właśnie na płytę lądowiska.

– Chyba również wylądujemy i będziemy się zachowywać jak cywilizowani goście – stwierdził Han.

Lando kiwnął głową, wskazując jego blaster.

– Jak sądzisz? Nie będą mieli nic przeciwko broni?

– Jeśli będą – odparł ponuro Solo – to sobie o tym kulturalnie porozmawiamy.

Calrissian posadził „Ślicznotkę” obok frachtowca i skierowali się wraz z Hanem do rufowego włazu. Przekazawszy już najwyraźniej odpowiednie dane swojemu dowódcy, Irenez czekała tam na nich, z własnym blasterem spoczywającym w kaburze na biodrze. Na zewnątrz podstawiono skif transportowy, a gdy ich trójka zeszła po trapie, zza dziobu „Ślicznotki” wynurzyła się Sena w towarzystwie kilku osób: w większości ubranych w proste beżowe mundury. Han nie rozpoznawał kroju, ale gdyby miał zgadywać, obstawiałby, że zaprojektowano je na wzór umundurowania koreliańskiego. Sena nadal miała na sobie niewyróżniający się niczym szczególnym cywilny strój, który nosiła na Nowej Kowii.

– Witamy w naszej bazie operacyjnej – powiedziała, wskazując szerokim gestem obozowisko. – Jeśli zechcecie z nami pójść, nasz dowódca chętnie się z wami spotka.

– Wygląda na to, że macie tu pełne ręce roboty – zagadnął Han, gdy wsiadali na pokład skifa. – Przygotowujecie się do wojny czy

co?

– Nie interesują nas wojny – odparła chłodno Sena.

– Och. – Solo kiwnął głową, rozglądając się dookoła, podczas gdy pilot zawrócił maszynę i ruszył przez obozowisko. Jego układ wydawał się Hanowi dziwnie znajomy, jednak to Lando pierwszy ubrał w słowa jego bliżej nieokreślone skojarzenia:

– Wiesz, to miejsce wygląda wypisz wymaluj jak jedna z dawnych baz Sojuszu – poinformował Senę. – Tyle tylko, że znajduje się na powierzchni, nie pod ziemią.

– Prawda – zgodziła się z nim neutralnym tonem.

– A więc… macie coś wspólnego z Sojuszem? – indagował ostrożnie Calrissian.

Gdy nie odpowiedziała, obejrzał się na przyjaciela, podnosząc brwi.

W odpowiedzi Han wzruszył tylko ramionami. Cokolwiek się tu działo, jasne było, że personel nie ma w zwyczaju o tym rozmawiać.

Skif zatrzymał się pod jednym z budynków administracyjnych, niewyróżniających się spośród innych niczym szczególnym – oprócz dwóch strażników w mundurach strzegących wejścia. Na widok Seny zasalutowali, a jeden z nich otworzył im drzwi.

– Dowódca chciałby najpierw porozmawiać z panem na osobności – poinformowała Sena, zatrzymując się przed wejściem. – Zaczekam tu z generałem Calrissianem.

– W porządku – mruknął Han. Wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

Sądząc po tym, jak budynek wyglądał z zewnątrz, spodziewał się znaleźć w typowym centrum administracyjnym, wyposażonym w recepcję oraz sieć wygodnych boksów dla pracowników, jednak zamiast tego z zaskoczeniem spostrzegł, że wnętrze zaaranżowano na świetnie wyposażone centrum dowodzenia. Pod ścianami ustawiono szereg stanowisk łączności i konsoli namierzania statków, łącznie z przynajmniej jednym krystalicznym wykrywaczem pułapek grawitacyjnych, a także czymś, co wyglądało na zdalny kontroler działa jonowego KDY v-150 typu Planet Defender – jeden z tych, które Sojusz musiał porzucić na Hoth. Znajdujący się pośrodku pomieszczenia potężny wyświetlacz pokazywał mapę całego sektora

gwiezdnego, poprzecinaną licznymi barwnymi liniami i usianą mnóstwem znaczników naniesionych wśród lśniących świetlnych punkcików symbolizujących gwiazdy. Obok niego stał mężczyzna o twarzy lekko zniekształconej przez padające na nią barwne plamy. Twarzy, którą Han jak dotąd oglądał tylko na hologramach, a którą mimo to natychmiast rozpoznał.

– Senator Bel Iblis – wykrztusił.

– Witam w Gnieździe Tułacza, kapitanie Solo – powiedział poważnym głosem, podchodząc do niego. – Miło mi słyszeć, że wciąż mnie pan pamięta.

– Nie sądzę, by ktoś z Korelian mógł pana zapomnieć, sir – zapewnił go Solo, uświadamiając sobie machinalnie, że mało kogo darzył tak wielkim szacunkiem, by odruchowo zwracać się do niego per sir. – Ale przecież pan…

– …zginął? – dokończył za niego Bel Iblis, uśmiechając się lekko.

– Eee… Hm, cóż, no właśnie – zaczął się plątać Han. – To znaczy wszyscy myśleli, że zginął pan na Anchoronie i…

– W pewnym sensie właśnie tak się stało – powiedział cicho Bel Iblis. Uśmiech znikł z jego twarzy bez śladu. Teraz, gdy Solo przyjrzał mu się lepiej, dostrzegł, jak mocno czas i stres odcisnęły na niej swoje piętno. – Imperatorowi nie udało się mnie zabić na Anchoronie, jednak zadał mi cios, który równie dobrze mógł mnie uśmiercić. Odebrał mi wszystko prócz życia: rodzinę, pracę, a nawet w dużej mierze możliwość utrzymywania kontaktów z koreliańską społecznością. Odsunął mnie na margines prawa, o którego ustanowienie i przestrzeganie z takim trudem walczyłem. – Ślad uśmiechu powrócił niczym blady promień słońca wyzierający zza ciemnej chmury. – Zmusił mnie, bym stał się rebeliantem. Domyślam się, że rozumie pan, jakie to uczucie?

– Cóż, całkiem nieźle – odparł Han, odwzajemniając uśmiech. Jeszcze w szkole uczył się o legendarnej charyzmie równie legendarnego senatora Garma Bela Iblisa, teraz zaś mógł się o niej przekonać na własnej skórze. Sprawiło to, że znów poczuł się jak uczniak. – Ja… wciąż nie mogę w to uwierzyć – bąknął. – Żałuję, że nie wiedzieliśmy o tym wcześniej… Ta pańska armia… naprawdę przydałaby nam się w czasie wojny.

Przez twarz Bela Iblisa przemknął jakiś cień, jednak zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Najprawdopodobniej nie pomoglibyśmy zbyt wiele – wyznał. – Zgromadzenie i zbudowanie tego wszystkiego zajęło nam wiele czasu. – Uśmiechnął się znowu. – O tym jednak możemy porozmawiać później. Widzę, że wciąż stara się pan przypomnieć sobie, gdzie się wcześniej spotkaliśmy.

Cóż, prawdę mówiąc, Han zapomniał już o uwadze Seny, która przecież mówiła, że Solo powinien znać jej tajemniczego dowódcę.

– Jeśli mam być szczery, to nie mam bladego pojęcia – przyznał się. – Chyba że nastąpiło to po Anchoronie, a pan był wtedy incognito… czy coś.

Bel Iblis pokręcił głową.

– Nie, nie występowałem w przebraniu, jednak w zasadzie nie spodziewałem się, by pan to pamiętał. Podpowiem tylko, że byliście wówczas wszyscy jedenastolatkami.

Han spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Jedena… – bąknął. – Ma pan na myśli, że byliśmy w szkole?

– Zgadza się. – Bel Iblis kiwnął głową. – I to dosłownie: w pańskiej szkole zorganizowano spotkanie, podczas którego uczniowie zostali zmuszeni do wysłuchiwania, jak banda starych pryków dyskutuje o polityce.

Solo poczuł, że się rumieni. Nadal nie przypominał sobie tamtej sytuacji, jednak starszy senator idealnie ubrał w słowa jego ówczesne odczucia na temat polityków. Gdyby się głębiej nad tym zastanowić, jego zdanie na ten temat nie uległo od tamtej pory dużej zmianie.

– Bardzo mi przykro, ale kompletnie tego nie pamiętam!

– Tak jak już wspomniałem: nie spodziewałem się tego – powtórzył Bel Iblis. – Jeśli jednak chodzi o mnie, to pamiętam to spotkanie całkiem dobrze. Po zakończeniu pogadanki, gdy nadeszła pora na otwartą dyskusję, zadał pan dwa, sformułowane dość… hm, swobodnie, ale celne pytania. Pierwsze dotyczyło moralności polityki uprzedzeń rasowych, która to tendencja zaczynała w owym czasie przybierać na sile w strukturach władz Republiki, drugie zaś

dotyczyło pewnych przypadków korupcji, o którą oskarżano wówczas moich kolegów w Senacie.

Hanowi zaczynało coś powoli świtać.

– Tak, teraz sobie przypominam – stwierdził z namysłem. – Jeden z moich kumpli podpuścił mnie, żebym zadał te pytania. Najprawdopodobniej uznał, że oberwie mi się za bezczelność, jednak wówczas miałem już zbyt wiele za uszami, by się tym specjalnie przejmować.

– Wcześnie pan zaczął, co? – zażartował Bel Iblis. – Tak czy inaczej, nie były to sprawy, o których poruszenie podejrzewałbym jedenastolatka. Zaintrygowało mnie to wystarczająco, abym zapragnął dowiedzieć się o panu nieco więcej. Od tamtej pory interesowałem się pańską… hm, karierą.

Han skrzywił się kwaśno.

– Zapewne nie był pan pod wrażeniem…

– Nie zaprzeczę – potwierdził Bel Iblis. – Muszę przyznać, że z dużym rozczarowaniem dowiedziałem się o pańskim wydaleniu z akademii imperialnej. Wydawał się pan bardzo obiecującym materiałem na żołnierza, a w tamtym czasie żywiłem przekonanie, że grupa lojalnych oficerów jest dokładnie tym, co mogłoby pomóc podupadającej Republice w sprzeciwieniu się Imperium. – Wzruszył ramionami. – Jednak zważywszy na to, jaki obrót przybrały sprawy, może i dobrze się stało. Przy pańskiej wrodzonej skłonności do buntowania się przeciwko każdej władzy, raczej nie utrzymałby się pan zbyt długo w szeregach oficerów, których Imperator nie zdołał przekabacić na swoją stronę. A wtedy… któż wie, jak potoczyłyby się losy tej wojny, czyż nie?

– Może i tak – przyznał skromnie Solo i rozejrzał się z lekkim skrępowaniem po centrum dowodzenia. – A więc… od jak dawna rezyduje pan w tym… Gnieździe Tułacza?

– Och, nigdy nie zabawiamy w jednym miejscu zbyt długo – poinformował go Bel Iblis, kładąc mu dłoń na ramieniu i łagodnie, ale stanowczo popychając w stronę drzwi. – Wystarczy gdzieś się zasiedzieć, a Imperium każdego znajdzie. Ale o tym również możemy porozmawiać później. Pański przyjaciel zapewne już się zaczyna niepokoić. Chodźmy, chciałbym go poznać.

Lando rzeczywiście sprawiał wrażenie odrobinę podenerwowanego, gdy Han i Bel Iblis wyszli na zewnątrz.

– Wszystko w porządku – zapewnił go Solo. – To przyjaciele. Senatorze, oto Lando Calrissian, niegdyś generał Sojuszu Rebeliantów. Lando, poznaj senatora Garma Bela Iblisa.

Nie spodziewał się, by Calrissian rozpoznał nazwisko dawnego koreliańskiego polityka, i nie mylił się.

– Senatorze. – Lando skinął uprzejmie głową.

– To dla mnie zaszczyt, móc pana poznać, generale Calrissian – powiedział Bel Iblis. – Wiele o panu słyszałem.

Lando zerknął na Hana.

– Po prostu… Calrissian – poprosił. – Tytuł generalski noszę już w zasadzie tylko grzecznościowo.

– W takim razie witam w klubie. – Bel Iblis uśmiechnął się do niego. – Bo ja również nie jestem już formalnie senatorem. – Wskazał gestem Senę. – Jak sądzę, poznaliście już moją główną doradczynię i nieoficjalną reprezentantkę, Senę Leikvold Midanyl? A także… – Urwał, rozglądając się dookoła. – Wydawało mi się, że była z wami Irenez?

– Musiała wrócić na statek – wyjaśniła Sena. – Aby… uspokoić trzeciego z naszych gości.

– Ach, tak. Asystent Breil'lya – mruknął Bel Iblis, patrząc na lądowisko. – To może nastręczyć pewnych… problemów.

– Zgadza się, sir – potwierdziła Sena. – Być może nie powinnam była go tu sprowadzać, jednak w zaistniałej sytuacji nie miałam za bardzo innego wyjścia…

– Och, ależ doskonale to rozumiem – zapewnił ją Bel Iblis. – Pozostawienie go tam w samym środku imperialnego ataku mogłoby się okazać znacznie bardziej problematyczne.

Han poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu zimny dreszcz. W całym tym zamieszaniu i pod wpływem podekscytowania spowodowanego spotkaniem z Belem Iblisem zapomniał zupełnie, po co tak naprawdę przylecieli na Nową Kowię.

– Zdaje się, że jest pan w dobrych stosunkach z Breil'lyą, senatorze? – zagadnął ostrożnie.

Bel Iblis spojrzał na niego.

– A pan chciałby się dowiedzieć, co dokładnie nas łączy?

Han przełknął ślinę.

– Jeśli mam być szczery… owszem, sir. Chętnie bym się tego dowiedział.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się do niego.

– Wciąż czuje pan wrodzoną niechęć do przedstawicieli władzy, prawda? W porządku. Zapraszam. Przejdźmy do kantyny, a odpowiem panu na wszelkie pytania, jakie zechciałby mi pan zadać. – Spoważniał nieco. – A potem chciałbym, by to pan udzielił mi pewnych wyjaśnień.

Gdy drzwi się rozsunęły, Pellaeon wszedł do pogrążonego w półmroku przedsionka prywatnego centrum dowodzenia wielkiego admirała Thrawna. Pogrążonego w półmroku i na pierwszy rzut oka pustego… jednak kapitan wiedział, że to tylko pozory.

– Mam ważną wiadomość dla wielkiego admirała – powiedział. – I nie mam czasu na te twoje głupie gierki.

– To nie żadne gierki – zamiauczał mu chrapliwie Rukh wprost do ucha, aż Pellaeon podskoczył, chociaż z całej siły starał się przed tym powstrzymać. – Umiejętność skradania się należy ćwiczyć… bo inaczej zanika.

– Ćwicz sobie na kimś innym – burknął Pellaeon. – Ja mam pracę do wykonania. – Postąpił naprzód, do drzwi prowadzących bezpośrednio do kwater admirała, przeklinając w milczeniu zarówno Rukha, jak i całe noghryjskie plemię. Owszem, może i stanowili przydatne narzędzie, jednak miewał już do czynienia z gatunkami o ścisłej strukturze klanowej i wiedział, że na dłuższą metę przestawanie z tego typu prymitywnymi rasami oznacza tylko jedno, a mianowicie kłopoty.

Tym razem drzwi się rozsunęły, ukazując jego oczom mrok rozświetlony łagodnym światłem świec.

Pellaeon stanął jak wryty, wracając odruchowo myślami do upiornej krypty na Waylandzie, gdzie tysiące świec paliło się w hołdzie dla pozaświatowców, którzy dotarli tam w ciągu kilku

poprzednich lat… tylko po to, by zginąć z ręki Joruusa C'baotha. Co też przyszło do głowy Thrawnowi, że zmienił swoje centrum dowodzenia w kopię tamtej pieczary…?

– Niech się pan nie martwi, nie dałem się omamić naszemu niezrównoważonemu psychicznie mistrzowi Jedi – dobiegł z drugiego końca pomieszczenia głos wielkiego admirała, a pośród płomyków świec Pellaeon dojrzał pałające oczy Thrawna. – Proszę się przyjrzeć dokładniej…

Gdy kapitan posłuchał, spostrzegł, że ma do czynienia nie ze świecami, ale z holograficznymi replikami delikatnie podświetlonych rzeźb.

– Piękne, prawda? – spytał z namaszczeniem Thrawn. – To płomienne miniatury koreliańskie, jedne z nielicznych dzieł sztuki, których jak dotąd nie udało się nikomu perfekcyjnie skopiować. Pozornie nic skomplikowanego: odpowiednio ukształtowane włókna transoptyczne, pseudoluminescencyjny surowiec roślinny oraz dwa goorlijskie źródła światła… a jednak jakimś cudem efekt jest nie do powtórzenia. – Holograficzne płomienie zgasły, a zamiast nich na środku pomieszczenia zamajaczył zatrzymany na stopklatce obraz trzech drednotów. – To materiał zarejestrowany przez załogę niszczyciela „Relentless" dwa dni temu w pobliżu Nowej Kowii – wyjaśnił Thrawn, wciąż pogrążony w myślach. – Niech pan patrzy uważnie… – Wcisnął przycisk, aktywując nagranie.

Pellaeon obserwował w milczeniu, jak trzy drednoty w trójkątnym szyku otwierają ogień z dział jonowych w stronę kamery nagrywającej zdarzenie. Mało brakowało, a w zamieszaniu wymiany strzałów umknąłby mu frachtowiec i coś, co wyglądało na niewielki jacht wypoczynkowy, uciekające w bezpieczne miejsce między krążownikami. Wciąż zaciekle się ostrzeliwując, drednoty zaczęły się wycofywać i minutę później cała grupa skoczyła w nadprzestrzeń. Nagranie dobiegło końca i pokój rozświetlił łagodny blask.

– Co pan o tym sądzi? – zagadnął go Thrawn.

– Wygląda na to, że nasi starzy znajomi wrócili – mruknął Pellaeon. – Najwyraźniej doszli do siebie po tym, jak pogoniliśmy

im kota na Linuri. Pechowo się składa, szczególnie w takim momencie.

– Niestety, wszystko wskazuje na to, że to zdarzenie może być dla nas jeszcze bardziej pechowe – westchnął Thrawn. – Jeden z dwu statków, którym krążowniki pomogły w ucieczce, został zidentyfikowany przez załogę niszczyciela jako „Ślicznotka". Z Hanem Solo i Landem Calrissianem na pokładzie.

Pellaeon zmarszczył czoło.

– Z Solo i Calrissianem? Ale przecież… – Urwał.

– …mieli lecieć do układu Palanhi – dokończył za niego Thrawn. – Owszem. To był mój błąd. Najwyraźniej zaszło coś, co zaniepokoiło ich bardziej niż obawy o reputację Ackbara.

Pellaeon spojrzał w puste miejsce, w którym jeszcze przed chwilą lśnił hologram.

– Na przykład rekrutowanie nowych jednostek, które zasiliłyby ich flotę?

– Wątpię, by dobili już targu – stwierdził z namysłem Thrawn, ściągając brwi. – I nie przypuszczam, by klamka miała zapaść niebawem. Tą grupą dowodził Korelianin, kapitanie. Jestem tego pewien. Istnieje zaś tylko kilka możliwości co do jego tożsamości.

Pellaeonowi coś zaświtało.

– Solo pochodzi z Korelii, czyż nie?

– Zgadza się – potwierdził Thrawn. – I to właśnie jeden z powodów, dla których jestem zdania, że wszystko pozostaje wciąż w fazie negocjacji. Jeśli dowodzi nimi człowiek, o którym myślę, niewykluczone, że będzie chciał się skonsultować ze swoim rodakiem, nim poczyni jakieś zobowiązania wobec przywódców Rebelii.

Po lewej stronie Thrawna zapiszczał komunikator.

– Admirale? Mamy kontakt z niszczycielem „Relentless", jak pan prosił.

– Dziękuję – rzucił do mikrofonu Thrawn, po czym wcisnął przycisk.

Przed podwójnym kręgiem wyświetlaczy pojawił się pomniejszony zaledwie o jedną czwartą hologram starszego

imperialnego oficera, stojącego przed czymś, co wyglądało na pulpit kontrolny bloku więziennego.

– Wielki admirale. – Oficer skinął z szacunkiem głową.

– Dzień dobry, kapitanie Dorja – przywitał go Thrawn. – Czy ma pan więźnia, o którego pytałem?

– Jest tutaj, sir – zameldował Dorja, a następnie zerknął gdzieś w bok i dał komuś znak gestem. Po chwili w polu widzenia Pellaeona i Thrawna pojawił się drugi mężczyzna: postawny, brodaty, o skutych z przodu rękach i obojętnym wyrazie twarzy. – Nazywa się Niles Ferrier – objaśnił Dorja. – Zatrzymaliśmy go wraz z załogą podczas ataku na Nową Kowię.

– Tego samego, podczas którego pozwoliliście uciec Skywalkerowi, Solo i Calrissianowi – uściślił Thrawn.

– Zgadza się, sir. – Dorja się skrzywił.

Thrawn zwrócił gorejące oczy na Ferriera.

– Kapitanie Ferrier. – Skinął mu głową. – Z naszych informacji wynika, że specjalizuje się pan w kradzieży statków kosmicznych. A jednak na Nowej Kowii podjął pan ładunek biocząsteczek. Czy zechciałby pan nam to wyjaśnić?

Ferrier ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

– Nie da się kraść statków dzień w dzień – wyznał. – To wymaga zarówno odpowiedniej okazji, jak i wcześniejszego planowania. Biorąc od czasu do czasu towar, wiążę koniec z końcem.

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że te biocząsteczki nie były oclone?

– Tak, kapitan Dorja nie omieszkał mnie o tym poinformować – odparł Ferrier z mieszaniną oburzenia i zaskoczenia. – Proszę mi wierzyć: gdybym wiedział, że zostałem celowo uwikłany w oszustwo wycelowane w Imperium…

– Jak zakładam, jest pan również świadom – wszedł mu w słowo Thrawn – że dopuszczenie się podobnego wykroczenia może pana kosztować nie tylko konfiskatę ładunku, ale również statku.

Ferrier oczywiście doskonale o tym wiedział. Pellaeon widział to w jego zmrużonych oczach.

– W przeszłości wielokrotnie pomogłem Imperium, admirale – powiedział spokojnie. – Przemyciłem dla was z terenów Nowej

Republiki mnóstwo towarów, a całkiem niedawno dostarczyłem wam trzy patrolowce Sienara.

– I był pan za to sowicie nagradzany – przypomniał mu Thrawn. – Jeśli próbuje pan sugerować, że jesteśmy coś winni za pańskie usługi, proszę sobie darować. Niewykluczone jednak, że istnieje sposób, by zdołał pan spłacić ten nowy dług. Czy podczas próby wymknięcia się z planety zauważył pan może przypadkiem statki atakujące nasz niszczyciel „Relentless”?

– Oczywiście, że tak – zapewnił go prędko Ferrier, a w jego głosie dało się słyszeć echo urażonej dumy zawodowca. – To były krążowniki Rendili StarDrive. Jeśli sądzić po wyglądzie, mają lata świetności już za sobą, ale wciąż są na chodzie. Gdybym miał oceniać, zostały silnie zmodyfikowane.

– Owszem. – Admirał Thrawn uśmiechnął się lekko. – Chcę je mieć.

Minęło kilka dobrych sekund, nim do Ferriera dotarło znaczenie słów admirała. A gdy to wreszcie nastąpiło, otworzył ze zdumienia usta.

– Ma pan na myśli… znaczy, żebym ja…

– Czy jest jakiś problem? – spytał chłodno Thrawn.

– Eee… – bąknął Ferrier i przełknął głośno ślinę. – Z całym należnym szacunkiem, panie admirale…

– Ma pan trzy standardowe miesiące na dostarczenie mi tych statków lub wskazanie dokładnego miejsca ich stacjonowania – nie dał mu dokończyć Thrawn. – Kapitanie Dorja?

Oficer postąpił naprzód.

– Tak, sir?

– Uwolni pan kapitana Ferriera i jego załogę i odda im do dyspozycji nieoznakowany frachtowiec wywiadu. Jego własny statek pozostanie na pokładzie niszczyciela „Relentless”, dopóki on i jego ludzie nie wypełnią zleconej im misji.

– Tak jest – potwierdził przyjęcie rozkazu Dorja.

Thrawn podniósł brew.

– Ach, i jeszcze jedno, kapitanie Ferrier. Na wypadek gdyby przyszło panu do głowy porzucić tę misję i dać nogę: frachtowiec, który panu przekażemy, będzie wyposażony w najnowocześniejszy

i niemożliwy do usunięcia mechanizm autodestrukcji. Z zegarem ustawionym na ni mniej, ni więcej, tylko trzy standardowe miesiące. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Brodata twarz Ferriera zbladła.

– T… tak – wykrztusił.

– Doskonale. – Thrawn skupił znów wzrok na Dorji. – Proszę zadbać o szczegóły, kapitanie. Oraz informować mnie na bieżąco o postępach. – Wcisnął klawisz i hologram zniknął. – Tak jak wspomniałem, kapitanie – powiedział, zwracając się teraz w stronę Pellaeona – nie sądzę, byśmy musieli obawiać się, że Rebelia zawiąże nowy sojusz.

– O ile Ferrier nie zawiedzie – zauważył z powątpiewaniem Pellaeon.

– Istnieje spora szansa, że mu się uda – zapewnił go Thrawn. – Tak czy inaczej, sami mamy pewne podejrzenia co do tego, gdzie te statki mogą się ukrywać. Nie dysponujemy po prostu obecnie odpowiednią ilością czasu, a także wolnymi ludźmi, aby się tym porządnie zająć. A nawet gdyby było inaczej, to taki atak prawdopodobnie zakończyłby się zniszczeniem drednotów… Ja zaś wolałbym je pozyskać w stanie nietkniętym.

– Tak jest, sir – potwierdził służbiście Pellaeon. Słowo „pozyskać” przypomniało mu, w jakim celu tu właściwie przybył. – Panie admirale, otrzymaliśmy od zespołu skanującego raport z oględzin statku Khabarakha. – Wyciągnął ponad podwójnym rzędem monitorów kartę z danymi.

Thrawn mierzył go przez chwilę w milczeniu spojrzeniem krwistoczerwonych oczu, jakby próbował odczytać przyczynę wyraźnego podenerwowania podwładnego, aż wreszcie bez słowa wziął od niego datakartę i wsunął do czytnika.

Pellaeon czekał z zasznurowanymi wargami, aż wielki admirał skończy przeglądać raport.

Gdy Thrawn dobrnął do końca, opadł na oparcie swojego fotela z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Sierść Wookieech… – mruknął.

– Zgadza się – przytaknął Pellaeon. – Znaleziona na całym pokładzie.

Thrawn milczał znów przez dobrą chwilę.

– Co pan o tym myśli?

Pellaeon odetchnął głęboko.

– Widzę tylko jedno rozwiązanie, sir. Khabarakh nie uciekł z Kashyyyka. Wookiee schwytali go, a potem wypuścili.

– Po miesiącu trzymania w niewoli. – Thrawn spojrzał znów na Pellaeona. – I przesłuchiwania.

– To niemal pewne. Pytanie brzmi: co im powiedział?

– Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. – Thrawn wpisał kod w komunikator. – Pokład hangarowy? Tu wielki admirał. Proszę przygotować mój statek. Zamierzam zejść na powierzchnię. Chciałbym, aby towarzyszył mi prom z dwoma oddziałami szturmowców, a także dwie eskadry bombowców szturmowych Scimitar w charakterze osłony. – Rozłączył się, otrzymawszy potwierdzenie przyjęcia rozkazu. – Możliwe, kapitanie, że Noghri zapomnieli chwilowo, komu są winni lojalność – rzucił, wstając i obchodząc dwuszereg wyświetlaczy. – Chyba czas im przypomnieć, że to Imperium sprawuje tu rządy. Proszę wrócić na mostek i przygotować się do demonstracji siły.

– Tak jest, sir – potwierdził Pellaeon, jednak wahał się chwilę z odejściem. – Czy… czy to ma być jedynie ostrzeżenie? Nie chodzi o destrukcję na pełną skalę?

Czerwone oczy Thrawna zalśniły.

– W tej chwili… nie – powiedział lodowatym tonem. – Ale lepiej niech się modlą, bym nie zmienił zdania.

Rozdział 12

Tym, co obudziło Leię, był zapach: dymna woń przywodząca na myśl ogniska rozpalane przez Ewoki na Endorze, jednak dziwnie ostra. Ciepły, swojski aromat, przypominający jej o biwakach, na które jeździła jako dziecko na ojczystym Alderaanie…

To jednak nagła świadomość tego, gdzie się znajduje, rozbudziła ją w pełni. Gdy sobie to uprzytomniła, otworzyła gwałtownie oczy…

Leżała na prostej, drewnianej pryczy w kącie noghryjskiej piekarni: dokładnie w tym samym miejscu, w którym wczoraj zasnęła.

Usiadła, czując ulgę zabarwioną wstydem. Dotarło do niej, że po wczorajszej nieoczekiwanej wizycie wielkiego admirała niemal spodziewała się, że obudzi się w celi więziennej na pokładzie gwiezdnego niszczyciela. Najwyraźniej nie doceniła determinacji Noghrich, aby dotrzymywać obietnic.

Zaburczało jej w brzuchu, co tylko uświadomiło jej, że od dawna nie jadła. Jedno z bliźniąt również postanowiło jej o tym przypomnieć lekkim kopniakiem.

– Dobrze już, dobrze – mruknęła uspokajająco. – Zrozumiałam aluzję. Pora na śniadanie.

Rozdarła opakowanie racji żywnościowej wyjętej z bagażu i ugryzła kęs, rozglądając się po pomieszczeniu. Podwójna prycza, ustawiona pod ścianą przy drzwiach jako posłanie dla Chewbakki, była pusta. Na chwilę ogarnął ją znów strach przed zdradą, jednak wystarczyło lekkie skupienie wspomagane Mocą, by wszystkie obawy zniknęły. Chewie był gdzieś w pobliżu i – co ważniejsze – nie wyczuwała jego zaniepokojenia, co oznaczało, że nic im nie groziło. „Spokojnie” – nakazała sobie stanowczo w myśli, wyjmując z walizki czysty skafander i zaczynając się ubierać. Kimkolwiek byli Noghri, z pewnością nie można było ich określić mianem dzikusów. Mieli swój kodeks honorowy i nie wydadzą jej Imperium. A przynajmniej zanim jej nie wysłuchają…

Przełknęła ostatni kęs racji żywnościowej i skończyła się ubierać, upewniając się – jak zawsze – że pas nie opina się zbytnio na jej coraz wyraźniej zaokrąglonym brzuchu. Wydobywszy swój miecz świetlny ze skrytki pod skrajem pryczy, przypięła go do pasa. Pamiętała, że Khabarakh uznał broń Jedi za coś w rodzaju dowodu potwierdzającego jej tożsamość, i miała nadzieję, że pozostali Noghri także zareagują w ten sposób. Podeszła do drzwi, wykonała kilka uspokajających ćwiczeń Jedi i wyszła na zewnątrz.

Na niewielkim porośniętym trawą placyku trójka noghryjskich dzieci bawiła się nadmuchiwaną piłką. Ich szarobiała skóra lśniła od potu w świetle porannego słońca, którym – jak dotarło do Lei – nie będzie im dane cieszyć się zbyt długo, chociaż dopiero co wzeszło, bo od zachodu zbliżała się gruba warstwa ciemnych chmur. „Cóż może i lepiej” – uznała Leia. Chmury uniemożliwią bezpośrednią zdalną obserwację wioski, gdyby załoga niszczyciela chciała mieć teren na oku, a także rozproszą odmienne od noghryjskich sygnatury podczerwone, które mogłyby zdradzić ją i Chewiego.

Gdy opuściła wzrok, spostrzegła, że dzieci przerwały zabawę i stanęły przed nią w równym szeregu.

– Dzień dobry – powiedziała, uśmiechając się do nich na zachętę.

Stojący w środku malec wystąpił naprzód i padł na kolana w dość niezdarnym pokłonie, który w miarę wiernie naśladował gest, jaki podpatrzył najwyraźniej u dorosłych.

– Mal’ary’ush – pisnął. – *Miskh’ha’ra isf chrak’mi’sokh. Mir’es kha.*

– Rozumiem – powiedziała Leia, żałując w duchu, że nie ma obok siebie C-3PO. Zastanawiała się właśnie, czy może zaryzykować wezwanie go przez komunikator, gdy dziecko znów się odezwało:

– Postrafiam cię, Mal’ary’ush – przemówiło w łamanym, ale zrozumiałym basicu. – Maitrakh szeka na cziebie w dukha.

– Dziękuję. – Leia skinęła mu z powagą głową. Wczoraj wieczorem noghryjskie dzieci stały na warcie przy drzwiach, dziś powierzono im oficjalne powitanie? Najwyraźniej wcześnie poznawały rytuały i obowiązki członków klanu. – Zaprowadźcie mnie do niej, proszę.

Dziecko skłoniło się znów z szacunkiem i wstało, kierując się ku dużemu, cylindrycznemu budynkowi, obok którego wylądowali

wczoraj z Khabarakhiem. Leia ruszyła za nim, a pozostała dwójka zajęła miejsca po jej bokach. Gdy szli, nie mogła się powstrzymać od popatrywania na nie i przyglądania się ich jasnej skórze. Khabarakh miał karnację stalowoszarą, zaś maitrakh – znacznie ciemniejszą. Czyżby pośród Noghrich występowało kilka różnych podgatunków? A może był to naturalny efekt procesu starzenia? Zapamiętała, żeby zapytać o to Khabarakha, gdy nadarzy się ku temu okazja.

W świetle dnia dukha prezentowała się znacznie okazalej, niż Leia to zapamiętała. Kolumny rozmieszczone co kilka metrów po jej stronie zewnętrznej okazały się całymi pniami, odartymi z kory i wypolerowanymi tak, że sprawiały wrażenie czarnego marmuru. Lśniące drewno, którym je połączono, pokrywały do połowy wysokości misterne rzeźby. Gdy znaleźli się bliżej, dostrzegła, że wzmacniająca stalowa opaska, otaczająca budynek tuż pod okapem, również była bogato dekorowana – najwyraźniej Noghri lubowali się w łączeniu funkcjonalności ze sztuką. Cała konstrukcja mierzyła jakieś dwadzieścia metrów średnicy i była wysoka na mniej więcej cztery metry, zaś kolejne cztery dodawał jej spadzisty dach i Leia złapała się na zastanawianiu się, jak wiele filarów musieli umieścić wewnątrz, by go podeprzeć.

Między dwiema kolumnami umieszczono wysokie, dwuskrzydłowe drzwi, których strzegła kolejna dwójka wyprężonych na baczność noghryjskich dzieci. Kiedy stanęli przed nimi, otworzyły wrota. Skinąwszy im głową, Leia wstąpiła do środka.

Wnętrze dukhy było nie mniej imponujące niż wygląd zewnętrzny: jej oczom ukazała się przestronna sala z tronem wnoszącym się niemal pod sam dach, niewielkim boksem o stromym daszku i okienku przesłoniętym ciemną siatką, umieszczonym między dwiema kolumnami po prawej, a także czymś w rodzaju mapy w ścianie naprzeciwko, po lewej stronie. Z zaskoczeniem spostrzegła brak wewnętrznych wsporników – zamiast nich funkcję podpór pełniły ciężkie łańcuchy, rozciągnięte od filarów w ścianach do skraju czegoś na kształt dużej misy zwieszającej się pośrodku sufitu. Oświetlały ją ukryte źródła światła, umieszczone – jak

domyśliła się Leia – na obrzeżu, napełniając pomieszczenie łagodnym, rozproszonym blaskiem.

Kilka metrów od mapy – czy też wykresu – w niewielkim półkolu siedziała grupka licząca na oko jakieś dwadzieścioro dzieci, wpatrzonych z podziwem w C-3PO, który opowiadał z przejęciem w ich języku jakąś historię, okraszając ją od czasu do czasu sugestywnymi efektami dźwiękowymi. Ten widok przywiódł Lei na myśl podobną sytuację, która miała miejsce podczas wojny z Imperium, kiedy to droid prezentował Ewokom skróconą wersję historii – i Leia miała cichą nadzieję, że C-3PO zachowa dość przytomności obwodów, by tym razem nie demonizować Dartha Vadera. Podczas podróży dość często starała się mu wbijać do metalowej głowy, by o tym pamiętał.

Kątem oka dostrzegła po lewej stronie jakiś ruch: kiedy spojrzała w tę stronę, dostrzegła Chewbaccę i Khabarakha siedzących naprzeciwko siebie po drugiej stronie drzwi i zajętych w milczeniu… jakąś grą? Wyglądało to na mocowanie się na ręce. Na jej widok Wookiee zamarł i spojrzał pytająco w jej oczy. Kiwnęła głową, potwierdzając, że nic jej nie jest, i próbując wysondować go, by poznać odpowiedź na pytanie, co takiego właściwie robi. „Cóż, przynajmniej nie zamierza powyrywać Noghriemu rąk” – stwierdziła z ulgą. Dobre i to…

– Lady Vader – rozległ się chrapliwy noghryjski głos. Gdy odwróciła się w stronę jego źródła, zobaczyła idącą w jej stronę maitrakh. – Witam cię. Czy dobrze spałaś?

– Tak, dziękuję – odpowiedziała. – Doceniam waszą gościnność. – Obejrzała się na C-3PO, zastanawiając się przelotnie, czy może oderwać go od jego zajęcia, aby powierzyć mu obowiązek tłumaczenia.

Maitrakh najwyraźniej odebrała ten gest mylnie, bo powiedziała:

– To pora na lekcje historii dla naszych dzieci. Twoja maszyna wspaniałomyślnie zgodziła się opowiedzieć im o ostatnich chwilach naszego pana, Dartha Vadera.

„O jego ostatnim, szlachetnym sprzeciwie wobec Imperatora, podczas gdy życie Luke’a wisiało na włosku” – dopowiedziała w myśli Leia, a na głos powiedziała:

– Tak. Nastąpiło to późno… zbyt późno, jednak koniec końców zdołał wyrwać się z sieci kłamstw Imperatora.

Przez chwilę maitrakh stała w milczeniu, aż wreszcie drgnęła.

– Proszę za mną, lady Vader. – Odwróciła się i zaczęła iść wzdłuż ściany. Leia dołączyła do niej, po raz pierwszy zauważając, że od wewnątrz ściany dukhy również pokrywały płaskorzeźby. Czyżby przedstawiały historię klanu? – Mój trzeci syn zyskał nowy powód, by darzyć twojego Wookieego szacunkiem – powiedziała, wskazując na Chewbaccę i Khabarakha. – Nasz pan, wielki admirał, zjawił się tu ubiegłego wieczoru, szukając dowodów potwierdzających, że mój trzeci syn okłamał go w sprawie awarii statku. Nie znalazł ich dzięki twojemu Wookieemu.

Leia kiwnęła głową.

– Owszem, Chewie wspominał mi wczoraj, że majstrował przy obwodach. Nie mam jego wiedzy o mechanice statków, wiem jednak, że takie celowe wywołanie serii połączonych ze sobą usterek nie jest łatwe. Mamy prawdziwe szczęście, że wykazał dość przenikliwości i miał odpowiednie zdolności, by tego dokonać.

– Ten Wookiee nie należy do twojej rodziny ani klanu – zauważyła maitrakh. – A mimo to ufasz mu, jakby był twoim przyjacielem.

Leia wzięła głęboki oddech.

– Jako dziecko nie znałam mojego prawdziwego ojca, lorda Vadera – wyznała. – Gdy byłam mała, zostałam zabrana na Alderaan, gdzie tamtejszy wicekról wychowywał mnie jak własną córkę. Tam również, tak jak tutaj, więzi rodzinne stanowiły podstawę naszej kultury i stosunków społecznych. Dorastałam, ucząc się na pamięć niekończącej się listy imion ciotek, wujków i kuzynostwa, a także stopni pokrewieństwa między nami. – Wskazała na Chewbaccę. – Chewie był dla mnie kiedyś po prostu dobrym przyjacielem. Teraz jest członkiem mojej rodziny. Tak jak należą do niej mój mąż i brat.

Przeszły może jakąś jedną czwartą drogi wzdłuż ścian dukhy, gdy maitrakh znów przemówiła:

– Po co tu przybyłaś?

– Khabarakh powiedział mi, że jego lud potrzebuje pomocy – odpowiedziała prosto Leia. – Pomyślałam, że może mogłabym coś dla was zrobić…

– Niektórzy twierdzą, że zjawiłaś się tu, by zasiać pośród nas niezgodę.

– Sama o tym wspomniałaś zeszłego wieczoru – przypomniała jej Leia. – Mogę dać ci jedynie moje słowo, że nie taki jest mój zamiar.

Maitrakh wydała z siebie przeciągły syk zakończony podwójnym kłapnięciem ostrych kłów.

– Zamiary nie zawsze są równe skutkom, lady Vader – wycedziła. – Teraz służymy jednemu suwerenowi. Ty wymagasz od nas, abyśmy dochowali wierności innemu. To zasieje pośród nas ziarno niezgody… i przyniesie śmierć.

Leia zacisnęła usta.

– A więc służba Imperium was zadowala? – spytała gorzko. – Czy zapewnia twojemu ludowi lepsze życie lub przynosi wam chlubę?

– Służymy Imperium jako jeden klan – oświadczyła maitrakh. – Prośba, abyśmy zmienili strony, może obudzić dawne konflikty. – Dotarły już do tablicy na ścianie i Noghryjka wskazała na nią szczupłą dłonią. – Spójrz, lady Vader. Oto nasza historia…

Leia wyciągnęła szyję, żeby zerknąć na planszę. Dolne dwie trzecie tablicy pokrywały pieczołowicie wyrżnięte linijki obcego pisma – każde słowo było połączone z kilkunastoma innymi zawiłymi, przecinającymi się pionowo, poziomo i ukośnie liniami, z których każda, jak się wydawało, miała inną głębokość i szerokość. Po chwili do niej dotarło: patrzyła na drzewo genealogiczne – albo całego klanu Kihm’bar, albo tylko jednego rodu.

– Rozumiem – mruknęła.

– W takim razie z pewnością dostrzegasz też potworne spustoszenie, jakim zaowocowały dawne konflikty – dodała maitrakh. Wskazała trzy czy cztery miejsca na planszy, na oko nieróżniące się niczym szczególnym od reszty. Najwyraźniej odczytywanie genealogii Noghrich wymagało szczególnych zdolności… – Nie chcę, by te dni wróciły – wyznała Noghryjka. – Nie przystanę na to nawet na prośbę córki samego lorda Dartha Vadera.

– Rozumiem – powtórzyła Leia cicho. Wstrząsnął nią nagły dreszcz, gdy przed oczami stanęły jej sylwetki poległych na Yavinie, Hoth, Endorze i w wielu innych miejscach. – Wierz mi: oglądałam w życiu więcej niezgody i śmierci, niż myślałam, że to w ogóle możliwe. Nie chcę wydłużać tej listy.

– W takim razie musisz stąd odejść – powiedziała stanowczo maitrakh. – Odlecieć… i nie wracać, dopóki istnieje Imperium.

Podjęły spacer.

– Czy nie ma innego wyjścia? – spytała z nadzieją Leia. – A gdybym mogła przekonać twój lud, by porzucił służbę Imperium? Wówczas nie doszłoby do konfliktu…

– Imperator pomógł nam, gdy wszyscy inni odwrócili się od nas – przypomniała jej maitrakh.

– To nie tak – zaprotestowała Leia, mimo poczucia winy spowodowanego tym, że ucieka się do półprawd. – Po prostu… nie wiedzieliśmy, że jesteście w potrzebie. – To prawda, Sojusz nie zdawał sobie w pełni sprawy z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znaleźli się mieszkańcy tej planety. A gdyby Mon Mothma i inni przywódcy chcieli udzielić im wsparcia, gdyby wiedzieli, co się tu wydarzyło, to czy dysponowaliby odpowiednimi środkami, by cokolwiek zdziałać? – Teraz jednak rozumiemy już, w jak trudnym położeniu się znaleźliście… i dlatego proponujemy wam pomoc.

– A czy nie robicie tego dla własnych korzyści? – spytała uszczypliwie maitrakh. – Albo po prostu po to, aby pozbawić Imperium przewagi, jaką zapewnia mu nasza służba? Nie chcemy być jak kość, o którą walczą wygłodniałe stavy.

– Imperator was wykorzystał – powiedziała z mocą Leia. – I podobnie wykorzystuje was teraz wielki admirał. Czy pomoc, jakiej wam udzielili, była warta życia synów, których wam odebrali i posłali na śmierć?

Nim maitrakh odpowiedziała, uszły kolejne dwadzieścia kroków.

– Nasi synowie odeszli – powiedziała cicho. – Jednak swoją służbą kupili życie nam wszystkim. Przybyłaś tu na pokładzie latającej maszyny, lady Vader. Widziałaś, co uczyniono naszym ziemiom.

– Tak – potwierdziła Leia, czując nagły dreszcz. – To… Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak ogromne są zniszczenia.

– Życie na Honoghrze nigdy nie było łatwe – westchnęła Noghryjka. – Obłaskawienie ziemi wymagało od nas mnóstwa pracy. Z zapisu naszych dziejów jasno wynika, kiedy przegrywaliśmy. Jednak po bitwie na niebie… – Ona również zadygotała. – To było jak walka bogów. Teraz wiemy, że to były tylko wielkie latające maszyny, jednak wówczas nie rozumieliśmy, co się dzieje. Wysyłane przez nich błyskawice smagały niebo przez całą noc i kolejny dzień, oświetlając odległe wzgórza upiorną poświatą. A jednak nie słyszeliśmy gromów, całkiem jakby ci mściwi bogowie byli zbyt rozwścieczeni, aby podczas walki na siebie krzyczeć. Pamiętam, że właśnie ta cisza przerażała mnie bardziej niż cokolwiek innego. Tylko raz rozległ się odległy huk, niczym uderzenie pioruna. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że jeden z naszych najwyższych szczytów górskich stracił wierzchołek. Wówczas błyski ustały, a my ośmieliliśmy się żywić nadzieję, że bogowie odeszli, by toczyć swoją wojnę gdzie indziej. Potem ziemia ponownie się zatrzęsła… – Urwała i znów zadygotała. – Błyskawice były jak gniew bogów. Ziemia drżała od uderzeń ich młotów. Znikały w niej całe miasta, gdy otwierała się pod ich ciosami. Góry ogniste, od dawna uśpione, pluły w niebo ogniem i dymem, od którego wszystko czerniało. Lasy i pola płonęły, tak samo miasta i wioski, których nie pochłonęło trzęsienie ziemi. Od tych, którzy zginęli, przyszła choroba, która zebrała jeszcze większe żniwo. Całkiem jakby bogowie nieba zarazili swoim gniewem bogów lądu, którzy również zaczęli ze sobą walczyć. Aż wreszcie, gdy ponownie zaczęliśmy nieśmiało liczyć na to, że już po wszystkim… zaczął padać deszcz o dziwnym zapachu.

Leia pokiwała głową, boleśnie zdając sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Któryś z walczących okrętów rozbił się, powodując potężne trzęsienia ziemi i przesycając atmosferę trującymi wyziewami, roznieśionymi przez wiatr i deszcz po wszystkich zakątkach planety. Obecnie na statkach wykorzystywano wiele podobnych chemikaliów, jednak tylko układy starszych jednostek mogły zawierać równie szkodliwe substancje… Starszych, a więc takich, których używał Sojusz Rebeliantów na samym początku swojego istnienia.

Nowa fala poczucia winy przeszyła jej wnętrzności niczym ostrze noża. „To my to uczyniliśmy” – pomyślała z goryczą. To były ich statki. To oni byli temu winni.

– Czy… czy to deszcz zabił całą roślinność?

– Lud Imperium wyjaśnił nam, co takiego znajdowało się w deszczu – zrelacjonowała maitrakh. – Ale nie umiałabym powtórzyć, jak się to nazywało.

– A więc zjawili się tu wkrótce po tragedii… Lord Vader i inni…

– Tak. – Maitrakh machnęła ręką, wskazując otaczający ich teren. – Zgromadziliśmy się tu… wszyscy, którzy pozostali przy życiu i byli w stanie wyruszyć w podróż. To miejsce zawsze było uznawane za neutralne. Przybyliśmy tu, aby znaleźć sposób na przetrwanie. To właśnie tu… znalazł nas lord Vader.

Szły w milczeniu przez kolejną minutę.

– Niektórzy uwierzyli wtedy, że był bogiem – wyznała maitrakh. – Wszyscy się go bali. Jego i tej srebrzystej latającej maszyny, którą przybył wraz ze swoimi sługami, prosto z nieba. Jednak nawet pośród przerażenia wrzał w nas gniew na bogów za to, co nam uczynili, i niemal dwie dziesiątki wojowników postanowiły się zemścić…

– …i wszyscy zginęli – dokończyła za nią ponuro Leia. Na samą myśl o tym, że nieuzbrojeni właściwie członkowie prymitywnej rasy ośmielili się stawić czoła imperialnym żołnierzom, skrzywiła się mimowolnie.

– Nie wszyscy – poprawiła ją maitrakh i w jej głosie brzmiała niezaprzeczalna duma. – Jedynie troje z nich zostało zabitych podczas walki. Nasi nie pozostali dłużni: uśmiercili wielu wojowników lorda Vadera, choć ci byli uzbrojeni w swoją miotającą błyskawice broń i odziani w wytrzymałe pancerze. Ulegliśmy dopiero wtedy, kiedy do walki wkroczył sam lord Vader. Zamiast jednak unicestwić nas, jak to niektórzy z jego podwładnych mu radzili, zaoferował nam pokój. Pokój… a także opiekę i pomoc samego Imperatora.

Leia znów pokiwała głową. Kolejny z elementów układanki wskoczył na swoje miejsce. Zastanawiała się jednak, jaki cel chciał osiągnąć Imperator, zawracając sobie głowę grupą prymitywnych

istot, które nie mogły znaczyć dla niego zbyt wiele. A jednak ten prymitywny lud cechowała wyjątkowa, wrodzona wręcz umiejętność walki… O, to zdecydowanie mogło robić różnicę.

– Jak… jaką pomoc wam zaoferował?

– Wszystko, czego potrzebowaliśmy – odpowiedziała maitrakh. – Żywność i leki, a także narzędzia. Nieco później, kiedy za sprawą dziwnego deszczu zaczęły umierać nasze plony, przysłał metalowe droidy, które zaczęły usuwać truciznę z gleby.

Leia skrzywiła się, gdy nagle dotarło do niej, że tutejsze warunki mogą zaszkodzić bliźniętom. A jednak… zestaw analityczny nie wykazał żadnych toksyn w powietrzu w okolicach wioski, zaś Chewbacca i Khabarakh przeprowadzili odpowiednie testy gleby, które również nie wykryły zagrożenia. Cóż, cokolwiek było w trującym deszczu, droidy dekontaminacyjne najwyraźniej świetnie sobie z tym poradziły.

– Ale… mimo to poza oczyszczonym terenem nadal nic nie chce rosnąć? – upewniła się.

– Tylko trawa kholm – westchnęła maitrakh. – To cherlawa roślina, która nie nadaje się do spożycia. Ale nic innego nie chce tam wyrosnąć… a nawet trawa pachnie inaczej niż kiedyś.

To by wyjaśniało jednolity brązowy kolor lądów, który dostrzegli z Chewbaccą z przestrzeni kosmicznej. Wszystko wskazywało na to, że tylko ta jedna roślina przystosowała się w jakiś sposób do panujących tu trudnych warunków.

– Czy przeżyły jakieś zwierzęta? – spytała.

– Niektóre gatunki. To znaczy te, które jedzą trawę kholm, i te, które żywią się nimi. Nie są jednak zbyt liczne. – Maitrakh uniosła nagle głowę, jakby oczyma duszy spoglądała na odległe wzgórza. – To miejsce nigdy nie tętniło życiem, lady Vader. I być może właśnie dlatego klany uznały je za teren neutralny. Jednak nawet tak niegościnne tereny obfitowały w faunę i florę. Teraz jednak… nie ma i tego. – Wyprostowała się i wypięła do przodu pierś, z widocznym trudem starając się odsunąć od siebie wspomnienia. – Lord Vader pomógł nam też na inne sposoby. Przysłał tu swoich ludzi, aby uczyli naszych synów i córki zwyczajów i zasad wyznawanych przez Imperium. Wprowadził nowe regulacje,

zezwalające wszystkim klanom na dzielenie Czystego Lądu, chociaż nigdy dotąd coś takiego nie zdarzyło się w naszej historii. – Zatoczyła ręką krąg. – Przysłał też swoje potężne latające maszyny, aby przeniosły tu dukhy wszystkich klanów. – Wbiła spojrzenie ciemnych oczu w Leię. – Otrzymaliśmy błogosławieństwo pokoju, lady Vader. I zapłacimy za nie z radością, niezależnie od jego ceny.

Po drugiej stronie dukhy dzieci najwyraźniej skończyły lekcję historii, bo zaczęły jedno po drugim wstawać z ziemi. Któreś z nich powiedziało coś do C-3PO, a potem skłoniło się przed nim niezdarnie. Droid odpowiedział coś i cała grupa zawróciła w stronę drzwi i ruszyła ku czekającym na nich dorosłych.

– Przerwa? – spytała Leia.

– To koniec klanowych lekcji na dzisiaj – wyjaśniła maitrakh. – Teraz dzieci muszą się zająć pracą na rzecz wioski. Nieco później, pod wieczór, odbędą kolejne lekcje, dzięki którym nauczą się, jak pewnego dnia godnie służyć Imperium.

Księżniczka pokręciła głową.

– To nie w porządku – powiedziała do maitrakh, gdy dzieci wysypały się z dukhy. – Nikt nie powinien być zmuszony do oferowania służby własnych dzieci w zamian za prawo do życia.

Maitrakh syknęła przeciągle.

– To dług, który musimy spłacić – oświadczyła. – Jak inaczej mamy tego dokonać?

Leia zacisnęła nerwowo dłoń. No właśnie: jak?

Wszystko wskazywało na to, że Imperium jest bardzo zadowolone z targu, jakiego dobiło, a to, czego była świadkiem, mając okazję oglądać noghryjskich komandosów w akcji, utwierdzało ją w przekonaniu, że imperialni rzeczywiście mieli powody do satysfakcji. Nie zgodzą się, by Noghri spłacili swój dług w żaden inny sposób. A skoro sami mieszkańcy Honoghra uznawali swoją służbę za obowiązek, którego zaniechanie oznaczałoby plamę na ich honorze…

– Nie wiem – wyznała szczerze.

Kątem oka złowiła jakiś ruch pod ścianą. Khabarakh, siedzący do tej pory na podłodze po przeciwnej stronie sali, przewrócił się na bok, z nadgarstkiem unieruchomionym w potężnej łapie Chewbakki.

Wyglądało to jak walka, z tą różnicą, że Chewie zachowywał dobre maniery.

– Co oni robią? – spytała swojej przewodniczki.

– Twój Wookiee poprosił mojego trzeciego syna, aby nauczył go naszych sposobów walki – wyjaśniła maitrakh nie bez dumy. – Wookiee są bardzo silni, jednak w walce daleko im do subtelności.

Cóż, sami zainteresowani zapewne nie zgodziliby się z tą oceną, jednak Leia musiała przyznać, że jeśli chodzi o Chewbaccę, to zazwyczaj polegał w walce na sile mięśni i celności swojej kuszy.

– Jestem zaskoczona, że pozwolił, by Khabarakh go uczył – powiedziała. – Jak dotąd zupełnie mu nie ufał.

– Być może to właśnie ta nieufność wzbudziła jego ciekawość – zauważyła beznamiętnie maitrakh.

Leia nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Być może.

Szły w milczeniu, obserwując, jak Khabarakh pokazuje Chewbacce jeszcze dwa chwyty. Sztuka walki przypominała jej nieco techniki, jakie poznawała w młodości na Alderaanie, i zadrżała na samą myśl o tym, jak groźną bronią mogą się one stać, gdy będą poparte siłą mięśni Wookieego.

– Teraz już rozumiesz chyba, jak żyjemy, lady Vader – powiedziała cicho maitrakh. – I z pewnością zdajesz sobie sprawę z tego, że nasz los wciąż jest niepewny. Nadal nie mamy odpowiednio dużo Czystego Lądu, aby wyhodować dość żywności. Musimy więc kupować ją od Imperium.

– Płacąc za nią ciągłą służbą swoich synów – dopowiedziała gorzko Leia. Wieczny dług: najstarsza forma utajonego niewolnictwa w galaktyce.

– I *mając* ich gdzie wysyłać – dopowiedziała z goryczą maitrakh. – Nawet gdyby Imperium pozwoliło na to, nasi synowie nie mogliby wrócić do domu. Nie dalibyśmy rady ich wyżywić.

Leia pokiwała znów głową. To była pułapka idealna. Cóż, mogła się spodziewać czegoś takiego po Vaderze i Imperatorze…

– Nigdy nie zdołacie im się wypłacić – powiedziała bez ogródek. – Wiesz o tym, prawda? Wielki admirał już się o to postara. Dopóki będziecie im przydatni.

– Tak – przyznała cicho maitrakh. – Długo mi to zajęło, jednak teraz to rozumiem. Możliwe, że gdyby uwierzyli w to wszyscy Noghri, mielibyśmy szansę coś zmienić…

– Czy reszta twojego ludu wciąż sądzi, że Imperium to wasz przyjaciel?

– Nie wszyscy są o tym przekonani – przyznała maitrakh. – Jednak przekonanych jest dość, by nie dopuścić do zmian. – Zatrzymała się i wskazała dłonią w górę. – Czy widzisz światło gwiazd?

Leia podniosła wzrok na misę zawieszoną cztery metry nad ziemią, w miejscu przecięcia łańcuchów wspierających ściany. Miała około półtora metra średnicy i była wykonana z jakiegoś czarnego – lub poczernianego – metalu, w którym umieszczono setki maleńkich otworów. Przeświecający przez nie blask, rzucany przez źródło światła wewnątrz misy, sprawiał, że całość wyglądała niczym stylizowana wersja nocnego nieba.

– Tak.

– Noghri od zawsze kochali gwiazdy – wyznała melancholijnie Noghryjka, zatopiona w myślach. – Niegdyś, dawno temu, czciliśmy je jak bogów. A nawet gdy dowiedzieliśmy się, czym są w rzeczywistości, pozostały naszymi przyjaciółmi. Pośród nas jest wielu, którzy z chęcią podążyliby za lordem Vaderem, nawet gdybyśmy nie mieli wobec niego długu. Dla samej radości płynącej z podróżowania pośród gwiazd.

– Rozumiem – wymamrotała pod nosem Leia. – Galaktyka pełna jest istot, które myślą podobnie. Rodzimy się z tym pragnieniem, jest ono naszym prawem.

– Prawem, które my utraciliśmy.

– Nie utraciliście go – zaprzeczyła Leia, odrywając wzrok od gwiaździstej misy. – Po prostu niewłaściwie ulokowaliście wasze zaufanie. – Obejrzała się na Khabarakha i Chewbaccę. – Może gdybym mogła zgromadzić wszystkich waszych przywódców i porozmawiać z nimi…

– I co byś im powiedziała? – prychnęła maitrakh.

Leia przygryzła wargę. Rzeczywiście: co mogłaby im powiedzieć? Że Imperium ich wykorzystuje? Dla Noghrich było to jedynie

spłacanie honorowego długu. Gdyby oznajmiła, że Imperium celowo opóźnia oczyszczanie gleby, tak aby utrzymywać ich na granicy samowystarczalności, ale uniemożliwić im jej przekroczenie, musiałaby udowodnić, że rzeczywiście tak jest, nawet samej sobie. Czy dałaby radę przekonać ich, że Nowa Republika przywróci im wrodzone prawo do wolności? Na jakiej podstawie mieli w to uwierzyć?

– Tak więc sama widzisz, lady Vader, jak wygląda nasza sytuacja – westchnęła maitrakh, wyrywając ją z zamyślenia. – Być może pewnego dnia wszystko się zmieni, jednak w tej chwili twoja obecność w tym miejscu zagraża w równej mierze bezpieczeństwu naszemu, jak i twojemu. Dotrzymam obietnicy ochrony, którą złożył mój trzeci syn, i nie wydam cię naszemu panu, wielkiemu admirałowi. Musisz jednak stąd odejść.

Leia wzięła głęboki oddech.

– Tak – wykrztusiła z najwyższym trudem przez ściśnięte gardło. Pokładała tak dużą wiarę w swoje zdolności dyplomatyczne i umiejętności Jedi… Liczyła na to, że dzięki nim, a także za sprawą dziedzictwa Vadera, zdoła wyrwać Noghrich spod jarzma Imperium i przywrócić ich na łono Nowej Republiki.

Teraz jednak próba jej możliwości dobiegła końca, i to zanim rozpoczęła się na dobre. „Co, na wielkie nieba, myślałam sobie, przylatując tutaj?” – wyrzucała sobie.

– Odejdę – powiedziała. – Nie chcę narażać ciebie ani twojego rodu na kłopoty ze strony Imperium. Jednak nadejdzie dzień, maitrakh, kiedy twój lud przejrzy na oczy i zrozumie, jak traktuje was Imperium. A gdy to się wydarzy, pamiętaj, że zawsze jestem gotowa służyć wam wsparciem.

Maitrakh skłoniła jej się nisko.

– Mam nadzieję, że ten dzień nadejdzie wkrótce, lady Vader. Oczekuję go z utęsknieniem, podobnie jak inni.

Leia kiwnęła znów głową, siląc się na uśmiech. Ta walka była przegrana, nim jeszcze się rozpoczęła.

– W takim razie musimy poczynić odpowiednie… – Urwała, gdy nagle podwójne drzwi otworzyły się i do środka wpadł jeden z młodocianych strażników.

– Maitrakh! – pisnął. – *Mira’kh saar khee hrach’mani vher ahk!*

Khabarakh natychmiast zerwał się na równe nogi.

Kątem oka Leia dostrzegła, że C-3PO zastyga w bezruchu…

– O co chodzi? – spytała z niepokojem.

– To latająca maszyna naszego pana, wielkiego admirała – wyjaśniła maitrakh, brzmiąc i wyglądając nagle dziwnie obco, sprawiała też wrażenie bardzo, ale to bardzo zmęczonej. – Leci tu.

Rozdział 13

Przez chwilę Leia wpatrywała się w maitrakh bez słowa, czując, jak jej mięśnie tężeją z przerażenia, a myśli krążą jak oszalałe, rozpierzchając się na wszystkie strony i nie dając ogarnąć umysłem. Nie… to niemożliwe! To na pewno jakaś pomyłka! Przecież wielki admirał był tu dopiero co wczoraj! Dlaczego miałby wracać tak szybko? Było zbyt wcześnie, by…

I nagle z odrętwienia wyrwał ją odległy hałas, narastający z każdą chwilą: szum silników repulsorowych. Paraliż zniknął bez śladu, zastąpiony przez naglącą potrzebę działania.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała. – Chewie…?

– Nie ma czasu! – zawołał Khabarakh, biegnąc do niej z Chewbaccą depczącym mu po piętach. – Prom jest już na pewno w polu widzenia, poniżej warstwy chmur.

Księżniczka rozejrzała się szybko po pomieszczeniu, przeklinając się w duchu za tracenie cennego czasu na jałowy stupor. Nie było tu okien ani tylnego wyjścia – żadnego miejsca, w którym mogłaby się ukryć… poza niewielką budką naprzeciwko tablicy z drzewem genealogicznym.

Żadnej drogi ucieczki…

– Jesteś pewien, że leci do was? – zapytała Khabarakha, ale nim jeszcze skończyła mówić, dotarło do niej, że to głupie pytanie. – To znaczy do dukhy?

– A gdzie indziej miałby lecieć? – odpowiedział ponuro pytaniem Noghri, wbijając spojrzenie w maitrakh. – Być może nie dał się jednak zwieść…

Leia rozejrzała się znów dookoła. Jeśli prom wyląduje przed wejściem do budynku, będzie miała kilka sekund, nim tu wejdą, podczas których tył budowli będzie dla nich niewidoczny. Gdyby zdołała w tym czasie wyciąć w ścianie otwór mieczem świetlnym…

Chewbacca zawarczał, podsuwając podobny pomysł, jakby czytał jej w myślach.

– Tak. Wycięcie otworu nie powinno być trudne, ale jak go potem zamaskujemy? – spytała.

Wookiee znów zawarczał, wskazując potężną łapą na boks o zakratowanym okienku.

– Hm, rzeczywiście, w ten sposób przynajmniej nie będzie widoczny od wewnątrz – zgodziła się niechętnie. – To chyba lepsze niż nic. – Zerknęła na maitrakh, gdy nagle dotarło do niej, że zamierzają właśnie uszkodzić starożytną klanową dukhę, co mogło zakrawać na świętokradztwo. – Maitrakh, ja…

– Jeśli to konieczne, zróbcie to – weszła jej w słowo Noghryjka. Sama wciąż wyglądała na wstrząśniętą, jednak Leia widziała wyraźnie, jak szybko dzielna kobieta stara się pozbierać. – Nie mogą was tu znaleźć.

Księżniczka przygryzła wargę. Widziała już taki wyraz twarzy. Kilkakrotnie podczas ich podróży na Honoghr Khabarakh reagował podobnie, a ona zorientowała się, że robi tę minę, gdy chyba żałuje swojej decyzji o sprowadzeniu jej na ojczystą planetę.

– Postaramy się wyrządzić przy tym jak najmniej szkód – zapewniła maitrakh, odpinając miecz świetlny od pasa. – Gdy tylko wielki admirał stąd odejdzie, a Khabarakh odzyska swój statek, odlecimy i… – Przerwała, gdy Chewbacca uciszył ją warknięciem. Z oddali nadal dobiegał dźwięk nadlatującego promu, jednak nagle zawtórował mu inny odgłos, który znała stanowczo zbyt dobrze. Taki hałas wydawały tylko… – Bombowce szturmowe Scimitar – wykrztusiła, słysząc, jak potępieńczy wizg niweczy jej prowizoryczny plan, krusząc go niczym szklaną taflę. Nie było szans, by wyślizgnęli się ukradkiem z dukhy pod nalotem imperialnych bombowców.

Pozostawało im tylko jedno wyjście…

– Będziemy musieli ukryć się w tej budce – powiedziała do Chewbakki, biegnąc w jej kierunku i obrzucając budkę krytycznym spojrzeniem. Czy w ogóle zdołają się w niej zmieścić? Jeśli spadzisty daszek wznoszący się ku jej tyłowi, przylegającemu do ściany, nie był tylko ozdobą, z trudem powinni się jakoś upchnąć w środku wraz z Wookieem…

– Czy ja również mam się tam ukryć, Wasza Wysokość?

Leia zatrzymała się w pół kroku i odwróciła, zmartwiała ze strachu. C-3PO! Na śmierć o nim zapomniała!

– W środku nie ma dość miejsca – syknęła maitrakh. – Twoja obecność nas zdradzi, lady Vader…

– Cicho! – warknęła Leia, obrzucając dukhę kolejnym desperackim spojrzeniem, jednak nie było po prostu innego miejsca, w którym mogliby się ukryć.

Chyba że…

Zerknęła na rozgwieżdżoną misę zawieszoną nad centrum dukhy.

– Będziemy musieli go tam wepchnąć – powiedziała do Chewbakki, wskazując na misę. – Czy dasz radę…

Nie musiała kończyć. Wookiee w dwóch susach dopadł do droida, zarzucił go sobie bezceremonialnie na ramię i w mgnieniu oka pędził już w stronę najbliższego z drewnianych bali. Nie zważając na protesty C-3PO, skoczył ku kolumnie, chociaż dzieliły go od niej jeszcze dwa metry, i zaczął się wspinać, wbijając w drewno mocne pazury. Wystarczyły trzy ruchy i dotarł do szczytu ściany, skąd wśród skarg złocistego droida, graniczących niebezpiecznie z histerią, ruszył po rozchybotanym łańcuchu, chwytając się pewnie ogniw.

– Ciszej, Threepio! – jęknęła, stojąc pod drzwiami budki. Obrzuciła wnętrze szybkim spojrzeniem. Rzeczywiście, sufit biegł po skosie zgodnie z krzywizną daszku, dzięki czemu tył boksu był zdecydowanie wyższy niż przód. Pod tylną ścianą stała też niska ławeczka. Nie będzie może zbyt wygodnie, ale dadzą radę jakoś się tu wcisnąć. – Lepiej, żeby nie przyszło im do głowy sprawdzać dukhy czujnikami – mruknęła. Gdyby się na to zdecydowali, wszystko stracone. Nasłuchując wycia repulsorów, modliła się w duchu, aby wczorajsze negatywne wyniki skanu powstrzymały Imperium przed przeprowadzaniem kolejnej kontroli.

Chewbacca dotarł już niemal do środka pomieszczenia i podciągnąwszy się na łańcuchu jeszcze odrobinę, bez ceregieli cisnął C-3PO do misy. Droid zaskrzeczał jeszcze z oburzeniem, jednak nim jego skarga wybrzmiała, Wookiee sięgnął do wnętrza czary i go wyłączył. Opadłszy z hukiem na podłogę, natychmiast

puścił się biegiem w stronę budki – w tej samej chwili, w której wycie repulsorów ucichło.

– Szybko! – syknęła Leia, przytrzymując mu drzwi.

Chewie przemknął w pełnym pędzie na drugą stronę dukhy i zanurkował do środka przez wąskie drzwiczki, wskakując z rozpędu na ławeczkę i odwracając się pyskiem do przodu. Stanął pewniej w rozkroku, uderzając przy tym głową o spadzisty daszek.

Leia wślizgnęła się do budki tuż za nim i usiadła na ławeczce, przycupnąwszy między jego nogami.

W tej samej chwili, w której drzwi budki zamknęły się za nią, podwójne wrota na froncie dukhy otworzyły się z impetem.

Wciśnięta między tylną ścianę boksu a nogi Chewbakki Leia zmusiła się, by oddychać wolniej i ciszej, a także sięgnęła do arsenału technik Jedi wspomagających zmysły, których nauczył ją Luke. W uszach dudnił jej chrapliwy oddech Chewbakki, a ciepło jego ciała spływało na jej głowę i ramiona niczym niewidzialny wodospad. Nagle stała się dojmująco świadoma ciężaru i pokaźnych rozmiarów swojego brzucha, a także lekkich ruchów bliźniąt w jego wnętrzu. Ławka, na której siedziała, wydała jej się strasznie twarda, a od zapachu sierści Wookieego, egzotycznego drewna i własnego potu zakręciło jej się w głowie. Słyszała dobiegające zza ściany dukhy za jej plecami odgłosy kroków, a także sporadyczne szczęknięcia karabinów blasterowych uderzających o pancerze szturmowców – i dziękowała w duchu, że zrezygnowała z poprzedniego planu ucieczki tą drogą.

Z centrum dukhy dobiegały zaś głosy:

– Dzień dobry, maitrakh – przemówił ktoś spokojnym, starannie modulowanym głosem. – Widzę, że jest tu z tobą twój trzeci syn, Khabarakh. Cóż, doskonale się składa.

Leia zadrżała i niemal podskoczyła, gdy w uszach rozbrzmiał jej nienaturalnie głośny szelest jej tuniki ocierającej się o ciało. Ten głos… to był trudny do pomylenia z czymkolwiek innym ton imperialnego dowódcy, podszyty jednak dziwnym spokojem oraz aurą władzy – jeszcze silniejszą niż ta, którą emanował protekcjonalny i pewny siebie gubernator Tarkin, gdy miała z nim do czynienia na pokładzie Gwiazdy Śmierci.

To mógł być tylko wielki admirał. Nie mogło być mowy o pomyłce.

– Witam cię, mój panie – odpowiedziała miaukliwie maitrakh, również starannie kontrolując swój głos. – Czynisz nam zaszczyt, odwiedzając nas.

– Dziękuję – odparł wielki admirał wciąż uprzejmie, jednak teraz w ton jego głosu wkradły się nuty groźby. – A ciebie, Khabarakhu z klanu Kihm'bar, czy również cieszy moja wizyta?

Powoli, z najwyższą ostrożnością Leia przesunęła głowę odrobinę w prawo, licząc na to, że przez ciemną siatkę w okienku budki zdoła coś dostrzec. Niestety, przybysze wciąż jeszcze stali w progu, a ona nie odważyła się przysunąć bliżej kratki. Gdy jednak wróciła do poprzedniej pozycji, rozległy się miarowe kroki i chwilę później w jej polu widzenia na środku dukhy zatrzymał się sam wielki admirał.

Przypatrywała mu się zza dzielącej ich siatki, czując, jak po jej plecach przebiega zimny dreszcz. Słyszała od Hana opis człowieka, którego widział na planecie Myrkr – mężczyzny o bladobłękitnej skórze i lśniących czerwienią oczach, w białym imperialnym mundurze. Słyszała również, jak Fey'lya z lekceważeniem traktuje tę informację, twierdząc, że to z pewnością jakiś oszust albo w najlepszym razie moff, któremu zamarzyła się większa władza. Szczerze powiedziawszy, sama zastanawiała się po cichu, czy może przypadkiem jej mąż się nie pomylił…

Teraz jednak wiedziała, że o pomyłce nie mogło być mowy.

– Oczywiście, mój panie – odpowiedział na pytanie wielkiego admirała Khabarakh. – Dlaczegóż miałoby być inaczej?

– Jakim tonem odzywasz się do wielkiego admirała? – warknął jakiś nowy noghryjski głos.

– Proszę o wybaczenie – zamiauczał Khabarakh. – Nie miałem zamiaru obrazić naszego pana…

Leia skrzywiła się boleśnie. Z pewnością nie miał takiego zamiaru, jednak co się stało, to się nie odstanie. Chociaż sama ledwie liznęła mowy Noghrich i nie orientowała się jeszcze zbyt dobrze w jej niuansach, wiedziała, że Khabarakh zareagował zbyt szybko i zbyt

agresywnie. Jak mógł odebrać te słowa wielki admirał, który znał tę rasę znacznie lepiej od niej?

– W takim razie jaki był twój zamiar? – spytał wielki admirał, zwracając się w stronę Khabarakha i maitrakh.

– Ja… – bąknął Noghri.

Jego władca stał w milczeniu, cierpliwie czekając na odpowiedź.

– Ja… proszę o wybaczenie, mój panie – wykrztusił wreszcie Khabarakh. – Po prostu… poczułem się onieśmielony twoją wizytą w naszych skromnych progach.

– Banalna wymówka – ocenił admirał. – I niewykluczone, że uznałbym ją za wiarygodną, gdyby nie mały szczegół: wczoraj nie wydawałeś się szczególnie onieśmielony. – Podniósł brew. – A może po prostu nie spodziewałeś się, że tak szybko złożę wam powtórną wizytę?

– Mój panie…

– Jak należy ukarać Noghriego, który okłamuje swojego władcę? – wszedł mu ostro w słowo wielki admirał. – Może śmiercią, jak dawniej bywało? A może Noghri nie znają już tak staroświeckiego pojęcia jak honor?

– Mój pan nie ma prawa stawiać takich oskarżeń synowi klanu Kihm'bar – przemówiła chłodno maitrakh.

Wielki admirał utkwił w niej spojrzenie gorejących oczu.

– Radziłbym ci zatrzymać swoje uwagi dla siebie, maitrakh – wycedził. – Ten tutaj syn klanu Kihm'bar okłamał mnie, a ja nie traktuję lekko podobnych zniewag. – Spojrzał znów na młodszego Noghriego. – Khabarakhu z klanu Kihm'bar, opowiedz mi, proszę, o swojej niewoli na Kashyyyku.

Leia zacisnęła palce na rękojeści miecza świetlnego, czując, jak metalowe żebrowanie wbija się we wnętrze jej dłoni. To właśnie podczas krótkiego pobytu w areszcie na Kashyyyku namówiła go, aby zabrał ją tu, na Honoghr… Jeśli wyśpiewa to teraz admirałowi…

– Nie rozumiem – odpowiedział jednak zamiast tego Khabarakh.

– Och, czyżby? – zakpił wielki admirał. – W takim razie pozwól, że odświeżę nieco twoją pamięć. Nie uciekłeś z Kashyyyka, tak jak twierdzisz w swoim raporcie i jak powtórzyłeś wczorajszego

wieczoru w obecności mojej, twojego rodu oraz klanowej starszyzny. Prawda jest taka, że zostałeś schwytany przez Wookieech po tym, jak wasza misja się nie powiodła. A ten miesiąc, który poświęciłeś rzekomo na medytację, w rzeczywistości spędziłeś w więziennej celi przesłuchiwany przez tubylców! Czy teraz już sobie przypominasz?

Leia wzięła głęboki oddech, nie wierząc w to, co słyszy. Nie miała pojęcia, jakim cudem wielki admirał wydedukował, że Khabarakh został zatrzymany przez Wookieech, jednak niezależnie od tego zdecydowanie się mylił w swoich dalszych podejrzeniach. To zaś oznaczało, że jeszcze nie wszystko stracone. O ile tylko Khabarakh nie złamie się i zdoła ciągnąć tę farsę nieco dłużej…

Najwyraźniej jednak maitrakh nie była przekonana co do zacięcia swojego syna, bo nim ten zdążył otworzyć usta, powiedziała:

– Mój trzeci syn nie okłamałby swojego władcy w tak ważkiej kwestii. Doskonale rozumie swoje obowiązki i pojęcie honoru.

– Och, doprawdy? – parsknął wielki admirał. – Mam uwierzyć w to, że schwytany przez wroga i przesłuchiwany przez niego noghryjski komandos zdołał wyjść z tego cało? Czy tak właśnie interpretujecie pojęcie honoru?

– Nie zostałem schwytany, mój panie – wykrztusił Khabarakh. – Uciekłem z Kashyyyka, tak było.

Przez długą chwilę wielki admirał wbijał w niego w milczeniu wzrok.

– A ja twierdzę, że kłamiesz, Khabarakhu z klanu Kihm’bar – powiedział wreszcie cicho. – Nie ma to jednak znaczenia. Niezależnie od tego, czy zechcesz współpracować, czy nie, dowiem się, co się wydarzyło w ciągu tego miesiąca, i jaką cenę zapłaciłeś za swoją wolność. Rukh?

– Mój panie – odezwał się ten sam obcy Noghri, co wcześniej.

– Khabarakh z klanu Kihm’bar jest od teraz więźniem Imperium. Wraz z oddziałem drugim odprowadzisz go na pokład promu i dostarczysz na „Chimaerę”, gdzie zostanie poddany przesłuchaniu.

Od ścian dukhy odbił się echem głośny syk.

– Mój panie, to stanowi naruszenie…

– Lepiej zamilcz, maitrakh – nie dał jej dokończyć wielki admirał. – Inaczej trafisz do aresztu wraz z nim.

– Nie zamilknę! – odparła hardo maitrakh. – Noghri oskarżony przez władcę o zdradę musi stanąć przed zgromadzeniem starszyzny, która zgodnie ze starożytnymi zasadami podda go próbie prawdy i wyda wyrok. Tak stanowi prawo.

– Nie obowiązuje mnie wasze prawo – wycedził wielki admirał. – Khabarakh zdradził Imperium. I zostanie osądzony i ukarany zgodnie z jego zasadami.

– Starszyzna będzie się domagała…

– Starszyzna nie ma prawa niczego ode mnie wymagać – warknął wielki admirał, dotykając cylindra komunikatora umieszczonego w kieszonce bluzy obok insygniów. – Czy mam ci przypomnieć, co grozi za sprzeciw wobec Imperium?

Leia usłyszała, jak maitrakh wzdycha cicho.

– Nie, mój panie – odparła zrezygnowana Noghryjka.

Wielki admirał mierzył ją przez chwilę w milczeniu lodowatym wzrokiem.

– A jednak to zrobię – oświadczył, po czym dotknął ponownie komunikatora…

Nagle wnętrze dukhy zalał oślepiający, zielony blask.

Leia schowała głowę między nogi Chewbakki, zaciskając powieki, gdy jej uszy i oczy poraził dojmujący ból. Przez jedną koszmarną sekundę była przekonana, że dukha stała się celem ataku, że strzał z turbolasera zmieni w mgnieniu oka cały budynek w stertę płonących szczątków… Jednak powidok odbity na jej siatkówce ukazywał wielkiego admirała wciąż stojącego dumnie na środku pomieszczenia i wreszcie do niej dotarło, co się wydarzyło.

Desperacko starała się usunąć efekty wspomagania zmysłów Mocą, gdy nagle rozległ się ogłuszający huk, od którego aż zadzwoniły jej zęby. Poczuła się, jakby oberwała z całej siły w głowę od rozwścieczonego Wookieego…

Nieco później, gdy próbowała odtworzyć sekwencję kolejnych zdarzeń, przypomniała sobie sceny i dźwięki zapamiętane jak przez mgłę, gdy działa turbolasera gwiezdnego niszczyciela raziły ogniem wzgórza otaczające wioskę. Gdy wreszcie w pełni odzyskała nad

sobą panowanie, demonstracja gniewu wielkiego admirała dobiegła końca. Jedynie gdzieś z oddali dobiegał jeszcze groźny pomruk – echo ostatniego wystrzału.

Ostrożnie otworzyła oczy – tylko po to, aby zmrużyć je niemal natychmiast ponownie, gdy poczuła w głębi oczodołów dojmujący ból.

Wielki admirał stał nadal tam, gdzie widziała go ostatnio: na środku dukhy.

Kiedy zapanowała na powrót kompletna cisza, przemówił cichym, ociekającym groźbą głosem:

– Teraz ja stanowię prawo na Honoghrze, maitrakh. Jeśli uznam za stosowne przestrzegać starożytnych praw, zrobię to. Jeżeli postanowię je ignorować, tak będzie. Czy to jasne?

– Tak, mój panie – odezwał się ktoś i Leia tylko z najwyższym trudem rozpoznała głos maitrakh, jakże obcy i zbolały! Jeśli wielki admirał postawił sobie za cel zastraszyć Noghryjkę, to odniósł pełen sukces.

– Doskonale. – Thrawn pozwolił, by w powietrzu wisiało jeszcze przez chwilę pełne napięcia milczenie. – Jestem jednak gotów pójść na ustępstwa dla wiernych sług Imperium. Khabarakh zostanie przesłuchany na pokładzie „Chimaery”, pozwalam jednak, by wcześniej został osądzony i poddany ocenie przez starszyznę. – Odwrócił lekko głowę. – Rukh? Dostarczysz Khabarakha z klanu Kihm’bar do centrum Nystao i dopilnujesz, aby stanął przed klanowymi dynastami. Być może trzy dni publicznej hańby przypomną ludowi Noghrich, że wciąż toczymy wojnę.

– Tak jest, mój panie.

Rozbrzmiały odgłosy kroków, a po nich otwieranych i zamykanych drzwi. Przygarbiony w niewygodnej pozycji tuż pod sufitem Chewbacca zamruczał cicho pod nosem. Leia zacisnęła zęby – dość mocno, by jej pulsującą tępo głowę przeszyła znów ostra błyskawica bólu. „Publiczna hańba”? I coś, co określali mianem „próby prawdy”…

Sojusz Rebeliantów nieświadomie przyłożył rękę do zniszczenia Honoghra, a teraz wszystko wskazywało na to, że ona nieumyślnie naraziła na to samo Khabarakha…

Wielki admirał wciąż stał na środku dukhy.

– Nie masz mi nic do powiedzenia, maitrakh? – spytał.

– Mój pan nakazał mi zamilknąć – przypomniała mu.

– Ach, oczywiście. – Patrzył na nią bez słowa przez kilka sekund. – Lojalność wobec klanu i rodu jest godna pochwały, maitrakh – powiedział wreszcie. – Jednak głupotą jest bycie lojalnym wobec zdrajcy. Nie mówiąc już o tym, że może to mieć potencjalnie tragiczny skutek dla twego rodu i klanu.

– Nie poznałam jak dotąd żadnych dowodów na to, że mój trzeci syn jest zdrajcą.

Wielkiemu admirałowi drgnęły wargi.

– Poznasz – zapewnił ją cicho, a potem odwrócił się i ruszył w stronę podwójnych drzwi, znikając Lei z oczu.

Wrota dukhy otworzyły się, odgłos kroków ucichł – admirał musiał się zatrzymać, czekając na kogoś – a chwilę później dały się słyszeć lżejsze kroki, gdy dołączyła do niego maitrakh. Kiedy wyszli, drzwi zamknęły się za nimi i Leia została sama z Chewbaccą.

Byli samotni na terytorium wroga. Bez statku. A ich jedynego sojusznika czekało przesłuchanie przed Imperium.

– Chewie – powiedziała cicho – chyba mamy kłopoty…

Rozdział 14

Jedną z pierwszych lekcji, które przyswajał każdy bystry obserwator podróżujący po kosmosie, było to, że planeta oglądana z przestrzeni kosmicznej nigdy nie wygląda tak jak na oficjalnych mapach gwiezdnych. Równiutkie, optymalizowane przez komputer kształty i linie wytyczane przez kartografów w najlepszym razie tylko w niewielkim stopniu pokrywały się z obrazem rzeczywistym, na który duży wpływ miała pokrywa chmur, cienie rzucane przez pasma górskie, przekłamania spowodowane dużymi obszarami roślinności, a także różne efekty optyczne. Wszystko to wprawiało w zakłopotanie świeżo upieczonych nawigatorów, a ponadto dostarczało materiału do niezliczonych figli, które uwielbiali płatać im bardziej doświadczeni w fachu koledzy.

I właśnie między innymi dlatego Luke z niemałym zaskoczeniem powitał fakt, że akurat tego dnia, przy podejściu pod tym konkretnym kątem, główny kontynent planety Jomark wyglądał niemal identycznie jak na szczegółowej mapie. Oczywiście musiał wziąć poprawkę na to, że sam kontynent nie był specjalnie duży…

Tak czy inaczej, gdzieś na tym idealnie pokrywającym się z mapami kontynencie przebywał w tej chwili mistrz Jedi.

Skywalker zabębnił delikatnie palcami o skraj panelu kontrolnego, wyglądając w zamyśleniu na zielonkawobrązowy ląd przez owiewkę swojego X-winga. Wyczuwał obecność Jedi – jeśli chodzi o ścisłość, czuł ją od momentu opuszczenia nadprzestrzeni – jednak póki co nie udawało mu się nawiązać z nim bezpośredniego kontaktu. „Mistrzu C’baoth? – spróbował go wywołać kolejny raz poprzez Moc. – Tu Luke Skywalker. Czy mnie słyszysz?”.

Odpowiedź jednak nie nadeszła. Albo więc Luke robił coś nie tak, albo C’baoth nie był w stanie odpowiedzieć na jego wołanie. A może po prostu celowo sprawdzał jego zdolności?

Jeśli tak, Luke był gotów podjąć to wyzwanie.

– Artoo? Skup, proszę, czujniki na głównym kontynencie! – zawołał, zerkając na ekrany i próbując myśleć tak jak mistrz Jedi, który na chwilę zapragnął zniknąć wszystkim z oczu. Kontynent, na którym mieli wylądować, stanowił w zasadzie większość powierzchni planety (tak naprawdę był on niewiele większy niż pokaźna wyspa), jednak dało się tu również zauważyć tysiące mniejszych wysepek rozproszonych w niewielkich archipelagach po powierzchni rozległego oceanu. Ogółem było tu jakieś trzysta tysięcy kilometrów kwadratowych lądu… co przekładało się na mnóstwo terenu do przetrząśnięcia. – Szukaj śladów technologii… i sprawdź, proszę, czy zdołasz zidentyfikować główne skupiska ludności.

R2-D2 zagwizdał cicho pod kopułką, stosując zaprogramowane algorytmy wykrywania form życia do odczytów uzyskanych z czujników X-winga. Wydał z siebie serię piśnięć i na obrazie planety wyświetlanym na monitorze pojawiła się seria świetlnych punktów.

– Dzięki – mruknął Luke, przyglądając się efektom pracy droida. Nie był zaskoczony, gdy okazało się, że większość populacji zamieszkuje wybrzeże. Zauważył też jednak kilka mniejszych osiedli w głębi lądu, łącznie z czymś, co wyglądało na parę małych wiosek, które przycupnęły na południowym brzegu jeziora o kształcie niemal idealnego pierścienia…

Zmrużył oczy i wpisał komendę wyświetlającą obraz poziomic. Jak się okazało, nie było to zwykłe jezioro, tylko zbiornik wodny uformowany w pozostałościach stożkowatego wzniesienia. W samym jego centrum dumnie wznosiła się duża wyspa, również o stożkowatym kształcie. Ponieważ teren wokół był zdecydowanie górzysty, twór był zapewne pochodzenia wulkanicznego.

Podsumowując: dzikie, górskie ostępy, w których mistrz Jedi mógł się bezpiecznie zaszyć i żyć w odosobnieniu, nieniepokojony przez nikogo, a w pobliżu skupisko wiosek, do których mógł zajrzeć, gdyby poczuł potrzebę ujawnienia się lub obcowania z ludźmi.

Cóż, było to równie dobre miejsce na rozpoczęcie poszukiwań jak każde inne.

– No dobrze, Artoo – westchnął Luke, zaznaczając miejsce na ekranie. – Oto nasz cel. Sprowadzę myśliwiec na dół, a ty śledź odczyty czujników i daj mi znać, jeśli zauważysz coś interesującego.

Astromech ćwierknął pytająco, lekko zaniepokojony.

– Tak jest. Również wtedy, gdy coś wyda ci się podejrzane – potwierdził Luke.

R2-D2 nadal nie był przekonany, że atak Imperium podczas ich ostatniej próby dotarcia w to miejsce był czystym przypadkiem.

Weszli w atmosferę i aktywowali repulsory mniej więcej w połowie drogi w dół – wówczas Luke wyrównał lot, prowadząc myśliwiec tuż poniżej wierzchołków najwyższych górskich szczytów. Z bliska teren wyglądał na dość wyboisty, jednak nie aż tak wyludniony, jak to ocenił Jedi na pierwszy rzut oka. Doliny porastała bujna roślinność, która przerzedzała się na skalistych zboczach. W większości kotlin, nad którymi przelatywali, dało się zauważyć co najmniej po kilka domostw, w niektórych miejscach tworzących nawet niewielkie wioski – zbyt małe, by wykryły je z góry mające dość ograniczoną czułość sensory X-winga.

Podchodzili właśnie do jeziora od południowego zachodu, gdy na skraju urwiska R2-D2 dostrzegł coś w rodzaju… rezydencji?

– Nigdy nie widziałem nic podobnego – mruknął Luke. – Czy odczyty sygnalizują obecność jakichś form życia?

R2-D2 wydał z siebie serię pisków, z których wynikało, że nie jest w stanie tego określić.

– Cóż, w takim razie spróbujmy szczęścia – zadecydował Luke, przystępując do procedury lądowania. – Nawet jeśli to fałszywy trop, przynajmniej od czegoś zaczniemy.

Rezydencję wzniesiono na małym dziedzińcu otoczonym ogrodzeniem sprawiającym wrażenie raczej pełniącego funkcję dekoracyjną niż obronną. Ograniczywszy prędkość, Luke zawinął tak, by lecieć równolegle do ogrodzenia i posadził maszynę kilka metrów od bramy. Gdy zabrał się do wyłączania układów statku, R2-D2 zaćwierkał ostrzegawczo, a kiedy Luke podniósł wzrok, spostrzegł stojącego przed furtką mężczyznę.

Na jego widok serce zaczęło mu bić szybciej. Nieznajomy był w podeszłym wieku, widać to było na pierwszy rzut oka:

wskazywały na to siwe włosy i długa mleczna broda, którymi targał wiatr, a także głębokie bruzdy zmarszczek przecinających jego twarz. Jednak oczy miał bystre i czujne, stał dumnie wyprężony, nie przejmując się zupełnie silnymi porywami wiatru, zaś rozchełstana brązowa szata odsłaniała imponująco umięśnioną pierś.

– Dokończ zamykanie systemów, Artoo – poprosił droida Luke, słysząc we własnym głosie dziwne drżenie. Zdjął hełm i otworzył osłonę kokpitu, a potem wstał i zeskoczył lekko na ziemię.

Starzec ani drgnął.

Wziąwszy głęboki oddech, Luke podszedł do niego.

– Mistrzu C'baoth – powiedział, skłaniając z szacunkiem głowę. – Jestem Luke Skywalker.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego blado.

– Tak – mruknął. – Wiem. Witaj na Jomarku.

– Dziękuję – odparł Luke, pozwalając sobie na ciche westchnienie ulgi. Wreszcie! To była długa i niełatwa podróż, z nieplanowanymi przystankami na Myrkr i Sluis Van. A jednak w końcu mu się udało…

C'baoth jakby czytał mu w myślach – może rzeczywiście tak było? – bo oznajmił z wyrzutem:

– Długo kazałeś na siebie czekać.

– Tak – bąknął Luke. – Przepraszam. Ale… niestety, zaszły pewne okoliczności, na które nie miałem wpływu i…

– Dlaczego? – wypalił C'baoth.

Tego Luke się nie spodziewał.

– Nie bardzo rozumiem…

Starszy mężczyzna zmrużył oczy.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie rozumiesz? – spytał ostro. – Jesteś Jedi czy nie?

– Ja… hm, jestem…

– W takim razie powinieneś mieć wszystko pod kontrolą – stwierdził stanowczo C'baoth. – Powinieneś kontrolować samego siebie, a także otaczających cię ludzi i zdarzenia. Zawsze.

– Tak jest, mistrzu – powiedział ostrożnie Luke, próbując zamaskować swoje zakłopotanie. Jedynym mistrzem Jedi, z jakim

miał w życiu do czynienia, był Yoda, ale on nigdy nie przemawiał w taki sposób.

C'baoth przez chwilę przyglądał mu się taksująco, aż nagle jego surowe oblicze złagodniało.

– Ale… przybyłeś w końcu – powiedział, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. – To najważniejsze. Nie zdołali cię powstrzymać.

– Nie – przyznał Luke. – Chociaż próbowali. Od chwili, gdy wyruszyłem, by cię odszukać, zaatakowano mnie czterokrotnie.

– Ach tak. – C'baoth spojrzał na niego ostro. – Czy te ataki… były wymierzone bezpośrednio w ciebie?

– Jeden z nich – wyjaśnił Luke. – Co do pozostałych… Cóż, po prostu znalazłem się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. Czy może raczej we właściwym miejscu w odpowiednim czasie – poprawił się.

Surowy wyraz twarzy C'baotha zastąpiła zaduma.

– Taaa – mruknął, wpatrzony zamglonym wzrokiem w urwisko i widniejące w dali jezioro w kształcie pierścienia. – W niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie… Brzmi to jak epitafium wielu rycerzy Jedi. – Spojrzał znów na Luke'a. – To Imperium ich zniszczyło. Wiesz o tym?

– Tak, wiem – potwierdził Luke. – Tropili ich Imperator wraz z Darthem Vaderem.

– Przy wsparciu kilku Mrocznych Jedi – dodał w ponurym zamyśleniu mistrz Jedi. – Takich jak Vader. Walczyłem z ostatnim z nich na… – Urwał, powoli kręcąc głową. – Tak dawno temu…

Skywalker pokiwał głową, czując się znów dziwnie niezręcznie. Miał problem z nadążeniem za nagłymi zmianami tematu… i nastroju C'baotha. Czyżby był to skutek pustelniczego życia? A może po prostu kolejny test – i tym razem starzec wystawiał na próbę jego cierpliwość?

– Oczywiście – zgodził się Luke. – Jednak Jedi mogą się odrodzić. Mamy szansę odbudować zakon.

C'baoth znów skupił na nim wzrok.

– Twoja siostra – domyślił się. – O tak. Wkrótce urodzi bliźnięta Jedi.

– A w każdym razie mające potencjał, by nimi zostać – sprostował Luke, nieco zaskoczony i skrępowany tym, że C'baoth wiedział o ciąży Lei. Owszem, dziennikarze Nowej Republiki szeroko rozpisywali się o tym fakcie, jednak spodziewał się, że Jomark jest zbyt oddalony od większych centrów cywilizacji, by te wieści dotarły aż tutaj. – Jeśli chodzi o ścisłość, to przybyłem tu właśnie między innymi z ich powodu.

– Nie – zaprzeczył C'baoth. – Przybyłeś tu, bo cię wezwałem.

– Hm, cóż, tak. Ale…

– Żadnych ale, Jedi Skywalkerze – wszedł mu ostro w słowo stary mistrz. – Bycie Jedi oznacza służenie Mocy. Wezwałem cię poprzez Moc, a gdy Moc wzywa, musisz jej słuchać.

– Rozumiem. – Luke pokiwał znowu głową, z całej siły pragnąc, by rzeczywiście tak było. A może Jedi używał po prostu metafory? Albo była to kolejna z kwestii, których nie objęło jego dotychczasowe szkolenie? Owszem, znał podstawy kontrolowania Mocy. To właśnie dzięki temu udawało mu się przetrwać za każdym razem, gdy był zmuszony bronić się przed ostrzałem za pomocą miecza świetlnego. Jednak wezwanie poprzez Moc… Cóż, to było zupełnie co innego. – Kiedy powiedziałeś „Moc wzywa", miałeś na myśli, że…

– Wezwałem cię tu z dwóch powodów – wszedł mu bezceremonialnie w słowo C'baoth. – Po pierwsze, aby dokończyć twoje szkolenie. Po drugie zaś, bo… potrzebuję twojej pomocy.

Luke zrobił zdziwioną minę.

– Mojej… pomocy?

Mistrz Jedi uśmiechnął się blado. Nagle wydał się Luke'owi bardzo znużony.

– Kres moich dni jest już bliski, Jedi Skywalkerze – westchnął. – Już wkrótce rozpocznę długą podróż z życia doczesnego do tego, co poza nim.

Skywalkera ścisnęło w gardle.

– Tak bardzo mi przykro… – zdołał tylko wykrztusić.

– Taka jest kolej rzeczy na tym świecie. – C'baoth wzruszył ramionami. – Jedi nie różnią się pod tym względem od niższych istot.

Luke wrócił pamięcią do Yody leżącego na łożu śmierci w swojej chatce na Dagobah, a także własnego poczucia bezradności i goryczy, że nie jest w stanie nic na to poradzić. Nie chciał znów przez to wszystko przechodzić.

– Jak mogę ci pomóc? – spytał cicho.

– Możesz zostać moim uczniem – odparł mężczyzna. – Otworzyć się na mnie, aby przejąć moją wiedzę, doświadczenie i potęgę. W ten sposób będziesz mógł kontynuować dzieło mojego życia.

– Rozumiem. – Luke pokiwał głową, zastanawiając się, co właściwie ma na myśli starzec. – Ale zdajesz sobie z pewnością sprawę, że ja również mam własne obowiązki…

– Czy jesteś na nie gotów? – spytał C'baoth, podnosząc brwi. – W pełni? Czy nie przybyłeś tu, by mnie o coś prosić?

– Cóż, właściwie to tak – przyznał Skywalker. – Przybywam w imieniu Nowej Republiki, aby prosić cię o pomoc w walce z Imperium.

– W jakim celu mianowicie?

Młody Jedi zmarszczył czoło. Wydawało mu się, że to oczywiste…

– Aby raz na zawsze położyć kres tyranii Imperium, a także przynieść wolność i sprawiedliwość wszystkim mieszkańcom galaktyki.

– Sprawiedliwość… – C'baoth wydął pogardliwie usta. – Nie szukaj sprawiedliwości dla mniejszych istot, Jedi Skywalkerze. – Uderzył się dwukrotnie kułakiem w pierś. – Bo to my jesteśmy sprawiedliwością tej galaktyki. Nas dwóch, a także nowe pokolenie Jedi, które ukształtujemy tak, aby poszło w nasze ślady. Zostaw te toczone na pokaz walki innym i przygotuj się na czekającą cię przyszłość.

– Ja… – bąknął Luke, nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć.

– Czego potrzeba nienarodzonym dzieciom twojej siostry? – spytał C'baoth.

– One… cóż, pewnego dnia będzie im potrzebny nauczyciel – przyznał niechętnie Luke. Zdawał sobie sprawę z tego, że pierwsze wrażenie może być mylące, jednak teraz nie był już taki pewien, czy ten człowiek nadaje się na mentora dla jego siostrzenicy i siostrzeńca. C'baoth wydawał się zbyt rozchwiany emocjonalnie,

niemal nad sobą nie panował. – Wszyscy założyli po prostu, że będę je uczył sam, gdy podrosną na tyle, by rozpocząć szkolenie, tak jak teraz uczę Leię. Problem w tym, że samo bycie Jedi nie jest równoznaczne z byciem dobrym nauczycielem. – Zawahał się, nim dodał: – Obi-Wan Kenobi obwiniał się o to, że Vader przeszedł na ciemną stronę Mocy. Nie chcę, by to samo spotkało dzieci Lei. Pomyślałem, że może mógłbyś mnie nauczyć, jak należy szkolić Jedi i…

– To strata czasu! – parsknął C'baoth, machnąwszy ręką. – Sprowadź je tutaj. Będę uczył je sam.

– Oczywiście, mistrzu – zaczął Luke, ostrożnie dobierając słowa. – Doceniam twoją propozycję. Ale, jak już wspominałem, mam własne obowiązki… A poza tym naprawdę potrzebuję jedynie tylko kilku wskazówek…

– A co z tobą, Jedi Skywalkerze? – wszedł mu znów w słowo stary mistrz. – Czy ty nie potrzebujesz dalszego szkolenia? Na przykład w kwestii wydawania sądów?

Skywalker zacisnął zęby. Czuł się coraz bardziej nieswojo, jakby mistrz Jedi prześwietlał go na wylot i wiedział o nim znacznie więcej, niż się Luke'owi podobało.

– Cóż, być może przydałoby mi się kilka wskazówek również w tej dziedzinie – przyznał. – Czasem wydaje mi się, że mistrz Jedi, który mnie uczył, spodziewał się, że sam sobie z tym poradzę.

– To po prostu kwestia wsłuchania się w Moc – stwierdził z przekonaniem C'baoth. Przez krótką chwilę znów się wpatrywał niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, ale zaraz się opamiętał i ponownie skupił na swoim nowym uczniu. – Chodź ze mną. Pójdziemy do wioski i zobaczysz sam, o co w tym chodzi.

Luke podniósł wysoko brwi.

– Ale… teraz?

– A dlaczego by nie? – C'baoth wzruszył ramionami. – Wezwałem już kierowcę, spotka się z nami po drodze. – Zerknął na coś ponad ramieniem swojego przyszłego ucznia. – O nie! Ty zostaniesz tutaj! – warknął.

Gdy Skywalker się odwrócił, ujrzał swojego droida: R2-D2 opuścił właśnie gniazdo w kadłubie X-winga i toczył się w ich stronę.

– To tylko mój droid – bąknął nieśmiało.

– Zostanie tutaj – stwierdził kategorycznie stary Jedi. – Droidy… to herezja! Istoty zdolne do myślenia, a jednak niestanowiące części Mocy.

Skywalker ponownie zmarszczył czoło. Droidy istotnie nie były częścią Mocy, jednak to zdecydowanie nie był powód, by uznawać je za herezję. Tak czy inaczej, to nie były zbyt dobre ani miejsce, ani pora na dyskusje na ten temat.

– Pomogę mu wrócić do jego gniazda – stwierdził ugodowo i pospieszył do statku, a gdy znalazł się w pobliżu maszyny, zaczerpnął Mocy i wskoczył na kadłub, lądując obok astromecha. – Wybacz, Artoo, ale musisz tu zostać – powiedział do niego. – Chodź. Wskakuj z powrotem do gniazda…

R2-D2 zapiszczał z oburzeniem.

– Wiem, wiem. Przykro mi – westchnął, umieszczając przysadzistego robota z powrotem na jego stanowisku. – Ale mistrz C'baoth nie chce, żebyś szedł z nami. Równie dobrze możesz więc zaczekać w gnieździe. Będziesz mógł przynajmniej porozmawiać sobie z komputerem X-winga.

Droid ćwierknął ponownie. Tym razem jego głos brzmiał żałośnie i nieco nerwowo.

– Nie, nie sądzę, by groziło mi jakieś niebezpieczeństwo – zapewnił go Luke. – Jeśli się o mnie martwisz, zawsze możesz mieć mnie na oku za pośrednictwem czujników X-winga. – Zniżył głos do szeptu. – A skoro już o tym mowa, chciałbym, żebyś dokonał pełnego skanu otoczenia. Sprawdź, czy nie ma tu jakiejś… hm, podejrzanie wyglądającej roślinności, czegoś w rodzaju tamtego sękatego drzewa, które rosło w pobliżu jaskini na Dagobah. Dobrze?

R2-D2 pisnął potwierdzająco, jednak sprawiał wrażenie lekko skonsternowanego.

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia później! – pożegnał się Luke i zeskoczył na ziemię. – Jestem gotów – poinformował C'baotha, gdy wylądował obok niego.

Stary Jedi kiwnął głową.

– Tędy – wskazał i ruszył prowadzącą w dół ścieżką.

Luke pospieszył za nim. Wiedział, że powierzył swojemu droidowi niełatwe zadanie. Nawet jeśli miejsce, którego szukał, znajdowało się w zasięgu czujników Artoo, nie mógł mieć gwarancji, że astromech będzie w stanie odróżnić zdrową obcą roślinę od tej toczonej chorobą. Tak czy inaczej, spróbować nie zaszkodzi. Przypuszczał, że Yoda tak długo zdołał się ukrywać przed Imperatorem i Vaderem tylko dlatego, że jaskinia ciemnej strony w pobliżu jego domostwa w pewien sposób maskowała jego własną sygnaturę Mocy. Niewykluczone, że C'baoth również zdołał tak długo przetrwać w ukryciu z powodu podobnej anomalii.

To znaczy, jeśli rzeczywiście nikt o nim nie wiedział. Czy nie mogło być tak, że Imperator doskonale wiedział o jego istnieniu, ale celowo zostawił go w spokoju?

Ale… gdyby rzeczywiście tak było, to dlaczego?

Luke nie miał pojęcia, jednak uznał, że lepiej będzie, jeśli jak najszybciej się tego dowie.

Uszli nie więcej niż dwieście metrów, gdy zjawił się pojazd i kierowca wezwany przez C'baotha – wysoki, kościsty mężczyzna na starym turystycznym skuterze repulsorowym Soro-Suuba, do którego doczepiono staroświecki pojazd kołowy.

– To po prostu zmodyfikowany wózek rolniczy, ale póki co musi nam wystarczyć – wyjaśnił C'baoth, gestem zapraszając Luke'a, by zajął miejsce obok niego. Siedzenia drewnianej w większości konstrukcji były wyścielane, więc podróż zapowiadała się dość wygodnie. – Mieszkańcy Chynoo zbudowali go dla mnie, gdy tu przybyłem.

Kierowca zawrócił – zaskakująco umiejętnie, jeśli wziąć pod uwagę, że ścieżka była dość wąska – i podążyli w dół.

– A czy nim się tu zjawiłeś, długo przebywałeś w odosobnieniu? – zaciekawił się Luke.

C'baoth pokręcił z wolna głową.

– Hm… trudno powiedzieć – mruknął oględnie. – Szczerze powiedziawszy, nie przywiązywałem zbyt dużej wagi do upływu czasu. Żyłem spokojnie, rozmyślałem, medytowałem, to wszystko.

– A czy pamiętasz, kiedy tu przybyłeś? – indagował Skywalker. – To znaczy po udziale w „Locie Pozagalaktycznym”…

C’baoth powoli odwrócił się w jego stronę i zmroził go wzrokiem.

– Twoje myśli cię zdradzają, Jedi Skywalkerze – wycedził. – Szukasz potwierdzenia, że nie służyłem Imperatorowi.

Luke spokojnie wytrzymał jego spojrzenie.

– Mistrz, który mnie szkolił, twierdził, że jestem ostatnim Jedi – powiedział. – I nie liczył w ich poczet Vadera ani Imperatora.

– A ty obawiasz się, że jestem Mrocznym Jedi tak jak oni?

– A nie jesteś?

C’baoth uśmiechnął się do niego, a potem, ku zdumieniu Luke’a, zachichotał. W połączeniu z surowym, karcącym wyrazem twarzy efekt był co najmniej niepokojący.

– Och, daj spokój, Jedi Skywalkerze – parsknął. – Naprawdę wierzysz w to, że Joruus C’baoth… Joruus C’baoth! – powtórzył z emfazą – przeszedłby na ciemną stronę? – Po chwili jego uśmiech zbladł. – Imperator nie zniszczył mnie, Jedi Skywalkerze, z tej prostej przyczyny, że podczas jego panowania byłem poza jego zasięgiem. Ale potem… wróciłem. – Pokręcił stanowczo głową. – Wiesz o tym, że jest ktoś jeszcze? To znaczy oprócz twojej siostry. Nie Jedi… Jeszcze nie. Ale czułem zakłócenia w Mocy: jak fale przypływu… i odpływu.

– Tak, wiem, o kim mówisz – odpowiedział Luke. – Spotkałem ją.

C’baoth utkwił w nim spojrzenie lśniących oczu.

– Spotkałeś ją? – spytał z nadzieją.

– Cóż, przynajmniej tak mi się zdaje – poprawił się Luke. – Chyba, że jest ktoś jeszcze, kto…

– Jak się nazywa?

Skywalker zmarszczył czoło, wpatrując się w twarz starego mistrza i próbując go wysondować poprzez Moc. Było w nim coś, co mu się nie podobało.

– Przedstawiła się jako Mara Jade.

C’baoth odchylił się na oparcie siedzenia, wpatrzony niewidzącym wzrokiem gdzieś w dal.

– Mara Jade – powtórzył cicho.

– Opowiedz mi, proszę, coś więcej o tym niezwykłym projekcie, o „Locie Pozagalaktycznym” – zagadnął Luke, z determinacją wracając do poruszonej kwestii. – Wiem, że wyruszyliście z Yagi Minor w poszukiwaniu życia poza granicami naszej galaktyki. Co się stało ze statkiem i z innymi mistrzami, którzy ci towarzyszyli?

C’baoth wciąż patrzył w przestrzeń dziwnie zamglonym spojrzeniem.

– Niestety, wszyscy zginęli – powiedział w zamyśleniu. – Wszyscy. Tylko ja przeżyłem. – Spojrzał nagle ostro na Luke’a. – I… zmieniło mnie to.

– Domyślam się – powiedział współczująco Skywalker. A więc to dlatego C’baoth zachowywał się tak dziwnie… Coś się przydarzyło podczas tamtej wyprawy. – Opowiedz mi o tym.

C’baoth milczał przez długą chwilę, jednak Luke cierpliwie czekał, podskakując na wyboistej chwilami drodze.

– Nie… – odmówił wreszcie stary Jedi, kręcąc głową. – Nie teraz. Może później. – Wskazał w kierunku skutera. – Jesteśmy.

Luke rozejrzał się dookoła. W oddali widać było kilka małych chat, a w miarę jak się do nich zbliżali, spomiędzy drzew wyłaniały się kolejne. Było ich wszystkich może z pięćdziesiąt – niewielkie, schludne domki, wzniesione głównie z naturalnych budulców wzbogaconych o elementy nowocześniejszej technologii. Między nimi krzątało się około dwudziestu osób, zajętych wypełnianiem najróżniejszych obowiązków. Na ich widok większość z nich przerwała pracę, przyglądając się im z zaciekawieniem. Kierowca zatrzymał pojazd w centrum wioski, przed czymś w rodzaju tronu z polerowanego drewna, stojącym w małej, krytej kopułą altance.

– Sprowadziłem go tu z Wysokiego Zamku – wyjaśnił C’baoth, wskazując siedzisko. – Przypuszczam, że dla jego twórców był swego rodzaju symbolem władzy.

– A do czego służy teraz? – zainteresował się Luke. Zdobne krzesło zupełnie nie pasowało do sielskiej scenerii.

– Służy mi do wydawania sądów – poinformował go mistrz Jedi, wysiadając z kolaski. – Ale dziś nie będziemy się zajmować formalnościami. Chodź.

Ludzie wciąż stali bez ruchu, obserwując nowo przybyłych. Luke ruszył za C’baothem, próbując po drodze wysondować mieszkańców wioski poprzez Moc. Wyczuwał w nich ciekawość, lekkie zaskoczenie, lecz również szacunek. Nie sprawiali wrażenia zaniepokojonych, ale też nie byli zachwyceni tą niespodziewaną wizytą.

– Od jak dawna tu zaglądasz? – spytał C’baotha.

– Od jakiegoś roku – odparł stary mistrz, krocząc między chałupami. – Początkowo niezbyt chętnie przyjmowali moją mądrość, jednak w końcu… w końcu ich do siebie przekonałem.

Wieśniacy powoli wracali do przerwanych prac, nie spuszczając jednak przy tym przybyszów z oka.

– Co masz na myśli, mówiąc, że ich przekonałeś? – indagował Luke.

– Dałem im do zrozumienia, że słuchanie mnie leży w ich najlepszym interesie. – C’baoth wskazał jedną z pobliskich chat. – Wyostrz zmysły, Jedi Skywalkerze. Opowiedz mi o tym domu i jego mieszkańcach…

Luke natychmiast zorientował się, do czego zmierza mistrz Jedi. Nawet bez konieczności szczególnego skupiania się na chacie, wyczuwał napływające z jej wnętrza fale gniewu i wrogości, a nawet coś w stylu… morderczych zamiarów?

– Och! – mruknął cicho. – Czy nie powinniśmy przypadkiem…

– Oczywiście, że tak – wszedł mu w słowo C’baoth. – Chodźmy. – Podszedł do chaty i otworzył drzwi na oścież.

Skywalker postąpił za nim, trzymając dłoń na rękojeści miecza świetlnego.

Wewnątrz zastali dwóch mężczyzn, z których jeden groził drugiemu dużym nożem. Na widok niespodziewanych gości obaj zamarli…

– Odłóż nóż, Tarm – powiedział surowo C’baoth. – Svan, ty również rzuć broń.

Mężczyzna z nożem powoli położył ostrze na ziemi, a ten nazwany Svanem zerknął najpierw na mistrza Jedi, aby zaraz przenieść wzrok na rozbrojonego przeciwnika…

– Powiedziałem: rzuć broń! – warknął C’baoth.

Svan schował głowę w ramiona i pospiesznie wydobył z kieszeni niewielki miotacz pocisków, który następnie położył na ziemi obok noża.

– Teraz lepiej – pochwalił go Jedi. Głos miał spokojny, jednak wciąż pobrzmiewało w nim echo dezaprobaty. – Słucham. Wyjaśnijcie mi, proszę, co tu zaszło.

Obaj mężczyźni zaczęli jeden przez drugiego relacjonować przebieg zdarzenia, przerzucając się nawzajem oskarżeniami i próbując je jednocześnie odpierać. Z chaotycznej relacji wyłaniał się stopniowo obraz sprzeczki. C'baoth słuchał ich w milczeniu, najwyraźniej nie mając problemu ze zrozumieniem tej nieskładnej mieszaniny faktów, podejrzeń i zarzutów. Luke czekał cierpliwie u jego boku, zastanawiając się, jak też stary mistrz Jedi zabierze się do rozwiązywania tego konfliktu. O ile dobrze rozumiał, wina leżała w równym stopniu po obu stronach sporu.

W końcu jego uczestnikom skończył się zapas argumentów i pretensji.

– Doskonale – orzekł C'baoth. – Wysłuchajcie zatem werdyktu C'baotha: Svan, zapłacisz Tarmowi całą uzgodnioną wcześniej kwotę. – Skinął im kolejno głową. – Natychmiast.

Luke zerknął na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– I to… wszystko? – spytał.

C'baoth zmierzył go krytycznym wzrokiem.

– A czy chciałbyś coś dodać od siebie?

Skywalker spojrzał na wieśniaków, dojmująco świadom, że podważanie osądu mistrza Jedi w ich obecności może podkopać autorytet C'baotha.

– Ja… wydaje mi się po prostu, że można by osiągnąć coś, eee…, bliższego kompromisowi.

– Nie będzie żadnych kompromisów – stwierdził kategorycznie C'baoth. – Winę ponosi Svan i zapłaci tak, jak się należy.

– Tak, ale… – Urwał, wyczuwając poprzez Moc złe zamiary Svana na ułamek sekundy przed tym, nim mężczyzna zanurkował po miotacz. Jednym płynnym ruchem odczepił swój miecz świetlny od pasa i zapalił go… jednak C'baoth był szybszy.

Nim jeszcze zielone ostrze wysunęło się w pełni z rękojeści, mistrz Jedi podniósł dłoń i posłał w stronę uzbrojonego mężczyzny sieć błękitnobiałych wyładowań, które wyprysnęły z opuszek jego palców. Ten widok sprawił, że Luke zaczerpnął głośno tchu: pamiętał podobne błyskawice aż za dobrze…

Błękitnawa siatka oplotła pierś i głowę Svana, który wygiął plecy w łuk i runął jak długi na ziemię, krzycząc rozdzierająco z bólu. Pod wpływem drugiej fali wyładowań miotacz wypadł mu z zesztywniałych palców, opleciony niebieskawą poświatą.

Wówczas C'baoth opuścił dłoń i przez długą chwilę panującą w pomieszczeniu ciszę przerywało tylko pochlipywanie rozciągniętego na podłodze nieszczęśnika.

Luke wpatrywał się w niego, zmartwiały z przerażenia, czując, jak zbiera mu się na mdłości od przesycającego powietrze zapachu ozonu.

– C'baoth! – zawołał, jednak starzec spojrzał na niego i oświadczył tylko spokojnie:

– Powinieneś się do mnie zwracać per mistrzu.

Skywalker wziął głęboki oddech, próbując ochłonąć. Wyłączył miecz świetlny, przypiął go z powrotem do pasa i przyklęknął przy pojękującym cicho mężczyźnie. Widać było, że ten wciąż cierpi, ale poza paskudnymi czerwonymi oparzeniami na piersi i ramionach nie wydawał się poważnie ranny. Luke przywołał Moc i ostrożnie położył dłoń na oparzelinach, starając się złagodzić ból.

– Jedi Skywalkerze – powiedział z naganą w głosie C'baoth. – Nic mu nie będzie. Chodźmy.

Luke nie ruszył się jednak z miejsca.

– On cierpi.

– I słusznie – skwitował C'baoth. – Należało mu się. Potrzebował lekcji, a ból jest jedynym nauczycielem, którego słucha każdy. Chodź już, pora na nas.

Luke przez chwilę miał ochotę mu się sprzeciwić. Widział wyraźnie cierpienie w oczach Svena i wyczuwał je poprzez Moc…

– Czy wolałbyś może, żeby Tarm leżał tu, na podłodze, martwy? – dodał ostro C'baoth.

Skywalker spojrzał na niewielki miotacz, który wypadł Svanowi z dłoni, a potem na Tarma stojącego w pobliżu bez ruchu, z otwartymi szeroko oczami osadzonymi w twarzy o barwie brudnego śniegu.

– Można… można go było powstrzymać w inny sposób – zauważył cicho Luke, wstając.

– Ale wówczas nie zapamiętałby tej lekcji na dłużej. – C'baoth spojrzał mu w oczy. – Ty również ją zapamiętaj, Jedi Skywalkerze. Zapamiętaj ją dobrze. Bo jeśli pozwolisz, by zapomniano o wymierzonej przez ciebie sprawiedliwości, będziesz zmuszony powtarzać tę samą lekcję raz za razem. – Patrzył mu w oczy jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się do drzwi. – Nic tu już po nas. Chodź.

Gwiazdy lśniły już na niebie, gdy Luke otworzył furtkę w ogrodzeniu otaczającym Wysoki Zamek i opuścił dziedziniec. R2-D2 musiał zauważyć jego przybycie, bo kiedy furtka zamknęła się za plecami Skywalkera, światła lądowania X-winga rozbłysły, oświetlając mu drogę.

– Cześć, Artoo – powitał robocika, podchodząc do niskiej drabinki i ze znużeniem wspinając się do kokpitu. – Przyszedłem sprawdzić, jak się miewasz i czy ze statkiem wszystko w porządku.

Droid astromechaniczny zaćwierkał potwierdzająco, informując go, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– To dobrze – powiedział Luke, uruchamiając komputer i postanawiając sprawdzić wszystko osobiście mimo zapewnień droida. – Czy udało ci się coś namierzyć podczas skanowania?

Tym razem odpowiedź była mniej optymistyczna.

– Aż tak kiepsko, co? – Luke pokiwał z westchnieniem głową, gdy na wyświetlaczu X-winga pojawiła się przetłumaczona odpowiedź astromecha. – Cóż, tak właśnie bywa w górach.

R2-D2 zaburczał coś niewesoło, a potem ćwierknął pytająco.

– Nie wiem – wyznał Luke. – Na pewno jeszcze co najmniej kilka dni. Może dłużej, jeśli będzie nalegał. – Westchnął znowu. – Po prostu… sam nie wiem, Artoo. To znaczy kolejny raz trafiam na coś

zupełnie innego niż to, czego się spodziewałem. Gdy leciałem na Dagobah, nastawiłem się na spotkanie z wielkim wojownikiem, a znalazłem mistrza Yodę. Teraz liczyłem na to, że trafię tu na kogoś pokroju mistrza Yody, a zamiast tego… cóż, poznałem mistrza C'baotha.

R2-D2 mruknął coś niezbyt pochlebnego i Luke nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Hm, jasne, ale nie zapominaj, że pierwszego wieczoru mistrz Yoda też dał ci popalić – przypomniał robocikowi, krzywiąc się lekko w duchu na wspomnienie dawnych chwil. Podczas tamtego spotkania Yoda i jemu dał się we znaki. Wystawił na próbę cierpliwość Luke'a oraz wybadał, jak ten traktuje nieznajomych.

A Luke dał ciała, i to po całości.

R2-D2 zaświergotał dobitnie, zwracając mu uwagę na różnice dzielące oba te spotkania.

– Tak, tak, masz rację – przyznał z westchnieniem Skywalker. – Nawet gdy Yoda nas sprawdzał, nie był tak surowy i szorstki jak C'baoth.

Wsparł głowę o zagłówek fotela, wpatrując się przez otwartą owiewkę w majaczące w oddali górskie szczyty i wiszące nad nimi gwiazdy. Był zmęczony – bardziej chyba niż kiedykolwiek od czasu tamtej ostatniej, rozstrzygającej walki z Imperatorem. Tak zmęczony, że nie miał siły na nic poza przyjściem tu i sprawdzeniem, czy u R2-D2 wszystko w porządku.

– Nie rozumiem tego, Artoo – bąknął. – On… skrzywdził dziś kogoś. I to mocno. Wtrącił się nieproszony w sam środek sporu, a potem wymusił na zaangażowanych w sprzeczkę ludziach przyjęcie swojego osądu i… – Machnął bezradnie dłonią. – Po prostu nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by Ben czy mistrz Yoda mogli zachować się w ten sposób. Ale on jest Jedi, podobnie jak tamci. Za czyim przykładem mam więc pójść?

Droid milczał przez chwilę, jakby analizował jego słowa, po czym zaświergotał, tym razem z wyraźnym ociąganiem.

– Cóż, też się nad tym zastanawiałem – przyznał Luke. – Ale dlaczego Mroczny Jedi dysponujący mocami C'baotha miałby się

uciekać do takich gierek? Czy nie łatwiej byłoby mu po prostu zabić mnie i mieć problem z głowy?

R2-D2 wydał z siebie elektroniczny odpowiednik chrząknięcia i wyświetlił na ekranie listę potencjalnych powodów. Dosyć długą, co oznaczało, że mały droid poświęcił mnóstwo czasu i energii na zgłębienie tego zagadnienia.

– Doceniam twoją troskę, Artoo – zapewnił go Luke – jednak naprawdę nie sądzę, by był on Mrocznym Jedi. Jest kapryśny i zmienny, to prawda, ale nie wyczuwam od niego zła, którym emanowali Vader czy Imperator. – Wahał się przez chwilę, ale w końcu dał upust swoim najgorszym obawom, choć niełatwo było mu mówić o tym głośno: – Niewykluczone, że mistrz C'baoth jest… obłąkany.

Po raz pierwszy, odkąd Luke go poznał, R2-D2 zaniemówił. Przez chwilę ciszę przerywał jedynie cichy szelest liści strzelistych drzew otaczających Wysoki Zamek, poruszanych górskim wiatrem. Luke wpatrywał się w gwiazdy i czekał, aż R2-D2 odzyska rezon.

W końcu droid zaszczebiotał smętnie.

– Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby dojść do czegoś takiego – przyznał Skywalker, gdy na ekranie pojawiło się tłumaczenie pytania droida. – Ale mam pewien pomysł. – Splótł palce za głową, czując, jak napięcie w piersi nieco ustępuje. Miał wrażenie, że tępy ból pulsujący mu w skroniach dorównuje temu, od którego stężały mu mięśnie, jak zdarzało się czasem, gdy przesadził z treningiem. Zastanowił się przelotnie, czy może w tutejszym powietrzu było coś, czego nie wychwyciły czujniki jego X-winga. – Wiesz, nigdy ci tego nie mówiłem, ale po tym, jak Ben… zginął na pierwszej Gwieździe Śmierci, czasem słyszałem w głowie jego głos. Gdy Sojusz wycofywał się z Hoth, zacząłem go również widywać.

R2-D2 zaćwierkał.

– Tak, to właśnie z nim rozmawiałem na Dagobah – potwierdził Skywalker. – A potem, tuż po bitwie o Endor, ukazali mi się nie tylko Ben i Yoda… ale także mój ojciec. Jednak z tymi dwoma ostatnimi nigdy nie miałem potem okazji rozmawiać i nigdy ich już nie zobaczyłem. Domyślam się, że umierający Jedi może w jakiś

sposób… hm, sam nie wiem… przyłączyć się do innego Jedi, który jest w pobliżu.

R2-D2 wydawał się znów rozważać przez chwilę jego słowa w milczeniu, aby za moment wytknąć mu oczywisty błąd w rozumowaniu.

– Nie twierdzę, że to najbardziej spójna teoria w galaktyce – burknął Luke. Czuł, że zmęczenie daje mu się porządnie we znaki, bo zaczynał być poirytowany. – Może się mylę, ale jeśli nie, to niewykluczone, że pięciu innych Jedi, którzy brali udział w „Locie Pozagalaktycznym", w jakiś sposób… pozostało z mistrzem C'baothem.

R2-D2 zagwizdał z powątpiewaniem.

– Racja – westchnął smutno Luke. – Mnie obecność Bena w żaden sposób nie przeszkadzała. Tak naprawdę to żałuję, że nie rozmawiał ze mną częściej. Ale mistrz C'baoth jest znacznie potężniejszy ode mnie. Może na tym polega różnica.

Mały astromech jęknął cicho i na ekranie pojawił się komentarz wyrażający niepokój.

– Nie mogę go tak po prostu zostawić, Artoo. – Luke pokręcił ze znużeniem głową. – Nie w tym stanie. Nie, kiedy mógłbym mu jakoś pomóc. – Skrzywił się, słysząc we własnych słowach bolesne echo przeszłości. Darth Vader również potrzebował pomocy, a Luke podobnie podjął się sprowadzenia go z ciemnej strony na ścieżkę jasności… i nieomal sam przy tym zginął. „Co ja najlepszego robię? – jęknął w duchu. – Nie jestem uzdrowicielem. Dlaczego tak usilnie staram się wcielić w tę rolę?".

„Luke?".

Skywalker z trudem otrząsnął się z zamyślenia i skupił na rzeczywistości.

– Muszę już iść – westchnął, wstając. – Mistrz C'baoth mnie wzywa.

Nim wyłączył systemy statku, zdążył jeszcze przeczytać tłumaczenie pełnego niepokoju trajkotania robota, które wyświetliło się na ekranie.

– Spokojnie, Artoo – powiedział, wspierając się na uchylonej owiewce, żeby poklepać pokrzepiająco kopułkę astromecha. – Nic

mi nie będzie. W końcu jestem Jedi. A ty… Po prostu miej tu wszystko na oku, dobrze?

Droid zaświergotał żałośnie, gdy Luke zszedł po drabince i zeskoczył na ziemię. Skywalker zatrzymał się na chwilę, popatrując na domiszcze o ciemnych oknach, oświetlone jedynie blaskiem reflektorów jego X-winga, i zastanowił się, czy R2-D2 przypadkiem nie ma racji, namawiając go, by jak najszybciej opuścili to miejsce.

Nie mógł odmówić jego argumentom słuszności: on sam nie posiadał umiejętności, które pozwoliłyby mu uzdrawiać Mocą, to fakt. Pomaganie C'baothowi mogło się okazać długim i pracochłonnym procesem, nie mówiąc już o tym, że nie miał żadnych gwarancji, że zakończy się on sukcesem. Czy w sytuacji, gdy na czele Imperium stał wielki admirał zagrażający Nowej Republice, którą wciąż targały wewnętrzne konflikty, a galaktyka daleka była od stanu równowagi, naprawdę powinien poświęcać na to swój czas?

Oderwał wzrok od ponurej siedziby C'baotha i spojrzał w stronę wznoszących się w mroku górskich szczytów otaczających leżące w dole jezioro. Przykryte tu i ówdzie śnieżnymi czapami, ledwie widoczne w bladym świetle trzech maleńkich księżyców Jomarka, przywiodły mu na myśl góry Manarai, pasmo znajdujące się na południe od Imperial City na Coruscant. To skojarzenie sprawiło z kolei, że przed oczami stanęła mu pewna scena: stał na szczycie pałacu imperialnego i wymądrzał się, tłumacząc C-3PO, że Jedi nie powinien angażować się w sprawy wagi galaktycznej tak głęboko, by zapominać o losie poszczególnych istot.

Wówczas ta przemowa wydawała mu się tak wzniosła i szlachetna… Teraz miał szansę udowodnić, że nie były to tylko puste słowa.

Wziął głęboki oddech i ruszył w stronę furtki.

Rozdział 15

– Tangrene stanowiło ukoronowanie naszych działań – powiedział Bel Iblis, opróżniając ostatni kieliszek i podnosząc go nad głowę. Po drugiej stronie przestronnej, ale niemal całkiem opustoszałej kantyny barman milcząco kiwnął głową i zabrał się do przygotowywania nowych drinków. – W tamtym czasie uprzykrzaliśmy Imperium życie już od jakichś trzech lat – podjął tymczasem senator. – Braliśmy na cel pomniejsze bazy i konwoje, starając się mieszać im szyki przy każdej okazji. Ale aż do Tangrene nie przejmowali się tym zbytnio.

– Co wydarzyło się na Tangrene? – zaciekawił się Han.

– Wysadziliśmy w powietrze jedną z głównych baz inspektoratu wywiadu – poinformował go z wyraźną satysfakcją Bel Iblis. – A potem daliśmy stamtąd nogę tuż pod nosem trzech gwiezdnych niszczycieli, które miały wszystkiego pilnować. Wtedy chyba właśnie dotarło do nich, że mają do czynienia z czymś więcej niż tylko drobnym utrapieniem. Że powinni nas traktować poważnie.

– Mogę to sobie wyobrazić – mruknął Solo, kręcąc z podziwem głową. Samo namierzenie którejś z tych baz było nie lada wyczynem, a jej wysadzenie i w dodatku wymknięcie się stamtąd niepostrzeżenie… cóż, to mogło imponować. – Jakie ponieśliście straty?

– O dziwo, wszystkie pięć naszych okrętów wyszło z tego cało – odparł senator. – Oczywiście oberwało nam się porządnie, a jeden ze statków został wyłączony z wszelkich działań na niemal siedem miesięcy, ale… cóż, było warto.

– Wydawało mi się, że wspomnieliście o sześciu drednotach – wtrącił Lando.

– Zgadza się – potwierdził Bel Iblis. – Teraz mamy sześć krążowników, o jeden więcej niż wtedy.

– Jasne – bąknął Lando i na powrót zamilkł.

– A więc to po tym zaczęliście zmieniać bazy? – domyślił się Han.

Bel Iblis mierzył Landa przez chwilę nieodgadnionym wzrokiem, nim spojrzał znów na Solo.

– Zgadza się, to właśnie wówczas mobilność stała się naszym priorytetem – stwierdził. – Aczkolwiek nie można powiedzieć, byśmy wcześniej prowadzili, hm, osiadły tryb życia. To miejsce to będzie chyba… trzynasta nasza lokalizacja w ciągu ostatnich siedmiu lat. Dobrze mówię, Seno?

– Czternasta – poprawiła go kobieta. – Jeśli liczyć bazy na asteroidach Womrik i Mattri.

– Racja, czternasta – poprawił się Bel Iblis. – Zauważyliście zapewne, że każdy budynek w bazie został wzniesiony z dwustanowego materiału plastycznego o wysokiej pamięci kształtu? Dzięki temu wszystko dość łatwo jest poskładać i wrzucić do ładowni. – Parsknął śmiechem. – Choć zdarzało się, że odbijało nam się to czkawką. Na Lelmrze na przykład trafiliśmy w sam środek gwałtownej burzy. Pioruny waliły tak blisko, że wyładowania uruchomiły przerzutniki bistabilne w kilku magazynach i w centrum sterowania ogniem. Wszystkie złożyły się jak kartonowe pudła, podczas gdy w środku przebywało niemal pięćdziesiąt osób!

– Taaa, było naprawdę zabawnie. – Sena zaśmiała się z przekąsem. – Na szczęście nikt nie zginął, ale uwalnianie tych ludzi potrwało niemal do rana. W burzy.

– Na szczęście tuż przed świtem nawałnica zaczęła słabnąć – dodał Bel Iblis. – A do wieczora już nas tam nie było. Och, dziękuję.

Przy ich stoliku zjawił się kelner z nową kolejką czegoś, co Bel Iblis nazwał wykręcaczami: mieszanką koreliańskiej brandy i bardzo cierpkiego soku z jakichś owoców, których Han nie potrafił zidentyfikować. Gdyby ktoś spytał go o zdanie, odparłby, że nie spodziewał się w bazie wojskowej podobnych trunków, jednak nie zamierzał narzekać. Senator zdjął z tacy dwa drinki i podał je Hanowi oraz Senie, a potem sięgnął po kolejne…

– Ja na razie podziękuję – powiedział Lando, nim Bel Iblis zdążył postawić przed nim szklankę.

Solo zerknął na przyjaciela, marszcząc czoło. Calrissian siedział sztywno w swoim fotelu z dziwną miną, trzymając w dłoni na wpół opróżnioną szklaneczkę. Do Hana nagle dotarło, że jego przyjaciel

wciąż sączy pierwszą kolejkę – nie poprosił o dolewkę od półtorej godziny, odkąd przyprowadził ich tu Bel Iblis. Podchwycił wzrok Calrissiana i podniósł lekko brwi w niemym pytaniu. Lando odwzajemnił spojrzenie z kamienną miną, a potem opuścił wzrok i upił łyk.

– To właśnie jakiś miesiąc po Tangrene – podjął tymczasem senator – spotkaliśmy pierwszy raz Borska Fey'lyę.

Han zwrócił się ponownie w jego stronę, ogarnięty nagłym poczuciem winy. Tak bardzo wciągnęła go opowieść Bela Iblisa, że kompletnie zapomniał o celu swojej misji. Cóż, być może właśnie dlatego Lando miał taką skwaszoną minę…

– A właśnie, Fey'lya – bąknął. – Co was z nim łączy?

– Zdecydowanie mniej, niż by sobie tego życzył, możecie być tego pewni – oświadczył Bel Iblis. – Fey'lya wyświadczył nam kilka przysług w szczytowym okresie wojny i najwyraźniej jest teraz przekonany, że powinniśmy mu się odwdzięczyć.

– Jakich dokładnie przysług? – zainteresował się Lando.

– Och, to były drobiazgi – zapewnił go Bel Iblis. – Na początku pomógł nam w organizacji linii zaopatrzeniowej prowadzącej przez Nową Kowię, a gdy Imperium zaczęło w pechowym dla nas momencie kręcić się w pobliżu, wezwał na pomoc kilka krążowników. On i jego pobratymcy przekazali nam również nieco funduszy, dzięki którym mogliśmy wcześniej zakupić sprzęt, który chcieliśmy nabyć już od jakiegoś czasu. Tego typu rzeczy.

– A… jak bardzo jesteście im za to wdzięczni? – drążył temat Lando.

Bel Iblis uśmiechnął się pod nosem.

– Pyta pan, czego dokładnie chce ode mnie Fey'lya?

Calrissian nie odwzajemnił uśmiechu.

– Na początek to wystarczy – mruknął.

– Lando! – upomniał go Han.

– Nie, nie, spokojnie – odpowiedział Bel Iblis, poważniejąc. – Nim jednak odpowiem na pańskie pytanie, panie Calrissian, chciałbym dowiedzieć się czegoś o obecnym stanie władzy w Nowej Republice: jaka jest pozycja Mon Mothmy w nowym rządzie, jaki ma do niej stosunek Fey'lya i tak dalej.

– To chyba nie są tajne informacje – zauważył Han.

– Znam oficjalną wersję – odparł senator. – Chciałbym wiedzieć, jak naprawdę się sprawy mają.

Solo zerknął na Landa.

– Nie bardzo rozumiem… – rzucił ostrożnie.

Bel Iblis upił łyk swojego wykręcacza.

– Cóż, w takim razie proszę pozwolić, że będę mówił otwarcie – powiedział, przyglądając się badawczo płynowi w szklaneczce. – Co naprawdę… kombinuje Mon Mothma?

Han poczuł, że narasta w nim gniew.

– Czy tak właśnie określił to Breil'lya? – spytał ostro. – Że coś kombinuje?

Bel Iblis spojrzał na niego znad brzegu szklanki.

– Bothanie nie mają tu nic do rzeczy – powiedział cicho. – Chodzi wyłącznie o Mon Mothmę. Koniec kropka.

Han odwzajemnił spojrzenie, z trudem starając się opanować i zebrać myśli. Oczywiście on również miał wiele zastrzeżeń co do Mon Mothmy – bardzo dużą, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Począwszy od tego, że wciąż obarczała Leię nowymi obowiązkami, zamiast pozwolić jej skupić się na szkoleniu Jedi. Nie mówiąc już o innych kwestiach, którymi doprowadzała go do szału, jednak koniec końców…

– O ile mi wiadomo – powiedział spokojnie – jedyną rzeczą, jaką kombinuje, jest próba ustanowienia nowego rządu.

– Z nią samą na czele?

– A dlaczegóż by nie?

Po twarzy Bela Iblisa przemknął jakiś cień, gdy mężczyzna utkwił znów wzrok w zawartości swojej szklanki.

– Mogłem się chyba tego spodziewać – mruknął i milczał przez dobrą chwilę, po czym rozejrzał się dookoła, jakby próbował wyrwać się z ponurego nastroju. – A więc można oczekiwać, że będziecie republiką nie tylko z nazwy?

– Można tak chyba założyć – zgodził się z nim ostrożnie Han. – Ale co to ma wspólnego z Fey'lyą?

Tym razem to Bel Iblis wzruszył ramionami.

– Jest przekonany, że Mon Mothma chce zagarnąć dla siebie zbyt wiele władzy – wyznał. – Jak się domyślam, nie zgadza się pan z tą opinią?

Han wahał się przez chwilę, nim udzielił odpowiedzi:

– Nie wiem. Nie da się jednak zaprzeczyć, że to ona wszystkim kieruje, tak jak robiła to podczas wojny.

– Wojna wciąż trwa – przypomniał mu senator.

– Cóż, racja.

– A jakie byłoby, zdaniem Fey'lyi, najlepsze wyjście w tej sytuacji? – odezwał się Lando.

Bel Iblis skrzywił się przelotnie.

– Och, radca Fey'lya ma dosyć specyficzną i, trzeba przyznać, niezbyt zaskakującą wizję podziału władzy. Ale to nie powinno dziwić. W końcu jest Bothaninem. Wystarczy, że któryś z nich zwęszy michę, a zadepczą się, byle dorwać się do posiłku.

– Szczególnie w sytuacji, w której będą mogli potem trąbić na lewo i prawo, że stali po wygranej stronie – zauważył Lando. – W przeciwieństwie do innych – dodał znacząco.

Sena poruszyła się niespokojnie na swoim siedzeniu, nim jednak zdążyła coś powiedzieć, Bel Iblis powstrzymał ją machnięciem dłoni.

– Zastanawiacie się pewnie, dlaczego nie dołączyłem do Sojuszu – powiedział spokojnie. – Dlaczego zamiast tego postanowiłem toczyć wojnę z Imperium na własną rękę?

– Nie da się ukryć – stwierdził z podobnym spokojem Lando. – A przynajmniej ja chciałbym to wiedzieć.

Bel Iblis mierzył go przez chwilę taksującym spojrzeniem.

– Mógłbym podać co najmniej kilka przyczyn, które skłoniły mnie do zachowania niezależności – stwierdził wreszcie. – Na przykład względy bezpieczeństwa. Nie da się ukryć, że działania Sojuszu wymagały przepływu informacji na znaczną skalę, co przekłada się na równie duże szanse, że tajne wiadomości zostaną przechwycone przez Imperium. W pewnym momencie można było odnieść wrażenie, że co piąta rebeliancka baza upadła z powodu zaniechań ochrony newralgicznych danych.

– Cóż, mieliśmy z tym pewne problemy – przyznał niechętnie Han. – Ale koniec końców poradziliśmy sobie.

– Czyżby? – prychnął Bel Iblis. – A co z przeciekami, które, o ile mi wiadomo, nadal występują na terenie pałacu imperialnego?

– Hm, tak, wiemy o tym – potwierdził Solo, czując się niczym uczniak, który trafił na dywanik z powodu nieodrobionej pracy domowej. – Do zbadania tej sprawy został oddelegowany specjalny zespół…

– Oby więc z tego badania coś wynikło – przestrzegł ich Bel Iblis. – Bo jeśli nasze analizy imperialnej łączności są trafne, to informacje pochodzące z tego źródła… zwanego notabene Źródłem Delta, trafiają nie do kogo innego, a do samego wielkiego admirała.

– No dobrze – wtrącił Calrissian. – Mamy więc kwestię bezpieczeństwa. Chciałbym jednak poznać również inne powody.

– Ej, spokojnie! – Han spiorunował przyjaciela wzrokiem. – To nie przesłuchanie ani… – Urwał, uciszony gestem przez koreliańskiego senatora.

– Dziękuję panu, Solo, ale nie potrzebuję adwokata – powiedział Bel Iblis. – I z chęcią odpowiem na pytanie pańskiego przyjaciela… gdy tylko uznam, że nadszedł odpowiedni moment. – Spojrzał na Landa, a potem zerknął na chronometr. – Teraz jednak muszę wracać do swoich obowiązków. Robi się późno, a poza tym wiem, że od momentu lądowania nie mieliście chwili wytchnienia. Irenez poleciła dostarczyć wasze bagaże do wolnych kwater oficerskich w pobliżu lądowiska. Obawiam się, że są dość ciasne, ale mam nadzieję, że okażą się wystarczająco wygodne. – Z tymi słowy wstał. – Być może dokończymy tę dyskusję nieco później. Może przy kolacji?

Han zerknął na Landa, którego drwiąca mina wystarczała za cały komentarz odnoszący się do momentu, który Bel Iblis wybrał na przerwanie rozmowy. Na szczęście Calrissian postanowił zachować uwagi dla siebie i nie wygłaszać ich publicznie.

– W porządku – odpowiedział w imieniu ich obu Solo.

– Doskonale. – Senator uśmiechnął się do nich. – Chciałbym, by Sena mi towarzyszyła, ale po drodze wskażemy wam, jak trafić do waszych kwater. Chyba że potrzebny wam przewodnik?

– Nie, nie, znajdziemy je sami – zapewnił go Han.

– Oczywiście. Przyślę kogoś, gdy kolacja będzie gotowa. A więc do zobaczenia później.

Pokonali w milczeniu mniej więcej połowę drogi do przydzielonych kwater, gdy wreszcie Lando się odezwał:

– Miejmy to już za sobą, dobrze?

– Co takiego niby? – odburknął Han.

– Widzę przecież, że masz do mnie pretensje o to, że nie biłem czołem przed tym twoim ziomkiem, senatorem – parsknął Calrissian. – Załatwmy to i miejmy to z głowy, bo musimy poważnie porozmawiać.

Han nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

– Nie chodzi wcale o to, że miałeś się przed nim płaszczyć – burknął. – Widywałem Chewiego w kiepskim humorze i wierz mi, zachowywał się uprzejmiej niż ty przed chwilą.

– Masz rację – zgodził się Lando. – Masz ochotę jeszcze trochę się powściekać czy jesteś gotów wysłuchać moich wyjaśnień?

– To bez wątpienia będzie ciekawe – parsknął Han. – Z pewnością musiałeś mieć dobry powód, by zachowywać się jak ostatni gbur wobec byłego senatora, co?

– On nie mówi nam prawdy, Han – powiedział Lando, porzucając nagle kłótliwy ton. – A przynajmniej nie całej.

– No i…? – Han nie był jeszcze najwyraźniej w nastroju do zakończenia sprzeczki. – A kto wyśpiewuje od razu wszystko obcym ludziom?

– Pamiętaj, że to on nas tu sprowadził – przypomniał mu Calrissian. – Dlaczego miałby to robić, a potem nas okłamywać?

Han zmarszczył czoło, łypnął spode łba… i pierwszy raz mimo targającej nim wściekłości zauważył napięcie w rysach twarzy przyjaciela. Do czegokolwiek dążył Lando, traktował to śmiertelnie poważnie.

– No dobrze – westchnął ugodowo. – Co, twoim zdaniem, przed nami tai?

– Zacznijmy od tego obozu. – Calrissian wskazał pobliskie budynki. – Senator twierdzi, że w ciągu siedmiu lat przeprowadzali

się wielokrotnie. Ile? Czternaście razy. Jednak są tu znacznie dłużej niż pół roku.

Han przyjrzał się mijanym budowlom. Rzeczywiście, w miejscach, w których na zapamiętującej kształt plastikowej powierzchni powinno dać się dostrzec zagięcia, nie widać było wybrzuszeń ani zmarszczek, z kolei fundamenty wyglądały na porządnie wysłużone.

– To nie wszystko – podjął Lando. – Tamta kantyna… Czy zauważyłeś jej wystrój? Na parapetach między boksami stało kilkanaście różnych rzeźb, nie mówiąc już o mnóstwie prętów jarzeniowych… i ten cały sprzęt na ścianach! Na panelu nad barem mieli prawdziwy staroświecki wyświetlacz przekaźnika danych, a przy wejściu chronometr pokładowy i…

– Wiesz, tak się składa, że ja również tam byłem – parsknął Han, wchodząc mu w słowo. – Do czego zmierzasz?

– Do tego, że baza wcale nie wygląda na taką, którą można w mgnieniu oka spakować – dokończył cicho Lando. – A w każdym razie już tak nie wygląda. Takiego przytulnego gniazdka nie wije sobie nikt, kto wciąż przypuszcza ataki na główne bazy imperialne…

– Może postanowili po prostu na chwilę gdzieś się zaszyć – podsunął Solo. Zaczynał się czuć nieswojo, zmuszony do obrony Bela Iblisa.

– Niewykluczone – zgodził się Lando. – Ale jeśli rzeczywiście tak jest, to… dlaczego? Na co miałby tu czekać, przyczajony, ze wszystkimi tymi statkami i żołnierzami?

Han przygryzł wargę. Wiedział już, do czego zmierza jego przyjaciel.

– Sądzisz, że zawarł układ z Fey’lyą?

– Taki wniosek nasuwa się sam – westchnął ponuro Lando. – Sam słyszałeś, jak wyrażał się o Mon Mothmie. Całkiem jakby spodziewał się, że ona lada chwila obwoła się nowym Imperatorem. To może być wpływ Fey’lyi…

Han rozważał przez chwilę słowa przyjaciela. Sam pomysł wydawał mu się irracjonalny, choć nie tak niedorzeczny, jak w pierwszej chwili założył. Jeśli jednak Fey’lya sądził, że zdoła dokonać zamachu stanu za pomocą sześciu prywatnych drednotów, mogła go czekać niemiła niespodzianka.

Z drugiej strony…

– Chwileczkę, Lando. To nie ma sensu – mruknął. – Gdyby spiskowali przeciwko Mon Mothmie, to po co by nas tu ściągali?

Calrissian zacmokał z namysłem.

– Cóż, to, niestety, sugeruje najgorsze, stary druhu. A mianowicie, że ten twój kumpel senator to zwykły oszust, a my mamy do czynienia z jednym wielkim imperialnym szwindlem.

Han wytrzeszczył na niego oczy.

– Że co niby?

– Zastanów się nad tym. – Lando zniżył głos do szeptu na widok grupki umundurowanych mężczyzn, którzy skręcili zza rogu jednego z budynków i ruszyli w przeciwną stronę. – Garm Bel Iblis, rzekomo martwy już od dawna, nagle wraca z zaświatów? Ba, nie tylko żyje, ale także ma ze sobą osobistą armię? Armię, o której żaden z nas nigdy nie słyszał?

– Tak, lecz Bel Iblis nigdy nie trzymał się specjalnie na uboczu – wytknął mu Solo. – Gdy dorastałem, wszędzie pełno było jego hologramów i holonagrań. Ktoś musiałby zadać sobie naprawdę wiele trudu, by wyglądać i brzmieć jak on.

– Jasne, gdybyś miał pod ręką te nagrania, aby dokonać porównania – zgodził się Lando. – Jednak teraz możesz się opierać jedynie na wspomnieniach. W tej sytuacji stworzenie dość przekonującego sobowtóra nie byłoby wcale takie trudne. A my wiemy, że ta baza znajduje się tu na pewno ponad rok. Być może wykorzystali obóz porzucony przez kogoś innego? Zmontowanie fałszywej armii też nie powinno stanowić wielkiego problemu… w każdym razie nie dla Imperium.

Han pokręcił głową.

– Ponosi cię fantazja – prychnął. – Imperium miałoby to wszystko fingować tylko ze względu na nas?

– Może wcale nie ze względu na nas. Może chodzi o Fey’lyę, a my po prostu znaleźliśmy się w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwej porze…

Solo zmarszczył czoło.

– O Fey’lyę?

– Pewnie! – stwierdził z przekonaniem Calrissian. – Spójrz tylko: zaczęli od tej afery z kontem bankowym Ackbara. W ten sposób podkopali wiarygodność admirała i doprowadzili do sytuacji, w której jego pozycja stała się w najwyższym stopniu niestabilna. A teraz pojawia się Fey'lya, przekonany, że ma poparcie legendarnego Garma Bela Iblisa oraz jego prywatnego wojska. Bothanin sięga po władzę, a w sferach rządowych Nowej Republiki rozpętuje się chaos, zaś w tym całym zamieszaniu Imperium ukradkiem wkracza do akcji i zagarnia cały sektor czy dwa. Szybko, po cichu i bez problemu.

– Bez problemu? – parsknął ironicznie Han.

– Pamiętaj, że mamy do czynienia z wielkim admirałem – przypomniał mu Lando. – W tej sytuacji wszystko jest możliwe.

– Cóż, możliwe nie znaczy pewne – skontrował Solo. – Gdyby pogrywali w tak skomplikowaną gierkę, po co mieliby nas tu sprowadzać?

– A dlaczego nie? Nasza obecność tutaj w żaden sposób nie pokrzyżuje im planów. Wręcz przeciwnie: może im nawet nieco pomóc. Pokazują nam to wszystko, pozwalają odlecieć, my demaskujemy Fey'lyę, a wówczas Mon Mothma ściąga statki na Coruscant na wypadek zamachu stanu, do którego nie dojdzie. Jeszcze większe zamieszanie – i jeszcze więcej niechronionych sektorów, czekających tylko, aż Imperium położy na nich łapę.

Solo znów pokręcił głową.

– Wymyślasz teorie spiskowe.

– Może i tak – burknął ponuro Lando. – A może po prostu ty zbyt mocno wierzysz w ducha koreliańskiego senatora.

Dotarli już do wyznaczonej dla nich kwatery – jednego ze stojących w podwójnym szeregu niewielkich, niskich budynków, o ścianach długich na jakieś pięć metrów. Han wpisał w panel kod, który podała im Sena, i weszli do środka.

Wnętrze było skromne, a wygody ograniczone do niezbędnego minimum: był tu jeden pokój z aneksem kuchennym oraz drzwiami prowadzącymi zapewne do toalety. Większość miejsca zajmowały brązowy składany stół oraz dwa stare proste krzesła obite wyściółką

w kolorze wojskowej szarości, a także dwie prycze, które można było rozłożyć na noc po złożeniu stołu.

– Przytulne gniazdko, nie ma co – skwitował Lando.

– Na pewno można je w mgnieniu oka rozmontować, gdyby musieli się szybko zwijać – zauważył Han.

– To fakt. I właśnie mniej więcej tak powinna wyglądać też ich kantyna. Tyle tylko, że… tak nie jest.

– Może uznali, że chociaż jeden budynek nie powinien wyglądać jak żywcem przeniesiony z czasów wojen klonów? – zasugerował Solo.

– Może i tak – zgodził się z nim Lando, kucając przy jednym z krzeseł i zerkając na skraj wyściółki. – Pewnie wymontowali je z jednego z tych krążowników. Wsunął na próbę palce pod szare obicie. – Najwyraźniej nie zawracali sobie nawet głowy ich dodatkowym wyścielaniem, nim obili je tym… – Urwał nagle, a rysy twarzy wyraźnie mu stężały.

– Co jest? – spytał go Han.

Calrissian powoli odwrócił się, by spojrzeć na przyjaciela.

– To krzesło… – powiedział szeptem. – Nie jest pod spodem szare. Tylko złoto-niebieskie.

– No i…? – bąknął Han, podnosząc brwi.

– Nie rozumiesz? – mruknął Lando. – Żadne wojsko nie wykańcza swoich okrętów na złoto-niebiesko. Żadna flota tego nie robiła. Ani za czasów Imperium, ani pod rządami Nowej Republiki, ani nawet w czasach Starej Republiki. Był tylko jeden wyjątek…

– To znaczy?

Lando wziął głęboki oddech.

– Flota Katańska.

Han gapił się na niego, czując, jak pierś wypełnia mu powoli lodowaty chłód. Flota Katańska…

– Ale… to niemożliwe – bąknął. – To musi być jakaś pomyłka.

– Nic podobnego, Han. – Calrissian pokręcił głową. Wsunął palce głębiej i odsunął szare obicie dość wysoko, by jego przyjaciel mógł zobaczyć wyzierające spod spodu barwy. – Strawiłem kiedyś na poszukiwaniu Ciemnej Flotylli pełne dwa miesiące. Tu nie może być mowy o żadnej pomyłce.

Solo wpatrywał się w wypłowiały złoto-niebieski materiał, mając wrażenie, że nagle znalazł się w jakimś osobliwym, absurdalnym śnie. Flota Katańska. Ciemna Flotylla. Zaginiona pół wieku temu, teraz nagle cudownie odnaleziona?

Cóż, może i tak…

– Wiesz, że będziemy potrzebowali jakiegoś lepszego dowodu? – spytał Landa cicho. – To nie wystarczy.

Calrissian pokiwał powoli głową. On również wyglądał na wstrząśniętego.

– To by wyjaśniało, dlaczego na czas podróży nie pozwolili nam opuścić pokładu „Ślicznotki”. – Nie byliby w stanie ukryć faktu, że załoga krążownika liczy tylko dwa tysiące zamiast standardowych szesnastu. Flota Katańska.

– Musimy jakoś zakraść się na któryś z tych statków, żeby rzucić na niego okiem – zadecydował Han. – Ten kod identyfikacyjny, który przesłała Irenez… Nie da się go jakoś odzyskać?

Lando wziął znów głęboki oddech. Wyglądało na to, że powoli dochodził do siebie.

– Niewykluczone, że zdołamy go odtworzyć – powiedział. – Ale jeśli mają choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie dublowali kodu dostępu jako kodu wyjściowego. Nie sądzę jednak, żebyśmy musieli koniecznie dostawać się na pokład któregoś z tych okrętów. Wystarczy, że przyjrzę się dokładniej temu wyświetlaczowi przekaźnika danych w kantynie.

– W porządku. – Han kiwnął ponuro głową. – W takim razie nie ma na co czekać.

Rozdział 16

Powrót do kantyny zajął im zaledwie kilka minut. Po drodze Han śledził uważnie ruch pieszy i repulsorowy, licząc na to, że z uwagi na wczesną porę kantyna będzie opustoszała. Oględziny tego całego wyświetlacza mogą się okazać niełatwym zadaniem, nawet bez gromady ludzi siedzących im na karku i niemających nic lepszego do roboty od gapienia się na bar.

– Czego właściwie szukamy? – spytał, gdy budynek znalazł się w ich polu widzenia.

– Z tyłu ekranu powinny się znajdować specjalne gniazda umożliwiające podpięcie obwodów podporządkowania – wyjaśnił Lando. – A także numer seryjny.

Solo pokiwał głową. A więc będą musieli zdjąć cholerstwo ze ściany… Cudownie.

– Skąd właściwie tyle wiesz o Katańskiej?

– Tak jak ci wspomniałem, poświęciłem wiele czasu na gromadzenie informacji na jej temat. – Lando parsknął pod nosem. – Jeśli już musisz wiedzieć, to opchnęli mi fałszywą mapę jako część zapłaty, gdy handlowałem używanymi statkami. Uznałem, że jeśli oczytam się dość, by sprawiać wrażenie eksperta, może uda mi się wcisnąć ją komuś innemu i odzyskać kasę.

– I jak poszło?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Hm, chyba nie. No dobrze: przygotuj się. Czas na małe przedstawienie…

Mieli szczęście: oprócz barmana i kilku wyłączonych droidów kelnerów stojących za barem w środku było pusto.

– Witam ponownie, panowie – powiedział na ich widok uprzejmie barman. – Czym mogę służyć?

– Czymś na wynos – mruknął Han, wodząc wzrokiem po barowych półkach. Musiał przyznać, że wybór był imponujący: stało na nich co najmniej sto flaszek najróżniejszych rozmiarów

i kształtów. Solo dostrzegł też boczne drzwi, prowadzące najprawdopodobniej do niewielkiego magazynku. Cóż, to musiało im wystarczyć. – Nie macie tu może brandale Vistulo?

– Przypuszczam, że coś się znajdzie. – Barman obejrzał się na półki. – O, zgadza się.

– Jaki to rocznik? – spytał Han.

– Hm… Chwileczkę. – Barman sięgnął po butelkę. – Czterdziesty dziewiąty.

Solo zmarszczył ostentacyjnie nos.

– A nie macie przypadkiem czterdziestego szóstego? Może coś się znajdzie na zapleczu?

– Wątpię, ale sprawdzę – powiedział ugodowo barman, kierując się w stronę drzwi.

– Pójdę z panem – zaproponował Solo, nurkując pod barem i dołączając do niego. – Jeśli nie znajdzie się czterdziestka szóstka, może wybierzemy coś innego.

Barman przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę zaprotestować, jednak najwyraźniej przypomniał sobie, że widział ich już wcześniej w towarzystwie samego Bela Iblisa. Zresztą Han był już w połowie drogi na zaplecze.

– W porządku – zgodził się niechętnie.

– Doskonale – ucieszył się Solo, otwierając drzwi i gestem zapraszając mężczyznę do środka.

Nie miał pojęcia, ile czasu może zająć Landowi zdjęcie wyświetlacza ze ściany, obejrzenie go i umieszczenie z powrotem na miejscu. Uznawszy, że lepiej pograć nieco na zwłokę, przeciągnął poszukiwania odpowiedniego rocznika Vistulo na całe pięć minut, aż wreszcie zgodził się łaskawie na Kibshae rocznik 48. Gdy barman ruszył z powrotem do baru, idący za nim Han zacisnął odruchowo kciuki.

Lando stał w tym samym miejscu, w którym Solo zostawił go pięć minut temu, wsparty o kontuar, z twarzą ściągniętą grymasem napięcia.

Nic dziwnego: kilka kroków za nim, z dłonią na rękojeści blastera, stała Irenez.

– O, cześć, Irenez – przywitał ją Han, starając się wyglądać tak niewinnie, jak tylko zdołał. – Co za miłe spotkanie…

Niewinna mina nie zadziałała.

– Wygląda na to, że wcale nie takie miłe – stwierdziła cierpko kobieta. – Sena poleciła mi mieć was na oku. Czy znaleźliście już to, po co tu przyszliście?

Han zerknął na Landa, a gdy zobaczył, że ten ledwie zauważalnie skinął głową, zapewnił Irenez:

– Tak sądzę.

– Bardzo mnie to cieszy. W takim razie zapraszam na zewnątrz.

Han oddał barmanowi butelkę Kibshae.

– Zatrzymaj ją – mruknął. – Wygląda na to, że impreza odwołana.

Gdy wyszli z kantyny, czekał na nich pięcioosobowy śmigacz.

– Do środka. – Irenez wskazała na tylne drzwi.

Han i Lando posłuchali bez szemrania. Wewnątrz, na jednym z foteli pasażerów, siedziała Sena Leikvold Midanyl w dziwnie sztywnej pozie.

– Panowie – przywitała ich oficjalnie. – Siadajcie, proszę.

Han zajął miejsce i odwrócił się w jej stronę.

– Czy to już pora na kolację?

– Irenez, możemy jechać – powiedziała Sena, ignorując jego pytanie. – Zabierz nas na małą wycieczkę po obozie, nieważne którędy.

Irenez w milczeniu usiadła za sterami pojazdu i chwilę później z lekkim szarpnięciem wystartowali.

– Nie zabawiliście zbyt długo w waszej kwaterze – zauważyła Sena, zwracając się do Solo.

– Nie przypominam sobie, żeby senator nałożył na nas areszt domowy – odciął się Han.

– Nie nałożył – zgodziła się Sena. – Jednak dobrze wychowani goście powinni wiedzieć, że to niegrzeczne buszować samopas po chronionym terenie.

– Och, proszę o wybaczenie – rzucił z przekąsem Solo. – Nie wiedziałem, że wasze zapasy trunków są ściśle tajne. – Wyjrzał

przez okno. – Jeśli chcesz nas odwieźć z powrotem do naszego lokum, to jedziemy w złą stronę…

Sena przyglądała mu się przez moment w milczeniu.

– Chciałabym prosić pana o przysługę.

Była to ostatnia rzecz, którą Han spodziewał się od niej usłyszeć, więc minęła dobra chwila, nim zdołał wykrztusić:

– Jaką?

– Chciałabym, aby porozmawiał pan w moim imieniu z Mon Mothmą. I namówił ją oraz Radę, by poprosili senatora Bela Iblisa o przyłączenie się do Nowej Republiki.

Solo wzruszył ramionami. Czy naprawdę po to zadały sobie tyle trudu?

– Nie potrzebujecie specjalnego zaproszenia, jeśli chcecie się do nas przyłączyć. Wystarczy, że skontaktujecie się z kimś z Rady i zaoferujecie swoje usługi.

W policzku Seny drgnął mięsień.

– Obawiam się, że z senatorem to nie taka łatwa sprawa – westchnęła. – Chodzi nie tyle o przyłączenie się do Nowej Republiki, ile o… powrót na jej łono.

Han zerknął na Landa.

– Tak? – spytał ostrożnie.

Sena ponownie westchnęła, odwracając się lekko w stronę okna.

– To wydarzyło się dawno temu – zaczęła. – Nim jeszcze grupki toczące na własną rękę wojnę z Imperium sprzymierzyły się, tworząc Sojusz Rebeliantów. Czy dobrze znacie tamtą historię?

– Tylko z oficjalnych źródeł – odparł Han. – Mon Mothma i Bail Organa z Alderaana zwołali spotkanie przywódców trzech największych komórek i namówili ich, by zawarli przymierze. Potem wszystko nabrało rozpędu i…

– A czy wiecie, jak nazwano tamte pierwsze porozumienie?

– Oczywiście. Ochrzcili je mianem Traktatu Koreliańskiego – odpowiedział Han. – Zaraz… Koreliańskiego?

– Nie inaczej – potwierdziła Sena. – To senator Bel Iblis, nie Mon Mothma, przekonał przywódców tych grup do spotkania. A co więcej, zagwarantował im bezpieczeństwo.

Przez długą chwilę jedynym dźwiękiem słyszalnym w ciszy był szum repulsorów pojazdu.

– Co… co wydarzyło się później? – przerwał wreszcie milczenie Lando.

– Cóż, Mon Mothma zaczęła umacniać swoją pozycję – westchnęła Sena. – Senator Bel Iblis był znacznie lepszym od niej strategiem i taktykiem… lepszym niż wielu generałów i admirałów Rebelii u jej zarania. Mon Mothma jednak miała charyzmę, a także zdolność do inspirowania różnych ugrupowań i jednoczenia ich w walce o wspólną sprawę. Krok po kroku stawała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli Sojuszu, a tymczasem Bail Organa i senator coraz bardziej usuwali się w cień.

– To musiało być trudne dla kogoś takiego jak Bel Iblis – mruknął pod nosem Lando.

– O tak – potwierdziła Sena. – Musicie jednak wiedzieć, że to nie tylko duma kazała mu zrezygnować z udzielania jej bezpośredniego poparcia. Bail Organa miał duży wpływ na Mon Mothmę. Był jedną z nielicznych osób, których darzyła szacunkiem i którym ufała na tyle, by traktować ich poważnie. Po tym, jak zginął wskutek ataku Gwiazdy Śmierci na Alderaan… cóż, nie został nikt o podobnej pozycji, kto mógłby się jej postawić. Zaczęła zagarniać dla siebie coraz więcej władzy i senator zaczął ją podejrzewać o to, że chce obalić Imperatora tylko po to, by zająć jego miejsce.

– I dlatego wycofał się z Sojuszu i wszczął własną wojnę z Imperium – domyślił się Calrissian. – Wiedziałeś o tym, Han?

– Nigdy bym na to nie wpadł. – Solo pokręcił głową.

– Nie jestem tym zbytnio zaskoczona – wyznała Sena. – Czy pan by na jej miejscu nagłaśniał utratę wsparcia kogoś o statusie senatora? Szczególnie w samym środku wojny?

– Raczej nie – przyznał Han. – W tym wszystkim zaskakiwać może tylko fakt, że w jego ślady nie poszli następni. Mon Mothma miewa tendencję do bycia… hm, apodyktyczną.

– Podczas wojny również nikt nie miał wątpliwości co do tego, kto dowodzi Sojuszem – przyznał niechętnie Lando. – Sam byłem kiedyś świadkiem, jak pod wpływem jej nacisków admirał Ackbar

i generał Madine zrezygnowali z jednego ze swoich projektów tylko dlatego, że jej coś w nim nie pasowało.

Han spojrzał na Senę, tknięty nagłym przeczuciem.

– Czy to właśnie dlatego przerwaliście operacje wymierzone w Imperium? Aby przygotować się do uderzenia w Mon Mothmę, gdyby spróbowała zagarnąć dla siebie całą władzę w Nowej Republice?

– Właśnie tak – potwierdziła Sena. – Osiedliśmy tutaj, w Gnieździe Tułacza, niecałe trzy lata temu i zawiesiliśmy wszelkie działania… poza wypadami po zaopatrzenie, i zaczęliśmy opracowywać plany awaryjne. W oczekiwaniu na rehabilitację senatora i jego triumfalny powrót. – W twarzy znów drgnął jej mięsień: nerwowy tik. – I wciąż na to czekamy…

Han wyjrzał przez okno na mijane budynki, czując nagle w sercu dziwną pustkę: legendarny senator Bel Iblis… czekający na powrót do władzy, który miał nigdy nie nastąpić.

– Wiesz, że to nierealne? – spytał cicho Senę.

– Wiem. – Po chwili milczenia dodała z pewnym wahaniem: – I sądzę, że senator również to w głębi duszy przeczuwa.

– Tyle tylko, że już dawno mógł schować do kieszeni zranioną dumę i sam poprosić Mon Mothmę, by pozwoliła mu wrócić. – Han pokiwał głową. – A teraz chce, żebyśmy…

– Senator nie ma z tym nic wspólnego – weszła mu ostro w słowo. – Nie wie nawet, że z wami o tym rozmawiam. To mój pomysł. Tylko i wyłącznie.

– Jasne, jasne, rozumiem. – Solo nieco spotulniał, ale Sena pokręciła tylko głową.

– Proszę mi wybaczyć – bąknęła. – Nie chciałam tak na pana… naskakiwać.

– Nic się nie stało – zapewnił ją, ogarnięty nagłym współczuciem. Zdawał sobie boleśnie sprawę z tego, że nawet jeśli miała dobre intencje i przemawiała przez nią logika, to mimo wszystko taka inicjatywa nosiła wszelkie znamiona zdrady. Z głębi pamięci napłynęło pewne wspomnienie: wyraz twarzy Luke'a tuż przed bitwą o Yavin, gdy mieli zmierzyć się z pierwszą Gwiazdą Śmierci, przekonanego, że Han porzuci ich i zostawi na pastwę losu.

– Han… – zagadnął go cicho Lando.

Solo obejrzał się na przyjaciela, wracając do rzeczywistości. Na widok jego miny Calrissian podniósł lekko brwi, jakby chciał mu o czymś przypomnieć.

– Sądzę, że możemy zawrzeć pewien układ – zaproponował Solo, odwracając się do ich przewodniczki. – Porozmawiamy z Mon Mothmą o senatorze, a wy… opowiecie nam o Flocie Katańskiej.

Sena zamarła.

– Flocie… Katańskiej?

– Tej samej, z której pochodzi sześć waszych krążowników – dopowiedział cierpko Lando. – Nie próbuj zaprzeczać. Dobrze obejrzałem sobie ten wasz wyświetlacz nad barem w kantynie.

Sena wzięła głęboki oddech.

– Przykro mi. Nie mogę wam nic powiedzieć na ten temat.

– Dlaczego? – spytał ostro Lando. – Podobno mamy współpracować, zapomniałaś już?

Han poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz.

– Chyba że obiecaliście już te okręty Fey'lyi…

– Nic mu nie obiecywaliśmy – oświadczyła stanowczo Sena. – Chociaż rzeczywiście o nie prosił…

– A więc planuje zamach stanu. – Han się skrzywił.

– Nic podobnego – zaprzeczyła. – Fey'lya nie miałby pojęcia, jak zorganizować zamach stanu, nawet gdyby ktoś podsunął mu pod nos szczegółowy plan działań. Musicie zrozumieć, że Bothanie myślą w kategoriach wpływów politycznych i siły przekonywania, a nie potęgi wojskowej. Typowym zachowaniem Bothanina jest zdobycie jak największego poparcia, tak aby doprowadzić do sytuacji, w której słucha go jak najwięcej osób. Fey'lya jest przeświadczony, że przywrócenie senatora do służby Nowej Republice bardzo pomogłoby mu w osiągnięciu tego celu.

– Tym bardziej jeśli w pobliżu nie będzie Ackbara, który by mu się przeciwstawił? – spytał ironicznie Han.

Sena pokiwała głową.

– Niestety, to kolejna typowa cecha Bothan. Bothański przywódca, któremu powinie się noga, boi się, że natychmiast wszyscy zwalą mu się na głowę, próbując zająć jego miejsce.

Dawniej te ataki miały brutalniejszą formę: nierzadko napaści z użyciem broni. Bywało, że taki delikwent kończył zadźgany nożem. Teraz na szczęście sprowadza się to raczej do agresji werbalnej. Można to chyba uznać za postęp… – westchnęła.

– Ackbar nie jest Bothaninem – przypomniał jej Lando.

– Cóż, można to z powodzeniem odnieść do innych ras.

– Taaa, wspaniale. Mamy zaiste cudownych sojuszników – mruknął Han. – A czy takie przypadki ograniczały się tylko do sztyletowania, czy też może zdarzało się, że ktoś czasem pomagał się komuś, hm… potknąć?

– Ma pan na myśli ten transfer? – Sena pokręciła znowu głową. – Szczerze? Wątpię, by to była sprawka Fey'lyi. Bothanie z zasady nie są dość odważni, by knuć własne spiski. Zdecydowanie wolą żerować na innych.

– A więc bardziej padlinożercy niż łowcy – stwierdził kwaśno Han. Cóż, być może tłumaczyłoby to, dlaczego nigdy nie przepadał za Fey'lyą i jego ziomkami. – No to… co z nim zrobimy?

Sena wzruszyła ramionami.

– Musicie przede wszystkim oczyścić Ackbara z zarzutów. Gdy tylko zejdzie z celownika, Fey'lya powinien się wycofać.

– Cudownie – jęknął Solo. – Problem w tym, że w sytuacji, w której władzę w Imperium objął wielki admirał, możemy nie mieć dość czasu…

– A jeśli my nie będziemy go mieli, to wy również – zauważył Calrissian. – Sądzę, że najlepiej byłoby, gdyby senator schował urażoną dumę do kieszeni i stawił czoła rzeczywistości. Jesteście małą, odizolowaną grupką z dostępem do Floty Katańskiej, a Imperium szuka nowych okrętów. Gdy tylko wielki admirał dowie się, czym dysponujecie, będziecie mieli całą imperialną flotę na karku, nim zdążycie mrugnąć. Jeśli oddacie Flotę Katańską do dyspozycji Nowej Republiki… zostaniecie bohaterami. Jeżeli jednak będziecie zwlekać za długo z podjęciem decyzji, cóż… stracicie wszystko.

– Wiem o tym – zapewniła go ledwie słyszalnym szeptem Sena. – Tak naprawdę to… nie wiem, gdzie jest cała flota. Nasze krążowniki pochodzą od człowieka, który twierdzi, że natrafił na nie jakieś

piętnaście lat temu. Szczupłego, nieco poniżej średniego wzrostu… ma w sobie coś lisiego. Krótkie białe włosy i mocno pobrużdżoną twarz. Chociaż podejrzewam, że to bardziej skutki jakiejś przebytej choroby czy odniesionych ran niż oznaka wieku.

– Jak się nazywa? – spytał Han.

– Nie wiem. Nigdy nam się nie przedstawił. – Ponownie się zawahała, jednak widocznie zdecydowała, że warto zaryzykować, bo wyznała: – Wiem jednak, że uwielbia hazard. Zawsze spotykaliśmy się z nim na pokładzie „Koralowej Wandy", zazwyczaj przy stoliku do gry. Odniosłam wrażenie, że tamtejszy personel dobrze go zna. Facet szastał jednak pieniędzmi, więc to wcale nie musi o niczym świadczyć. Krupierzy potrafią rozpoznać przegrywających na pierwszy rzut oka.

– „Koralowa Wanda"? – powtórzył z namysłem Solo.

– To luksusowe podwodne kasyno na Pantolominie – wyjaśnił Lando. – Organizują trzy- i siedmiodniowe rejsy pośród raf w pobliżu północnego kontynentu. Zawsze chciałem tam zajrzeć, ale nigdy jakoś nie nadarzała się okazja.

– Cóż, to właśnie się trafia – skwitował jego przyjaciel. Zerknął na Senę. – Jak sądzę, następne pytanie powinno brzmieć: jak się tam dostaniemy?

– To nie powinno stanowić problemu – zapewniła go lekko stremowana. Może zaczynały nią targać wątpliwości? – „Tropiciel" może was zabrać z powrotem na Nową Kowię. Kiedy chcielibyście wyruszać?

– Od razu – oświadczył Han, jednak na widok miny Seny dodał prędko: – Proszę posłuchać: nieważne, kiedy odlecimy, i tak będzie się pani musiała wytłumaczyć senatorowi. Wojna z Imperium to wyścig z czasem i nawet te kilka godzin może zadecydować o wyniku.

– Chyba ma pan rację – przyznała niechętnie. – Irenez, zabierz nas do ich statku. Zajmę się odpowiednimi przygotowaniami.

Gdy dotarli do „Ślicznotki", okazało się, że żadne specjalne przygotowania nie będą konieczne. Przy trapie czekał już na nich

nie kto inny, a senator Bel Iblis.

– Witam pana, Solo. – Uśmiechnął się do Hana, kiedy wraz z Landem wysiedli ze śmigacza. – Nie było pana w pańskich kwaterach i pomyślałem, że znajdę was tutaj. Jak widać, nie myliłem się. – Zerknął nad jego ramieniem na opuszczającą właśnie pojazd kobietę, a gdy przeniósł spojrzenie z powrotem na twarz Solo, jego uśmiech znikł bez śladu. – Seno? Co tu się dzieje?

– Wiedzą o Flocie Katańskiej – wyznała cicho jego asystentka, zatrzymując się obok Hana. – I… powiedziałam im o naszym kontakcie.

– Rozumiem – skomentował powoli senator Bel Iblis. – A więc opuszczacie nas? Żeby sprawdzić, czy możecie go przekonać, aby przekazał Ciemną Flotyllę Nowej Republice?

– Zgadza się, sir – potwierdził spokojnie Solo. – Potrzebujemy tych statków… i to bardzo. Bardziej jednak trzeba nam dobrych żołnierzy… i dowódców.

Bel Iblis przyglądał mu się w milczeniu przez długą chwilę.

– Nie wrócę do Mon Mothmy jak żebrak, aby błagać, by przyjęła mnie z powrotem – oznajmił wreszcie.

– Miał pan dobre powody, by odejść – zauważył Solo. – Ale jestem pewien, że Nowa Republika przyjmie pana z otwartymi ramionami.

Senator ponownie zerknął na Senę.

– Nie – powiedział, powoli kręcąc głową. – Zbyt wiele osób wie o tym, co zaszło między nami. Wyszedłbym na głupca. Albo żebraka. – Spojrzał znów nad ramieniem Hana, powoli wodząc wzrokiem po modułowych zabudowaniach Gniazda Tułacza. – Nie mam nic, co mógłbym wnieść do Nowej Republiki – powiedział głosem, w którym pobrzmiewało coś na kształt… żalu? – Niegdyś marzyłem o flocie, która byłaby najlepszym, co Nowa Republika ma do zaoferowania. Flocie… a także serii decydujących i imponujących zwycięstw w walce z Imperium. To pozwoliłoby mi powrócić z godnością i honorem. – Potrząsnął głową. – To jednak, czym dysponujemy, ledwie można nazwać przyzwoitym oddziałem szturmowym.

– Może i tak, ale sześć drednotów to nie przelewki – zauważył trafnie Lando. – A pańskie dokonania mogą budzić jedynie słuszny

podziw. Proszę zapomnieć na chwilę o Mon Mothmie. Wszyscy w armii Nowej Republiki nie będą się posiadali z radości, gdy pan wróci.

Bel Iblis podniósł brew i spojrzał na niego.

– Cóż, może i tak. To chyba warte przemyślenia.

– Szczególnie w sytuacji, gdy władzę w Imperium sprawuje wielki admirał – wtrącił ponuro Han. – Jeśli przydybie tu pana samego… będzie po wszystkim.

Bel Iblis uśmiechnął się z przymusem.

– Owszem, biorę pod uwagę taką możliwość. Kilka razy dziennie, jeśli mam być szczery. – Wyprostował się. – „Tropiciel” odlatuje za pół godziny, aby dostarczyć Breil’lyę z powrotem na Nową Kowię. Przekażę im, by wzięli na pokład również was wraz ze „Ślicznotką”.

Han i Lando wymienili spojrzenia.

– Sądzi pan, że bezpiecznie będzie wracać teraz na Nową Kowię, sir? – spytał Solo. – Możliwe, że w pobliżu wciąż jeszcze będą się kręcili imperialni…

– Nie będą – powiedział stanowczo Bel Iblis. – Od długiego czasu przyglądam się ich działaniom i taktyce. Pomijam już fakt, że nie będą się spodziewać, że wrócicie tam tak wcześnie po tamtym ataku. Nie mogą sobie po prostu pozwolić na to, by zamarudzić zbyt długo w jednym miejscu. Nie mówiąc już o tym, że i tak mieliśmy tam lecieć. Breil’lya musi zabrać swój statek.

Solo pokiwał głową, zastanawiając się, jaki raport złoży Bothanin swojemu przełożonemu, gdy wróci na Coruscant.

– W porządku. W takim razie… chyba lepiej będzie, jeśli przygotujemy się do drogi.

– Tak. – Po chwili wahania Bel Iblis wyciągnął do niego dłoń. – Miło było pana poznać, Solo. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

– Jestem tego pewien, sir – odpowiedział Solo, ściskając mocno jego rękę.

Następnie senator skinął Landowi głową.

– Panie Calrissian – pożegnał go, a potem zabrał dłoń, odwrócił się na pięcie i ruszył przez lądowisko w stronę koszarów.

Han patrzył w ślad za nim, próbując zdecydować, czy darzy senatora większym podziwem, czy też może współczuciem. Po

chwili namysłu uznał, że to bezcelowe trwonienie czasu.

– Nasz bagaż wciąż jest w naszych kwaterach – powiedział do Seny.

– Poślę po niego, podczas gdy będziecie przygotowywali się do startu. – Spojrzała na Hana i w jej oczach zalśnił nagle dziwny ogień. – Chciałabym jednak, byście pamiętali o jednym – powiedziała dobitnie. – Pozwalamy wam stąd odlecieć bez przeszkód. Jeśli jednak przyjdzie wam do głowy zdradzić senatora… nieważne jak, jesteście martwi. Jeśli będzie to konieczne, zadbam o to osobiście.

Han wytrzymał jej spojrzenie, zastanawiając się, co może na to odpowiedzieć. Czy powinien jej przypomnieć, że nasyłano na niego łowców nagród, polowali na niego znani w całej galaktyce gangsterzy, nieraz musiał się ostrzeliwać przed szturmowcami i był torturowany na rozkaz samego Dartha Vadera? Zasugerować, że pogróżki rzucane przez kogoś takiego jak ona są w najlepszym razie śmiechu warte?

– Rozumiem – odparł jednak ze śmiertelną powagą. – Nie zawiedziemy was.

Od strony grzbietowego włazu za ich plecami dobiegł zgrzyt śluzy magnetycznej i migoczące wokół potężnego kadłuba krążownika gwiazdy przeszły w ułamku sekundy w świetlne smugi.

– No i znowu się zaczyna – westchnął z rezygnacją Lando. – Jakim cudem kolejny raz dałem ci się wplątać w coś takiego?

– Bo jesteś szanującym się obywatelem – przypomniał mu Solo, obrzucając krytycznym spojrzeniem instrumenty pokładowe „Ślicznotki”. Ponieważ silniki i większość systemów ustawiono w stan spoczynku, niewiele mieli do roboty. – A także dlatego, że równie dobrze jak ja wiesz o tym, że należy to zrobić. Prędzej czy później Imperium dowie się, że Flota Katańska została odnaleziona, i zacznie jej szukać na własną rękę. A jeśli dotrze do niej przed nami, będziemy mieli poważne kłopoty.

Tak oto utknęli na kolejne dwa dni w nadprzestrzeni, pozbawieni pola manewru, podczas gdy „Tropiciel” niósł ich pośród gwiazd ku

Nowej Kowii – nie dlatego, że chcieli tam lecieć z własnej woli, ale ponieważ Bel Iblis raczył podzielić się z nimi informacją o tym swoim Gnieździe Tułacza i…

– Martwisz się o Leię, co? – zapytał Lando.

– Nie powinienem był pozwolić jej tam lecieć – mruknął pod nosem Han. – Coś na pewno poszło nie tak. Po prostu to wiem. Ten kurduplasty obcy z pewnością wydał ją Imperium… albo cały ten wielki admirał znów nas przechytrzył… No, nie wiem, coś musiało się posypać.

– Ona potrafi o siebie zadbać, wiesz o tym, prawda? – spytał cicho Calrissian. – A z pewnością nawet wielkiemu admirałowi zdarza się czasem pomylić.

Solo pokręcił głową.

– Wystarczy, że się przeliczył na Sluis Van. Nie popełni kolejnego błędu. Założę się o „Sokoła”.

Lando klepnął go w ramię.

– Daj spokój, stary. Zamartwiając się, nic nie wskórasz. Mamy dwa długie dni. Chodź, rozegramy partyjkę sabaka.

Wielki admirał przeczytał raport dwukrotnie, a potem zwrócił lśniące czerwienią oczy na Pellaeona.

– Jest pan pewien, że te informacje są wiarygodne, kapitanie? – spytał.

– Na tyle, na ile mogę ręczyć za informacje pochodzące z innego źródła niż od naszego agenta – odparł Pellaeon. – Ponadto akurat ten przemytnik dostarczył nam w ciągu ostatnich dziesięciu lat dokładnie pięćdziesiąt dwa raporty, z których czterdzieści osiem okazało się trafnych. Tak więc odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: owszem, jestem skłonny mu wierzyć.

Thrawn spojrzał znów na czytnik.

– Endor – mruknął pod nosem. – Dlaczego akurat Endor?

– Nie mam pojęcia, sir – wyznał Pellaeon. – Może szukali nowej kryjówki?

– Pośród Ewoków? – parsknął kpiąco Thrawn. – Cóż, jeśli tak, to rzeczywiście musieli być zdesperowani. Mniejsza o to. Jeśli „Sokół

Millennium” wciąż tam jest, to musi tam również przebywać Leia Organa Solo. Zawiadom zespół nawigacji i techników, że wyruszamy tam natychmiast.

– Tak jest, sir! – Pellaeon kiwnął głową, zabierając się do wpisywania odpowiednich rozkazów. – Czy mam sprowadzić z Nystao Khabarakha?

– A, właśnie. Khabarakh – powtórzył z namysłem wielki admirał. – Proszę zauważyć ciekawą zbieżność w czasie, kapitanie. Khabarakh wraca na Honoghr po miesięcznej nieobecności, dokładnie w tym samym momencie, w którym Solo i Organa Solo wyruszają na potajemne misje na Nową Kowię i Endor. Przypadek?

Pellaeon zmarszczył czoło.

– Nie bardzo rozumiem, sir…

Thrawn obdarzył go skąpym uśmiechem.

– Sądzę, kapitanie, że jesteśmy świadkami obrania przez naszych wrogów nowej, subtelniejszej strategii. Wiedzieli, że powrót jedynego ocalałego komandosa z oddziału Noghrich wysłanych na Kashyyyk przyciągnie moją uwagę. Dlatego też zgrali w czasie jego uwolnienie z własnymi wyprawami, licząc na to, że będę zbyt zajęty, by to dostrzec. Jestem pewien, że gdyby udało nam się złamać Khabarakha, dowiedzielibyśmy się od niego wielu ciekawych rzeczy… i okazałoby się, że trwoniliśmy tylko czas i środki, bo wkrótce wyszłoby na jaw, że wszystko to wierutne bzdury. – Thrawn znowu parsknął. – O nie. Niech zostanie tam, gdzie jest. Może pan poinformować dynastów, że zezwalam na pełne siedem dni publicznej hańby, po których upływie mogą przeprowadzić według uznania swoje próby prawdy. Nawet jeśli wszystko, co powie Khabarakh, okaże się bezużyteczne, to może się on przysłużyć Imperium, umierając w mękach. To będzie bardzo pouczająca lekcja dla jego rasy.

– Tak jest, sir. – Pellaeon wyraźnie się zawahał, nim dodał: – Jeśli mogę jednak coś zauważyć, to… tego typu drastyczne metody prania mózgu i indoktrynacji są raczej obce rebeliantom…

– Owszem – potwierdził ponuro Thrawn. – Co tym bardziej sugeruje, że czegokolwiek Organa Solo szuka na Endorze, jest to dla Rebelii zdecydowanie ważniejsze niż zwykłe schronienie.

Pellaeon ponownie zmarszczył czoło, starając się przypomnieć sobie, czy na lesistym księżycu może się znajdować coś przydatnego.

– Może jakiś… sprzęt pozostawiony tam podczas budowy Gwiazdy Śmierci? – zaryzykował.

– O nie. To musi być coś cenniejszego. – Wielki admirał pokręcił głową. – Być może jakieś informacje, w których posiadaniu Imperator był w chwili śmieci? Coś, co mogliby nadal odzyskać…

Nagle Pellaeona olśniło:

– Lokalizacja skarbca w górze Tantiss!

Thrawn kiwnął głową.

– To jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, a która mogłaby być warta takiego zachodu z ich strony. Tak czy inaczej, nie możemy ryzykować. A przynajmniej nie w tej chwili – dodał.

– Tak jest. – Z pulpitu Pellaeona dobiegło piśnięcie: sygnał gotowości od zespołu nawigacji i techników. – Kiedy ruszamy?

– Na pański rozkaz, kapitanie.

Pellaeon skinął obsłudze mostka głową.

– Lecimy. Kurs ustalony przez nawigację.

Widniejąca za iluminatorami planeta zaczęła już maleć w oczach, gdy nagle na mostku rozległa się cicha melodia, sygnalizująca nadejście priorytetowej wiadomości. Kapitan Pellaeon wywołał ją na ekran i przebiegł szybko wzrokiem nagłówek.

– Panie admirale? Nadszedł raport z „Adamanta” z układu Abregado. Zatrzymali jeden z frachtowców Talona Karrde’a. Za chwilę będziemy mieli raport ze wstępnego przesłuchania. – Z lekkim zdumieniem zerknął na dół ekranu. – Jest… hm, dość krótki, sir.

– Dziękuję – mruknął Thrawn z dziwną satysfakcją w głosie, po czym wyświetlił raport na własnym monitorze.

Gdy „Chimaera” wykonywała skok w nadprzestrzeń, wielki admirał był wciąż zatopiony w lekturze – czytał bardzo, ale to bardzo uważnie.

Rozdział 17

Mara nigdy wcześniej nie była w kosmoporcie Abregado-rae, ale przechadzając się uliczkami miasta, doszła do wniosku, że miejsce to zasłużyło sobie na reputację zadupia galaktyki, na jaką z takim trudem starało się zapracować.

Nie żeby widać to było na pierwszy rzut oka – wprost przeciwnie. Pierwsze wrażenie sugerowało, że to miejsce jest miłe i wręcz przesadnie wysprzątane. Lśniło tym rodzajem czystości, który aż krzyczy, że został narzucony dekretem rządowym i nie płynie ze szczerych potrzeb mieszkańców. Jak na kosmoport było tu również względnie spokojnie, bo wszędzie aż roiło się od umundurowanych służb ochrony patrolujących uliczki w pobliżu lądowisk.

Nietrudno było jednak zauważyć, że spod powierzchni tego uroczego obrazka wyzierają połacie zgnilizny. Widać to było w spłoszonych ruchach przemykających ukradkiem przechodniów, w pozornie tylko pewnym siebie zachowaniu funkcjonariuszy, a także w zamglonych, nieprzytomnych spojrzeniach jednych i drugich. Nie trzeba było specjalnej przenikliwości, by dostrzec, że porządek w kosmoporcie – a może i na całej planecie – utrzymywany był wyłącznie dzięki przemocy i strachowi.

Z całości wyłaniał się smutny obraz totalitarnego reżimu oraz jego poddanych, desperacko pragnących się stąd wyrwać. Miejsca, w którym każdy zdradziłby każdego bez wahania w zamian za bilet na odlatujący stąd statek. Gdyby zatem ktokolwiek z tubylców zorientował się, że tuż pod nosem służb bezpieczeństwa stoi sobie przemytniczy frachtowiec, Mara nie zdołałaby ujść dziesięciu kroków, a już miałaby poważne problemy.

Idąc w stronę wyblakłych drzwi, nad którymi umieszczono równie wypłowiały szyld z nazwą „Lądowisko 21”, mogła mieć tylko nadzieję, że to nie pułapka. Naprawdę nie miała ochoty ginąć w miejscu takim jak to.

Okazało się, że wrota nie są zablokowane. Wzięła głęboki oddech, dojmująco świadoma obecności dwóch stojących w pobliżu umundurowanych funkcjonariuszy, i weszła do środka…

Z ulgą powitała widok dokującego wewnątrz „Eterycznego Szlaku” – tak samo odrapanego i poobijanego jak w chwili, gdy Fynn Torve musiał porzucić go na lądowisku sześćdziesiąt trzy w tym samym kosmoporcie. Obrzuciła statek szybkim spojrzeniem, równie pospiesznie zlustrowała wszystkie pobliskie zakamarki, w których mogliby się czaić uzbrojeni napastnicy, aż wreszcie skupiła wzrok na ciemnowłosym, młodym mężczyźnie rozciągniętym niedbale na krześle stojącym obok opuszczonego trapu frachtowca. Nawet mimo jego niedbałej pozy nie dało się nie zauważyć emanującej od niego aury służbistości, sugerującej, że ma się do czynienia z wojskowym.

– Ach, witam! – zawołał do niej, opuszczając na kolana datapad, na którego ekranie akurat coś czytał. – Ładny dzień na latanie. Czy chciałaby pani może wynająć statek?

– Nie – rzuciła, strzelając dookoła oczami. – Mam raczej ochotę na małe zakupy. Czym właściwie jest to latające pudło na kapelusze?

– To Harkners-Balix Dziewięćset Trzy – oznajmił młody człowiek, starając się sprawiać wrażenie urażonego. – Pudło na kapelusze? Też coś! – Nie był zbyt przekonujący, jednak bez dwóch zdań starał się wczuć w rolę.

Zacisnąwszy zęby, Mara przeklęła w duchu Torve’a za pomysł odstawienia tej niedorzecznej szopki z identyfikacją.

– Serio? Wygląda mi bardziej na dziewięćset siedemnastkę – oświadczyła zgodnie z ustalonym scenariuszem. – Albo nawet na dziewięćset dwudziestkę dwójkę.

– Ależ skąd! – zapiał z oburzeniem młodzieniec. – Może mi pani wierzyć. Mój wujaszek produkował do nich podkładki do goleni lądowniczych. Zapraszam na pokład. Pokażę pani różnicę.

– Och, dziękuję uprzejmie – mruknęła Mara pod nosem, wspinając się za nim po trapie.

– Cieszę się, że wreszcie dotarłaś – rzucił przez ramię mężczyzna, gdy zatrzymali się u szczytu trapu. – Już zaczynałem się bać, że cię

złapali.

– Niewykluczone, że tak właśnie się stanie, jeśli się nie zamkniesz – odwarknęła rozeźlona Mara. – Odrobinę ciszej, jeśli łaska…

– Spokojnie – zapewnił ją. – Wysłałem wszystkie wasze droidy typu MSE do czyszczenia kadłuba od wewnątrz. Nikt nie powinien nas podsłuchiwać.

Cóż, teoretycznie powinien mieć rację, jednak w praktyce… jeśli miejscowi mieli to miejsce na oku, i tak oboje byli już pewnie w opałach.

– Czy miałeś jakieś problemy z odzyskaniem statku? – spytała go.

– Nie. Administracja kosmoportu początkowo kręciła nosem, ale koniec końców nie wnikała jakoś specjalnie. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Choć sądzę, że mogła mieć na to jakiś wpływ sowita łapówka, którą im wręczyłem. Tak przy okazji, jestem Wedge Antilles, przyjaciel kapitana Solo.

– Miło mi cię poznać – mruknęła Mara. – Solo nie mógł się zjawić osobiście?

Antilles pokręcił głową.

– Musiał odlecieć z Coruscant. Miał do odbębnienia jakąś misję specjalną, więc poprosił mnie, żebym wydostał dla was ten statek. I tak otrzymałem przydział do eskorty kilka układów stąd, więc było mi właściwie po drodze.

Mara obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Sądząc po budowie ciała i zachowaniu…

– Pilot B-winga? – zaryzykowała.

– X-winga – poprawił ją. – Muszę wracać, nim mój konwój skończy załadunek. Chcesz, żebym cię eskortował, gdy będziesz stąd odlatywać?

– Nie, dzięki – wymamrotała, opierając się chęci wygłoszenia jakiejś sarkastycznej uwagi. Pierwszą zasadą w branży przemytniczej było możliwie jak najmniej rzucać się w oczy, zaś opuszczanie trzeciorzędnego kosmoportu w towarzystwie lśniącego X-winga Nowej Republiki raczej się nie kwalifikowało do tej kategorii zachowań. – Podziękuj ode mnie Solo.

– Jasne. A, jeszcze jedno – dodał, gdy go mijała. – Han pytał, czy wasi ludzie nie chcieliby sprzedać informacji na temat waszego

wspólnego przyjaciela… tego z *oczami* – dodał znacząco.

Mara spojrzała na niego czujnie.

– Naszego „przyjaciela z oczami”?

Antilles wzruszył ramionami.

– Tylko tyle powiedział. Twierdził, że będziesz wiedziała, o co chodzi.

Wydęła pogardliwie usta.

– Tak, wiem, co miał na myśli. Powiedz mu, że przekażę wiadomość.

– W porządku – odparł, a po chwili wahania dodał jeszcze: – Odniosłem jednak wrażenie, że to coś ważnego i…

– Powiedziałam, że przekażę jego wiadomość.

Wedge wzruszył znów ramionami.

– Jasne. Wykonuję tylko swoją pracę! Miłej podróży. – Kiwnąwszy jej przyjaźnie głową, zszedł po trapie.

Mara, wciąż nieufna i na wpół przekonana, że to pułapka, uszczelniła właz i ruszyła do sterowni.

Przygotowania do lotu zajęły jej kwadrans. Ledwie je ukończyła, kontrola lotów poinformowała ją, że ma pozwolenie na start. Aktywowała wówczas repulsory i podniosła statek z lądowiska, kierując się ku przestrzeni kosmicznej.

Osiągnęła mniej więcej pułap lotu pozwalający na włączenie silników podświetlnych, gdy poczuła na karku dziwne mrowienie…

– Oho… – mruknęła pod nosem, obrzucając szybkim spojrzeniem ekrany. Nie dostrzegła nic niepokojącego, jednak tak blisko planety o niczym to nie świadczyło. Tuż za horyzontem mogło się czaić dosłownie wszystko: od eskadry myśliwców TIE aż po gwiezdny niszczyciel.

Cóż, może nie byli jeszcze gotowi…

Przekierowała do silników pełną moc, czując, jak przyspieszenie wgniata ją w oparcie fotela na kilka sekund, nim kompensatory poradziły sobie z jego zniwelowaniem. Z głośników statku rozbrzmiał pełen oburzenia głos kontrolera lotów, jednak zignorowała go i włączyła komputer pokładowy, modląc się w duchu, by Torve zastosował się do standardowej procedury, z której korzystała grupa Karrde’a, gdy lądował na Abregado…

Okazało się, że na szczęście tak. Na ekranie pojawiły się obliczone już współrzędne skoku, czekające tylko na potwierdzenie. Uruchomiła sekwencję wprowadzania drobnych poprawek na okoliczność zmian, które zaszły w ciągu kilku ostatnich miesięcy, a potem wyjrzała przez przedni iluminator.

Na wprost jej statku zza horyzontu wyłaniał się właśnie potężny klin gwiezdnego niszczyciela typu Victory – lecącego wprost na nią.

Przez chwilę, która wydawała jej się wiecznością, siedziała jak sparaliżowana, podczas gdy jej myśli krążyły jak oszalałe. Mimo to przez cały ten czas zdawała sobie boleśnie sprawę z tego, że jakiekolwiek próby znalezienia wyjścia z tej sytuacji są daremne. Ktokolwiek dowodził niszczycielem, w wyjątkowo przemyślny sposób zaplanował przechwycenie jej statku. Zważywszy na ich wzajemne wektory podejścia, a także położenie „Eterycznego Szlaku" względem planety, nie miała szans unikać ostrzału i promieni ściągających okrętu dostatecznie długo, by zdołała skoczyć w nadświetlną. Przelotnie mamiła się myślą, że być może Imperium nie zasadziło się tu wcale na nią, tylko zastawiło pułapkę na tego całego Antillesa, który wciąż jeszcze przebywał na Abregado, jednak szybko pozbyła się złudzeń. Gdyby to rzeczywiście o niego chodziło, nie ściągaliby tu z powodu jednego pilota X-winga niszczyciela typu Victory… A gdyby nawet, to bez dwóch zdań nie pozwoliliby sobie na przedwczesne spłoszenie go, zjawiając się tu nie w porę.

– Frachtowcu „Eteryczny Szlak" – rozbrzmiał w głośnikach beznamiętny głos. – Tu gwiezdny niszczyciel „Adamant". Wyłącz silniki i przygotuj się do przejęcia.

A więc jednak… Rzeczywiście to jej szukali. Za kilka minut będzie ich więźniem.

Chyba że…

Sięgnęła do pulpitu i włączyła mikrofon.

– Gwiezdny niszczyciel „Adamant", tu „Eteryczny Szlak" – zgłosiła się z naciskiem. – Gratuluję wam czujności. Już się bałam, że będę musiała przeszukać najbliższe pięć układów, aby namierzyć jakiś statek Imperium.

– Wyłącz pola osłon i… – Członek załogi niszczyciela przerwał w pół zdania wygłaszanie standardowej formułki, gdy poniewczasie dotarło do niego, że odpowiedź osoby, która zasiadała za sterami frachtowca, nie brzmi jak słowa, jakie powinny paść z ust kogoś, kto już wkrótce zostanie pochwycony przez Imperium…

– Gdy tylko znajdę się na pokładzie waszego okrętu, chciałabym mówić z kapitanem – dodała Mara, wykorzystując chwilowe milczenie rozmówcy. – Chcę, aby zorganizował mi spotkanie z wielkim admirałem Thrawnem i zapewnił transport na „Chimaerę", gdziekolwiek się w tej chwili znajduje. I pospieszcie się z tym promieniem ściągającym. Naprawdę nie mam ochoty lądować tą balią w waszym hangarze…

Jej kompletnie skołowany rozmówca spróbował ponownie:

– Eee… frachtowiec „Eteryczny Szlak"…

– Ach, po namyśle proszę jednak o natychmiastowe połączenie mnie z kapitanem – nie dała mu dokończyć Mara. Teraz, gdy przejęła inicjatywę, zamierzała przeciągać to najdłużej, jak się da. – W pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchać naszą rozmowę.

Odpowiedziała jej cisza. Mara nie zmieniła kursu, chociaż w górę kręgosłupa zaczęły jej pełznąć nieprzyjemne dreszcze wątpliwości. Stłumiła je jednak szybko, powtarzając sobie w myśli, że to jej jedyna szansa.

– Tu kapitan „Adamanta" – dobiegł wreszcie z głośnika nowy głos. – Kim jesteś?

– Kimś, kto ma ważne informacje dla wielkiego admirała Thrawna – odpowiedziała Mara, zabarwiając swój głos odrobiną wyniosłości. – W tej chwili to wszystko, co musi pan wiedzieć.

Kapitan jednak nie dał się zbić z tropu tak łatwo jak młodszy oficer.

– Och, czyżby? – spytał beznamiętnie. – Z naszych źródeł wynika, że należysz do grupy przemytniczej Talona Karrde'a.

– A pan nie wierzy, że ktoś taki mógłby być w posiadaniu informacji przydatnych dla wielkiego admirała? – parsknęła, pozwalając, by do jej głosu wkradły się lodowate nuty.

– Och, ależ wierzę – zapewnił ją kapitan. – Nie widzę po prostu powodu, dla którego miałbym zawracać mu głowę standardowym

przesłuchaniem…

Mara zacisnęła lewą dłoń w pięść. Za wszelką cenę musiała uniknąć gruntownego sondowania, jakie najwyraźniej miał na myśli kapitan.

– Cóż, jeśli mogę coś zasugerować, odradzałabym to panu – oświadczyła, starając się nadać własnym słowom na wpół zapomniane już brzmienie, zapewniające jej posłuch i szacunek. Brzmienie kogoś z najbliższego otoczenia Imperatora. – Wielki admirał będzie bardzo, ale to bardzo niezadowolony. Podkreślam: bardzo, ale to bardzo.

Na chwilę zapadła znów cisza. Najwyraźniej do kapitana zaczynało docierać, że lekceważąc ją, trochę się chyba przeliczył. Nie był jednak jeszcze gotów dać za wygraną.

– Otrzymałem rozkazy – oznajmił stanowczo. – Potrzebuję czegoś więcej niż tylko niejasnych aluzji, nim będę skłonny od nich odstąpić.

Mara zacisnęła zęby. A więc to by było tyle… Po wielu latach ukrywania się przed Imperium – a właściwie przed wszystkimi – ta chwila nadeszła.

– W takim razie prześlij wielkiemu admirałowi wiadomość – powiedziała powoli. – Przekaż mu, iż kod rozpoznawczy brzmi: Hapspir, Barrini, Corbolan, Triaxis.

Nastała znów chwila ciszy i do Mary dotarło, że być może zdołała go wreszcie przekonać.

– A jako kogo mam panią przedstawić? – spytał kapitan. W jego głosie dał się teraz słyszeć szacunek.

Pokład „Eterycznego Szlaku” drgnął pod jej stopami, gdy frachtowiec został pochwycony przez promień ściągający „Adamanta”. Teraz nie było już odwrotu. Musiała jakoś przez to wszystko przebrnąć…

– Przekaż mu – rzuciła do mikrofonu – że znał mnie jako Rękę Imperatora.

Po przejęciu „Eterycznego Szlaku” z pewnym skrępowaniem, ale i z szacunkiem imperialni oddali do jej dyspozycji jedną z kwater

starszych oficerów, a potem pognali na łeb na szyję, byle dalej od Abregado, niczym mynock z podkulonym ogonem.

Resztę dnia i całą noc spędziła samotnie w swojej kajucie – nienagabywana przez nikogo. Posiłki dostarczał jej droid służący SE4. Poza chwilami, gdy wchodził i wychodził, drzwi pozostawały zamknięte. Nie wiedziała, czy to przymusowe odosobnienie to skutek zarządzenia kapitana, czy też może rozkaz został wydany przez kogoś wyżej postawionego. Tak czy inaczej, miała przynajmniej czas na przygotowanie planu.

Nie była w stanie w żaden sposób stwierdzić, dokąd się kierują, jeśli jednak sądzić po odgłosie maksymalnie obciążonych silników, można było ostrożnie założyć, że lecą z prędkością zdecydowanie przekraczającą standardowe tempo kursowe niszczycieli typu Victory. Niewykluczone, że osiągnęli już prędkość wynoszącą pięć, co oznaczałoby, że pokonywali sto dwadzieścia siedem lat świetlnych w ciągu godziny. Przez chwilę zabijała nudę, starając się zgadnąć, do jakiego układu gwiezdnego mogą lecieć, jednak w miarę upływu czasu i zwiększającej się liczby możliwości, jakie przychodziły jej do głowy, porzuciła tę wątpliwą rozrywkę.

Dwadzieścia dwie godziny po opuszczeniu Abregado dotarli do punktu docelowego. Jak się okazało, było to ostatnie miejsce, które Mara była gotowa uwzględnić w swoich rachubach. A przynajmniej ostatnie w galaktyce, w jakim chciałaby się znaleźć. Miejsce, w którym jej wszechświat rozpadł się na kawałki i zginął gwałtowną, nagłą śmiercią.

Endor.

– Wielki admirał czeka na panią – oznajmił dowódca oddziału szturmowców, wycofując się na korytarz i dając jej gestem znak, by szła przodem.

Mara zerknęła na noghryjskiego ochroniarza, pełniącego wartę po drugiej stronie drzwi, i wyszła z kajuty.

– Ach – dobiegł ją znajomy głos. Dochodził z okolic stanowiska dowodzenia na środku pomieszczenia. Wielki admirał Thrawn zasiadał w fotelu ustawionym przed podwójnym rzędem monitorów.

Ubrany w lśniący nieskazitelną bielą mundur, wpatrywał się w nią pałającymi czerwienią oczami. – Zapraszam panią.

Mara nie ruszyła się z miejsca.

– Dlaczego sprowadził mnie pan nad Endor? – spytała ostro.

Błyszczące oczy zwęziły się w szparki.

– Słucham?

– Słyszał pan, co powiedziałam – warknęła. – Nad Endor, do miejsca, w którym zginął Imperator. Dlaczego wybrał pan na spotkanie akurat tę planetę?

Admirał milczał przez chwilę, rozważając w myśli jej słowa.

– Proszę podejść bliżej, Maro Jade. – W jego głosie pobrzmiewało echo władczości, na którego dźwięk posłusznie ruszyła w jego stronę, nim jeszcze dotarło do niej, co robi.

– Jeśli to ma być jakiś żart, to jest zdecydowanie w złym guście – wycedziła. – A jeżeli chodzi o test… to proszę bardzo, miejmy to już za sobą.

– Cóż, nie zgadła pani. Nie chodzi ani o jedno, ani o drugie – zapewnił ją Thrawn, gdy zatrzymała się na skraju zewnętrznego szeregu wyświetlaczy. – Wybrałem je z powodów zupełnie z panią niezwiązanych. – Podniósł lekko granatowoczarną brew. – Czy może raczej nie do końca z panią związanych. Stopień tej zależności wkrótce się wyjaśni, jak sądzę. Proszę mi powiedzieć: naprawdę wyczuwa tu pani obecność Imperatora?

Mara wzięła głęboki oddech, czując w płucach dziwnie dotkliwy, a jednocześnie bliżej nieokreślony ból. Czy Thrawn widział, że ona cierpi, przebywając w tym miejscu? Tak wciąż pełnym wspomnień? A jeśli nawet, to czy rzeczywiście go to obchodziło?

Cóż, najwyraźniej w jakiś sposób ją przejrzał. Widziała to wyraźnie w jego spojrzeniu. Nie miało jednak znaczenia, co sobie o niej myślał.

– Wyczuwam… ślad jego śmierci – wyjaśniła najlepiej, jak umiała. – Nie jest to przyjemne doznanie. Załatwmy to szybko, nie chcę pozostawać tu dłużej niż to naprawdę konieczne.

Wargi drgnęły mu lekko. Być może w reakcji na wyrażone domniemanie, że pozwoli jej opuścić pokład „Chimaery”.

– Oczywiście. Zacznijmy więc może od potwierdzenia pani tożsamości.

– Przekazałam kapitanowi „Adamanta” kod rozpoznawczy wysokiego priorytetu – przypomniała mu.

– I właśnie dlatego jest pani teraz tutaj, a nie w celi – odparował Thrawn. – Kod sam w sobie niczego jeszcze nie dowodzi.

– W porządku zatem – syknęła. – Spotkaliśmy się jeden jedyny raz, podczas uroczystego otwarcia nowego Skrzydła Zgromadzeń w pałacu imperialnym na Coruscant. W trakcie ceremonii Imperator przedstawił mnie panu jako Liannę, jedną ze swoich ulubionych tancerek. Nieco później, na przyjęciu dla wybranych, ujawnił panu moją prawdziwą tożsamość.

– A z jakiej okazji zorganizowano to przyjęcie?

– Z okazji nadania panu potajemnie rangi wielkiego admirała.

Thrawn zasznurował wargi, patrząc jej prosto w oczy.

– Na obu uroczystościach miała pani na sobie białą suknię – powiedział. – Ozdobioną, oprócz pasa, tylko jednym klejnotem. Czy pamięta pani, co to było?

Wróciła pamięcią do tamtych chwil.

– Mała przypinka – odparła z namysłem. – Spinała suknię na lewym ramieniu. O ile dobrze pamiętam, pochodziła z Xyquine.

– Zgadza się. – Thrawn sięgnął do pulpitu kontrolnego, wcisnął jakiś przycisk i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pomieszczenie wypełniły setki hologramów przedstawiających brosze umieszczone na zdobnych kolumienkach. – Ta ozdoba znajduje się pośród nich. Proszę ją wskazać.

Mara przełknęła ślinę, obracając się powoli wokół własnej osi i przyglądając klejnotom. Jako tajna agentka Imperatora w roli członkini jego świty nosiła podczas niezliczonych okazji równie nieprzebraną liczbę eleganckich sukni. Przypomnienie sobie, jak dokładnie wyglądała ta konkretna ozdóbka…

Potrząsnęła głową, starając się oczyścić umysł i pozbyć nieznośnego pulsowania, które zaczynało narastać w jej skroniach. Dawniej miała doskonałą pamięć, którą szkolenie Imperatora jeszcze wyostrzyło. Ostrożnie ujmując w ryzy własne myśli i walcząc

jednocześnie z napełniającą ją niepokojem atmosferą tego feralnego miejsca, spróbowała się maksymalnie skupić…

– To była ta – powiedziała, wskazując na misterną złotą plecionkę z błękitnymi paciorkami.

Thrawn zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, jednak wydawało się, że odrobinę się rozluźnił.

– A więc witaj ponownie, Ręko Imperatora. – Dotknął znów przycisku i holograficzna galeria sztuki zniknęła. – Powrót na łono Imperium zajął ci dużo czasu. – Zatopił spojrzenie lśniących oczu w jej twarzy.

Mara widziała w nich niewypowiedziane pytanie, którego mogła się spodziewać.

– Do czego miałam wracać? – warknęła. – Kto poza wielkim admirałem mógłby wiedzieć, kim naprawdę jestem?

– Czy to jedyny powód?

Zawahała się, ale w porę rozpoznała ukryty haczyk. Thrawn stał na czele Imperium już ponad rok i chciał wiedzieć, z czego wynikała jej zwłoka w pojawieniu się w jego progach.

– Były też… inne powody – wyznała. – Nie chciałabym jednak teraz ich wyjawiać.

Rysy twarzy mu stwardniały.

– Och, czyżby? Jak się domyślam, nie masz ochoty wyjaśniać mi, dlaczego pomogłaś Skywalkerowi w ucieczce z bazy Talona Karrde'a?

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

Mara wzdrygnęła się, gdyż przez jeden mrożący krew w żyłach moment nie miała pojęcia, czy głos był rzeczywisty, czy też słyszała go tylko w swojej głowie. Dziwny szum w uszach przybrał na sile i przez chwilę niemal widziała pooraną bruzdami zmarszczek twarz Imperatora, wpatrującego się w nią natarczywie. Gdy obraz przed jej oczami się wyostrzył, wszystko poza nim zaczęło niknąć.

Zaczerpnęła znów głęboko tchu, zmuszając się do zachowania spokoju. Nie mogła pozwolić, by ta wizja wytrąciła ją z równowagi. Nie tutaj, nie w obecności wielkiego admirała…

– To nie ja umożliwiłam Skywalkerowi ucieczkę.

– I nie byłaś w stanie go zatrzymać? – Thrawn podniósł znów brew. – Ty, Ręka Imperatora?

– Byliśmy na Myrkr – przypomniała mu z naciskiem. – Na planecie pełnej isalamirów. – Zerknęła ponad jego ramieniem na futrzaste zwierzę usadowione na specjalnym stelażu za jego plecami. – Chyba pamięta pan, jaki wpływ wywierają one na Moc.

– Ależ doskonale zdaję sobie z tego sprawę – zapewnił ją. – Jeśli chodzi o ścisłość, to właśnie ta ich ciekawa właściwość jest dowodem na to, że Skywalkerowi ktoś pomógł. Chciałbym tylko ustalić, czy była to pani, sam Karrde, czy też ktoś inny z jego grupy.

„Abyś mógł celnie wymierzyć zemstę" – uzmysłowiła sobie, patrząc mu prosto w oczy. Teraz pamiętała już, dlaczego Imperator mianował go wielkim admirałem. O, tak.

– Nie ma znaczenia, kto jest za to odpowiedzialny – warknęła. – Jestem tu, by zawrzeć z panem układ, który wyrówna rachunki.

– Zamieniam się w słuch – odparł Thrawn z nieprzeniknioną miną.

– Chciałabym, aby zaprzestał pan nękania Karrde'a i jego organizacji. Aby anulował wysłany za nami list gończy, a także odwołał rozkaz ścigania nas wydany członkom sił imperialnych na wszystkich kontrolowanych przez was światach. – Zawahała się, jednak uznała po krótkim namyśle, że warto zagrać *va banque*. – Chcę też, aby przekazał pan na rzecz Karrde'a kwotę w wysokości trzech milionów kredytów, przeznaczoną na zakup imperialnych dóbr i usług.

– Och – bąknął z lekkim rozbawieniem Thrawn. – Obawiam się, że Skywalker nie jest dla mnie aż tyle wart. Czy może chciałaby mi go pani przekazać w pakiecie razem z Coruscant?

– Nie proponuję panu Skywalkera ani Coruscant – warknęła. – Tylko Flotę Katańską.

Rozbawienie znikło bez śladu.

– Flotę Katańską? – powtórzył cicho Thrawn, a oczy mu rozbłysły.

– Dokładnie tak: Flotę Katańską – potwierdziła. – Ciemną Flotyllę, jeśli woli pan dramatyczniejsze miano. Zakładam, że słyszał pan o niej?

– W rzeczy samej. Gdzie ona się znajduje? – spytał tym nieznoszącym sprzeciwu, autorytarnym tonem, jednak tym razem Mara była na to gotowa i nie mógł w ten sposób nic wskórać…

– Nie wiem – wyznała. – Ale Karrde to wie.

Przez długą chwilę Thrawn przyglądał się jej w milczeniu.

– Skąd? – zapytał wreszcie.

– Brał udział w pewnej nielegalnej akcji – poinformowała go. – Kiedy wszystko wzięło w łeb, przemytnicy zdołali uciec przed Imperium, ale nie mieli dość czasu, by dokładnie obliczyć skok. Kiedy wyskoczyli z nadprzestrzeni, zastali na miejscu flotę. Skoczyli ponownie, przekonani, że to pułapka, i ledwie uszli przy tym z życiem. Karrde pełnił wówczas funkcję nawigatora i nieco później zorientował się, na co natrafili.

– Hm, interesujące – mruknął wielki admirał. – Kiedy dokładnie się to wydarzyło?

– Nie wyjawię więcej szczegółów, dopóki nie dobijemy targu – oświadczyła twardo Mara, a na widok jego miny dodała: – A jeśli chodzi panu po głowie, by poddać mnie praniu mózgu, to proszę się nie kłopotać: naprawdę nie znam współrzędnych tego miejsca.

Thrawn obrzucił ją taksującym spojrzeniem.

– A nawet gdyby pani je znała, to i tak nie ujawniłaby ich z powodu blokady umysłu – przyznał niechętnie. – W porządku. Proszę mi zatem powiedzieć, gdzie przebywa obecnie Karrde.

– Tak, aby pański wywiad mógł się nim zająć? – Pokręciła znowu głową. – Nic z tego. Proszę pozwolić mi do niego wrócić, a dostarczę panu te dane. Wówczas możemy dobić targu. O ile oczywiście taki układ panu odpowiada.

Twarz ściągnął mu surowy grymas.

– Nie waż się dyktować mi warunków, Maro Jade – powiedział cicho. – Nawet w prywatnej rozmowie.

Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. O tak, teraz pamiętała już doskonale, dlaczego Thrawn został awansowany na stanowisko wielkiego admirała.

– Byłam Ręką Imperatora – przypomniała mu, siląc się na podobny ton, jednak nawet w jej własnych uszach próba ta wypadła

dość żałośnie. – Przemawiałam w jego imieniu i nawet wielcy admirałowie mieli obowiązek mnie słuchać.

Thrawn uśmiechnął się do niej z politowaniem.

– Och, doprawdy, pamięć cię zawodzi, Ręko Imperatora. Koniec końców nie byłaś nikim więcej niż tylko wyspecjalizowanym posłańcem.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Być może to pan potrzebuje odświeżenia pamięci, wielki admirale Thrawn – wycedziła. – Podróżowałam po całym Imperium w jego imieniu, podejmując decyzje polityczne, które zmieniały losy istot piastujących najwyższe stanowiska…

– Wypełniałaś jego wolę – wszedł jej bezceremonialnie w słowo. – Nic poza tym. Nie ma znaczenia, czy słyszałaś jego rozkazy wyraźniej niż reszta jego Rąk, nadal wykonywałaś jedynie jego polecenia.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „reszta jego Rąk”? – prychnęła. – Byłam jedyną… – Urwała na widok miny Thrawna i nagle cały wzbierający w niej gniew odpłynął. – Nie – wyszeptała. – To… niemożliwe. Myli się pan.

Wzruszył ramionami.

– Proszę wierzyć, w co się pani żywnie podoba, Jade. Radziłbym jednak nie próbować mydlić innym oczu wyolbrzymionym przekonaniem o własnym znaczeniu. – Sięgnął znów do pulpitu kontrolnego i wcisnął jakiś klawisz. – Kapitanie? Czy mamy już raport od zespołu abordażowego?

Mara nie dosłyszała odpowiedzi, jednak zupełnie jej nie obchodziło, co robią ludzie Thrawna. Mylił się, nie było innej możliwości. Musiał być w błędzie! Czyż to nie sam Imperator nadał jej tytuł swojej Ręki? Czy to nie on sprowadził ją na Coruscant z ojczystej planety i wyszkolił, ucząc, jak wykorzystywać jej cenną wrażliwość na Moc, aby mu służyła?

Nie mógłby jej okłamać. Nie zrobiłby tego…

– Hm, to nie ma sensu – mruknął Thrawn, podnosząc na nią wzrok. – Zakładam, że nie wiesz, co Leia Organa Solo porabia na Endorze?

Mara z trudem otrząsnęła się ze wspomnień.

– Organa Solo… jest tutaj?

– A przynajmniej „Sokół Millennium” – wyjaśnił ponuro. – Pozostawiony na orbicie. Niestety, nie mamy pojęcia, gdzie może przebywać ona sama. O ile rzeczywiście gdzieś tu jest… – Odwrócił się znów do pulpitu. – Doskonale, kapitanie. Proszę sprowadzić statek do hangaru. Być może dowiemy się czegoś dzięki bliższym oględzinom.

Otrzymawszy potwierdzenie, rozłączył się.

– W porządku, Ręko Imperatora – powiedział, znów mierząc Marę wzrokiem. – W takim razie mamy umowę. Ciemna Flotylla w zamian za odwołanie wyroku śmierci na Karrde’a. Ile czasu zajmie ci powrót do jego obecnej bazy?

Mara zawahała się, jednak uznała, że ta informacja nie powie mu nic ważnego.

– Na pokładzie „Eterycznego Szlaku”? Około trzech dni. Dwóch i pół, jeśli wycisnę z silników całą moc.

– Lepiej więc się pośpiesz – ostrzegł ją Thrawn. – Bo masz dokładnie osiem dni na pozyskanie współrzędnych floty i dostarczenie ich mnie.

Wybałuszyła na niego oczy.

– Osiem dni?! Ale to…

– Osiem dni – nie dał jej dokończyć. – Inaczej sam go znajdę i osobiście wydobędę z niego te dane.

Na usta cisnęło jej się mnóstwo odpowiedzi, jednak wystarczyło jedno spojrzenie w te czerwone oczy, by wszystkie pierzchły.

– Zrobię, co w mojej mocy – wykrztusiła, a potem odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia.

– Jestem pewien, że ci się uda – rzucił za nią. – A potem utniemy sobie długą pogawędkę. O wszystkich tych latach, które spędziłaś poza Imperium… A także powodach, które tak długo powstrzymywały cię przed powrotem do służby.

Pellaeon wpatrywał się w osłupieniu w swojego dowódcę. Serce waliło mu jak młotem.

– Flota… Katańska? – powtórzył ostrożnie.

– A przynajmniej tak twierdzi nasza młoda Ręka Imperatora – potwierdził Thrawn, śledząc uważnie jeden z wyświetlaczy. – Oczywiście równie dobrze mogła kłamać.

Pellaeon pokiwał mechanicznie głową, pełną wciąż nowych wizji, które przyniosła niespodziewana odmiana losu.

– Ciemna Flotylla… – mruknął, nasłuchując, jak słowa rozbrzmiewają echem w jego umyśle. – Wie pan, był czas, gdy sam żywiłem nadzieję na jej odnalezienie…

– Jak chyba większość osób w pańskim wieku – zgodził się beznamiętnie Thrawn. – Czy na jej statku zainstalowano boję namierzającą, jak poleciłem?

– Tak jest, sir. – Pellaeon rozejrzał się półprzytomnie po pomieszczeniu, wodząc niewidzącym wzrokiem po rzeźbach i dziełach sztuki, których hologramami otoczył się dziś wielki admirał. Ciemna Flotylla. Zaginiona niemal pięćdziesiąt pięć lat temu. Teraz w zasięgu ręki…

Zmarszczył czoło, gdy jego wzrok padł na jedną z rzeźb. Teraz, gdy zaczął się im przyglądać, wydały mu się dziwnie znajome…

– To dzieła sztuki, które zdobiły biura Rendili StarDrive oraz departament planowania floty w czasie, gdy powstawał projekt Floty Katańskiej – odpowiedział na niewypowiedziane pytanie Pellaeona Thrawn.

– Rozumiem – mruknął pod nosem kapitan. Wziął głęboki oddech i niechętnie powrócił do rzeczywistości. – Zdaje pan sobie sprawę, sir, jak mało prawdopodobne są te rewelacje Jade?

– Owszem, mogą się wydawać mało prawdopodobne – zgodził się admirał, podnosząc na niego lśniące oczy. – Są jednak prawdziwe. – Dotknął przycisku i część ekspozycji zniknęła. – Proszę rzucić na to okiem.

Pellaeon odwrócił się we wskazanym kierunku. Jego oczom ukazała się ta sama scena, którą Thrawn zaprezentował mu kilka dni temu: trzy nieoznakowane drednoty osłaniające przed ostrzałem „Ślicznotkę” i niezidentyfikowany frachtowiec podczas ucieczki z Nowej Kowii…

Kapitan zaczerpnął gwałtownie tchu, gdy do głowy przyszła mu pewna myśl.

– Te statki…

– Owszem – potwierdził z ponurą satysfakcją wielki admirał. – Różnice między zwykłymi drednotami a tymi wyposażonymi w układy podporządkowania są subtelne, jeśli jednak się im bliżej przyjrzeć, można je bez większego trudu dostrzec.

Pellaeon przyjrzał się holonagraniu ze ściągniętymi brwiami, próbując dopasować do siebie elementy układanki.

– Za pozwoleniem, panie admirale, ale to bez sensu, by Karrde dostarczał okręty tym koreliańskim buntownikom.

– Całkowicie się z panem zgadzam. – Thrawn kiwnął głową. – Wszystko wskazuje na to, że Karrde nie był jedyną osobą na pokładzie tamtego nieszczęsnego statku, która zorientowała się, na co trafiła. A my… znajdziemy tego kogoś.

– Czy mamy jakiś trop?

– Kilka – padła odpowiedź. – Ze słów Jade wynika, że przemytnicy uciekli przed siłami Imperium podczas jakiegoś nieudanego kursu. Informacje o tego typu incydentach powinny wciąż być w archiwach. Zestawimy je z tym, co wiemy na temat barwnej przeszłości Karrde'a, a zobaczymy, jaki wyłoni się z tego obraz. Jade twierdziła również, że ich statek został podczas drugiego skoku poważnie uszkodzony. Jeśli zawinęli po wszystkim do któregoś z większych kosmoportów, by dokonać napraw, powinniśmy również odnaleźć te dane.

– Natychmiast wydam odpowiednie rozporządzenia wywiadowi. – Pellaeon kiwnął służbiście głową.

– Doskonale. – Thrawn wpatrywał się przez chwilę niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. – Chciałbym również, aby skontaktował się pan z Nilsem Ferrierem.

Pellaeon przez moment szperał w pamięci.

– Ach, ma pan na myśli złodzieja statków, którego wysłał pan, by odnalazł bazę tamtego Korelianina?

– Tego samego – przytaknął Thrawn. – Proszę mu powiedzieć, żeby przerwał poszukiwania, a zamiast tego spróbował namierzyć Solo i Calrissiana. – Podniósł brwi. – Koniec końców, jeśli ten Korelianin zamierza dołączyć do Rebelii, jakież lepsze wiano mógłby wnieść niż Flotę Katańską?

Rozmowę przerwało im piszczenie systemu łączności.

– Tak? – rzucił do mikrofonu Thrawn.

– Sir? Nasz obiekt skoczył w nadprzestrzeń – zameldował któryś z oficerów. – Odbieramy wyraźny sygnał z boi namierzającej. Dokonujemy właśnie ekstrapolacji namiarów.

– Świetnie, poruczniku – odpowiedział wielki admirał. – Proszę jednak nie tracić jeszcze czasu na ekstrapolację. Zmieni kurs przynajmniej raz, nim skieruje się wprost do celu podróży.

– Tak jest, sir.

– Mimo to nie chcemy też, żeby zbytnio nas wyprzedziła – poinformował Pellaeona Thrawn, gdy już się rozłączył. – Niech pan lepiej wraca na mostek, kapitanie, i wyśle „Chimaerę" w ślad za nią.

– Tak jest, sir – potwierdził przyjęcie rozkazu kapitan, a potem dodał z wahaniem: – Sądziłem, że chcemy jej dać nieco czasu, by zdobyła dla nas namiary na Flotę Katańską…

Rysy twarzy Thrawna stwardniały.

– Ona już nie służy Imperium, kapitanie – oświadczył. – Chce przekonać nas, że wróciła… Możliwe nawet, że sama w to wierzy, ale tak nie jest. Mniejsza o to. Doprowadzi nas do Karrde'a i tylko to się liczy. Dzięki niemu i naszemu koreliańskiemu buntownikowi mamy dwa tropy prowadzące do Ciemnej Flotylli. W ten czy inny sposób znajdziemy ją.

Pellaeon pokiwał głową, czując podekscytowanie mimo najszczerszych chęci zachowania dystansu wobec całej tej sprawy. Flota Katańska! Dwieście drednotów, czekających tylko, aż Imperium obejmie je w posiadanie…

– Mam przeczucie, panie admirale – stwierdził – że do naszego ostatecznego starcia z Rebelią może dojść wcześniej, niż się spodziewaliśmy…

Thrawn uśmiechnął się pod nosem.

– Sądzę, kapitanie, że może pan mieć rację.

Rozdział 18

Od wczesnych godzin porannych siedzieli przy stole w chacie maitrakh, studiując mapy, schematy i diagramy w poszukiwaniu planu, który byłby czymś więcej niż tylko nieco bardziej złożonym sposobem na oddanie się w ręce Imperium. W końcu, tuż przed południem, Leia zarządziła przerwę.

– Nie mogę już na to patrzeć – poskarżyła się Chewbacce, przymykając oczy i masując pulsujące skronie. – Chodźmy się na chwilę przejść.

Chewie zaprotestował cichym warknięciem.

– Tak, wiem, że to ryzykowne – przyznała ze znużeniem. – Ale cała wioska i tak wie o naszej obecności, a mimo to nikt nas jeszcze nie wydał. Daj spokój. Nic się nie stanie. – Z tymi słowy podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła na zewnątrz.

Chewie zamruczał coś pod nosem, jednak ruszył za nią.

Wczesnopopołudniowe słońce świeciło jasno na niebie usianym tylko tu i ówdzie kilkoma obłoczkami. Leia spojrzała w górę i zadrżała mimowolnie, czując się nagle dojmująco odsłonięta i narażona na atak. Czyste niebo, aż do przestrzeni kosmicznej… Wiedziała jednak, że nie powinna się martwić. Tuż przed północą maitrakh przyniosła jej wieści o rychłym odlocie gwiezdnego niszczyciela, który zresztą obserwowali później wraz z Chewbaccą przez jego makrolornetkę. To była pierwsza chwila wytchnienia, jaką mieli od momentu aresztowania Khabarakha – gdy już, już zaczęła się obawiać, że razem z Chewiem utkną na dobre, wielki admirał niespodziewanie odleciał.

To był niespodziewany dar od losu, jednak Leia nie mogła się wyzbyć podejrzliwości. Sądząc po tym, w jaki sposób wielki admirał zachowywał się podczas rozmowy z maitrakh, spodziewała się, że zostanie pośród Noghrich, dopóki nie zakończy się okres publicznej hańby Khabarakha, po którym zostanie on przeniesiony na pokład „Chimaery” celem przesłuchania. A może po prostu wielki admirał

zmienił zdanie i zabrał go na przesłuchanie wcześniej, wyrażając w ten sposób pogardę wobec tradycji ludu Honoghra? Jednak maitrakh twierdziła, że jej trzeci syn wciąż jest wystawiony na widok publiczny w centrum Nystao…

Chyba że ją okłamywała. Albo sama została okłamana. Z drugiej jednak strony gdyby wielki admirał był na tyle podejrzliwy, by okłamać maitrakh, dlaczego nie zwalił im się na głowę legion imperialnych żołnierzy?

Cóż, tak czy inaczej, mieli do czynienia z wielkim admirałem – a także całym sprytem, wyrafinowaniem i geniuszem taktycznym, które sugerował ten tytuł. Wszystko to mogło się okazać chytrą, ostrożnie zaaranżowaną pułapką, a jeśli tak, to istniało prawdopodobieństwo, że Leia nie dostrzeże jej, dopóki w nią nie wpadnie.

„Przestań!” – nakazała sobie stanowczo w myśli. Wiedziała, że dawanie wiary wszystkim tym legendom o nieomylności wielkiego admirała nie przyniesie jej żadnego pożytku, a wręcz przeciwnie – odbierze wolę działania. Nawet wielkim admirałom z pewnością zdarzało się popełniać błędy, a poza tym istniało mnóstwo potencjalnych powodów, dla których mógł zechcieć opuścić Honoghr. Być może coś poszło nie po jego myśli podczas jakiejś kampanii przeciwko Nowej Republice i musiał pilnie interweniować? A może po prostu wybrał się w jakąś krótką podróż i zamierzał wkrótce wrócić?

Tak czy inaczej, oznaczało to jedno: że nadeszła pora, by działać. Gdyby tylko wiedzieli, co właściwie robić…

Stojący u jej boku Chewbacca zaryczał pytająco.

– Nie, nie możemy tak zrobić. – Pokręciła głową. – To nie będzie mądrzejsze niż otwarty atak na kosmoport. Musimy ograniczyć potencjalne zniszczenia Nystao oraz straty wśród mieszkańców do absolutnego minimum.

Wookiee zawarczał ze zniecierpliwieniem.

– Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić – burknęła. – Wiem tylko, że godzenie się na śmierć i destrukcję na skalę masową cofnie nas do punku wyjścia. Na pewno nie przekona Noghrich, że powinni odwrócić się od Imperium i przejść na naszą stronę. – Zerknęła

ponad skupiskiem chat na wznoszące się w dali wzgórza i falującą w podmuchach wiatru trawę kholm.

Liczne droidy dekontaminacyjne o lśniących w słońcu, kanciastych, przysadzistych korpusach ciężko pracowały, z każdym krokiem zdzierając ćwierć metra kwadratowego górnej warstwy gleby, aby następnie poddać ją w swoim wnętrzu jakimś skomplikowanym procesom oczyszczającym i wypluć z powrotem. Powoli, ale systematycznie oddalały od mieszkańców Honoghra widmo destrukcji, która im groziła… będąc jednocześnie ostentacyjną oznaką łaski Imperium, gdyby ktoś potrzebował przypomnienia o tym, że to właśnie ono było ich wybawicielem.

– Lady Vader – zamiauczał ktoś chrapliwie tuż za jej plecami i Leia aż podskoczyła.

– Dzień dobry, maitrakh – powiedziała, odwracając się i skłaniając z szacunkiem Noghryjce. – Czy dobrze się dziś miewasz?

– Nie narzekam – odparła lakonicznie maitrakh.

– Cieszy mnie to – zapewniła ją z wymuszoną uprzejmością Leia.

Ich gospodyni miała dość taktu, by nie komentować w żaden sposób trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się z ich powodu, jednak jasne było, że nie jest jej łatwo mierzyć się z hańbą, jaka spotkała jej rodzinę… a może nawet i ze śmiercią syna, jeśli wielki admirał odkryje, czego dopuścił się Khabarakh. Leia zdawała sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie jest kwestią czasu, nim maitrakh dojdzie do wniosku, że wydanie nieproszonych gości Imperium będzie zdecydowanie korzystniejsze niż ich dalsze chronienie.

– Wasze plany – rzuciła bez zbędnych względów Noghryjka. – Jak idzie praca nad nimi?

Leia zerknęła na Chewbaccę.

– Powoli – bąknęła. – Ale robimy postępy. – Była to w pewnym sensie prawda, bo eliminowanie kolejnych pomysłów, które przychodziły im do głowy, w zasadzie można było uznać za robienie postępów. Przynajmniej teoretycznie. – Nadal jednak nie mamy gotowego schematu działania.

– Rozumiem – potwierdziła maitrakh i zerknęła ponad budynkami w stronę zajętych odkażaniem gleby droidów. – Wasz robot spędza z naszymi maszynami dużo czasu – zauważyła.

– Cóż, ma tu znacznie mniej do roboty, niż sądziłam – wyznała Leia. – Zarówno ty, jak i wielu twoich Noghrich dobrze porozumiewacie się w basicu.

– To dzięki wielkiemu admirałowi.

– A także mojemu ojcu, lordowi Darthowi Vaderowi – przypomniała jej Leia.

Maitrakh przez chwilę się nie odzywała.

– Tak – zgodziła się wreszcie Noghryjka i księżniczka poczuła, że po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. Utrata ciepłych uczuć dla ich byłego pana stanowiłaby pierwszy krok ku zdradzie jego potomkini.

– Ten teren zostanie wkrótce oczyszczony – poinformowała ją maitrakh, wskazując na droidy dekontaminacyjne. – Jeśli skończą w ciągu najbliższych dziesięciu dni, będziemy mogli go obsiać jeszcze w tym sezonie.

– Czy dzięki temu dodatkowemu spłachetkowi ziemi będziecie w stanie sami wyżywić swój lud? – spytała ją księżniczka.

– Będzie nam łatwiej – oznajmiła Noghryjka. – Ale to nie wystarczy.

Leia pokiwała głową, jednak ze znużeniem powitała nową falę frustracji. Jej zdaniem, zamysł Imperium był równie oczywisty, co wyrachowany: ostrożnie regulując tempo procesu odkażania, można było w nieskończoność mamić Noghrich perspektywą uzyskania niezależności, nie pozwalając im nigdy zanadto zbliżyć się do tej granicy. Leia doskonale zdawała sobie z tego sprawę i przypuszczała, że maitrakh również to podejrzewa, jednak udowodnienie tego innym…

– Chewie, czy znasz się choć trochę na droidach dekontaminacyjnych? – spytała nagle. Ten pomysł przyszedł jej do głowy już wcześniej, jednak nie miała czasu bliżej się nad nim zastanowić. – Na tyle, aby określić z grubsza, ile czasu powinno zająć jednostkom pracującym na Honoghrze oczyszczenie takiej ilości gleby?

Wookiee zaryczał potwierdzająco i zaczął zasypywać ją potokiem liczb. Najwyraźniej on również wpadł na ten sam pomysł.

– Nie, nie potrzebuję teraz pełnej analizy – powstrzymała go, przerywając wykład na temat szacunków, ekstrapolacji

i przybliżonych wartości. – Czy mógłbyś po prostu przejść do sedna?

Posłuchał jej, dostarczając odpowiednich danych: osiem lat.

– Rozumiem – mruknęła, pogrążając się na powrót w czarnych myślach. – To sugerowałoby, że odkażanie rozpoczęto podczas apogeum wojny, zgadza się?

– Nadal uważasz, że wielki admirał nas zwodzi? – spytała ją maitrakh.

– *Wiem* to – uściśliła Leia. – Po prostu… nie jestem w stanie tego udowodnić.

Maitrakh znów przez chwilę milczała.

– Co w takim razie planujesz?

Leia wzięła głęboki oddech i wypuściła powoli powietrze z płuc.

– Musimy odlecieć z Honoghra – powiedziała cicho. – A to oznacza konieczność włamania się na teren kosmoportu Nystao i kradzież statku.

– To nie powinno być trudne dla córki lorda Dartha Vadera.

Leia skrzywiła się na myśl o tym, w jaki sposób maitrakh dosłownie przed chwilą podkradła się do nich bezszelestnie. Strażnicy w kosmoporcie z pewnością będą znacznie młodsi… i lepiej wyszkoleni. Nim Imperator zmienił ten lud w swoje maszynki do zabijania, Noghri z pewnością musieli być doskonałymi łowcami.

– Porwanie statku nie powinno nastręczyć kłopotów – zapewniła Noghryjkę, boleśnie świadoma tego, jak mocno nagina w tym momencie rzeczywistość. – Problemem może okazać się jednak to, że… musimy zabrać ze sobą… Khabarakha.

– Co takiego? – syknęła maitrakh, wyraźnie wstrząśnięta.

– Nie mamy innego wyjścia – westchnęła Leia. – Jeśli zostawimy go na pastwę Imperium, zostanie zmuszony, by wyśpiewać im wszystko. Wszystko! A gdy tak się stanie… oboje zginiecie. Możliwe, że zabiją cały wasz ród. Nie możemy na to pozwolić.

– A więc sami zgotujecie sobie ten sam los – powiedziała spokojnie maitrakh. – Strażnicy nie wydadzą wam Khabarakha bez walki.

– Wiem o tym – zapewniła ją księżniczka, z bólem serca myśląc o dwóch małych istotkach, które nosiła w sobie. – Jednak… musimy

zaryzykować.

– Podobne poświęcenie nie przyniesie wam chluby – warknęła stara Noghryjka. – Klan Kihm'bar nie upamiętni go na kartach swojej historii. A Noghri szybko puszczą je w niepamięć.

– Nie robię tego po to, by się wam przypodobać – odparła stanowczo Leia. Nagle dotarło do niej, jak bardzo zmęczona jest ciągłymi próbami przebicia głową muru w postaci braku zrozumienia, z którym miała do czynienia w przypadku tej rasy. Odnosiła niejasne wrażenie, że właściwie przez całe swoje życie nie robi nic innego, tylko stara się dotrzeć do innych, napotykając wciąż opór. – Robię to, bo mam już dość patrzenia, jak ludzie giną z powodu moich błędów. To ja poprosiłam Khabarakha, by mnie tu sprowadził, i to ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. Nie mogę teraz tak po prostu odejść, narażając was na zemstę wielkiego admirała.

– Nasz pan, wielki admirał, nie potraktuje nas surowo.

Leia odwróciła się, by spojrzeć jej w oczy.

– Imperium zniszczyło niegdyś z mojego powodu całą planetę – powiedziała cicho. – Nie pozwolę, by kiedykolwiek znów do tego doszło. – Wytrzymała spojrzenie Noghryjki jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła wzrok, nagle przytłoczona nawałem sprzecznych myśli i targających nią emocji. Czy rzeczywiście postępowała słusznie?

Do tej pory ryzykowała życie mnóstwo razy, jednak zawsze robiła to z myślą o swoich towarzyszach z Rebelii i dla sprawy, w którą wierzyła. Podobne poświęcenie dla sług Imperium, nawet tych, którzy zostali podstępem zmuszeni do takiej formy współpracy… cóż, to było coś zupełnie innego. Chewbacce wcale się to wszystko nie podobało – widziała to doskonale w jego zachowaniu, a jego aura w Mocy tylko potwierdzała jej przypuszczenia. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że Wookiee nie opuści jej w potrzebie, kierując się własnym kodeksem honorowym, a także długiem życia, który zaciągnął u Hana.

Zamrugała, próbując powstrzymać łzy, które nagle napłynęły jej do oczu, a jej dłoń powędrowała mimowolnie do zarysowanego już wyraźnie brzucha. Han z pewnością zrozumie… Gdyby tu był,

próbowałby ją odwieść od podejmowania tego ryzyka, jednak w głębi serca wiedziałby, że to konieczne. W innym przypadku nie pozwoliłby jej w ogóle tu lecieć.

A jeśli ona nie wróci… na pewno będzie się o to obwiniał.

– Okres publicznej hańby przedłużono o kolejne cztery dni – poinformowała ją nagle maitrakh. – Za dwa dni księżyce będą świecić najsłabiej. Powinniście zaczekać do tego czasu.

Leia przyjrzała się jej z namysłem, ale Noghryjka wytrzymała spokojnie to spojrzenie. Trudno było coś wyczytać z jej nieprzeniknionej miny.

– Czy… czy proponujesz pomoc? – spytała ostrożnie księżniczka.

– Masz w sobie szlachetność, lady Vader – szepnęła maitrakh. – Pójdę z tobą, aby ocalić życie i honor mojego trzeciego syna. Być może zginiemy obie.

Leia z bólem serca pokiwała głową.

– To możliwe.

W głębi duszy wiedziała jednak, że to mało prawdopodobne. Niewykluczone, że maitrakh i Khabarakh rzeczywiście zostaną zabici, być może również Chewbacca. Ale nie ona. Ją, lady Vader, wezmą z pewnością żywcem jako prezent dla swojego pana, wielkiego admirała.

Admirała, który będzie się do niej uśmiechał, uprzejmie z nią rozmawiał… a potem odbierze jej dzieci.

Spojrzała ku polom, żałując, że Hana nie ma teraz u jej boku. Czy jej mąż kiedykolwiek dowie się, co się z nią stało?

– Chodźmy – wyrwała ją z zamyślenia maitrakh. – Wracajmy do domu. Musisz dowiedzieć się wielu rzeczy o Nystao.

– Cieszę się, że daliście wreszcie znak życia – dobiegł z głośników modułu łączności „Ślicznotki” głos Winter, zniekształcony lekko przez niedostrojony system deszyfrowania. – Zaczynaliśmy się martwić…

– Nic nam nie jest – zapewnił ją Han. – Musieliśmy po prostu na chwilę się przyczaić. Jakieś nowe kłopoty?

– Od czasu waszego odlotu nie wydarzyło się nic niepokojącego – zapewniła go Winter. – Imperium wciąż co jakiś czas napada na nasze konwoje i nikt nie jest w stanie nic z tym zrobić. Fey'lya próbuje przekonać Radę, że poradziłby sobie z obroną lepiej niż ludzie Ackbara, ale jak dotąd Mon Mothma nie raczyła przyjąć jego oferty. Mam wrażenie, że niektórzy z członków Rady zaczynają podawać w wątpliwość jego motywy…

– Cudownie – mruknął Han. – Może ktoś wreszcie powie mu, żeby się zamknął, i Ackbar odzyska swoje stanowisko.

– Niestety, Fey'lya nadal ma zbyt duże poparcie, aby można było go całkiem zignorować – rozwiała jego nadzieje Winter. – Szczególnie w armii.

– Taaa. – Solo odchrząknął, przygotowując się do zadania kolejnego pytania: – Jak sądzę, Leia się nie odzywała?

– Niestety, póki co nie mieliśmy od niej żadnych wieści. – Han słyszał wyraźne napięcie w głosie Winter. Najwyraźniej ona także się martwiła. – Ale skontaktował się ze mną Luke. W istocie to właśnie dlatego chciałam z panem porozmawiać.

– Czy ma kłopoty?

– Ja… nie wiem, nic nie mówił na ten temat. Ale chce, żeby spotkał się pan z nim na Nowej Kowii.

– Na Nowej Kowii? – Han ściągnął brwi, wpatrując się uważnie w nakrapiany plamami chmur glob obracający się z wolna w dole. – Ale… po co?

– Nie podał powodu. Poprosił tylko o spotkanie w, cytuję, „kantorze wymiany walut". Tylko tyle.

– Kantorze wy… – Han spojrzał pytająco na Landa. – Co to ma niby znaczyć?

– Ma na myśli kafejkę Mishra w Ilic. Spotkaliśmy się tam, gdy śledziłeś Breil'lyę – wyjaśnił Calrissian. – Taki hermetyczny żart. Opowiem ci później.

– A więc to potwierdza, że wiadomość rzeczywiście pochodziła od Luke'a? – upewniła się Winter.

– Chwileczkę. – Solo wszedł w słowo Landowi, który zaczął odpowiadać. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie rozmawiałaś z nim osobiście?

– Nie, po prostu przesłał wiadomość tekstową – wyjaśniła Winter. – W dodatku niezaszyfrowaną.

– Jego X-wing nie ma urządzenia kodującego, prawda? – spytał Lando.

– Nie, ale mógł ją zakodować za pośrednictwem którejś z placówek dyplomatycznych Nowej Republiki – powiedział Solo z namysłem. – Czy ten… hermetyczny żart jest zrozumiały tylko dla was dwóch?

– Hm, tak… No i może jeszcze jakiejś setki przypadkowych gapiów – bąknął Calrissian. – Sądzisz, że to może być pułapka?

– Niewykluczone. No dobrze, Winter. Dzięki. Od teraz będziemy się częściej meldować.

– W porządku. Proszę na siebie uważać.

– Pewnie. – Rozłączył się i zerknął na przyjaciela. – To twój statek, stary. Chcesz tam wdepnąć i się rozejrzeć, czy może darujemy sobie i lecimy prosto do tego twojego pływającego kasyna?

Lando cmoknął z namysłem.

– Chyba nie mamy zbytnio wyboru – westchnął. – Jeśli wiadomość rzeczywiście pochodzi od Luke'a, pewnie nie powinniśmy jej ignorować…

– A jeżeli nie?

Calrissian błysnął zębami w swoim firmowym uśmiechu.

– Hej, nieraz już wymykaliśmy się Imperium. Zaryzykujmy.

Po tym, jak kilka dni wcześniej prysnęli z Ilica, nie mieli złudzeń, że lokalne służby przywitają ich z otwartymi ramionami. Na szczęście Lando dobrze wykorzystał ostatnie dwa dni, więc nie napotkali zbyt wielu problemów, gdy sprowadzili statek do wnętrza zwieńczonego kopułą kosmoportu, meldując się jako jacht rozrywkowy „Kaprys Tamar".

– Nie posiadam się z radości, że znów tu jesteśmy – mruknął z przekąsem Han, gdy wraz z Landem schodzili po trapie „Ślicznotki". – Jak sądzisz, może powinniśmy nieco się rozejrzeć, zanim zajrzymy znów do Mishry?

Idący obok niego Calrissian zatrzymał się niespodziewanie w pół kroku.

– Chyba nie będziemy musieli się tam fatygować – powiedział cicho.

Solo zerknął na niego, opuszczając jednocześnie dłoń do rękojeści blastera, a potem podążył za spojrzeniem przyjaciela.

Jakieś pięć metrów od trapu „Ślicznotki" stał dobrze zbudowany mężczyzna w ozdobnej tunice, żując cygaro i uśmiechając się do nich chytrze.

– To jakiś twój kumpel? – mruknął Han.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób – odparł Lando. – Facet nazywa się Niles Ferrier. Złodziej statków i przemytnik na pół etatu.

– Domyślam się, że był z wami wówczas w Kafejce?

– Jeśli chodzi o ścisłość, odegrał jedną z kluczowych ról w tamtym incydencie.

Han pokiwał głową, ostrożnie rozglądając się po kosmoporcie. Pośród licznych istot spieszących do swoich spraw, zauważył ze trzy czy cztery osoby, które wydawały się kręcić w pobliżu bez celu.

– Złodziej statków, powiadasz?

– Zgadza się, ale raczej nie będzie sobie zawracał głowy takim maleństwem jak „Ślicznotka" – zapewnił go Calrissian.

– Tak czy inaczej, lepiej miejmy go na oku – mruknął cicho Solo.

– Nie inaczej.

Gdy dotarli do stóp trapu, zatrzymali się bez słowa i czekali.

Widząc to, Ferrier uśmiechnął się jeszcze szerzej i podszedł ku nim niespiesznym krokiem.

– O, witaj, Calrissian – powiedział. – Cóż za zbieg okoliczności! Ostatnio dosyć często na siebie wpadamy, co?

– Cześć, Luke – odparował Han, nim Lando zdążył otworzyć usta, żeby coś powiedzieć. – Jakoś tak… eee…, zmieniłeś się trochę.

W uśmiech Ferriera wkradł się ślad zażenowania.

– Hm, tak, wybaczcie mi ten mały fortel. Uznałem jednak, że gdybym wysłał wam tę wiadomość we własnym imieniu, nie zjawilibyście się tu.

– Gdzie Luke? – warknął Solo.

– Nie mam go przy sobie, jeśli chcesz mnie przeszukać. – Ferrier wzruszył ramionami. – Dał nogę w tym samym czasie co wy. Wtedy widziałem go ostatni raz.

Han przyglądał mu się przez chwilę podejrzliwie, jednak koniec końców stwierdził, że gość nie kłamie.

– Czego od nas chcesz?

– Chciałbym zawrzeć pewien… układ z Nową Republiką – wyznał Ferrier, zniżając głos do konfidencjonalnego szeptu. – Chodzi o nowe okręty. Zainteresowani?

Han poczuł na karku mrowienie.

– Możliwe – rzucił pozornie obojętnie. – O czym dokładnie rozmawiamy?

Ferrier wskazał gestem trap.

– A co powiesz na dokończenie tej rozmowy na pokładzie?

– A co powiesz na to, żebyśmy dokończyli ją tutaj? – odciął się Lando.

Ferrier sprawiał wrażenie urażonego.

– Wyluzuj, Calrissian – powiedział ugodowo. – Jak ci się zdaje, zwieję stąd z twoim stateczkiem w kieszeni czy co?

– Jakie statki masz na myśli? – powtórzył pytanie Solo.

Ferrier mierzył go przez chwilę wzrokiem, a potem ostentacyjnie rozejrzał się dookoła.

– Duże – powiedział teatralnym szeptem. – A dokładniej krążowniki drednoty z Floty Katańskiej.

Han z trudem zachował sabakową twarz.

– Katańskiej. Jasne.

– Nie żartuję – obruszył się Ferrier. – Flota Katańska została odnaleziona, a ja mam kontakt z kolesiem, który ją namierzył.

– Tak? – mruknął Solo. Coś w twarzy tego faceta… Obejrzał się gwałtownie za siebie, niemal spodziewając się, że dojrzy za plecami kogoś zakradającego się na pokład „Ślicznotki”, jednak nie dostrzegł nic podejrzanego wśród cieni rzucanych przez oświetlenie kosmoportu.

– Co jest? – spytał go Lando.

– Nic, nic – zapewnił go szybko przyjaciel, odwracając się na powrót do Ferriera. Jeśli koleś rzeczywiście miał kontakt z dostawcą Bela Iblisa, mogliby oszczędzić dzięki temu mnóstwo czasu. Gdyby jednak okazało się, że chodzi tylko o jakieś plotki… a ten cwaniak liczył na to, że ich naciągnie…

– A jakie masz podstawy, by sądzić, że ten twój… kontakt rzeczywiście coś wie? – spytał ostro.

Ferrier uśmiechnął się znów chytrze.

– Ktoś taki jak ty, Solo, powinien wiedzieć aż za dobrze, że cenna informacja piechotą nie chodzi. Daj spokój.

– W porządku – wtrącił Calrissian. – Czego chcesz od nas w zamian? I co dokładnie oferujesz? Konkrety.

– Znam nazwisko tego gościa – wyjawił Ferrier, na powrót poważniejąc. – Nie wiem jednak, gdzie go szukać. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy połączyć siły i spróbować do niego dotrzeć, nim zrobi to Imperium.

Han poczuł w gardle nieprzyjemne dławienie.

– A dlaczego sądzisz, że Imperium mogłoby wpaść na trop Katańskiej?

Ferrier posłał mu pogardliwe spojrzenie.

– Masz na myśli Imperium pod wodzą wielkiego admirała Thrawna? – parsknął. – Brachu! Ten człowiek wie o wszystkim, co się dzieje w galaktyce!

Han uśmiechnął się do niego krzywo. Cóż, teraz przynajmniej wiedział, jak nazywał się człowiek w białym mundurze.

– Thrawn, tak? Dzięki, Ferrier.

Złodziej statków skrzywił się, gdy nagle dotarło do niego, że niepotrzebnie się zdradził.

– Nie ma za co – burknął.

– Wciąż jeszcze nie powiedziałeś nam, co z tego będziemy mieli – przypomniał mu Lando.

– Wiesz, gdzie on jest? – spytał Ferrier.

– Mamy pewne podejrzenia – odparł oględnie Lando. – Co proponujesz?

Ferrier obrzucił ich badawczym spojrzeniem.

– Połowę statków – wydusił wreszcie. – A także możliwość wykupienia reszty przez Nową Republikę. Po rozsądnej cenie.

– Co masz na myśli, mówiąc o „rozsądnej cenie”? – spytał Solo.

– To zależy od tego, w jakim stanie będą okręty – zastrzegł Ferrier. – Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

– Taaa. – Han zerknął na Landa. – Co o tym myślisz?

– Zapomnij – parsknął Calrissian. – Chcesz nam podać jego nazwisko, w porządku. Gdy je potwierdzimy, dopilnujemy, żebyś nie był stratny… Jeśli oczywiście znajdziemy te statki. W innym przypadku… cóż, wypchaj się, że się tak wyrażę.

Ferrier aż się zjeżył.

– Cóż, skoro tak stawiasz sprawę… – bąknął, sprawiając wrażenie bardziej urażonego niż poirytowanego. – Chcecie to zrobić po swojemu? Proszę bardzo. Jeśli jednak dotrzemy do statków pierwsi, wasza umiłowana Nowa Republika będzie musiała za nie zabulić znacznie więcej. O wiele więcej. – Odwrócił się na pięcie i odszedł w swoją stronę.

– Chodź, Han, zabierajmy się stąd – wymamrotał pod nosem Lando, nie spuszczając oczu z oddalającego się mężczyzny.

– Taaa – mruknął Solo, rozglądając się w poszukiwaniu kręcących się w pobliżu podejrzanych typów, których zauważył wcześniej. Oni również się rozeszli. Nic nie wskazywało na to, by mogli mieć kłopoty, jednak na wszelki wypadek nie zdjął dłoni z rękojeści blastera, dopóki obaj nie znaleźli się na pokładzie „Ślicznotki”, bezpieczni za zamkniętym włazem.

– Przygotuję statek do startu – powiedział Lando, gdy szli do kokpitu. – Ty pogadaj z kontrolą lotów i załatw nam pozwolenie na start.

– Dobra. Wiesz, że gdybyśmy się jeszcze odrobinę potargowali…

– Nie ufam temu gościowi – wszedł mu w słowo Calrissian, skupiony na kontrolkach. – Stanowczo za dużo się uśmiechał. I zbyt łatwo ustąpił.

Cóż, trudno było się z tym nie zgodzić, a poza tym – jak Han sam zauważył wcześniej – statek należał do Landa… Wzruszył lekko ramionami i połączył się z kontrolą lotów.

Dziesięć minut później startowali, ponownie zostawiając za sobą niezadowoloną obsługę kosmoportu.

– Obyśmy nie musieli tu wracać – stwierdził Solo, łypiąc na przyjaciela spode łba. – Mam wrażenie, że skończyła im się do nas cierpliwość.

Lando odwzajemnił spojrzenie.

– No, no… Od kiedy to obchodzi cię, co kto o tobie myśli?

– Odkąd poślubiłem księżniczkę i zacząłem się legitymować rządowym papierem – burknął Solo. – Zaraz, zaraz, a ty również nie miałeś być przypadkiem szanującym się obywatelem?

– Och, ależ jestem nim. To znaczy, bywam. Oho… – Uśmiechnął się do Hana ponuro. – Wygląda na to, że gdy rozmawialiśmy z Ferrierem, ktoś podkradł się do statku i coś nam podrzucił. Idę o zakład, że to boja namierzająca.

– Jakoś nie jestem zaskoczony – stwierdził Han, wklepując w komputer komendę polecającą systemowi jej namierzenie.

Okazało się, że urządzenie podczepiono na rufie w dolnej części kadłuba, w okolicy trapu, a więc w miejscu, w którym było najmniej narażone na wstrząsy podczas startu.

– Co z tym zrobimy?

– Mniej więcej po drodze na Pantolomin będziemy mieli układ Terrijo – powiedział Lando, zerkając na wyświetlacz. – Zajrzymy tam i zostawimy to cholerstwo.

– W porządku. – Solo spojrzał na ekran z kwaśną miną. – Szkoda, że nie możemy jej od razu podrzucić komuś innemu. Dzięki temu nie dowiedzieliby się, dokąd się kierujemy.

Calrissian pokręcił głową.

– Gdybyśmy teraz zeszli znów na Nową Kowię, zorientowaliby się, że ją znaleźliśmy. Chyba że masz ochotę zdjąć ją tu i teraz, aby cisnąć ją na coś przelatującego w pobliżu? – zażartował, jednak na widok miny przyjaciela spoważniał i dodał stanowczo. – O nie, kolego, nie będziemy tego próbowali. Nawet o tym nie myśl.

– Dobra już, dobra – wymamrotał Solo. – Ale w ten sposób skutecznie byśmy się tego pozbyli.

– A przy okazji mógłbyś się zabić – dopowiedział ironicznie Calrissian. – A wówczas ja musiałbym wrócić na Coruscant sam i tłumaczyć się Lei. Zapomnij.

Han zacisnął zęby… Leia.

– Taaa – westchnął, znowu ściągając na siebie spojrzenie przyjaciela.

– Daj spokój, stary, wyluzuj – uspokoił go Lando. – Ferrier nie da rady nas okantować. Wszystko na pewno pójdzie jak po maśle.

Solo pokiwał smętnie głową. Szczerze powiedziawszy, nie myślał wcale o Ferrierze. Ani nawet o Flocie Katańskiej.

– Wiem – powiedział cicho.

Gdy „Ślicznotka” wleciała płynnie w jeden z szybów przecinających transparistalową kopułę, Ferrier przesunął cygaro w drugi kącik ust.

– Jesteś pewien, że nie znajdą drugiej boi? – spytał.

Stojący obok niego, w pobliżu sterty skrzyń, cień o dziwnym kształcie zafalował.

– Nie znajdą – powiedział głosem brzmiącym jak szmer lodowatego strumienia.

– Lepiej, żeby tak było – rzucił Ferrier ostrzegawczo. – Nie chciałbym, aby się okazało, że stałem tam i strzępiłem sobie język na darmo. – Łypnął gniewnie na cień. – Nie mówiąc już o tym, że mało brakowało, a wszystko wzięłoby w łeb! W pewnym momencie Solo spojrzał wprost na ciebie!

– Wszystko było pod kontrolą – oznajmił flegmatycznie upiór. – Ludzie widzą tylko ruch. Nieruchome cienie ich nie interesują.

– Cóż, tym razem ta sztuczka zadziałała – udobruchał się Ferrier. – Ale masz szczęście, że to Solo na ciebie spojrzał, a nie Calrissian. Bo ten ostatni widział cię już wcześniej. Następnym razem zachowuj się trochę ciszej.

Upiór uparcie milczał.

– Daj spokój, wracaj na statek – polecił mu Ferrier. – I powiedz Abricowi, żeby przygotował nas do startu. Kasa sama się nie zainkasuje. – Spojrzał ostatni raz w górę. – A przy okazji może uda nam się pozbyć tego pyskatego hazardzisty – dodał z satysfakcją.

Rozdział 19

„Eteryczny Szlak” stopniowo nabierał kształtów i rósł w oczach, niczym bezkształtny kawał skały opadający z nieba ku lądowisku. Stojący w bezpiecznym cieniu tunelu wylotowego Karrde przyglądał mu się, gładząc w zamyśleniu rękojeść blastera i próbując zignorować lekki niepokój pełzający gdzieś po obrzeżach jego umysłu.

Mara spóźniła się trzy dni z powrotem z Abregado – i w normalnych okolicznościach nie przejąłby się tym zbytnio, jednak ta wyprawa zdecydowanie nie kwalifikowała się jako normalne okoliczności. Z drugiej jednak strony, gdy Jade weszła na orbitę, nikt nie siedział jej na ogonie, a poza tym podchodząc do lądowania, nadała odpowiednie kody, potwierdzające, że wszystko jest w porządku. Ogólnie rzecz biorąc, cała procedura lądowania póki co przebiegała bez specjalnych zakłóceń – jeśli nie liczyć niekompetencji kontrolerów, którym zdecydowanie za dużo czasu zajęło ustalenie, na które lądowisko ją skierować.

Karrde uśmiechnął się krzywo, patrząc, jak statek obniża lot. W ciągu ostatnich trzech dni zdarzało mu się myśleć o nienawiści Mary do Luke’a Skywalkera. Zastanawiał się wówczas, czy nie postanowiła przypadkiem zniknąć z jego życia równie niespodzianie, jak się w nim pojawiła. Wszystko wskazywało jednak na to, że trafnie ją ocenił. Mara Jade nie była ufna i niełatwo było ją do siebie przekonać, gdy już jednak obdarzyła kogoś lojalnością, mógł on na niej polegać w stu procentach. Gdyby zdecydowała się od niego odejść, na pewno nie uciekłaby skradzionym statkiem. A przynajmniej nie wykradzionym jemu.

„Eteryczny Szlak” za chwilę miał podejść do lądowania. Mara obracała go teraz na repulsorach włazem w stronę tunelu. Wydawało się również, że Karrde nie pomylił się także w swojej ocenie Hana Solo. Nawet jeśli były przemytnik nie był na tyle naiwny, by przysłać na Myrkr kalamariański krążownik, to

przynajmniej dotrzymał słowa i wydostał dla nich „Eteryczny Szlak”. Najwyraźniej przez trzy ostatnie dni Talon Karrde niepotrzebnie się zamartwiał.

Mimo to wciąż czuł dziwny niepokój.

Przy akompaniamencie syku gazów uwalnianych z obwodów pokładowych, „Eteryczny Szlak” opadł na spękaną płytę lądowiska.

Nie spuszczając oczu z zamkniętego włazu, Karrde odpiął od pasa komunikator i skontaktował się z rezerwowym obserwatorem.

– Dankin? Czy wszystko w porządku? Nic podejrzanego na horyzoncie?

– Wszystko gra – zapewnił go posłusznie rozmówca. – Cisza i spokój.

Talon pokiwał głową.

– Doskonale. Nie wychylaj się, ale bądź czujny. – Przypiął komunikator z powrotem do pasa. Kiedy trap „Szlaku” zaczął powoli opadać, dłoń powędrowała mu odruchowo do rękojeści blastera. Jeśli to pułapka, teraz był najlepszy moment na jej uruchomienie…

Właz otworzył się i stanęła w nim Mara. Rozejrzała się dookoła i zaczęła schodzić po rampie, natychmiast zauważając Talona w jego kryjówce w cieniu.

– Karrde? – zawołała.

– Witaj w domu, Maro – odpowiedział, wychodząc jej na spotkanie. – Trochę się spóźniłaś…

– Miałam przymusowy objazd – stwierdziła ponuro, idąc w jego stronę.

– Zdarza się – odparł, marszcząc czoło. Widział wyraźnie, że rozglądała się ukradkiem po lądowisku, a na jej twarzy malowało się dziwne napięcie. – Jakieś kłopoty? – spytał ją cicho.

– Nie wiem – mruknęła. – Mam wrażenie, że…

Nie zdążyła jednak dokończyć, bo komunikator u pasa Karrde’a zapiszczał niespodziewanie, aby za chwilę zaskrzeczeć w charakterystyczny sposób pod wpływem zagłuszania i zamilknąć.

– Za mną! – warknął Talon, sięgając po blaster i obracając się w stronę wyjścia. W głębi tunelu dostrzegał jakieś poruszenie. Podniósł broń, wycelował i wypalił… gdy nagle powietrze wokół niego przeszył ogłuszający huk wystrzału sonicznego, raniąc mu

boleśnie uszy i niemal ścinając go z nóg. Rozejrzał się, próbując pozbyć się dzwonienia w uszach, dokładnie w tej samej chwili, w której nad głową przemknęły mu dwa myśliwce TIE, rażąc wylot z tunelu serią z działek i wzbijając w powietrze chmurę na wpół stopionych szczątków skruszonej płyty lądowiska, blokującą im skutecznie drogę ucieczki. Karrde odruchowo oddał w ich stronę strzał, który nie mógł wyrządzić maszynom najmniejszej krzywdy.

Zamierzał właśnie wziąć z powrotem na cel postacie w tunelu, gdy bez uprzedzenia, jakby znikąd, na obrzeżach niecki lądowiska pojawiło się kilkunastu szturmowców, którzy błyskawicznie zaczęli się opuszczać do jej wnętrza po linach.

– Padnij! – krzyknął do Mary, ledwie słysząc własne słowa przez nieznośny szum w uszach. Zanurkował na ziemię, boleśnie tłukąc sobie przy tym lewe ramię i podnosząc blaster do strzału. Za pierwszym razem spudłował: promień energii minął najbliżej stojącego żołnierza o dobre pół metra. Talon zorientował się ze zdziwieniem, że imperialni nie odpowiedzieli ogniem… gdy nagle ktoś zręcznie wyłuskał mu z dłoni blaster.

Odtoczył się na bok, patrząc w osłupieniu na Marę.

– Co… – wykrztusił tylko na jej widok.

Stała nad nim z twarzą tak mocno ściągniętą od natłoku emocji, że ledwie ją rozpoznawał. Jej usta poruszały się, ale, Karrde nie słyszał, co do niego mówiła.

Nie potrzebował jednak żadnych wyjaśnień. O dziwo, nie był na nią wściekły – nie miał do niej pretensji ani z powodu zatajenia przed nim imperialnej przeszłości, ani też dlatego, że teraz najwyraźniej wróciła do swoich korzeni. Wyrzucał sobie jedynie, że dał się tak łatwo i naiwnie zwieść… Było mu też dziwnie żal, że stracił tak świetnego współpracownika.

Szturmowcy szarpnięciem postawili go na równe nogi i na wpół zawlekli, na wpół zaprowadzili go do desantowca osiadającego właśnie na płycie lądowiska tuż obok „Eterycznego Szlaku”.

Gdy szedł, zataczając się, w stronę statku, do głowy przyszła mu dziwna myśl: jasne, został zdradzony, schwytany i najprawdopodobniej czeka go śmierć… jednak teraz uzyskał

przynajmniej częściową odpowiedź na pytanie, dlaczego Mara tak bardzo chciała zabić Luke'a Skywalkera.

Mara łypnęła gniewnie na wielkiego admirała, zwijając dłonie w pięści i trzęsąc się ze wściekłości.

– Osiem dni, co, Thrawn? – parsknęła. Jej głos rozbrzmiewał dziwnym, głuchym echem, odbity od ścian przestronnego hangaru „Chimaery". – Powiedziałeś „osiem dni". Obiecałeś mi osiem dni!

Thrawn odwzajemnił jej spojrzenie z uprzejmym spokojem, który napełnił ją żądzą mordu. Miała ochotę skoczyć mu do gardła.

– Zmieniłem zdanie – oświadczył jak gdyby nigdy nic. – Przyszło mi do głowy, że Karrde nie tylko może odmówić nam zdradzenia lokalizacji Floty Katańskiej, ale także pożegnać się z tobą za samo sugerowanie, że mógłby chcieć dobić z nami targu.

– Jasna cholera! – warknęła, z najwyższym trudem panując nad sobą. – Od samego początku zamierzałeś mnie wykorzystać!

– I dzięki temu dostałem to, co chciałem – oświadczył bez zająknięcia. – Tylko to się liczy.

Coś w niej pękło. Ignorując obecność uzbrojonych szturmowców stojących tuż za nią, rzuciła się na Thrawna, sięgając zakrzywionymi w szpony palcami do jego gardła…

Nim jednak zdążyła się choćby do niego zbliżyć, na jej szyi i ramieniu zacisnęły się silne, kościste ramiona, wprawnym ruchem obracając ją i przyszpilając do pokładu. Uderzenie było tak silne, że odebrało jej oddech. Kątem oka dostrzegła noghryjskiego ochroniarza Thrawna.

Niewiele myśląc, chwyciła ramię otaczające żelaznym uściskiem jej gardło i jednocześnie wyprowadziła prawy łokieć w tył, celując w tułów szaroskórej istoty. Chybiła jednak, a gdy zacisnęła na ramieniu Noghriego drugą dłoń, na obrzeżach jej pola widzenia zaczęły migotać białe punkciki. Mocny ucisk tętnicy szyjnej groził jej szybką utratą przytomności, a ona zdawała sobie dojmująco sprawę z tego, że mdlejąc teraz, nic nie wskóra. Przestała więc się szamotać i została nagrodzona niemal natychmiastowym zwolnieniem morderczego uścisku.

Thrawn wciąż stał kilka kroków od niej, przyglądając się jej z lekkim rozbawieniem.

– To było bardzo nieprofesjonalne z twojej strony, Ręko Imperatora – zakpił.

Mara łypnęła na niego gniewnie i ponowiła atak… tym razem używając Mocy. Thrawn zmarszczył nieznacznie czoło i sięgnął do szyi, jakby próbował strzepnąć z niej jakąś nieuchwytną pajęczynę. Mara podwoiła wysiłki i admirał ponownie przesunął dłonią po gardle… gdy nagle to do niego dotarło.

– No dobrze, dosyć już tego – powiedział, jednak w jego głosie dało się dosłyszeć zauważalną zmianę. Zaczynał się irytować. – Przestań albo Rukh będzie zmuszony cię skrzywdzić.

Zignorowała go jednak, zamykając jego szyję w najmocniejszym uścisku, na jaki było ją stać. Thrawn wpatrywał się w nią bez mrugnięcia. Widziała, jak mięśnie szyi tężeją mu z wysiłku, gdy walczył z niewidzialnym uściskiem. Zacisnęła zęby, czekając na rozkaz albo gest, który zasygnalizowałby Noghriemu, że może ją zabić, albo który byłby dla szturmowców znakiem do strzału.

Jednak Thrawn tylko patrzył na nią – cichy i nieruchomy – i minutę później musiała przerwać swój atak, zdyszana i zrezygnowana.

– Mam nadzieję, że teraz już wiesz, jak bardzo ograniczoną mocą dysponujesz? – spytał ją lodowatym tonem Thrawn, rozmasowując gardło. Z jego głosu znikło wcześniejsze rozbawienie… – Czy to Imperator nauczył cię tej sztuczki?

– Nauczył mnie wielu sztuczek – wycedziła, starając się zignorować ostre pulsowanie w skroniach. – Między innymi tego, jak obchodzić się ze zdrajcami.

Czerwone oczy wielkiego admirała zalśniły.

– Uważaj, Jade – powiedział z cichą groźbą w głosie. – Teraz to ja rządzę Imperium. Nie jakiś od dawna nieżyjący Imperator, a już na pewno nie ty. Jedyną zdradą jest sprzeciwianie się moim rozkazom. Jestem skłonny pozwolić ci wrócić i zająć twoje prawowite miejsce w Imperium… być może jako pierwszy oficer jednego z katańskich drednotów? Jednak wystarczy choć jeden podobny wyskok, a wycofam bezpowrotnie swoją ofertę.

– A potem, jak sądzę, zabijesz mnie? – warknęła.

– Moje Imperium nie ma w zwyczaju marnować cennych zasobów – odparł admirał. – Zamiast tego trafisz więc do mistrza C'baotha jako mały bonus. Jak sądzę, wówczas zaczniesz szybko żałować, że cię nie zabiłem.

Wpatrywała się w niego, czując, jak po plecach pełznie jej zimny dreszcz.

– Kim… kim jest C'baoth?

– Joruus C'baoth to szalony mistrz Jedi – wyjaśnił z ponurą satysfakcją Thrawn. – Zgodził się pomóc nam w walce w zamian za Jedi, których mógłby kształtować według swojego spaczonego widzimisię. Twój przyjaciel Skywalker wpadł już w jego sieci. Liczymy na to, że wkrótce uda nam się dostarczyć mistrzowi siostrę Skywalkera, Organę Solo. – Rysy twarzy mu stwardniały. – Naprawdę nie chciałbym być zmuszony powiększać tego grona o ciebie.

Mara wzięła głęboki oddech.

– Rozumiem – wykrztusiła. – Dostałam nauczkę. To się już więcej nie powtórzy.

Przyglądał jej się przez chwilę, aż wreszcie kiwnął głową.

– Przeprosiny przyjęte – powiedział. – Rukh? Puść ją. Natychmiast. Rozumiem w takim razie, że chcesz wrócić na łono Imperium?

Noghri uwolnił jej szyję z uścisku – odniosła wrażenie, że dziwnie niechętnie – i cofnął się o krok.

– Co z resztą ludzi Karrde'a? – spytała.

– Tak jak ustaliliśmy, puszczę ich wolno. Odwołałem już poszukiwania i rozkaz zatrzymania członków waszej grupy, zaś kapitan Pellaeon wycofuje w tej chwili list gończy, dzięki czemu nie będą już musieli się martwić łowcami nagród.

– A co z Karrde'em?

Thrawn przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

– Pozostanie na pokładzie, dopóki nie zdradzi mi położenia Floty Katańskiej. Jeśli uczyni to względnie szybko, ograniczając nam zachodu, otrzyma trzy miliony rekompensaty, o których

rozmawialiśmy nad Endorem. Jeżeli nie… Cóż, wówczas chyba nie będziemy mieli komu wypłacić tej kwoty.

Marze drgnęły wargi. Wiedziała, że to nie blef. Wiedziała aż za dobrze, jak kończyli nieszczęśnicy przesłuchiwani przez Imperium.

– Czy mogę z nim porozmawiać? – spytała cicho.

– Po co?

– Może uda mi się go namówić do współpracy…

Wielki admirał uśmiechnął się pod nosem.

– Albo przynajmniej przekonać go, że wcale go nie zdradziłaś?

– Przecież nie uwolnię go z aresztu – powiedziała, siląc się na spokój. – Równie dobrze może poznać prawdę.

Thrawn podniósł brwi.

– Nie sądzę – zaprzeczył. – Poczucie osamotnienia i zdrady to jedno z najskuteczniejszych narzędzi psychologicznych w naszym arsenale. Czasem wystarczy na kilka dni pozostawić kogoś sam na sam z czarnymi myślami, by nakłonić go do współpracy bez konieczności uciekania się do brutalniejszych metod.

– Thrawn… – zaczęła Mara, jednak urwała, tłumiąc w sobie kolejny wybuch wściekłości.

– O, teraz zdecydowanie lepiej – pochwalił ją, lustrując spokojnie jej twarz. – Szczególnie ze względu na fakt, że alternatywę stanowi bezpośrednie przekazanie go w ręce droida przesłuchującego. Czy tego właśnie chcesz?

– Nie, admirale – przyznała, ogarnięta bezsilnością. – Ja tylko… Karrde pomógł mi, gdy nie miałam dokąd iść.

– Wiem, co czujesz – zapewnił ją Thrawn, mierząc ją znów surowym wzrokiem. – Ale tu nie ma miejsca na podobne emocje. Żaden oficer floty imperialnej nie może sobie pozwolić na luksus dowolnego szafowania własną lojalnością… a już na pewno nie taki, który chciałby kiedyś sam objąć dowództwo.

Mara wyprostowała się znowu i spojrzała mu w oczy.

– Tak jest, sir. To się już więcej nie powtórzy.

– Mam taką nadzieję. – Thrawn spojrzał nad jej ramieniem i skinął głową. Na jego znak szturmowcy zaczęli wycofywać się niemal bezszelestnie. – Stanowisko oficera pokładowego znajduje się tuż za wieżyczką kontrolną – dodał, wskazując dużą

transparistalową bańkę umieszczoną wśród zawieszonych na szynach myśliwców TIE, mniej więcej w trzech czwartych wysokości tylnej ściany hangaru. – On przydzieli ci prom i pilota, który zabierze cię z powrotem na powierzchnię planety.

Nie musiała pytać, by zrozumieć, że ich spotkanie dobiegło końca.

– Tak jest, admirale – powiedziała, a potem minęła go i ruszyła w stronę wskazanych drzwi. Przez chwilę czuła na sobie jego wzrok, po czym jej uszu dobiegło ciche echo jego kroków, gdy odwrócił się w stronę wind za prawoburtową grodzią.

O tak, wielki admirał bez wątpienia osiągnął swój cel. Niekoniecznie jednak uzyskał efekt, o jaki mu chodziło. Tym jednym, jakże beztroskim aktem zdrady zgasił nieodwracalnie tlącą się w niej ostatnią, maleńką iskierkę nadziei, że być może nowe Imperium dorówna kiedyś świetnością temu, które odebrał jej Luke Skywalker.

Imperium, któremu służyła niegdyś z taką dumą, zniknęło. Na zawsze.

Przekonała się o tym bardzo boleśnie – i kosztowny. W ten sposób mogła stracić wszystko, co z takim trudem budowała przez ostatni rok.

Niewykluczone też, że Karrde przypłaci to życiem. A jeśli tak się stanie, to zginie, przekonany, że z rozmysłem zdradziła go i wydała w ręce Thrawna.

Na samą myśl o tym poczuła się, jakby ktoś wraził w jej wnętrzności rozpalone ostrze. Przepełniła ją mieszanka gniewu na Thrawna za to, że ją okłamał, i wściekłości na samą siebie: jak mogła być tak naiwna, by w ogóle mu uwierzyć? Pod jakimkolwiek kątem analizowała tę sytuację, to ona ponosiła winę.

I ona będzie musiała to wszystko naprawić.

Obok drzwi wiodących do biura oficera pokładowego widniało szerokie, łukowato sklepione przejście prowadzące z hangaru do znajdujących się za nim pomieszczeń serwisowych i sal odpraw. Zerkając przez ramię, Mara kątem oka dostrzegła Thrawna i jego noghryjskiego ochroniarza wchodzących właśnie do turbowindy. Szturmowcy również zniknęli – prawdopodobnie członkowie eskorty wrócili do koszar, aby zdać raport z misji. Po hangarze kręciło się ze

dwadzieścia do trzydziestu osób, jednak żadna z nich raczej nie zwracała na nią specjalnej uwagi.

Mara zdawała sobie sprawę, że drugiej szansy prawdopodobnie nie dostanie. Nasłuchując pilnie ewentualnych okrzyków lub odgłosów strzałów z blastera, które oznaczałyby, że została przyłapana, minęła biuro oficera pokładowego i weszła przez otwarte drzwi do sali odpraw.

Tuż przy wejściu, w miejscu umożliwiającym dostęp zarówno z hangaru, jak i z samej sali odpraw, znajdował się wbudowany w ścianę terminal. Wiedziała, że jego dogodne umiejscowienie będzie prawdopodobnie oznaczało wzmocnioną ochronę na wypadek nieautoryzowanego dostępu – zapewne jego uruchomienie wymagało użycia skomplikowanego kodu. Niewykluczone, że zmienianego często, w regularnych odstępach czasu, jeśli wziąć pod uwagę ostrożność Thrawna. Tym, czego wielki admirał nie wiedział, było to, że Imperator zagwarantował sobie tajny dostęp, coś w rodzaju ukrytej furtki, do każdego z głównych komputerów na pokładach gwiezdnych niszczycieli. To dawało mu gwarancję – najpierw w okresie umacniania władzy, a następnie podczas chaosu, który rozpętał się, gdy Rebelia zaczęła stawiać opór – że żaden z dowódców nie pozbawi go kontroli nad własną flotą. Ani jego… ani najlepszych spośród jego agentów.

Wpisała kod obejścia, pozwalając sobie na skąpy uśmiech. Thrawn mógł ją sobie uważać za dziewczynkę na posyłki o rozbuchanym ego, jeśli tylko chciał. Ona wiedziała swoje – i to jej wystarczało.

Kod został przyjęty i już po chwili miała dostęp do systemu.

Wywołała na ekran katalog główny, próbując stłumić nagły lęk, że być może ściągnęła sobie z powrotem na głowę szturmowców. Tajnego kodu dostępu nie można było obejść ani zablokować, jeśli jednak Thrawn domyślał się jego istnienia, bez trudu mógł uzbroić system w alarm, który ostrzegłby go natychmiast, gdyby ktoś próbował dostać się do komputera w ten sposób. A jeżeli rzeczywiście tak było… cóż, tym razem będzie potrzebowała czegoś zdecydowanie bardziej przekonującego niż tylko pokaz potulności, aby się z tego wykaraskać.

Katalog pojawił się jednak na ekranie, a w pobliżu nadal nie widać było szturmowców. Wyszukała indeks części więziennej i przebiegła wzrokiem spis, żałując przelotnie, że nie ma przy sobie droida astromechanicznego, takiego jak ten, z którym prowadzał się Skywalker, który pomógłby jej przez to wszystko przebrnąć. Nawet jeśli Thrawn nie przewidział, że Imperator wyposaży ją w tajny kod dostępu, to z pewnością uprzedził oficera pokładowego, że powinien się jej lada chwila spodziewać. A jeśli ktoś w wieżyczce kontrolnej zauważy, że Mara się spóźnia, i wyśle kogoś na jej poszukiwania…

O tak: zaktualizowana lista więźniów. Właśnie tego szukała. Wywołała ją na ekran, wyświetlając jednocześnie schemat bloku więziennego. Następnie przyjrzała się grafikowi dyżurów, zwracając szczególną uwagę na godziny zmian warty, a następnie rzuciła okiem na dziennik rozkazów oraz dane dotyczące kursu obranego przez „Chimaerę" i celów jej podróży w ciągu najbliższych sześciu dni. Thrawn zasugerował, że zaczekają jeszcze trochę, nim przystąpią do oficjalnego przesłuchiwania, tak aby nuda, stres i własna wyobraźnia zmiękczyły Karrde'a i osłabiły jego opór. Mogła mieć tylko nadzieję, że zdoła wrócić tu, nim ten czas dobiegnie końca…

Kiedy zamykała wszystkie okna, poczuła, że po kręgosłupie spływa jej kropelka potu. Teraz dopiero zaczynała się prawdziwa zabawa… Idąc tutaj, rozważała to wszystko w myśli na kilka różnych sposobów i za każdym razem dochodziła do takiego samego, mrożącego krew w żyłach wniosku. Karrde niemal na pewno musiał zadbać o rezerwowego obserwatora, który śledził przylot „Eterycznego Szlaku" i który musiał widzieć zasadzkę szturmowców. Jeśli wróci teraz do bazy cała i zdrowa po wizycie na pokładzie „Chimaery", za nic w świecie nie zdoła przekonać jego ludzi, że nie wydała go w ręce Imperium. Cóż, będzie miała szczęście, jeśli od razu jej nie zastrzelą…

Zdawała sobie jednak sprawę, że nie zdoła uratować Karrde'a w pojedynkę. A skoro nie mogła liczyć na pomoc członków jego grupy, to na jej liście zostawała tylko jedna osoba w galaktyce, którą mogła prosić o wsparcie. Jedyna, która być może czuła, że ma wobec Karrde'a dług wdzięczności.

Zacisnąwszy zęby, wyszukała w komputerze dane na temat obecnego miejsca pobytu mistrza Jedi nazwiskiem Joruus C'baoth.

Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, nim terminal wypluł z siebie tę informację, a wówczas po jej plecach chodziły już nieprzyjemne ciarki. Zapamiętała nazwę planety – Jomark – i najlepiej, jak umiała, wykasowała wszelkie ślady mogące świadczyć o tym, że ktoś buszował w systemie. I tak już strwoniła niebezpiecznie dużo czasu na grzebanie w archiwum, a gdyby ktoś przyłapał ją teraz na przeglądaniu plików, do których w ogóle nie powinna mieć dostępu, zapewne szybko wylądowałaby w celi obok Karrde'a.

Niewiele brakowało. Skończyła właśnie sprzątać po swojej przelotnej wizycie i odwróciła się w kierunku łukowatego wejścia, gdy z hangaru wynurzył się młody oficer, idący w jej stronę w eskorcie trzech żołnierzy. Wszyscy sprawiali wrażenie czujnych i rozglądali się w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak kłopotów. Jeden z nich ją zauważył i mruknął coś do oficera…

– Przepraszam! – zawołała Mara, gdy cała czwórka zwróciła się w jej stronę. – Czy mogliby mi panowie powiedzieć, gdzie znajdę oficera pokładowego?

– To ja – poinformował ją młody mężczyzna, mierząc ją pogardliwym wzrokiem i zatrzymując się tuż przed nią. – Ty jesteś Mara Jade?

– Tak – potwierdziła, starając się wyglądać najniewinniej, jak zdołała. – Powiedziano mi, że znajdę tu gdzieś w pobliżu pana biuro, ale chyba się zgubiłam.

– Jest po drugiej stronie ściany – warknął oficer, a potem przepchnął się bezceremonialnie obok niej, podchodząc do terminala, przy którym jeszcze przed chwilą majstrowała. – Dłubałaś przy tym? – spytał, wciskając kilka klawiszy.

– Nie – zapewniła go. – Dlaczego pan pyta?

– Mniejsza o to – mruknął oficer pod nosem. – Jest zabezpieczony. – Przez chwilę rozglądał się dookoła, jakby w poszukiwaniu jakiegoś innego powodu, dla którego mogłaby się tu kręcić, gdy jednak nic takiego nie znalazł, powoli, niemal

niechętnie, skupił znów uwagę na niej. – Otrzymałem rozkaz dostarczenia cię z powrotem na planetę.

– Wiem. – Kiwnęła głową. – Możemy lecieć.

Prom wystartował, obrócił się i wyprysnął w niebo. Stojąca na trapie „Eterycznego Szlaku" Mara obserwowała, jak imperialny statek znika nad krawędzią niecki lądowiska. W powietrzu wciąż unosił się swąd stopionych ceramicznych płyt.

– Aves? – zawołała. – Daj spokój, Aves. Wiem, że gdzieś tam jesteś!

– Odwróć się powoli i ręce do góry – odpowiedział ktoś z cienia wewnątrz statku. – Wysoko. I nie zapominaj, że wiem o tym twoim podręcznym pistoleciku.

– Imperialni go zarekwirowali – poinformowała go, odwracając się plecami do niego i podnosząc ręce nad głowę. – Poza tym nie wróciłam, żeby walczyć. Przybyłam po pomoc.

– Chcesz pomocy? To idź do swoich nowych przyjaciół tam w górze! – warknął Aves. – A może byli twoimi przyjaciółmi od zawsze, co?

Mara wiedziała, że próbuje ją sprowokować, tak aby mógł wyładować swój gniew i frustrację podczas sprzeczki lub strzelaniny.

– Nie zdradziłam go, Aves – powiedziała cicho. – Imperium mnie zatrzymało, a ja próbowałam się wykpić, żeby zapewnić nam nieco czasu na ucieczkę. Nie udało mi się.

– Nie wierzę ci – rzucił beznamiętnie Aves. W ciszy usłyszała stłumiony szczęk kroków na metalowej powierzchni, gdy wyszedł ostrożnie na trap.

– Wierzysz. – Pokręciła głową. – Gdyby było inaczej, nie przyszedłbyś tu.

Poczuła na karku jego oddech, gdy zatrzymał się tuż za nią.

– Ani drgnij – rzucił, a potem ostrożnie sięgnął do jej lewego przedramienia i odsunął rękaw. Jego oczom ukazała się pusta kabura. Sprawdził dla pewności jeszcze drugi rękaw, a potem ją

obszukał. – W porządku, możesz się odwrócić – powiedział, cofając się o krok.

Posłuchała. Stał niecały metr od niej, z nachmurzoną miną i wycelowanym w nią blasterem.

– Spójrz na to z drugiej strony, Aves – zasugerowała. – Czy gdybym zdradziła Karrde'a i wydała go w ręce Imperium, przylatywałabym tu ponownie? Sama?

– Może chciałaś coś zabrać z „Eterycznego Szlaku" – rzucił ostrym tonem. – Albo to jakaś następna sztuczka, aby wyłapać całą resztę.

Mara zacisnęła zęby.

– Jeśli naprawdę w to wierzysz – powiedziała cicho – równie dobrze możesz mnie teraz zastrzelić. No, dalej, nie krępuj się. Nie zdołam uwolnić Karrde'a bez twojej pomocy.

Przez długą chwilę milczał, mierząc do niej w ciszy.

Mara przyglądała mu się, próbując nie zwracać uwagi na jego zbielałe knykcie.

– Wiesz, że reszta ci nie pomoże? – spytał. – Połowa jest przekonana, że manipulowałaś Karrde'em od chwili, gdy do nas dołączyłaś. Większość uważa cię za chorągiewkę na wietrze. Za kogoś, kto co chwila oferuje swoje usługi komu innemu.

Mara się skrzywiła.

– Kiedyś tak było – przyznała. – Ale to już dawne czasy.

– Potrafisz to jakoś udowodnić?

– Tak. Wyciągając stamtąd Karrde'a – odpowiedziała. – Słuchaj, nie mam czasu na pogaduszki. Pomożesz mi czy mnie zastrzelisz?

Wahał się przez kolejną chwilę, jednak wreszcie, z ociąganiem, opuścił lufę blastera.

– Chyba właśnie podpisałem na siebie wyrok śmierci – burknął. – Czego chcesz?

– Na początek statku – powiedziała, wypuszczając cicho powietrze z płuc. Aż do teraz nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymuje oddech. – Czegoś mniejszego i szybszego od „Eterycznego Szlaku". Jedna z tych trzech zmodyfikowanych kanonierek typu Skipray, które sprowadziliśmy z Vagrana, byłaby idealna. Będę też potrzebowała któregoś z tych isalamirów, jakie

trzymaliśmy na pokładzie „Dzikiego Karrde'a". Najlepiej ze stelażem.

Aves zmarszczył czoło.

– Po co ci isalamir?

– Zamierzam uciąć sobie pogawędkę z pewnym Jedi – wyjaśniła krótko. – I chcę mieć pewność, że mnie wysłucha.

Przyglądał jej się przez moment. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Chyba nie chcę znać szczegółów. Coś jeszcze?

Pokręciła głową.

– To wszystko.

Zmrużył podejrzliwie oczy.

– Nic więcej?

– Nic więcej – powtórzyła. – Jak szybko zdołasz mi dostarczyć jedno i drugie?

Chłopak zacisnął usta i zastanawiał się przez kilka sekund.

– Powiedzmy, za godzinę – stwierdził w końcu. – Kojarzysz to wielkie bagno jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ od miasta?

– Jest tam coś w rodzaju podmokłej wysepki w okolicy wschodniego brzegu. – Pokiwała głową.

– Właśnie. Przyprowadź tam „Eteryczny Szlak", to zrobimy podmianę. – Obejrzał się na frachtowiec. – Jeśli sądzisz, że możesz go stąd bezpiecznie zabrać.

– Chyba tak – odpowiedziała. – Thrawn powiedział, że odwołał wszystkie służby wysłane z rozkazem poszukiwania reszty grupy i cofnął nakaz aresztowania. Lepiej jednak będzie, jeśli znikniecie stąd po moim odlocie. Gdy… *jeśli* wydostanę Karrde'a – poprawiła się – zwali wam się na głowę cała flota. Dobrze byłoby jednak, gdybyście przeskanowali porządnie „Eteryczny Szlak" przed odlotem. Na pokładzie musi gdzieś być boja namierzająca, inaczej Thrawn nie znalazłby mnie tak szybko. – Wargi drgnęły jej zauważalnie, gdy dodała: – A jak go znam, to teraz też kogoś za mną wysłał. Muszę się go pozbyć, nim opuszczę planetę.

– Mógłbym ci pomóc – zaproponował ponuro Aves. – Skoro i tak się stąd zwijamy…

– Hm, racja. – Mara przez chwilę zastanawiała się, czy jest jeszcze coś, o czym powinien wiedzieć. – To chyba wszystko – stwierdziła

po namyśle. – Ruszajmy.

– Dobrze. – Zawahał się, ale po chwili dodał: – Nadal nie wiem, po czyjej jesteś stronie, Maro. Jeśli po naszej… powodzenia.

Pokiwała głową ze ściśniętym gardłem.

– Dzięki.

Dwie godziny później siedziała już bezpiecznie w kokpicie kanonierki typu Skipray, kierując się ku otwartej przestrzeni z dziwnym wrażeniem *déjà vu*. Zaledwie kilka tygodni temu na pokładzie identycznego statku puściła się w pogoń za zbiegłym więźniem nad puszczą na Myrkr. Zupełnie jakby historia zatoczyła błędne koło, teraz ponownie ruszała na poszukiwania Luke'a Skywalkera.

Tym razem jednak nie po to, by go schwytać czy zabić… tylko aby go błagać o pomoc.

Rozdział 20

Z grupy stojącej pod tylną ścianą wynurzyła się ostatnia dwójka z szukających dziś sprawiedliwości wieśniaków i podeszła do tronu C'baotha. Mistrz Jedi patrzył, jak się do niego zbliżają, a potem wstał, tak jak się spodziewał Luke.

– Jedi Skywalkerze – powiedział starzec, wskazując mu siedzisko. – Rozstrzygnięcie ostatniej sprawy tego wieczoru powierzam tobie.

– Dziękuję, mistrzu – odparł Luke, przygotowując się mentalnie do czekającego go zadania. Podszedł do tronu i ostrożnie zajął miejsce starego Jedi.

Pierwszą jego myślą było, że tron jest koszmarnie niewygodny: zbyt nagrzany, za duży i stanowczo za bogato zdobiony. Wydzielał jeszcze silniej niż reszta otoczenia C'baotha dziwną woń, którą wyczuł wcześniej w jego domostwie, i emanował niepokojącą aurą. Luke zakładał, ze stanowiła ona skutek uboczny wielu godzin, które Jedi spędził na tronie, sądząc swój lud.

Teraz on miał przejąć pałeczkę…

Wziął głęboki oddech, próbując otrząsnąć się ze znużenia, które od jakiegoś czasu zdawało mu się towarzyszyć na każdym kroku, i skinął wieśniakom głową.

– Jestem gotów – oznajmił. – Możemy zaczynać.

Okazało się, że spór nie był zbyt skomplikowany: bydło pierwszego z mężczyzn zniszczyło ogrodzenie i ogołociło z owoców kilka krzewów drugiego, nim zostało przyłapane na gorącym uczynku i odprowadzone do właściciela. Ten był skłonny powetować sąsiadowi straty, wypłacając rekompensatę, jednak poszkodowany upierał się, by pierwszy z mężczyzn odbudował również płot. Właściciel bydła dowodził z kolei, że gdyby ogrodzenie było solidne, zwierzęta nie weszłyby w szkodę, a poza tym podczas forsowania płotu pokaleczyły się o ostre krawędzie.

Luke siedział w milczeniu i pozwalał im mówić, dopóki nie wyczerpały im się argumenty i kontrargumenty.

– W porządku – powiedział, gdy skończyli się przerzucać oskarżeniami. – Jeśli chodzi o same krzewy, to mój werdykt jest taki, że ty – kiwnął głową w stronę pierwszego z wieśniaków – zapłacisz za te, których nie da się odratować, a także uiścisz dodatkową rekompensatę za owoce zjedzone lub zniszczone przez bydło. Wysokość odszkodowania określi rada wioski.

Stojący obok niego C'baoth drgnął i Luke skrzywił się, wyczuwając jego dezaprobatę. Przez chwilę był w rozterce: czy nie powinien cofnąć wyroku i zaproponować innego rozwiązania? Uznał jednak po krótkim namyśle, że taka szybka zmiana zdania nie będzie dobrym pomysłem. A poza tym naprawdę nie wiedział, co innego mógłby w tej sytuacji orzec.

A więc właściwie co tu robił?

Rozejrzał się dookoła, próbując zwalczyć nagłe zdenerwowanie. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco: C'baoth, dwójka petentów, a także reszta wieśniaków, którzy zgromadzili się tu dzisiaj, by prosić mistrza Jedi o rozstrzygnięcie swoich sporów. Wszyscy oczekiwali, że podejmie właściwą decyzję.

– A co się tyczy ogrodzenia… przyjrzę mu się jutro z rana – ogłosił. – Chciałbym ocenić, jak mocno płot został zniszczony, zanim wydam wyrok.

Mężczyźni skłonili mu się i wrócili na swoje miejsca.

– Niniejszym ogłaszam dzisiejsze spotkanie za zakończone! – zawołał C'baoth. Jego głos odbił się gromkim echem od ścian pomieszczenia, mimo niewielkiego metrażu.

Efekt był na tyle interesujący, że Luke zaczął się zastanawiać, czy była to zasługa akustyki pokoju, czy też może jakaś sztuczka Jedi, której nie nauczył go mistrz Yoda. Tak czy inaczej, nie był w stanie wyobrazić sobie sytuacji, w której by mu się ona przydała.

Gdy ostatni z wieśniaków wyszedł, C'baoth odchrząknął i Skywalker odruchowo przygotował się na reprymendę.

– Czasem się zastanawiam, Jedi Skywalkerze – zagadnął go starzec zjadliwym głosem – czy w ogóle mnie słuchałeś przez kilka ostatnich dni.

– Przykro mi, mistrzu – bąknął Luke, czując w gardle znajome dławienie spowodowane poczuciem winy. Nieważne, jak bardzo się

starał, wyglądało na to, że nie jest w stanie sprostać oczekiwaniom starego mistrza Jedi.

– Przykro? – Brwi Joruusa C'baotha powędrowały wysoko w górę. – Jest ci *przykro*? Jedi Skywalkerze, mogłeś załatwić to wszystko w mgnieniu oka! Powinieneś był przerwać tę ich czczą paplaninę znacznie wcześniej. Twój czas jest zbyt cenny, by trwonić go na wysłuchiwanie podobnych błahostek. Sam powinieneś był określić wysokość odszkodowania, zamiast zdawać się na decyzję wiejskiej rady! A co się tyczy płotu… – Potrząsnął z lekkim zdegustowaniem głową. – Absolutnie nie widzę powodu, dla którego miałbyś to odwlekać. Wszystko, co musiałeś wiedzieć o skali zniszczeń, było na wyciągnięcie ręki, w ich umysłach! Nawet ty nie powinieneś mieć trudności z wydobyciem od nich tych informacji.

Luke przełknął ślinę.

– Tak jest, mistrzu – wydukał. – Ale czytanie w umysłach innych istot w takim celu wydaje się… niewłaściwe.

– Nawet jeśli wykorzystujesz tę wiedzę, by im pomóc? – parsknął starzec. – Jak możesz uważać, że to niewłaściwe?

Młody Jedi machnął bezradnie ręką.

– Próbuję to wszystko zrozumieć, mistrzu, ale… to wszystko jest dla mnie takie… nowe!

C'baoth nastroszył krzaczaste brwi.

– Czyżby, Jedi Skywalkerze? Naprawdę to wszystko stanowi dla ciebie nowość? Chcesz powiedzieć, że nigdy nie wpłynąłeś na kogoś wbrew jego woli, aby mu pomóc? Ani nie zignorowałeś jakichś idiotycznych biurokratycznych zasad stojących ci na drodze, aby osiągnąć to, co należało zrobić?

Luke wrócił myślą do wydarzeń na Sluis Van, kiedy to wraz z Landem wykorzystali nielegalny kod do przyspieszenia naprawy jego X-winga.

– Cóż, tak, zdarzyło mi się coś podobnego – przyznał. – Ale to… co innego. Mam wrażenie, że… Hm, sam nie wiem. Jakbym brał większą odpowiedzialność za życie tych ludzi, niż powinienem.

– Doskonale rozumiem twoje obawy – powiedział C'baoth, tym razem nieco łagodniej. – Jednak to właśnie sedno całej sprawy: to przyjęcie na siebie odpowiedzialności za innych odróżnia Jedi od

pozostałych istot zamieszkujących galaktykę. – Westchnął ciężko. – Nie możesz nigdy zapominać, Luke, że koniec końców ci ludzie to stworzenia prymitywne. Tylko pod naszym przewodnictwem mają szansę osiągnąć prawdziwą dojrzałość.

– Nie nazwałbym ich prymitywnymi, mistrzu – stwierdził ostrożnie Skywalker. – Korzystają z osiągnięć technologii, mają dość skuteczny system sprawowania władzy i…

– To tylko zdobycze cywilizacji pozbawione prawdziwego znaczenia – prychnął z pogardą mistrz Jedi. – Maszyny i istnienie hierarchii społecznej nie mogą świadczyć o dojrzałości danej kultury, Jedi Skywalkerze. Bo tę określa jedynie zrozumienie Mocy i możliwość jej wykorzystania. – Spojrzał w jakiś bliżej nieokreślony punkt zamglonym wzrokiem, jakby wrócił myślami do przeszłości. – Istniała niegdyś taka idealna społeczność – powiedział cicho. – Imponujący, wspaniały przykład osiągnięć, do których wszyscy powinni dążyć. Przez tysiąc pokoleń wyróżnialiśmy się wśród pomniejszych istot galaktyki, stojąc na straży sprawiedliwości i porządku. Byliśmy twórcami prawdziwej cywilizacji. Senat mógł sobie dyskutować i ustalać prawo, jednak to Jedi je egzekwowali. – Skrzywił usta. – I jak nam się odwdzięczono? Galaktyka nas zniszczyła!

Luke zmarszczył czoło.

– Wydawało mi się, że stali za tym Imperator i paru Mrocznych Jedi…

C’baoth uśmiechnął się gorzko.

– Czy naprawdę wydaje ci się, że Imperatorowi udałoby się to bez cichego przyzwolenia całej galaktyki? – Pokręcił głową. – O nie, Luke. Oni nas nienawidzili. Te wszystkie niższe istoty nienawidziły nas za to, że byliśmy potężniejsi, mądrzejsi i wiedzieliśmy więcej od nich. Nienawidziły nas za naszą… dojrzałość. – Uśmiech znikł bez śladu. – I wciąż tę nienawiść żywią. Poczekaj tylko, by Jedi się odrodzili, a ta nienawiść wybuchnie na nowo.

Skywalker pokręcił powoli głową. To wszystko naprawdę nijak się miało do tego, co wiedział na temat unicestwienia Jedi – choć nie było tego specjalnie wiele. Z drugiej jednak strony nie mógł przecież pamiętać tamtych czasów. W przeciwieństwie do C’baotha.

– Trudno mi w to uwierzyć – wymamrotał.

– Lepiej w to uwierz, Jedi Skywalkerze – zagrzmiał mistrz Jedi, a gdy Luke podchwycił jego wzrok, dostrzegł w nim płomień lodowatej zaciekłości. – Właśnie dlatego musimy trzymać się razem: ty i ja. Dlatego musimy być czujni wobec świata, który chce nas niszczyć. Czy teraz już rozumiesz?

– Ja… chyba tak – bąknął Luke, trąc ze znużeniem oczy.

Miał problem z zebraniem myśli, czuł się tak potwornie zmęczony… Gdy jednak spróbował skupić się na słowach C'baotha, z obrzeży pamięci napłynęły nieproszone wspomnienia. Mistrz Yoda, mrukliwy, ale nieustraszony, nie miał w sobie śladu goryczy ani gniewu z powodu zagłady Jedi. Ben Kenobi w kantynie Mos Eisley, wzbudzający pośród szemranej klienteli nabożny niemal lęk, ale i szacunek po tym, jak został zmuszony rozprawić się z tamtymi dwoma awanturnikami… A także najświeższy z obrazów, scena z kafejki na Nowej Kowii, gdy tamten Barabel poprosił go – obcą przecież osobę – o pomoc i bez szemrania przyjął wydany przez Luke'a wyrok, nie zgłaszając zastrzeżeń, nawet jeśli nie do końca mu się on podobał. A także reszta bywalców lokalu, patrząca na niego z nadzieją i oczekiwaniem… oraz ulgą, że pośród nich znalazł się Jedi, który z pewnością będzie w stanie dopilnować, by sprawy nie wymknęły się spod kontroli.

– Nie doświadczyłem nigdy podobnej nienawiści – wyznał.

C'baoth spojrzał na niego spod krzaczastych brwi.

– Doświadczysz jej jeszcze – zapewnił go ponuro. – Podobnie jak twoja siostra. I jej dzieci.

Luke poczuł w piersi nagły chłód.

– Zdołam je ochronić.

– A czy zdołasz je też nauczać? – spytał go mistrz Jedi. – Czy posiadasz wiedzę i umiejętności niezbędne do przekazywania tajników Mocy?

– Tak sądzę.

C'baoth parsknął kpiąco.

– Jeśli sądzisz, ale nie masz pewności, narażasz je na niebezpieczeństwo – warknął. – Czy naprawdę chcesz, by o ich losie przesądzały twoje egoistyczne zachcianki?

– To nie są żadne zachcianki – zaprotestował Luke. – Wiem, że wraz z Leią zdołamy tego dokonać.

– Jeśli spróbujesz, wystawisz je na pokusy ciemnej strony – ostrzegł go C'baoth, a potem westchnął i rozejrzał się po pokoju. – Nie możemy na to pozwolić, Luke – dodał cicho. – Jest nas tak niewielu… Wciąż trwa niekończąca się wojna o władzę, a galaktyka pogrąża się w chaosie. To właśnie my, którzy przetrwaliśmy, musimy stawić czoła tym, którzy chcą wszystko zniszczyć. – Spojrzał znów na swojego ucznia. – O nie, nie możemy ryzykować, że znów nas rozdzielą i zniszczą. Musisz sprowadzić do mnie swoją siostrę i jej dzieci.

– Nie mogę tego zrobić – odparł Skywalker, jednak na widok miny C'baotha dodał szybko: – To znaczy mam na myśli, nie teraz. Leia nie powinna teraz podróżować, to zbyt niebezpieczne. Imperium poluje na nią od wielu miesięcy, a Jomark leży w pobliżu ich terytorium.

– Wątpisz w to, że zdołam ją ochronić?

– Ja… ależ skąd, nie wątpię w ciebie, mistrzu – odpowiedział Luke, ostrożnie dobierając słowa. – Po prostu… – Urwał, bo C'baoth zamarł nagle, wpatrzony znów nieprzytomnym wzrokiem w przestrzeń. – Mistrzu? – zagadnął go niepewnie. – Czy wszystko w porządku? – Gdy stary Jedi nie odpowiedział, Luke podszedł do niego, próbując wysondować go poprzez Moc i zastanawiając się z niepokojem, czy mistrzowi przypadkiem nic nie dolega.

Niestety, jak zawsze umysł starszego mężczyzny był przed nim szczelnie zamknięty.

– Chodźmy już, mistrzu – powiedział więc, biorąc go ostrożnie pod rękę. – Zaprowadzę cię do twoich komnat.

C'baoth zamrugał gwałtownie i z widocznym trudem skupił spojrzenie na swoim uczniu, a potem zaczerpnął tchu… i nagle odzyskał nad sobą panowanie.

– Jesteś zmęczony, Luke – powiedział dobrotliwie. – Zostaw mnie i wracaj do siebie. Musisz się wyspać.

Owszem, Luke padał z nóg, nie było sensu zaprzeczać.

– Czy nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku – zapewnił go C’baoth z dziwną determinacją.

– Gdybyś potrzebował mojej pomocy…

– Powiedziałem: zostaw mnie! – warknął starzec. – Jestem mistrzem Jedi! Nie potrzebuję niczyjej pomocy!

Luke nagle zorientował się, że stoi dwa kroki od niego, chociaż nie przypominał sobie, by się cofał.

– Wybacz, mistrzu – bąknął. – Nie chciałem cię urazić…

Rysy twarzy starszego mężczyzny złagodniały.

– Wiem – powiedział cicho, wziął kolejny głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze z płuc. – Przyprowadź do mnie swoją siostrę, Jedi Skywalkerze. Ochronię ją przed Imperium… i nauczę ją rzeczy, o jakich nawet ci się nie śniło.

Gdzieś z tyłu umysłu Luke’a rozbrzmiał cichy, ostrzegawczy głosik. W tych słowach, czy raczej w sposobie, w jaki wypowiedział je C’baoth, było coś…

– A teraz wracaj do swoich komnat – polecił mu mistrz Jedi. Luke znów miał wrażenie, że C’baoth błądzi myślami gdzieś daleko. Świadczył o tym jego rozbiegany wzrok. – Wyśpij się. Rano porozmawiamy.

Widziała go: stał przed nią z twarzą na wpół skrytą pod kapturem szaty. Mimo dzielącego ich nieskończonego dystansu czuła na sobie palące spojrzenie jego świdrujących, żółtych oczu. Jego wargi poruszały się, jednak nie słyszała słów. Zagłuszało je chrapliwe wycie alarmu, napełniające ją trwogą niebezpiecznie bliską paniki. Nagle między nią a Imperatorem pojawiły się dwie postacie: mroczna, budząca słuszną grozę sylwetka Dartha Vadera oraz mniejsza figura odzianego w czerń Luke’a Skywalkera. Stali przed Imperatorem zwróceni twarzami do siebie. Po chwili obaj zapalili miecze świetlne. Ostrza – krwistoczerwone i żywozielone – naparły na siebie, a dzierżący je mężczyźni przygotowali się do walki.

I nagle, bez ostrzeżenia, klingi rozdzieliły się, a walczący, z podwójnym okrzykiem nienawiści na ustach, odwrócili się w stronę Imperatora i ruszyli wprost na niego.

Mara usłyszała własne wołanie, gdy ona również rzuciła się w jego stronę, by pospieszyć mu z pomocą… Jednak dzieliła ich zbyt wielka odległość, a jej ciało reagowało zbyt wolno, dziwnie ociężałe. Krzyknęła ponownie, starając się ściągnąć na siebie ich uwagę, ale ani Skywalker, ani Vader jej nie słyszeli. Rozeszli się na boki, aby okrążyć przeciwnika, a gdy podnieśli wysoko swoje miecze świetlne, zobaczyła, że Imperator patrzy wprost na nią.

Odwzajemniła spojrzenie, desperacko pragnąc odwrócić się, aby nie patrzeć na zbliżającą się nieuchronnie tragedię, jednak nie była w stanie się ruszyć. W tym spojrzeniu widziała tysiące myśli i uczuć: migotliwy kalejdoskop bólu, strachu i gniewu, w którym konfiguracje zmieniały się zbyt szybko, by była zdolna je wszystkie spostrzec.

Imperator podniósł dłonie, posyłając ku swoim wrogom kaskady białoniebieskich wyładowań elektrycznych. Pod ich wpływem obaj napastnicy zachwiali się i Mara z pełną udręki nadzieją obserwowała ten ponury spektakl, licząc na to, że tym razem wszystko skończy się inaczej… Na próżno. Vader i Skywalker wyprostowali się, z gardeł obu wyrwał się kolejny gniewny ryk, a potem podnieśli wysoko miecze i…

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

Mara szarpnęła się w uprzęży bezpieczeństwa swojego fotela, budząc się ze snu.

Przez moment siedziała tak w bezruchu, dysząc ciężko i próbując pozbyć się sprzed oczu wizji mieczy świetlnych uniesionych do ataku. Widok ciasnej kabiny kanonierki wywołał u niej przelotny atak klaustrofobii. Przepocony kombinezon kleił jej się do pleców. Przejmującą ciszę przerwał nagle pisk alarmu zbliżeniowego, brzmiący tak, jakby dobiegał z bardzo daleka.

Znowu ten sen. Ten sam, który ścigał ją po całej galaktyce od pięciu lat. Ta sama sytuacja, identyczne przerażające zakończenie i ostatnie, rozpaczliwe błaganie.

Tym razem jednak… o, tym razem będzie inaczej. Teraz nic nie powstrzyma jej przed zabiciem Luke'a Skywalkera.

Spojrzała przez iluminator na cętkowany tunel nadprzestrzeni wirujący wokół kokpitu kanonierki, powoli wracając do rzeczywistości. Nie, nic podobnego. Nie mogła zabić Skywalkera. Musiała…

Musiała poprosić go o pomoc.

Poczuła w gardle gorzki smak żółci i z trudem przełknęła ślinę. „Żadnych dyskusji” – nakazała sobie w duchu. Jeśli chciała uratować Karrde’a, będzie musiała się na to zdobyć.

Skywalker miał wobec niego dług. Po wszystkim, gdy już go spłaci, będzie miała dość czasu, by go zabić.

Alarm zbliżeniowy zmienił tonację, sygnalizując, że do wyjścia z nadprzestrzeni pozostało trzydzieści sekund. Ujmując w dłoń dźwignię hipernapędu, przyglądała się, jak wyświetlacz odlicza do zera, a potem delikatnie pchnęła drążek. Cętkowany tunel zmienił się w świetlne linie, które ustąpiły po chwili czerni przestrzeni kosmicznej… Czerni, na której tle, tuż przed dziobem jej kanonierki, majaczył samotny glob.

Przybyła na Jomark.

Z nadzieją aktywowała nadajnik i wysłała kod, który wpisała do komputera podczas lotu. Miała szczęście. Wyglądało na to, że przynajmniej w tym miejscu ludzie Thrawna wciąż korzystali ze standardowych imperialnych transponderów naprowadzających. Na ekranie kanonierki rozbłysła mapa z lokalizacją celu jej podróży – wyspy na jeziorze o kształcie pierścienia, tuż za linią terminatora. Jeszcze raz uruchomiła dla pewności transponder, a potem włączyła napęd podświetlny i zaczęła schodzić ku planecie. Starała się zignorować wciąż nękające ją wspomnienie twarzy Imperatora…

Z drzemki wyrwało ją zawodzenie alarmu.

– Co jest… – rzuciła w przestrzeń, lustrując pospiesznie wyświetlacze w poszukiwaniu źródła problemów. Nie musiała długo szukać: jej kanonierka typu Skipray przechyliła się niebezpiecznie na bok, powierzchnie sterowe jęczały potępieńczo, a komputer starał się powstrzymać statek przed przejściem w niekontrolowany spadek. Jakimś cudem znalazła się nagle zbyt głęboko w warstwach atmosfery, dawno minąwszy punkt, w którym powinna była włączyć repulsory.

Zacisnąwszy zęby, przełączyła kontrolki, a potem zerknęła pobieżnie na mapę planety wyświetlaną na monitorze. Przysnęła dosłownie na chwilę, jednak przy prędkości, z jaką leciała, nawet kilka sekund nieuwagi mogło się okazać fatalne w skutkach.

Przetarła oczy, walcząc z koszmarnym znużeniem, czoło zrosił jej zimny pot. Jak przestrzegał ją instruktor pilotażu, zasypianie w czasie lotu było najpewniejszym sposobem na dokonanie żywota. I jednym z najpaskudniejszych. Gdyby ta podróż skończyła się kraksą, mogłaby winić tylko siebie samą.

Ale… czy aby na pewno?

Wyrównała lot, sprawdziła, czy na torze podejścia nie znajdą się żadne górskie szczyty, i włączyła autopilota. Isalamir na odżywczym stelażu, którego dostarczył jej Aves, znajdował się w pobliżu rufowego włazu, zabezpieczony przy panelu dostępu do silników. Rozpiąwszy uprząż, Mara wstała i ruszyła w jego stronę…

Gdy znalazła się w jego pobliżu, poczuła się tak, jakby ktoś nagle zapalił światło w ciemnym pokoju. W jednej chwili była tak zmęczona, jakby stoczyła właśnie czterodniową walkę, a za moment całe zmęczenie zniknęło jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Uśmiechnęła się do siebie z ponurą satysfakcją. Jej podejrzenia okazały się słuszne: szalony mistrz Jedi najwyraźniej nie życzył sobie towarzystwa.

– Niezła sztuczka – mruknęła pod nosem, a potem odpięła ramę z isalamirem od panelu dostępu, zatargała do kokpitu i wsunęła za fotel.

Na ekranie skanera elektropulsacyjnego widniało pasmo górskie otaczające jezioro, a czujniki podczerwieni namierzyły zamieszkany budynek po drugiej stronie – prawdopodobnie miejsce, w którym przebywali Skywalker i szalony Jedi. Jej podejrzenia potwierdziły się chwilę później, gdy system wykrył znaczną ilość metalu, sugerującą obecność statku kosmicznego w okolicy budynku. Nie było tu śladu broni ani osłon – a przynajmniej nic, co zdołałyby wychwycić czujniki – ani pośród gór, ani na samej wysepce. Może C’baoth uważał, że nie potrzebuje do ochrony niczego równie prymitywnego jak turbolasery?

Cóż, niewykluczone, że miał rację. Pochylając się nad pulpitem kontrolnym, wyczulona na najmniejsze oznaki niebezpieczeństwa, skorygowała tor lotu.

Była już mniej więcej w połowie krateru, gdy nastąpił atak: kanonierka aż podskoczyła, gdy coś uderzyło w jej podwozie.

Niemal natychmiast oberwała ponownie, tym razem w statecznik. Statek przechylił się ostro na prawą burtę, jednak zanim udało jej się zorientować, co się dzieje, pojazdem szarpnęło po raz trzeci. Dopiero wówczas wyszło na jaw, dlaczego skomplikowany system czujników kanonierki typu Skipray nie jest w stanie zidentyfikować rodzaju broni: statek bombardowano niewielkimi, poruszającymi się szybko okruchami skał.

Czwarte uderzenie uszkodziło repulsory, a kanonierka zaczęła szybko spadać, nagle nabierając pędu.

Rozdział 21

Klnąc pod nosem, Mara przestawiła powierzchnie sterowe w tryb ślizgu i wywołała na ekran mapę poziomicową klifu, na którego szczycie wzniesiono budynek. Nie miała teraz szans, by wylądować w jego pobliżu. Owszem, poradziłaby sobie z posadzeniem statku na tak małym skrawku lądu, nawet nie dysponując repulsorami, jednak nie w sytuacji, w której musiała się użerać z atakiem mistrza Jedi. Mogła też spróbować zejść na ciemną, widniejącą w dole wyspę – która zapewniała lepsze pole manewru – jednak wówczas miałaby trudności z dotarciem do urwiska. Z tym samym problemem musiałaby się zmierzyć, gdyby spróbowała znaleźć jakieś wystarczająco przestronne lądowisko w górach.

Oczywiście zawsze mogła też się przyznać do porażki, odpalić główny napęd i zawinąć w stronę przestrzeni kosmicznej, a potem spróbować uwolnić Karrde'a w pojedynkę…

Zacisnęła zęby i przyjrzała się w skupieniu mapie poziomicowej. Po czwartym uderzeniu głazem atak ustał – najwyraźniej mistrz Jedi chciał sprawdzić, czy jego ofiara nie rozbije się sama, oszczędzając mu konieczności dalszej interwencji. Może przy odrobinie szczęścia udałoby się jej utwierdzić go w tym przekonaniu, nie niszcząc przy tym za bardzo statku? Gdyby tylko zdołała znaleźć odpowiednią formację skalną na ścianie klifu…

Tak, było coś takiego mniej więcej w jednej trzeciej wysokości powierzchni urwiska: z grubsza półkolista nisza, powstała w miejscu, z którego erozja usunęła bardziej miękkie warstwy skał, pozostawiając dookoła twardszy surowiec. Skalna półka była stosunkowo płaska, a wgłębienie dość duże, by wygodnie zmieścił się w nim jej statek.

Teraz musiała tylko tam dotrzeć… Odetchnęła głęboko, poderwała lekko dziób maszyny i włączyła główny silnik podświetlny.

W pobliżu ściany krateru rozbłysła smuga ognia z dysz silników, pokrywając skały mozaiką roztańczonych świateł i cieni. Kanonierką szarpnęło w górę i w przód, ale jej pozycja ustabilizowała się nieco, gdy Mara opuściła odrobinę dziób statku. Przez moment bała się, że przesadziła i że statek przekoziołkuje, jednak drobna korekta położenia powierzchni sterowych wystarczyła. Maszyną szarpnęło znów lekko, tym razem w drugą stronę, a po chwili Mara wyrównała lot. Cała ta operacja była mozolna i wymagała od niej najwyższego skupienia. Próbując utrzymać kontrolę nad niestabilnym statkiem, poczuła, że na czoło występują jej kropelki potu. Gdyby C'baoth przejrzał jej fortel, bez trudu by się z nią teraz rozprawił.

Zacisnęła znów zęby i śledząc jednocześnie wskaźniki podejścia, prędkości i stan przepustnicy, wprowadziła statek do niecki…

Mało brakowało. Od skalnej półki dzieliło ją wciąż jakieś dziesięć metrów, gdy rozpalony strumień gazów wylotowych – dość gorący, aby stopić skałę – musnął powierzchnię klifu pod nią i chwilę później kanonierkę otoczyła barwna ognista powłoka… Mara utrzymała kurs, próbując ignorować ostrzegawcze buczenie czujników temperatury kadłuba i jednocześnie starając się dojrzeć coś przez liżące owiewkę płomienie. Nie było czasu do namysłu – wiedziała, że jeśli się zawaha, nawet na kilka sekund, strumienie gazów mogą stopić zbyt dużą część parapetu, aby mogła na nim bezpiecznie wylądować. Dzieliło ją od niego pięć metrów, a temperatura w kokpicie zaczynała się niebezpiecznie podnosić. Trzy metry… jeden…

I nagle jej uszu dobiegł upiorny zgrzyt metalu szorującego po skale, gdy spodni statecznik otarł się o skraj półki. Wyłączyła napęd i przygotowała się na twarde lądowanie. Z przyprawiającym o mdłości szarpnięciem statek opadł metr, aby osiąść rufą na skalnej półce. Przez moment wydawało się, że maszyna pozostanie w tej pozycji, ustawiona pionowo, równolegle do ściany klifu, jednak po chwili z ociężałą gracją powoli zaczęła się przechylać naprzód, aby wkrótce uderzyć ciężko i wesprzeć się na płozach lądowniczych.

Ocierając dłonią pot z czoła, Mara wywołała na ekran raport ze stanu systemów. Instruktorzy wielokrotnie wbijali jej do głowy, że

manewr pionowego lądowania jest ostatecznością i należy się do niego uciekać wyłącznie w sytuacji, w której jedyną alternatywą jest kraksa. Teraz wiedziała już dlaczego.

Mimo to miała szczęście. Co prawda płozy lądownicze i spodni statecznik były w koszmarnym stanie, jednak silniki, hipernapęd, system podtrzymywania życia oraz kadłub nie ucierpiały zbytnio. Ustawiła systemy w stan uśpienia, zarzuciła sobie stelaż z isalamirem na ramiona i skierowała się na rufę.

Główny właz na lewej burcie nie nadawał się do użytku – przy obecnej pozycji kanonierki wychodził wprost w przepaść. Na szczęście było jeszcze drugie, awaryjne wyjście, umieszczone za grzbietową wieżyczką działka laserowego. Wspięcie się po drabince z isalamirem na plecach nie było łatwe, ale po kilku próbach udało jej się dotrzeć do luku. Gdy wychodziła na zewnątrz, poszycie kadłuba niemal poparzyło ją w palce.

Z ulgą powitała chłodny wiatr wiejący od jeziora – stanowił miłą odmianę po chwilach spędzonych w przegrzanym statku. Otworzyła właz na oścież, aby przewietrzyć wnętrze, spojrzała w górę… i z rozczarowaniem spostrzegła, że się przeliczyła: zamiast znaleźć się dziesięć, piętnaście metrów poniżej szczytu krateru, jak zakładała, wylądowała niemal pięćdziesiąt metrów od niego. Domyślała się, że popełniła błąd w ocenie, zwiedziona skalą klifu. Wpływ na pomyłkę miał też pośpiech, z jakim była zmuszona dokonywać kalkulacji.

– Nie ma to jak rozruszać się trochę po długiej podróży – mruknęła pod nosem, wyciągając z sakwy u pasa pręt jarzeniowy i oświetlając nim nieco drogę wspinaczki. Nie miała złudzeń, że będzie to łatwe – szczególnie z ciężkim stelażem i isalamirem na plecach, jednak powinna sobie poradzić. Przymocowawszy pręt jarzeniowy na ramieniu, znalazła oparcie dla rąk i stóp i zaczęła się wspinać.

Pokonała jakieś dwa metry, gdy nagle, bez ostrzeżenia, skalna ściana tuż przed nią rozbłysła…

Zaskoczenie sprawiło, że straciła chwyt i ześlizgnęła się po powierzchni, lądując z impetem na grzbiecie kanonierki. Na szczęście zdołała się obrócić w powietrzu, tak że upadła na

czworaka, z blasterem w pogotowiu. Mrużąc oczy w oślepiającym blasku bliźniaczych reflektorów skierowanych wprost na nią, oddała szybki strzał w stronę tego po lewej, skutecznie go gasząc. Drugi prędko został wyłączony, a gdy Mara mrugała wściekle, próbując się pozbyć fioletowych cieni migających jej przed oczami, usłyszała cichy, jednak trudny do pomylenia z czymkolwiek innym dźwięk: szczebiotanie droida typu R2.

– Ej! – zawołała cicho. – Ej tam, droidzie! Czy należysz do Skywalkera? Jesteś jego astromechem? Jeśli tak, powinieneś mnie znać. Spotkaliśmy się na planecie Myrkr, pamiętasz?

Droid, jak się okazało, pamiętał ją aż za dobrze. Jeśli jednak sądzić po oburzonym tonie odpowiedzi, nie wspominał tego spotkania zbyt miło.

– Tak, tak, jasne – weszła mu w słowo, poirytowana. – Twój pan ma kłopoty. Przybyłam, by go ostrzec.

R2-D2 wydał z siebie elektroniczne ćwierknięcie, jakimś cudem ociekające sarkazmem.

– Nie żartuję – nie dawała za wygraną Mara. Teraz, gdy powidoki niemal całkiem już ustąpiły, zaczynała dostrzegać ciemną sylwetkę X-winga wiszącego na repulsorach jakieś pięć metrów dalej, celującego w nią z dwu prawoburtowych działek laserowych. – Muszę z nim porozmawiać, i to szybko – podjęła. – Nim ten cały mistrz Jedi zorientuje się, że przeżyłam, i spróbuje naprawić to przeoczenie.

Spodziewała się kolejnej ciętej riposty czy może nawet aprobaty dla takiego pomysłu, jednak droid tym razem powstrzymał się od komentarza. Może widział, jak C’baoth obrzucił jej statek skałami?

– Tak, próbował mnie zabić – potwierdziła, na wypadek gdyby robocik miał jeszcze jakieś wątpliwości. – Chciał szybko i po cichu się mnie pozbyć, tak żeby twój pan nic nie zauważył i nie zadawał niewygodnych pytań.

Droid zaćwierkał pytająco, a przynajmniej tak jej się wydawało.

– Przyleciałam tu, bo potrzebuję pomocy Skywalkera – odparła, próbując zgadnąć, co takiego chciałby wiedzieć astromech. – Karrde został schwytany przez Imperium, a ja nie zdołam go uratować sama. Na wypadek gdybyś zapomniał: to ten człowiek, który pomógł

twoim przyjaciołom zastawić pułapkę na szturmowców, dzięki czemu mogliście uciec z Myrkr. Macie wobec niego dług wdzięczności.

Droid pisnął coś lekceważąco.

– Nie ma sprawy – syknęła Mara. – W takim razie nie rób tego dla Karrde'a ani dla mnie. Pomóż mi, bo w przeciwnym razie twój ukochany pan nie dowie się w porę, że jego nowy nauczyciel, mistrz C'baoth, współpracuje z Imperium.

Droid wydawał się przez chwilę analizować jej słowa, ale najwidoczniej uznał, że lepiej będzie w nie uwierzyć, bo skierował działka w inną stronę i przysunął X-winga bliżej uszkodzonej kanonierki.

Mara schowała tymczasem blaster do kabury i przygotowała się na podjęcie, zastanawiając się ponuro, jak zdoła się wcisnąć do ciasnej kabiny myśliwca, mając na plecach ramę z isalamirem.

Okazało się, że niepotrzebnie łamie sobie głowę. Zamiast ustawić stateczek tak, by miała dostęp do kokpitu, astromech obniżył ku niej jedną z płóz X-winga.

– Chyba sobie żartujesz! – parsknęła, przyglądając się elementowi podwozia zawieszonemu w powietrzu na wysokości jej pasa i myśląc o niebagatelnej odległości, która dzieliła ją od jeziora. Po chwili stało się jednak jasne, że R2-D2 nie żartuje, więc niechętnie wspięła się na goleń. – No dobrze – mruknęła, gdy znalazła w miarę stabilną i bezpieczną pozycję. – Ruszajmy. Tylko… uważaj na latające skały.

X-wing oderwał się od kanonierki i zaczął podnosić ku szczytowi klifu. Mara przygotowała się w duchu na najgorsze, przekonana, że C'baoth lada moment ponowi atak… Jednak dotarli do celu bez żadnych niemiłych niespodzianek, a gdy robocik posadził ostrożnie X-winga na ziemi, dostrzegła stojącą w pobliżu otaczającego domostwo ogrodzenia milczącą, odzianą w długą szatę postać.

– To ty jesteś C'baoth? – zapytała, zeskakując z płozy i dobywając blastera. – Zawsze witasz gości w ten sposób?

Gdy postać nadal milczała, Mara podeszła ku niej, mając ponownie dziwne wrażenie *déjà vu*, gdy próbowała dojrzeć coś pod skrywającym twarz kapturem. Podobnie wyglądał Imperator tamtej nocy, gdy przybył, by zabrać ją z ojczystej planety…

– Nie miewam gości z wyjątkiem sługusów wielkiego admirała Thrawna – odezwał się wreszcie mistrz Jedi. – Całą resztę uznaję automatycznie za intruzów.

– A dlaczego zakładasz, że nie przylatuję z poruczenia Imperium? – spytała zaczepnie. – Na wypadek gdybyś nie zauważył: kiedy zacząłeś mnie obrzucać skałami, schodziłam, kierując się sygnałem imperialnej boi naprowadzającej umieszczonej na tej wyspie.

Odniosła wrażenie, że w bladym świetle gwiazd dostrzega na twarzy C'baotha pod kapturem ślad uśmiechu.

– A czy to o czymś świadczy? – prychnął. – Poza faktem, że inni mogą się bawić zabaweczkami wielkiego admirała?

– A czy ci inni również paradują z jego isalamirami? – Wskazała stelaż na plecach. – Dosyć tego. Wielki admirał…

– Wielki admirał jest twoim wrogiem – wycedził C'baoth, nie dając jej dokończyć. – Nie obrażaj mojej inteligencji swoimi dziecinnymi zagrywkami, Maro Jade. Widziałem wszystko w twoim własnym umyśle, gdy tu leciałaś. Czy naprawdę wydaje ci się, że zdołasz mi odebrać mojego Jedi?

Mara przełknęła ślinę i zadrżała – jednak nie tylko z powodu zimnego, nocnego wiatru. Dziwny, przeszywający chłód czuła teraz także wewnątrz. Thrawn powiedział, że C'baoth jest obłąkany, a ona zyskała właśnie potwierdzenie, że wielki admirał mówił prawdę. Słyszała wyraźnie w głosie tego Jedi nutę szaleństwa. Jednak nie był zwykłym szaleńcem, o nie. W jego słowach pobrzmiewały też niezłomność i determinacja, bezwzględność i wyrachowanie, wynikające z przekonania o własnej potędze i z pewności siebie.

Całkiem jakby słuchała znów Imperatora.

– Potrzebuję pomocy Skywalkera – powiedziała, siląc się na spokój. – Chcę go tylko na jakiś czas… wypożyczyć.

– A potem mi go zwrócisz? – spytał kpiąco C'baoth.

Zacisnęła szczęki.

– Zdobędę jego pomoc, C'baoth – wycedziła. – Czy tego chcesz, czy nie.

Teraz widziała wyraźnie, że mistrz Jedi się uśmiechnął. Bezradosnym, upiornym uśmiechem.

– Ależ skąd, Maro Jade – mruknął. – Jesteś w błędzie. Czy naprawdę wydaje ci się, że z powodu pustki w Mocy jestem wobec ciebie bezsilny?

– Mam również to – warknęła.

Sięgnęła po blaster i skierowała broń w jego pierś.

C'baoth nie kiwnął nawet palcem, jednak Mara poczuła, jak powietrze wokół niej dziwnie tężeje.

– Nikt nie będzie bezkarnie mi groził – stwierdził ostro mistrz Jedi. – Pewnego dnia słono za to zapłacisz.

– To się jeszcze okaże – odpowiedziała, cofając się o krok, żeby oprzeć się plecami o płat skrzydła myśliwca. Z góry, z lewej strony dobiegało ją zatroskane poćwierkiwanie R2-D2. – Odsuniesz się i pozwolisz mi przejść czy wolisz to rozegrać bardziej brutalnie?

C'baoth przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu.

– Wiesz, że mógłbym cię zniszczyć ot tak? – spytał wreszcie. Groźba znikła bez śladu z jego głosu, który brzmiał teraz niemal normalnie, jakby starzec prowadził z nią niezobowiązującą rozmowę. – Tak jak stoisz, nim w ogóle byś się spostrzegła? Ale nie zrobię tego, a przynajmniej nie teraz. Wyczuwałem twoją obecność w ciągu tych lat, Maro Jade: przybieranie na sile i słabnięcie twoich mocy po śmierci Imperatora. Te wahania odebrały ci większość twojej potęgi. A teraz zobaczyłem cię podczas swoich medytacji. Pewnego dnia przyjdziesz do mnie… sama, z własnej woli.

– To się jeszcze okaże – rzuciła zjadliwie.

– Nie wierzysz mi – zauważył C'baoth, obdarzając ją kolejnym upiornym uśmiechem. – Ale przyjdzie taki czas, że uwierzysz. Przyszłość jest przesądzona, moja młoda Jedi, podobnie jak twój los. Pewnego dnia klękniesz przede mną. Przewidziałem to.

– Na twoim miejscu nie wierzyłabym zbytnio wizjom – odcięła się Mara. Zaryzykowała spojrzenie na pogrążone w mroku domostwo, zastanawiając się, jak zareagowałby mistrz Jedi, gdyby spróbowała krzykiem wezwać Skywalkera. – Imperator też miał taki zwyczaj, a jednak koniec końców kiepsko na tym wyszedł.

– Być może jestem od niego mądrzejszy – stwierdził spokojnie C'baoth i obrócił lekko głowę. – Kazałem ci iść do swoich komnat – dodał nieco głośniej.

– Zgadza się – odezwał się znajomy głos i z cienia pod domem wynurzyła się nowa postać, idąca ku nim przez dziedziniec.

Skywalker.

– W takim razie co tu robisz? – burknął starzec.

– Poczułem… zakłócenia Mocy – wyjaśnił młodszy Jedi, wychodząc przez furtkę i zatrzymując się w jaśniejszej plamie światła rzucanego przez gwiazdy. Ubrany w ciemną tunikę obrzucił Marę obojętnym spojrzeniem. – Zupełnie jakby w pobliżu toczyła się jakaś walka. Witaj, Maro.

– Skywalker – wykrztusiła. Chociaż od chwili, gdy przybyła na Jomark, sprawy komplikowały się z każdą chwilą coraz bardziej, dopiero teraz zaczęło do niej docierać, jak trudne zadanie wzięła na swoje barki. Jak miała przekonać człowieka, któremu otwarcie wyznała, że zamierza go pewnego dnia zabić, że jest bardziej godna zaufania niż jego nauczyciel, mistrz Jedi? – Skywalker, posłuchaj…

– Czy nie trzymasz przypadkiem na muszce niewłaściwej osoby? – zagadnął ją jakby nigdy nic. – Wydawało mi się, że to mnie chciałaś zastrzelić.

Mara niemal zapomniała o tym, że wciąż celuje do C’baotha z podręcznego blastera.

– Nie przybyłam tu, by cię zabić – rzuciła, jednak nawet w jej własnych uszach te słowa brzmiały dziwnie nieszczerze. – Karrde ma kłopoty. Wpadł w ręce Imperium. Potrzebuję twojej pomocy, by go uwolnić.

– Rozumiem. – Skywalker przeniósł wzrok na C’baotha. – Co tu się wydarzyło, mistrzu?

– A jakie to ma znaczenie? – odwarknął stary Jedi. – Nie wierz temu, co mówi. Przybyła tu, by cię zniszczyć! Wolałbyś może, bym jej nie powstrzymał?

– Skywalker… – zaczęła ponownie Mara, jednak Luke przerwał jej, podnosząc dłoń.

– Czy ona cię zaatakowała? – spytał C’baotha. – Albo groziła ci w jakiś inny sposób?

Jade zerknęła na mistrza Jedi… i poczuła, jak powietrze w jej płucach zmienia się w ostre, lodowe okruchy. Cała wcześniejsza pewność siebie zniknęła z jego twarzy, ustępując czemuś zimnemu…

i zabójczo niebezpiecznemu. Jednak jego gniew nie był tym razem wymierzony w nią, tylko w Skywalkera.

I nagle dotarło do niej, że nie musiała przekonywać Luke'a o zdradzie C'baotha, bo jakimś cudem już o niej wiedział.

– A jakie to ma znaczenie, co zrobiła? – spytał starszy Jedi lodowatym tonem. – Liczy się tylko to, że to żywy przykład zagrożenia, przed którym przestrzegałem cię, odkąd się tu zjawiłeś. Zagrożenia dla wszystkich Jedi ze strony galaktyki, która boi się nas i nas nienawidzi.

– O nie, mistrzu – powiedział Skywalker dziwnie spokojnie. – Z pewnością zdajesz sobie sprawę z tego, że środki są nie mniej ważne niż cele. Jedi wykorzystuje Moc w celu zdobycia wiedzy i obrony, nigdy zaś do ataku.

– Frazesy dla naiwnych. – C'baoth parsknął kpiąco. – Albo takich, którym brakuje wiedzy, by podejmowali samodzielnie decyzje. Ja jestem ponad to wszystko, Jedi Skywalkerze. I ty także będziesz pewnego dnia. O ile oczywiście zdecydujesz się tu zostać.

– Przykro mi – powiedział Luke, kręcąc głową – ale nie mogę tego zrobić. – Odwrócił się i zaczął iść w stronę Mary…

– A więc odwracasz się plecami do całej galaktyki – stwierdził dziwnie refleksyjnie C'baoth. – Czy już zapomniałeś? Tylko pod naszym przewodnictwem jej mieszkańcy mają szansę osiągnąć prawdziwą dojrzałość. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Skywalker zatrzymał się w pół kroku.

– Ależ dopiero co powiedziałeś, że nas nienawidzą – przypomniał mu. – Jak możemy uczyć ludzi, którzy nie chcą naszej pomocy?

– Możemy uleczyć galaktykę, Luke – odparł cicho C'baoth. – Możemy dokonać tego wspólnie, ja i ty. Bez nas… bez nas nie ma nadziei. Żadnej.

– Cóż, może jakoś damy sobie radę bez ciebie – odparła z przekąsem Mara, próbując rozedrzeć słowną pajęczynę ułudy tkaną przez mistrza Jedi. Widziała wielokrotnie to samo w wykonaniu Imperatora, a teraz dostrzegała wyraźnie, jak powieki Skywalkera robią się dziwnie ciężkie.

Przypomniało jej się, jak ona sama poczuła się tuż po przybyciu na Jomark.

Ruszyła z miejsca, podchodząc do młodego Jedi. C'baoth drgnął, jakby zamierzał ją powstrzymać, jednak wystarczył szybki ruch blastera, by porzucił ten pomysł.

Nie musiała patrzeć na Skywalkera, by zorientować się, w którym momencie otaczająca ją, wolna od wpływu Mocy strefa objęła i jego. Zaczerpnął gwałtownie tchu i wyprostował się (szła o zakład, że wcześniej nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że garbi się i chowa głowę w ramiona), a potem kiwnął głową, jakby nagle jakiś kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

– Czy to właśnie w ten sposób chcesz uleczyć galaktykę, mistrzu? – spytał Luke z wyrzutem. – Przymusem oraz kłamstwem?

Nieoczekiwanie starzec odrzucił głowę na plecy i wybuchnął gromkim śmiechem. To było ostatnia rzecz, jakiej spodziewała się po nim w takiej chwili Mara. Była zaskoczona do tego stopnia, że na moment zamarła, niezdolna ruszyć się z miejsca.

Ten ułamek sekundy wystarczył jednak, by mistrz Jedi wykorzystał okazję do ataku.

Skalny odłamek był niewielki, jednak pojawił się dosłownie znikąd i uderzył z nieoczekiwaną siłą w dłoń, w której trzymała blaster. Broń wypadła z jej sparaliżowanych nagłym bólem palców i zniknęła w mroku.

– Uważaj! – zdążyła ostrzec Skywalkera, nim przypadła do ziemi i zaczęła po omacku szukać blastera, podczas gdy tuż obok jej ucha świsnął następny kamień.

Gdzieś z boku rozległ się charakterystyczny syk i nagle okolicę zalał zielonobiały blask ostrza miecza świetlnego Luke'a.

– Ukryj się za statkiem! – zawołał. – Ja go powstrzymam…

Przed oczami stanęły jej wspomnienia scen, które rozegrały się na Myrkr, gdy jednak otworzyła usta, by przypomnieć mu, że bez wsparcia Mocy niewiele wskóra, Luke cofnął się od niej o krok, opuszczając bezpieczną bańkę niwelującego wpływu isalamira. Świetliste ostrze zawinęło na lewo i prawo i niemal natychmiast jej uszu dobiegł chrzęst, gdy klinga przyjęła na siebie impet dwóch kolejnych pocisków.

Śmiejąc się wciąż złowieszczo, C'baoth podniósł dłoń i posłał w ich kierunku sieć błękitnych wyładowań.

Skywalker odparł błyskawice mieczem świetlnym i przez chwilę zielone ostrze otaczała błękitnobiała poświata. Kolejna salwa minęła go, rozpraszając się na skraju ochronnej bańki wokół Mary, a trzecia znów otuliła klingę broni Jedi.

Niemal w tej samej chwili dłoń Mary natrafiła na chłodny metal: jej blaster. Poderwała go z ziemi, zwracając lufą w stronę C'baotha…

Lecz nagle wszystko wokół znikło na chwilę w jaskrawym rozbłysku laserowego ognia.

W całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniała o droidzie usadowionym wciąż w gnieździe X-winga. Najwyraźniej mistrz Jedi także.

– Skywalker?! – zawołała, mrugając zawzięcie, żeby pozbyć się sprzed oczu powidoku, i marszcząc nos: w powietrzu wyraźnie czuć było woń ozonu. – Gdzie jesteś?

– Tutaj, przy C'baocie! – odkrzyknął Luke. – Wciąż żyje.

– Możemy to szybko naprawić – warknęła i zaczęła ostrożnie kierować się w jego stronę przez dymiące koleiny, które wyżłobiło w ziemi działko laserowe X-winga.

C'baoth leżał na wznak, nieprzytomny, jednak pierś falowała mu miarowo w rytm spokojnego oddechu. Skywalker klęczał obok.

– Nie jest nawet draśnięty – mruknęła pod nosem. – Imponujące.

– Artoo nie chciał go zabić – wyjaśnił Skywalker, ostrożnie przesuwając palcami po twarzy starca. – Sądzę, że to sprawka wstrząsu sonicznego.

– Albo fali uderzeniowej – dodała Mara, biorąc nieprzytomnego mężczyznę znów na muszkę. – Odsuń się. Dokończę to, co zaczął twój astromech.

Luke podniósł na nią wzrok.

– Nie zabijemy go – powiedział. – Nie w taki sposób.

– Wolisz zaczekać, aż się ocknie i znów nas zaatakuje? – warknęła.

– Nie ma potrzeby go zabijać – obstawał przy swoim. – Możemy odlecieć spokojnie z Jomarka, nim odzyska przytomność.

– Zostawianie sobie wroga na karku nigdy nie jest dobrym pomysłem – odparła cierpko. – To proszenie się o śmierć.

– On nie musi być naszym wrogiem, Maro – odparł Luke z tą swoją denerwującą prostodusznością. – On jest… chory. Może jest jakiś sposób, by go uleczyć.

Wydęła pogardliwie usta.

– Nie mówiłbyś tak, gdybyś słyszał, co wygadywał, nim się zjawiłeś – burknęła. – Owszem, jest obłąkany, ale to nie wszystko. Jest też potężny i bardzo niebezpieczny. – Wahała się przez chwilę, nim dodała: – Brzmiał całkiem jak Imperator albo Vader…

W policzku Skywalkera drgnął mięsień.

– Vader również dał się omamić ciemnej stronie – przypomniał jej. – A mimo to udało mu się wyrwać z jej szponów i wrócić na ścieżkę światła. Może z C'baothem też tak będzie…

– Nie liczyłabym zbytnio na to – prychnęła, jednak schowała blaster do kabury. Nie mieli teraz czasu na podobne dyskusje, a poza tym dopóki Skywalker był jej potrzebny, musiała się liczyć z jego zdaniem. – Pamiętaj tylko, że to tobie się oberwie, jeśli się mylisz.

– Wiem o tym. – Spojrzał znów na C'baotha, a potem podniósł na nią wzrok. – Wspomniałaś, że Karrde ma kłopoty…

– Tak. – Kiwnęła głową, ciesząc się w duchu z tego, że Luke zmienił temat. Wzmianka o Imperatorze i Vaderze przypomniała jej niepotrzebnie o dręczącym ją koszmarze, który właśnie powrócił. – Wielki admirał go pojmał. Potrzebuję twojej pomocy, żeby go odbić.

Odruchowo przygotowała się na sprzeciw i lawinę kontrargumentów, jednak ku jej zaskoczeniu Luke kiwnął tylko głową i wstał.

– W porządku – powiedział. – Ruszajmy.

R2-D2 wydał z siebie ostatnie żałosne ćwierknięcie, rozłączył się, a chwilę później w typowym rozbłysku pseudoruchu towarzyszącemu skokowi w nadświetlną X-wing zniknął.

– Hm, mam wrażenie, że nie jest zbytnio zachwycony tym pomysłem – wyjaśnił Luke, dezaktywując transmiter kanonierki. – Ale chyba namówiłem go, by poleciał prosto do domu.

– A ja mam nadzieję, że to coś więcej niż tylko twoje wrażenie – burknęła Mara z fotela pilota, wbijając wzrok w ekran komputera nawigacyjnego. – Bo włamywanie się do imperialnego magazynu będzie wystarczająco trudne nawet bez siedzącego nam na ogonie X-winga Nowej Republiki.

– Racja – mruknął Luke, zezując na Marę i zastanawiając się przelotnie, czy decyzja o wsiadaniu z nią do kanonierki była w ogóle mądrym pomysłem.

Jego towarzyszka podróży umieściła isalamira na podtrzymującym życie stelażu na tyłach statku, dzięki czemu Skywalker dotkliwie czuł wycelowaną w niego nienawiść, która wciąż tliła się w jej umyśle. Przywodziła mu na myśl niezbyt miłe wspomnienia Imperatora – tego samego człowieka, pod którego okiem się szkoliła. Nie mógł się opędzić od niejasnych podejrzeń, że wszystko to stanowi jakąś skomplikowaną pułapkę, mającą ostatecznie na celu bezproblemowe policzenie się z nim i zlikwidowanie go gdzieś po drodze, bez świadków.

Miał też jednak wrażenie, że dziewczyna się kontroluje, a w jej zamiarach nie wyczuwał nieszczerości.

Mimo to pamiętał, że C'baoth również zdołał go zwodzić, i to na tyle długo, że było już prawie za późno, by przejrzał jego spisek…

Poruszył się niespokojnie w fotelu, czując, jak na policzki występuje mu rumieniec na samą myśl o tym, jak łatwo dał się zwieść. W porę przypomniał sobie jednak, że nie była to tylko gra pozorów. Mistrz Jedi był rozchwiany emocjonalnie i umysłowo – teraz Luke był tego pewien. I nawet jeśli stan C'baotha nie był tak poważny, jak insynuowała Mara, bez dwóch zdań był on osobą chorą.

A jeżeli to, co napomknęła o jego współpracy z Imperium, również było prawdą…

Zadrżał. „Nauczę ją rzeczy, o jakich nawet ci się nie śniło" – powiedział C'baoth, mając na myśli Leię. Użył innych słów niż Vader, gdy próbował przekonać go do siebie na Endorze, jednak mroczny przekaz był ten sam. Cóż, kimkolwiek był niegdyś C'baoth, nie było już żadnych wątpliwości, że teraz kroczył ścieżką ciemnej strony.

Mimo to… przecież Luke'owi udało się zawrócić z tej samej drogi Vadera, czyż nie? Czy przekonanie, że zdoła dokonać tego ponownie, nawracając C'baotha, było wyrazem próżności? Zbytniej wiary we własne siły?

Szybko odsunął od siebie tę myśl. Niezależnie od tego, jak bardzo mogły się okazać splecione ich losy, ich dalsza przyszłość była zbyt zamglona, by w jakikolwiek sposób można ją było przewidzieć. W tej chwili musiał się skupić na czekającym go zadaniu i zaprzestać prób przewidzenia dalszych wydarzeń na rzecz poddania się przewodnictwu Mocy.

– Jak… w jaki sposób wielki admirał odnalazł Karrde'a? – spytał Marę.

Na widok jej miny i zaciśniętych odruchowo warg opadły go momentalnie wyrzuty sumienia.

– Podrzucili mi boję namierzającą – wyjaśniła krótko. – Sama doprowadziłam ich do jego kryjówki.

Pokiwał głową, wracając myślą do tamtych chwil, gdy tylko cudem udało im się odbić Leię z celi na pokładzie Gwiazdy Śmierci i umknąć „Sokołem".

– W identyczny sposób namierzyli nas wtedy, dawno temu – bąknął. – Właśnie tak znaleźli bazę na Yavinie.

– Zważywszy na ostateczny rezultat, chyba nie powinniście narzekać – zauważyła z przekąsem Mara.

– Wydaje mi się, że Imperator nie był zbyt zadowolony z takiego obrotu spraw – mruknął.

– Zdecydowanie – zgodziła się z nim. Słyszał w jej głosie echo bolesnych emocji przywołanych przez wspomnienia. – A Vader nieomal przypłacił to potknięcie życiem. – Spojrzała z rozmysłem na dłonie Luke'a. – To właśnie wtedy stracił prawą dłoń, zgadza się?

Luke odruchowo zacisnął i rozwarł palce swojej sztucznej prawej dłoni, czując w niej widmowe echo tamtego palącego bólu, który przeszył jego prawdziwą dłoń, gdy miecz Vadera ciął przez skórę, mięśnie i kości. Przypomniał sobie fragment jakiegoś starego tatooińskiego powiedzenia, coś na temat przechodzenia zła z pokolenia na pokolenie…

– No to jaki jest plan? – spytał.

Mara wzięła głęboki oddech i wyczuł, jak wiele kosztuje ją zapomnienie na chwilę o przeszłości.

– Karrde jest przetrzymywany na pokładzie „Chimaery”, okrętu flagowego wielkiego admirała – wyjaśniła. – Z ich planu lotu wynika, że za cztery dni będą przyjmować zaopatrzenie w układzie Wistril. Jeśli się pospieszymy, powinniśmy tam dotrzeć na kilka godzin przed nimi. Zostawimy kanonierkę, zgarniemy jeden z ich promów transportowych i zabierzemy się z resztą dostawy.

Luke zastanowił się nad jej planem. Brzmiał ryzykownie, jednak powinni dać radę go zrealizować.

– A co potem? Gdy już dotrzemy na pokład?

– Zgodnie ze standardową imperialną procedurą załogi wszystkich promów pozostają na pokładach, podczas gdy personel „Chimaery” zajmuje się rozładunkiem – poinformowała go. – Przynajmniej tak to wyglądało pięć lat temu. Co oznacza, że będziemy potrzebowali jakiegoś podstępu, aby opuścić prom.

– To może być trudne. – Luke pokręcił głową. – Nie powinniśmy na siebie niepotrzebnie ściągać uwagi.

– A masz jakiś lepszy pomysł?

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie – powiedział. – Ale mamy całe cztery dni, żeby opracować plan. Na pewno coś wymyślimy.

Rozdział 22

Mara wyłączyła repulsory i prom z cichym, metalicznym szczękiem opadł na płyty głównego pokładu hangarowego na rufie „Chimaery".

– Tu prom trzydzieści siedem – rzucił Luke do mikrofonu komunikatora. – Wylądowaliśmy. Czekamy na dalsze rozkazy.

– Prom trzydzieści siedem, przyjąłem – potwierdził kontroler lotów. – Wyłączcie wszystkie systemy i przygotujcie się na rozładunek.

– Tak jest. – Luke sięgnął do pulpitu, żeby się rozłączyć, jednak Mara powstrzymała go gestem.

– Kontrola, to mój pierwszy lot aprowizacyjny – powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi ton niewinnego zaciekawienia. – Jak długo potrwa, nim będziemy mogli odlecieć?

– Możecie się spokojnie rozsiąść – odparł lakonicznie kontroler. – Puścimy was dopiero po rozładowaniu wszystkich promów. Potrwa to co najmniej kilka godzin.

– Och – bąknęła Mara, udając zdziwienie. – Hm, eee… Cóż, dzięki. W takim razie chyba się zdrzemnę. – Zakończyła połączenie. – Dobrze się składa – mruknęła do Luke'a, rozpinając uprząż i wstając. – W ten sposób powinniśmy mieć dość czasu na dotarcie do bloku więziennego i powrót.

– Miejmy tylko nadzieję, że nie przenieśli gdzieś Karrde'a – westchnął Skywalker, idąc za nią na tył sterowni, w stronę spiralnych schodów prowadzących do ładowni.

– Nie zrobili tego – zapewniła go, schodząc po stopniach. – Martwię się tylko, że mogli już zacząć procedurę.

– Procedurę…? – Zmarszczył czoło.

– Przesłuchanie. – Zatrzymała się na środku ładowni i rozejrzała się dookoła. – W porządku. Spróbujmy… w tym miejscu. – Wskazała ręką na pokład tuż przed nią. – Z dala od wścibskich oczu. I nie powinniśmy przy tym uszkodzić żadnych ważnych układów.

– Dobrze. – Luke zapalił swój miecz świetlny i ostrożnie zaczął wycinać w podłodze otwór. Już niemal kończył, gdy w szparze zaiskrzyło, a chwilę później światła w ładowni zgasły. – Spokojnie – powiedział do Mary, która zaklęła pod nosem. – Miecz świetlny daje dość światła.

– Bardziej martwię się, że to zwarcie mogło być widoczne na zewnątrz – mruknęła. – Nawet ślepy by zobaczył…

Zamarł, wyostrzając zmysły Jedi.

– Wydaje się, że nikt nic nie zauważył.

– Oby. – Wskazała na otwór w podłodze. – No, kończ już.

Posłuchał i chwilę później za pomocą wyciągarki magnetycznej usunęli wycięty fragment panelu i poszycia kadłuba. Kilka centymetrów pod podwoziem statku, oświetlona upiornym blaskiem zielonego ostrza miecza świetlnego, widniała podłoga pokładu hangarowego „Chimaery”. Mara przyczepiła do niej przylgę wyciągarki, a Luke położył się na brzuchu i wsunął w otwór miecz świetlny. Na chwilę zamarł, upewniając się poprzez Moc, że korytarz poziom niżej jest pusty.

– Pamiętaj tylko, żeby ciąć pod skosem – przypomniała mu, gdy końcówka ostrza zanurzyła się gładko w metalową płytę. – Nawet byle żółtodziób zobaczy dziurę ziejącą w suficie.

Skywalker pokiwał głową i skupił się na pracy. Gdy skończył, Mara była już gotowa. W chwili, w której wyłączył miecz świetlny, uruchomiła wyciągarkę i zaczęła wciągać grubą, metalową płytę do ładowni promu. Podniosła ją na jakiś metr w górę i wyłączyła urządzenie.

– Wystarczy – oznajmiła, a potem z blasterem w dłoni ostrożnie usiadła na wciąż jeszcze ciepłym skraju otworu i zeskoczyła lekko na pokład poziom niżej. Zatrzymała się na chwilę, żeby się rozejrzeć, a gdy nie zauważyła nic niepokojącego, dała znać Luke’owi: – Droga wolna!

Skywalker również przysiadł na skraju otworu, a potem obejrzał się na panel kontrolny wyciągarki. Sięgnął ku niemu Mocą, wdusił przycisk i ruszył w ślad za Marą.

Droga na dół była dłuższa, niż początkowo założył, jednak wylądował miękko, wspomagając się podczas skoku Mocą. Kiedy

odzyskał równowagę, podniósł wzrok na sufit: metalowy fragment idealnie osiadł w swoim miejscu.

– Wygląda całkiem nieźle – pochwaliła go Jade. – Wątpię, czy ktokolwiek coś zauważy.

– O ile nie będzie się zbytnio przyglądał – dodał Luke. – Którędy do bloku więziennego?

– Tędy. – Wskazała blasterem na lewo. – Musimy załatwić sobie jednak jakieś przebrania. Chodź.

Poprowadziła go do aż do skrzyżowania z szerszym korytarzem. Przez całą drogę wyostrzał maksymalnie zmysły technikami Jedi, jednak nie wykrył niczyjej obecności.

– Strasznie tu pusto…

– Nie na długo – zapewniła go Mara. – To poziom personelu zaopatrzenia i większość osób, które tu rezydują, jest teraz na górze, pomagając przy rozładunku promów. Nim zapuścimy się bardziej w głąb statku, będziemy potrzebowali jakichś skafandrów lotniczych czy czegoś podobnego.

Luke wrócił myślami do tamtej nieplanowanej wizyty na pokładzie Gwiazdy Śmierci, kiedy podszywali się wraz z Hanem pod imperialnych żołnierzy.

– Wszystko, byle nie pancerze szturmowców – poprosił półżartem. – W tych hełmach nic nie widać.

– Wydawało mi się, że Jedi nie muszą polegać na wzroku – skomentowała kpiąco. – Uwaga… jesteśmy. W tej części mieszczą się kwatery załogi.

Luke wyczuł już, że wokół zaroiło się od istot żywych: odbierał poprzez Moc ich sygnały.

– Wątpię, by udało nam się przemknąć ukradkiem pośród tylu osób – ostrzegł ją.

– Wcale nie zamierzałam się przekradać. – Wskazała na kolejny korytarz, prowadzący tym razem w prawo. – Tam powinny się znajdować szatnie i świetlice pilotów TIE-ów. Sprawdźmy, czy zdołamy znaleźć gdzieś jakieś bezpańskie skafandry.

Jednak choć Imperium było na tyle lekkomyślne, by pozostawiać kwatery personelu zaopatrzenia niestrzeżone, to z salami odpraw rzecz miała się zgoła inaczej. Pomieszczeń było sześć – znajdowały

się w pobliżu turbowind na końcu korytarza – jeśli jednak sądzić po odgłosach rozmów dobiegających zza drzwi, w każdym z nich znajdowały się co najmniej dwie osoby.

– Co robimy? – spytał Marę szeptem.

– A jak myślisz? – burknęła, chowając blaster do kabury i rozprostowując palce. – Powiedz mi tylko, w którym pokoju jest najmniej osób, a potem zejdź mi z drogi. Ja zajmę się resztą.

– Zaczekaj – poprosił ją, myśląc intensywnie.

Nie chciał zabijać z zimną krwią ludzi znajdujących się za drzwiami, ale nie mógł również ryzykować jak podczas imperialnego ataku na kopalnie Landa na Nkllonie kilka miesięcy temu. Wówczas z powodzeniem zdołał wykorzystać Moc do zmylenia pilotów myśliwców TIE, jednak znalazł się niebezpiecznie blisko granicy dzielącej jasną stronę od ciemnej – i nie chciał powtarzać tego doświadczenia.

Gdyby tylko zdołał delikatnie musnąć ich umysły, zamiast brutalnie w nie ingerować…

– Spróbujmy tutaj – powiedział do Mary, wskazując podbródkiem pomieszczenie, w którym wyczuwał obecność tylko trzech osób. – Ale odpuśćmy sobie walkę. Chyba zdołam przytłumić ich ciekawość na tyle, żeby spokojnie wejść do środka, zabrać skafandry i wyjść.

– Chyba? – burknęła. – A co, jeśli ci się nie uda? Stracimy element zaskoczenia…

– Uda się – zapewnił ją. – Przygotuj się.

– Skywalker…

– A poza tym wątpię, że nawet mając element zaskoczenia, zdołałabyś po cichu rozprawić się z całą trójką – dodał. – Hm?

Spiorunowała go wzrokiem, jednak posłusznie usunęła się z drogi. Luke zestroił umysł z Mocą i ruszył w stronę drzwi. Gdy znalazł się w ich pobliżu, ciężki metalowy panel otworzył się, dając mu dostęp do środka.

Wewnątrz rzeczywiście znajdowały się trzy osoby, siedzące przy stole stojącym na środku pokoju: dwie w brązowych mundurach członków załogi, jedna w czarnym kombinezonie i rozkloszowanym hełmie żołnierza floty. Na widok rozsuwających się drzwi podnieśli na niego wzrok. Wyczuwał napływające od nich słabe

zainteresowanie, które stłumił szybko, dotykając delikatnie ich umysłów. Dwóch członków załogi zmierzyło go od stóp do głów, a potem odwróciło wzrok, jednak żołnierz wciąż mu się przyglądał… Na szczęście wyglądało na to, że to jedynie próba przerwania monotonii i odpoczynku od widoku kolegów. Próbując zachowywać się możliwie najbardziej naturalnie, Luke podszedł do stojącego pod ścianą wieszaka na skafandry pilotów i wybrał trzy. Kiedy przewieszał je sobie przez ramię i wychodził z pokoju, żołnierze byli pogrążeni w najlepsze w niezobowiązującej rozmowie. Drzwi zamknęły się za nim z cichym szumem…

– No i? – syknęła Mara.

Kiwnął jej głową, wypuszczając powoli powietrze z płuc.

– Wybierz sobie któryś – rzucił. – Ja powstrzymam ich ciekawość jeszcze przez kilka minut, dopóki nie zapomną, że w ogóle tam byłem.

Pokiwała głową i zaczęła naciągać skafander na swój kombinezon.

– Sprytna sztuczka.

– Tym razem zadziałało – przytaknął. Po chwili ostrożnie wycofał się z umysłów żołnierzy, czekając w napięciu na nagły wybuch emocji, który sugerowałby, że cały misterny plan wziął w łeb. Jednak nic takiego się nie wydarzyło, żołnierze nadal prowadzili rozmowę jak gdyby nigdy nic.

Sztuczka zadziałała. A przynajmniej tym razem.

Gdy odwrócił się od drzwi świetlicy, zobaczył, że Mara wezwała już windę.

– Chodź! Szybko! – zawołała ze zniecierpliwieniem. Ubrała się już w skafander, a pozostałe dwa przerzuciła sobie przez ramię. – Przebierzesz się po drodze.

– Mam nadzieję, że nikt nie wsiądzie w trakcie – mruknął, wchodząc do środka. – Trudno byłoby mi się wytłumaczyć…

– Nie wsiądzie – zapewniła go, gdy drzwi turbowindy się za nim zamknęły i kabina ruszyła. – Ustawiłam jazdę priorytetową, bez przystanków. – Spojrzała mu czujnie w oczy. – Nie rozmyśliłeś się?

– Chyba nie mamy innego wyboru – westchnął, zakładając kombinezon. Nogawki i rękawy opinały się niewygodnie na jego

ubraniu. – Raz próbowaliśmy z Hanem bezpośredniego szturmu na blok więzienny. To było na Gwieździe Śmierci. Nie poszło nam zbyt dobrze.

– Domyślam się, ale chyba nie mieliście wtedy dostępu do głównego komputera – zauważyła celnie. – Jeśli zdołam zmienić zapisy i rozkazy dotyczące transferów więźniów, może uda nam się go wydostać z celi, nim ktokolwiek się spostrzeże…

– A co ze świadkami? – spytał z niepokojem Skywalker. – Jeśli komuś przyjdzie do głowy potwierdzić rozkazy, wszystko się posypie. A nie sądzę, by ta sztuczka, której użyłem na żołnierzach w świetlicy, zadziałała na strażników. Ci są zbyt czujni, by dać się tak nabrać.

– W porządku. – Mara skupiła się na panelu kontrolnym turbowindy. – Nie brzmi zbyt ekscytująco, ale skoro się upierasz, wchodzę w to. Zróbmy to po twojemu.

Blok więzienny znajdował się daleko w głębi rufowej części statku, kilka poziomów pod pokładami mieszczącymi sekcje dowodzenia i kontroli systemów – i bezpośrednio nad maszynownią wraz z gigantycznymi dyszami wylotów silników. Kabina turbowindy skręcała po drodze kilkakrotnie w poziomie. Trasa była na tyle skomplikowana i długa, że po drodze Luke złapał się na zastanawianiu się, czy Mara przypadkiem w coś go nie wrabia. Nie wyczuwał jednak od niej zdrady i w końcu przyszło mu do głowy, że może po prostu celowo obrała tak zawiłą drogę przez trzewia „Chimaery”, aby zmylić czujność systemów bezpieczeństwa statku.

W końcu wagonik zatrzymał się i drzwi się rozsunęły. Wyszli na długi korytarz, po którym kręciło się kilku członków załogi w mundurach służb serwisowych, spieszących do swoich zajęć.

– Drzwi, których szukamy, są tam – mruknęła pod nosem Mara, wskazując w głąb korytarza. – Dam ci trzy minuty.

Kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi, starając się sprawiać wrażenie pewnego siebie. Jego kroki odbijały się echem od metalowych paneli podłogi, przywodząc mu na myśl tamtą wizytę na pokładzie Gwiazdy Śmierci, która nieomal zakończyła się tragicznie.

Wówczas jednak był naiwnym wieśniakiem, z głową nabitą marzeniami o chwale i bohaterskich wyczynach, zbyt niedoświadczonym, aby zdawać sobie sprawę z zagrożeń wiążących się nieodwracalnie z podobnymi przedsięwzięciami. Teraz, nieco starszy i bardziej zaprawiony w bojach, doskonale wiedział, w co się pakuje.

A mimo to zamierzał to zrobić. Zastanowił się mimochodem, czy czyniło go to bardziej, czy mniej lekkomyślnym niż poprzednio.

Dotarł do drzwi i zatrzymał się przed nimi, udając, że czyta coś na ekranie datapada, który wyciągnął z jednej z kieszeni skafandra. Czekał, aż korytarz opustoszeje. Gdy upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, zaczerpnął głęboko tchu – ostatni raz – otworzył drzwi i wszedł do środka.

Chociaż wstrzymywał oddech, odór uderzył w niego jak niewidzialny taran, niemal zwalając go z nóg. Niezależnie od tego, jak bardzo poszła do przodu przez te kilka lat imperialna technologia, zsypy na pokładach okrętów cuchnęły tak samo obrzydliwie.

Odczekał, aż drzwi zamkną się za jego plecami, i niemal natychmiast usłyszał słaby dźwięk zamykanego obwodu przekaźnika. Zamarudził zbyt długo – najwyraźniej Mara aktywowała już cykl zgniatania… Oddychając przez usta, odczekał jeszcze chwilę i już za moment ściany zgniatarki zaczęły się do siebie zbliżać przy akompaniamencie stłumionego szczęku uruchamianej hydrauliki.

Przełknął ślinę i zacisnął mocno palce na rękojeści miecza, próbując utrzymać się na szczycie sterty śmieci i zużytego sprzętu, która zaczęła teraz falować i wybrzuszać się pod jego stopami. Dostanie się w ten sposób na poziom więzienny było jego pomysłem i musiał długo przekonywać do niego Marę, zanim na to przystała. Teraz jednak, gdy znalazł się w zsypie, a ściany nieuchronnie zaczęły się do siebie zbliżać, ten plan wcale nie wydawał mu się już taki genialny. Jeśli Mara nie zdoła dokładnie kontrolować ruchu ścian albo ktoś jej w tym przeszkodzi… albo, co gorsza, dziewczyna podda się nagle nienawiści, jaką wobec niego czuła…

Ściany były coraz bliżej, miażdżąc wszystko na swojej drodze. Luke z trudem utrzymywał równowagę, nagle uświadamiając sobie boleśnie, że jeśli Mara postanowiła go zdradzić, on dowie się o tym, gdy będzie za późno, by zdołał coś wymyślić. Grodzie zgniatarki były zbyt grube, aby przeciął je mieczem świetlnym, a falujące morze śmieci pod jego stopami uniosło go już za daleko od drzwi, by udało się przez nie uciec. Nasłuchując zgrzytu i chrzęstu prasowanych odpadków, obserwował, jak odległość między ścianami maleje do dwóch metrów… półtora…

Gdy dzielił je od siebie już tylko metr, ściany nagle znieruchomiały.

Wziął głęboki oddech, niemal już nie zauważając przyprawiającego o mdłości odoru. Mara go nie zdradziła – wręcz przeciwnie, wykonała swoje zadanie perfekcyjnie. Teraz nadeszła kolej na jego część zadania. Wycofawszy się pod jedną z dwu nieruchomych ścian, zebrał wszystkie siły i skoczył.

Podłoże było zbyt niestabilne, by mógł się dobrze wybić, a pomieszczenie wysokie, więc nawet mimo wspomagania się Mocą zdołał dotrzeć tylko do połowy ścian. Gdy jednak osiągnął najwyższy punkt lotu, podciągnął kolana do klatki piersiowej i rozsunął stopy, z niezbyt przyjemnym szarpnięciem klinując ciało między ścianami. Odczekał chwilę, żeby złapać oddech i chwilę odpocząć, a potem zaczął się wspinać.

Nie było tak źle, jak się obawiał. Jako młody chłopak na Tatooine całkiem sporo się wspinał i co najmniej kilka razy miał okazję wędrować w ten sposób w górę skalnych kominów, choć nie sprawiało mu to specjalnej przyjemności. Gładkie ściany zgniatarki dawały zdecydowanie gorsze oparcie dla rąk i stóp niż szorstki kamień, jednak rekompensowała to regularna szerokość tunelu oraz brak ostrych odłamków, które wbijałyby mu się w plecy. W ciągu kilku minut dotarł do szczytu zbiornika oraz włazu serwisowego, który prowadził na poziom więzienny. A przynajmniej taką miał nadzieję. Jeśli Mara dobrze zapamiętała pory zmian warty w grafiku, to miał około pięciu minut. Zacisnąwszy zęby, przecisnął się przez osłonę magnetyczną zamykającą od dołu tunel zsypu i ruszył do góry, z ulgą wciągając znów w płuca świeże powietrze.

Pięć minut później potwierdziło się, że Mara rzeczywiście dobrze zapamiętała grafik. Przez kratę zamykającą wlot zsypu słyszał odgłosy rozmów i kroków w pomieszczeniu kontrolnym, a po chwili dołączył do nich charakterystyczny dźwięk otwieranych drzwi turbowindy: zmiana warty. Przez kilka następnych minut w pomieszczeniu kontrolnym będą przebywali strażnicy z obydwu zmian. To była doskonała pora na wyprowadzenie więźnia tuż pod ich nosami – oczywiście o ile się pospieszy.

Trzymając się jedną ręką kraty, drugą odczepił od pasa miecz świetlny i zapalił ostrze. Upewniwszy się, że klinga nie przejdzie na drugą stronę, wyciął fragment kraty i wciągnął go do środka, a potem zawiesił na haczyku z klamry od kombinezonu na pozostałym fragmencie i przecisnął się przez otwór.

W korytarzu nie było żywej duszy. Luke zerknął na drzwi najbliżej położonej celi, żeby zorientować się, gdzie się znalazł, i ruszył na poszukiwania numeru, który podała mu Mara. Rozmówcy w pomieszczeniu kontrolnym wymieniali uwagi coraz rzadziej, co oznaczało, że nowi strażnicy już wkrótce wyjdą z pokoju, aby rozpocząć wartę w korytarzach bloku. Wyostrzywszy maksymalnie zmysły, przekradł się pod drzwi, których szukał, i odetchnął głęboko, a potem zwolnił blokadę zamka.

Gdy skrzydła się rozsunęły, z pryczy spojrzał na niego Talon Karrde. Po jego ustach błąkał się charakterystyczny ironiczny półuśmieszek, gdy jednak przyjrzał się uważniej twarzy Luke'a, uśmiech znikł bez śladu.

– Nie wierzę… – wymamrotał pod nosem.

– Ja też nie – poinformował go Luke, obrzucając wnętrze pospiesznym spojrzeniem. – Dasz radę iść?

– Tak – zapewnił go Talon, wstając i ruszając w stronę drzwi. – Na szczęście wciąż są w fazie zmiękczania. Głodzenie i brak snu. Wiesz coś pewnie na ten temat…

– Tak, słyszałem o tym. – Luke zerknął w głąb korytarza po lewej i prawej. Nadal czysto. – Wyjdziemy tamtędy. Chodź.

Bez przeszkód dotarli do kraty i wyciętego w niej otworu.

– Chyba sobie żartujesz! – parsknął Karrde, gdy Skywalker dał nura do szybu i zaparł się plecami i stopami o ściany.

– Wyjścia strzegą strażnicy – przypomniał mu Luke.

– Fakt. – Talon z oporami zajrzał do dziury. – Jak sądzę, nie mam co liczyć na kawałek liny?

– Przykro mi. Mógłbym ją przywiązać jedynie do tej kraty, a wówczas natychmiast ktoś by ją zauważył. – Spojrzał na przemytnika z nagłym niepokojem. – Nie masz chyba lęku wysokości, co?

– Bardziej obawiam się upadku – sprostował flegmatycznie Karrde, jednak przykucnął posłusznie i zaczął się gramolić do środka. Zaciskał palce na kracie tak mocno, że zbielały mu knykcie.

– Zejdziemy tym szybem do zgniatarki śmieci – wyjaśnił mu Luke. – Robiłeś coś takiego już kiedyś?

– Nie, ale szybko się uczę – zapewnił go Karrde. Obejrzał się na niego przez ramię i przyjął podobną pozycję. – Domyślam się, że chcesz, żebym zatuszował ślady? – dodał, zdejmując z kratki wycięty fragment i wsuwając go z powrotem na miejsce. – Wiesz jednak, że to zostanie zauważone, kiedy ktoś przyjrzy się tej kracie bliżej?

– Przy odrobinie szczęścia, nim do tego dojdzie, będziemy już dawno w hangarze – zapewnił go optymistycznie Luke. – Chodź, zabierajmy się stąd. Pamiętaj: powoli i spokojnie…

Po drodze do zbiornika zsypu nie spotkały ich żadne niemiłe niespodzianki.

– Mroczna strona Imperium, której nie pokazują wycieczkom – zakpił Karrde, gdy Luke prowadził go pośród stert śmieci do drzwi. – Jak się stąd wydostaniemy?

– Właz jest tutaj – wyjaśnił Skywalker, wskazując w dół hałdy, po której szli. – Za kilka minut Mara powinna rozsunąć z powrotem ściany i nas wypuścić.

– Och – bąknął Karrde. – Mara jest tu z tobą?

– Podczas podróży opowiedziała mi, co się wydarzyło – poinformował go Luke, jednocześnie próbując wysondować go poprzez Moc. Jeśli przemytnik był na nią wściekły, to dobrze to ukrywał. – Powiedziała, że nie maczała w tym palców.

– Jestem tego pewien – stwierdził spokojnie Karrde. – Chociażby z tego powodu, że śledczy usilnie starali się dać mi do zrozumienia,

że jest wręcz przeciwnie. – Spojrzał na Jedi z namysłem. – Co obiecała ci w zamian za pomoc?

Skywalker pokręcił głową.

– Nic. Przypomniała mi po prostu mój dług wobec ciebie. Na Myrkr nie wydałeś mnie Imperium.

Karrde uśmiechnął się do niego krzywo.

– Cóż, racja. Nie wspomniała przypadkiem, czego chce ode mnie wielki admirał?

Luke zerknął na niego, marszcząc czoło. Talon Karrde przyglądał mu się uważnie i teraz, gdy Luke się skupił, zorientował się, że mężczyzna coś przed nim tai.

– Wyszedłem z założenia, że to w ramach zemsty za udzielenie mi pomocy w ucieczce… Czy może chodzić o coś innego?

Karrde uciekł wzrokiem w bok.

– Powiedzmy po prostu, że jeśli uda nam się stąd uciec, Nowa Republika może sporo na tym zyskać.

Jego ostatnie słowa zagłuszył stłumiony brzęk, a po chwili ściany zgniatarki zaczęły się mozolnie rozsuwać. Gdy czekali, aż zyskają dostęp do drzwi, Luke pomagał Karrde'owi utrzymać równowagę, starając się jednocześnie wybadać poprzez Moc korytarz na zewnątrz. Drzwi mijało kilka osób, jednak żadna z nich nie emanowała podejrzliwością ani niepokojem.

– Czy to Mara tym steruje? – zagadnął go Talon.

– Ma dostęp do centralnego komputera statku. – Luke pokiwał głową.

– Hm, ciekawa sprawa – mruknął pod nosem Karrde. – Domyślałem się, że w przeszłości Mara w jakiś sposób powiązana była z Imperium, jednak wszystko wskazuje na to, że miała znacznie wyższy status, niż początkowo zakładałem.

Luke ponownie kiwnął głową, wracając myślą do tego, co ujawniła mu w lesie na Myrkr. Mara Jade, Ręka Imperatora…

– Tak – powiedział ponuro. – To prawda.

Ściany rozsunęły się już i znieruchomiały. W ciszy rozległ się nikły szczęk przekaźnika. Luke odczekał, aż korytarz w pobliżu opustoszeje, a potem otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Paru techników pracujących kilkanaście metrów dalej przy otwartym

panelu w ścianie zerknęło z lekkim zaciekawieniem w ich stronę. Skywalker odwzajemnił spokojnie spojrzenie, a potem wyjął z kieszeni datapad i udał, że coś w nim zapisuje. Karrde zajrzał mu przez ramię i zachowując pozorną obojętność, wypowiedział kilka uwag okraszonych technicznym żargonem, jakby pomagał mu wypełnić wyimaginowany raport. Kiedy właz się zamknął, Jedi schował notes komputerowy i ruszył pewnym siebie krokiem w głąb korytarza. Talon poszedł tuż za nim.

Mara czekała już na nich pod turbowindami, z dodatkowym kombinezonem pilota przewieszonym przez ramię.

– Winda już jedzie – mruknęła. Zerknęła na Karrde'a, a gdy ten odwzajemnił spojrzenie, rysy jej twarzy ściągnął przelotny grymas.

– Wie, że go nie zdradziłaś – zapewnił ją cicho Luke.

– Nie pytałam cię o zdanie – warknęła, jednak wyczuł, że jej napięcie zauważalnie zelżało. – Trzymaj. – Podała przemytnikowi trzeci skafander. – Lepiej się przebierz.

– Dzięki – odmruknął Karrde. – Dokąd idziemy?

– Przylecieliśmy promem zaopatrzeniowym – wyjaśniła. – Wycięliśmy w podłodze dziurę, ale powinniśmy mieć dość czasu, żeby ją zaspawać.

Turbowinda zjawiła się w chwili, gdy Karrde kończył zakładać kombinezon. Okazało się, że wagonik jest zajęty – dwóch mężczyzn z lśniącym przekaźnikiem rdzenia zasilania na repulsorowym wózku zajmowało większość miejsca w ciasnej kabinie.

– Dokąd? – spytał ich jeden z techników ze zdawkową grzecznością kogoś, kto ma na głowie ważniejsze sprawy niż interesowanie się współpasażerami.

– Świetlica pilotów trzy trzy jeden dwa dziewięć te – odparła Mara tym samym obojętnym tonem.

Mężczyzna wklepał w panel windy podany numer i drzwi zamknęły się z cichym sykiem, a Luke odetchnął swobodniej – pierwszy raz, odkąd Mara posadziła Skipraya na Wistrilu pięć godzin temu. Jeszcze dziesięć, piętnaście minut i powinni znaleźć się bezpieczni na pokładzie promu.

Chociaż ich plan był bardzo ryzykowny, wyglądało na to, że się powiódł.

Gdy nadeszło sprawozdanie podsumowujące realizację połowy procesu rozładunkowego, Pellaeon przerwał nadzorowanie przeglądu systemu pól ochronnych mostka, żeby zerknąć na raport. Doskonale. Personelowi udało się ukończyć tę część osiem minut przed czasem. Jeśli utrzymają to tempo, „Chimaera" zdoła dotrzeć do punktu zbornego, w którym miała się spotkać ze „Stormhawkiem", i będą mieli mnóstwo czasu na zastawienie pułapki na rebeliancki konwój, który gromadził się w pobliżu Corfai. Potwierdził przyjęcie raportu i zarchiwizował go, a następnie wrócił do przerwanego zajęcia, gdy nagle usłyszał za plecami ciche kroki.

– Dobry wieczór, kapitanie. – Thrawn zatrzymał się obok jego fotela, skinął mu głową na powitanie i obrzucił leniwym wzrokiem mostek.

– Admirale. – Pellaeon również kiwnął głową i odwrócił się w jego stronę. – Sądziłem, że udał się pan już na spoczynek do swoich kwater.

– Byłem w centrum dowodzenia – wyjaśnił admirał, patrząc na wyświetlacz nad ramieniem Pellaeona. – Pomyślałem, że rzucę jeszcze raz okiem na statusy, zanim wrócę do kwater. Przegląd systemu osłon mostka? – spytał.

– Tak jest, sir – potwierdził kapitan, zastanawiając się, jakiej rasy dzieła sztuki podziwiał dziś wielki admirał w swoim prywatnym centrum dowodzenia. – Jak dotąd wszystko przebiega nad wyraz sprawnie. A prace rozładunkowe w drugim hangarze rufowym najprawdopodobniej zostaną ukończone przed czasem.

– Doskonale. Jakieś wieści od naszego patrolu nad Endorem?

– Przesłali tylko raport uzupełniający – zameldował Pellaeon. – Potwierdzili wstępnie, że statek, który zatrzymali po wejściu do układu, należał do przemytników zamierzających przetrząsnąć szczątki imperialnej bazy na księżycu. Przesłuchują jeszcze załogę.

– Przypomnij im, żeby wszystko starannie sprawdzili, nim puszczą ich wolno – powiedział surowo Thrawn. – Organa Solo nie porzuciłaby „Sokoła Millennium" na orbicie ot tak. Prędzej czy później wróci po niego… a gdy tak się stanie, chcę, by ją pojmano.

– Tak jest, sir. – Pellaeon kiwnął głową. Był pewien, że dowódca grupy patrolującej teren wokół Endora nie potrzebuje żadnych

przypomnień. – A skoro już o tym mowa… czy postanowił pan coś w sprawie tego dodatkowego skanu?

Thrawn pokręcił głową.

– Wątpię, byśmy dowiedzieli się w ten sposób czegoś nowego. Lepiej oddelegować zespół skanujący do serwisowania systemów „Chimaery". Proszę polecić, by „Sokoła Millennium" przetransportowano do magazynu pojazdów. Niech czeka tam, dopóki nie wpadniemy na pomysł, jak zrobić z niego lepszy użytek.

– Tak jest, sir – potwierdził przyjęcie rozkazu Pellaeon, obracając się w stronę ekranu i wysyłając odpowiednie instrukcje. – Ach, byłbym zapomniał: kilka minut temu nadszedł pewien… dziwny raport. Podczas rutynowego patrolu perymetru bazy nasi ludzie natknęli się na kanonierkę typu Skipray, która najwyraźniej się tam rozbiła.

– Rozbiła? – Thrawn spojrzał na niego czujnie.

– Właśnie tak, sir – potwierdził Pellaeon, wywołując na monitor odpowiedni meldunek. – Jej podwozie zostało poważnie uszkodzone, a cały kadłub jest praktycznie zwęglony.

Na ekranie pojawił się obraz ilustrujący sprawozdanie Pellaeona i wielki admirał pochylił się nad jego ramieniem, żeby się bliżej przyjrzeć.

– Czy znaleziono jakieś ciała?

– Nie, sir. Raport jest zastanawiający właśnie z tego względu, że na pokładzie znaleziono tylko… isalamira.

Kątem oka zauważył, że stojący obok niego przełożony zamiera.

– Proszę mi go pokazać.

Pellaeon wyświetlił kolejny obraz: zbliżenie futrzastego stworzenia na biostelażu podtrzymującym życie.

– Rama nie przypomina tych naszego projektu – wskazał. – Trudno określić jej pochodzenie.

– Wręcz przeciwnie – zapewnił go Thrawn. Wyprostował się i wziął głęboki oddech. – Proszę ogłosić alarm, kapitanie. Mamy na pokładzie nieproszonych gości.

Pellaeon wpatrywał się w niego w osłupieniu, po omacku szukając na pulpicie odpowiedniego przycisku.

– Go… gości? – spytał, gdy mostek wypełniło wycie syren.

– Tak. – Czerwone oczy wielkiego admirała zapłonęły nagłym ogniem. – Natychmiast sprawdzić celę Karrde'a. Jeśli wciąż tam jest, należy bezzwłocznie go przenieść i przydzielić do jego pilnowania szturmowców. Proszę również wysłać dodatkowe straże do ochrony promów zaopatrzenia i rozpocząć procedurę potwierdzania tożsamości załóg tych statków. A potem… – Urwał i przez krótki moment milczał. – Potem proszę wyłączyć główny komputer „Chimaery".

Pellaeon zastygł z palcami zawieszonymi nad klawiaturą.

– Wyłączyć?

– Proszę się zająć wypełnianiem rozkazów, kapitanie – powtórzył Thrawn nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Tak jest, sir! – wydusił Pellaeon spomiędzy dziwnie spierzchniętych nagle warg. W ciągu wielu lat służby w Imperium nigdy nie słyszał, by celowo wyłączano główny komputer okrętu, z wyjątkiem pobytu w doku na czas napraw. Takie posunięcie równało się pozbawieniu statku oczu i uszu, a w sytuacji, w której na pokład wdarli się intruzi, mogło się okazać fatalne w skutkach.

– Owszem, to nieco osłabi naszą efektywność – przyznał Thrawn, jakby czytał mu w myślach – jednak znacznie bardziej zaszkodzi naszym wrogom. Musi pan zrozumieć, że jedyne wytłumaczenie dla faktu, że poznali nasz kurs i cel rejsu, jest takie, że Mara Jade zdołała włamać się do systemu, gdy sprowadziliśmy na pokład ją i Karrde'a.

– Ale to… niemożliwe – wykrztusił Pellaeon, krzywiąc się boleśnie na widok gasnących jeden po drugim wyświetlaczy. – Wszystkie kody dostępu, w których posiadaniu mogła być, zmieniliśmy wiele lat temu!

– Chyba że istniał kod na stałe przypisany do systemu – zauważył wielki admirał. – Znany samemu Imperatorowi, do użytku jego i jego agentów. Jade bez wątpienia będzie polegała na nim podczas swojej próby odbicia Karrde'a, stąd też musimy ją pozbawić możliwości jego użycia.

Obok nich pojawił się szturmowiec.

– Tak? – rzucił Thrawn.

– Przekazana za pośrednictwem komunikatora wiadomość z bloku więziennego – oznajmił żołnierz głosem przefiltrowanym przez systemy hełmu. – Więźnia Talona Karrde'a nie ma w celi.

– Oczywiście – mruknął gniewnie wielki admirał. – Postawić w stan alarmu wszystkie jednostki. Niech zaczną przeczesywać teren między blokiem więziennym a rufowymi hangarami. Karrde ma zostać pojmany żywcem! Może być poturbowany, ale ma być żywy. Co się zaś tyczy jego niedoszłych wybawicieli… ich także chcę żywych. W miarę możliwości. Jeśli okaże się to niemożliwe… – Urwał. – Trudno.

Rozdział 23

Z umieszczonego pod sufitem głośnika rozległo się wycie syren alarmowych, a kilka sekund później turbowinda zatrzymała się nagle.

– Szlag – mruknął jeden z artylerzystów, którzy zajęli w wagoniku miejsce techników, wyłuskując ze schowka za klamrą pasa niewielki identyfikator. – Czy nigdy nie znudzą im się te próbne alarmy?

– Wiesz, że za takie gadanie mogą cię postawić przed plutonem szturmowców? – przestrzegł go jego kolega, zerkając z ukosa na Luke'a i jego towarzyszy. Wymijając tamtego, wsunął kartę w szczelinę na panelu kontrolnym i wklepał kod potwierdzający. – Nim dowodzenie objął wielki admirał, było jeszcze gorzej. Mniejsza o to. Jak to sobie inaczej wyobrażasz? Żeby informowali nas o ćwiczeniach z wyprzedzeniem?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie wiem, na co to komu – burknął pierwszy, podbijając swoją kartę. – Kogo się tu spodziewają? Jakiegoś cholernego gangu piratów czy co?

Luke spojrzał pytająco na Karrde'a, zastanawiając się, jak powinni się w tej sytuacji zachować, jednak Mara szła już w stronę artylerzystów z identyfikatorem wydobytym z kieszeni skradzionego kombinezonu pilota w dłoni. Przeszła między nimi, wyciągając rękę w stronę szczeliny czytnika… i w mgnieniu oka zadając pierwszemu cios w kark kantem dłoni.

Głowa mężczyzny odskoczyła na bok, a on osunął się bezwładnie na podłogę, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Jego kolega zdążył tylko wybełkotać coś niezrozumiałego, nim dołączył do przyjaciela, zwalając się na pokład.

– Szybko, musimy się stąd wynosić! – warknęła Jade, wymacując dłonią szczelinę między drzwiami a ścianą cylindrycznej kabiny. – Zablokowane. Prędko, Skywalker, bierz się do roboty.

Luke zapalił swój miecz świetlny.

– Ile mamy czasu? – spytał, przecinając drzwi.

– Niewiele – mruknęła ponuro Mara. – Wagoniki turbowindy mają wbudowane czujniki, które śledzą liczbę korzystających z nich osób. Mamy jeszcze jakąś minutę, żeby się wylegitymować, zanim system zgłosi naszą obecność. Muszę się dostać do terminala, nim nas zarejestrują i zwalą nam na głowę oddział szturmowców.

Luke skończył rozcinać drzwi i wyłączył miecz, a Mara i Karrde zajęli się usuwaniem fragmentu panelu. Za nim widniała ściana tunelu, nie do końca przylegająca do otworu.

– Doskonale – mruknęła Jade, przeciskając się przez otwór. – Gdy system odciął zasilanie, zaczęliśmy się akurat obracać. Dzięki temu będziemy się mogli dostać do tunelu.

Luke i Talon ruszyli w ślad za nią. Szyb turbowindy miał z grubsza prostokątny przekrój, a wzdłuż jego ścian, sufitu i podłogi biegły lśniące szyny prowadnic.

Skywalker poczuł mrowienie, gdy przesunął się tuż obok jednej z nich: były pod napięciem. Zapamiętał, żeby ich przypadkiem nie dotykać.

– Dokąd idziemy? – szepnął w głąb tunelu pod adresem Mary.

– Tam! – odpowiedziała, zatrzymując się przy obramowanej na czerwono płycie osadzonej w ścianie między szynami. – Ten tunel powinien prowadzić do magazynu droidów serwisowych. Tam znajdziemy terminal.

Miecz świetlny Luke'a szybko poradził sobie z blokadą panelu dostępu. Mara zanurkowała do środka z blasterem w dłoni, znikając w ciemnym szybie. Skywalker i Karrde ruszyli za nią, mijając szereg wyłączonych droidów serwisowych, najeżonych niesamowitą kolekcją instrumentów sterczących z wysuniętych chwytaków, jakby roboty przedstawiały je do inspekcji. Za maszynami tunel przechodził w niewielkie pomieszczenie, w którym – tak jak się spodziewała Mara – pośród licznych rur i kabli znajdował się terminal komputera. Gdy do niego dotarli, dziewczyna pochylała się już nad pulpitem… jednak Skywalker wyczuwał poprzez Moc napływające od niej fale przerażenia.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się.

– Wyłączyli główny komputer! – jęknęła. Na jej twarzy malowały się szok i niedowierzanie. – Nie dokonali obejścia ani nie postawili

systemu w stan uśpienia, tylko go… wyłączyli!

– Najwyraźniej wielki admirał zorientował się, że możesz uzyskać do niego dostęp – zauważył trzeźwo Karrde, zatrzymując się obok Luke'a. – Lepiej się pospieszmy. Czy masz jakieś pojęcie, gdzie mniej więcej jesteśmy?

– Chyba gdzieś nad hangarami rufowymi – mruknęła. – Tamci technicy wysiedli w centralnej części dla personelu, a my nie zjechaliśmy później zbyt daleko.

– Nad hangarami… – powtórzył z namysłem Karrde. – Innymi słowy: w pobliżu magazynu pojazdów?

Jade przyjrzała mu się z uwagą.

– Sugerujesz, żebyśmy zwędzili stamtąd jakiś statek?

– A czemu nie? Będą się spodziewać, że pójdziemy prosto do któregoś z hangarów. Raczej nie będą podejrzewali, że dotrzemy tam windą gabarytową z magazynu pojazdów.

– Ale w przeciwnym razie wpadniemy jak przyskrzynione mynocki, jeśli wyślą tam szturmowców – zauważyła smętnie Mara. – Próba wydostania się z magazynu…

– Cśśś! – uciszył ją Luke, tknięty nagłym przeczuciem podsuniętym poprzez Moc. – Ktoś idzie!

Mara zmełła w ustach przekleństwo i przypadła do ziemi za terminalem, z blasterem wycelowanym w stronę drzwi. Karrde, nieuzbrojony, wycofał się do zapewniającego mu częściową osłonę tunelu serwisowego ze stojącymi w nim droidami. Luke z kolei rozpłaszczył się na ścianie obok drzwi, ze zgaszonym mieczem świetlnym w pogotowiu. Pozwolił, by Moc wypełniła go, gdy zamarł w pozycji bojowej, starając się wyczuć mroczne zamiary żołnierzy zbliżających się do pomieszczenia – i z ciężkim sercem zdając sobie sprawę, że w zaistniałej sytuacji delikatna manipulacja ich umysłami na niewiele się zda. Zacisnął mocniej palce na rękojeści miecza i czekał przyczajony…

Ułamek sekundy po tym, jak tknęło go złe przeczucie, drzwi rozsunęły się i do środka wkroczyło dwóch szturmowców z karabinami blasterowymi w dłoniach. Podniósł miecz świetlny nad głowę, wymacując palcem włącznik… gdy nagle tunel, w którym

skrył się Karrde, rozbłysł oślepiającą poświatą reflektorów przy akompaniamencie zgrzytania metalu o metal.

Szturmowcy zajęli błyskawicznie stanowiska po obu stronach drzwi, kierując odruchowo lufy blasterów ku źródłu światła i dźwięku, a za nimi do pomieszczenia wpadło dwóch odzianych w czarne uniformy żołnierzy floty. Ci pierwsi dostrzegli przycupniętą za terminalem Marę i natychmiast wycelowali w nią broń, ale dziewczyna była szybsza: wystrzeliła czterokrotnie, oddając po dwa strzały do każdego ze szturmowców, którzy runęli jak dłudzy na ziemię – jeden wciąż z palcem na spuście broni, która wypaliła poniewczasie, nie robiąc dziewczynie najmniejszej krzywdy. Żołnierze floty zanurkowali w poszukiwaniu osłony, ostrzeliwując się zaciekle.

Ich wysiłki, obliczone na trafienie wroga, udaremniło jedno płynne cięcie mieczem świetlnym.

Luke wyłączył broń i wyjrzał szybko na zewnątrz, rozglądając się w lewo i w prawo.

– Czysto! – poinformował Marę, wracając do środka.

– A przynajmniej chwilowo – mruknęła, chowając swój blaster do kabury i podnosząc karabiny martwych szturmowców. – Ruchy. Wynośmy się stąd.

Karrde czekał już na nich przy włazie, którym tu dotarli.

– Nie wygląda na to, by tymczasem uruchomili turbowindy – zauważył. – Więc chyba nadal będzie bezpiecznie poruszać się tunelami. Jakieś problemy z zespołem pościgowym?

– Nie. – Jade podała mu jeden z karabinów. – A tak przy okazji, świetna dywersja.

– Dzięki – mruknął Karrde. – Droidy serwisowe bywają przydatne. Magazyn pojazdów?

– Magazyn pojazdów – potwierdziła ze znużeniem. – I lepiej, żeby twój plan się powiódł…

– Jeśli tak się nie stanie, z góry przepraszam. Chodźmy.

Powoli, za pośrednictwem interkomu i komunikatorów, napływały raporty, które nie napawały optymizmem.

– Nie ma po nich śladu na terenie bloku więziennego – zameldował dowódca szturmowców Pellaeonowi, który odniósł wrażenie, że żołnierz jednym uchem nasłuchuje nowych sprawozdań na kanale wewnętrznym. – Nasi ludzie znaleźli uszkodzoną kratkę we włazie dostępu do zsypu. Wszystko wskazuje na to, że to właśnie tamtędy wydostali Karrde'a.

– Nie ma znaczenia, jak go stamtąd wyciągnęli! – warknął Pellaeon. – Winnych będziemy szukali, gdy przyjdzie na to pora. Póki co musimy zatrzymać Karrde'a i jego pomocników!

– Ochrona przeszukuje obecnie okolicę turbowindy, z której nadeszło zgłoszenie – zameldował jeden z oficerów tonem sugerującym, że jego zdaniem, cokolwiek oznajmił dowódca szturmowców, musi mieć dużą wagę. – Na razie nic nie zgłosili…

Thrawn odwrócił się od dwóch oficerów łączności, którzy składali mu akurat raport z terenu hangarów.

– Jakie ślady uszkodzeń nosi ta kratka? – spytał rzeczowo.

– Nie znam szczegółów – zgłosił dowódca szturmowców.

– W takim razie proszę je zdobyć – polecił lodowatym tonem wielki admirał. – I przy okazji poinformować swoich ludzi, że dwóch techników zgłosiło, że widzieli w pobliżu tamtego zsypu mężczyznę w skafandrze pilota myśliwca TIE. Oraz wyczulić strażników w hangarach rufowych na obecność kogoś takiego.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu żołnierz.

Pellaeon obejrzał się na Thrawna.

– Nie bardzo rozumiem, jakie ma znaczenie sposób, w jaki wyciągnęli Karrde'a z celi – bąknął. – Czy nie lepiej wykorzystalibyśmy nasze zasoby, gdybyśmy wysłali wszystkich ludzi na poszukiwanie intruzów?

– Czy naprawdę pan sądzi, że powinniśmy wysłać wszystkich naszych ludzi do hangarów? – spytał Thrawn zwodniczo spokojnie. – Zakładając tym samym, że nasza zwierzyna nie będzie starała się dokonać żadnych zniszczeń, nim spróbuje nam umknąć?

– Skądże znowu, sir! – wykrztusił Pellaeon, czując, że się rumieni. – Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że musimy chronić cały okręt, sir. Mam po prostu wrażenie, że to nie jest w tej chwili priorytetowa poszlaka i…

– Proszę więc potraktować to jako moją osobistą zachciankę, kapitanie – stwierdził cierpko Thrawn. – To co prawda tylko przeczucie, ale…

– Panie admirale? – wszedł mu bezceremonialnie w słowo szturmowiec. – Mamy raport od dwieście siódmej ekipy poszukiwawczej, z pokładu dziewięćdziesiątego ósmego, węzeł trzysta dwadzieścia sześć ka ka.

Pellaeon odruchowo zaczął uderzać w klawiaturę, ale przypomniał sobie, że system nie działa i nie poda mu dokładnej lokalizacji zgłoszonych współrzędnych.

– Wszyscy członkowie zespołu sto drugiego zostali odnalezieni martwi – dodał dowódca szturmowców. – Dwóch zginęło od strzałów z blastera, a pozostała dwójka… – Urwał z wyraźnym wahaniem. – Nie mamy pewności co do sposobu, w jaki zginęli – dokończył cicho.

– Mamy – wszedł mu w słowo Thrawn z dziwną zaciekłością. – Proszę polecić swoim ludziom, by szukali na ciałach śladów niewielkich, przyżegniętych nacięć.

Pellaeon zagapił się na niego z lekko otwartymi ustami.

W oczach admirała płonął złowróżbny ogień.

– Przy-żeg-nię-tych? – powtórzył nieprzytomnie kapitan.

– I poinformować ich – wycedził przez zaciśnięte zęby wielki admirał – że jednym z intruzów jest Jedi Luke Skywalker.

– Skywalker? – Pellaeon niemal poczuł, jak opada mu szczęka. – Ale to… to niemożliwe! Skywalker jest na Jomarku z C’baothem!

– Był, kapitanie – poprawił go lodowatym tonem Thrawn. – Teraz jednak jest tutaj, w pobliżu. – Zaczerpnął głęboko tchu, a gdy wypuścił z sykiem powietrze z płuc, wydawało się, że wraz z nim uszedł częściowo palący go gniew. – Najwyraźniej nasz czcigodny mistrz Jedi nie zdołał zatrzymać go przy sobie, jak twierdził. Rzekłbym też, że teraz zyskaliśmy dowód na to, że ucieczka Skywalkera z Myrkr nie była przypadkowym incydentem.

– Sądzi pan, że Karrde od początku współpracował z Rebelią? – spytał ostrożnie Pellaeon.

– Już wkrótce się o tym przekonamy – zapewnił go Thrawn, oglądając się za siebie. – Rukh?

U jego boku zmaterializowała się szaroskóra istota.

– Tak, panie?

– Zwołaj w jednym punkcie cały personel obsługi – polecił mu Thrawn. – Niech wezmą ze sobą wszystkie isalamiry przydzielone do sekcji technicznej oraz kontroli systemów i ruszają na pokłady hangarowe. Zwierząt jest zbyt mało, by zdołały objąć swoim działaniem cały teren, więc podczas ich rozmieszczania kieruj się instynktem łowieckim. Im skuteczniej uniemożliwimy Skywalkerowi stosowanie sztuczek Jedi, tym łatwiej będziemy go mogli schwytać.

Noghri kiwnął głową i ruszył w stronę wyjścia.

– Moglibyśmy też użyć isalamirów z mostka – podsunął Pellaeon, jednak Thrawn wszedł mu bezceremonialnie w słowo:

– Proszę mi przez chwilę nie przeszkadzać, kapitanie. – Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w skraj planety obracającej się z wolna za bocznym iluminatorem. – Muszę pomyśleć. Hm, tak – dodał za moment. – Jak sądzę, w miarę możliwości będą się starali poruszać ukradkiem. A to oznacza póki co tunele turbowind. – Dał gestem znak dwóm oficerom łączności, stojącym obok jego fotela. – Proszę rozkazać kontroli turbowind przywrócić normalne działanie systemu z wyjątkiem węzła trzy dwa sześć ka ka, między pokładem dziewięćdziesiątym ósmym a hangarami rufowymi – polecił im. – Wszystkie wagoniki z tego rejonu dostarczyć do najbliższego punktu dostępu i zablokować w tym miejscu, dopóki nie wydam dalszych instrukcji.

Jeden z oficerów kiwnął głową i zaczął przekazywać rozkazy przez komunikator.

– Czy próbuje pan ich skierować w stronę hangarów? – spytał ostrożnie Pellaeon.

– Owszem, próbuję ich zapędzić w konkretne miejsce – przytaknął wielki admirał. Marszczył czoło, a oczy wbijał wciąż w jakiś tylko dla niego widoczny punkt. – Pytanie brzmi: co zrobią, gdy się w tym zorientują? Prawdopodobnie będą się próbowali wydostać z węzła… ale dokąd się skierują?

– Jeśli mogę coś zasugerować, to wątpię, by byli na tyle głupi, żeby wracać do promu – wtrącił Pellaeon. – Gdybym miał obstawiać, to sądzę, że będą próbowali obejść pokład hangarowy

i udadzą się do któregoś z promów szturmowych w hangarach dziobowych.

– Być może – przyznał powoli Thrawn. – Powiedziałbym, że taki scenariusz byłby prawdopodobny, gdyby to Skywalker planował trasę ucieczki. Jeśli jednak wypełniają polecenia Karrde'a… – Zamilkł i ponownie pogrążył się w myślach.

Cóż, przynajmniej mieli coś na kształt planu.

– Proszę przydzielić do ochrony promów szturmowych dodatkowe straże – polecił kapitan Pellaeon dowódcy szturmowców. – I lepiej wyślijcie też ludzi na ich pokłady, na wypadek gdyby intruzom udało się do nich jakimś cudem dotrzeć.

– Nie – mruknął pod nosem Thrawn. – Jeśli to Karrde stoi na czele grupy, nie pójdą do promów. W jego przypadku bardziej prawdopodobne jest, że spróbuje czegoś mniej oczywistego. Może kradzieży myśliwców TIE? Albo w ogóle powrotu do promów zaopatrzeniowych, wychodząc z założenia, że nie będziemy się tego spodziewali. Albo… – Poderwał gwałtownie głowę i rozejrzał się, szukając wzrokiem Pellaeona. – „Sokół Millennium" – powiedział z nagłym napięciem w głosie. – Gdzie go umieszczono?

– Och… – bąknął kapitan, odruchowo sięgając do pulpitu kontrolnego i zawieszając nad nim bezradnie dłoń. – Rozkazałem go dostarczyć do magazynu pojazdów, sir. Nie wiem jednak, czy już tego dopilnowano.

Thrawn wycelował palec w dowódcę szturmowców.

– Przydziel kogoś do komputera w hangarach i znajdźcie ten statek. A potem wyślijcie tam oddział żołnierzy. – Spojrzał na podwładnego… i po raz pierwszy od chwili ogłoszenia alarmu się uśmiechnął. – Są nasi, kapitanie.

Karrde usunął fragment osłony przewodów, który wyciął Luke, i ostrożnie wyjrzał przez otwór.

– Wygląda na to, że nie mamy towarzystwa – rzucił przez ramię. Ledwie słyszeli jego głos przez szum maszynerii dobiegający z pomieszczenia. – Chyba jeszcze tu nie dotarli.

– Jeśli w ogóle zamierzają – zauważył Luke.

– Przyjdą tu – warknęła Mara. – Możesz być tego pewien. Jeśli coś wyróżniało Thrawna wśród wszystkich wielkich admirałów, to z pewnością zdolność do przewidywania taktyki wroga.

– Dokuje tu kilka różnych statków – dodał Karrde. – Jeśli sądzić po wyglądzie, to nieoznakowane jednostki wywiadu. Pierwszy lepszy się nada.

– Gdzie mniej więcej jesteśmy? – spytał Skywalker, próbując coś dostrzec ponad jego ramieniem. Widział, że wokół statków było sporo wolnego miejsca, a otwór w podłodze o oświetlonych krawędziach stanowił prawdopodobnie szyb windy towarowej. W przeciwieństwie jednak do szybu, który pamiętał z Gwiazdy Śmierci, nad tym tutaj umieszczono w suficie podobny otwór, dzięki czemu statki można było przewozić na wyższe pokłady gwiezdnego niszczyciela.

– Sądzę, że jesteśmy gdzieś na dolnych poziomach magazynu pojazdów – stwierdził Talon. – Jakiś pokład czy dwa nad hangarami rufowymi. Możemy mieć jednak problem, jeśli okaże się, że winda jest na dole, blokując nam dostęp do hangaru i wylotu.

– Cóż, nie mamy chyba innego wyjścia, jak tylko to sprawdzić – stwierdziła Mara, niespokojnie zaciskając i rozwierając dłoń na blasterze. – Z czekania w nieskończoność nic nam nie przyjdzie.

– Co racja, to racja. – Karrde przechylił głowę na bok, jakby nasłuchiwał. – Chyba słyszę nadjeżdżającą windę. Jedzie jednak powoli, a statki zapewnią nam dostateczną osłonę. Skywalker?

Luke zapalił znów miecz świetlny i szybko wyciął otwór na tyle duży, by zdołali się przez niego przecisnąć. Pierwszy wyszedł Karrde, a za nim Luke. Pochód zamykała Mara, która osłaniała tyły.

– Tam jest terminal komputera pokładu hangarowego. – Gdy przykucnęli pod poobijanym lekkim frachtowcem, wskazała wolno stojącą konsolę po prawej stronie. – Gdy tylko winda odjedzie, sprawdzę, czy zdołam się do niego dostać.

– Dobrze, ale pospiesz się z tym – przestrzegł ją Talon Karrde. – Sfałszowane polecenie transferu nie zapewni nam takiej przewagi w postaci elementu zaskoczenia, żeby tracić na nie czas.

Z otworu zaczynał się powoli wynurzać grzbiet przewożonego z dołu statku. Wyglądał podejrzanie znajomo… i na jego widok Luke

aż rozdziawił ze zdumienia usta.

– To… Nie. To niemożliwe!

– A jednak – mruknęła Jade. – Zupełnie zapomniałam: wielki admirał wspominał, gdy rozmawiałam z nim nad Endorem, że zamierzają ściągnąć go na pokład.

Luke przyglądał się ze ściśniętym gardłem, jak „Sokół Millennium” wysuwa się z otworu. Podróżowali nim wcześniej Leia i Chewbacca…

– Czy… czy mówił coś na temat więźniów?

– Nie w mojej obecności – odpowiedziała. – Ale z jego słów wynikało, że gdy znaleźli statek, nikogo nie było na pokładzie.

Cóż, to by oznaczało tylko tyle, że dokądkolwiek wybrali się Leia i Chewbacca po opuszczeniu statku, teraz na dobre tam utknęli. Nie była to jednak dobra pora na zamartwianie się tym.

– Musimy go odzyskać – powiedział stanowczo Luke, chowając miecz świetlny za pazuchę. – Osłaniajcie mnie.

– Skywalker… – syknęła Mara, jednak Luke biegł już w stronę windy.

Z otworu wynurzyła się już cała platforma, na której obok „Sokoła” stało dwóch ludzi: żołnierz floty oraz technik z urządzeniem przypominającym połączenie datapada i kontrolera w dłoni. Podnieśli wzrok i go zauważyli…

– Hej! – Zamachał do nich rękami, idąc szybkim krokiem w ich stronę. – Chwileczkę!

Technik wcisnął jakiś przycisk na datapadzie i winda się zatrzymała, a Luke wyczuł podejrzliwość emanującą od jego kolegi.

– Przyszły nowe rozkazy – powiedział Skywalker, podchodząc do nich. – Wielki admirał kazał ściągnąć ten statek z powrotem na dół. Chce go użyć jako przynęty… czy coś w tym stylu.

Technik zmarszczył czoło i spojrzał na datapad. Luke dostrzegł, że chłopak jest młody – prawdopodobnie nie miał jeszcze nawet dwudziestu lat.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – zaprotestował technik.

– Ja też nie słyszałem nic takiego – warknął żołnierz, dobywając blastera. Skierował go w stronę Luke’a, próbując jednocześnie obrzucić szybkim spojrzeniem magazyn.

– Bo rozkazy nadeszły dosłownie przed chwilą – nie dawał za wygraną Jedi, wskazując podbródkiem konsolę. – Nie mam pojęcia dlaczego, ale straszne dziś ze wszystkim opóźnienia.

– Dobra historyjka – parsknął żołnierz, kierując lufę prosto w pierś intruza. – A może pokazałbyś nam swój identyfikator, co?

Jedi wzruszył ramionami, przywołał Moc… i wyszarpnął nią blaster z dłoni mężczyzny.

Trzeba było mu to przyznać: żołnierz był szybki. Nie stracił nawet ułamka sekundy na próbę zrozumienia, co się właściwie wydarzyło. Zamiast tego rzucił się w stronę napastnika, wyciągając dłonie ku jego szyi…

Lecący w stronę Luke'a blaster nagle się obrócił, a jego rękojeść wbiła się z impetem w brzuch żołnierza, który wydał z siebie zduszone kaszlnięcie i runął bezwładnie na pokład.

– Zaopiekuję się tym – powiedział Luke do technika, gestem przyzywając do siebie Karrde'a i Marę.

Chłopak poszarzał na twarzy i bez słowa oddał mu urządzenie.

– Dobra robota – pochwalił przemytnik, zatrzymując się obok Skywalkera. – Spokojnie, nie zrobimy ci krzywdy – dodał pod adresem technika, przykucając przy łapiącym z trudem powietrze żołnierzu skulonym na podłodze i uwalniając go od komunikatora. – A przynajmniej jeśli będziesz grzeczny. Zabierz swojego przyjaciela do tamtej szafki elektrycznej i zamknijcie się w środku.

Technik popatrzył na niego, zerknął z powrotem na Luke'a i pokiwał prędko głową, a potem wsunął koledze dłonie pod pachy i zaczął go wlec po podłodze we wskazanym kierunku.

– Upewnij się, że zrobili, co kazałem, a potem wracaj na statek – poprosił Karrde Skywalkera. – Ja uruchomię procedurę przedstartową. Czy będą potrzebne jakieś specjalne kody?

– Wątpię. – Luke rozejrzał się po magazynie i namierzył Marę wklepującą już coś zawzięcie w konsolę. – Z „Sokołem" tak trudno sobie poradzić i bez tego.

– W porządku. Przypomnij Marze, żeby nie bawiła się za długo z tym komputerem. – Ruszył w stronę statku i wspiął się po trapie. Luke zaczekał, aż technik zamknie się wraz z kolegą w szafce, i podążył za Karrde'em na statek.

– Przygotowanie go do lotu rzeczywiście nie zajmie długo. – Przemytnik zacmokał, gdy Skywalker dołączył do niego w kokpicie. – Jeszcze jakieś dwie minuty, góra trzy, i będziemy mogli stąd znikać. Masz jeszcze ten kontroler?

– Proszę. – Luke podał mu urządzenie. – Pójdę po Marę. – Zerknął za iluminator… w samą porę, by zobaczyć, jak po drugiej stronie magazynu otwierają się drzwi i do środka wmaszerowuje oddział szturmowców.

– Ups! – mruknął Karrde na widok ośmiu odzianych w białe pancerze imperialnych żołnierzy idących wprost do „Sokoła”. – Czy wiedzą, że tu jesteśmy?

Skywalker sięgnął ku nim Mocą, próbując wysondować ich nastawienie.

– Nie, chyba nie – odpowiedział. – Raczej przysłano ich tu w charakterze ochrony, a nie do walki.

– Nie powinni usłyszeć odpalania silników w tym hałasie – rzucił Talon, chowając głowę w ramiona i kuląc się, żeby zniknąć z pola widzenia szturmowców. – Mara miała rację co do wielkiego admirała, ale wygląda na to, że wyprzedzamy go o krok.

Tknięty nagłym przeczuciem Luke wyjrzał znów przez iluminator… Mara kucała przy konsoli, chwilowo niewidoczna dla żołnierzy. Wiedział jednak, że nie potrwa to zbyt długo, a znając ją, uznał, że nie będzie tkwiła tam, czekając, aż ci ją zauważą. Gdyby tylko zdołał ją jakoś ostrzec, aby jeszcze nie strzelała.

Cóż, może istniał na to sposób.

„Maro? – wysłał jej poprzez Moc wiadomość, próbując wywołać w swoim umyśle jej obraz. – Zaczekaj z atakiem na mój znak”.

Odpowiedź nie nadeszła, ale spostrzegł, jak Jade ogląda się nagle na „Sokoła”, zaalarmowana, a potem wycofuje się głębiej za osłonę, jaką zapewniał jej terminal.

– Wrócę do włazu – poinformował Karrde’a. – I spróbuję ich wziąć z Marą w krzyżowy ogień. Ty zostań tutaj.

– Jasne.

Trzymając nisko głowę, Skywalker przeszedł szybko krótkim korytarzem prowadzącym z kabiny „Sokoła”. Rychło w czas. Kiedy dotarł w pobliże włazu, czuł już pod stopami wibracje wywołane

przez ciężkie buty szturmowców uderzające o trap. Wyczuwał, że na pokład kieruje się czterech żołnierzy, podczas gdy pozostała czwórka otacza statek półkolem, aby bronić do niego dostępu na wypadek pojawienia się intruzów. Jeszcze sekunda i znajdzie się w polu ich widzenia… a sekundę później któryś z nich zauważy Marę…

„Teraz!” – dał jej sygnał poprzez Moc.

Z miejsca, w którym się ukrywała, poszybowały w stronę żołnierzy strzały z blastera – na tyle szybko, że Luke odniósł wrażenie, że dziewczyna i tak planowała ich zaatakować, niezależnie od jego polecenia. Zapalił miecz świetlny i wyskoczył zza rogu korytarza na trap, biorąc z zaskoczenia żołnierzy, którzy zaczynali się właśnie odwracać w stronę źródła ognia. Pierwszy cios skrócił karabin szturmowca idącego przodem o lufę. Sięgając ku żołnierzowi Mocą, Luke pchnął go na jego towarzyszy, ścinając z nóg całą czwórkę, która zwaliła się bezładnie na platformę windy. Wówczas zeskoczył z trapu, odbijając w locie strzał oddany przez jednego z ich kolegów w dole, i chlasnął go ostrzem miecza. Odbił jeszcze kilka blasterowych błyskawic, nim Mara zdjęła kolejnego. Gdy obrzucił szybkim spojrzeniem okolicę, spostrzegł, że poradziła sobie już z ostatnią dwójką.

Ostrzeżony poprzez Moc, obrócił się jak użądlony: czterech żołnierzy, których strącił wcześniej z trapu, gramoliło się właśnie na równe nogi. Rzucił się w ich stronę z okrzykiem na ustach, zawijając mieczem szerokim łukiem i czekając, aż Jade zlikwiduje ich, korzystając z tego, że odwrócił ich uwagę… Nie doczekawszy się jej reakcji, zmuszony osłaniać się przed promieniami energii, którymi zaczęli go zasypywać, nie miał wyjścia: cztery chlaśnięcia mieczem i było po wszystkim.

Dysząc ciężko, zgasił zielone ostrze i z przerażeniem spostrzegł, dlaczego Mara nie strzelała: winda z „Sokołem” opadała wolno w dół, zjeżdżając na niższy poziom. Znajdował się już zbyt nisko, by zdołała ich trafić.

– Maro?! – zawołał, patrząc w górę.

– Tak? – odkrzyknęła, pojawiając się w jego polu widzenia na skraju otworu windy, jakieś pięć metrów nad nim. – Gdzie Karrde?

– Chyba musimy się stąd zabierać – powiedział nagląco. – Skacz. Złapię cię.

Po jej twarzy przemknął grymas zniecierpliwienia, jednak „Sokół” opadał z każdą chwilą niżej, więc bez wahania posłuchała.

Sięgając ku niej Mocą, Luke zamknął ją w niewidzialnym uścisku, a potem, spowalniając opadanie, opuścił łagodnie na trap „Sokoła”.

Ledwie jej stopy dotknęły rampy, puściła się pędem do środka, w trzech susach wbiegając na pokład statku.

Gdy zamknął właz i dotarł do kokpitu, siedziała już w fotelu obok Karrde’a.

– Lepiej się przypnij! – zawołała do niego przez ramię.

Zajął miejsce za jej plecami, tłumiąc w sobie chęć wyproszenia jej z fotela drugiego pilota. Znał „Sokoła” o wiele lepiej od niej i od Karrde’a, ale przypuszczał też, że oboje mają znacznie większe doświadczenie w pilotowaniu tego typu statków niż on.

Sądząc z obrotu spraw, czekała ich trudna przeprawa. Przez osłonę kabiny widział, że zjeżdżają nie do hangaru, tak jak się spodziewał, ale do szerokiego korytarza dla pojazdów, wyposażonego w coś, co wyglądało na platformy repulsorowe…

– Wskórałaś coś z tamtym komputerem? – spytał Marę.

– Nie mogłam się dostać do systemu – wyjaśniła. – Ale sądzę, że teraz to i tak bez znaczenia. Ci szturmowcy mieli mnóstwo czasu, by wezwać pomoc. Chyba że wpadłeś na to, żeby zakłócić im łączność. – Spojrzała znacząco na Karrde’a.

– Daj spokój – parsknął przemytnik. – Oczywiście, że o tym pomyślałem. Najprawdopodobniej jednak dostali rozkaz zameldowania się od razu po zajęciu pozycji, czyli nie mamy więcej niż kilka minut. O ile w ogóle mamy tyle…

– Czy zdołamy się tędy wydostać? – zaniepokoił się Luke, obrzucając krytycznym spojrzeniem tunel. – Wydawało mi się, że zjedziemy tym czymś aż na pokład hangarowy…

– Wygląda na to, że ta winda nie dociera aż tam – zauważył Talon. – Najprawdopodobniej jesteśmy w jakiejś odnodze prowadzącego do niej szybu. To pewnie ten oświetlony otwór, tam dalej.

– Co teraz? – spytał Skywalker.

– Sprawdzimy, czy to ustrojstwo może sterować windą – odpowiedział przemytnik, wskazując na datapad, który zabrali technikowi. – Wątpię jednak, byśmy mieli tyle szczęścia. Chociażby ze względów bezpieczeństwa najprawdopodobniej…

– Spójrzcie! – przerwała mu Mara, pokazując coś w głębi tunelu.

W oddali pojawiła się kolejna platforma, sunąca z wolna w stronę oświetlonego ujścia szybu, które Karrde wskazał zaledwie chwilę wcześniej. Jeśli rzeczywiście był to wlot do hangaru i jeżeli platforma się tam zatrzyma, odcinając im drogę ucieczki…

Najwyraźniej Talon pomyślał o tym samym, bo Luke'a niespodziewanie wgniotło w fotel, gdy „Sokół" przyspieszył gwałtownie, zrywając się z platformy i mknąc naprzód jak spłoszony tauntaun. Przez chwilę szarpało nim i miotało dziko na boki, niebezpiecznie blisko ściany tunelu, podczas gdy repulsory statku walczyły z tymi umieszczonymi w szybie… Zacisnąwszy zęby aż do bólu szczęk, Skywalker przyglądał się, jak wyprzedzająca ich platforma powoli przesłania widniejący w oddali otwór, czując w ustach ten sam gorzki posmak, co wtedy w jamie rankora, pod salą tronową Hutta Jabby. Moc była z nim wówczas tak samo jak teraz, jednak nie miał pojęcia, jak wykorzystać jej potęgę. Gdy dystans między „Sokołem" a platformą zmniejszał się gwałtownie, zebrał się w sobie, przygotowując na nieuchronną, zdawałoby się, kolizję…

I nagle, przy akompaniamencie upiornego zgrzytu metalu o metal, przecisnęli się przez szparę i znaleźli na zewnątrz. Frachtowiec obrócił się wokół własnej osi, wpadając do ogromnej hali, minął pionowe prowadnice platformy…

Karrde wyrównał lot. Dokładnie na wprost nich ziała ogromna paszcza wlotu do hangaru. A za nią, na tle czerni kosmicznej przestrzeni, migotały gwiazdy.

Gdy sunęli nad dokującymi na pokładzie statkami, w ich stronę poszybowało kilka blasterowych promieni, jednak wystrzelono je zbyt chaotycznie i gorączkowo, by zdołały wyrządzić im jakąś krzywdę – większość nie dotarła nawet do celu. Tuż obok osłony kabiny przemknął jeszcze jeden zbłąkany strzał i nagle byli już

w próżni. Pokonawszy barierę atmosferyczną i opuściwszy śluzę, opadali ku majaczącej w dole planecie.

Luke zdążył jeszcze kątem oka złowić błysk roju myśliwców TIE wysypujących się z dziobowego hangaru, wysłanych w ślad za nimi.

– Maro? Chodź! – zawołał, rozpinając uprząż. – Wiesz, jak obsługiwać poczwórne działko laserowe?

– Nie – zaprotestował Karrde. – Będzie mi tu potrzebna. – Prowadził „Sokoła" blisko podbrzusza gwiezdnego niszczyciela, kierując się ku lewej burcie okrętu. – Musisz poradzić sobie sam. Idź do wieżyczki grzbietowej. Chyba zdołam zmusić ich, żeby zaatakowali z tego kierunku.

Luke nie miał pojęcia, jak przemytnik chce tego dokonać, ale nie było czasu na dyskusje. „Sokoła" zasypywał już grad strzałów z działek myśliwców, a on wiedział z doświadczenia, że osłony frachtowca nie są specjalnie wytrzymałe. Wyszedł szybkim krokiem z kokpitu, wspomaganym Mocą skokiem dotarł do połowy drabinki i wspiął się do wieżyczki. Przypiął się, uruchomił działka, a gdy rozejrzał się dookoła, żeby ocenić sytuację, zorientował się, co Karrde miał na myśli. „Sokół" wyminął już lewą burtę „Chimaery", zawinął nad jej kadłubem na rufę i powoli parł ku otwartej przestrzeni kosmicznej kursem prowadzącym tuż nad strumieniami gazów z dysz potężnych silników podświetlnych gwiezdnego niszczyciela. Zdaniem Skywalkera, trzymał się nieco zbyt blisko nich, jednak z pewnością robił to po to, aby uniemożliwić myśliwcom TIE przez jakiś czas zaatakowanie ich z dołu.

Brzęczyk interkomu zapiszczał.

– Skywalker? – dobiegł z głośnika głos Karrde'a. – Już niemal tu są. Gotów?

– Gotów – zapewnił go Luke. Położył palce na spustach, skupił się i pozwolił, by Moc kierowała jego ruchami.

Walka była burzliwa, lecz krótka – pod pewnym względem przypominała Luke'owi tamtą ucieczkę z pierwszej Gwiazdy Śmierci tak dawno temu. Leia domyśliła się wówczas, że wszystko poszło zbyt gładko. Gdy teraz wokół niego zaroiło się od ostrzeliwujących go i wybuchających TIE-ów, zastanowił się z niepokojem, czy i tym razem Imperium nie uknuło jakiegoś podstępnego planu…

I nagle niebo rozbłysło setkami świetlistych smug, które prędko przeobraziły się w mozaikę nadprzestrzeni. Byli wolni.

Odetchnął głęboko i dezaktywował działka.

– Świetnie rozegrane – rzucił do interkomu.

– Dzięki – nadeszła zdawkowa odpowiedź Karrde'a. – Chyba wszystko jest mniej więcej w porządku, jednak oberwaliśmy w okolice prawoburtowego modułu konwertera mocy. Mara pójdzie to sprawdzić.

– Damy radę i bez tego – zapewnił go Luke. – Han dokonał tylu obejść, że polecimy, nawet jeśli padnie połowa systemów. Dokąd się kierujemy?

– Na Coruscant. Podrzucimy cię do domu, a przy okazji spełnię swoją wcześniejszą obietnicę.

Skywalker zastanawiał się przez chwilę, co przemytnik może mieć na myśli.

– Ach, mówisz o tym, że Nowa Republika może zyskać na tym, że cię uratowaliśmy?

– Właśnie – potwierdził Talon. – O ile dobrze pamiętam, Solo wspominał, że waszym ludziom brakuje statków. Mam rację?

– Nie inaczej. A co, masz na boku coś zbędnego?

– Może nie tyle mam, ile będę miał, jeśli się postaram. Jak sądzisz, co Nowa Republika powiedziałaby na… dajmy na to… dwieście staroświeckich drednotów sprzed wojen klonów?

Luke'owi dosłownie opadła szczęka. Dorastając na Tatooine, nie był może na bieżąco ze wszystkim, co działo się w galaktyce, ale to i owo obiło mu się o uszy.

– Chyba nie masz na myśli… Ciemnej Flotylli?

– Wracaj tu, to pogadamy. Aha, wolałbym, abyś nie wspominał o tym na razie Marze.

– Już idę. – Wyłączywszy interkom, Luke odwiesił zestaw słuchawkowy na miejsce i zszedł prędko po drabince, pierwszy raz nie zwracając uwagi na zmianę w polu grawitacyjnym w połowie drogi.

„Sokół Millennium” wyprysnął z hangaru „Chimaery”, zwinnie wymknął się ścigającym go myśliwcom TIE i skierował się ku otwartej przestrzeni kosmicznej.

Pellaeon siedział przy swoim pulpicie kontrolnym, zaciskając dłonie w pięści i obserwując w bezsilnym milczeniu, jak ich zdobycz ucieka im bez trudu. Bezsilnym, bo z powodu ograniczonego dostępu do głównego systemu komputerowego imponujące uzbrojenie niszczyciela i jego promienie ściągające były bezużyteczne wobec statku tak małego, szybkiego i prędko zwiększającego dzielący ich dystans. W milczeniu, ponieważ w obliczu podobnej porażki jego arsenał przekleństw wydawał mu się zdecydowanie żałosny.

Statek zamigotał… i zniknął, a Pellaeon przygotował się na najgorsze. To jednak nie nadeszło.

– Proszę zawrócić myśliwce, kapitanie – rzucił Thrawn głosem niezdradzającym, o dziwo, śladu zdenerwowania czy wściekłości. – A także odwołać alarm i polecić kontroli systemów przywrócić działanie głównego komputera. Ach, a personel techniczny może dokończyć rozładunek.

– Tak jest, sir – potwierdził przyjęcie rozkazu Pellaeon, zerkając ukradkiem na przełożonego. Czyżby Thrawnowi jakimś cudem umknęła waga tego, co się właśnie przed chwilą wydarzyło?

Wielki admirał utkwił w nim spojrzenie lśniących czerwono oczu.

– Owszem, przegraliśmy tę rundę, kapitanie – powiedział. – Ale nic poza tym.

– Jeśli chodzi o mnie, admirale, to mam wrażenie, że straciliśmy znacznie więcej – warknął Pellaeon. – Teraz możemy już być pewni, że Karrde przekaże Rebelii informacje o Flocie Katańskiej.

– Nie byłbym wcale tego taki pewien. Nie powierzy im ich ot tak – odpowiedział z denerwującym spokojem Thrawn. – Karrde nie ma w zwyczaju oddawać nic za darmo. Będzie się próbował targować albo ustali warunki, które Rebelia uzna za nie do przyjęcia. Negocjacje potrwają, szczególnie w atmosferze wzajemnych oskarżeń i nieufności w strefie politycznej, którą z takim trudem wytworzyliśmy na Coruscant. A nam nie potrzeba nic więcej oprócz odrobiny czasu.

Pellaeon pokręcił głową.

– Zakłada pan, że ten złodziej statków, Ferrier, zdoła znaleźć dostawcę koreliańskiej grupy, zanim Karrde i Rebelia dojdą do porozumienia?

– Tu nie ma czego zakładać – poinformował go łagodnie Thrawn. – Ferrier już teraz jest na tropie Solo i ustalił dla nas współrzędne celu jego podróży, a dzięki doskonałej pracy naszego wywiadu nad rozpracowaniem przeszłości Karrde'a, wiem już dokładnie, kim jest osoba, z którą Solo ma się spotkać. – Wyjrzał przez iluminator na myśliwce TIE powracające na pokład. – Proszę rozkazać nawigacji przygotować kurs na układ Pantolomin, kapitanie – rzucił w zamyśleniu. – Wyruszamy, gdy tylko dobiegnie końca rozładunek promów.

– Tak jest, sir. – Pellaeon przekazał nawigatorowi polecenie i dokonał w myśli szybkich obliczeń. Czas potrzebny „Sokołowi Millennium" na dotarcie na Coruscant… czas, jaki zajmie „Chimaerze" lot na Pantolomin…

– O tak – rzucił Thrawn, jakby znowu czytał mu w myślach. – To będzie prawdziwy wyścig z czasem.

Rozdział 24

Słońce skryło się już za brązowymi wzgórzami Honoghra, pozostawiając po sobie jedynie nikłą poświatę, malującą wiszące nad horyzontem chmury odcieniami czerwieni i fioletu. Leia obserwowała barwny spektakl, stojąc w progu dukhy, czując stanowczo zbyt znajome podenerwowanie i strach, które opadały ją zawsze, gdy groziło jej niebezpieczeństwo lub czekała ją walka. Za kilka minut wyruszy wraz z Chewbaccą i C-3PO do Nystao, aby uwolnić Khabarakha i uciec. Albo zginąć, jeśli im się nie powiedzie.

Z westchnieniem odwróciła się na pięcie i weszła do środka, zastanawiając się ponuro, w którym miejscu popełniła błąd. Przylot na Honoghr wydawał się słuszną decyzją. Głęboko wierzyła, że podobny gest odwagi i dobrej woli względem Noghrich przyniesie oczekiwane rezultaty. Jeszcze przed opuszczeniem Kashyyyka była święcie przekonana, że nie była to wyłącznie jej własna decyzja, ale działanie wynikające z przewodnictwa Mocy.

Cóż, może i rzeczywiście tak było. Ale czy na pewno dotyczyło to jej właściwiej strony?

Przez drzwi wpadł do środka chłodny powiew i Leia zadrżała. „Moc jest silna w mojej rodzinie” – powiedział Luke w przeddzień bitwy o Endor. Początkowo w to nie wierzyła – zaczęła nieśmiało przekonywać się o tym na własnej skórze dopiero wtedy, kiedy pod jego cierpliwym okiem zaczęła dostrzegać w sobie echo tych samych zdolności. Jednak… jej ojciec również był wyszkolony w korzystaniu z Mocy i posiadał te same umiejętności, czyż nie? A mimo to koniec końców dał się zwieść pokusom ciemnej strony.

Jedno z bliźniąt wierzgnęło w jej brzuchu i zamarła, wysyłając delikatne wici Mocy w kierunku dwóch maleńkich istot, które nosiła pod sercem. To z kolei sprawiło, że z krańców pamięci napłynęły wspomnienia: twarz jej matki, ściągnięta bólem i smutkiem, gdy podnosiła ją z ciemnego ukrycia, w którym maleńka Leia leżała z dala od wścibskich oczu. Nieznajome twarze nachylone nad nią,

podczas gdy matka przemawiała do nich tonem, który przeraził ją i doprowadził do płaczu. Nieutulony szloch po jej śmierci i objęcia mężczyzny, którego nauczyła się nazywać ojcem.

Ból, cierpienie i strach – a wszystko to z powodu jej prawdziwego ojca, człowieka, który porzucił miano Anakina Skywalkera, aby stać się Darthem Vaderem.

Od strony drzwi dobiegło ciche szuranie.

– O co chodzi, Threepio? – spytała, odwracając się w stronę złocistego droida.

– Wasza Wysokość – odezwał się robot z lekkim niepokojem w starannie modulowanym głosie – Chewbacca poinformował mnie, że wkrótce zamierza pani odlecieć. Czy mogę założyć, że będę pani towarzyszył?

– Tak, oczywiście – zapewniła go. – Cokolwiek wydarzy się w Nystao, nie sądzę, żebyś chciał tu po wszystkim pozostać.

– Muszę się z panią zgodzić. – Droid zawahał się, a jedno czujne spojrzenie na jego posturę powiedziało jej, iż nie do końca wyzbył się obaw. – Jest jednak coś, o czym, jak sądzę, powinna pani wiedzieć – podjął. – Jeden z droidów dekontaminacyjnych zachowuje się bardzo… dziwnie.

– Och, czyżby? – zdziwiła się. – A co takiego dziwnego jest w jego zachowaniu?

– Wydaje się, cóż, zdecydowanie zbyt wścibski – wydusił z siebie C-3PO. – Zadaje mnóstwo pytań, i to nie tylko o Chewbaccę, ale także o mnie. Widziałem też, że kręci się po wiosce po tym, jak powinien zakończyć pracę i zostać na noc wyłączony.

– Być może to skutek niedokładnego czyszczenia pamięci – stwierdziła. Szczerze mówiąc, nie była w nastroju do roztrząsania dziwactw i odchyleń w osobowościach droidów. – Znam jednego czy dwa droidy wykazujące ciekawość daleko wykraczającą poza ich oprogramowanie – dodała znacząco.

– Ależ Wasza Wysokość! – zaprotestował z oburzeniem C-3PO. – Artoo to zupełnie inny przypadek!

– Nie miałam na myśli tylko jego. – Leia podniosła dłoń, dając gestem znak, że uważa dalszą dyskusję na ten temat za bezcelową. –

Ale rozumiem twoje obawy. Wiesz co? Zróbmy tak: miej na oku tego droida, dobrze?

– Oczywiście, Wasza Wysokość – zgodził się C-3PO. Skłonił się lekko i szurając nogami, wyszedł w gęstniejący mrok.

Leia westchnęła i rozejrzała się dookoła. Spacerując niespokojnie po pomieszczeniu, dotarła do tablicy genealogicznej i zatrzymała się tam na chwilę, aby rzucić na nią okiem. Ryty wyrżnięte w drewnie tchnęły głęboką mądrością pokoleń, które tu upamiętniono – a także ich cichą rodową dumą. Przesunęła wzrokiem po liniach łączących imiona, zastanawiając się, co czuli sami Noghri, gdy się przyglądali tablicy. Czy dostrzegali porażki i zwycięstwa swoich przodków, czy może tylko te ostatnie? Po krótkim namyśle uznała, że godzili się zarówno z upadkami, jak i ze wzlotami swojego ludu. Noghri zrobili na niej wrażenie gatunku, który potrafi stawić czoła rzeczywistości ze wszystkimi jej blaskami i cieniami.

– Czy w drewnie widzi pani kres naszego rodu, lady Vader? – zapytał ktoś.

Leia aż podskoczyła.

– Czasem wolałabym, abyście nie byli tacy dobrzy w tym, co robicie – mruknęła, gdy nieco ochłonęła.

– Wybacz – bąknęła zdawkowo maitrakh. – Nie chciałam cię wystraszyć. – Wskazała na tablicę. – Czy dostrzegasz w niej nasz koniec, lady Vader? – powtórzyła pytanie.

Leia pokręciła głową.

– Nie potrafię przewidzieć przyszłości, maitrakh. Ani waszej, ani nawet własnej. Myślałam po prostu o dzieciach. Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest próbować je wychować. Zastanawiałam się, jak duży wpływ na kształtowanie charakteru może mieć rodzina, a jaka jego część jest wrodzona i niezmienna. – Milczała przez chwilę. – I czy z historii rodziny da się wymazać zło, czy może raczej zawsze przechodzi ono z pokolenia na pokolenie.

Maitrakh przechyliła lekko głowę na ramię i utkwiła w niej spojrzenie swoich dużych oczu.

– Mówisz jak ktoś, komu pierwszy raz przyjdzie zmierzyć się z trudami wychowywania dziecka – zauważyła.

– Zgadza się – przyznała Leia, gładząc dłonią napęczniały brzuch. – Nie wiem, czy Khabarakh ci o tym wspomniał, ale noszę w sobie dwójkę dzieci. Zostanę matką po raz pierwszy.

– I boisz się o nie.

– Mam ku temu powody. – Policzek drgnął jej w nerwowym tiku. – Imperium chce mi je odebrać.

– Dlaczego? – syknęła maitrakh.

– Nie jestem tego pewna – wyznała księżniczka. – Jednak nie mogą mieć dobrych zamiarów.

– Przykro mi, lady Vader. – Maitrakh wbiła wzrok w podłogę. – Pomogłabym ci, gdybym tylko mogła.

Leia wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie ramienia sędziwej Noghryjki.

– Wiem o tym.

Maitrakh przeniosła spojrzenie na tablicę genealogiczną.

– Posłałam wszystkich czterech moich synów na śmiertelnie niebezpieczne misje, lady Vader – powiedziała cicho. – Do służby Imperium, aby toczyli dla niego walkę. I chociaż czyniłam to raz za razem, wcale nie było mi łatwiej patrzeć, jak idą na wojnę i śmierć.

Leia pomyślała o wszystkich swoich przyjaciołach i towarzyszach broni, który zginęli podczas tej długiej wojny.

– Ja posyłałam na śmierć swoich przyjaciół – wyznała równie cicho. – I było to dla mnie wystarczająco trudne. Nie wyobrażam sobie, co musi czuć matka, posyłająca na śmierć własne dzieci.

– Trzech z nich zginęło – ciągnęła tymczasem maitrakh, jakby w ogóle jej nie słyszała, jakby mówiła sama do siebie. – Z dala od domu, gdzie nie mógł ich opłakiwać nikt z wyjątkiem towarzyszy. Czwarty został okaleczony i wrócił do domu, aby zakończyć swoje krótkie życie w cichej rozpaczy i hańbie, nim wybawiła go śmierć.

Leia skrzywiła się boleśnie. A teraz hańba i śmierć czekały Khabarakha za to, że jej pomógł…

– Zaraz. – Zmarszczyła z namysłem czoło. – Powiedziałaś, że wysłałaś na wojnę całą czwórkę. I że wszyscy zginęli…

Maitrakh pokiwała głową.

– Zgadza się.

– A co z Khabarakhiem? Czy on nie jest przypadkiem również twoim synem?

– To mój trzeci syn – wyjaśniła maitrakh z dziwnym wyrazem twarzy. – Syn syna mojego pierwszego syna.

Leia spojrzała na nią, zmartwiała z przerażenia, gdy nagle do niej dotarło, że skoro Khabarakh nie był jej synem maitrakh, tylko jej prawnukiem, a ona była świadkiem bitwy kosmicznej, która rozegrała się nad Honoghrem…

– Maitrakh, powiedz mi, proszę, od jak dawna wasza planeta wygląda w ten sposób? – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Ile to już lat?

Noghryjka wpatrywała się w nią z napięciem, najwyraźniej wyczuwając nagłą zmianę w jej nastroju.

– Lady Vader, czy coś, co powiedziałam…

– Ile lat?

Noghryjka wzdrygnęła się i cofnęła o krok.

– Czterdzieści osiem noghryjskich lat – odparła. – Czyli czterdzieści cztery lata Imperatora.

Wstrząśnięta Leia wsparła się dłonią o gładkie drewno tablicy genealogicznej, gdy ugięły się pod nią kolana. Czterdzieści cztery lata! Nie pięć czy osiem ani nawet dziesięć, jak zakładała. Czterdzieści cztery…

– A więc nie wydarzyło się to za czasów Rebelii – usłyszała własne słowa. – Tylko podczas wojen klonów.

Niespodziewanie szok ustąpił miejsca fali palącego gniewu.

– Czterdzieści cztery lata! – warknęła. – Trzymają was tak już czterdzieści cztery lata! – Odwróciła się jak użądlona w stronę drzwi. – Chewie! – zawołała, nie przejmując się zupełnie tym, że ktoś może ją usłyszeć. – Chewie! Chodź tu, natychmiast!

Ktoś położył jej dłoń na ramieniu, a gdy się odwróciła, spostrzegła, że maitrakh przypatruje jej się intensywnie z trudnym do odczytania wyrazem twarzy.

– Lady Vader, powiedz mi, o co chodzi.

– Czterdzieści cztery lata, maitrakh, o to chodzi! – wycedziła Leia. Gniew powoli słabł, ustępując lodowatej determinacji. – Trzymają was tu w niewoli przez niemal pół wieku! Kłamiąc wam w żywe

oczy, oszukując i mordując waszych synów! – Wskazała palcem ziemię pod ich stopami. – To nie jest skażenie wymagające czterdziestu czterech lat pracy! A jeśli nie ograniczają się tylko do oczyszczania gleby…

Od progu dobiegł tupot ciężkich stóp i chwilę później do środka wpadł Chewbacca z kuszą w pogotowiu. Na widok Lei zaryczał pytająco i skierował broń na maitrakh.

– Nic mi nie grozi, Chewie – zapewniła go pospiesznie Leia. – Jestem po prostu… wściekła. Chciałabym, żebyś zebrał dla mnie jeszcze kilka próbek z zanieczyszczonego obszaru. Ale tym razem nie gleby, tylko trawy kholm.

Jej prośba wyraźnie go zaskoczyła, ale warknął tylko potakująco i wyszedł ją spełnić.

– Dlaczego chcesz zbadać naszą trawę kholm? – spytała maitrakh.

– Sama powiedziałaś, że pachnie teraz inaczej niż przed opadem tych deszczy – przypomniała jej księżniczka. – Sądzę, że mogliśmy coś przeoczyć.

– Ale co takiego?

Leia potrząsnęła głową.

– Nie chciałabym snuć w tej chwili żadnych przypuszczeń, maitrakh. Jeszcze nie. Nie, dopóki nie będę miała pewności.

– Czy wciąż chcesz się udać do Nystao?

– Teraz? Tym bardziej – potwierdziła z determinacją. – Ale nie po to, by atakować lub uciekać. Jeśli próbki potwierdzą moje podejrzenia, zamierzam pójść prosto do wodzów.

– A co, jeśli nie zechcą cię wysłuchać?

Leia wzięła głęboki oddech.

– Nie mogą mi odmówić – powiedziała z mocą. – Straciliście już trzy pokolenia waszych synów. Nie możecie sobie pozwolić na posyłanie na śmierć następnych dzieci.

Noghryjka przypatrywała jej się przez chwilę w milczeniu.

– Mówisz prawdę – powiedziała wreszcie, a potem syknęła cicho przez ostre kły i z właściwą sobie gracją popłynęła w stronę wyjścia. – Wrócę w ciągu godziny – rzuciła przez ramię. – Czy wówczas będziesz gotowa do drogi?

– Tak. – Leia pokiwała głową. – Dokąd idziesz?

Maitrakh zatrzymała się w drzwiach, krzyżując z nią spojrzenie ciemnych oczu.

– Mówisz prawdę, lady Vader. Muszą cię wysłuchać. Wkrótce wrócę.

Maitrakh rzeczywiście wróciła – dwadzieścia minut później, na pięć minut przed powrotem Chewbakki. Wookiee zebrał dwie pełne garści trawy kholm z różnych rozproszonych miejsc i wydobył pakiet analityczny z kryjówki w magazynku droidów dekontaminacyjnych. Leia umieściła w środku dwa brzydkie brązowe źdźbła i wyruszyli do Nystao.

Z zaskoczeniem przekonała się, że nie będą podróżować sami: za sterami śmigacza o otwartej kabinie, który załatwiła im maitrakh, siedziała już młoda Noghryjka, a gdy ruszyli niespiesznym tempem przez wioskę, dołączyło do nich jeszcze kilkunastu Noghrich, kroczących po obu stronach pojazdu niczym honorowa eskorta. Maitrakh szła tuż obok burty śmigacza z nieprzeniknioną miną. Lei trudno było wyczytać coś z jej twarzy w nikłym blasku rzucanym przez panel kontrolny maszyny. Siedzący na tylnym siedzeniu obok analizatora Chewbacca bawił się nerwowo kuszą i wydawał z siebie nieufne, gardłowe pomruki. Wciśnięty w przedział bagażowy za jego plecami C-3PO był nienaturalnie cichy.

Minęli rogatki i znaleźli się wśród pól. Podróżowali bez świateł, więc niewielka grupa Noghrich otaczających ich pojazd była praktycznie niewidoczna w przyćmionym przez chmury świetle gwiazd. Wkrótce niecodzienna procesja dotarła do sąsiedniej wioski – światła w niej były wygaszone i w mroku ledwie można było ją odróżnić od okolicznych pól – i bez problemu opuściła jej teren. Kolejne pola, jeszcze jedna wioska, więcej pól. Od czasu do czasu Leia dostrzegała migoczące w oddali światła Nystao i widok ten sprawiał, że zaczynała się z niepokojem zastanawiać, czy spotkanie z noghryjskimi dostojnikami było dobrym pomysłem. Rządzili wszak dzięki wsparciu – a przynajmniej za cichym przyzwoleniem – Imperium, więc pośrednie oskarżanie ich o podtrzymywanie

kłamstwa może nie zostać dobrze przyjęte. Tym bardziej w przypadku tak dumnego i ceniącego sobie honor ludu.

I nagle, gdy na północnym wschodzie większy z trzech księżyców Honoghra przebił się przez grubą warstwę chmur, Leia z osłupieniem spostrzegła, że nie towarzyszą jej już jedynie mieszkańcy ojczystej wioski Khabarakha. Śmigacz otaczał teraz tłum ciemnych sylwetek, sunących w ślad za nim niczym fala milczącego przypływu.

Siedzący za nią Chewbacca zawarczał zaskoczony. Jako wytrawny łowca wyczuł, że eskortująca ich grupa zwiększała się z każdą mijaną wioską, jednak nawet on nie spodziewał się, że będzie im towarzyszyło takie nieprzebrane mrowie istot – i nie był do końca pewien, czy mu się to podoba.

Jednak na widok tłumu Noghrich, podążających za nią w milczącym pochodzie, ucisk w piersi Lei zelżał, gdy opadła na oparcie fotela śmigacza. Teraz była już pewna, że cokolwiek wydarzy się w Nystao, sama liczebność towarzyszącej jej grupy uniemożliwi dynastom aresztowanie jej i zatuszowanie faktu, że kiedykolwiek tam dotarła… w razie gdyby przyszło im to do głowy.

Maitrakh zapewniła jej prawo do zabrania głosu. Reszta zależała już tylko od niej.

Na obrzeża miasta dotarli tuż przed świtem, aby z zaskoczeniem dostrzec nowy tłum czekających na nich Noghrich.

– Wieści o twoim przybyciu cię wyprzedziły – powiedziała do Lei maitrakh, gdy śmigacz wraz z otaczającą go asystą zbliżył się do nowej grupy. – Przybyli tu, by zobaczyć córkę lorda Vadera oraz wysłuchać jej słów.

Leia powiodła wzrokiem po tłumie zgromadzonych.

– A czego kazałaś im się spodziewać?

– Że dług honorowy wobec Imperium został w pełni spłacony – rzekła maitrakh. – I że przybyłaś, aby dać Noghrim szansę na nowe życie. – Utkwiła w twarzy Lei ciemne oczy, w których widać było milczące pytanie.

Księżniczka obejrzała się przez ramię na Chewbaccę i podniosła pytająco brwi, na co Wookiee zaryczał potwierdzająco i pochylił moduł analizatora w jej stronę, aby mogła spojrzeć na wyświetlacz.

W którymś momencie ich nocnej podróży urządzenie dokończyło analizę i gdy Leia przebiegała wzrokiem odczyty na wyświetlaczu, zaczął w niej na nowo wzbierać palący gniew na Imperium za to, co uczyniło temu ludowi.

– Tak – powiedziała powoli do maitrakh. – Rzeczywiście, mogę udowodnić, że ten dług został spłacony.

Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej do czekającego na nich tłumu, w bladym świetle przedświtu spostrzegła, że większość zgromadzenia tworzą Noghryjki. Nieliczni przedstawiciele płci męskiej byli albo dziećmi i podrostkami, wyróżniającymi się na tle reszty jasną skórą, albo starcami o znacznie ciemniejszej karnacji. Jednak tuż naprzeciwko dziobu śmigacza stała grupa złożona z mniej więcej dziesięciu młodych mężczyzn o skórze w stalowoszarym kolorze.

– Widzę, że wieści dotarły również do uszu wodzów – zauważyła cicho.

– To nasza oficjalna asysta – wyjaśniła maitrakh. – Będą nam towarzyszyć aż do Wielkiej Dukhy, w której czekają już na ciebie dostojnicy.

Członkowie oficjalnej asysty… czy też może strażnicy lub żołnierze – Leia nie była do końca pewna, jak ich traktować – w milczeniu utworzyli formację klina i ruszyli przodem, prowadząc śmigacz. W tłumie wrzało od prowadzonych szeptem rozmów i uwag, wymienianych w większości między mieszkańcami wiosek a miastowymi. Leia nie miała pojęcia, o czym rozmawiają, jednak za każdym razem, gdy spojrzała na któregoś Noghriego, ten milkł i zaczynał się jej przypatrywać otwarcie z nieskrywanym zafascynowaniem.

Miasto okazało się mniejsze, niż się spodziewała, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę ograniczoną przestrzeń mieszkalną dostępną dla mieszkańców Honoghra. Kilka minut później dotarli do Wielkiej Dukhy.

Słysząc wcześniej tę nazwę, założyła, że będzie to po prostu większa wersja zwykłej dukhy, takiej, jaką widzieli w wiosce Khabarakha. Owszem, budowla była większa, jednak poza podobnym kształtem zdecydowanie różniła się od swojej wiejskiej kuzynki. Jej ściany i dach wykonano nie z drewna, a z jakiegoś srebrzystobłękitnego metalu o gładkiej powierzchni, pozbawionego ozdób czy płaskorzeźb. Kolumny wspierające ściany były zrobione z czarnego metalu – lub też poddanego obróbce kamienia, Leia nie była w stanie stwierdzić na pewno. Szerokie schody z czarno-czerwonego marmuru prowadziły na taras wyłożony szarym brukiem, rozciągający się tuż przed podwójnymi drzwiami. Całość sprawiała wrażenie chłodu i nieprzystępności oraz zdecydowanie nie przystawała do noghryjskiego etosu, o którym zdanie wyrobiła sobie w ciągu kilku ostatnich dni. Zastanowiła się przelotnie, czy Wielka Dukha nie została przypadkiem zbudowana nie przez Noghrich, ale przez Imperium.

U szczytu schodów czekało na nią trzynastu noghryjskich mężczyzn w średnim wieku, ubranych w niezwykłe stroje, stanowiące coś w rodzaju połączenia kamizelki z szalem. Za ich plecami widać było Khabarakha – z rękami i nogami przykutymi łańcuchami do dwóch słupów ustawionych w centrum tarasu.

Gdy Leia spojrzała na niego ponad szeregiem dostojników, serce ścisnęło jej się z bólu. Maitrakh opisywała jej co prawda, jak wygląda u Noghrich rytuał publicznego upokorzenia, jednak dopiero gdy zobaczyła to na własne oczy, dotarło do niej, z jak wielkim wstydem wiązało się skazanie na podobną karę. Udręczona twarz Khabarakha była blada, a on sam zwieszał się bezwładnie, utrzymywany na stelażu ciężkimi łańcuchami, sprawiając wrażenie śmiertelnie umęczonego. Mimo to trzymał głowę wysoko, a spojrzenie ciemnych oczu miał czujne.

Gdy śmigacz dotarł w pobliże dukhy, tłum rozstąpił się na boki, robiąc im przejście. Ich oficjalna eskorta wspięła się po schodach, zatrzymując się między tłumem a szeregiem dynastów.

– Pamiętaj: nie przybyliśmy tu, by walczyć – mruknęła Leia do Chewbakki, a potem przywoławszy całe dostojeństwo i powagę, na

jakie było ją stać, wysiadła ze śmigacza i wstąpiła na stopnie prowadzące na taras.

Kiedy dotarła na szczyt schodów, ostatnie szmery rozmów w tłumie umilkły.

– Witam was, wodzowie ludu Noghrich – powiedziała głośno. – Jestem Leia Organa Solo, córka waszego pana, Dartha Vadera. Tego, który przybył do was, gdy byliście w niedoli, i ofiarował wam pomoc. – Wyciągnęła dłoń w stronę stojącego pośrodku szpaleru Noghriego, obracając ją grzbietem do góry.

Przypatrywał się jej dłoni przez chwilę bez ruchu, aż wreszcie, z wyraźnym wahaniem, wystąpił z szeregu i ją powąchał. Nim się wyprostował, powtórzył czynność jeszcze dwukrotnie.

– Lord Vader nie żyje – oznajmił sztywno. – A nasz nowy pan, wielki admirał, rozkazał nam sprowadzić cię do niego, Leio Organa Solo. Pójdziesz teraz z nami, aby zaczekać na transport.

Stojący u stóp schodów Chewbacca zaryczał ostrzegawczo, jednak Leia uciszyła go gestem i pokręciła głową.

– Nie przybyłam tu, by się oddać w ręce wielkiego admirała – poinformowała dostojnika.

– Mimo to tak się stanie – zapewnił ją.

Na jego znak dwóch strażników wyszło z szeregu i ruszyło w jej stronę.

Ani drgnęła, dając Chewiemu ponownie do zrozumienia, że powinien pozostać tam, gdzie stał.

– Służycie więc Imperium czy ludowi Honoghra?

– Wszyscy Noghri honoru służą zarówno swojemu ludowi, jak i Imperium – odparł dynasta.

– Czyżby? – zdziwiła się. – A czy służenie ludowi Honoghra oznacza teraz posyłanie kolejnych pokoleń, aby ginęły w wojnach toczonych przez Imperium?

– Jesteś obca – prychnął pogardliwie dostojnik. – Nic nie wiesz na temat honoru Noghrich. – Kiwnął głową strażnikom, którzy zajęli miejsca po obu stronach księżniczki. – Zabrać ją do dukhy.

– A więc tak bardzo obawiacie się tego, co ma wam do powiedzenia samotna, obca kobieta? – spytała, gdy Noghri zamknęli

dłonie na jej ramionach w żelaznym uścisku. – Czy może boicie się, że moje przybycie osłabi waszą władzę?

– Nie będziesz siała wśród nas niezgody i zamętu! – warknął dynasta.

Chewbacca zaryczał znowu i Leia czuła, że zamierza skoczyć na schody, by ruszyć jej na pomoc.

– Nie przychodzę, aby siać pośród was niezgodę – oświadczyła z mocą Leia, tak aby wszyscy w tłumie dobrze ją słyszeli. – Chcę mówić o zdradzie!

Pośród zgromadzonych przeszedł szmer poruszenia.

– Zamilknij – wycedził noghryjski wódz. – Albo zostaniesz uciszona.

– Chcę wysłuchać, co ma do powiedzenia! – zawołała z tłumu maitrakh.

– Ty również zamilknij! – syknął dynasta, gdy wśród zebranych Noghrich dało się słyszczeć słowa poparcia dla żądania maitrakh. – Nie masz tu prawa głosu, maitrakh klanu Kihm'bar. Nie zwoływałem zgromadzenia ludu Noghrich.

– A jednak mimo to doszło do niego – odparła hardo noghryjska kobieta. – Lady Vader przybyła do nas. Chcemy wysłuchać jej słów.

– W takim razie wysłuchasz ich w więzieniu! – Na znak dostojnika z szeregu eskorty wystąpiło dwóch następnych strażników, kierując się w stronę schodów.

Leia uznała, że nadeszła pora, by działać. Opuściła wzrok na swój pas i sięgnęła po Moc, przywołując całą siłę i skupienie, na jakie było ją stać…

Nagle jej miecz świetlny poszybował w górę, odczepiony od zapięcia na pasku, a gdy skoncentrowała się na przycisku umieszczonym na metalowej rękojeści, z emitera wysunęło się z trzaskiem i sykiem zielonobiałe ostrze, tworząc między nią a noghryjskimi wodzami barierę energetyczną.

Tłum wydał z siebie coś między zbiorowym westchnieniem a syknięciem… Dwójka strażników idąca w stronę maitrakh zastygła w pół kroku, a gdy zapanowała na powrót niezmącona najmniejszym szmerem cisza, Leia wiedziała już, że zyskała posłuch.

– Nie jestem jedynie córką lorda Vadera – powiedziała, nasycając swoje słowa odrobiną ściśle kontrolowanego gniewu. – Jestem Mal'ary'ush: dziedziczką jego władzy i potęgi. Stawiłam czoła wielu niebezpieczeństwom, aby ujawnić zdradę i spisek, jakich dopuszczono się względem waszego ludu. – Z największą ostrożnością pozwoliła sobie na oderwanie części uwagi od zawieszonego w powietrzu miecza, aby powieść powoli wzrokiem po szeregu dostojników. – Czy teraz mnie wysłuchacie? Czy może wolicie śmierć?

Przez długą chwilę nikt nie ważył się odezwać. Leia wsłuchiwała się w dudniące jej w uszach bicie własnego serca i niskie buczenie miecza, zastanawiając się, ile czasu zdoła utrzymać w tej pozycji broń, nim utraci nad nią kontrolę. I nagle jeden z dynastów, stojący w połowie szpaleru po jej lewej stronie, postąpił o krok naprzód.

– Chciałbym wysłuchać słów Mal'ary'ush – oświadczył.

Pierwszy z dostojników splunął.

– Nie waż się pogłębiać niezgody, którą zasiała pośród nas, Ir'khaimie – ostrzegł z groźbą w głosie. – Liczysz tylko na szansę ocalenia honoru klanu Kihm'bar.

– A może raczej całego ludu Noghrich, Vor'corkhu – odbił piłeczkę Ir'khaim. – Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia Mal'ary'ush. Czy tylko ja?

Inny z dynastów opuścił szereg, aby dołączyć do niego w milczeniu – a potem następny, jeszcze jeden i kolejny, aż spośród trzynastu dostojników poparło go ośmiu.

Vor'corkh syknął przez zęby, jednak cofnął się o krok.

– Dynaści Honoghra podjęli decyzję – warknął. – Możesz przemówić.

Strażnicy puścili jej ramiona. Leia odczekała jeszcze dwie sekundy, a potem podniosła dłoń, ujęła rękojeść miecza i go wyłączyła.

– Chcę opowiedzieć wam pewną historię i zrobię to dwukrotnie – oznajmiła, odwracając się do tłumu i przywieszając broń z powrotem do pasa. – Pierwszy raz przedstawię ją w sposób, w jaki zrobiło to Imperium. Drugi raz wyjawię prawdziwą wersję wydarzeń. Wówczas będziecie mogli zdecydować sami, czy dług

Noghrich został spłacony. Wszyscy znacie opowieść o tym, jak bitwa w przestworzach zniszczyła wasz świat. Wiecie, jak wielu Noghrich zginęło wskutek wybuchu wulkanów, trzęsień ziemi oraz powodzi, które później nastąpiły, dopóki nie została was tylko garstka zgromadzona w tym miejscu. Pamiętacie, jak przybył do was lord Darth Vader i zaoferował wam pomoc. Jak po opadach dziwnie pachnącego deszczu zmarniały i uschły wszystkie rośliny z wyjątkiem trawy kholm. Jak Imperium powiedziało wam, że ziemia została zatruta chemikaliami pochodzącymi z rozbitego statku, a także zaproponowało maszyny, które ją dla was oczyszczą. I znacie aż za dobrze cenę, jakiej za to zażądali.

– A jednak gleba jest rzeczywiście zatruta – przypomniał jej jeden z dostojników. – Wszyscy tu obecni w ciągu wielu lat próbowaliśmy wyhodować w miejscach, w których nie pracowały maszyny, żywność, jednak nasiona nie kiełkowały. Nic nie chciało tam rosnąć.

– Tak. – Leia pokiwała głową. – Jednak nie z powodu zatrutej gleby. Czy może raczej nie bezpośrednio. – Dała gestem znak Chewbacce, który wrócił do śmigacza i wyjął z tylnego siedzenia analizator oraz próbkę trawy kholm, a potem wspiął się po schodach i przyniósł je Lei. – Teraz opowiem wam prawdziwą historię – ogłosiła, gdy Wookiee zszedł na dół. – Po tym, jak lord Vader odleciał na pokładzie swojego statku, zjawiły się inne. Długo krążyły po waszym niebie. Gdy ktoś zadawał pytania, odpowiadali zapewne, że badają teren. Być może w poszukiwaniu tych, którzy przetrwali, albo nowych, zdatnych do zamieszkania miejsc. Jednak to było wierutne, obrzydliwe kłamstwo. Ich prawdziwym celem było obsianie waszego świata nową rośliną. – Podniosła do góry źdźbła trawy kholm. – Tą rośliną.

– Co za bzdury! – warknął Vor’corkh. – Trawa kholm rośnie na Honoghrze, odkąd sięgamy pamięcią.

– Nie powiedziałam, że to trawa kholm – odparła Leia. – Owszem, wygląda jak trawa kholm, którą znacie, a nawet pachnie podobnie do niej. Jednak to nie ona. Prawda jest taka, że to sprytna sztuczka Imperatora: sztuczny wytwór przysłany tu przez Imperium, aby zatruć wasz świat.

Milczący dotąd tłum wybuchł wrzawą oburzonych i pełnych niedowierzania okrzyków. Leia dała im nieco czasu, wodząc po zgromadzonych wzrokiem. Szacowała, że wokół Wielkiej Dukhy musiało się zgromadzić około tysiąca Noghrich – i ciągle dołączali do nich kolejni. Najwyraźniej wieści o jej przybyciu do miasta wciąż się rozprzestrzeniały, uznała, patrząc w stronę, z której napływał tłum.

Gdy zerknęła na lewo, kątem oka złowiła błysk metalu. Kawałek dalej, na wpół skryty pośród długich porannych cieni, obok sąsiedniego budynku, przycupnął kanciasty droid dekontaminacyjny.

Wpatrywała się w niego przez moment, zdjęta nagłym lękiem. Po jej plecach przeszedł zimny dreszcz. Podejrzanie ciekawski droid dekontaminacyjny… C-3PO wspominał o nim, jednak jej myśli zaprzątały wówczas inne rzeczy i była zbyt zajęta, by zwracać uwagę na jego obawy. Jednak teraz… droid dekontaminacyjny w Nystao, pięćdziesiąt kilometrów – a może nawet więcej? – od obszaru, na którym powinien pracować? To zdecydowanie wykraczało poza niezdrową ciekawość. Tu musiało chodzić o…

Przykucnęła, ganiąc się w duchu za podobną lekkomyślność. Oczywiście, że wielki admirał nie odleciałby ot tak, pod wpływem nagłego kaprysu, nie pozostawiwszy tu kogoś… lub czegoś, by mieć wszystko na oku.

– Chewie? Po twojej prawej… – szepnęła. – Wygląda jak droid dekontaminacyjny, ale sądzę, że to może być sonda szpiegowska.

Wookiee zawarczał złowrogo i zaczął się przepychać przez tłum… Jednak choć Noghri rozstępowali się posłusznie, robiąc mu przejście, Leia zdała sobie sprawę z tego, że to próżny trud: nie uda mu się w porę dotrzeć do robota. Droidy szpiegowskie nie były może specjalnie rozgarnięte, ale miały dość smaru w głowie, by nie kręcić się w pobliżu, kiedy już zostały zdemaskowane. Nim Chewbacca zdoła do niego dotrzeć, już dawno nie będzie po nim śladu. A jeśli miał wbudowany nadajnik… a w zasięgu transmisji znajdzie się któryś z imperialnych statków…

– Ludu Honoghra! – zawołała, zagłuszając szmer rozmów. – Udowodnię wam teraz, że to, co mówię, jest prawdą. Jest tu jeden

z droidów dekontaminacyjnych. – Wskazała go im. – Przynieście go do mnie.

Gdy tłum zwrócił się we wskazanym przez nią kierunku, wyczuła emanującą od droida niepewność, nim jednak ktokolwiek zdążył się poruszyć, robot zniknął chyłkiem za rogiem budynku, przy którym przycupnął. Sekundę później Leia dostrzegła go, jak umykał między dwoma innymi budynkami.

Od strony taktycznej była to najgorsza z możliwych decyzji, jakie mógł podjąć. Ucieczka oznaczała praktycznie przyznanie się do winy – szczególnie na oczach ludu, który na co dzień miał do czynienia z robotami dekontaminacyjnymi i wiedział, jak się zachowują. W tłumie zawrzało i chwilę później w pogoń za uciekinierem rzuciło się jakichś piętnastu noghryjskich podrostków.

Niemal w tej samej chwili jeden ze strażników stojących na tarasie obok Lei otoczył usta stulonymi dłońmi i wydał z siebie przejmujący okrzyk.

Leia aż podskoczyła na dźwięk świdrującego bębenki głosu. Strażnik zawołał powtórnie i tym razem odpowiedział mu podobny krzyk, dobiegający skądś w pobliżu. Z gardła Noghriego wydobyło się coś na kształt skomplikowanego ptasiego trelu, a po odebraniu krótkiego potwierdzenia od pobratymcy, zakończył wymianę sygnałów.

– Wzywa innych na łowy – wyjaśniła Lei maitrakh.

Księżniczka pokiwała głową, zwijając dłonie w pięści i patrząc w ślad za pościgiem znikającym za rogiem, za który czmychnął droid. Jeśli maszyna była wyposażona w transmiter, to teraz z pewnością wysyłała już pospiesznie dane…

I nagle młodzi Noghri wrócili w towarzystwie kilku starszych mężczyzn. Nad głową, niczym trofeum, nieśli droida, który wciąż wymachiwał bezskutecznie chwytakami.

Leia wzięła głęboki oddech.

– Przynieście go do mnie – poleciła, gdy pochód dotarł w jej pobliże.

Posłuchali: sześciu noghryjskich młodzików wniosło robota po schodach i położyło przed nią na tarasie. Leia zapaliła miecz świetlny, wodząc wzrokiem po metalowym ciele w poszukiwaniu

ukrytej anteny. Nic takiego nie znalazła, jednak to jeszcze o niczym nie świadczyło. Przygotowując się na najgorsze, cięła przez metalowy pancerz. Jeszcze dwa poprzeczne cięcia i oczom wszystkich ukazało się wnętrze maszyny.

Gdy wyłączyła miecz świetlny, Chewbacca klęczał już przy robocie, delikatnie gmerając wielkimi palcami pośród plątaniny kabli, włókien i przewodów. W górnej części korpusu znajdowała się mała, szara skrzynka. Chewie rzucił Lei porozumiewawcze spojrzenie i odłączył biegnące do skrzynki przewody.

Przełknęła głośno ślinę, gdy położył kasetkę na ziemi. Rozpoznała ją natychmiast. Jej widok przywołał wiele gorzkich wspomnień z lat spędzonych na walce z Imperium – to był motywator rejestratora z imperialnej sondy zwiadowczej. Na szczęście złącze anteny było puste – widocznie Moc była z nią.

Chewbacca buszował teraz w dolnej części wnętrza korpusu. Leia patrzyła, jak wyciąga z plątaniny kabli kilka cylindrów, przygląda się ich oznaczeniom, a potem umieszcza z powrotem na miejscach. Tłum zaczynał już niespokojnie poszeptywać, gdy wreszcie, z pełnym zadowolenia pomrukiem, Chewie wydobył z metalowych wnętrzności, w okolicy ujścia dozownika, duży cylinder z cienką igłą.

Leia ostrożnie wzięła go od niego. Przypuszczała, że kontakt z nim nie powinien być dla niej niebezpieczny, jednak wolała nie ryzykować.

– Wzywam dynastów na świadków, że cylinder ten został wyjęty z tej maszyny! – zawołała do tłumu.

– Czy to twój dowód? – spytał ją Ir’khaim, z powątpiewaniem przyglądając się elementom droida.

– Owszem. – Przytaknęła Leia. – Powiedziałam wam, że te rośliny nie są trawą kholm, którą pamiętacie sprzed katastrofy. Nie wyjaśniłam wam jednak jeszcze, czym się od niej różnią. – Podniosła próbkę trawy wysoko, tak by wszyscy ją widzieli. – Naukowcy Imperatora zabrali waszą trawę kholm i ją zmienili – oznajmiła zgromadzonym. – Wprowadzili do niej pewne… różnice, które od tamtej pory są dziedziczone przez nowe rośliny. Inny zapach, który zauważyliście, jest wywoływany przez środek chemiczny wydzielany

przez łodygę, korzenie i liście. Środek, który ma tylko jeden cel: zahamować wzrost wszystkich innych roślin na waszej planecie. A maszyny, które według zapewnień wielkiego admirała mają oczyszczać glebę, w istocie zajmują się jedynie niszczeniem tej zmodyfikowanej i zasianej przez Imperium trawy kholm.

– Znów karmisz nas swoimi wymysłami – parsknął Vor'corkh. – Droidy potrzebują niemal dwóch dziesiątek dni, aby oczyścić jedną pirkhę ziemi! Moje córki zdołałyby usunąć z niej trawę kholm w ciągu jednego dnia.

Leia uśmiechnęła się do niego gorzko.

– Może maszyny nie potrzebują tak wiele czasu, jak się wydaje. Przekonajmy się. – Trzymając przed sobą fałszywą trawę kholm, wycisnęła z cylindra nieco jasnego płynu, tak by zawisł na końcówce igły, a następnie dotknęła nią łodygi.

Bardziej dramatycznej demonstracji nie mogłaby sobie wymarzyć. Kropla wsiąkła w matową, brązową łodyżkę i przez kilka pierwszych sekund nic się nie działo, jednak po chwili rozległo się ciche skwierczenie, a potem, niespodziewanie, roślina zaczęła czernieć i więdnąć. Tłum wydał zbiorowe westchnienie, gdy zniszczenie rozprzestrzeniało się, obejmując łodyżkę, korzenie i liście. Leia trzymała zwiędły wiecheć jeszcze przez chwilę w powietrzu, a potem cisnęła go na ziemię. Kępka trawy znieruchomiała, skręcając się niczym rzucony w płomienie suchy badyl, dopóki nie zostało z niej nic oprócz żałosnej plątaniny czarnych włókien. Wówczas Leia dotknęła jej ostrożnie czubkiem buta, a szczątki rozsypały się w kupkę ciemnego pyłu.

Spodziewała się podświadomie, że tłum zareaguje nowym wybuchem zaskoczenia czy nawet gniewu, jednak martwa cisza, jaka zapanowała po tym koszmarnym pokazie wyrachowania Imperium, była gorsza i bardziej niepokojąca niż jakakolwiek inna reakcja. Noghri doskonale rozumieli konsekwencje tego, co właśnie im pokazała.

Gdy powiodła wzrokiem po ich twarzach, wiedziała już, że odniosła zwycięstwo. Położyła cylinder na płytach tarasu obok zniszczonej rośliny, po czym zwróciła się w stronę dynastów.

– Pokazałam wam dowód – powiedziała. – Teraz sami zdecydujcie, czy Noghri spłacili swój dług. – Spojrzała Vor'corkhowi w oczy i wiedziona nagłym, trudnym do wyjaśnienia impulsem odpięła od pasa miecz świetlny, a następnie podała mu go. Minęła go i podeszła do Khabarakha. – Proszę cię o wybaczenie – powiedziała cicho. – Nie spodziewałam się, że z mojego powodu spotka cię… coś takiego.

Khabarakh otworzył usta i jego wargi rozciągnęły się w zębatym noghryjskim uśmiechu.

– Imperium już dawno nauczyło nas, że znoszenie bólu w służbie naszego pana to obowiązek, którego wypełnianie przynosi chlubę. Jak mógłbym nie zrobić tego dla Mal'ary'ush lorda Vadera?

Leia pokręciła głową.

– Nie jestem waszą panią, Khabarakh, i nigdy nią nie będę. Noghri to wolny lud. Przybyłam tu tylko po to, by spróbować przywrócić wam tę wolność.

– A także aby przeciągnąć nas na swoją stronę w walce z Imperium – dopowiedział zjadliwie stojący za jej plecami Vor'corkh.

Leia odwróciła się do niego.

– Istotnie, chciałabym, by tak się stało – przyznała. – Jednak nie proszę o to.

Vor'corkh przyglądał się jej przez chwilę, a potem z wahaniem oddał jej miecz świetlny.

– Dynaści Honoghra nie mogą podjąć tak ważnej decyzji w ciągu jednego dnia. I nie zrobią tego – oznajmił. – Musimy pochylić się nad tą sprawą i zwołać zgromadzenie wszystkich Noghrich.

– A więc zwołaj je – odparł Khabarakh. – Mal'ary'ush lorda Vadera jest tutaj.

– A czy Mal'ary'ush zdoła nas ochronić przed potęgą Imperium, jeśli postanowimy się mu sprzeciwić? – spytał Vor'corkh.

– Ale…

– Nie, on ma rację – weszła w słowo komandosowi. – Imperium prędzej was wszystkich zabije, niż pozwoli wam odwrócić się od niego czy choćby odzyskać neutralność.

– Czy Noghri zapomnieli już, jak walczyć? – parsknął Khabarakh.

– A czy Khabarakh z klanu Kihm’bar zapomniał już o tym, co spotkało Honoghr czterdzieści osiem lat temu? – odwarknął Vor’corkh. – Jeśli teraz porzucimy Imperium, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko opuścić nasz świat i udać się na wygnanie, próbując się ukryć.

– A jeżeli to zrobicie, przypieczętujecie tym samym los komandosów, którzy mu obecnie służą: Imperium skaże ich na śmierć – przypomniała Khabarakhowi gorzko Leia. – Czy chciałbyś, by zginęli, nie wiedząc nawet za co? W takim postępowaniu nie byłoby krzty honoru.

– Mądrze prawisz, lady Vader – powiedział Vor’corkh i Leia z zaskoczeniem usłyszała w jego głosie nutę czegoś na kształt niechętnego szacunku. Pierwszy raz, odkąd tu przybyła. – Prawdziwy wojownik zna cnotę cierpliwości. Czy teraz odejdziesz?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Moja obecność wciąż naraża was na niebezpieczeństwo. Chciałabym jednak prosić was o jedną, ostatnią przysługę: byście pozwolili Khabarakhowi dostarczyć mnie na pokład mojego statku.

Vor’corkh obejrzał się na młodego komandosa.

– Rodzina Khabarakha spiskowała, by go uwolnić – powiedział z namysłem. – Udało im się to, a on umknął w przestrzeń kosmiczną. W pościg za nim wysłano trzy oddziały komandosów przebywające tu na przepustce. Cały klan Kihm’bar pozostanie w niełasce, dopóki nie wyjawi tych, którzy za to odpowiadają.

Leia ponownie kiwnęła głową. Ta historyjka była równie dobra jak każda inna.

– Dopilnujcie tylko, by komandosi, których wyślecie w ślad za nim, zachowali ostrożność podczas kontaktów z innymi oddziałami – poradziła. – Jeśli Imperium zacznie się domyślać, co naprawdę się wydarzyło… zniszczą was.

– Naszym wojownikom nie trzeba mówić, co mają robić – parsknął Vor’corkh, a potem dodał z wahaniem: – Czy mogłabyś dostarczyć nam tego więcej? – Wskazał na cylinder z cieczą.

– Tak – potwierdziła. – Najpierw jednak muszę wrócić nad Endor po swój statek. Khabarakh może towarzyszyć mi w drodze na Coruscant. Wówczas przekażę mu zapasy tej substancji.

Dynasta znów się zawahał.

– Czy nie ma sposobu, by dostarczyć ją nam wcześniej?

Leia przypomniała sobie urywek pewnej rozmowy: coś, co maitrakh mówiła na temat rychłego zakończenia siewu w tym sezonie…

– Możliwe, że dałoby się to zrobić – powiedziała ostrożnie. – Khabarakh? Ile czasu zaoszczędzilibyśmy, gdybyśmy ominęli przystanek nad Endorem i polecieli prosto na Coruscant?

– Około czterech dni, lady Vader – odpowiedział.

Pokiwała głową. Han zabije ją za to, że zostawiła jego ukochanego „Sokoła” na orbicie Endora, ale w tej sytuacji nie mogła postąpić inaczej.

– W porządku – powiedziała. – W takim razie tak właśnie zrobimy. Bądźcie jednak ostrożni podczas używania tej substancji, inaczej statki Imperium będą mogły namierzyć nowe uprawy…

– Również naszych rolników nie trzeba uczyć fachu – prychnął Vor’corkh, jednak tym razem w jego głosie słychać było lekkie rozbawienie. – Będziemy z niecierpliwością czekali na dostawę.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli natychmiast wyruszymy – zadecydowała Leia. Obejrzała się na maitrakh i kiwnęła jej z wdzięcznością głową.

W końcu – nareszcie! – wszystko zaczynało się układać po jej myśli. I chociaż wcześniej targały nią wątpliwości, to najwyraźniej Moc była z nią. Odwróciła się z powrotem do Khabarakha, zapaliła miecz świetlny i przecięła więżące go łańcuchy.

– Chodź – powiedziała. – Czas na nas.

Rozdział 25

„Koralowa Wanda” reklamowała się jako jedno z najokazalszych i najwykwintniejszych kasyn w galaktyce, a gdy Han rozejrzał się po przestronnej, wręcz bijącej po oczach przepychem Sali Tralla, doskonale rozumiał, dlaczego nikt nie podawał w wątpliwość tego twierdzenia.

W pomieszczeniu znajdowało się przynajmniej kilkanaście sabakowych stołów ustawionych na trzech galeriach, a ponadto wiele maszyn do lugjacka, boksy do gry w tregalda, stoliki do holoszachów, a nawet kilka pofalowanych stołów o charakterystycznym kształcie podkowy, ustawionych z myślą o zagorzałych fanach crinbidu. Bar biegnący przez środek sali oferował wszystko, o czym mogłaby zamarzyć najwybredniejsza nawet klientela – czy to aby świętować wygraną, czy aby topić smutki po przegranej – a w tylnej ścianie sali umieszczono specjalne okienko do wydawania potraw dla osób, które nie chciały przerywać gry nawet na czas posiłku.

Gdyby zaś ktoś poczuł znużenie grą czy chciał odpocząć od trunków, mógł szukać wytchnienia w zapierających dech w piersi widokach rozpościerających się za olbrzymim iluminatorem biegnącym przez całą długość jednego z kadłubów statku. Pośród falujących zielonobłękitnych wód oceanu przemykały ławice różnobarwnych rybek i małych morskich ssaków, a urokliwej scenerii dopełniały misterne pętle i wachlarze słynnych pantolomińskich raf koralowych.

Podsumowując: Sala Tralla stanowiła najbardziej eleganckie kasyno, jakie Han miał okazję oglądać w całym swoim życiu. A było to zaledwie jedno z siedmiu podobnych pomieszczeń, które miała do zaoferowania swoim gościom „Koralowa Wanda”.

Siedzący przy barze obok niego Lando wychylił ostatni łyk swojego drinka i postawił ze szczękiem szklaneczkę na blacie.

– No to… co teraz? – spytał.

– On tu jest, Lando – mruknął Solo, odrywając oczy od urzekających widoków na zewnątrz i ponownie obrzucając wzrokiem wnętrze kasyna. – Jest gdzieś tutaj.

– A ja obstawiam, że odpuścił sobie ten rejs – zaprzeczył Calrissian. – Może jest spłukany? Pamiętasz, co powiedziała Sena? Że facet szasta pieniędzmi na prawo i lewo?

– Taaa, ale gdyby się spłukał, próbowałby pewnie sprzedać następny statek – zauważył Han. On także opróżnił swoją szklankę i wstał od baru. – Chodź. Musimy sprawdzić jeszcze jedną salę.

– A potem wrócimy do punktu wyjścia – jęknął Lando. – I jeszcze raz, i znowu. Strata czasu.

– A masz jakiś inny pomysł? – spytał zaczepnie Solo.

– Skoro już pytasz, to tak – mruknął Lando, gdy obchodzili szerokim łukiem potężnego Herglica rozpartego na dwóch fotelach i kierowali się do wyjścia. – Zamiast włóczyć się tu bez sensu jak przez ostatnie sześć godzin, powinniśmy przysiąść się do któregoś ze stołów do sabaka i zacząć ostro licytować. Szybko rozejdą się wieści, że kręci się tu dwóch wydrwigroszy, których można łatwo oskubać, a jeśli ten koleś jest tak szybki w przepuszczaniu kasy, jak twierdzi Sena, z pewnością będzie zainteresowany możliwością wzbogacenia się naszym kosztem.

Han spojrzał na przyjaciela z lekkim zaskoczeniem. Ten sam pomysł przyszedł mu do głowy kilka godzin wcześniej, jednak uznał, że Lando na to nie pójdzie.

– Sądzisz, że twoja duma profesjonalnego hazardzisty na tym nie ucierpi?

Calrissian spojrzał mu w oczy.

– Jeśli tylko dzięki temu będę mógł się stąd wynieść i wrócić do przerwanych interesów, to moja duma zniesie wszystko.

Solo skrzywił się kwaśno. Czasami zapominał, że to on wciągnął przyjaciela w tę całą historię…

– Hm, jasne – bąknął. – Wybacz. W porządku. Wiesz co? Dajmy Sali Saffkin ostatnią szansę. Jeżeli go tam nie będzie, wrócimy tu i… – Urwał w pół zdania.

Przy barze, przed jednym z pustych stołków, stała popielniczka, w której tliło się niedopalone cygaro. Cygaro o bardzo nietypowym,

ale i dziwnie znajomym zapachu…

– Oho – mruknął cicho Lando.

– Nie wierzę… – zawtórował mu Solo, opuszczając dłoń na rękojeść blastera i jednocześnie obrzucając tłoczną salę czujnym spojrzeniem.

– Lepiej w to uwierz. – Calrissian pomacał siedzenie pustego stołka. – Jeszcze ciepłe. Musi gdzieś tu… tam jest!

Zgadza się, to był Niles Ferrier. Stał w ozdobnym błyszczoszklanym, łukowato sklepionym przejściu, z nowym nieodłącznym cygarem w zębach. Gdy podchwycił ich spojrzenie, wyszczerzył zęby w uśmiechu, zasalutował im kpiąco i wyszedł.

– Cudownie – warknął Lando. – Co robimy?

– Chce, żebyśmy za nim poszli – domyślił się Solo, rozglądając się znów ukradkiem. Nie dostrzegał w pobliżu żadnej znajomej twarzy, jednak to o niczym jeszcze nie świadczyło. Bardzo prawdopodobne, że Ferrier miał tu wszędzie swoich ludzi. – Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy za nim i sprawdzimy, co jest grane.

– To może być pułapka – przestrzegł go Lando.

– Albo po prostu chce dobić targu – skwitował Solo. – Miej blaster w pogotowiu.

– Do kogo ta gadka?

Byli w połowie drogi do wyjścia, gdy to usłyszeli: krótki, niski huk, niczym odległe uderzenie grzmotu. Po nim nastąpił kolejny, głośniejszy, a chwilę później jeszcze jeden. Szmer cichych rozmów wypełniający salę ucichł, gdy goście zamilkli, by nasłuchiwać. Nagle „Koralowa Wanda” zadrżała lekko…

Han obejrzał się na kumpla.

– Czy myślisz o tym samym co ja? – mruknął.

– Turbolasery. Strzelają w wodę – trafnie zinterpretował dźwięk Lando. – Cóż, najwyraźniej Ferrier dobił targu, tyle że nie z nami.

Han pokiwał głową, czując, jak na dnie żołądka osiada mu lodowaty ciężar.

Najwyraźniej złodziej statków postanowił zawrzeć umowę z Imperium, a jeśli dostanie ono w swoje ręce Flotę Katańską, równowaga sił w tej wojnie już wkrótce zostanie zachwiana. A ze względu na fakt, że na czele Imperium stał wielki admirał…

– Musimy szybko znaleźć tego handlarza statków – rzucił Han, ruszając zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia. – Może zdołamy go zgarnąć i dać stąd nogę na pokładzie jakiejś kapsuły ratunkowej, nim dokonają abordażu.

– Może. Zanim reszta pasażerów zacznie panikować – zgodził się z nim Lando. – Chodźmy.

Zdołali dotrzeć tylko do wyjścia, gdy nagle rozległ się kolejny grzmot. Tym razem jednak nie był on odległy. Wydawał się dobiegać skądś z góry, bezpośrednio nad nimi. Rafę koralową za przejrzystą ścianą statku oblał na sekundę wściekle zielony blask. „Koralowa Wanda” szarpnęła się niczym ranne zwierzę i Han złapał się framugi, żeby utrzymać równowagę…

Ktoś złapał go za ramię i pociągnął mocno, odrywając go od łuku i wlokąc w prawo. Han odruchowo sięgnął po blaster, jednak nim zdążył dobyć broni, czyjeś silne, porośnięte sierścią ramiona owinęły się wokół jego piersi i twarzy, przyszpilając mu mocno dłoń i blaster do boku oraz blokując skutecznie widok na ogarnięty paniką tłum wypełniający już korytarz. Próbował krzyknąć, ale dłoń napastnika zasłaniała mu skutecznie usta. Choć szamotał się bezsilnie i klął pod nosem, został pociągnięty w głąb korytarza. Rozbrzmiały jeszcze dwa łupnięcia – drugie niemal ścięło go wraz z jego prześladowcą z nóg. Po chwili zmienili kierunek, a łokieć Solo uderzył o framugę…

Silne pchnięcie i znów był wolny, z trudem łapiąc oddech. Znajdował się w niewielkim magazynku alkoholi, o trzech z czterech ścianach zastawionych niemal aż pod sufit skrzynkami pełnymi butelek. Kilka z nich leżało na podłodze – najwyraźniej spadły, gdy „Koralową Wandą” targnął któryś ze wstrząsów. Z jednej wyciekał ciemnoczerwony płyn.

Obok drzwi, wsparty o futrynę, stał uśmiechnięty od ucha do ucha Ferrier.

– Cześć, Solo! – przywitał go. – Miło, że wpadłeś.

– Och, zaproszenie było doprawdy zbyt kuszące, by go nie przyjąć – warknął Han, rozglądając się po składziku. Jego blaster wisiał w powietrzu przed stertą skrzyń jakieś dwa metry dalej… w środku gęstego i dziwnie realnego cienia.

– Jestem pewien, że pamiętasz mojego upiora – rzucił drwiąco Ferrier, wskazując na cień. – To właśnie on zakradł się na pokład „Ślicznotki”, żeby podrzucić wam boję namierzającą. Tę w środku.

A więc to dlatego Ferrier zdołał tu dotrzeć tak szybko! „Koralową Wandą” wstrząsnął kolejny wybuch i następna skrzynka na stercie zachwiała się niebezpiecznie, aby za chwilę runąć na podłogę. Han odskoczył na bok i przyjrzał się uważniej cieniowi. Tym razem udało mu się dostrzec w ciemnej plamie oczy i lśnienie białych kłów. Zawsze sądził, że upiory to tylko legenda kosmiczna, ale najwyraźniej był w błędzie.

– Jeszcze nie jest za późno, byśmy dobili targu – powiedział Ferrierowi.

Złodziej statków spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Ależ właśnie dobiliśmy, Solo – rzucił. – Jak myślisz, dlaczego jesteś tutaj, a nie tam, na zewnątrz, gdzie zaraz zacznie się strzelanina? Posiedzisz sobie tu, wygodnie i bezpiecznie, dopóki wszystko się nie uspokoi. – Podniósł brew. – A co się tyczy Calrissiana… cóż, to zupełnie inna sprawa.

Han łypnął na niego spod ściągniętych brwi.

– Co masz na myśli?

– To, że jestem już zmęczony tym ciągłym wtykaniem nosa w nie swoje sprawy – stwierdził spokojnie Ferrier. – Więc kiedy „Koralowa Wanda” wreszcie podda się i wynurzy na powierzchnię, dopilnuję, aby znalazł się w pierwszym szeregu obrońców starających się mężnie ochronić nieszczęsnego kapitana Hoffnera przed okrutnymi szturmowcami. Przy odrobinie szczęścia… – Rozłożył ręce i uśmiechnął się chytrze.

– A więc ten facet nazywa się Hoffner, co? – stwierdził Han, próbując stłumić gniew. Wściekając się, nic nie wskóra, a już na pewno nie zdoła pomóc Landowi. – A co, jeśli tego gościa nie ma na pokładzie? Imperium nie będzie zbyt szczęśliwe…

– Och, ależ jest na pokładzie, możesz być tego pewien – powiedział Ferrier. – Chociaż pewnie trochę się niecierpliwi. A my… cóż, nałożyliśmy na niego mały areszt domowy jakąś godzinę po rozpoczęciu rejsu.

– Jesteś pewien, że przyskrzyniliście tego, co trzeba?

– Jeśli nie, to wielki admirał może sam mieć do siebie pretensje. – Złodziej statków wzruszył ramionami. – To właśnie on podał mi nazwisko.

„Koralową Wandą” zakołysało kolejne trafienie.

– Cóż, miło się z tobą gawędziło, Solo, ale muszę przypilnować zawarcia umowy – westchnął Ferrier. Gdy złapał równowagę, wcisnął guzik otwierający drzwi. – Do zobaczenia wkrótce.

– Przebijemy dwukrotnie ofertę Imperium! – spróbował jeszcze raz Han, ale złodziej statków nie pofatygował się nawet z odpowiedzią.

Ferrier obdarzył go ostatnim, obojętnym uśmiechem, a potem wyszedł i drzwi się za nim zamknęły.

Solo zerknął na cień – upiora.

– A ty? – zagadnął go. – Nie chcesz przypadkiem zbić małej fortunki?

Upiór wyszczerzył kły, ale nie odpowiedział.

Rozległ się kolejny huk i oboma rzuciło o ścianę. „Koralowa Wanda” była solidnie zbudowana, jednak Han zdawał sobie sprawę z tego, że statek nie wytrzyma zbyt długo podobnego bombardowania. Prędzej czy później załoga da za wygraną i będzie się musiała wynurzyć… a wówczas na pokład wedrą się szturmowcy.

A on do tego czasu musiał wymyślić, jak się stąd wydostać.

Baterie turbolaserów „Chimaery” wystrzeliły ponownie. Na holowyświetlaczu mostka krótka czerwona linia zniknęła w morzu w pobliżu czarnego, cylindrycznego punktu oznaczającego pozycję „Koralowej Wandy”. Obleczona przez chwilę bladozieloną poświatą morskiej toni, rozbłysła nagle, zmieniając się w kłąb superrozgrzanej pary. Następnie blada zieleń rozprysła się we wszystkich kierunkach, zaś „Koralowa Wanda” zakołysała się gwałtownie, kiedy obmyła ją fala uderzeniowa.

– Uparci są, trzeba im to przyznać – mruknął Pellaeon.

– Mają na pokładzie wielu ważnych gości – zauważył Thrawn. – Z których część wolałaby utonąć, niż oddać pieniądze pod groźbą.

Pellaeon obrzucił wzrokiem wskazania instrumentów pokładowych.

– Nie potrwa długo, nim będą musieli dokonać wyboru. Ich główny napęd nie działa, a między płytami poszycia pojawiają się już mikropęknięcia. Z prognoz komputerowych wynika, że jeśli nie wynurzą się w ciągu dziesięciu minut, nie będą już mieli na to szans.

– To statek pełen hazardzistów, kapitanie – przypomniał mu Thrawn. – Będą pokładali nadzieję w wytrzymałości okrętu, szukając jednocześnie innego wyjścia z sytuacji.

Pellaeon spojrzał na holowyświetlacz z nachmurzoną miną.

– A czy mają jakieś inne wyjście?

– Proszę patrzeć. – Thrawn dotknął swojego pulpitu i na hologramie przed „Koralową Wandą" pojawił się niewielki biały okrąg, od którego biegła w tył kręta linia przypominająca ścieżkę jakiegoś szalonego insekta. – Wszystko wskazuje na to, że pod tą częścią rafy znajduje się trasa, którą mogliby przed nami umknąć. Przynajmniej chwilowo. Jestem przekonany, że to właśnie tam się kierują.

– Nie uda im się – stwierdził stanowczo Pellaeon. – Nie, gdy tak nimi rzuca. Lepiej jednak nie ryzykować. Strzał wycelowany w wejście do tego labiryntu powinien załatwić sprawę.

– Tak – stwierdził z namysłem Thrawn. – To przykre, że musielibyśmy przy tym zniszczyć tę piękną rafę. To prawdziwe dzieło sztuki. Unikatowe chociażby z tego względu, że zostało stworzone przez istoty żywe, ale nie inteligentne. Byłoby wspaniale, móc się temu przyjrzeć bliżej. – Odwrócił się ponownie do Pellaeona i skinął mu krótko głową. – Strzelać bez rozkazu.

Rozległ się kolejny huk, po którym woda wokół zawrzała, gdy dosięgnął ich następny strzał. Kiedy „Koralową Wandą" szarpnęło w bok, Han zaczął wprowadzać w życie swój plan: pozwoliwszy, aby gwałtowny wstrząs pokładu posłał go na ścianę, na wpół z rozmysłem, na wpół pchnięty impetem trafienia wpadł na jedną ze stert skrzynek z butelkami. W ostatniej chwili obrócił się tak, aby uderzyć w nią plecami, wyrzucił ręce nad głowę, jakby starał się

odzyskać równowagę, wymacał dolne rogi najwyżej postawionego kontenera, a kiedy ten się zachwiał pod wpływem wstrząsu, ściągnął skrzynkę ze stosu. Pozwolił, aby obróciła się nieco w powietrzu, a potem poprawił chwyt i cisnął nią – najmocniej jak zdołał – w upiora.

Prowizoryczny pocisk trafił obcego w sam środek klatki piersiowej, a kudłaty cień stracił równowagę i runął w tył na podłogę.

Han w mgnieniu oka przypadł do niego, kopniakiem wytrącając mu blaster z dłoni i rzucając się w ślad za bronią. Chwycił ją i odwrócił się błyskawicznie w stronę upiora. Ten odrzucił już skrzynkę na bok i gramolił się właśnie z podłogi śliskiej od whiskey Menkooro.

– Ani drgnij! – warknął Solo, podkreślając wagę swoich słów ruchem blastera…

Jednak równie dobrze mógł mówić do ściany. Upiór wciąż próbował wstać.

Nie mając innej alternatywy – oprócz pozbawienia go życia – Solo opuścił lufę blastera i wystrzelił w stronę kałuży rozlanego trunku. Rozległ się cichy syk i nagle środek pokoju stanął w błękitnych płomieniach.

Obcy odskoczył w tył, z dala od ognia, skrzecząc coś w swoim języku, i Han ucieszył się przelotnie, że nie zna tego narzecza. Siła rozpędu rozpłaszczyła upiora na stercie skrzyń, które niemal zwaliły mu się na głowę, a Solo wystrzelił dwukrotnie w stronę butelek nad nim, zalewając mu ramiona i głowę strumieniami alkoholu. Obcy znowu krzyknął, odzyskał równowagę…

Ostatni strzał sprawił, że strugi whiskey zmieniły się w ognisty wodospad.

Wrzaski upiora zmieniły się w piskliwe skrzeczenie, gdy młócił bezskutecznie powietrze ramionami, próbując ugasić płomienie. Han przypuszczał, że były to raczej okrzyki gniewu niż bólu – płonący alkohol nie wytwarzał zbyt wiele ciepła. Wiedział jednak też, że jeśli będzie zbytnio zwlekał, upiór najprawdopodobniej dopnie swego, a wówczas zapewne skręci mu kark.

Nie zamierzał do tego dopuścić.

Z lekkim opóźnieniem obudził się nagle do życia automatyczny system przeciwpożarowy statku, którego czujniki skierowały wprost w twarz upiora strumienie piany gaśniczej.

Solo nie czekał na dalszy rozwój sytuacji. Zanurkował obok tymczasowo oślepionego obcego w kierunku drzwi i chwilę później był już na korytarzu.

Gdy wcześniej prowadzono go do magazynku, przejście pełne było ogarniętych paniką istot różnych ras, teraz jednak było opustoszałe – pasażerowie zapewne rozbiegli się już do kapsuł ratunkowych albo szukali pozornie bezpiecznego schronienia w swoich kajutach. Han oddał dla pewności strzał do zamka, aby zablokować składzik, a potem pomknął w stronę głównego włazu statku. Liczył na to, że zdoła w porę odnaleźć Landa…

Z dala, gdzieś z dołu, ledwie słyszalny pośród okrzyków i jęków przerażonych pasażerów, dobiegał przytłumiony szum pracujących pomp. „Koralowa Wanda” poddawała się. Wcześniej, niż Lando się spodziewał.

Zaklął pod nosem, rzucając szybkie spojrzenie przez ramię. Gdzie, u licha, podziewał się Han? Cóż, zapewne ścigał Ferriera, pragnąc się przekonać, co takiego knuje ten cwaniak. Tak, to było do jego przyjaciela podobne: dał nogę, żeby ścigać cienie, kiedy mieli ważniejsze rzeczy do roboty…

Gdy Calrissian dotarł w okolice głównego włazu, kilkunastu członków załogi „Koralowej Wandy” krzątało się pobliżu, zajmując pozycje obronne.

– Muszę natychmiast porozmawiać z kapitanem. Albo z którymś z oficerów! – zawołał do nich.

– Wracaj do swojej kajuty! – warknął do niego któryś z mężczyzn, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. – Za chwilę dojdzie do abordażu.

– Wiem – odparł Calrissian. – I wiem również, czego chce Imperium.

Członek załogi łypnął na niego spode łba.

– Taaa? A niby czego?

– Chodzi im o jednego z waszych pasażerów – wyjaśnił Lando. – Ma coś, na czym im…

– Jak się nazywa?

– Nie wiem. Ale wiem, jak wygląda.

– Cudownie – burknął mężczyzna, sprawdzając stan ogniwa w swoim blasterze. – Wiesz co? Idź sobie w takim razie na rufę i zacznij go szukać, chodząc od drzwi do drzwi. I daj nam znać, gdy go znajdziesz.

Calrissian zacisnął szczęki.

– Nie żartuję.

– Ja też nie – odciął się tamten. – Zmykaj stąd. Ale już.

– Ale…

– Powiedziałem: już cię tu nie ma! – Mężczyzna poparł swoje żądanie, celując do niego z blastera. – Jeśli ten twój koleś ma choć odrobinę oleju w głowie, prawdopodobnie i tak już stąd prysnął w kapsule ratunkowej.

Lando wycofał się jak niepyszny w głąb korytarza, po drodze dopasowując do siebie na chłodno kawałki układanki. Dostawca statków na pewno nie udał się do którejś z kapsuł. I raczej nie zaszył się w swojej kajucie. Ferrier był tutaj, Lando zaś znał go dobrze i wiedział, że nie pokazywałby im się, gdyby wcześniej nie załatwił sprawy.

Pokład zakołysał się lekko pod jego stopami: „Koralowa Wanda” dokonała wynurzenia. Calrissian odwrócił się na pięcie i pognał z powrotem na rufę. Podczas odwrotu zauważył w którymś z bocznych korytarzy terminal komputera. Gdyby zdołał jakoś wydostać z niego listę pasażerów i namierzyć kajutę Ferriera, może udałoby mu się tam dotrzeć, nim Imperium wkroczy na pokład. Przechodząc w trucht, skręcił w bok… i nieomal wpadł na grupę idącą w jego stronę szybkim krokiem: czterech osiłków z blasterami w pogotowiu, prowadzących chudego, siwego mężczyznę, ledwie widocznego między ich potężnie zbudowanymi ciałami. Na widok Landa człowiek na czele pochodu podniósł wyżej lufę broni i wypalił, jednak chybił sromotnie. Drugi strzał trafił w ścianę, a tymczasem Lando wycofał się pospiesznie za róg.

– To było tyle, jeśli chodzi o poszukiwania kajuty Ferriera – mruknął do siebie. Obok niego przemknęło jeszcze kilka promieni energii… i nagle ostrzał ustał. Z blasterem w dłoni, rozpłaszczony plecami na ścianie korytarza, Lando zaryzykował szybkie spojrzenie za róg.

Ani śladu białowłosego i jego eskorty.

– Cudownie – mruknął i rozejrzał się uważniej dookoła. Zgadza się: zniknęli bez śladu. Prawdopodobnie skręcili do któregoś z pomieszczeń o ograniczonym dostępie w centralnej części statku. Ściganie kogoś na nieznanym terenie nie było zazwyczaj zbyt dobrym pomysłem, jednak nie miał innego wyboru. Krzywiąc się pod nosem, skręcił za róg…

Krzyknął, gdy oddany gdzieś z prawej strony strzał niemal osmalił mu rękaw. Zanurkował w boczny korytarzyk, kątem oka łowiąc po drodze widok trzech kolejnych napastników idących w jego stronę głównym przejściem. Rąbnął o podłogę z impetem na tyle dużym, by przed oczami stanęły mu gwiazdy, jednak szybko odtoczył się na bok i podkulił pod siebie nogi, boleśnie świadom, że jeśli tamta pierwsza grupa obserwowała go z ukrycia, był już trupem. Seria strzałów z blastera, którymi zasypali go nowi napastnicy, trafiła w ścianę. Z rozrzutu zorientował się, że stanowiła ona ogień zaporowy, mający im umożliwić zbliżenie się do niego. Dysząc ciężko (szlag, to twarde lądowanie naprawdę zaparło mu dech!), zerwał się na równe nogi i zaczął się kierować w stronę sklepionego łukowo przejścia w połowie korytarza. Nie zapewniało zbyt dobrej osłony, jednak w tej sytuacji nie mógł liczyć na więcej.

Udało mu się właśnie dotrzeć do łuku, gdy od strony napastników dobiegło go stłumione przekleństwo, po którym dało się słyszeć serię strzałów. Brzmienie sugerowało, że oddano je z innego typu blastera…

Nagle zapanowała podejrzana cisza.

Lando zmarszczył czoło, zachodząc w głowę, co też może to oznaczać. Słyszał kroki: ktoś biegł w jego stronę. Rozpłaszczywszy się znów na ścianie, skierował lufę blastera w stronę przecięcia korytarzy…

Kroki ucichły w pobliżu.

– Lando? – spytał ktoś ostrożnie.

Calrissian z westchnieniem ulgi opuścił blaster.

– Han? Tutaj! – zawołał. – Szybko! Ludzie Ferriera mają naszego człowieka!

Han skręcił za róg i pobiegł w jego stronę.

– To nie wszystko, stary – wysapał. – Wygląda na to, że Ferrier chce także pozbyć się ciebie.

Calrissian skrzywił się. Cóż, mało brakowało.

– Mniejsza o mnie – rzucił. – Chyba zaszyli się gdzieś w głębi statku. Musimy ich złapać, zanim dotrą do głównego włazu…

– Możemy spróbować – przytaknął ponuro Han, rozglądając się czujnie. – Tam… czy to nie drzwi dostępu dla załogi statku?

Okazało się, że Solo miał rację. Niestety, drzwi były zablokowane.

– Ludzie Ferriera dostali się jakoś do środka – mruknął Lando, pochylając się, żeby dokonać oględzin wyraźnie naruszonego układu blokady. – Zgadza się, sprzęgli go na krótko. Zobaczmy, czy uda nam się coś wskórać… – Wsunął na próbę do mechanizmu opuszkę małego palca, po czym nagle panel kliknął, a blokada się zwolniła. – Droga wolna – oznajmił z satysfakcją. Wstał… i odskoczył jak użądlony, gdy ze środka pomknęły w ich stronę strzały z blastera.

– Taaa, jasne – mruknął z przekąsem Han. Wparty plecami w ścianę po drugiej stronie korytarza, zaciskał palce na rękojeści blastera, jednak nie było szans, by przebił się przez zasłonę utworzoną przez ogień zaporowy przeciwników. – A tak przy okazji, jak myślisz, ilu ludzi ma na pokładzie Ferrier?

– Najwyraźniej mnóstwo – burknął Calrissian. Drzwi zamknęły się z powrotem, widocznie system uznał, że nikt nie zamierza przez nie przejść. – Chyba nie mamy innego wyjścia – westchnął. – Wracajmy do głównego włazu. Tam spróbujemy ich zgarnąć.

– Za późno. – Solo złapał go nagle za ramię. – Posłuchaj tylko…

Lando zmarszczył brwi, wytężając słuch. Pośród cichego szumu systemów statku rzeczywiście dał się słyszeć rytmiczny wizg strzałów oddawanych z karabinów blasterowych – broni szturmowców.

– Weszli na pokład – mruknął pod nosem Calrissian.

– Nie inaczej – zgodził się z nim Han. Pokład zawibrował pod ich stopami… i nagle ostrzał ustał. – Granaty infradźwiękowe – mruknął. – Nic tu po nas. Chodź.

– Ale dokąd? – rzucił Lando w ślad za kierującym się w głąb korytarza i skręcającym już za róg przyjacielem.

– Na rufę, do kapsuł ratunkowych – zarządził Solo. – Zabierajmy się stąd.

Lando otworzył usta, żeby coś powiedzieć, jednak natychmiast je zamknął.

Wystarczył jeden rzut oka na napięte rysy i oczy Hana, pałające gniewem i frustracją. Jego przyjaciel doskonale wiedział, co ich czeka. Być może nawet lepiej niż on sam.

Kapsuła ratunkowa wynurzyła się na powierzchnię oceanu, otoczona setką innych modułów, a także szczątkami rafy. Przez maleńki bulaj Han obserwował, jak w oddali od „Koralowej Wandy” odrywają się ostatnie promy szturmowe, kierując się ku przestrzeni kosmicznej.

– Już po wszystkim? – spytał siedzący za nim Lando.

– Na to wygląda – potwierdził Solo, słysząc we własnym głosie rozgoryczenie. – Prawdopodobnie zaraz zajmą się kapsułami.

– Zrobiliśmy, co w naszej mocy, Han – przypomniał mu cicho Calrissian. – A poza tym… cóż, mogło być gorzej. Mogli rozwalić „Koralową Wandę”. Kto wie, ile minęłoby czasu, nim ktoś by nas znalazł.

A wówczas Imperium zyskałoby więcej czasu i zdobyło nad nimi przewagę już na starcie…

– Cudownie. Po prostu cudownie – burknął Solo. – Naprawdę super nam idzie.

– A co jeszcze mogliśmy zrobić? – dowodził swego Lando. – Zatopić tę łajbę, żeby go nie dorwali? Nie przejmując się, że przy okazji zginie kilkaset osób? A może dać się zabić, próbując pokonać wszystkich tych szturmowców, których przywieźli tu na pokładach trzech promów? Teraz przynajmniej Coruscant ma szansę przygotować się, nim Imperium rzuci do walki statki Ciemnej Flotylli.

Trzeba mu było przyznać, że bardzo się starał, jednak Solo był tak pogrążony w ponurych myślach, że nie potrafił wykrzesać z siebie ani krzty optymizmu.

– Jak niby mamy się przygotować na atak dwustu drednotów? – warknął. – I tak już ledwie sobie radzimy z tym, co mamy.

– Daj spokój, Han. – W głosie Landa zaczynała pobrzmiewać irytacja. – Nawet jeśli te statki są w idealnym stanie i gotowe do użycia, wciąż będą musieli wytrzasnąć skądś po dwa tysiące załogi na każdy. Miną lata, nim Imperium zdoła zebrać tylu rekrutów i nauczyć ich, jak latać tymi krążownikami.

– Nie zapominaj, że oni już od jakiegoś czasu szukali statków – przypomniał mu Solo. – Co oznacza, że mają ludzi do ich obsadzenia.

– Wątpię, żeby mieli ich czterysta tysięcy – parsknął Calrissian. – Serio, stary, spróbuj przynajmniej raz myśleć pozytywnie…

– Nie ma tu nic, co nastawiałoby mnie pozytywnie. – Han pokręcił głową.

– Musi być – upierał się Lando. – Dzięki twojemu trzeźwemu myśleniu i szybkiej reakcji Nowa Republika wciąż ma szanse wygrać tę walkę.

Han spojrzał na niego bez przekonania.

– Co masz na myśli?

– Ocaliłeś mi życie, tak? Rozprawiłeś się z tymi zbirami Ferriera.

– Taaa. I co z tego? Co to ma wspólnego z szansą na zwycięstwo Nowej Republiki?

– No wiesz? – Calrissian sprawiał wrażenie do głębi urażonego. – Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że beze mnie Nowa Republika natychmiast by upadła…

Chociaż Han bardzo się starał, tym razem nie zdołał stłumić uśmiechu. Pozwolił sobie na lekkie uniesienie kącika ust.

– No dobra, poddaję się – skapitulował. – Ale czy zamkniesz się wreszcie, jeśli przestanę zrzędzić?

– Umowa stoi.

Solo odwrócił się do bulaju, poważniejąc. Lando mógł sobie mówić, co chciał, ale utrata Floty Katańskiej będzie dla Nowej Republiki bardzo bolesnym ciosem, i obaj doskonale zdawali sobie

z tego sprawę. Musieli znaleźć sposób i nie dopuścić, by te okręty wpadły w ręce Imperium.

Jakikolwiek sposób.

Rozdział 26

Mon Mothma pokręciła w osłupieniu głową.

– Flota Katańska? – wykrztusiła. – Po tylu latach? To… nie do wiary.

– Cóż, niektórzy skomentowaliby to znacznie dosadniej – wtrącił bez entuzjazmu Fey'lya, nie spuszczając wzroku z obojętnej twarzy Karrde'a. Sierść falowała mu niespokojnie. Od początku tego pospiesznie zorganizowanego spotkania co chwila się na kogoś z denerwującą intensywnością gapił: a to na Karrde'a, a to na Luke'a, a to na Leię. Nie oszczędził nawet Mon Mothmy. – Powiem więcej: niektórzy mogliby w ogóle podać w wątpliwość wasze słowa.

Siedzący obok przemytnika Luke zmienił pozycję na krześle. Leia wyczuwała, że jej brat próbuje stłumić irytację, jaką wywoływał u niego Bothanin. Na Talonie jego napastliwość nie robiła jednak najmniejszego wrażenia.

– Chce pan powiedzieć, że kłamię?

– Och, przemytnik i kłamstwo? – parsknął z przekąsem Fey'lya. – Ależ skądże znowu!

– On nie kłamie – wtrącił stanowczo Solo. – Ciemna Flota została odnaleziona. Widziałem kilka tych statków na własne oczy.

– Może tak – bąknął Bothanin, wbijając spojrzenie w wypolerowany blat stołu. Solo był jedynym, który jak dotąd uniknął karcących spojrzeń i dosadnych komentarzy Fey'lyi. Z jakichś niejasnych powodów radca omijał go nawet wzrokiem. – A może nie. W tej galaktyce jest znacznie więcej drednotów niż tylko te wchodzące w skład Floty Katańskiej.

– Nie wierzę własnym uszom – przemówił wreszcie Luke, wodząc oczami między Fey'lyą a Mon Mothmą. – Flota Katańska została odnaleziona, Imperium za chwilę dostanie ją w swoje ręce, a my siedzimy tu i się kłócimy.

– Być może problem w tym, że jest pan po prostu zbyt łatwowierny – skwitował kwaśno Fey'lya, biorąc na celownik

Skywalkera. – Solo utrzymuje, że imperialni schwytali kogoś, kto może doprowadzić ich do tego rzekomego znaleziska. Ale Karrde twierdzi, że tylko on zna lokalizację floty!

– Tak jak wspomniałem dziś już przynajmniej raz – skwitował cierpko przemytnik – fakt, że wyszedłem z takiego założenia, oznacza tylko i wyłącznie to, o czym mówiłem: że było to założenie. Kapitan Hoffner był na swój sposób bardzo rozgarniętym człowiekiem i jestem w stanie wyobrazić sobie, że mógłby uzyskać kopię współrzędnych tamtych statków, nim usunąłem je z systemu.

– Cieszę się, że pokłada pan taką wiarę w swoich byłych współpracownikach – zakpił Fey'lya. – Jeśli jednak chodzi o mnie, to jestem jedynie przekonany o tym, że kapitan Solo jest w błędzie. – Sierść zafalowała mu znów gwałtownie. – Lub też został celowo wprowadzony w błąd.

Leia poczuła, jak siedzący obok niej Han pochmurnieje.

– Czy zechciałby pan rozwinąć tę myśl, radco Fey'lya? – spytał.

– Sądzę, że został pan okłamany – rzucił bez ogródek Fey'lya, nadal unikając jego wzroku. – Sądzę, że pański kontakt (którego tożsamości, jak nie omieszkałem zauważyć, zdecydowanie nie chce pan ujawnić) opowiedział panu historyjkę, podpierając ją fałszywymi dowodami. Ten kawałek sprzętu, którego oględzin dokonał rzekomo Calrissian, mógł pochodzić skądkolwiek. A pan, jak sam pan przyznał, nie postawił nawet nogi na pokładzie żadnego z tych statków.

– A co z imperialnym atakiem na „Koralową Wandę"? – spytał ostro Solo. – Uznali, że na pokładzie jest ktoś wart takiego zachodu.

– A może raczej chcieli nas utwierdzić w tym przekonaniu? – Fey'lya uśmiechnął się blado. – I niewykluczone, że nie musieli się nawet specjalnie wysilać, jeśli ten pański tajemniczy kontakt w istocie pracował dla nich.

Leia spojrzała na męża. Wyczuwała od niego coś… fale silnych emocji, których nie potrafiła do końca zidentyfikować.

– Han? – zagadnęła go łagodnie.

– Nie – odpowiedział, nie patrząc na nią. – Mój kontakt nie pracuje dla Imperium.

– Och, to pan tak twierdzi, oczywiście – parsknął Fey'lya. – Nie dostarczył nam pan jednak na to żadnych dowodów.

– W porządku – wtrącił Karrde. – Załóżmy na chwilę, że wszystko to jest w rzeczywistości jednym wielkim szwindlem. Co zyskałby na tym wielki admirał?

Sierść Fey'lyi zafalowała w sposób, który Leia odczytała jako oznakę rozdrażnienia. Przy wsparciu Karrde'a zdołała obalić teorię Bothanina, jakoby Thrawn wcale nie był wielkim admirałem, i Fey'lyę nieskończenie irytowała nawet porażka w tak – zdawałoby się – błahej sprawie.

– Sądziłem, że to oczywiste – poinformował chłodno Karrde'a. – Jak pan sądzi? Jak wiele układów musielibyśmy pozostawić bez ochrony, aby obsadzić personelem dwieście drednotów? O nie, Imperium może wiele zyskać, jeśli nakłoni nas do podjęcia nierozważnych decyzji.

– Równie wiele zyskają na naszym braku reakcji – odparł Karrde lodowato zimnym tonem. – Pracowałem z Hoffnerem przez ponad dwa lata i mogę pana zapewnić, że Imperium nie zajmie dużo czasu wyciągnięcie od niego informacji na temat miejsca przebywania floty. Jeśli nie będziecie działać szybko, możecie stracić wszystko.

– O ile w ogóle możemy na tym coś stracić – parsknął Fey'lya.

Leia położyła ostrzegawczo dłoń na ramieniu Hana.

– Można to łatwo sprawdzić – stwierdziła, nim Karrde zdążył otworzyć usta. – Możemy wysłać tam statek z zespołem techników, by rzucił na to okiem. Gdyby okazało się, że flota rzeczywiście tam jest… i że możemy ją wykorzystać, wtedy możemy spróbować ją pozyskać.

Mina Talona Karrde'a sugerowała, że powinni podjąć bardziej zdecydowane kroki. Mimo to kiwnął głową i powiedział:

– Sądzę, że to dobre rozwiązanie.

Leia spojrzała na przewodniczącą Rady.

– Mon Mothmo?

– W porządku – stwierdziła przewodnicząca. – Panie radco? Proszę niezwłocznie poinformować admirała Draysona, by przydzielił do tej misji fregatę eskortową i dwa oddziały X-wingów. Najlepiej, by zostały wysłane stąd, z Coruscant. Nie chcielibyśmy,

żeby ktokolwiek poza układem choćby w najmniejszym stopniu zorientował się w naszych działaniach.

Fey'lya skłonił lekko głowę.

– Jak sobie pani życzy. Czy jutrzejszy poranek będzie odpowiednio wczesną porą?

– Tak. – Mon Mothma przeniosła wzrok na Karrde'a. – Będziemy potrzebowali tych współrzędnych.

– Oczywiście – zgodził się. – W takim razie dostarczę je jutro z rana.

Fey'lya skwitował jego słowa parsknięciem.

– Proszę pozwolić, że panu przypomnę, kapitanie…

– Chyba że – wszedł mu gładko w słowo przemytnik – wolałby pan, żebym odleciał dziś z Coruscant i przekazał koordynaty temu, kto zapłaci więcej?

Fey'lya łypnął na niego gniewnie, kładąc sierść po sobie. Wiedział jednak, że w tej sytuacji nie jest w stanie zbyt wiele wskórać.

– A więc do rana – warknął tylko.

– W porządku. – Karrde skinął mu głową. – Jeśli to już wszystko, proszę pozwolić, że wrócę teraz do swoich kwater i odpocznę nieco przed kolacją. – Spojrzał na Leię… która nagle wyczuła u niego dziwną zmianę, widoczną wyraźnie również w spojrzeniu. Kiedy kiwnęła mu ledwie zauważalnie głową, odwrócił wzrok jakby nigdy nic i wstał. – Mon Mothma, radco Fey'lya. – Skinął im kolejno głową. – To było bardzo… interesujące spotkanie.

– Do zobaczenia rano – rzucił ponuro Fey'lya.

– Oczywiście. – Po wargach Karrde'a przemknął cień ironicznego uśmieszku.

– W takim razie uznaję to spotkanie za zakończone – stwierdziła formalnie Mon Mothma.

– Chodźmy – mruknęła Leia do męża, gdy pozostali zaczęli zbierać swoje datakarty.

– O co chodzi? – spytał szeptem.

– Sądzę, że Karrde chce pogadać – wyjaśniła. – Pospiesz się. Nie chcę tu utknąć zasypana przez Mon Mothmę gradem pytań.

– Hm, tak, jasne. Ty idź – odparł dziwnie nieprzytomnie Han, jakby błądził myślami gdzieś daleko.

– Mówisz poważnie? – Przyjrzała mu się, marszcząc czoło.

– Taaa – bąknął i zerknął nad jej ramieniem. Gdy powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, spostrzegła, że Fey'lya opuszcza pomieszczenie szybkim krokiem. – Idź. Złapiemy się później.

– W porządku – mruknęła, przyglądając mu się z troską.

– To nic poważnego – zapewnił ją, ściskając lekko jej dłoń. – Muszę po prostu pogadać chwilę z Fey'lyą.

– Ale… o czym?

– Sprawy osobiste. – Spróbował obdarzyć ją jednym z tych swoich krzywych uśmiechów, które zazwyczaj skutecznie ją rozbrajały, jednak tym razem wyglądał przy tym zdecydowanie mniej niewinnie niż zwykle. – Ej! Naprawdę wszystko w porządku – zapewnił ją. – Po prostu sobie z nim porozmawiam. Zaufaj mi.

– Już to kiedyś słyszałam – westchnęła. Jednak Luke wyszedł już z pokoju, Karrde ruszał właśnie do drzwi… a Mon Mothma miała dokładnie taki wyraz twarzy, jaki przybierała, gdy zamierzała poprosić ją o przysługę. – Postaraj się tylko być uprzejmy, dobrze?

Spojrzał znowu ponad jej ramieniem.

– Jasne – zapewnił ją. – Masz na to moje słowo.

Fey'lya szedł właśnie Wielkim Korytarzem w stronę Auli Zgromadzeń, gdy Han go namierzył – poruszał się charakterystycznym krokiem kogoś, kto się strasznie spieszy, ale za wszelką cenę próbuje tego nie okazywać.

– Halo! – zawołał do niego Solo. – Panie radco?

Jedyną reakcją była tylko przelotna plama bladej czerwieni, która przemknęła po pniach stojących w pobliżu drzewek ch'hala. Wbijając gniewne spojrzenie w plecy Bothanina, Han przyspieszył kroku i kilka chwil później się z nim zrównał.

– Chciałbym zamienić z panem słówko, panie radco – zagadnął go.

Fey'lya nie raczył nawet na niego spojrzeć.

– Nie mamy o czym rozmawiać – uciął.

– Och, ależ wręcz przeciwnie – zapewnił go Solo, dotrzymując mu kroku. – Na przykład o tym, jak znaleźć wyjście z tej kabały, w jaką

się pan wpakował.

– Sądziłem, że w pańskiej rodzinie dyplomacja jest domeną kobiet? – fuknął Fey'lya, rzucając znaczące spojrzenie na przód koszuli Hana.

– Czasem się zmieniamy – rzucił półżartem Han, z całej siły próbując opanować niechęć wobec Bothanina. – Widzi pan, wpakował się pan w tarapaty, bo próbuje pan w polityce grać według bothańskich zasad. Ta cała afera z bankiem postawiła Ackbara w złym świetle, więc jak na porządnego Bothanina przystało, naskoczył pan na niego. Problem w tym, że nikt pana w tym ataku nie poparł, a więc utknął pan z poważnymi zarzutami wobec admirała i własną reputacją wiszącą na włosku. Nie wie pan, jak to wszystko elegancko odkręcić, więc uznał pan, że jedynym sposobem na ocalenie własnego honoru będzie pogrążenie Ackbara.

– Czyżby? – parsknął Fey'lya. – A czy przyszło panu do głowy, że utknąłem, jak pan to ujął, bo naprawdę byłem przekonany o zdradzie Ackbara?

– Hm, niekoniecznie – przyznał Han. – Jednak tak właśnie pomyślało mnóstwo innych osób… i dlatego pana reputacja jest teraz zagrożona. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że można narobić tyle hałasu, nie mając w istocie żadnych dowodów.

– A dlaczego sądzi pan, że nie dysponuję dowodami?

– Zacznijmy od tego, że ich pan nie przedstawił – odparł Solo prosto z mostu. – Ponadto wysłał pan Breil'lyę na Nową Kowię, aby spróbował dobić targu z senatorem Belem Iblisem. Bo właśnie po to poleciał tam Breil'lya, nieprawdaż?

– Nie wiem, o czym pan mówi – burknął Bothanin.

– Jasne. Ale jest jeszcze trzecia rzecz. Mianowicie pięć minut temu był pan gotów postawić na Belu Iblisie krzyżyk, gdyby tylko dzięki temu zyskał pan dość czasu na sprowadzenie Floty Katańskiej.

Fey'lya przystanął gwałtownie.

– Proszę pozwolić, że będę z panem szczery, kapitanie Solo – powiedział, wciąż nie patrząc mu w oczy. – Niezależnie od tego, czy rozumie pan kierujące mną pobudki, czy też nie, ja z pewnością znam pańskie. Liczy pan na to, że sprowadzi samodzielnie Flotę

Katańską na Coruscant oraz że w ten sposób zdyskredytuje mnie, przywracając do łask Ackbara.

– Nie. – Han ze znużeniem pokręcił głową. – Właśnie w tym tkwi szkopuł, panie radco. Leia i inni nie grają według bothańskich zasad. Podejmują decyzje na podstawie dowodów, nie kierując się chęcią zdobycia prestiżu. Jeżeli Ackbar jest winny, będzie ukarany. Jeśli nie, zostanie oczyszczony z zarzutów i uwolniony. Proste.

Fey'lya uśmiechnął się gorzko.

– Dam panu pewną radę, kapitanie Solo – rzucił Fey'lya. – Proszę pozostać przy przemycie, walce i innych rzeczach, które pan rozumie i na których się pan zna. Arkana polityki to zdecydowanie nie pana działka.

– Popełnia pan błąd, radco – spróbował Han po raz ostatni. – Ma pan jeszcze szansę się wycofać, nic na tym nie tracąc. Naprawdę. Jeśli jednak będzie pan dalej szedł w zaparte, ryzykuje pan, że pociągnie za sobą Nową Republikę.

Fey'lya wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość.

– Nie zamierzam upaść, kapitanie Solo – oznajmił lodowatym tonem. – Dopilnują tego moi stronnicy w szeregach wojska Nowej Republiki. To Ackbar upadnie, a ja zajmę jego miejsce. A teraz… proszę wybaczyć, muszę porozmawiać z admirałem Draysonem. – Odwrócił się na pięcie i ruszył w swoją stronę.

Han patrzył w ślad za nim, czując w ustach gorzki smak porażki. Czy Fey'lya naprawdę nie widział, co robi? Ryzykował nierozważnie, stawiając wszystko na jedną – w dodatku tak niepewną – kartę.

Cóż, może rzeczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy. Może jedynie doświadczony hazardzista był w stanie dostrzec, o jaką stawkę toczy się ta gra.

Albo polityk, który był tak zaślepiony swoimi przekonaniami, że nie widział nic poza czubkiem własnego nosa.

Fey'lya dotarł już do końca Wielkiego Korytarza i skręcił w lewo, ku centrum admiralicji. Kręcąc głową, Solo zawrócił i ruszył w stronę kwater gościnnych, w których rezydował Karrde. Najpierw „Koralowa Wanda", a teraz to… Miał nadzieję, że zła passa nie utrzyma się długo.

Mara stała przy oknie swojego pokoju, wpatrując się w góry Manarai majaczące w oddali. Pobyt w tym miejscu sprawił, że napłynęły ponure wspomnienia. Pałac imperialny… Po pięciu latach wróciła do pałacu imperialnego. Przed oczami przewijały jej się sceny z ważnych posiedzeń rządowych, pełnych przepychu przyjęć, mrocznych spisków… To było miejsce, w którym zaczęło się jej prawdziwe życie… i miejsce, w którym przebywała, gdy się ono skończyło.

Wbiła paznokcie w rzeźbione spirale okiennej ramy, a z zakamarków pamięci wychynęły tak dobrze znane twarze: wielkiego admirała Thrawna, lorda Vadera, wielkiego moffa Tarkina… A także setek doradców, polityków i pochlebców. Wszystkie bledły jednak wobec wspomnień o Imperatorze. Widziała jego oblicze przed sobą tak wyraźnie, jakby patrzył na nią zza okna: jego pooraną bruzdami zmarszczek twarz, żółte oczy pałające gniewem i potępieniem.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

– Próbuję – odpowiedziała cicho słowom rozbrzmiewającym echem w jej umyśle. Gdy tylko jednak się odezwała, zaczęła wątpić w to, czy jej deklaracja rzeczywiście jest prawdziwa. Pomogła Skywalkerowi ocalić życie na Myrkr, potem poleciała błagać go o pomoc na Jomarku, a teraz bez słowa sprzeciwu przybyła z nim na Coruscant.

Nie groziło jej z jego strony żadne niebezpieczeństwo. Karrde'owi również. Nie przychodził jej też do głowy żaden powód, dla którego Luke miałby być teraz użyteczny dla niej albo dla ludzi Karrde'a.

Krótko mówiąc: skończyły jej się wymówki.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł cichy odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. To Karrde wrócił ze spotkania.

Odwróciwszy się od okna i z ulgą witając pretekst do porzucenia ponurych myśli, ruszyła w stronę drzwi między ich pokojami. Talon uprzedził ją jednak.

– Maro? – spytał, otwierając je i zaglądając do środka. – Czy mogę cię prosić na sekundkę?

Kiedy do niego dołączyła, stał przy terminalu komputerowym. Jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało jej wszystko, co musiała

wiedzieć.

– Co poszło nie tak? – spytała czujnie.

– Nie jestem do końca pewien… – mruknął, wyciągając kartę ze szczeliny do kopiowania danych. – Ten Bothanin z Rady stawia zaskakująco silny opór wobec naszej propozycji. Zmusił Mon Mothmę, żeby wstrzymała się z podjęciem poważnej misji pozyskania tych statków, dopóki nie sprawdzą lokalizacji. Teraz załatwia statek na jutro rano.

Mara ściągnęła z niepokojem brwi.

– Sądzisz, że gra na dwa fronty?

– Niewykluczone, jednak nie rozumiem, po co miałby to robić. – Karrde pokręcił głową. – Thrawn zgarnął już Hoffnera i wkrótce dotrze do floty. Sądzę, że to może mieć raczej związek z jakimiś planami politycznymi tego Bothanina, możliwe, że z jego kampanią przeciwko Ackbarowi.

– Słyszałam opowieści o bothańskich sposobach uprawiania polityki – przytaknęła Mara. – Co mam robić?

– Chciałbym, żebyś poleciała dziś do układu Trogon – powiedział, wsuwając jej w dłoń datakartę. – Gdybym miał zgadywać, obstawiam, że to właśnie tam zaszył się Aves. Skontaktuj się z nim i powiedz, że potrzebuję wszystkiego, co może latać i walczyć. Weźcie to i spotkajcie się ze mną w punkcie zbornym najszybciej, jak zdołacie. W miejscu stacjonowania Floty Katańskiej.

Mara wzięła od niego ostrożnie kartę. Pod wpływem dotyku chłodnego plastiku poczuła w opuszkach palców mrowienie. Oto miała w swoich rękach Flotę Katańską, gwarancję potęgi i władzy…

– Nie wiem, czy zdołam przekonać Avesa, żeby mi zaufał… – rzuciła z powątpiewaniem.

– Och, z tym chyba nie powinno być problemu – zapewnił ją Karrde. – Imperium pewnie już do tej pory ponownie wyznaczyło nagrodę za nasze głowy. Sam ten fakt da mu do myślenia. Będzie wiedział, że uciekłem. Na tej datakarcie jest też specjalny kod rozpoznawczy. Taki, którego nawet wielki admirał nie zdołałby wyciągnąć ode mnie za szybko. Aves powinien to wiedzieć.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie miał lepszej od ciebie opinii o zdolnościach imperialnych śledczych – skwitowała, wsuwając

datakartę do kieszeni bluzy. – Coś jeszcze?

– Nie… To znaczy tak – poprawił się szybko Karrde. – Powiedz Ghentowi, że chciałbym, by zamiast lecieć do punktu zgromadzenia Floty Katańskiej, przybył tu, na Coruscant. Spotkam się tu z nim, gdy będzie już po wszystkim.

– Ghentowi? – zdziwiła się Mara. – Ale dlaczego?

– Chciałbym się przekonać, czy zdolny haker zdołałby rozpracować pochodzenie tej tajemniczej sumy na koncie Ackbara. Skywalker podejrzewa, że włamanie do systemu bankowego i transfer pieniędzy nastąpiły mniej więcej w tym samym czasie, jednak jak dotąd nie ma na to jednoznacznych dowodów. Idę o zakład, że Ghent je zdobędzie.

– Sądziłam, że twoje mieszanie się w politykę Nowej Republiki to jednorazowy wybryk – zauważyła Jade.

– Bo tak jest. – Karrde kiwnął głową. – Nie chciałbym jednak mieć na karku Bothanina z przerostem ambicji, gdy stąd odlecimy.

– Racja – przyznała. – W porządku. Masz dla mnie statek?

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Za moment będę go miał – zapewnił ją. Podszedł do drzwi i je otworzył.

W progu stała siostra Skywalkera.

– Chciałeś się ze mną widzieć? – spytała.

– Tak. – Kiwnął jej głową na powitanie. – Jak sądzę, znasz już moją współpracowniczkę, Marę Jade?

– Spotkałyśmy się przelotnie po waszym przybyciu na Coruscant – potwierdziła Organa Solo.

Przez chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały i Mara zastanowiła się z lekkim niepokojem, ile powiedział jej Skywalker.

– Chciałbym, żeby Mara udała się dla mnie w pewną podróż – powiedział Karrde. Zerknął szybko na korytarz po lewej i prawej stronie, a potem zamknął drzwi. – Będzie potrzebowała szybkiego statku dalekiego zasięgu.

– Chyba mogę to załatwić – zgodziła się Organa Solo. – Czy zwiadowczy Y-wing wystarczy, Maro?

– Tak – odparła krótko Mara.

– W takim razie skontaktuję się z kosmoportem i wszystkiego dopilnuję. – Leia spojrzała na Karrde'a. – Coś jeszcze?

– W zasadzie tak – powiedział. – Chciałbym mianowicie wiedzieć, czy zdołałabyś jeszcze dziś zebrać zespół techników i wysłać go z misją.

– Radca Fey'lya już się tym zajmuje – przypomniała mu.

– Wiem o tym – poinformował ją. – Ale chciałbym, żeby twój zespół dotarł tam pierwszy.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

– Jak duży ma być ten zespół?

– Nic specjalnie wymyślnego – zapewnił ją. – Niewielki transportowiec lub frachtowiec plus eskadra myśliwców, jeśli uda się zorganizować taką, która nie będzie miała nic przeciwko temu, że może narazić się na dezaprobatę dowództwa. Chodzi o to, żeby w pobliżu floty znalazł się ktoś oprócz ludzi najprawdopodobniej osobiście wybranych przez Fey'lyę.

Mara otworzyła usta, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale po chwili się rozmyśliła. Gdyby Karrde chciał, by Organa Solo wiedziała, że zjawią się tam również jego ludzie, sam by jej o tym powiedział.

Talon zerknął na siostrę Skywalkera.

– Czy to wykonalne?

– Tak sądzę – odparła. – Fey'lya zdobył sobie duże poparcie w szeregach wojska, jednak jest sporo osób, które wolałyby, by admirał Ackbar został przywrócony do łask.

– Oto współrzędne – powiedział Karrde, podając jej datakartę. – Im prędzej wyślecie tam zespół, tym lepiej.

– Będzie gotowy za dwie godziny – obiecała Organa Solo.

– Świetnie. – Talon kiwnął głową, poważniejąc. – W takim razie została jeszcze jedna rzecz. Chcę, abyście wiedzieli, że robię to wszystko z dwóch powodów. Po pierwsze, aby okazać wdzięczność twojemu bratu za to, że ryzykował życie, pomagając Marze mnie uratować. Po drugie zaś, aby pozbyć się imperialnych, odbierając im główny powód, dla którego mnie ścigają. To wszystko. Jeśli chodzi o waszą wojnę i politykę wewnętrzną, moja organizacja chce zachować całkowitą neutralność. Czy wyrażam się jasno?

Organa Solo kiwnęła głową.

– Całkowicie – przytaknęła.

– Świetnie. W takim razie lepiej zacznijcie działać. Czeka was długa droga, a lepiej, żebyście mieli możliwie jak największą przewagę czasu nad Fey'lyą.

– Trudno się nie zgodzić. – Organa Solo spojrzała na Marę. – Chodź. Poszukamy dla ciebie statku.

Komunikator obok koi Wedge'a Antillesa zabrzęczał denerwująco, sygnalizując nadchodzące połączenie. Pilot z jękiem pomacał w ciemności ręką i plasnął dłonią z grubsza w miejsce, w którym powinien się znajdować przełącznik.

– Rany, dajcie mi trochę odsapnąć, co? – wymamrotał. – Wciąż jeszcze nie przestawiłem się z czasu Ando!

– Tu Luke, Wedge – rozległ się w głośniku znajomy głos. – Wybacz, że wyciągam cię z łóżka, ale potrzebuję pewnej… przysługi. Nie masz przypadkiem ochoty narozrabiać trochę ze swoją ekipą?

– A kiedy ostatnio mieliśmy przerwę w rozrabianiu? – parsknął Wedge, nagle całkiem rozbudzony. – O co dokładnie chodzi?

– Zbierz swoich ludzi i spotkaj się ze mną za godzinę w kosmoporcie – poprosił Luke. – Lądowisko piętnaste. Mamy stary transportowiec, na pokładzie którego powinny się zmieścić wszystkie wasze X-wingi.

– A więc to długa wycieczka?

– Kilka dni – wyjaśnił oględnie Luke. – W tej chwili nie mogę powiedzieć ci nic więcej.

– Cóż, ty tu jesteś szefem – skwitował Wedge. – Będziemy za godzinę.

– W takim razie do zobaczenia. I… dzięki.

Wedge rozłączył się i zeskoczył z łóżka, czując dreszcz podekscytowania. W ciągu dziesięciu lat służby w Sojuszu, a potem w Nowej Republice uczestniczył w wielu emocjonujących misjach. To było mnóstwo latania i mnóstwo walki. Jednak tak się jakoś składało, że w akcje, które zapamiętał jako dostarczające mu

największej frajdy, zawsze był zaangażowany w ten czy inny sposób Luke Skywalker. Nie miał pojęcia, dlaczego tak było. Może Jedi po prostu miał do tego dryg?

Cóż, Wedge miał taką nadzieję. Bo ostatnimi czasy nastroje polityczne na Coruscant i żmudne zadanie sprzątania po atakach Imperium wciąż przypuszczanych na Nową Republikę sprawiały, że jego praca stawała się coraz bardziej frustrująca. Potrzebował miłej odmiany.

Włączył światło, znalazł w szafie świeży kombinezon i zaczął się ubierać.

Dzięki wstawiennictwu Lei nie mieli problemu z uzyskaniem pozwolenia na start z Coruscant w samym środku nocy, jednak wylot frachtowca przewożącego na pokładzie tuzin X-wingów był na tyle podejrzany i niecodzienny, że wzbudził nieuchronne spekulacje. Mogli mieć pewność, że przekazywane z ust do ust wieści już wkrótce dotrą do uszu popleczników Fey'lyi.

Rankiem Bothanin wiedział już o wszystkim.

– To zdecydowanie wykracza poza sprawy polityki wewnętrznej! – zaatakował Leię. Sierść falowała mu gwałtownie, sprawiając wrażenie krótkich traw targanych podmuchami wirowych pyłów. – To stoi w jawnej sprzeczności z prawem! O ile nie równa się zwykłej zdradzie stanu.

– Byłabym ostrożna ze stawianiem podobnie śmiałych oskarżeń – stwierdziła Mon Mothma, jednak na jej twarzy wyraźnie malowała się troska. – Dlaczego to zrobiłaś, Leio?

– Bo ją o to poprosiłem – odparł spokojnie Karrde. – A ponieważ Flota Katańska nie jest jeszcze formalnie na usługach Nowej Republiki, nie bardzo rozumiem, w jaki sposób można by to posunięcie zinterpretować jako sprzeczne z prawem.

– Nieco później wyjaśnimy panu szczegółowo odpowiednie procedury prawne – burknął kwaśno Fey'lya. – Obecnie obecnej musimy omówić poważne naruszenie bezpieczeństwa. Mon Mothmo, żądam wydania nakazu aresztowania Solo i Skywalkera.

Jego postulat zaskoczył nawet samą przewodniczącą Rady.

– Nakazu… aresztowania?

– Oni wiedzą, gdzie jest Flota Katańska – warknął Bothanin. – Nikt z ich ludzi nie powinien mieć dostępu do tych informacji! Należy ich zatrzymać i umieścić w odosobnieniu, dopóki cała flota nie znajdzie się w posiadaniu Nowej Republiki.

– Och, nie sądzę, by było to konieczne. – Leia zerknęła na Karrde'a. – Zarówno Hanowi, jak i Luke'owi powierzano już w przeszłości tajne informacje i…

– Nie rozmawiamy o przeszłości – wszedł jej w słowo Fey'lya. – Tylko o teraźniejszości, a oni nie otrzymali odpowiednich upoważnień. – Futro mu oklapło. – Sądzę, że w zaistniałych okolicznościach najlepiej będzie, jeśli osobiście stanę na czele tej misji.

Leia rzuciła znów spojrzenie Karrde'owi i zrozumiała, że myśli on o tym samym co ona. Jeśli Bothaninowi uda się sprowadzić osobiście Flotę Katańską…

– Oczywiście, może pan wziąć udział w tej wyprawie – zapewnił go Karrde. – Radczyni Organa Solo i ja z chęcią przyjmiemy pana na pokład.

Przetrawienie tej propozycji zajęło Bothaninowi dobrą chwilę.

– Ależ o czym pan mówi? – spytał lodowatym tonem. – Żadne z was nie jest upoważnione do uczestnictwa w tej misji…

– Ależ wręcz przeciwnie, radco – zapewnił go przemytnik. – Ponieważ formalnie o losie Floty Katańskiej wciąż stanowię ja, to do mnie należy decyzja, kto weźmie udział w misji. I będzie tak, dopóki nie przekażę statków Nowej Republice. Póki co to ja ustalam więc zasady.

Fey'lya znów położył sierść po sobie i Leia przez chwilę obawiała się, że Bothanin lada chwila skoczy Karrde'owi do gardła.

– Nie zapomnimy ci tego, przemytniku – wysyczał jednak tylko radca. – Kiedyś się za to policzymy.

Karrde obdarzył go ironicznym uśmieszkiem.

– To się jeszcze okaże. Czy możemy już ruszać?

Rozdział 27

Luke wyprostował się w swoim fotelu na dźwięk alarmu zbliżeniowego. Po pięciu dniach dotarli wreszcie na miejsce.

– No to jesteśmy – mruknął. – Gotów?

– Znasz mnie przecież – odpowiedział mu siedzący obok niego w fotelu pilota Han. – Zawsze jestem gotów.

Luke spojrzał na przyjaciela ukradkiem. Osobom postronnym zachowanie Hana mogłoby się wydawać normalne, jednak pod tą warstewką pozornej nonszalancji Skywalker dostrzegał coś niepokojącego. I trwało to już od kilku dni. Odkąd opuścili Coruscant, jego szwagier emanował jakąś ponurą, niemal desperacką determinacją. Teraz to wrażenie się nasiliło, a gdy Luke przyjrzał się uważniej, dostrzegł w twarzy Hana wyraźne napięcie.

– Wszystko w porządku? – spytał cicho.

– Och, pewnie. Jasne! – Napięcie zauważalnie wzrosło. – Cóż, po prostu ten jeden raz chciałbym, żeby znaleźli sobie kogoś innego do tych galaktycznych eskapad. Wiesz, że Leia i ja od czasu, gdy to się zaczęło, nie spędziliśmy ze sobą nawet jednego dnia? Nie widzieliśmy się przez cały miesiąc!

– Wiem – powiedział współczująco Luke. – Czasem mam wrażenie, że odkąd opuściłem wtedy z droidami i Benem Kenobim Tatooine, wciąż tylko gnam przed siebie.

Han pokręcił głową.

– Nie widziałem jej cały miesiąc – powtórzył smętnie. – Wygląda, jakby była… no, dwa razy bardziej ciężarna, niż gdy odlatywała. Nie wiem nawet, co przydarzyło się tam jej i Chewiemu. Zdążyła mi tylko powiedzieć, że ci cali Noghri są teraz po naszej stronie. Cokolwiek to oznacza. Z Chewiego też nie mogę nic wydusić. Powtarza jedynie, że to jej sprawa, więc sama powinna mi o wszystkim opowiedzieć. Mam ochotę go zabić.

Luke wzruszył ramionami.

– Cóż, pogódź się z tym, Han. Jesteśmy po prostu za dobrzy w tym, co robimy.

Solo parsknął, jednak napięcie w jego twarzy wyraźnie zelżało.

– Taaa, jasne.

– Moim zdaniem, najważniejsze jednak jest to, że jesteśmy jednymi z nielicznych osób, którym Leia ufa – podjął Skywalker, poważniejąc. – A dopóki nie zlikwidujemy źródła tego przecieku w pałacu imperialnym, musimy wszyscy zachować najwyższą ostrożność.

– Taaa. – Han się skrzywił. – Ktoś mi wspominał, że imperialni nazywają je Źródłem Delta. Masz jakiś pomysł, kto albo co to może być?

Luke pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. To musi być jednak ktoś blisko związany ze Zgromadzeniem. Może nawet z Radą? Jedno jest pewne: lepiej będzie, jeśli szybko go znajdziemy.

– Taaa. – Han się pochylił i sięgnął do drążka hipernapędu. – Przygotuj się… – Pociągnął dźwignię i chwilę później otaczała ich znowu czerń przestrzeni kosmicznej. – No to jesteśmy.

– Zgadza się. – Luke rozejrzał się dookoła, czując, jak po plecach przechodzi mu zimny dreszcz. – W samym środku… galaktycznego zadupia.

– Hm, powinieneś się tu czuć jak u siebie – mruknął Han, uruchamiając procedurę skanowania terenu.

– Dzięki – parsknął Luke. – Ale wolałbym nie przyzwyczajać się zbytnio do tkwienia z dala od układów gwiezdnych z nieaktywnym hipernapędem.

– Nie to miałem na myśli – stwierdził niewinnie Solo, aktywując system łączności. – Mówiłem o Tatooine. Wedge?

– Tak? – dobiegł z głośnika głos Antillesa.

– Wygląda na to, że dotarliśmy do celu. Kierunek zero cztery siedem koma jeden sześć sześć – poinformował go Han. – Gotowi?

– Jak najbardziej.

– W porządku. – Solo ostatni raz wyjrzał przez iluminator i wdusił przycisk otwierania włazu. – W drogę.

Luke wyciągnął szyję, żeby spojrzeć we wskazanym przez przyjaciela kierunku. Początkowo dostrzegał jedynie punkciki rozproszonych gwiazd, lśniące jasno na tle otaczającej ich czerni kosmosu, i nagle to zobaczył: łagodniejszy poblask świateł pozycyjnych statku. Powiódł między nimi wzrokiem, starając się ustalić ich położenie względem siebie, i po chwili obraz, który wyłonił się z tej konfiguracji, nabrał w jego umyśle ostrości.

– Zgadza się. To drednot.

– Tam dalej jest jeszcze jeden – wskazał Han. – A nieco niżej, na lewo, trzy kolejne.

Luke pokiwał głową, namierzając wszystkie krążowniki i czując przy tym dziwne mrowienie. Flota Katańska… Dopiero teraz dotarło do niego, że aż do tej chwili tak naprawdę nie wierzył w jej istnienie.

– Który sprawdzimy? – spytał rzeczowo.

– Może być ten pierwszy z brzegu – odparł Han.

– Nie… – zaprotestował z namysłem Luke, próbując się skupić na dziwnym przeczuciu. – Nie. Spróbujmy z tamtym. – Wskazał szereg świateł pozycyjnych lśniących kilka kilometrów dalej.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Hm, właściwie to nie wiem – przyznał z zakłopotaniem Skywalker. Czuł na sobie pytające spojrzenie Hana, który dał jednak wreszcie za wygraną.

– W porządku – stwierdził Solo, wzruszając ramionami. – Nie ma sprawy. Sprawdzimy tamten. Wedge, jesteś na bieżąco?

– Tak jest – potwierdził Antilles. – Zajmujemy wokół was pozycje eskortowe. Póki co nie widać nic niepokojącego.

– Świetnie. Ale miejcie oczy dookoła głowy – poprosił Solo, a następnie włączył interkom i zerknął na chronometr. – Lando? Gdzie jesteś?

– W pobliżu włazu towarowego – nadeszła odpowiedź. – Załadowaliśmy sanie i jesteśmy gotowi do drogi.

– Dobrze – rzucił Han. – W takim razie ruszajmy.

Byli już w pobliżu krążownika – na tyle blisko, że Luke widział blade światło gwiazd odbite od statku, określające z grubsza jego kształt. Dziobową i środkową część kadłuba otaczało kilka stanowisk

działek, nadając całości wygląd przypominający wielkiego opancerzonego mięczaka. „Z przodozgryzem” – przypomniał sobie z lekkim rozbawieniem określenie, którego ktoś kiedyś użył, opisując ten osobliwie archaiczny okręt. Wrażenie przestarzałości było jednak mylące. Drednoty stanowiły niegdyś trzon floty Starej Republiki i chociaż nie dorównywały smukłością imperialnym gwiezdnym niszczycielom, które zastąpiły je później, ich masywne baterie turbolaserów dysponowały potężną mocą.

– Jak dostaniemy się na pokład? – zapytał Hana.

– Tam jest główny hangar. – Solo wskazał palcem prostokąt przytłumionych świateł. – Wlecimy do środka.

Luke przyjrzał się ziejącej w kadłubie paszczy wlotu do hangaru.

– O ile się zmieścimy – stwierdził nieufnie.

Jego obawy okazały się jednak bezpodstawne. Wlot był znacznie większy, niż mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka, zaś sam hangar imponował rozmiarami. Han bez trudu wprowadził transportowiec do środka, obrócił go dziobem na zewnątrz, a potem posadził na pokładzie.

– No dobrze – mruknął, ustawiając systemy w stan uśpienia i rozpinając uprząż. – Bierzmy się do roboty i miejmy to z głowy.

Gdy Han i Luke dotarli do włazu rozładunkowego, Lando, Chewbacca i czterech techników z przydzielonego im zespołu czekali już na nich. Ci ostatni sprawiali wrażenie nieco skrępowanych, uzbrojeni w blastery, do których używania nie przywykli.

– Czy sprawdziliście już skład powietrza, Anselm? – spytał jednego z nich Solo.

– Wydaje się, że wszystko jest w porządku – odparł szef zespołu, podając Hanowi datapad z wynikami skanu. – Jest lepiej, niż można by przypuszczać po tylu latach. Najwyraźniej wciąż działa przynajmniej część zespołu droidów sprzątających.

Solo obrzucił wzrokiem odczyty, po czym oddał mężczyźnie notes komputerowy i kiwnął głową Chewbacce.

– No dobra. Chewie, otwórz właz. Tomrus? Będziesz kierował saniami. Uważaj tylko na luki w polu grawitacyjnym. Niektóre

panele mogą szwankować, a ja nie chciałbym, żeby sanie obijały się o sufit.

Powietrze w hangarze było nieco zatęchłe. Luke rozpoznawał zapach smaru i kurzu, z lekko metaliczną nutą. Poza tym jednak było do przyjęcia.

– Niesamowite – mruknął, gdy ruszyli w ślad za saniami w stronę głównego włazu. – Po tylu latach…

– Te komputerowe systemy podporządkowania zaprojektowano bardzo przyzwoicie. Miały posłużyć wiele lat – zauważył Lando. – Jaki mamy plan?

– Chyba powinniśmy się rozdzielić – zaproponował Solo. – Ty i Chewie weźcie Anselma i Tomrusa z saniami i sprawdźcie maszynownię. My pójdziemy na mostek.

W pewnym momencie Luke pomyślał, że to jedna z najbardziej osobliwych wypraw, w których miał okazję uczestniczyć – o dziwo, właśnie dlatego, że wszystko wyglądało tak… zwyczajnie. Światła w szerokich korytarzach paliły się jasnym blaskiem, a panele grawitacyjne, podobnie jak reszta systemu podtrzymywania życia, działały bez zarzutu. Drzwi po obu stronach korytarza rozsuwały się, gdy ktoś się do nich zbliżył na tyle, aby uruchomić czujniki, a ich oczom ukazywały się wówczas wnętrza utrzymanych w idealnym stanie warsztatów, pomieszczeń serwisowych i świetlic. Ich kroki rozbrzmiewały na tle cichego mechanicznego szumu pracującej niezmordowanie maszynerii pokładowej, a co jakiś czas w pobliżu przemykał ten czy inny staroświecki droid, spieszący do własnych spraw. Z całości wyłaniał się obraz statku, który równie dobrze mógł zostać opuszczony wczoraj. Jednak w istocie okręty dryfowały w przestrzeni kosmicznej od pół wieku, a ich załoga nie opuściła pokładów, tylko zginęła w męczarniach, ogarnięta szaleństwem. Zaglądając w głąb pustych korytarzy, które mijali po drodze, Luke zastanawiał się, co myślały o tym wszystkim droidy, gdy uprzątały ciała członków załogi.

Mostek od hangaru dzieliła długa droga, jednak w końcu dotarli na miejsce.

– No dobrze, jesteśmy – rzucił do komunikatora Han, gdy gródź między mostkiem a niewielkim przedsionkiem otworzyła się

z nieznacznym tylko zgrzytem. – Nie widzę żadnych poważnych uszkodzeń – zameldował. – Jak wygląda sytuacja w maszynowni?

– Szczerze mówiąc, nie najlepiej – stwierdził z dezaprobatą Lando. – Tomrus mówi, że sześć z ośmiu głównych konwerterów mocy zostało wypiętych. Wciąż jeszcze przeprowadza kontrolę, ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to powiedziałbym, że ta łajba nie poleci nigdzie o własnych siłach.

– Jakoś mnie to nie dziwi – parsknął Han. – A co z hipernapędem? Czy jest choćby cień szansy, że zdołamy doholować tę landarę w pobliże jakiejś stoczni?

– Anselm to sprawdza – poinformował go Calrissian. – Ale, moim zdaniem, to płonne nadzieje.

– Taaa. Hm, cóż, tak czy inaczej, mamy tylko się temu wszystkiemu przyjrzeć, a nie sprawić, by było na chodzie. Zerkniemy jeszcze na systemy sterowania i zwijamy się stąd.

Luke podniósł wzrok na ścianę nad grodzią, a potem przyjrzał się uważniej ozdobnej tablicy z nazwą statku, którą na niej umieszczono.

– To… „Katana” – mruknął.

– Co takiego?! – Han wyciągnął szyję, żeby również rzucić okiem na planszę. – Oho. – Spojrzał z ukosa na przyjaciela. – Czy to właśnie dlatego wybrałeś akurat ten statek?

Skywalker pokręcił głową.

– Niewykluczone. To po prostu… chyba Moc mi to podpowiedziała.

– Han? Luke! – rozległ się nagle dziwnie spięty głos Wedge’a. – Mamy towarzystwo…

Luke poczuł nagły chłód w klatce piersiowej.

– Kto? Gdzie?

– Wektor dwa jeden zero koma dwa jeden. W konfiguracji… To fregata eskortowa!

Luke’owi wyrwało się z gardła ciche westchnienie ulgi.

– Lepiej ich wywołajmy – zasugerował. – I dajmy znać, gdzie jesteśmy.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to sami nas właśnie wywołują – odpowiedział Wedge. – Zaczekajcie, dokonam przełączenia.

– …tanie Solo? Tu kapitan Virgilio z fregaty eskortowej „Quenfis” – rozbrzmiał w głośniku komunikatora nowy głos. – Słyszy mnie pan?

– Tu Solo – rzucił do mikrofonu Han. – Z pokładu okrętu Starej Republiki „Katana”…

– Kapitanie Solo, z przykrością muszę pana poinformować, że pan i pańska załoga jesteście aresztowani – nie dał mu dokończyć Virgilio. – Proszę natychmiast wrócić na pokład waszego statku i przygotować się do oddania w nasze ręce.

Słowa kapitana Virgilia wisiały przez chwilę w pełnej napięcia ciszy, jaka zapanowała na pokładzie obserwacyjnym na tyłach mostka „Quenfisa”.

Usadowiony przy głównym pulpicie Fey’lya uśmiechnął się z przymusem do Lei, a potem – nieco bardziej bezczelnie – do Karrde’a, po czym skupił się ponownie na majaczących w oddali strumieniach gazów z silników X-wingów.

– Chyba nie wzięli pana słów serio, kapitanie – rzucił do mikrofonu interkomu. – Być może wysłanie do nich kilku eskadr X-wingów przekonałoby ich o tym, że nie żartujemy…

– Tak jest, radco – potwierdził przyjęcie rozkazu Virgilio.

Mimo że Leia bardzo się starała, nie zdołała znaleźć w jego głosie śladu niechęci czy pretensji. Większość z kapitanów floty, których znała, byłaby mocno poirytowana koniecznością wypełniania rozkazów cywila, szczególnie takiego, który nie mógł się poszczycić zbyt imponującym doświadczeniem wojskowym. Z drugiej jednak strony zdawała sobie sprawę, że Fey’lya raczej nie wybrałby do wypełnienia tej misji „Quenfisa”, gdyby Virgilio nie był jednym z jego zagorzałych popleczników. To była tylko kolejna ostentacyjna demonstracja, potwierdzająca, kto tu dowodzi. Nie trzeba ją było o tym przekonywać.

– X-wingi? Przygotować się do startu – wydał rozkaz kapitan „Quenfisa”.

Rozbrzmiała seria głuchych huków towarzysząca startowi dwóch eskadr myśliwców.

– Kapitanie Solo? Tu kapitan Virgilio. Odbiór.

– Kapitanie? Tu dowódca skrzydła Wedge Antilles z Eskadry Łotrów – odpowiedział mu Wedge. – Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie, kto wydał nakaz aresztowania?

– Pan pozwoli, kapitanie. – Fey'lya dotknął przycisku systemu łączności na pulpicie za swoimi plecami. – Komandorze Antilles, tu radca Borsk Fey'lya – oznajmił. – Jak przypuszczam, nie jest pan świadom tego, że kapitan Solo działa nielegalnie.

– Przykro mi, radco Fey'lya, ale nie bardzo rozumiem, co to ma znaczyć. Otrzymaliśmy rozkazy bezpośrednio od radczyni Lei Organy Solo.

– A my działamy z poruczenia Mon Mothmy – stwierdził z satysfakcją Bothanin. – Dlatego też wasze rozkazy są…

– A czy mógłby pan to w jakiś sposób udowodnić?

Fey'lyę aż zatkało.

– Mam jej upoważnienie pod nosem! – zagrzmiał ze świętym oburzeniem. – Gdy tylko dotrze pan na pokład, będzie pan mógł się z nim zapoznać osobiście.

– Panie komandorze, w tej chwili to zupełnie bez znaczenia, kto wydał nakaz aresztowania – wtrącił Virgilio, coraz bardziej poirytowany tą bezowocną wymianą zdań. – Jako oficer wyższy stopniem rozkazuję panu poddać się i sprowadzić pańską eskadrę na pokład mojego statku.

W przedłużającej się ciszy Leia rzuciła usadowionemu kilka metrów od niej na pokładzie obserwacyjnym Karrde'owi czujne spojrzenie, jednak przemytnik wpatrywał się w przestrzeń kosmiczną przez transparistalowy iluminator z obojętną miną. Może wspominał chwile, gdy był tu ostatni raz?

– Co się stanie, jeśli odmówię? – spytał wreszcie Wedge.

– Daj spokój, Wedge – rzucił znużonym głosem Solo. – Nie warto się narażać. Postawią cię przed sądem wojskowym. Zmiataj stąd, no, już. Nie jesteś nam tu już potrzebny. Miło cię było słyszeć, Fey'lya. – Ciche kliknięcie zasygnalizowało, że rozmowę przerwano.

– Solo! – szczeknął Fey'lya, pochylając się nad pulpitem łączności, jakby mógł w ten sposób coś wskórać. – Solo! – Odwrócił się i łypnął gniewnie na Leię. – Zapraszam panią! – warknął, dźgając palcem

w stronę panelu łączności. – Chcę dokończyć rozmowę z pani mężem.

Księżniczka pokręciła głową z udawanym smutkiem.

– Przykro mi, radco Fey'lya, ale Han w tym nastroju nikogo nie posłucha.

Fey'lya położył po sobie sierść.

– Proszę po raz ostatni, radczyni Organa Solo. Jeśli pani odmówi…

Niestety, nie dane mu było wyjaśnić, co się wydarzy, jeśli Leia nie spełni jego polecenia. Na skraju jej pola widzenia coś mignęło, a gdy odwróciła się w tym kierunku, na pokładzie „Quenfisa" rozwyły się syreny alarmowe.

– Co to za…? – skrzeknął Fey'lya, podrywając głowę i rozglądając się gorączkowo dookoła.

– To imperialny gwiezdny niszczyciel – oznajmił spokojnie Karrde, starając się przekrzyczeć zawodzenie brzęczyków. – I wygląda na to, że leci prosto na nas.

– Dowódca Łotrów? Mamy towarzystwo – zgłosił jeden z pilotów X-wingów Wedge'a, gdy w głośnikach rozbrzmiało wycie syren „Quenfisa". – Gwiezdny niszczyciel na jeden siedem osiem koma osiem zero sześć.

– Przyjąłem – potwierdził zgłoszenie Antilles, zawijając z dala od zbliżających się do nich szybko myśliwców wysłanych z pokładu fregaty eskortowej i obracając się o sto osiemdziesiąt stopni w ciasnym skręcie. Zgadza się: mieli tu gwiezdny niszczyciel w całej okazałości, lecący z przeciwnej strony wprost na „Quenfisa", od którego dzieliła go zwalista bryła „Katany". – Luke? – zawołał.

– Tak, widzimy go – potwierdził z napięciem Luke. – Kierujemy się do hangaru.

– W porządku. Zaraz… chwileczkę. – Wedge zmarszczył czoło. Na tle ciemnego kadłuba gwiezdnego niszczyciela, w jego dolnej części, pojawiły się nagle jasne smugi gazów wylotowych. – Wysyłają z pokładu jakieś jednostki – poinformował resztę. – Naliczyłem

dwanaście śladów… Z wyglądu smug wnoszę, że to najprawdopodobniej statki desantowe.

– Lepiej się w takim razie pospieszmy – stwierdził ponuro Han. – Dzięki za ostrzeżenie, Wedge. A teraz… wracajcie na „Quenfisa”. – Połączenie dobiegło końca.

– Jak jasna cholera, że wrócimy – mruknął pod nosem Antilles. – Eskadra Łotrów? Ruszamy!

Kapitan Virgilio próbował coś powiedzieć na otwartym kanale, jednak Wedge przełączył się na prywatną częstotliwość swojej eskadry, przekierował do silników X-winga pełną moc i ruszył w stronę „Katany”.

W oddali, tuż za ścianą strug gazów wylotowych pozostawianych przez X-wingi „Quenfisa”, Eskadra Łotrów zawróciła i wyprysnęła w kierunku gwiezdnego niszczyciela.

– Oni… szykują się do ataku! – wykrztusił Fey’lya. – Chyba poszaleli!

– Nie atakują, tylko szykują się do osłaniania krążownika – wyprowadziła go z błędu Leia, śledząc wydarzenia rozgrywające się przed jej oczami, za bańką osłony kokpitu, i starając się oszacować punkty przechwycenia. Wnioski nie napawały zbytnim optymizmem, stanowczo za blisko… – Musimy tam lecieć i zapewnić im wsparcie – powiedziała stanowczo. – Kapitanie Virgilio…

– Kapitanie Virgilio, proszę natychmiast odwołać X-wingi – wszedł jej w słowo Fey’lya. – Nawigacja? Przygotować się do skoku w nadprzestrzeń…

– Radco Fey’lya? – W głosie Virgilia wyraźnie słychać było zaskoczenie. – Czy… czy sugeruje pan, że powinniśmy ich tak zostawić?

Bothanin skrzywił się.

– Naszym obowiązkiem, kapitanie, jest ujść stąd z życiem i poinformować o wszystkim Radę – odparł ostro. – Jeśli Eskadra Łotrów uparcie odmawia wykonania rozkazów, nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić.

Leia zerwała się na równe nogi.

– Kapitanie…

Fey'lya był jednak szybszy. Nim zdołała dodać coś jeszcze, wyłączył interkom plaśnięciem dłoni.

– To ja tu dowodzę, radczyni Organa Solo! – warknął, kiedy zaczęła iść w jego stronę. – Działam z poruczenia samej Mon Mothmy…

– Mam gdzieś pańskie poruczenia! – wycedziła Leia. Przez kilka sekund miała przemożną chęć odpiąć miecz świetlny od pasa i chlasnąć ostrzem przez to tępe oblicze.

Z trudem odsunęła to uczucie od siebie. Nienawiść i płynąca z niej przemoc wiodły prosto w ciemną stronę.

– Mon Mothma nie mogła przewidzieć takiego obrotu spraw – dodała, starając się zachować zimną krew. – Fey'lya, tam są mój mąż i brat. Jeśli im nie pomożemy, zginą.

– Najprawdopodobniej w ten sam sposób skończy się to wszystko, jeśli spróbujemy im pomóc – stwierdził z denerwującym spokojem Bothanin. – Nie mówiąc już o tym, że oprócz nich zginą też pani nienarodzone dzieci.

Leia poczuła w sercu lodowaty chłód.

– Ale to… niegodne – wykrztusiła tylko przez ściśnięte gardło.

– Niestety, rzeczywistość bywa okrutna – rzucił Fey'lya. – A w tym przypadku oznacza to, że nie będę marnował ludzi i statków, aby walczyć o przegraną sprawę.

– Nie jest jeszcze za późno! – nie ustępowała Leia, choć jej głos łamał się z rozpaczy. Rzuciła desperackie spojrzenie w stronę „Katany". Nie… to się nie mogło tak skończyć. Nie po tym wszystkim, przez co przeszli wraz z Hanem. Podeszła jeszcze krok w stronę Fey'lyi…

– „Quenfis" wycofa się – powiedział cicho Bothanin i nagle, nie wiadomo skąd, w jego porośniętej kremową sierścią dłoni znalazł się blaster. – I nie zmieni tego ani pani, ani nikt inny.

– Kapitanie? Raport z czujników! – zawołał w stronę mostka oficer obsługujący stanowisko skanowania „Judicatora". – Nie odbieramy

sygnałów życia z żadnego z pozostałych krążowników w okolicy…

– A więc ograniczyli się tylko do tego jednego. – Kapitan Brandei pokiwał głową. – W takim razie to ten statek weźmiemy na cel. Rebelianci będą zdecydowanie mniej skłonni ostrzeliwać jednostkę, na której pokładzie są ich ludzie. Czy nadal kursem przechwytującym leci tylko jedna eskadra myśliwców?

– Tak jest, sir – potwierdził oficer. – Fregata eskortowa i dwie pozostałe eskadry jeszcze nie zareagowały. Najwyraźniej wzięliśmy ich z zaskoczenia.

– Być może. – Brandei pozwolił sobie na skąpy uśmiech. O, tak, to było typowe dla rebeliantów. Gdy nie mieli nic do stracenia, walczyli kłami i pazurami jak bestie, jednak wystarczyło dać im posmakować zwycięstwa i nacieszyć się chwilę łupami wojennymi, a nagle nie byli już tacy skorzy, by szafować życiem swoich. I to był właśnie jeden z wielu powodów, który doprowadzi ich do zguby, a Imperium da zwycięstwo. – Proszę rozkazać statkom desantowym uformować szyk obronny – polecił oficerowi łączności. – I wysłać na spotkanie tych X-wingów dwie eskadry myśliwców TIE. – Uśmiechnął się powtórnie. – Proszę też przekazać wiadomość do „Chimaery". Poinformujcie wielkiego admirała, że związaliśmy wroga walką.

Han wyglądał przez dłuższą chwilę przez bańkę obserwacyjną mostka, przypatrując się nadlatującym imperialnym statkom. Obliczał szybko w myśli czas i odległość, starając się ignorować nerwowe przestępowanie z nogi na nogę techników czekających już przy wyjściu.

– Czy nie powinniśmy się stąd zabierać? – spytał stojący obok niego Luke.

Han podjął decyzję.

– Nie – powiedział, aktywując komunikator. – Zostajemy. Gdybyśmy teraz wystartowali z hangaru, wpakowalibyśmy się prosto na te desantowce i myśliwce TIE. Lando?

– Tak? – zgłosił się Calrissian. W jego głosie znać było napięcie i niepokój. – Co tam się dzieje?

– Mamy na karku imperialnych – wyjaśnił Han, podchodząc do panelu kontroli ognia i dając znak technikom, by do niego dołączyli. – Eskadra Łotrów obrała kurs przechwytujący, jednak wszystko wskazuje na to, że ekipa Fey'lyi zamierza się stąd zmyć.

Lando zaklął pod nosem.

– Nie możemy tak tu po prostu siedzieć bezczynnie, czekając, aż Wedge sam się z nimi rozprawi.

– Nie będziemy – zapewnił go ponuro Solo. – Przydaj się na coś i sprawdź, w jakim stanie są złącza zasilania baterii turbolaserów. My zajmiemy się kontrolą ognia. I pospiesz się lepiej. Gdy rozproszą szyk, nie damy rady ich powystrzelać.

– Już się robi.

Han odwiesił komunikator do pasa.

– Jak to wygląda, Shen?

– Nie jest źle – nadeszła spod pulpitu kontrolnego odpowiedź technika. – Kline?

– Tu też połączenia wydają się w całkiem niezłym stanie – zameldował kolejny z mężczyzn stojący przy panelu kontrolnym po drugiej stronie pomieszczenia. – Gdybyśmy tylko zdołali namówić komputer do uruchomienia systemu… O, jest! – Obejrzał się na Hana. – Wszystko powinno działać.

Solo zajął miejsce przy stanowisku uzbrojenia, przesuwając wzrokiem po szeregach nieznanych mu kontrolek i zastanawiając się przelotnie, czy to wszystko jest w ogóle warte zachodu. Nawet jeśli te cacka wyposażono w układ pełnego podporządkowania i scentralizowane systemy komputerowe, to do ich obsługi wciąż było potrzeba ponad dwóch tysięcy osób.

Mimo to imperialni z pewnością nie będą się spodziewać, że któryś z krążowników jest w stanie ich ostrzelać. A przynajmniej taką miał nadzieję.

– No to do dzieła – mruknął pod nosem, wywołując na ekran kontrolki celownika.

Statki desantowe wciąż utrzymywały szyk, wykorzystując nachodzące na siebie osłony, aby ochronić się przed ostrzałem X-wingów. Szybsze i zwinniejsze myśliwce TIE już je dogoniły, otoczyły je chmarą i zaczęły je wyprzedzać…

– Wiesz, że będziesz miał tylko jeden strzał? – spytał cicho Luke.

– Dzięki – mruknął Solo. – Właśnie to chciałem usłyszeć. – Wziął głęboki oddech, zatrzymał na chwilę powietrze w płucach i delikatnie wcisnął kontrolki spustu…

„Kataną" szarpnęło, gdy działa turbolaserów bluznęły śmiercionośnymi promieniami energii. Niemal w tej samej chwili dał się słyszeć podwójny stłumiony huk, gdy poddał się zespół kondensatorów. Luke miał rację: pierwszy strzał okrętu okazał się zarazem jego ostatnim. Ale było warto. Laserowe strzały uderzyły w sam środek formacji statków desantowych – wrażenie było takie, jakby nagle cała grupa rozprysła się w serii następujących niemal równolegle eksplozji. Przez kilka sekund wszystko wokół przesłaniały ogniste chmury wtórnych eksplozji oraz grad szczątków, spośród których niespodziewanie wyprysnęło kilka statków. Po chwili dołączyły do nich kolejne, poruszając się z typową dla uszkodzonych jednostek ociężałością i niezbornością.

– Wygląda na to, że zdjął pan ich pięć – zameldował Kline, lustrując pobojowisko przez przyciśniętą do oczu makrolornetkę. – I przy okazji kilka TIE-ów.

– Robią uniki – dodał Luke.

– W porządku – sapnął Solo, wstając od konsoli i sięgając po komunikator. – To by było tyle, jeśli chodzi o nas. Lando?

– Cokolwiek przed chwilą zrobiłeś, narobiłeś przy tym niezłego bałaganu – odparł Calrissian. – Padło jedno ze złączy zasilania systemu kontroli ognia i przynajmniej jeden z generatorów. Co teraz?

– Przygotujemy się na przyjęcie zespołu abordażowego – zadecydował Solo. – Spotkajmy się w głównym korytarzu lewej burty, tuż przed hangarem. Zobaczymy, czy zdołamy zmontować jakąś obronę.

– W porządku.

Han przerwał połączenie.

– Chodźmy.

– Mam nadzieję, że wymyśliłeś coś sensownego – mruknął Luke, gdy opuszczali mostek i kierowali się do lewoburtowego korytarza.

– Szczególnie że nasze szanse wynoszą mniej więcej jeden do czterdziestu…

– Nie mów mi o szansach – prychnął, zerkając na chronometr i potrząsając z furią głową. Liczyła się każda sekunda. – A poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy wszystko może się zmienić.

– Nie możemy ich tak po prostu tam zostawić! – powtórzyła Leia, boleśnie świadoma, że zaczyna przemawiać do Fey'lyi jak do dziecka. – Tam jest mój mąż, brat, a także kilkunastu doskonałych pilotów X-wingów. Nie możemy ich ot tak zostawić na pastwę Imperium.

– Czasem trzeba zrezygnować z pobudek osobistych na rzecz ochrony interesów Nowej Republiki, radczyni Organa Solo – stwierdził górnolotnie Fey'lya. Futro zafalowało mu gwałtownie, prawdopodobnie w wyrazie samozachwytu nad własną przenikliwością. Jednak blaster w jego dłoni nawet nie drgnął. – Jestem pewien, że doskonale to pani rozumie.

– Tu nie chodzi o względy osobiste! – nie ustępowała Leia, z najwyższym trudem nad sobą panując. – Tylko o…

– Chwileczkę – wszedł jej w słowo Bothanin, wciskając guzik interkomu. – Kapitanie? Ile zostało do skoku w nadświetlną?

– Jeszcze minuta – zameldował Virgilio. – Góra dwie.

– Proszę się pospieszyć – przestrzegł go Fey'lya. Rozłączył się i obejrzał znów na Leię. – Tak, pani radczyni? Mówiła pani coś?

Leia z przymusem rozluźniła zaciśnięte szczęki. Gdyby tylko Fey'lya skierował lufę blastera odrobinę w bok… może zdołałaby rzucić się na niego. W obecnej sytuacji była jednak bezsilna. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej mizerna umiejętność manipulowania Mocą nie pozwoli jej wyrwać mu broni ani odbić strzału, a Bothanin był jakiś metr poza zasięgiem ostrza jej miecza świetlnego, gdyby zdecydowała się go użyć.

– Han i Luke bardzo zasłużyli się dla Nowej Republiki – przypomniała mu. – Jeśli zginą albo zostaną schwytani…

– „Katana" rozpoczęła ostrzał – zauważył spokojnie Talon Karrde, wstając, jakby chciał mieć lepszy widok na wydarzenia

rozgrywające się w przestrzeni kosmicznej.

Leia wyjrzała przez transparistal bańki, zerkając na majaczące w oddali imperialne statki, które na chwilę pochłonęła kula ognia.

– Są w posiadaniu mnóstwa newralgicznych informacji na temat działań Nowej Republiki. Czy naprawdę chce pan, by Imperium zdobyło tę wiedzę? – spytała z wyrzutem.

– Obawiam się, że nie rozumiesz toku rozumowania radcy Fey'lyi, Leio – powiedział Karrde, podchodząc do niej. Wyminął ją i od niechcenia rzucił datapad na konsolę namierzania obok niej. – Oczywiście martwisz się o swoją rodzinę – dodał. Uszedł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się tuż przed Bothaninem. – Radca Fey'lya ma jednak inne priorytety.

– Och, jestem tego pewna – bąknęła Leia, czując, jak nagle zasycha jej w ustach, gdy kątem oka zerknęła na podrzucony przez przemytnika datapad.

Na jego ekranie widniała krótka wiadomość: „Włącz interkom i uruchom system łączności".

Gdy przeniosła z powrotem wzrok na Bothanina, spostrzegła, że nadal trzyma ją na muszce, jednak spojrzenie fioletowych oczu miał utkwione w przemytniku. Zacisnęła zęby, skupiła się na pulpicie za plecami Fey'lyi i sięgnęła ku niemu Mocą… Nagle interkom włączył się bezszelestnie, a chwilę później również system łączności był aktywny.

– Nie rozumiem – bąknęła do Karrde'a. – Jakie inne priorytety mógłby mieć radca Fey'lya?

– To proste – stwierdził Karrde. – Radca Fey'lya kieruje się wyłącznie chęcią utrzymania się na arenie politycznej. Stroni od walki, bo na pokładzie tego statku znaleźli się jego najzagorzalsi stronnicy, a on nie może sobie pozwolić na ich utratę.

Leia zamrugała nieprzytomnie.

– On… słucham? Ale wydawało mi się, że…

– Że to standardowa obsada „Quenfisa"? – Karrde pokręcił głową. – Ależ skądże znowu. Z tamtej pozostali tylko kapitan i starsi oficerowie, a oni także należą do grona osób stojących po jego stronie. Właśnie dlatego radcy Fey'lyi tak zależało na zyskaniu kilku godzin przed opuszczeniem Coruscant: chciał zmienić przydziały

i upewnić się, że na pokładzie znajdą się tylko osoby lojalne wobec niego. – Uśmiechnął się, zaciskając wargi. – Oczywiście nie mieli być tego świadomi. Dano im tylko do zrozumienia, że to ze względów bezpieczeństwa.

Leia pokiwała głową, czując, jak oblewa ją zimny pot. A więc to nie tylko kapitan… cała załoga trzymała stronę Fey'lyi.

Co oznaczało, że przegrała i było w zasadzie po wszystkim. Nawet gdyby jakimś cudem zdołała poradzić sobie z Fey'lyą, nie było szans, by sama dała radę rozprawić się z resztą personelu.

– Rozumiesz więc z pewnością – dodał Karrde jakby nigdy nic – że radca Fey'lya nie jest zbyt skłonny ryzykować utraty ich wsparcia, hołdując czemuś tak żałośnie anachronicznemu jak lojalność wobec czyichś towarzyszy. Tym bardziej że z takim trudem przyszło mu przekonanie innych, jak bardzo przejmuje się on losem przeciętnego żołnierza.

Leia spojrzała na przemytnika ostro, gdy nagle dotarło do niej, do czego zmierza.

– Czy to prawda, radco Fey'lya? – spytała Bothanina, markując niedowierzanie. – Czy wszystkie te gorliwe przemowy, jak to sercem jest pan po stronie armii, były obliczone jedynie na zyskanie poparcia politycznego?

– Niech pani nie będzie śmieszna, Organa Solo – parsknął Fey'lya, jeżąc się ze wzgardą. – A na cóż innego politykowi żołnierze?

– Czy to właśnie dlatego nie obchodzi pana, że członkowie eskadry mogą zginąć? – spytał Karrde. – Bo wolą się trzymać z dala od polityki?

– Nikogo nie obchodzi życie jego wrogów – stwierdził Bothanin z wyrachowaniem. – A wszyscy, którzy nie są ze mną, są przeciwko mnie. – Machnął lufą blastera. – Jestem pewien, kapitanie Karrde, że nie muszę dodawać nic więcej.

Talon oderwał wzrok od Fey'lyi i wyjrzał przez iluminator.

– Nie, radco – potwierdził. – Chyba dość już usłyszałem.

Leia podążyła za jego spojrzeniem. Przestrzeń między „Quenfisem" a „Kataną" powoli zaczęły wypełniać lecące dwójkami i trójkami X-wingi z eskadr Bothanina, udające się na pomoc

myśliwcom Wedge'a… i wymawiające służbę politykowi, który właśnie jasno wyłożył, ile znaczy dla niego ich dobro.

– Tak – mruknęła. – Ja również.

Fey'lya spojrzał na nią, marszcząc czoło, jednak nim otworzył usta, by coś powiedzieć, drzwi od strony mostka rozsunęły się z cichym sykiem. Stał w nich kapitan Virgilio w eskorcie dwóch żołnierzy.

– Radco Fey'lya – odezwał się oficjalnym tonem. – Niniejszym jestem zmuszony prosić pana, by udał się pan do swoich kwater. Moi ludzie będą panu towarzyszyć.

Fey'lya położył po sobie sierść.

– Nie rozumiem, kapitanie…

– Odcinamy dostęp do tego pomieszczenia, sir – dodał Virgilio z szacunkiem, jednak w jego głosie słychać było echo groźby. Podszedł do Bothanina i pochylił się nad modułem interkomu. – Mówi kapitan – zawołał. – Wszyscy na stanowiska bojowe!

Na mostku rozwyły się alarmy, a gdy spojrzenia Fey'lyi i Lei skrzyżowały się, zobaczyła w jego oczach nagły szok: wreszcie do niego dotarło.

– Kapitanie…

– Widzi pan, radco Fey'lya, niektórzy spośród nas wcale nie uważają lojalności za tak przestarzałą koncepcję – wszedł mu w słowo Virgilio, odwracając się do Lei. – Radczyni Organa Solo, chciałbym, by dołączyła pani do mnie na mostku, jeśli się pani zgodzi. Wezwaliśmy krążownik jako wsparcie, jednak dotarcie tu nieco mu zajmie.

– W takim razie będziemy musieli ich do tego czasu powstrzymać – stwierdziła Leia, wstając od konsoli. Spojrzała na Karrde'a. – Dziękuję – powiedziała cicho.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie ani by wesprzeć was w tej wojnie – ostrzegł ją. – Mara i moi ludzie zjawią się tu lada chwila. Wolałbym, by nie musieli stawiać samotnie czoła gwiezdnemu niszczycielowi.

– Nie będą – zapewnił go Virgilio. – Radco Fey'lya?

– To przegrana sprawa – spróbował po raz ostatni Bothanin, oddając blaster jednemu z żołnierzy.

– Ma pan rację – stwierdził Virgilio z oszczędnym uśmiechem. – Cała Rebelia od początku była walką o przegraną sprawę. A teraz proszę mi wybaczyć. Mam bitwę do stoczenia.

„Chimaera” przemierzała właśnie okolicę, którą Pellaeon prywatnie ochrzcił mianem Magazynu, gdy nadszedł raport z pokładu „Judicatora”.

– Hm, ciekawe – skomentował Thrawn. – Odpowiedzieli szybciej, niż się spodziewałem.

– Najwyraźniej Karrde postanowił być hojny – stwierdził kapitan, przebiegając meldunek wzrokiem. Pięć promów desantowych i trzy myśliwce TIE zniszczone, do walki dołączył jeden z drednotów, rzekomo pod kontrolą Rebelii. Zanosiło się na to, że walka będzie zaciekła. – Sugerowałbym wysłanie wsparcia w postaci drugiego niszczyciela, panie admirale – powiedział. – Niewykluczone, że Rebelia wezwała już na pomoc większe jednostki.

– Polecimy tam sami, kapitanie – oświadczył Thrawn. – Nawigacja? Ustawić kurs na Flotę Katańską.

Oficer nawigacyjny ani drgnął. Siedział przy swoim stanowisku, plecami do nich, dziwnie sztywny.

– Nawigacja? – powtórzył Thrawn z naciskiem.

– Panie admirale, nadeszła wiadomość od patroli – zgłosił się nagle oficer łącznościowy. – W układzie pojawiła się niezidentyfikowana fregata typu Lancer, która szybko się do nas zbliża. Pilot utrzymuje, że chce rozmawiać z panem. Natychmiast.

Thrawn zmrużył lśniące czerwienią oczy i wcisnął guzik komunikatora… a do Pellaeona nagle dotarło, kto przebywa na pokładzie tego statku.

– Tu Thrawn – rzucił do mikrofonu wielki admirał. – Mistrz C’baoth, jak mniemam?

– Dobrze pan odgadł – rozbrzmiał w głośnikach gromki głos C’baotha. – Mamy do pomówienia, wielki admirale. W tej chwili.

– Właśnie lecimy udzielić wsparcia „Judicatorowi” – powiedział Thrawn, nie spuszczając wzroku z wciąż siedzącego nieruchomo

oficera nawigacyjnego. – Jak już zresztą zapewne pan wie. Gdy tylko wrócimy…

– Teraz, wielki admirale.

Starając się poruszać bezszelestnie, Pellaeon wpisał komendę i wywołał na ekran projekcję kursu statku C'baotha.

– Sprowadzenie go na pokład zajmie co najmniej piętnaście minut – wymamrotał.

Thrawn syknął cicho przez zęby. Pellaeon domyślał się, co martwiło wielkiego admirała. W niepewnej sytuacji podczas takiej nieprzewidzianej potyczki piętnastominutowe opóźnienie mogło zadecydować o jej wyniku.

– Kapitanie, proszę rozkazać, by „Peremptory" wyruszył jako wsparcie dla „Judicatora" – polecił wreszcie wielki admirał. – My zostaniemy tutaj, aby porozmawiać z naszym sojusznikiem.

– Dziękuję, wielki admirale. – Ledwie C'baoth wymówił te słowa, oficer nawigacyjny zaczerpnął gwałtownie tchu, nieomal się zachłystując, a potem oklapł bezwładnie na swoim fotelu. – Doceniam pańską wspaniałomyślność.

Thrawn sięgnął do pulpitu sterowniczego i zdecydowanym ruchem dłoni przerwał połączenie. Spojrzał w dół na wnękę dla obsady i dał znak dwóm strażnikom.

– Zabierzcie go do ambulatorium – polecił, wskazując wstrząsanego drgawkami oficera nawigacyjnego.

– Jak pan myśli, skąd C'baoth wziął tę fregatę? – mruknął pod nosem Pellaeon, gdy strażnicy pomogli oficerowi wstać i poprowadzili go w stronę rufy.

– Najprawdopodobniej ją porwał – stwierdził Thrawn grobowym głosem. – Wysyłał nam wiadomości na odległość nawet kilku lat świetlnych, a zdolności do kontrolowania umysłów innych z pewnością nie można mu odmówić. Najwyraźniej nauczył się, jak zrobić dobry użytek z obu tych umiejętności jednocześnie.

Pellaeon zajrzał do niszy załogi i po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

– Nie wiem, czy mi się to podoba, sir…

– Mnie również, kapitanie, proszę mi wierzyć – przytaknął Thrawn, odwracając się, by wyjrzeć przez iluminator. –

Niewykluczone – dodał z namysłem – że nadeszła pora, by przemyśleć nasze porozumienie z mistrzem C’baothem. Bardzo, ale to bardzo poważnie.

Rozdział 28

Turbolasery „Katany” bluznęły ogniem, rozbijając formację imperialnych statków desantowych i jeden z pilotów X-wingów Wedge’a wydał z siebie triumfalny okrzyk.

– Widzieliście to?

– Nie gadać, Łotr Siedem – zganił go Antilles, próbując dojrzeć coś przez chmurę płonących szczątków. Utarli imperialnym nosa, ale nie było to nic spektakularnego. – Mają w odwodzie znacznie więcej myśliwców TIE.

– Wedge?

Antilles przełączył kanał.

– Luke? Odbiór.

– Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli zostaniemy na pokładzie – poinformował go Luke. – Wpakowalibyśmy się wprost na imperialnych, a transportowce nie nadają się zbytnio do walki. Powinniście się stąd zabierać i wezwać jakąś pomoc.

Antilles widział teraz, że statki, które wyszły cało z ostrzału turbolaserowego, zmieniały szyk i przygotowywały się obecnie do wykonywania uników, lecąc w ślad za myśliwcami TIE, które miały oczyszczać im drogę.

– Nie dacie im rady – przestrzegł Luke’a. – Na pokładzie każdego z tych desantowców mogą być nawet trzy setki żołnierzy!

– Będziemy mieli większe szanse w walce z nimi niż wy przeciwko gwiezdnemu niszczycielowi – odciął się Skywalker. – No, dalej. Już was tu nie ma!

Wedge zacisnął zęby. Niestety, Luke miał rację i obaj o tym wiedzieli. Ale… porzucić go tak, w samym środku tego wszystkiego?

– Dowódca Łotrów? Tu Dowódca Złotych – rozległ się nagle nowy głos. – Proszę o pozwolenie na dołączenie do imprezy.

Wedge zmarszczył czoło i wyjrzał przez owiewkę swojej maszyny. Zobaczył dwie eskadry X-wingów z pokładu „Quenfisa”, nadlatujące tuż za jego grupą w charakterze wsparcia.

– Udzielam pozwolenia – rzucił do mikrofonu. – Nie spodziewałem się, że radca Fey'lya pozwoli wam się… rozerwać.

– Fey'lya nie ma już nic do gadania – odparł ponuro dowódca Złotych. – Opowiemy wam o wszystkim później. Tak czy inaczej, kapitan przekazał dowodzenie Organie Solo.

– To chyba pierwsza dobra wiadomość tego dnia – mruknął Antilles, po czym dodał bardziej rzeczowo: – W porządku, plan wygląda następująco: wybierz czterech członków swojej eskadry, którzy zaatakują statki desantowe. Reszta niech zajmie się myśliwcami TIE. Przy odrobinie szczęścia zdołamy się ich pozbyć, zanim dotrze tu następna fala. Nie sądzę, byśmy mogli poza tym liczyć na jakieś wsparcie ze strony naszych?

– Kapitan twierdzi, że wezwał na pomoc gwiezdny krążownik – oznajmił dowódca Złotych. – Nie wiadomo jednak, kiedy tu dotrze.

„Prawdopodobnie niezbyt szybko" – westchnął w duchu Wedge, głośno zaś dodał:

– No dobra. Bierzmy się do roboty.

W pobliżu otworu hangaru gwiezdnego niszczyciela pojawiły się nowe smugi gazów wylotowych – z pokładu wystartowała druga fala myśliwców TIE. Zmierzenie się z nimi oznaczało kolejną porcję kłopotów, jednak póki co X-wingi miały nad imperialnymi maszynami przewagę liczebną. Ale Imperium o tym wiedziało. Jego statki się rozproszyły, próbując rozgonić grupę swoich przeciwników, tak aby ci nie mogli się wzajemnie osłaniać.

Wedge dokonał szybkiej kalkulacji.

– Do wszystkich X-wingów – rzucił do mikrofonu. – Wybijemy ich w walce jeden na jednego. Wybierzcie sobie cele i do ataku.

Gdy znalazł się nieco bliżej, spostrzegł, że dwa z imperialnych myśliwców to szybsze i bardziej zaawansowane TIE interceptory. Wybrał jednego z nich, oderwał się od grupy i puścił się za nim w pościg.

Szybko przekonał się, że nawet jeśli w ciągu pięciu ostatnich lat doszło do jakichś braków czy pogorszenia sytuacji, jeśli chodzi o stan floty czy wyszkolenie personelu, to zdolnościom pilotów imperialnych myśliwców nie można było nic zarzucić. Wybrany przez niego interceptor zwinnie umknął mu z zasięgu dział podczas

próby pierwszego ataku, robiąc serię uników, wskutek których obrócił się ostatecznie tak, by wziąć na cel swojego prześladowcę. Wedge wprowadził swojego X-winga w pętlę, kierując się w dół i krzywiąc się, gdy strzał z dział interceptora przeleciał dość blisko, by uruchomić prawoburtowe czujniki termiczne, a potem zawinął ostro na prawo. Przygotował się na kolejny strzał… jednak ten nie nadszedł. Kiedy wyprowadził swojego X-winga z pętli i ze skrętu, w które płynnie przeszedł, rozejrzał się w poszukiwaniu swojego przeciwnika.

– Za tobą, dowódco Łotrów! – rozległ się w jego uchu głos Łotra Trzy.

Na dźwięk jego słów Wedge powtórzył manewr pętli, dokładnie w tej samej chwili, w której nad jego owiewką przemknął strzał. Cóż, imperialny pilot nie tylko nie dał się zwieść manewrowi, lecz nawet udało mu się go powtórzyć, aby w ten sposób podążyć za X-wingiem!

– Wciąż siedzi ci na ogonie! – potwierdził Łotr Trzy. – Spróbuj uników, będę tam za chwilę.

– Nie trzeba – zapewnił go Wedge. Kątem oka, na tle czerni kosmosu wirującego za jego owiewką, zauważył błysk kolejnej imperialnej maszyny, mijającej go z lewej strony. Wdusił mocno kontrolki, przerwał pętlę i zawinął wprost na wroga. Myśliwcem TIE szarpnęło nieco, gdy jego pilot nagle zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa i spróbował usunąć się z drogi… dokładnie tak, jak liczył na to Wedge. Zanurkował pod wrogą jednostką, wynurzył się z jej drugiej strony i zawinął, prowadząc swoją maszynę niebezpiecznie blisko osłony kabiny imperialnego myśliwca, aby za chwilę obrócić się dziobem w kierunku, z którego przyleciał.

Pilot interceptora, który odruchowo przerwał pościg, aby nie zderzyć się z jednym ze swoich kolegów, zupełnie się tego nie spodziewał. Wystarczył jeden strzał z bliska z laserowych działek X-winga, aby wrogi statek przestał stanowić zagrożenie.

– Ładnie rozegrane, dowódco Łotrów! – pochwalił go dowódca Złotych. – Teraz moja kolej.

Wedge natychmiast zorientował się w jego zamiarach. Zwiększając moc silników, oddalił się od TIE-a, którego wykorzystał jako osłonę, oddalając się od niego na bezpieczną odległość akurat w chwili, gdy maszynę Imperium dosięgły strzały oddane z działek laserowych dowódcy Złotych.

– Jak nam idzie? – spytał, gdy wnętrze jego kokpitu zalała fala blasku eksplozji.

– Już po wszystkim – oświadczył dowódca Złotych.

– Już po…? – Wedge zmarszczył czoło, zawracając szerokim łukiem. Rzeczywiście: w pobliżu jak okiem sięgnąć, widać było tylko X-wingi. Oczywiście oprócz stopniowo rozpraszających się chmur tlących się szczątków. – Co ze statkami desantowymi? – spytał rzeczowo.

– Nie wiem – padła odpowiedź dowódcy Złotych. – Złoty Trzy? Złoty Cztery? Proszę o raport.

– Zdjęliśmy szóstkę, dowódco – zameldował nowy głos. – Nie wiem, co stało się z siódmym.

Antilles zaklął pod nosem, zmieniając częstotliwość i zerkając w stronę gwiezdnego niszczyciela. Nowa grupa TIE-ów szybko pokonywała dzielący ich dystans. Teraz mógł już tylko ostrzec „Katanę”. Nie pozostawało mu nic innego.

– Luke? – rzucił do mikrofonu. – Za chwilę będziecie mieli towarzystwo.

– Wiem – zapewnił go Skywalker napiętym głosem. – Już prawie tu są.

Imperialni żołnierze otworzyli ogień osłonowy tuż po opuszczeniu pokładu statku desantowego, kierując się ku grodziom pancernym prowadzącym na dziób drednota. Luke nie widział ich ze swojej kryjówki, podobnie jak nie mógł dostrzec grupy Hana, czającej się na wroga w ciszy za skrajem grodzi po lewej. Słyszał jednak strzały i wiedział, że nadchodzą.

Wyczuwał jednocześnie od nich coś, co sprawiało, że włoski na karku stanęły mu dęba. Nie wiedział dokładnie, co to takiego, jednak coś było z nimi nie w porządku…

Jego komunikator zasygnalizował nadejście połączenia.

– Luke? – dobiegł z głośnika cichy głos Landa. – Za chwilę tu będą. Gotów?

Luke wyłączył miecz świetlny i obrzucił swoje dzieło ostatnim krytycznym spojrzeniem. Pokaźna część sufitu korytarza zwisała teraz niebezpiecznie, utrzymywana w miejscu zaledwie na kilku włóknach metalu, gotowa runąć w każdej chwili pod najlżejszym dotykiem. Podobną operację przeprowadził na dwóch częściach ściany w pobliżu.

– Wszystko przygotowane – poinformował Landa.

– W porządku. W takim razie do…

Jego słowa zagłuszył dźwięk nowej broni, która dołączyła do hałasu kanonady, kiedy Lando i pozostali zaczęli odpowiadać ogniem. Wymiana strzałów trwała przez kilka sekund, po czym nagle rozległ się metaliczny zgrzyt i wszystko ucichło.

Pierwsi zza rogu, za którym czekał Skywalker, wynurzyli się czterej technicy. Na ich twarzach malowała się mieszanka strachu, zdenerwowania i radości typowa dla ludzi, którzy właśnie wyszli cało ze swojej pierwszej w życiu walki. Za nimi szedł Lando wraz z Hanem i Chewbaccą, zamykającymi pochód.

– Gotowe? – spytał Luke'a Han.

– Tak. – Jedi wskazał uszkodzone panele na suficie i ścianach. – Wiesz jednak, że nie powstrzyma ich to na długo.

– I nie musi – mruknął Solo. – Jeśli pozbędziemy się w ten sposób choć kilku, warto spróbować. Chodźmy.

– Chwileczkę – bąknął Luke, starając się wyczuć coś poprzez Moc. Te dziwnie niepokojące umysły… – Rozdzielają się – poinformował Hana. – Mniej więcej połowa została w pobliżu lewej grodzi, druga idzie na prawą burtę. Do sekcji operacyjnej.

– Próbują nas otoczyć – domyślił się Han. – Lando, jak dobrze zabezpieczona jest tamta część?

– Niezbyt – westchnął Calrissian. – Gródź w hangarze powinna ich na chwilę powstrzymać, ale okolice sekcji operacyjnej to labirynt magazynów i warsztatów, którym najprawdopodobniej zdołają się dostać z powrotem do głównego korytarza prawej burty. Było zbyt wiele drzwi, żebyśmy zdołali je wszystkie zablokować…

Od strony grodzi, skąd przyszli, dobiegł głuchy odgłos wybuchu ładunku kumulacyjnego.

– A więc ci tutaj mają nas utwierdzić w przekonaniu, że są tu wszyscy, podczas gdy reszta będzie próbowała nas podejść – stwierdził z namysłem Solo. – Cóż, i tak nie planowaliśmy utrzymać całego korytarza. Chewie? Zajmujcie się wraz z Landem tymi tutaj i skierujcie się na mostek. Spróbujcie po drodze zlikwidować tylu, ilu się da. Luke i ja przejdziemy na prawą burtę i spróbujemy spowolnić nieco marsz tamtej grupy.

Chewbacca zawarczał potwierdzająco i ruszył przed siebie w ślad za czwórką techników.

– Powodzenia – rzucił na odchodnym Lando i dołączył do reszty.

Han spojrzał na Skywalkera.

– Czy nie rozdzielili się ponownie?

– Nie – zaprzeczył Luke, próbując zlokalizować wroga na terenie statku. Nadal wyczuwał coś bliżej niesprecyzowanego…

– W porządku. Chodźmy.

Prowadzący pochód Han skręcił w jeden z wąskich korytarzyków. Liczne drzwi umieszczone w obu ścianach sugerowały, że jest to przedział z kwaterami dla załogi.

– Dokąd idziemy? – spytał Luke, kiedy mijali je truchtem.

– Do prawoburtowej baterii numer dwa – wyjaśnił Solo. – Powinniśmy znaleźć tam jakieś paskudztwo, którym może zdołamy zalać główny korytarz. Jakieś chłodziwo systemu turbolasera czy coś w tym stylu.

– Chyba że są wyposażeni w systemy podtrzymywania życia – zauważył trzeźwo Luke.

– Nie są – mruknął Han. – A przynajmniej nie mieli nic takiego, kiedy zaatakowali. Mają standardowe maski oddechowe, ale jeśli wypełnimy cały korytarz chłodziwem, nie przydadzą im się one na wiele. No wiesz – dodał refleksyjnie – chłodziwo może się okazać łatwopalne…

– Szkoda, że w skład Floty Katańskiej nie wchodziły gwiezdne galeony – westchnął Luke, próbując znów namierzyć i wysondować Mocą wrogów. O ile był w stanie stwierdzić, znajdowali się teraz w labiryncie pomieszczeń, który miał na myśli Lando, i kierowali się

ku głównemu korytarzowi prawej burty. – Moglibyśmy wykorzystać te systemy obrony przeciwko intruzom, w które je wyposażano.

– Gdyby to był gwiezdny galeon, Imperium nie byłoby tak chętne, by położyć na nim łapę i odebrać nam go, zachowując przy okazji statek we względnie dobrym stanie – zauważył ponuro Han. – Rozpyliliby go po prostu na atomy i mieli nas z głowy.

– Fakt. – Twarz Luke'a wykrzywił grymas.

Dotarli już do głównego korytarza prawej burty. Byli mniej więcej w jego połowie, gdy Solo nagle zatrzymał się w pół kroku.

– Co, do licha…

Kiedy Luke odwrócił się, żeby zobaczyć, co zatrzymało jego przyjaciela, spostrzegł dużą, metalową pakę spoczywającą pośród plątaniny kabli i wsporników, w cieniu pod przepalonymi panelami jarzeniowymi. Z wąskiego wizjera na przedzie wystawały bliźniacze działka blasterowe, a ściany korytarza w pobliżu nosiły ślady osmaleń i wgnieceń, a także były podziurawione w kilku miejscach.

– Co to takiego? – zdumiał się.

– Wygląda jak miniaturowa wersja zwiadowczej maszyny kroczącej – skwitował Solo. – Przyjrzyjmy jej się.

– Ciekawe, co tu robi? – zastanawiał się na głos Luke, kiedy szli w stronę łazika.

Podłoga pod ich stopami była w tym miejscu dostrzegalnie wypaczona. Ktokolwiek korzystał z tej maszyny, zrobił z niej bez dwóch zdań dobry użytek.

– Być może ktoś wyciągnął ją z magazynu, podczas gdy wirus wykańczał całą załogę – podsunął Solo. – I albo próbował ochronić mostek, albo po prostu oszalał jak reszta.

Luke pokiwał głową, czując na ciele gęsią skórkę.

– Zacznijmy od tego, że na pewno trudno było dotrzeć nim aż tutaj…

– Cóż, jedno jest pewne: my raczej nie damy rady ruszyć go z miejsca – stwierdził Solo, przypatrując się plątaninie kabli i szczątków stanowiących niegdyś prawą kończynę maszyny kroczącej. Nagle zerknął na przyjaciela i podniósł znacząco brew. – Chyba że…

Luke przełknął nerwowo ślinę. Mistrz Yoda wydobył kiedyś jego X-winga z bagna na Dagobah… ale mistrz Yoda był też znacznie od niego silniejszy Mocą.

– Przekonajmy się – zaproponował Luke. Wziął głęboki oddech, oczyścił umysł, podniósł dłoń i sięgnął ku kabinie Mocą…

Maszyna nawet nie drgnęła. Luke spróbował znowu… i jeszcze raz, jednak bezskutecznie. Albo maszyna była zbyt ciasno zaklinowana między ścianami a sufitem, by zdołał ruszyć ją z miejsca, albo Luke po prostu nie miał dość siły, by ją podnieść.

– Cóż, mniejsza o to – mruknął Solo, oglądając się na korytarz. – Dobrze byłoby uruchomić to cacko. Wówczas moglibyśmy je umieścić w tym pomieszczeniu z monitorami za mostkiem i zdjąć każdego, kto by się zanadto zbliżył. Ale tu też możemy je wykorzystać. Sprawdźmy, czy zdołamy wejść do kabiny… – Schował blaster i wspiął się po jedynej nodze maszyny.

– Nadchodzą – ostrzegł go Luke, z niepokojem spoglądając w głąb korytarza. – Za kilka minut znajdziemy się w ich polu widzenia.

– W takim razie lepiej ty także tu wskakuj – mruknął Solo. Był już przy bocznym włazie kabiny, który po chwili szarpania się udało mu się otworzyć…

– Co się stało? – spytał ostro Skywalker, wyczuwając nagłą zmianę w nastawieniu przyjaciela.

– Nie chcesz wiedzieć – odmruknął ponuro Solo. Z trudem się opanowując, zanurkował do środka. – Zasilanie nadal działa! – zawołał. – No, zobaczmy…

Działko blasterowe nad głową Luke'a obróciło się o kilka stopni.

– Ha! I wciąż jest mobilne – dodał z satysfakcją Han. – Doskonale.

Młody Jedi był już na szczycie samotnej nogi pojazdu, ostrożnie omijając podczas wspinaczki poszarpane krawędzie metalu. Ten, przeciwko komu użyto maszyny kroczącej, najwidoczniej nie poddał się tak łatwo. Znowu poczuł w umyśle dziwne mrowienie…

– Nadchodzą – syknął do przyjaciela, zsuwając się z nogi i lądując bezszelestnie na pokładzie. Przykucnął, a następnie wyjrzał przez szczelinę między zgiętą kończyną a korpusem maszyny kroczącej, licząc na to, że jest tu dość cienia, by go skutecznie osłonić.

Przypadł do ziemi dosłownie w ostatniej chwili. Żołnierze Imperium posuwali się szybko w ich stronę w standardowym szyku, ubezpieczając się nawzajem. Na widok uszkodzonego łazika zwiadowczego dwójka z nich zatrzymała się, najprawdopodobniej próbując zadecydować, czy mają zaryzykować dalszy marsz, czy też może powinni zrezygnować z przewagi, którą był element zaskoczenia. Dowódca oddziału najwyraźniej wybrał kompromis, bo dwóch pierwszych żołnierzy podjęło przerwany marsz, zaś pozostali przypadli do ściany lub do podłogi.

Han pozwolił szpicy dotrzeć do podstawy maszyny kroczącej… a następnie, obracając działko blasterowe nad ich głowami, otworzył ogień do głównej grupy.

Odpowiedzieli ogniem błyskawicznie, jednak od początku byli na straconej pozycji. Solo systematycznie zasypywał ściany i podłogę strumieniami ognia, zmuszając nieliczną garstkę szczęściarzy, którzy znaleźli się w pobliżu drzwi w korytarzu, do pospiesznej ucieczki, i skutecznie eliminując tych, którzy nie mieli tyle szczęścia, co koledzy. Dwóch mężczyzn na przedzie zareagowało natychmiast: jeden z nich zaczął strzelać w stronę wizjera kabiny, a drugi niezwłocznie począł się wspinać po nodze maszyny do włazu.

Gdy tam dotarł, Luke już na niego czekał. Towarzysz imperialnego żołnierza zdołał oddać trzy strzały – wszystkie niecelne – nim miecz świetlny Jedi dosięgnął i jego.

Wówczas ostrzał z działka ustał. Luke zerknął ostrożnie w głąb korytarza, badając go jednocześnie Mocą.

– Zostało trzech – ostrzegł Hana, gdy ten otworzył właz kabiny i wyjrzał na zewnątrz.

– Zostaw ich – poradził mu przyjaciel, gramoląc się z trudem po szczątkach uszkodzonej kończyny i zerkając na chronometr. – Musimy wrócić do Landa i Chewiego. – Posłał Luke’owi ponury uśmiech. – A poza tym właśnie spaliły się kryształy zapłonu. Lepiej stąd znikajmy, zanim się zorientują.

Pierwsza fala myśliwców TIE została zniszczona, podobnie jak wszystkie statki desantowe z wyjątkiem jednego. Rebeliancka

fregata eskortowa i X-wingi z jej pokładu próbowały się teraz rozprawić z eskadrami pierwszą i trzecią – i wszystko wskazywało na to, że radzą sobie całkiem nieźle.

Kapitan Brandei już się nie uśmiechał.

– Wysyłamy właśnie czwarte skrzydło – zgłosiła kontrola lotów. – Eskadry piąta i szósta czekają na rozkazy.

– Niech zostaną póki co w pogotowiu – polecił Brandei. Nie miał zbyt wielkiego wyboru. W skład piątki i szóstki wchodziły maszyny zwiadowcze i bombowce, które były w stanie skutecznie realizować własne zadania, jednak w bezpośredniej walce z rebelianckimi X-wingami mogły się nie sprawdzić tak dobrze. – Czy mamy jakieś nowe wieści od „Peremptory”?

– Nie, sir. Ostatni raport z „Chimaery”… to znaczy nim włączyliśmy osłony, głosił, że niszczyciel przybędzie na miejsce o piętnastej dziewiętnaście.

A więc zostało jeszcze siedem minut… Brandei był boleśnie świadom, że niektóre bitwy przegrywano w czasie znacznie krótszym niż ten, który im pozostał, a jeśli sądzić z tego, jaki obrót przybrały właśnie sprawy, niewykluczone, że mieli do czynienia z jedną z takich sytuacji.

Pozostawało mu tylko jedno realne wyjście. I chociaż zdecydowanie nie podobał mu się pomysł przesunięcia statku w zasięg turbolaserów tego drednota, wiedział, że musi włączyć „Judicatora” do walki.

– Cała naprzód! – rozkazał sekcji sterowania. – Pełna moc do osłon, baterie turbolaserów w stan gotowości. Proszę poinformować też dowódcę zespołu abordażowego, że chcę, by ten statek natychmiast znalazł się w naszych rękach.

– Tak jest, sir!

Pokład rozbrzmiał głuchym hukiem uruchamianych silników, przez który nagle przebiło się ostre wycie alarmów statku.

– Grupa wrogich jednostek wychodzi z nadświetlnej od strony rufy! – zameldował z nutą paniki w głosie oficer odpowiedzialny za czujniki. – Osiemnaście pojazdów… frachtowców i mniejszych jednostek! Atakują!

Brandei zaklął szpetnie, wywołując na ekran odpowiedni obraz. To nie były statki rebeliantów. Z kim więc, na wszechmocne Imperium, mieli do czynienia? W zasadzie nie miało to jednak znaczenia.

– Obrócić statek na dwa siedem jeden – rozkazał. – Wycelować w nich rufowe turbolasery. I dać sygnał do startu eskadrze szóstej.

Kimkolwiek były te łachudry, już wkrótce przekonają się, że nie powinny były się mieszać w sprawy Imperium. Co się zaś tyczy ich tożsamości… wywiad z pewnością ustali ją po wszystkim, przeczesując wraki.

– Uważaj, Maro! – Nadajnik rozbrzmiał głosem Avesa. – Obracają statek. Wysłali też w naszą stronę myśliwce TIE…

– Przyjęłam – potwierdziła Jade, uśmiechając się ironicznie pod nosem. Nic im z tego nie przyjdzie. Większość eskadr gwiezdnego niszczyciela była związana walką przez siły Nowej Republiki, co oznaczało, że Imperium mogło wysłać przeciwko grupie Karrde'a jedynie maszyny zwiadowcze i bombowce. Czyli nic, z czym by sobie nie poradzili. – Dankin? Torve? Kurs przechwytujący.

Dwaj piloci potwierdzili przyjęcie instrukcji, ona zaś skupiła ponownie uwagę na niepozornym punkcie leżącym tuż pod centralną dyszą napędu podświetlnego gwiezdnego niszczyciela. W to miejsce nakierowane były działka laserowe jej Z-95. Dokładnie tam, chroniony przez osłony, znajdował się kluczowy element systemu czujników spodniej części rufowej. Gdyby zdołała go unieszkodliwić, ona i reszta mogliby bezpiecznie poruszać się pod stosunkowo słabo chronionym podwoziem wielkiego statku…

Jej lasery przebiły pola ochronne i dotarły do celu, zmieniając w obłoczek pary układ z metalowych części i plastiku.

– Okej, załatwione – poinformowała Avesa. – Centralny sektor dolnej części rufy jest teraz ślepy.

– Dobra robota – pochwalił ją rozmówca. – Do wszystkich: ruszamy!

Mara poderwała swojego Z-95, z ulgą zostawiając za sobą żar i strugi spalin z dysz silników niszczyciela. „Dziki Karrde” i inne frachtowce powinny poradzić sobie teraz z pokiereszowaniem kadłuba imperialnego okrętu. Jej mniejszy myśliwiec znacznie lepiej sprawdzi się w odciągnięciu od nich myśliwców TIE.

Najpierw jednak… Miała dość czasu, by się zameldować.

– Mara Jade do Karrde’a! – rzuciła do komunikatora. – Jesteś tam?

– Pewnie, dzięki – dobiegł z głośnika znajomy głos.

Mara poczuła, jak opuszcza ją część napięcia. „Pewnie, dzięki” oznaczało w skrócie tyle, że na pokładzie statku Nowej Republiki wszystko jest w najlepszym porządku.

Czy może: na tyle w porządku, na ile mogło być na pokładzie statku, któremu przyszło się zmierzyć z imperialnym gwiezdnym niszczycielem.

– Jak wygląda sytuacja? – spytała.

– Lekko oberwaliśmy, ale póki co jakoś się trzymamy – zdał jej relację. – Na pokładzie „Katany” przebywa niewielki zespół techników. Mają sprawne turbolasery, co może tłumaczyć obawy niszczyciela przed zbliżeniem się do nich. Ale jestem pewien, że w końcu wyzbędą się tej nieśmiałości…

– Chyba właśnie się jej wyzbyli – mruknęła Mara. – Gdy się zjawiliśmy, dali do silników pełną moc. A my nie zdołamy zbyt długo odwracać ich uwagi.

– Maro? Tu Leia Organa Solo – rozległ się nowy głos. – Wezwaliśmy też na pomoc gwiezdny krążownik.

– Imperialni też będą mieli lada chwila wsparcie – stwierdziła obojętnie Mara. – Więc może czas zrezygnować z głupiej bohaterszczyzny? Ściągnij swoich ludzi z „Katany” i wynoście się stąd.

– Nie możemy – poinformowała ją ponuro Organa Solo. – Na pokład wdarło się Imperium. Nasi ludzie mają odcięty dostęp do hangaru.

Mara spojrzała w stronę ciemnego cielska drednota, rozświetlonego jedynie światłami pozycyjnymi i pełgającym po

kadłubie blaskiem eksplozji oraz strzałów z toczącej się w pobliżu bitwy.

– W takim razie lepiej spiszcie ich na straty – stwierdziła kwaśno. – Bo posiłki Imperium z pewnością wkrótce tu dotrą. Na pewno wcześniej niż wasi.

Całkiem jakby te słowa były ponurym proroctwem, w oddali po lewej rozbłysnął refleks pseudoruchu i w tym miejscu pojawiły się nagle trzy drednoty w trójkątnym szyku.

– Maro! – warknął ostrzegawczo Aves.

– Widzę je – odpowiedziała spokojnie, gdy nagle nieco z tyłu i powyżej pierwszej trójki z nadprzestrzeni wyskoczyła druga. – To by było tyle, Karrde. Zabierajmy się stąd…

– Uwaga, siły Nowej Republiki! – popłynął z głośników nowy, dźwięczny głos. – Tu senator Garm Bel Iblis z pokładu okrętu „Tułacz". Czy mógłbym zaproponować swoje wsparcie?

Leia wpatrywała się w głośnik, czując dziwną mieszankę zaskoczenia, nadziei i niedowierzania. Obejrzała się na Karrde'a, a ten, gdy podchwycił jej spojrzenie, wzruszył lekko ramionami i pokręcił głową.

– Słyszałem, że on nie żyje – mruknął.

Leia przełknęła ślinę. Ona również… jednak głos zdecydowanie należał do Bela Iblisa, nie mogło być co do tego wątpliwości. Chyba że ktoś naprawdę się postarał i perfekcyjnie go imitował.

– Garmie, tu Leia Organa Solo – powiedziała.

– Leia! – zawołał Bel Iblis. – Ile to już lat! Nie spodziewałem się, że zjawisz się tu osobiście. Chociaż może powinienem był. Czy to wszystko to twój pomysł?

Leia zmarszczyła czoło i wyjrzała przez iluminator.

– Nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc „to wszystko". A tak w ogóle, co tu robisz?

– Kapitan Solo przesłał mojej asystentce współrzędne i poprosił, byśmy zjawili się jako wsparcie – odpowiedział Bel Iblis z pewną podejrzliwością w głosie. – Wyszedłem z założenia, że to na twoje polecenie…

Leia uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami. Powinna była się domyślić…

– Han miewa problemy z pamięcią – wyjaśniła półżartem. – Muszę jednak przyznać, że ostatnio nie mieliśmy zbyt wiele czasu na konsultacje.

– Rozumiem – powiedział Bel Iblis z namysłem. – Prośba nie została oficjalnie wystosowana przez Nową Republikę?

– Nie… ale teraz już tak – zapewniła go Leia. – W imieniu władz Nowej Republiki proszę was niniejszym o pomoc. – Obejrzała się na Virgilia. – Proszę zanotować to w dzienniku okrętowym, kapitanie.

– Tak jest, pani radczyni – potwierdził przyjęcie rozkazu Virgilio. – Jeśli chodzi o mnie, to również chciałbym zapewnić, że jestem zachwycony pańskim niespodziewanym powrotem.

– Dziękuję, kapitanie – odparł Bel Iblis i Leia oczyma duszy zobaczyła jego legendarny uśmiech. – W takim razie… naróbmy tu trochę bałaganu.

Sześć drednotów okrążyło gwiezdny niszczyciel, zasypując go gradem salw z dział jonowych i otwarcie ignorując coraz rzadszy ostrzał z turbolaserów, którym im odpowiadał.

– Mara ma jednak rację – przestrzegł Leię Karrde, podchodząc do niej. – Gdy tylko uda nam się podjąć zespół techników z tego krążownika, lepiej stąd znikajmy.

Pokręciła głową.

– Nie możemy zostawić tak po prostu Floty Katańskiej Imperium…

Karrde parsknął kpiąco.

– Domyślam się, że nie miałaś czasu, by policzyć, ile drednotów tu zostało?

Leia zmarszczyła czoło i przyjrzała mu się z niepokojem.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Przeprowadziłem skan – wyjaśnił jej ponuro Karrde. – Nieco wcześniej, gdy wykłócałaś się z Fey'lyą. Z pierwotnej dwusetki okrętów Floty Katańskiej… zostało piętnaście.

Leia wpatrywała się w niego przez chwilę, niezdolna wykrztusić ani słowa.

– Piętnaście? – bąknęła wreszcie.

Przemytnik pokiwał głową.

– Obawiam się, że nie doceniłem wielkiego admirała – powiedział i pod warstewką wystudiowanej uprzejmości w jego głosie dosłyszała ślad goryczy. – Wiedziałem, że gdy tylko pozna lokalizację floty, zacznie stąd ściągać statki. Nie spodziewałem się jednak, że tak szybko wydostanie te informacje od Hoffnera.

Leia zadrżała. Sama niegdyś przeszła podobne przesłuchanie i choć minęło wiele lat, wciąż pamiętała koszmarne chwile spędzone w imperialnej niewoli.

– Ciekawa jestem, czy coś z niego w ogóle zostało…

– Oszczędź sobie współczucia – poradził jej Karrde. – Jeśli wziąć pod uwagę rozwój sytuacji, niewykluczone, że Thrawn nie musiał się wcale uciekać do tak barbarzyńskich metod jak groźba przemocy. Skoro Hoffner wygadał się tak szybko, możliwe, że wielki admirał po prostu poparł swoją sugestię obietnicą dużej sumy kredytów.

Leia wyjrzała znów przez iluminator na rozgrywającą się w oddali bitwę, ogarnięta nagłym poczuciem porażki. Przegrali. Starali się tak bardzo, a jednak… przegrali.

Wzięła głęboki oddech i wykonała kilka ćwiczeń relaksacyjnych Jedi. Zgoda, przegrali. Jednak była to tylko bitwa – nie cała wojna. Może i Imperium zagarnęło Ciemną Flotyllę, jednak rekrutacja i szkolenie członków załóg tych krążowników z pewności zajmie im całe lata. A w ciągu tego czasu mogło się zdarzyć bardzo dużo.

– Masz rację – westchnęła. – Najlepiej będzie maksymalnie ograniczyć straty. Kapitanie Virgilio, gdy tylko pozbędziemy się zagrożenia ze strony tych myśliwców TIE, chciałabym, by wysłał pan zespół wsparcia na pokład „Katany”.

Odpowiedź jednak nie nadeszła.

– Kapitanie? – powtórzyła z niepokojem, a kiedy się na niego obejrzała, spostrzegła, że Virgilio wygląda z kamienną twarzą przez iluminator.

– Za późno, pani radczyni – powiedział wreszcie cicho.

Podążyła za jego wzrokiem. W oddali zmaterializował się nagle drugi gwiezdny niszczyciel i sunął teraz majestatycznie przez

przestrzeń kosmiczną, spiesząc na pomoc oblężonemu imperialnemu okrętowi.

Przybyły imperialne posiłki.

– Odwrót! – zawołał zdyszany Aves. – Do wszystkich statków: odwrót! Drugi gwiezdny niszczyciel wszedł do układu!

Jego ostatnie słowa na wpół zagłuszyło buczenie alarmu zbliżeniowego Z-95, gdy ktoś przemknął niebezpiecznie blisko Mary. Wprowadziła swój stateczek w boczny ślizg – w samą porę, by zejść z linii strzału imperialnego TIE-a.

– Dokąd? – spytała z napięciem w głosie, przechodząc ze ślizgu w ledwie kontrolowany korkociąg, dzięki któremu wytraciła prędkość. Jej prześladowca, prawdopodobnie pod wpływem zbytniej pewności siebie spowodowanej pojawieniem się wsparcia, przeleciał zbyt blisko, by stać go było na coś więcej niż tylko strzał oddany w jej stronę na chybił trafił. Zestrzeliła go z zimną kalkulacją. – Na wypadek gdybyś zapomniał: niektórzy z nas nie mają odpowiedniej mocy przeliczeniowej, by obliczyć skok w nadprzestrzeń.

– Prześlę ci współrzędne – powiedział Aves. – Karrde…

– Zezwalam – zgłosił Talon z pokładu fregaty eskortowej. – Zabierajcie się stąd.

Mara zacisnęła zęby, spoglądając na drugi gwiezdny niszczyciel. Nienawidziła rejterować, ale wiedziała, że w tej sytuacji to jedyna słuszna decyzja. Bel Iblis rzucił trzy ze swoich okrętów przeciwko nowemu zagrożeniu, jednak nawet uzbrojone w działa jonowe drednoty nie były w stanie długo powstrzymywać gwiezdnego niszczyciela. Jeśli Korelianin wkrótce je odwoła, mogą nie dostać drugiej szansy…

Nagle przeszedł ją dziwny dreszcz: przeczucie. Ponownie spróbowała ślizgu, jednak tym razem zbyt późno. Jej Z-95 szarpnęło, a zza pleców dobiegł charakterystyczny syk rozgrzanego metalu i ulatujących w przestrzeń kosmiczną gazów.

– Oberwałam! – warknęła, jedną ręką odruchowo blokując kontrolki systemów, a drugą sięgając do hełmu i uszczelniając zawory. Rychło w czas: w kabinie rozległ się niemal natychmiast

drugi syk, sygnalizujący rozszczelnienie kabiny. – Odcięło mi zasilanie i dopływ powietrza. Katapultuję się… – Sięgnęła do pętli zwalniania układu fotela… i zamarła. Czy to przypadkiem, czy kierując się w ostatniej chwili instynktem, skierowała swój myśliwiec niemal wprost do hangaru gwiezdnego niszczyciela… Gdyby mogła wydusić jeszcze odrobinę mocy z awaryjnego systemu manewrowego…

Wymagało to więcej wysiłku, niż zakładała, jednak gdy wreszcie chwyciła ponownie pętlę spustu systemu katapultowania, miała tę satysfakcjonującą świadomość, że nawet roztrzaskując swój myśliwiec, zdoła choć odrobinę pomieszać szyki Imperium. Może nie będzie to nic imponującego, ale zawsze coś.

Pociągnęła za pętlę i chwilę później została wgnieciona w fotel, gdy niewielkie ładunki umieszczone w sworzniach mocujących wybuchły, owiewka odskoczyła, a ona została wyrwana gwałtownym szarpnięciem z kabiny. Zerknęła szybko na lewoburtowy hangar gwiezdnego niszczyciela, na przemykający obok myśliwiec…

Nagle jej uszy wypełnił głośny pisk systemów elektronicznych fotela katapultowego oraz złowieszcze skwierczenie wyładowań. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie popełniła właśnie swój ostatni w życiu błąd. Skupiona bez reszty na nakierowaniu uszkodzonego Z-95 na wlot do hangaru gwiezdnego niszczyciela, znalazła się zbyt blisko olbrzymiego okrętu i katapultowała się prosto w ogień z działa jonowego drednota.

Ten jeden przenikliwy jęk przeciążonej nad miarę elektroniki pozbawił ją dosłownie wszystkiego: padła łączność, zgasły światła, straciła ograniczoną manewrowość silników sterujących, regulację systemu podtrzymywania życia, boje ratunkowe…

Przez ułamek sekundy jej myśli poszybowały ku Skywalkerowi. On także tkwił wówczas bezradny, zawieszony w przestrzeni kosmicznej, jednak Mara miała powód, by go odnaleźć. Jeśli chodzi o nią… cóż, nikt nie miał takiej potrzeby.

Obok niej przemknął płonący myśliwiec TIE, który chwilę później eksplodował. Od ceramicznego pancerza osłaniającego częściowo jej

ramiona, odbił się jeden z odłamków, sprawiając, że uderzyła mocno głową o bok zagłówka.

Nim wszystko pochłonęła ciemność, zobaczyła jeszcze przed sobą twarz Imperatora. I wiedziała, że znów go zawiodła.

Zbliżali się do pomieszczenia monitorowania za mostkiem „Katany", gdy nagle Luke poderwał gwałtownie głowę.

– Co się stało? – spytał spłoszony Han, lustrując czujnie korytarz za ich plecami.

– To… Mara – wydusił Luke z twarzą ściągniętą grymasem niepokoju. – Ma kłopoty.

– Oberwała? – spytał rzeczowo Solo.

– Tak i… jest w poważnych tarapatach – dodał Luke, marszcząc czoło w najwyższym skupieniu. – Najwyraźniej otarła się o jeden z promieni z działa jonowego.

Skywalker wyglądał na wstrząśniętego, jakby właśnie stracił przyjaciela, a nie zaciekłego wroga, który chciał go zabić. Przez chwilę Solo miał ochotę poinformować go o tym spostrzeżeniu, jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język, gdyż uznał, że w tej chwili mają na głowie większe zmartwienia. Może znów chodziło o jeden z tych szalonych dogmatów Jedi, których i tak nigdy nie rozumiał…

– Hm, i tak jej teraz nie pomożemy – powiedział więc zamiast tego i podjął marsz. – Chodź.

Oba główne korytarze – lewo- i prawoburtowy – wiodły do przedsionka monitorowania, z którego gródź prowadziła z kolei na mostek. Gdy Han i Luke tam dotarli, Lando i Chewbacca czekali już po obu stronach wejścia do korytarza lewej burty, kuląc się pod ostrzałem z blasterów i co jakiś czas ryzykując wychylenie, by odpowiedzieć ogniem.

– Jak idzie, Lando? – spytał przyjaciela Han.

– Kiepsko, stary – mruknął Calrissian. – Zostało ich co najmniej dziesięciu. Shen i Tomrus oberwali. Jeśli w ciągu godziny czy coś koło tego Shenem nie zajmie się droid medyczny, może umrzeć. Anselm i Kline zabrali obu na mostek.

– Nam poszło ciut lepiej, ale wciąż mamy kilku żołnierzy na karku – zdał mu relację Solo, obrzucając szybkim spojrzeniem szeregi monitorów w przedsionku. Zapewniłyby im całkiem przyzwoitą osłonę, jednak ze względu na ich rozmieszczenie mieliby trudności z wycofaniem się w razie potrzeby bardziej w głąb, nie narażając się przy tym na ostrzał. – Mam niejasne wrażenie, że we czterech nie damy rady zbyt długo utrzymać się w tym miejscu – westchnął. – Lepiej będzie, jeśli wycofamy się na mostek.

– Z którego nie będziemy mieli dokąd uciec – wskazał trzeźwo Lando. – Mam nadzieję, że uwzględniłeś to w swoim planie?

Nagle Solo poczuł, że stojący obok niego Luke tężeje.

– W porządku – powiedział Skywalker. – Idźcie na mostek, ale już. Poradzę sobie z nimi.

Lando przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Że… co?

– Poradzę sobie z nimi – powtórzył cierpliwie Skywalker, a potem aktywował swój miecz świetlny. – Szybko. Wiem, co robię.

– Chodźmy. – Hanowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Nie miał pojęcia, co planuje Luke, jednak coś w jego twarzy mówiło mu, że wykłócanie się z Jedi nie jest w tej chwili najlepszym pomysłem. – Równie dobrze możemy mu pomagać stamtąd.

Chwilę później zajęli już pozycje: Han i Lando tuż za grodzią mostka, Chewbacca kilka metrów dalej, pod osłoną konsoli technicznej, a Luke w przejściu, z mieczem świetlnym w pogotowiu. Minęła kolejna chwila, nim imperialni żołnierze się zorientowali, że korytarze są puste, gdy jednak to do nich dotarło, zareagowali szybko i sprawnie. Pomieszczenie zaroiło się od rykoszetów promieni energetycznych ognia zaporowego odbijających się od konsol monitorów, ale już za moment imperialni żołnierze jeden po drugim zaczęli chyłkiem przekradać się przez oba wejścia do przedsionka, kryjąc się natychmiast za długimi pulpitami i błyskawicznie podejmując ostrzał.

Han niezmordowanie naciskał spust, starając się maksymalnie skupić, przez cały czas boleśnie świadom, że robi przy tym więcej hałasu niż pożytku. Miecz świetlny Luke’a tkał z kolei w powietrzu świetlistą zasłonę, jakby nagle zmienił się w wygłodniałe zwierzę.

Lśniąca klinga skutecznie odbijała strzały, które dotarły niebezpiecznie blisko. Póki co wyglądało na to, że strzelcy Imperium nawet go nie drasnęli, jednak Han wiedział, że to nie potrwa wiecznie. Gdy tylko przerwą chaotyczny ostrzał i zaczną skupiać ogień na celu, nawet Jedi będzie miał trudności z odbiciem wszystkich promieni śmiercionośnej energii… Zacisnął zęby, żałując przelotnie, że nie wie, co takiego wymyślił właściwie Luke, i kolejny raz nacisnął spust.

– Przygotujcie się! – zawołał nagle Skywalker, przekrzykując blasterową kanonadę.

Han cały czas zastanawiał się, na co mają się przygotować, gdy jego szwagier cofnął się o krok i cisnął mieczem w bok… Świetliste ostrze przemknęło, wirując, przez przedsionek i trafiło w ścianę… która z ogłuszającym trzaskiem pękła, otwierając się na przestrzeń kosmiczną.

Luke odskoczył błyskawicznie w tył, w ostatniej chwili docierając na mostek, nim gródź z hukiem zatrzasnęła się, chroniąc pomieszczenie przed rychłą dekompresją. Przez chwilę w ich uszach rozbrzmiewało wycie alarmów – dopóki Chewbacca ich nie wyłączył – a następny moment Han spędził na przysłuchiwaniu się wizgowi laserowego ostrzału, podczas gdy skazani na rychłą zagładę imperialni ostrzeliwali bezskutecznie gródź. I nagle zapanowała cisza.

Było po wszystkim.

Luke przypadł już do głównego iluminatora, by spojrzeć na rozgrywającą się przed nimi bitwę.

– Spokojnie, Luke – mruknął Solo, chowając blaster do kabury i podchodząc do niego. – Nie jesteśmy w stanie zrobić nic więcej.

– Nie… – Luke zamykał i rozwierał nerwowo sztuczną dłoń. Może wspominał Myrkr i tamtą długą podróż z Marą przez las? – Musimy coś zrobić, jakoś im pomóc! – upierał się. – Imperium wykończy ich wszystkich… jeśli tego nie zrobimy.

– Nie możemy strzelać ani się stąd ruszyć – warknął zniecierpliwiony Solo, próbując bezskutecznie zwalczyć ogarniającą go bezsilność. Na pokładzie tamtej fregaty eskortowej była wciąż Leia… – Jakie mamy inne wyjście?

Luke wykonał bliżej nieokreślony gest dłonią.

– Nie wiem – westchnął bezradnie. – To ty jesteś ten mądry. Wymyśl coś.

– Taaa – mruknął Solo, rozglądając się po mostku. – Jasne. Po prostu pstryknę palcami i… – Urwał, a na usta wypełzł mu nagle jego firmowy, krzywy uśmiech. – Chewie, Lando, chodźcie no tu! Szybko! – rozkazał, zerkając na konsolę, przy której stał. – Potrzebuję was tutaj, przy tych wyświetlaczach czujników. – „Nie – uznał. – To nie ta. To musi być…”. – Luke? Pomóż mi, proszę, znaleźć… Ach, nieważne. Mam. To ta.

– Co „ta”? – zainteresował się Lando, zatrzymując się przed wyświetlaczem wskazanym przez Solo.

– Zastanów się tylko! – rzucił Han, obrzucając pulpity taksującym spojrzeniem. Doskonale. Wyglądało na to, że wszystkie systemy są aktywne. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że w dodatku nadal w pełni sprawne… – A tak przy okazji, gdzie właściwie jesteśmy? – dodał, podchodząc do konsoli sterowania i uruchamiając pulpit.

– W samym środku… niczego – bąknął Lando, siląc się na cierpliwość. – A majstrowanie przy kontrolkach steru donikąd nas nie doprowadzi.

– Masz rację. – Solo obdarzył go skąpym uśmiechem. – Nie doprowadzi nas donikąd.

Lando gapił się na niego przez moment, aż wreszcie on również się uśmiechnął.

– Jasne! – mruknął chytrze. – Dokładnie. Przecież to Flota Katańska. A my jesteśmy na pokładzie „Katany”!

– Wreszcie załapałeś – ucieszył się Solo. Wziął głęboki oddech, zacisnął w myśli kciuki i uruchomił zasilanie silników…

Tak jak można było się spodziewać, „Katana” ani drgnęła. Jednak powodem, dla którego cała Flota Katańska zniknęła w ogóle bez śladu, było to, że…

– Mam go! – zawołał Lando pochylony nad wyświetlaczem czujników. – Na cztery zero trzy koma dwa zero…

– Tylko jeden? – upewnił się Han.

– Tylko jeden – potwierdził Calrissian. – I tak powinniśmy się cieszyć. Po tylu latach to prawdziwy fart, że chociaż jeden z tych

statków ma nadal sprawne silniki.

– To się jeszcze okaże – ostudził jego zapał Solo. – Podaj mi kurs na ten drugi gwiezdny niszczyciel…

– Eee… – Lando zmarszczył czoło. – Obróć o jakieś piętnaście stopni na lewo i ociupinę w dół…

– W porządku. – Z najwyższą ostrożnością Solo dokonał odpowiedniej korekty. To było dziwne uczucie: zdalnie sterować innym statkiem. – I jak? – zagadnął Landa.

– Wygląda na to, że wszystko gra – potwierdził Calrissian. – Daj nieco więcej mocy…

– Monitory kontroli ogniowej nie działają – ostrzegł Luke, podchodząc do Hana. – Nie wiem, czy dasz radę dobrze wycelować bez ich wsparcia…

– Nie będę nawet próbował – poinformował go Solo. – Lando?

– Odrobinę na lewo! – poinstruował go Calrissian. – Jeszcze trochę… O, właśnie! – Obejrzał się na przyjaciela. – Idealnie.

– No to do dzieła! – mruknął Han, otwierając maksymalnie przepustnicę.

Nie było szans, by załoga gwiezdnego niszczyciela zdołała przeoczyć kierujący się wprost na nią drednot. Ze względu jednak na dzieło zniszczenia, którego dokonał w systemach imperialnego okrętu ostrzał z dział jonowych statków Bela Iblisa, nie była ona w stanie usunąć się w porę z toru lotu…

Nawet mimo że „Katanę” dzieliła od obu okrętów spora odległość, zderzenie i eksplozja, do której doszło wskutek niego, były spektakularne. Han obserwował przez chwilę z niezdrową fascynacją, jak kula ognia rozprzestrzenia się w kosmicznej próżni, a potem odwrócił się do Luke’a.

– W porządku – mruknął. – No to teraz jesteśmy udupieni na dobre…

Kapitan Brandei obserwował z niedowierzaniem sceny rozgrywające się za bocznym iluminatorem „Judicatora”, podczas gdy „Peremptory” dogorywał w płomieniach. Nie… to… niemożliwe! Nie wierzył własnym oczom. To nie mogło się dziać naprawdę! To

nie mogło się przydarzyć imperialnemu gwiezdnemu niszczycielowi. To nie mogło się przytrafić najpotężniejszemu okrętowi w całej imperialnej flocie!

Z osłupienia wyrwał go skrzek strzału, który trafił w osłony mostka.

– Raport! – warknął.

– Wygląda na to, że jeden z wrogich drednotów został zniszczony wskutek wybuchu „Peremptory” – zameldował oficer czujników. – Kolejne dwa kierują się w naszą stronę…

„Spiesząc na pomoc tej trójce, która razi nas salwami z dział jonowych” – pomyślał Brandei, zerkając na wyświetlacz taktyczny, jednak nie miało to zbytnio sensu. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zostało mu tylko jedno wyjście.

– Odwołać wszystkie myśliwce – polecił. – Skaczemy w nadświetlną, gdy tylko znajdą się na pokładzie.

– Tak jest, sir!

Podczas gdy załoga mostka posłusznie zabrała się do wypełniania rozkazów, Brandei pozwolił sobie na skąpy uśmiech. Owszem, może i przegrali to starcie. Jednak była to tylko bitwa – nie cała wojna. Już wkrótce powrócą… a gdy tak się stanie, przybędą w sile całej Ciemnej Flotylli, z wielkim admirałem Thrawnem na czele.

Niech więc ci żałośni rebelianci napawają się tą chwilową przewagą. Bardzo możliwe, że to będzie ich ostatni triumf.

Rozdział 29

Ekipa techniczna z „Quenfisa” załatała szparę w kadłubie w iście rekordowym tempie. Statek, o którego dostarczenie poprosił Luke, czekał już na nich, gdy dotarli do hangaru. Niedługo po tym, jak drugi z gwiezdnych niszczycieli umknął pospiesznie tuż po zniszczeniu pierwszego, Skywalker wystartował.

Zadanie namierzenia samotnego fotela katapultującego pośród wszystkich tych szczątków zaśmiecających przestrzeń kosmiczną na polu bitwy, jaka rozegrała się tu przed chwilą, było misją z góry skazaną na niepowodzenie. Co innego jednak, jeśli podjął się jej Jedi.

Gdy ją znaleźli, Mara była nieprzytomna wskutek zarówno długiego czasu spędzonego bez dostępu do powietrza, jak i lekkiego wstrząsu, którego najwyraźniej doznała. Aves dostarczył ją na pokład „Dzikiego Karrde’a” i na łeb na szyję popędził na spotkanie gwiezdnego krążownika dysponującego ambulatorium, gdy ten wreszcie zjawił się na miejscu. Luke dopilnował, by oboje znaleźli się bezpiecznie na pokładzie, a następnie wrócił do transportowca i reszty zespołu, który szykował się do lotu na Coruscant.

Przez cały ten czas nie przestawał zastanawiać się, dlaczego w ogóle zdecydował się ruszyć Marze na pomoc.

Nie miał pojęcia, dlaczego podjął taką decyzję. Istniało co prawda mnóstwo wytłumaczeń, którymi mógł się podeprzeć: począwszy od zwykłej wdzięczności za to, że wsparła ich w tej bitwie, aż po naturalny – zdawałoby się – odruch Jedi pragnącego ocalić życie komuś, gdy istniała taka możliwość… Po namyśle uznał jednak, że wszystko to tylko czcze wymówki. I wiedział też z niezachwianą pewnością, że zrobił to, bo… po prostu musiał tak postąpić.

Może kierowała nim sama Moc? A może po prostu był to ostatni, rozpaczliwy zew jego młodzieńczego idealizmu i naiwności? Z zamyślenia wyrwał go brzęczyk sygnalizujący nadejście połączenia.

– Luke?

– Tak, Han? O co chodzi?

– Wracaj tu do nas, na „Katanę”. Natychmiast.

Skywalker wyjrzał przez owiewkę myśliwca, obrzucając czujnym spojrzeniem majaczącą w oddali sylwetkę statku, i przeszedł go nagły dreszcz. W głosie Solo pobrzmiewały grobowe nuty.

– O co chodzi?

– Mamy kłopoty – nadeszła odpowiedź. – Wiemy, co knuje Imperium. I to nic dobrego.

Luke przełknął nerwowo ślinę.

– Już do was lecę.

– Cóż… – mruknął Thrawn. Gdy oderwał wzrok od raportu przysłanego przez dowódcę „Judicatora”, w jego oczach lśnił lodowaty gniew. – Dzięki twoim naleganiom straciliśmy właśnie niszczyciel „Peremptory”. Jak mniemam, jesteś usatysfakcjonowany?

C’baoth wytrzymał spokojnie jego spojrzenie.

– Nie waż się obwiniać mnie za brak kompetencji swoich niedoszłych triumfatorów! – warknął gniewnie. – Czy może raczej za to, że Rebelia nadrobiła własną zmyślnością wasze braki w tej dziedzinie? Niewykluczone, że to ty byś zginął, gdyby to „Chimaera” została wysłana w miejsce tamtego niszczyciela…

Thrawn nachmurzył się wyraźnie. Pellaeon podszedł o krok do wielkiego admirała, starając się znaleźć bliżej niwelującego Moc isalamira, umieszczonego obok fotela dowodzenia, i przygotował się na najgorsze.

Okazało się jednak, że niepotrzebnie. Wielki admirał doskonale nad sobą panował.

– Czego chcesz? – spytał ostrym tonem.

C’baoth uśmiechnął się tylko i odwrócił plecami do niego.

– Odkąd zjawił się pan na Waylandzie, złożył mi pan wiele obietnic, wielki admirale – powiedział, przystając, aby zerknąć na jedną z holograficznych rzeźb przyozdabiających pomieszczenie. – Jestem tu, by dopilnować ich spełnienia…

– A jak niby zamierzasz tego dokonać?

– Upewniając się, że jestem zbyt ważny, abyś mógł o mnie, powiedzmy, wygodnie zapomnieć. Niniejszym chciałbym poinformować cię również, że niebawem wracam na Wayland… aby objąć dowództwo nad operacją „Góra Tantiss".

Pellaeon nagle zaniemówił.

– Operacja „Góra Tantiss"? – spytał spokojnie Thrawn.

– Tak – mruknął C'baoth, z uśmiechem zerkając na Pellaeona. – Ależ wiem o tym, panie kapitanie! I to mimo waszych nędznych prób zatajenia przede mną prawdy.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by oszczędzić ci zbędnych niedogodności – zapewnił go usłużnie wielki admirał. – Dajmy na to, nieprzyjemnych wspomnień, które mógłby przywołać ten projekt…

C'baoth przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

– Może i tak – przyznał wreszcie z ledwie zauważalną nutą sarkazmu w głosie. – Jeśli rzeczywiście kierowałeś się w swoich działaniach tylko tym… no cóż, dziękuję. Jednak czas na podobne skrupuły minął. Odkąd opuściłem Wayland, zdobyłem większą moc i zwiększyłem swoje możliwości, wielki admirale Thrawn. Nie musisz już dłużej dbać o moje zdolności. – Wyprężył dumnie pierś, a gdy ponownie przemówił, jego głos poniósł się w pomieszczeniu gromkim echem: – Oto ja, mistrz Jedi C'baoth! – ogłosił. – Moc, która spaja w jedność całą galaktykę, jest moim sprzymierzeńcem!

Thrawn powoli wstał ze swojego fotela.

– I jesteś moim sługą – powiedział.

C'baoth pokręcił głową.

– Już nie, wielki admirale Thrawn. Historia zatoczyła koło. Jedi znowu będą rządzić.

– Uważaj, C'baoth – przestrzegł go Thrawn. – Myśl sobie, co chcesz. Nie zapominaj jednak, że dla Imperium nie jesteś niezastąpiony.

C'baoth podniósł krzaczaste brwi, a na widok uśmiechu, którym obdarzył Thrawna, Pellaeon poczuł zimny dreszcz. Dokładnie ten sam uśmiech zapamiętał z Waylanda…To właśnie ten uśmiech

sprawił, że pierwszy raz przyszło mu do głowy, że C'baoth rzeczywiście jest szalony.

– Ależ wręcz przeciwnie – powiedział mistrz Jedi zwodniczo cicho. – W tej chwili jestem dla Imperium absolutnie niezastąpiony. – Podniósł wzrok na holograficzne gwiazdy wyświetlone na ścianach pomieszczenia. – Chodźmy – rzucił. – Omówimy nowe zasady rządzenia naszym Imperium.

Luke spojrzał na ciała imperialnych żołnierzy, którzy zginęli wskutek nagłej dekompresji przedsionka mostka „Katany", i wreszcie zrozumiał przyczynę dziwnego uczucia, które nie dawało mu spokoju podczas walki.

– Chyba nie może być mowy o pomyłce – usłyszał własny głos.

Stojący obok niego Han wzruszył ramionami.

– Leia poprosiła o przeprowadzenie badań genetycznych. Ale chyba masz rację.

Skywalker pokiwał głową, przesuwając wzrokiem po twarzach leżących przed nim mężczyzn. Czy może raczej: idealnych kopiach tej samej twarzy.

Klony…

– A więc o to chodziło – powiedział cicho. – Imperium znalazło gdzieś cylindry klonujące Spaarti. I zdołało je uruchomić.

– Co oznacza, że znalezienie i wyszkolenie obsługi nowych drednotów wcale nie zajmie im tak wielu lat, jak sądziliśmy – zauważył Han ponuro. – Tylko… może zaledwie kilka miesięcy? A może nawet i nie tyle.

Luke wziął głęboki oddech.

– Wiesz, mam naprawdę, ale to naprawdę złe przeczucia, Han.

– Witaj w klubie.

O autorze

TIMOTHY ZAHN to jeden z najpopularniejszych autorów science fiction, słynący z umiejętności tworzenia niezwykle realistycznych postaci w świetnie wykreowanych światach przyszłej technologii i nauki. Za opowiadanie *Cascade point* został nagrodzony Hugo Award. Ma na swoim koncie liczne powieści z gatunku SF, w tym między innymi bestsellerową trylogię *Dziedzic Imperium*, *Ciemna strona Mocy* i *Ostatni rozkaz*, a także dylogię *Ręka Thrawna*, w skład której wchodzą *Widmo przeszłości* oraz *Wizja przyszłości*. Napisał również powieści *Duma zdobywców*, *Dziedzictwo zdobywców* oraz *Conquerors Legacy*, a także trzy zbiory opowiadań. Mieszka w Oregonie.

Przekład: Anna Hikiert
Redakcja: Rafał Sarna
Korekta: Marcin Grabski, Katarzyna Sarna
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6797-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.